

KSIĘGA III

Kiedy czai się prawdziwe zło,  
można z nim walczyć w świecie fantazji...

# Gobelin

Henry H. Neff



DEMON  
I KUŹNIA

Świat Książki

KSIĘGA III

Kiedy czai się prawdziwe zło,  
można z nim walczyć w świecie fantazji...

# Gobelin

Henry H. Neff



DEMON  
I KUŹNIA

Świat Książki

**Henry H. Neff**

**Demon i Kuźnia**

# Gobelin 3

*Przełożyła Katarzyna Roslan*

Danielle – mojemu życiu, mojej miłości

## KSIEŻYC MA TWARZ

To nie ciepłe promienie słońca obudziły Maksa McDanielsa. Nie obudziło go też łagodne beczenie jagniąt. Obudziły go miękkie stąpnięcia małych stopek stawianych ukradkowo, ale ochoczo i zbliżających się do niego coraz bardziej, kiedy leżał w dojrzewającym zbożu.

Max ani drgnął, kiedy pierwszy z jego gości wskoczył mu na pierś. Nie poruszył się, kiedy zrobił to drugi i trzeci.

Ale kiedy wdrapał się na niego z rozpaczliwym piskiem dwunasty, Max uchylił powiekę i uśmiechnął się.

Stało na nim dwanaście gąsiątek. Ich puszyste łebki kiwały się, a oczy o nieodgadnionym wyrazie lśniły niczym mokre kamyki. Najśmielsze pisklę z nagłym, triumfalnym gęganiem postąpiło naprzód i twardym dzióbkiem

zaatakowało

mostek

Maksa.

Reszta

natychmiast poszła w jego ślady i wkrótce dziobany przez tę lilipucią armię chłopak wił się i skręcał ze śmiechu.

– Auć! – krzyczał, bez przekonania usiłując zgonić z siebie gąski. – Już nie śpię!

Szczypanie nie ustawało.

– Max! – wrzasnął przenikliwy kobiecy głos.

Parę przestraszonych wron zafurkotało skrzydłami.

Tłusta biała gęś przepychała się między łodygami kukurydzy, energicznie kręcąc szyją na boki, dopóki nie znalazła się obok Maksa.

– Tu się skryłeś! – wykrzyknęła. – Tu wygrzewasz swój leniwy tyłek!

– Tyłek nie może być leniwy, Hanno – mruknął Max.

Zdjął sobie ostatnie ociągające się gąsiątko z brzucha i postawił je na ziemi, skąd od razu na nowo wszczęło atak.

– Swó-ó-ój leni-i-iwy ty-y-y-łek! – zaśpiewała gęś operowym głosem.

– Bravo! – rzekł Max, wstając.

– Dziękuję bardzo – odparła Hanna i elegancko dygnęła. Kolebiącym krokiem podeszła bliżej i złustrowała chłopaka matczynym spojrzeniem. – Max, jest trylion rzeczy do zrobienia, a ty się chowasz w zbożu i śpisz. Masz ty rozum?

– Cały miesiąc dzień w dzień pracowałem do późnej nocy – zaprotestował Max i sięgnął po dodatkowy argument w postaci przeciągniętego ziewnięcia.

– Wymówki, nic innego – odparowała Hanna. –

Schyl się ździebko, kochanie.

Max schylił się zrezygowany, a gęś wyskubała mu z koszuli grudki ziemi i źdźbła siana, po czym dziobem doprowadziła do porządku jego czarną czuprynę.

Westchnęła.

– Ty jeden ze wszystkich ludzi na tym świecie powinieneś zdawać sobie sprawę z wyjątkowości tego, co zdarzy się jutro...

– Zdaję sobie – odparł Max. – Zrobię, co do mnie należy.

– Zrobisz, co do ciebie należy, teraz – rozkazała zdecydowanym tonem. – I to już!

Gęś matrona szeroko rozpostartym skrzydłem popchnęła Maksa naprzód i gęgnęła na pisklęta, by ustawiły się w rzędzie. Posłuchały natychmiast i cała grupa ruszyła gęsiego przez pole kukurydzy. Kiedy dotarli na główną polanę Sanktuarium, podekscytowana Hanna zaczęła bić powietrze skrzydłami.

– No, wygląda to prawie po staremu, a pięknie tu jak na obrazku – powiedziała i wskazała skrzydłem odbudowaną Chatkę Rozgrzewania.

Długi, niski budynek wydawał się wygrzewać w słońcu nad niewielką laguną. Jego drewniane ściany były gładkie i czyste. Ani śladu potrzaskanego drewna czy osmalonego kamienia – nic nie wskazywało na to, że nie tak dawno były tu tylko zgliszcza.

– Hmmm – mruknął Max, w głębi duszy przekonany, że podniesiona ostatnio z gruzów Akademia Rowan nigdy nie będzie wyglądać „po staremu”. Zaledwie sześć miesięcy wcześniej armie Astarotha wtargnęły do rozległego kampusu, paląc lasy, równając z ziemią budynki i wybijając mieszkańców, i podeszły aż pod miejsce ostatecznego schronienia uchodźców z Rowan –

kryjówkę w skałach. Wielu straciło życie. To właśnie Max do końca odpierał atak wroga, prowadząc samotną walkę aż do chwili, gdy jedynym wyjściem było oddanie Księgi Thotha w ręce Demona, który pożył jej nade wszystko.

Decyzja była straszliwie bolesna, lecz Astaroth najwyraźniej dotrzymał słowa i wypełnił swoją część umowy. Olbrzymia armia rozplynęła się we mgle, a Rowan pozostawiono w spokoju – choć pobita i zniszczona, szkoła była wolna i mogła zacząć odbudowę.

A jej tempo, niezależnie od wszelkich standardów, było zawrotne. Przy pomocy zarówno magii, jak i siły mięśni obsiewano pola, wydobywano kamień, sadzono lasy i zakładano hodowle zwierząt. Szeroka równina, na której stało Sanktuarium, falowała teraz łanami zbóż, kipiała bujną zielenią sadów i rozbrzmiewała porykiwaniem pasącego się bydła. Otaczało ją zaś szerokie pasmo lasu, ciągnące się daleko aż po wzgórza.

Max głęboko odetchnął wrześniowym powietrzem, a przy okazji

uchwycił

spojrzeniem

rodzinę

psotnych

chochlików, które pomknęły w stronę żółknącego powoli dębu.

Ciekawość Maksa wzbudzało nie tylko spokojne wycofanie się Demona i częste pojawianie się płochliwych dotąd chochlików. Były i inne zmiany.

Odkąd Astaroth zawładnął Księgą, Max czuł, że świat topnieje, odmarza – jakby skostniała Ziemia głucho zatupała butami, otrzepując je ze śniegu, i wygodnie zasiadła przy kominku.

– Zaczyna się nowa era – mruknął do siebie.

– O tak, mój drogi – zgodziła się Hanna wesoło, zaganiając gąsiątka do bramy Sanktuarium. – Dokładnie tak, jak przewidywałam. Matce Naturze od dawna się to należało.

– Też to czujesz? – spytał.

Czasami zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem nadwrażliwy, jeśli chodzi o podobne sprawy. Max McDaniels był synem Sidh – ukrytej przed światem krainy, gdzie pomiędzy wzgórzami przemykali się bogowie i potwory. Jako syn ziemskiej kobiety i irlandzkiego bóstwa, Max balansował na cienkiej granicy między śmiertelnością a nieśmiertelnością. W jego żyłach krążyły rzadko już spotykane iskry Starej Magii –

pierwotne siły, dzięki którym Max mógł nagle stać się dziki i potężny niczym burza. W czasie oblężenia Rowan pokonał setki wrogów.

– Oczywiście, że to czuję – odparła Hanna, której głowa podskakiwała przy każdym kroku. – Wszystko rośnie, powietrze aż drży i trzeszczy od magii. Zupełnie jakbym czuła promień słońca na dziobie! Trzeba być dzieckiem, żeby nie wiedzieć, o co chodzi.

– Uważasz, że za tym stoi Astaroth? – spytał Max.

– Kto wie? – Gęś była niezdecydowana. – Ale założę się, że odkąd dostał w swe łapska Księżę, zmienił na świecie to i owo. Ale nie mogę powiedzieć, by mnie to drażniło, bynajmniej.

– Więc myślisz, że tak jest lepiej? – spytał Max, który poczuł się nieco przytłoczony. Po zwycięstwie Astarotha spodziewałby się raczej ognia piekielnego niż cudownego, spokojnego lata. Ten spokój budził nieufność.

– Tak, wydaje mi się, że tu u nas jest lepiej – zgodziła się Hanna. Rozpostarła skrzydła i wypięła pierś, wystawiając się na ciepło jesiennego słońca. Gąsiątka natychmiast poszły w jej ślady. – Tak czy siak, ja zrobiłam to, co do mnie należało: znalazłam cię i skierowałam twój leniwy tyłek z powrotem do Domostwa.

Więc idź kosić trawę, pielnić grządki lub robić cokolwiek innego, a gęś tymczasem nieco o siebie zadba.

– Słucham? – nie zrozumiał Max.

– Czochranie piór deluxe, szwedzki masaż dzioba i pedicure – wyjaśniła Hanna. – Driady są mi to winne.

Cudownie! Bądź więc tak dobry i zerknij od czasu do czasu na gąsięta, kiedy będziesz pracował. Wiesz, że uwielbiają, jak ich pilnujesz. Uważaj – L'il Baby Ray trochę kaszle, więc nie pozwól Honkowi na zbyt ostrą zabawę. Millie nie dostaje słodczy, bo jest strasznie niegrzeczna, a...

Kiedy Hanna zaczęła recytować litanie instrukcji specjalnych dotyczących każdego z jej drobiazgu z osobna, oczy Maksa zaszyły mgłą. Wieńcząc tyradę ostrzeżeniami o skłonnej do podrażnień skórze Millie, Hanna odeszła kolebiącym się krokiem. Po drodze powitała tonem światowej damy pracującą nieopodal grupkę uczniów. Kiedy tylko zniknęła z zasięgu wzroku, Max poczuł na skórze bolesne szczyknięcie. Gąsięta kłębiły się u jego stóp. Oczy o nieodgadnionym wyrazie wpatrzone były w jego oczy.

– Lepiej uważajcie na swoje dzioby – rzekł Max, po czym poprowadził je ku porośniętemu mchem murowi z masywnymi drewnianymi drzwiami, który oddzielał

Sanktuarium od pozostałej części Akademii Rowan.

Kiedy przeszli przez tunel utworzony przez splątane gałęzie drzew, dobiegła ich istna symfonia dźwięków.

Uderzenia młotków, zgrzyt pił, krzyki, śmiech i niezliczone inne odgłosy zlewały się w szczęśliwy gwar wspólnej krzątania. Wynurzywszy się na światło dzienne, Max zauważył setki rozbawionych uczniów i dorosłych

zajętych pracami wykończeniowymi w



stajniach – dopasowywano ostatnie deski ogrodzenia wokół ujeżdżalni, na której rżały izabelowate konie.

Owiał go ożywczy zapach świeżej farby, jesiennych liści i morskiego wiatru. Max poczuł burczenie w brzuchu i pomyślał, czyby się nie podkraść do kuchni i czegoś nie przekąsić...

Obowiązki jednak wzywały. Poprowadził gąsiątka ścieżką, która omijała stajnie oraz sad i prowadziła do Domostwa, czyli głównego budynku Rowan, a zarazem domu Maksa. Max przeciął ogród i z głęboką satysfakcją spojrzął na majestatyczne wejście do Domostwa.

Osmalone

kamienie

zachowano

i

wyczyszczono,

przywracając im nieskazitelną szarość, roztrzaskane okna wymieniono na nowe, a z wielu kominów zdobiących spadzisty łupkowy dach unosił się swojski dym.

Najprzyjemniejszym jednak widokiem był szpaler jarzębin znów wyznaczający linię podjazdu. Podczas oblężenia Wróg wyrwał je z korzeniami i połamał w drzazgi. Teraz jednak stały jak dawniej – wysokie, ukoronowane kremowo-białymi kwiatami, jakby nigdy nie dotykał ich żaden wielok, goblin czy ogr.

Dotykała ich jednakowoż wiedźma. Bellagrog Shrope była okazem masywnym – sto kilo żywego ciała w postaci kulistej, wciśnięte w sukienkę przeznaczoną dla istoty zdecydowanie drobniejszej. Skórę wiedźma miała szarą, a sukienkę brązową. Połączenie to przywodziło na myśl olbrzymie bulwiaste warzywo, wykopane z ziemi, postawione do góry nogami i w niezbyt przemyślany sposób wyposażone w zęby. Te zęby – połyskujące i szpiczaste – żuły teraz w zamyśleniu górną wargę wiedźmy przeglądającej stos jakichś papierzyk. Jedno z gąsiąt wydało z siebie przerażone piśnięcie.

Wiedźma

przestała

grzebać

w

papierach.

Wyprostowała się i głośno pociągnęła nosem. Odwracając powoli głowę, utkwiała w małych gąskach uporczywe spojrzenie krokodylich, nabiegłych krwią oczu.

– Hej, maleństwa – mruknęła, po czym przykucnęła i rozłożyła ramiona. – No, przywitajcie się ze starą ciocią Bel!

Gąsiątka przytuliły się do siebie, tworząc miękką, drżącą gromadkę. Wiedźma powtórzyła zaproszenie, lecz bez skutku.

W końcu wstała i roześmiała się chrapliwie.

– No, chyba nie jestem taka mięciutka jak ich Mama Gęś!

– Po prostu się wstydzą, Bellagrog – skłamał Max, który osobiście przychylił się raczej do zdania gąsiąt.

– Jasne, jasne – odparła Bellagrog, drapiąc się w zamyśleniu w pępek. – Tak czy siak, to nie na nie czekam, tylko na ciebie. Muszę się trzymać planu, Max, a ty mnie wstrzymujesz. Nie mogę sobie na to pozwolić, mój kochany, nie mogę...

Max zrobił krok naprzód, stanął tuż za wiedźmą i zajrzał jej przez ramię, kiedy z miną skrupulatnej księgowej przeglądała papiery.

– Dobra. Ponieważ cię lubię, dam ci wybór –

oznajmiła. – Bohater Rowan nie może parać się brudną robotą – mrugnęła i prychnęła. – Brudna robota... to dobre, Bel, to dobre! Ależ ty masz cięty dowcip, Bel. W

każdym razie, Max, jesteś potrzebny albo przy pracach kamieniarskich przy bramie, albo przy układaniu książek w Archiwum, albo przy smarowaniu muszli na ucztę olejem fosforyzującym. Co wybierasz?

– A co ze Starym Tomem? – chciał wiedzieć Max, wpatrując się w pozornie niekończącą się listę zadań do wykonania. – Czy nie mógłbym tam popracować?

Max darzył Starego Toma szczególną sympatią. Przez ostatnie miesiące bardzo mu brakowało melodyjnego bicia jego zegara. Budynek akademicki bardzo ucierpiał

podczas oblężenia. W istocie to właśnie Max był

odpowiedzialny za roztrzaskanie pradawnego dzwonu umieszczonego na szczycie wieży zegarowej. Czuł z tego powodu wyrzuty sumienia i kiedy tylko się dało, lubił

pracować przy tej majestatycznej, podniszczonej budowli.

– Aż do uroczystości nikt nie ma do Starego Toma wstępu – odparła chłodno Bellagrog.

Max odwrócił się, by zerknąć na oddalony o kilkaset metrów budynek. Wielopiętrowe rusztowania osłonięto białą tkaniną, co nadało budowli wygląd gigantycznego prezentu.

– A to dlaczego? – spytał Max.

– Informacje na temat Starego Toma będą udzielane tylko w razie konieczności – odparła wiedźma, przypatrując się swym szponom. – Nie ma takiej konieczności, po pierwsze, a po drugie, zaczynam żałować, że dałam ci tak szczodry wybór... – przewróciła kartkę, a Max zauważył w tytule słowo „kanalizacja”.

– Muszle! – zawołał. – W takim razie będę smarował

muszle.

– W porządku – odparła Bellagrog i ołówkiem wpisała jego nazwisko obok innych. – No to ruszaj. Niech ci apetyt przed jutrzejszą ucztą rośnie. Mnie już rośnie...

Bellagrog wyszczerzyła zęby w stronę gąsiąt. Max zignorował

ją

i

poprowadził

swych

małych

podopiecznych na rozległy trawnik, który pełnił rolę głównego dziedzińca Rowan. W jednej z jego części grupki

dzieciaków

polerowały kolosalne muszle

szmatkami, które co chwila zanurzały w wypełnionych jakąś oślizłą cieczą miskach. Niektóre muszle były nie większe niż piłka plażowa, inne, pradawne okazy wielkością przypominały samochód dostawczy. Żółta, oleista ciecz była zagęszczonym olejem fosforyzującym, a muszle po jej nałożeniu zaczynały emanować miękki blask niczym gigantyczne robaczki świętojańskie. Światło dzienne znacznie zmniejszało efekt, ale mimo to nad trawnikiem unosiła się poświata, zupełnie jakby promieniowała nań blaskiem złota kraina Eldorado. Max minął grupę rozchichotanych dzieciaków i schwycił

imponujących rozmiarów nautilusa.

Przez dwie godziny, a przynajmniej przez większość tego czasu, polerował muszlę. Praca była monotonna, ale satysfakcjonująca – każda gładka, lekko wygięta powierzchnia najpierw zaczynała błyszczeć w sposób naturalny, a potem, w miarę jak wsiąkał w nią olej, rozjarzała się fluorescencyjnym blaskiem. Kiedy Max pracował, małe gąski zachowywały się dość rozsądnie.

Wydawały się bardzo zadowolone, że mogą oglądać swoje blade, rozmazane odbicia w muszli. Wszystko szło jak po maśle, dopóki Honk nie wytarzał się w oleju fosforyzującym czy raczej nie zanurkował w wypełnionej nim misce. Kiedy Max szorował oburzone piskłę, padł na niego cień.

– A cóż my tu takiego mamy? – zaśmiał się znajomy głos.

Max obrócił się i ujrzał doktora Rasmussena –

zdetronizowanego szefa Warsztatu we Frankfurcie.

Bezwłosy, chudy jak szkielet naukowiec uśmiechnął się do Maksa zza wąskich okularów. Towarzyszyło mu kilkanaście osób.

– Panie i panowie – rzekł inżynier – pozwólcie, że wam przedstawię Maksa McDanielsa. Ten młody człowiek rok temu odwiedził Warsztat, lecz wzięwszy pod uwagę okoliczności, obawiam się, że niewielu z was miało okazję go poznać. Należałoby to teraz naprawić.

Max kiwał głową, kiedy padały nazwiska zebranych.

Nikt nie odpowiedział na jego powitalny gest. Wpatrywali się w niego z chłodną ciekawością. Pomijając ich niegrzeczne zachowanie, Max był zdziwiony, widząc tylu członków Warsztatu w Rowan, a tym bardziej w towarzystwie doktora Rasmussena. Warsztat był

społecznością technokratyczną – naukowym odłamem Rowan, który wiele lat wcześniej odłączył się od szkoły, a teraz

funkcjonował

jako

samowystarczalna

sieć

podziemnych miast. Aż do poprzedniego roku Jesper Rasmussen był jego dyrektorem, jednak współpracownicy wytypowali go i wysłali na usługi Astarotha.

Od tego czasu doktor znalazł schronienie w Rowan, gdzie służył specjalistyczną wiedzą techniczną. Niestety udzielał swej pomocy z wielką arogancją, wobec czego zamówienia na jego usługi stopniały. Był teraz najbardziej obrażonym dygnitarzem w Rowan.

– Kiedy przyjechali? – spytał Max, omijając wzrokiem Rasmussena, a patrząc na jego gości.

– Dziś rano – odparł doktor. – Są tu, by... wprowadzić pewne poprawki.

– Do czego? Do pańskich spraw czy do naszych? –

spytał Max, w pełni świadomy, że Warsztat nie zrobił nic, by powstrzymać napaść Astarotha na Rowan lub – w szerszej perspektywie – na cały świat. O ile Max wiedział, członkowie

Warsztatu

zaprzysięgli

posłuszeństwo

Demonowi.

Rasmussen zignorował złośliwe pytanie.

– Cooper wie, że tu są? – zapytał znowu Max.

– Tak, wie – mruknął Rasmussen. – Każdy z nich dostał wymagane upoważnienie. Dzięki jednak, że się upewniłeś – dodał zjadliwie i uśmiechnął się sztucznie do swych współpracowników.

– Czy kiedyś będzie nam dane nie cieszyć się ujmującą zuchwałością nastolatków? – dodał, po czym prychnął śmiechem, rzucił Maksowi złe spojrzenie i skinął

na nowo przybyłych, by szli za nim. Kiedy już zabierali się do odejścia, jeden z nich – kościsty mężczyzna o ponurym wyglądzie – wstrzymał się nagle.

– Co to za znak, Jesperze? – Wskazał na nadgarstek Maksa.

Doktor Rasmussen zmarszczył czoło i przyjrzał się bliżej purpurowemu tatuażowi w kształcie podniesionej dłoni.

– Hmm – zastanowił się. – Agent Cooper ma chyba taki sam...

– Nie wspominał pan o tym znaku – rzekł wyraźnie rozzłoszczony mężczyzna.

– O czym on mówi? – spytał Max, wyrrywając rękę z uchwytu Rasmussena.

Rasmussen nie odpowiedział, za to przez parę sekund wnikliwie przyglądał się tatuażowi, po czym znowu machnął ręką na kolegów. Grupa oddaliła się z wyjątkiem mężczyzny, który zauważył charakterystyczny znak. Stał

jak zamurowany i bladymi, wodnistymi oczami bez cienia pośpiechu ani skrępowania wodził po twarzy i ciele Maksa. Zupełnie jakby chłopak był szcurem doświadczalnym.

– Może po prostu robi pan zdjęcie? – rzucił Max.

Mężczyzna mrugnął, jakby pytanie wyrwało go z głębokiej zadumy. Niespiesznie podszedł bliżej, wsparł

ręce na kolanach i pochylił się tak, że jego chuda, beznamiętna twarz znalazła się zaledwie parę cali od twarzy chłopaka.

– A po cóż miałbym robić zdjęcie? – szepnął. –

Przecież mogę na ciebie patrzeć, kiedy tylko zechcę.

Mężczyzna wyprostował się, rzucił Maksowi zagadkowy uśmiech i szybkim krokiem podążył za grupą kolegów. Max, patrząc w ślad za odchodzącymi, poczuł

nagły przyływ gniewu. Gardził i Warsztatem, i jego dumnymi, zadufanymi w sobie przedstawicielami, ale mimo wszystko komentarz mężczyzny wydał mu się dziwny. Max nigdy dotąd nie widział tego człowieka i nie sądził, by miał go znowu spotkać. Kiedy się nad tym zastanawiał, nagle go olśniło, że przecież ci ludzie przyjechali z zewnątrz. Warsztat mieścił się w Europie.

Na pewno wiedzieli coś na temat sytuacji w polityce, w miastach, wiedzieli, co się dzieje na świecie poza Rowan.

– Hej! – zawołał Max, biegnąc za nimi. – Czekaście!

Złapał ich dopiero na szerokich stopniach do Domostwa. Rasmussen naglił, by szybciej wchodzić do środka, ale oni już zdążyli się zatrzymać i odwrócić, usłyszawszy zdyszane wołanie Maksa.

– Jak się mają sprawy w świecie? – spytał. – Co się dzieje w Bostonie? I w Berlinie? I w Paryżu?

Zapadła cisza. Rasmussen odchrząknął i zerknął na kolegów. Kobieta o oliwkowej karnacji w jasnoszarym ubraniu lekko potrząsnęła głową, a cienkie wargi Rasmussena zacisnęły się.

– Max, daj sobie spokój i zapomnij o Paryżu –

powiedział miękko. – Paryż o tobie zapomina...

Zanim Max zdążył zadać następne pytanie, Rasmussen odwrócił się i skierował grupę do środka.

Chłopak widział, jak przechodzą przez hall i korytarzem kierują się w stronę biura pani Richter.

Westchnął, przełożył szmatkę do drugiej ręki, skinął

na dzień dobry jakimś starszym ludziom i wrócił na pokryty muszlami trawnik. Zbliżając się do nautilusa, stwierdził, że siedzą przy nim kobieta i mężczyzna w średnim wieku.

– Zastanawialiśmy, czy w ogóle wrócisz – zaśmiał się mężczyzna.

Gąsiętom dotrzymywał towarzystwa Nigel Bristow z żoną. Pani Bristow uspokajała spanikowane maleństwa, a jasnowłosy specjalista od rekrutacji karcąco pogroził mu palcem.

– Niech cię Pan Bóg strzeże, Max, kiedy Hanna się dowie, że zostawiłeś jej gromadkę bez opieki.

– Och! – Chłopak poczerwieniał. Podeszedł do wiklinowego kosza, w którym para ułożyła gąsięta na stosie świeżo wysuszonego prania. Max szybko policzył

ich główki i odetchnął z ulgą. – Przepraszam, Nigel, nie było mnie tylko parę minut.

– Co najwyraźniej wystarczyło, żeby ten niesubordynowany maluch cały wysmarował się olejem fluorescencyjnym – westchnął mężczyzna i delikatnie podniósł Honka.

– Nie, zrobił to jeszcze przy mnie – wyjaśnił Max.

Mimo usilnych prób wyczyszczenia małego gąsiorka jego pióra wciąż lśniły, a teraz, w zapadającym zmroku, efekt był jeszcze silniejszy.

Nigel z żoną wymienili rozbawione spojrzenia.

– Warsztat jest w Rowan! – Max zmienił temat. –

Przyjechali do Rasmussena. Dlatego odszedłem. Chciałem się dowiedzieć, czy mają jakieś wieści ze świata.

– Przez najbliższe dni będzie tu się kręcić sporo gości

– odparł Nigel ze zmarszczonymi brwiami. – Myślałem, że o tym wiesz.

– Tylko mi nie mów, że i wiedźmy przyjeżdżają –

jęknął Max, ale Nigel pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Wiedźmy nie. Po tym, co się stało rok temu, wiedźmy nie mają tu wstępu. Na pewno pani Richter z tobą nie rozmawiała? Wiem, że miała taki zamiar.

– Nikt mnie o niczym nie informuje – odparł Max. –

Jak twierdzi Bellagrog, informacji udziela się tylko w razie konieczności, więc najwyraźniej nie ma konieczności, abym cokolwiek wiedział.

Nigel spojrział na Maksa z namysłem. Umieścił

Honka z powrotem w koszyku i zwrócił się do żony.

– Emily, byłabyś tak dobra i zaniósła maluchy do gniazda Hanny? Musimy chwilę pogadać.

Kiedy Max obiecał, że wkrótce odwiedzi Bristowów w ich domu, Emily ucałowała męża, dźwignęła koszyk i ruszyła, szeleszcząc spódnicą.

Wszędzie wokół ludzie zbierali narzędzia – piły, młotki i łopaty, a po terenie kampusu zaczął się rozchodzić cudowny zapach jedzenia. Max i Nigel szli w kierunku przeciwnym niż wygłodniali

robotnicy – w stronę wietrznego urwiska nad Atlantykiem. W miarę, jak się zbliżali, Max coraz wyraźniej widział samotną postać, klęczącą u stóp marmurowego posągu.

Posąg ten, podobnie jak inne niezliczone ozdoby, a nawet całe budynki, był na terenie kampusu nowością.

Max, pochłonięty przez ostatnie miesiące wieloma zadaniami i obowiązkami, nie miał dotąd okazji mu się przyjrzeć. Była to figura mężczyzny, wysokiego i brodatego, stojąca na piedestale z grubo ciosanego czarnego granitu. Mimo majestatu chłodnego kamienia i budzących respekt długich szat uczonego, jakie nosiła zamknięta w kamieniu postać, sprawiała ona wrażenie dzikiej i nieokrzesej. Włosy były zmierzwione, broda skołtuniona, a mocne ręce wydawały się raczej rozdzierać księgę, niż tulić ją w ramionach. Postać przypominała Maksowi Posejdona – wielkiego i dzikiego jak morze.

– Jest przepiękny, Greto – rzekł Nigel, zatrzymując się, by pochwalić pracę. Klęcząca kobieta nie odwróciła się – była całkowicie skupiona na brązowej tabliczce przytwierdzonej do cokołu.

Po granatowych szatach Max poznał, że była średniej rangi mistyczką. Ręce zdradzały jej wiek, ale tabliczka z brązu nie zdradzała nic. Była pusta.

– To ty, Nigel? – wychrypiała mistyczka.

– Tak – odparł – ale nie chcę ci przeszkadzać.

– Daj spokój – odparła, zerkając na notatki – już prawie skończyłam...

Następnie rozcapierzyła palce dłoni i wyszeptała błagalne słowa transformacji. Brąz zaczął się wybrzuszać i bąblować, a kiedy ostatnie promienie słońca zatonęły na zachodzie, z metalu wynurzyły się zgrabne litery. Max pochylił się bliżej i ujrzał znajome nazwisko.

ELIAS BRAM

1598-1649

Mistyczka mruknęła coś do siebie, powoli wstała z klęczek, po czym wspięła się na palce, by poklepać figurę po stopie. Następnie zebrała swoje rzeczy, skinęła Nigelowi i Maksowi głową i stanęła obok nich, by podziwiać całość swego wspaniałego dzieła. Zaśmiała się znienacka, dając radosny wyraz artystycznej satysfakcji.

– Diabelnie przystojny mi wyszedł, co? – rzuciła i puściła do nich oczko, po czym życzyła im dobrej nocy i, utykając, oddaliła się ścieżką w stronę Domostwa, wymachując latarnią niczym mała dziewczynka.

Kiedy odeszła, Nigel rzucił Maksowi łobuzerskie spojrzenie.

– Kto pierwszy na górze?! – wykrzyknął i rzucił się w kierunku figury, by natychmiast zacząć wdrapywać się na jej masywną podstawę.



Max nie przyłączył się do zabawy. Zamiast tego obserwował. Podziwiał determinację Nigela, lecz widowisko było żenujące – pełne pożałowania godnych podskoków, sapania i przekleństw. Było też parę zapierających dech w piersi momentów, kiedy chuderlawe ramiona Nigela zawodziły go w kluczowych chwilach.

Wreszcie Nigel przywarł po prostu do granitu, od czasu do czasu kopiąc nogami niczym zdychająca żaba.

– Pomóc ci? – zaoferował Max.

– Jeśli nalegasz – wydyszał Nigel.

Max splótł palce i podsadził go. Parę sekund później siedzieli już obaj na cokole, oparci plecami o kamienne szaty Brama. Nigel, ciężko dysząc, wydobyl chustkę i otarł nią czoło.

– Uff – odetchnął głęboko, ze wzrokiem utkwionym w spokojne morze. – Było trochę trudniej, niż się spodziewałem, ale oto jesteśmy, i do tego ja byłem pierwszy! To fakt, że jesteś młodszy i masz więcej energii, Max, ale wieku i sprytu tym nie przebijesz.

– Błagam – jęknął Max, przewracając oczami. –

Nigel, ale czy my w ogóle powinniśmy siedzieć na tej rzeźbie? Przecież Greta dopiero ją skończyła.

– No to co? – prychnął Nigel, składając chusteczkę. –

Strasznie mnie rozczarowujesz, Max. Każdy uczeń wie, że pomniki są stworzone do tego, żeby na nich siedzieć. Jeśli my skazani jesteśmy na to, żeby codziennie patrzeć na ich okropne, stare twarze gapiące się na nas z góry, to przynajmniej mogą rzucać nam cień albo służyć za wygodne siedzisko.

Max wyszczerzył zęby.

– To co, może jeszcze wymalujemy na nim swoje imiona? – spytał i obrócił się, by się przyjrzeć nieskalanemu niczym granitowi.

– Szlachetny impuls – ocenił Nigel. – Ale pozostajmy na razie przy siedzeniu.

Max usadowił się wygodniej na zimnym kamieniu i objął się ramionami, by się rozgrzać. Wschodził księżyc.

Była już prawie pełnia – blade światło oświetlało samotną mewę unoszącą się na fali. Nigel, jakby odgadując myśli Maksa, przemówił swoim ciepłym tenorem:

*Księżyc z tarczą krągłą jak nasz ścienny zegar, Świeci na złodzieja, który przez płot zwiewa, Na port, na ulice, na pola uśpione*

*I na ptaki w gałęzi kołyskę wtulone.*

Robert Louis Stevenson, *Czarodziejski ogród wierszy* przeł. Joanna Puchalska

– Już to gdzieś słyszałem – rzekł Max. – Ale nie pamiętam, gdzie i kiedy.

– To wiersz Roberta Louisa Stevensona dla dzieci –

odparł Nigel. – Jeden z moich ulubionych.

– Mama kiedyś mi go czytała – powiedział Max. –

Albo przynajmniej tak mi się wydaje. – Powrócił myślami do wspomnień ze starego domu w Chicago, do tych spokojnych wieczorów, kiedy leżał zakopany w pościeli.

Wydawały mu się odległe o całą wieczność.

– Tak, i ja będę go czytał niejednemu dziecku –

westchnął Nigel.

– Co masz na myśli? – spytał Max. Nigel i Emily Bristowowie nie mieli dzieci.

– Życiową zmianę, Max – odparł Nigel. – Z

przykrością muszę ci wyznać, że zakończyłem pracę w rekrutacji. Teraz będę nauczycielem. Biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, wygląda na to, że uchodźcy raczej zagoszczą tu na stałe. I dlatego razem z Emily zgłosiliśmy się, by prowadzić grupę przedszkolną.

– Ale jeśli ty zajmiesz się przedszkolem, to kto będzie sprawdzał potencjalnych kandydatów? – głośno myślał Max.

Nigel uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały smutne.

– Nikt, Max – odparł. – Nikt nie będzie rekrutował

ani testował kandydatów. Te dni już minęły. Przegraliśmy wojnę i musimy żyć według zasad Astarotha.

Max milczał zmieszany. Wiedział, oczywiście, że przegrali. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż on. Ale dotąd nie brał pod uwagę wszystkich konsekwencji. Rowan odbudowywała się energicznie przez ostatnie pół roku i Max myślał – i oczekiwał – że kiedy tylko będą w stanie, na nowo podejmą walkę przeciwko Astarothowi.

– A co to za zasady? – spytał cicho.

– O, ja znam tylko te, które dotyczą osobiście mnie –

odpowiedział Nigel. – Żadnej rekrutacji, zakaz opuszczania

Rowan

bez

pozwolenia

do

czasu

ostatecznego potwierdzenia granic. Dlatego dziwię się, że nikt z tobą dotąd nie rozmawiał...

Nigel sprawiał wrażenie podenerwowanego – stukał

palcami w kolano i co chwila spoglądał na zegarek.

– Nie wyobrażam sobie, przez co musiałeś przejść wiosną – powiedział w końcu. – Chłopak w twoim wieku zmuszony do samotnej walki. Tylko dzięki tobie Rowan miała szansę się odbudować. Mamy wobec ciebie dług, którego nigdy nie uda się spłacić.

– Nigel – zaśmiał się Max. – Daj już z tym spokój!

Powiedz lepiej, do czego zmierzasz.

Nigel strzepnął z irytacją jakiegoś owada, który na nim przysiadł, i wziął głęboki oddech. Mówił powoli i dobitnie:

– Max, jutro przybędzie tu delegacja demonów...

– Co?! – wykrzyknął Max, podnosząc się gwałtownie.

– Daj mi skończyć – poprosił Nigel spokojnym, lecz napiętym tonem. – Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Max, kocham cię jak własnego syna. I wiem, że łatwo wpadasz w gniew. Jutro nie będzie na to miejsca.

Max rzucił Nigelowi złowrogie spojrzenie, lecz by nie dać mu dowodu na to, że ma rację, powoli opanował

wzburzenie.

Nigel z uznaniem kiwnął głową i mówił dalej:

– Demony przybędą jutro pod przywództwem jednego z zastępców Astarotha, Prusiasa. Przybędą na znak dobrej woli...

Max nie zdołał powstrzymać szyderczego śmiechu.

– Na znak dobrej woli – powtórzył Nigel, ignorując przejaw jego niezadowolenia. – I po to, by

sformalizować warunki naszej ugody. Zobowiązali się traktować nas z szacunkiem. My ich również. Rozumiesz mnie, Max? Na tym polega zawieranie pokoju.

Nastąpiła cisza. Siedzieli tak w milczeniu, a z dołu, z plaży, dobiegał plusk fal bijących o brzeg. Max był zły.

Pomysł goszczenia demonów wydawał mu się godny potępienia. Równocześnie jednak był ciekawy. Wyglądało na to, że dzień jutrzejszy przyniesie odpowiedzi na wiele z dręczących go pytań. Zastanawiał się nad tym, dopóki Nigel nie wymamrotał czegoś, czego Max nie dosłyszał.

– Co mówiłeś? – spytał.

– Że będziemy mieli z Emily dziecko – powtórzył

Nigel. Tym razem mówił wolniej, lecz słowa mimo wszystko płynęły. – W marcu. Dowiadujesz się jako jeden z pierwszych.

– Gratuluję – odparł Max, który nie bardzo wiedział, co jeszcze może powiedzieć. Zmiana tematu rozmowy była bardzo nieoczekiwana.

– Fakt, to zmienia spojrzenie na życie i ustawia priorytety – rzekł Nigel. – Jak każdy rodzic, pragnę, aby moja dziecina miała najlepsze szanse, by mogła żyć na własny sposób i przetrwać w zmieniającym się świecie.

– To będzie dziewczynka? – zapytał Max.

– Jeszcze oczywiście nie wiemy – uśmiechnął się Nigel. – Ale Emily ma przecucie. Wyobrażasz sobie dziecko w naszym domu, Max? To radość nie do opisania! Emily jest przeszczeniwa, a ja... cóż, nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę się tak czuł.

Prośba Nigela zadziałała na Maksa silniej, niż zdołałaby to zrobić jakakolwiek przemowa pani Richter, zaś pierwsze wrażenie, jakie chłopak odniósł, słuchając Nigela, okazało się mylne – nie był to tchórzowski apel o potulne poddanie się woli demona, ale instynkt opiekuńczy przyszłego ojca.

– Będę uważał, co robię – obiecał Max.

– Dzięki – odparł Nigel i wziął głęboki oddech.

Poklepał Maksa po rękę, po czym jak gdyby nigdy nic spojrział poza skraj cokołu. – Wiesz, w zasadzie nigdy nie lubiłem wysokości...

– Nigel, znajdujemy się niecałe dwa metry nad ziemią.

– No tak, ale obok jest przepaść – argumentował

tamten, niecierpliwym gestem wskazując pobliski klif. –

Można się potknąć i stoczyć z urwiska. Nikt by nawet nie znalazł ciała.

Max pomyślał, że trzeba by się toczyć po trawniku z niezłą determinacją, by pokonać siedmiometrową odległość do skraju klifu. Zeskoczył z pomnika, odwrócił się i podał przyjacielowi rękę.

– Wiem, że nie trzeba, wiem – rzekł.

– Oczywiście, że nie – pociągnął nosem Nigel. –

Jesteś po prostu wyjątkowo uprzejmy.

– Jak udało ci się pozaliczać zajęcia z wychowania fizycznego? – spytał Max.

– Moc dobrze zaplanowanej łapówki jest nie do przecenienia.

Kiedy Nigel stał już bezpiecznie na ziemi, okrążyli pomnik i jeszcze raz wznieśli wzrok ku Domostwu.

Wszystkie okna były rzęsiście oświetlone, co, biorąc pod uwagę fakt, że zaledwie parę miesięcy wcześniej tliły się tu zgliszcza, było widokiem naprawdę krzepiącym.

– Ach – rzekł Nigel – kolacja wzywa, a zdziwiłbyś się, jak dziwacznie odżywia się teraz Emily. Kotlety wieprzowe i czekolada, lody z musztardą. Można by śmiało pomyśleć, że urodzi nam się wiedźma.

– Idź już w takim razie – powiedział Max. – Ja jeszcze trochę tu posiedzę.

– Na pewno? – spytał Nigel. – „Studnia bez dna”

rezygnuje z posiłku?

– Zaraz się pojawię – obiecał Max. – Poproś moją tatę, żeby coś dla mnie zostawił.

– Jasne – zgodził się Nigel. – Cieszę się, że pogadaliśmy, Max.

Max skinął głową i pomachał mu na pożegnanie.

Kiedy kroki Nigela ucichły, chłopak zdał sobie sprawę, że w kampusie panują cisza i spokój. Z wyjątkową intensywnością dochodziły do niego szum fal, skrzypienie drzew i szelest suchych liści na brukowanej ścieżce.

Zerknął na Starego Toma – na jego spadzisty dach, ściany i wciąż spowitą tajemnicą wieżę. Westchnął, wbił ręce głęboko do kieszeni i jeszcze raz odwrócił się w stronę kamiennej postaci.

Wyrzeźbiona w granicie twarz Brama miała ostry wyraz i zdecydowany zarys szczęk. Maksowi

przyszło do głowy, że tylko z grubsza zna historię ostatniego dominanta, który poświęcił życie podczas oblężenia Solas.

Nauczyciele Rowan wyrażali się o Bramie z taką nabożnością, że Max zawsze postrzegał go nie jako człowieka, ale jako ideę, równie abstrakcyjnie dobrotliwą jak Wróżka Zębuszka czy Święty Mikołaj.

Górująca nad nim postać nie była jednak dobrotliwa.

Była groźna. Max wiedział, że jego współlokator, David Menlo, uważał Brama za największego czarownika w historii ludzkości. Mimo że Bram miał potężną moc, nie uchronił się przed Astarothem. Po upadku Solas Demon wykorzystał resztki swej energii, pochłaniając go.

Max poczuł nagle nieoczekiwany przyływ uczuć dla tej surowej postaci. Uderzył w cokół pięścią i podniósł

wzrok na wznoszącą się nad nim figurę.

– Założę się, że ty nie powitałbyś z radością Demona w naszym domu – szepnął.

Rzeźba ze stoickim spokojem wpatrywała się w dal.

Max westchnął. Granit lśnił chłodnym blaskiem w czystym wieczornym powietrzu. Max, kiwając się na piętach, zagapił się na księżyc, który stał już wysoko na niebie. Wydawało się, że zawisł równo nad kampusem, by oświetlać swym reflektorem Rowan z całą jej cudaczną krzątaniną.

– Księżyc naprawdę ma twarz.

## PUSTE ŁÓŻKO

Kiedy Max wrócił do Domostwa, było już grubo po północy. Nie szedł jednak przez sad samotnie – miał do towarzystwa lymrilla. W czasie gdy Max rozmyślał o demonach, jego podopieczny buszował gdzieś po mokrych od rosy krzakach, rozgarniając je swym szerokim pyszczkiem.

Sposób poruszania się lymrilla po płaskim terenie był

dość nietypowy – przypominał kolebiące się człapanie borsuka. Mocne tylne łapy i potężne pazury wskazywały, że stworzenie gnieździ się w konarach drzew lub w skalistych jamach. Choć ludzkim głosem, jak wielu innych podopiecznych, nie mówiło, było inteligentne i komunikowało się za pomocą osobliwego kwilenia, ruchów puszystego ogona i miedzianych łusek. Na jego grzbiecie jeżył się ostry grzebień – służył nie tylko jako straszliwe narzędzie obrony, lecz także wskazywał

nastrój. W tej chwili łuski nie leżały gładko, tworząc połyskliwą grubą warstwę, lecz uniosły się na znak wzburzenia i protestu. Max widział ich ostre zakończenia połyskujące w świetle latarni. Zwierzę zakreśliło się niecierpliwie.

– Sam chciałeś iść, Nick, więc teraz nie jęcz – rzekł

Max.

Nick zakwilił i zaczął rozkopywać pazurami pobliską grządkę.

– Spokój! – syknął Max i osłonił się ramieniem przed gradem grudek ziemi i części roślin. – Przecież są dopiero co posadzone!

Lymrill jednak młócił ziemię, tak że szczątki roślin fruwały w powietrzu, dopóki Max nie wyciągnął z kieszeni kawałka metalowego pręta.

– To już ostatni – rzekł, podając podopiecznemu małą sztabkę na płasko ułożonej dłoni.

Lymrill

w

mgnieniu

oka

zaprzestał

swjej

niszczycielskiej działalności i zbliżył się, by delikatnie jak spaniel wziąć smakołyk z dłoni pana.

Jego wydrza mordka przybrała bardziej pogodny wyraz, a wąsiki aż drżały z przyjemności, kiedy Nick sadowił się na tylnych łapach i przętykał przekąskę.

Obserwowanie lymrilla podczas jedzenia było nie lada przyjemnością. O ile Nick z nieprzejednaną zajadłością polował na szkodniki, o tyle zdecydowanie większą delikatność przejawiał wobec minerałów i metali, których potrzebował jego niepowtarzalny metabolizm.

Przedmioty metalowe połykał w całości, bez przeżuwania

– nawet tak duże jak stary i zapewne dość cenny metalowy pociąg zabawka. W jaki sposób Nick był w stanie je połykać, a co dopiero trawić, pozostawało tajemnicą. Nie było jednak wątpliwości, że służyły one jako budulec jego zębów, pazurów i łusek. Te części ciała zwierzę miało bowiem twardsze niż stal i to z ich powodu dorosły lymrill dysponował siłą naprawdę potężną.

Właściwości te miały jednak i ciemną stronę. Przez wiele wieków naukowcy i alchemicy, pragnąc poznać skład skóry i łusek lymrillów, czyhali na ich życie i doprowadzili gatunek do wyginiecia. Z tego co Max wiedział, jego Nick był ostatnim osobnikiem swego gatunku – i dlatego właśnie chłopak pozwalał sobie go rozpieszczać.

Dawniej podopieczni Rowan – mistyczne stworzenia powierzone opiece uczniów – zamieszkiwały Sanktuarium i mogły je opuszczać tylko od wielkiego dzwonu. Jednak od czasów oblężenia polityka ta została złagodzona. Teraz napotkanie w ogrodach Domostwa drzemiącego fauna czy gburowatego zajęcia przy stole w Bibliotece Bacona nie było już niczym niezwykłym. Jeśli zaś chodzi o Nicka, dotyczyło to również łóżka Maksa i zaspokajało wrodzoną potrzebę lymrilla, by włązić wszędzie tam, gdzie nie trzeba. Łóżko było wygodne, a lymrill zdecydowanie przedkładał miękki materac i puszystą kołdrę nad swą naturalną kryjówkę na drzewie. Nick, znalazłszy się w łóżku, rył w pościeli tunele, dopóki nie przedostał się w nogi łóżka i tam nie zapadł w sen.

Nick uwielbiał spać w tym łóżku, tak samo zresztą jak Max. Obaj po cichutku weszli więc do Domostwa, pokonali mroczny hol i po krętych schodach przeszli do części sypialnej. Kiedy dotarli do pokoju numer 318, Max otworzył drzwi i posyкуюc na lymrilla, by był cicho, zagonił go do środka.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie się wysiłał.

David Menlo bowiem nie spał. Współlokator Maksa znajdował się w niższej części ogromnego, zwieńczonego kopułą obserwatorium – jego jasna czupryna była ledwo widoczna wśród piętrzących się książek, próbek i innych przyrządów ezoterycznych.

Max zerknął w górę przez szklaną kopułę i zauważył, że widok się zmienił – odsłoniła się południowa półkula nocnego nieba. Odległa piękna Hydra mrugała spoza krągłej szyby. Nici złotej poświaty łączyły poszczególne gwiazdy gwiazdozbioru po to, by za chwilę zblednąć i pojawić się ponownie w gwiazdozbiorze Lwa.

Max kochał obserwatorium i bijące od niego spokojne piękno, lecz nie łudził się, że zostało magicznie stworzone dla jego przyjemności. Nie było go nawet przy tym, jak pokój został



odbudowany po obłączeniu. Pewnego letniego dnia, kiedy Max zajęty był przy pracach stolarskich w holu, wsadził głowę do pokoju, który przedstawiał dotąd widok nędzy i rozpacz – i zastał

David, siedzącego sobie w najlepsze przy kominku i popijającego kawę ze swego ulubionego termosu. Pokój został zrekonstruowany co do najmniejszego detalu – od ośmiokątnego stołu pośrodku po lśniące fotele i sownie zaopatrzoną biblioteczkę.

Max nie miał żalu, że David na własną rękę przywrócił ich pokój do dawnego wyglądu, ponieważ kolega korzystał z niego i z jego osobliwych właściwości w sposób zupełnie Maksowi obcy. Wielokrotnie Max budził się w środku nocy, by zastać Davida stojącego na stole pod kopułą i śledzącego jej zmieniający się obraz, zupełnie jakby to była układanka lub skrywający straszliwe sekrety szyfr.

Kiedy Max zszedł na niższy poziom, stwierdził, że David nie zajmuje się sprawami niebios, lecz gotującą się w naczyniu cieczą. Czoło miał zmarszczone i wydawał się całkowicie skoncentrowany na miksturze, z której unosiła się cienka smużka białego dymu. Chłopiec w skupieniu wyjmował z niewielkiego drewnianego pudełka czerwone płatki kwiatów.

Gwałtowny jaskrawy błysk sprawił, że Max krzyknął, a Nick czmychnął na schody. Z probówki wydobywały się teraz gęste kłęby purpurowego dymu i rozchodziły po całym pokoju, rozsiewając przeraźliwy odór, od którego Maksowi zrobiło się niedobrze.

– Fu! – krzyknął, chwycił atlas i zaczął nim wymachiwać, by rozwiać dym. – David, co ty wyprawiasz?

– Sprawdzam coś – mruknął roztargniony chłopiec, który teraz gryzmolił coś w notesie. – Późno już.

Myślałem, że zostałeś na noc u taty.

Podniósł wzrok znad notesu i zobaczył Nicka spoglądającego w dół ze szczytu schodów i uderzającego się łapą w nos. Odłożył długopis i machnął ręką. Dym zamienił się w parę, która posłusznie uleciała do kominka i tamtędy ulotniła się z pokoju.

Max wziął Nicka na rękę i podszedł do stołu, ostrożnie omijając niezliczone manuskrypty i zwoje dawno zapomnianych ksiąg czarów, które David ciągle skądś znosił. Posadził Nicka na skórzanym fotelu, po czym pochylił się nad miksturą Davida.

W probówce pieniała się różowa substancja, która co chwila wzbierała i rozchlapywała się na ściankach naczynia. Małeńkie złociste bąbelki unosiły się podwójnymi i potrójnymi spiralami, po czym uwalniały się z dźwiękiem przywodzącym na myśl westchnienie.

– Co to takiego? – spytał Max, nachylając się bliżej.

– Ee tam, taki mały eksperymentek – odparł David, po czym zatkał probówkę i zdjął ją z palnika, a następnie ustawił obok innych o podobnej zawartości –

wypełnionych mętną cieczą o barwie od szkarłatnej po ciemnośliwkową.

– A więc to tajemnica? – drażnił się Max.

– Można tak powiedzieć – westchnął David. – To strasznie męczące, cały dzień komuś się tłumaczyć. Pani Richter,

Kraken,

Boon

i

każdemu

innemu

samozwańczemu mistykowi w tej szkole. Ciągłe każdy mnie o coś pyta. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że uciekam tu przed pytaniami, Max. Potrzebuję tego.

Max zerknął na przyjaciela – David nie miał w zwyczaju go zbywać. To było po prostu nie w jego stylu.

Po jego głosie znać było, że kierują nim emocje – pod prośbą o zrozumienie zmęczonego człowieka wrzało zniecierpliwienie, którego nie dało się nie zauważyć.

– Spokojna głowa – odpowiedział Max. – Nie będę nawet pytał, co to takiego...

Wskazał na niewielką kupkę płatków kwiatów na pogniecionym kawałku szmatki. Nigdy przedtem nie widział takich kwiatów – ani na terenie kampusu, ani nawet w żadnym podręczniku. Krwistoczerwone płatki były poprzecinane złocistymi żyłkami wychodzącymi z czarnego słupka. Max wyciągnął rękę, by ich dotknąć.

David skoczył na równe nogi.

– Nie rusz! – krzyknął i gwałtownie odsunął kwiaty.

Z ciała Davida buchnęła fala gorąca, zupełnie, jakby ktoś otworzył drzwiczki pieca. Papiery na stole uniosły się w powietrze i z pozawijanymi od żaru rogami opadły powoli na podłogę.

Max zamarł. Czuł się tak, jakby został przyłapany na podjadaniu ciasteczek ze słoja. Przez chwilę po prostu nie odrywał wzroku od kolegi. David wyglądał na równie zszokowanego. Oparł się ciężko o stół i unikał wzroku Maksa. Równowagę odzyskał dopiero po kilkunastu sekundach. Ostrożnymi, precyzyjnymi ruchami złożył

szmatkę, zawijając w nią czerwone płatki, po czym umieścił zawiniątko w drewnianej skrzyneczce. Zamknął

ją na zasuwkę i chrząknął.

– Max, pracuję nad paroma rzeczami, a niektóre z nich są naprawdę niebezpieczne. Proszę, niczego nie dotykaj, chyba że ci pozwolę.

Max wyprostował się i spojrzał na kolegę spode łba.

– Nie jestem dzieckiem, David. I nie zapominaj, że ja też tu mieszkam.

Twarz Davida złagodniała. Spojrzał na Maksa przeproszającym wzrokiem.

– Nie, nie, nie o to mi chodziło – powiedział potulnie.

– Oczywiście, że to twój pokój. Nasz. – Stropiony, zbierał

naręcza papierzyk, wykresów i książek. Zapadła niezręczna cisza, przzerwana dopiero, gdy David wsunął

ostatnią kartkę z notatkami w sfatygowany tom pod tytułem *Poszukiwanie Lazarusa*.

– Nie gniewaj się – wymamrotał. – Wiem, jak to musiało zabrzmieć.

– W porządku – odparł Max, usiłując otrząsnąć się z niemilego wrażenia. Dołożył do ognia i przysiadł obok Nicka na fotelu.

Probówki i rurki zostały umieszczone w wyściełanej aksamitem kasetce i wraz z płatkami kwiatów w pudełku ukryte w zaczarowanym plecaku Davida. Max głąaskał

łuski Nicka i próbował przypomnieć sobie i uporządkować nękające go pytania.

– Ach – westchnął David, zasiadając w drugim fotelu i zarzucając nogi na otomanę. – Mam dla ciebie wiadomości. Były wsunięte pod drzwi.

Z kieszeni swetra wyciągnął parę zmiętych karteluszków.

– Od kogo? – spytał Max zmęczonym głosem.

– Hmmm – mruknął David, przyglądając się papeterii. – Sądzę, że od Julie, Julie, Julie i... tak, jeszcze raz od Julie. Chyba że to Connor zaczął ozdabiać swoje liściki różowymi serduszkami. Chcesz, żebym ci przeczytał?

– Nie!

David wręczył mu karteczki, a Max przeczytał je i oblał się rumieńcem. W tym czasie jego współlokator, szczerząc zęby w uśmiechu, dokładał do ognia.

– I co tam Julie pisze? – spytał.

– Nic – odparł pośpiesznie Max. – No, chce się z nami spotkać jutro rano na śniadaniu.

– Tak, jestem pewien, że zwłaszcza ja jestem nieodłącznym elementem jej planów – łagodnie rzekł

David. – Ale niestety nie będę mógł się do was przyłączyć.

– A co masz do roboty?

David nie odpowiedział. Zerknął tylko na leżące na stole rysunki. Max stwierdził, że były to różnorakie kręgi przyzywania – skomplikowane, potężne diagramy używane do przywoływania złych duchów. Max widział, jak David używał ich poprzednio, i zdawał sobie sprawę, jak bardzo są niebezpieczne.

– David, ty wzywałeś... coś?

Bładoniebieskie oczy Davida błysnęły i spojrzały w oczy kolegi.

– Max, nie musisz się o mnie martwić – rzekł chłopak chłodno.

– Ale demony naprawdę są niebezpieczne –

powiedział Max ostrzegawczo.

David zerknął na niego, jakby lekko rozbawiony.

Podwinął rękaw swetra, odsłaniając kikut w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się jego prawa dłoń. Pozbawił go jej Astaroth – pochłonął ją – by ukarać Davida, w czasie ich pierwszego spotkania. David ułożył to, co pozostało z jego kończyny, na podłokietniku i westchnął, przyglądając się delikatnej, pomarszczonej skórze w miejscu rany.

– Bardzo dobrze wiem, jak niebezpieczne mogą być demony. Myślę również, że kompletnie ich nie rozumiemy – westchnął.

– Ach tak? – rzekł Max i przesunął ciężkie cielsko Nicka na swoje drugie udo. – A więc fakt, że w ubiegłym roku owładnięty przez demona Connor omal cię nie zabił, wynika po prostu z niezrozumienia?

– Nie bądź śmieszny – odparł David i machnął ręką, jakby chciał odgonić sarkazm. – Uważam tylko, że uznawanie demonów wyłącznie za złe duchy jest błędem naszych czasów i prowadzi donikąd.

– Ale przecież mówiłeś, że nawet chochliki to demony i...

– Wiem, co mówiłem – przerwał David z irytacją. –

Nie chodziło mi o to, żeby je „zdemonizować”, tylko żeby ostrzec Connora, że nawet imp może posiadać moc, której powinniśmy być świadomi. Chyba zdajesz sobie sprawę, że samo określenie „demonizować” dobrze oddaje mój punkt widzenia.

– Czyli?

– Ponieważ demony różnią się od nas, ludzi, zawsze mieliśmy tendencję, by klasyfikować je jako istoty, które należy potępiać, bać się ich, unikać albo... czcić – rzekł.

Odchrząknął, a potem tubalnym, statecznym głosem rzymskiego oratora powiedział: – Wynurzą się z morza, ze skórą z żelaza i kończynami bestii, a my powitamy je jak powracających bogów...

– Demony naprawdę mają stalową skórę? – spytał

Max, pochylając się naprzód.

– Nie – uśmiechnął się David. – Aztekowie opisywali tak Cortesa i konkwistadorów, którzy przybyli do Tenochtitlan. Zbroje Hiszpanów wzięli za ich skórę, a konie, których Aztekowie nigdy nie widzieli, za dolną część ciała żołnierzy.

Max zamrugał.

– David, co mają z tym wspólnego konkwistadorzy?

– Zanim wszystkie nasze obawy przypiszemy demonom, które zamieszkują nasz świat, sądzę, że należałoby postarać się je zrozumieć – rzekł David, siadając głębiej w fotelu i upijając łyceczek z termosu. –

Chodzi o obiektywne zrozumienie, bez ślepych uprzedzeń i prymitywnych stereotypów.

Max zaczął się spierać, lecz David wydawał się go nie słyszeć. Zawsze, kiedy popadał w zamyślenie, jego miękkie, delikatne rysy przybierały tak kontemplacyjny wyraz, że chłopiec sprawiał wrażenie osoby znacznie starszej.

– Życie to współzawodnictwo – powiedział łagodnie.

– Fakt, czy uważa się je za darwinowską walkę o środki do przetrwania, czy za duchowy poligon, w niewielkim stopniu zmienia nasze spojrzenie na ten problem. Faktem jest, że inny gatunek – inteligentny i bardzo potężny –

przejął kontrolę nad światem. Mamy wybór: możemy z góry uznać jego przedstawicieli za złe duchy, niebieskich wędrowców lub też przyjąć, że oto jesteśmy świadkami powtórnego

wypierania

kromaniończyka

przez

neandertalczyka.

– Będiesz z nimi walczył? – zapytał Max.

David utkwiał w koledze spojrzenie, z którego nie dało się odczytać odpowiedzi na pytanie. Po chwili zsunął się z krzesła, zarzucił sobie plecak na ramię i wszedł na schody.

– Dobranoc, Max – rzekł zmęczonym tonem. –

Pamiętaj, żeby dotrzymać obietnicy złożonej Nigelowi.

Jutro jest bardzo ważny dzień.

Max wydusił z siebie „dobranoc” i usłyszał znajomy odgłos przesuwanej zasłony wokół łóżka Davida. Ziewnął

szeroko, wziął Nicka na ręce i zaniósł ciężkie zwierzę do własnego łóżka.

Dopiero kiedy Nick chrapał już zakopany w pościeli, Max, zapadając w sen, uświadomił sobie, jakimi słowami pożegnał go David. „Pamiętaj, żeby dotrzymać obietnicy złożonej Nigelowi”.

Przecież Max nie wspominał mu o swej obietnicy.

Wyśliznąwszy się cichutko z łóżka, podkraść się do mosiężnej poręczy i zapatrzył w drugi koniec pokoju, gdzie ciemne zasłony skrywały łóżko Davida. Podejrzenia napływały i odpływały niczym zimna fala oceanu. Max niechętnie spojrzał na zabazgrane pajęczym pismem Davida papiery, na których ten zanotował coś na temat przyzywania demonów.

Max miał już doświadczenie, jeśli chodzi o zawładnięcie przez demony. Jego najlepszy kumpel, Connor Lynch, poddał się władzy demona rok wcześniej.

Max wiedział, że zwyczajny chochlik nie jest w stanie wziąć we władanie czarodzieja równie potężnego i uczonego jak David. Z drugiej strony wiedział, że David nie zaprzętałby sobie głowy byle jakim chochlikiem.

David zainteresowany był przede wszystkim Duchami Niebezpiecznymi – pradawnymi istotami o niezwykłej potędze, z których wywodziła się linia królewska ich gatunku.

Taką istotą był Astaroth. Może również Prusias...

Jesteś członkiem Czerwonego Bractwa, przypomniał

sobie Max. Obiecałeś Cooperowi chronić Davida przed wszelkim niebezpieczeństwem. To odpowiedzialność, którą wzięłeś na siebie pod przysięgą.

Max

przypomniał

sobie

podjęte

niegdyś

zobowiązanie i policzki zapłonęły mu ze wstydu. Podrapał

się w tatuaż na nadgarstku i zerknął przez pokój na łóżko Davida.

Za

tymi

zasłonami

spała

jedna

z

najłagodniejszych i najżyczliwszych osób, jakie Max w życiu poznał. Nie będzie chronił Davida z powodu przysięgi czy zobowiązania. Zaproponuje mu pomoc po prostu dlatego, że David jest jego przyjacielem.

Max poczłapał wygiętym w łuk przejściem ku górnemu poziomowi. Pokój wydawał się chłodny.

Jedynym dźwiękiem było delikatne tykanie zegarka Davida. Kiedy Max znalazł się tuż przy zasłonie, zamarł

na chwilę i uświadomił sobie, że serce bije mu jak oszalałe. W ciągu paru straszliwych sekund wyobraził

sobie, że za zasłoną nie zobaczy śpiącej postaci kolegi, lecz białą twarz Astarotha uśmiechającą się do niego w ciemnościach. Włoski na karku stanęły mu dęba. Siłą woli zmusił się do rozsunięcia zasłon.

– Przepraszam, że cię budzę, ale – powiedział i przerwał, by wziąć oddech.

Z ciemności nie patrzyła na niego twarz demona. Nie było również Davida. Łóżko było puste, poduszki zimne, a wzoru ze srebrnych księżyców wyhaftowanych na kocu nie zaburzała ani jedna fałdka.

## WIEDZMIĄTKA

Następnego ranka ziewający Max grzebał bez przekonania w misce z tężejącą z sekundy na sekundę owsianką. W nocy nie udało mu się wypocząć – zamiast spać, leżał i nasłuchiwał, czy nie wraca David. Niestety, bez skutku. Kiedy wreszcie zapadł w sen, przyśnił mu się ten sam koszmar, który nawiedzał go od lat. Myślał o nim po raz nie wiadomo który przy śniadaniu, kiedy stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę, że coś się przed nim kiwa.

– Ale jesteś śpiący, bardzo śpiąaaaaący – odezwał się kokieteryjny głos z australijskim akcentem.

– Co? – spytał Max, mrugając na łyżkę, która przesuwiała mu się przed oczami niczym wahadło hipnotyzera.

– Naprawdę, Max – westchnęła Julie Teller i odłożyła łyżkę – tylko patrzeć, a zamienisz się w zombie. Ja tu gadam o dzisiejszym ognisku i rozpoczęciu zajęć, a twoja jedyna reakcja to „co?”!

– Przepraszam – odparł i sięgnął po dzbanek z kawą.

– Prawie dziś nie spałem.

Julie okrążyła stół i przysiadła obok niego na ławce.

Na jej opalonej, piegowatej buzi jaśniał uśmiech. Uważnie popatrzyła na chłopca roziskrzonymi niebieskimi oczami, po czym wzięła do rąk jego miskę z owsianką. Po chwili nad miską znowu zaczęła unosić się para, a po kilku sekundach potrawa była naprawdę gorąca.

– Masz – rzekła i postawiła przed nim miskę. – Teraz śniadanie znów nadaje się do jedzenia, a ty mi możesz opowiedzieć, czemu nie sypiasz po nocach. Bardzo chciałabym usłyszeć, że nie pozwalają ci na to słodkie sny o twojej cudownej dziewczynie, ale gdzieś w głębi duszy podejrzewam, że chodzi o coś innego...

Max zastanawiał się, czy zdradzić coś na temat tajemniczych eksperymentów Davida i jego dziwnego zniknięcia. Postanowił tego nie robić, wychodząc z założenia, że zanim zacznie szerzyć plotki, przydałoby się trochę więcej wiedzieć. Miał świadomość, że jeśli podzieli się swoją wiedzą z Julie, wieści rozejdą się jak burza. Owszem, chęci miała dobre, ale uwielbiała plotki na każdy temat – od towarzysko-romansowych po całkiem przyziemne – i często wykorzystywała swą funkcję fotografa Rowan, by zaspokajać ciekawość. Jeśli usłyszałby, że David zniknął, by załatwić jakieś tajemne sprawy, gotowa była zrobić wszystko, by dowiedzieć się na ten temat więcej.

– Znasz mnie przecież – jęknął. – Po prostu przeżywam, że ruszają zajęcia...

– Założę się – odparła Julie. – Och! Przypomniałeś mi coś! – Sięgnęła przez stół i po chwili szukania w torbie wydobyła z niej parę kopert. Po oficjalnym logo Rowan Max rozpoznał, że były to plany zajęć. – Wzięłam też dla ciebie – rzekła, wręczając chłopakowi jedną z kopert, już otwartą. –



Dostałam się na zaawansowany kurs urzędzeń, więc będzie ciężko, ale chyba w środy i piątki damy radę spotkać się na lunchu przed Starym Tomem.

Max zerknął na swój rozkład zajęć. Został napisany ręcznie, ponieważ system komputerowy, jak i komputery w Rowan, zostały całkowicie zniszczone podczas oblężenia. Z technologicznego punktu widzenia Rowan była na etapie dziewiętnastego wieku.

– Hmmm – mruknął. – Chemia, matematyka stosowana, wezwania i zaklęcia, coś, co nazywa się sztuką, literatura, historia cesarstwa, urzędzenia i... co to ma być, do cholery?

– Właśnie miałam cię zapytać – odparła spokojnie. –

Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałam i muszę przyznać, że jestem ciut ciekawa, dlaczego zamiast nazwiska nauczyciela widnieje tam twoje.

Max wpatrzył się w kartkę, skupiając wzrok na własnym imieniu i nazwisku starannie wypisanym granatowym atramentem:

ZAAWANSOWANE

TECHNIKI

WALKI

–

POZIOM X

SALA 222, MAGGIE – PON, ŚR, PT. – 16. 00-17.

30

INSTURKTOR: MAX MCDANIELS, CZERWONE

BRACTWO

– Nic mi o tym nie wiadomo – wyszeptał.

– Cóż, sekretarce wiadomo – odparła Julie. –

Chciałam poprzestawiać sobie zajęcia, żeby się na to załapać, ale zaśmiała się i powiedziała, że zapisali się już wszyscy agenci. Ja najwyraźniej nie kwalifikuję się nawet na listę rezerwową.

– To nie ma sensu – rzekł Max, wyciągając szyję, by zerknąć, czy na sali jest ktoś z nauczycieli. Parę stołów dalej dostrzegł pannę Boon i agenta Coopera przy śniadaniu. Wstał i razem z Julie ruszył w ich stronę, mijając potężne kamienne filary i stoły tętniące gwarem rozmów uczniów i ich rodzin. Kiedy znaleźli się w pobliżu, okazało się, że panna Boon i Cooper nie są sami.

Na ich stole siedział szarobrzązowy zajac. Trzymał w łapce okulary, stał słupka i prawił im kazanie. Wyraz twarzy panny Boon był uprzejmy i pełen uwagi, lecz spojrzenie zimnych niebieskich oczu Coopera było rozbiegane.

– Oblicz sobie sama, niemądra dziewczyno! –

wykrzyknął zajac rozkazującym tonem. Mówił z wyraźnym szkockim akcentem. – Potrzeba nam więcej pisarzy! Już dziś po południu potrzebuję stu dodatkowych kancelistów! Wtrącają mi się tu wszystkie szkockie zajace, nawet niekompetentne klany, a dobrze wiesz, że nasze łapki nie są przystosowane do...

– Tweedy – powiedziała spokojnie panna Boon. –

Wiesz, że rozumiem tę sytuację, jak każdy tutaj, ale najpierw muszę porozmawiać o twojej prośbie z panią dyrektor.

– Trele-morele! – zawołał Tweedy, podskakując z podekscytowania. – A kiedy niby możemy się z nią umówić? Złożyłem już w jej biurze dziesiątki, a właściwie setki raportów, opinii i zapytań, a nie otrzymałem nawet jednej odpowiedzi!

– Jestem pewien, że otrzymałeś – odparł Cooper z poważną miną.

– Czy ja słyszę sarkazm w twoim głosie, ty monosylabiczny bufonie? – odparował zajac, odwracając się ze złością w stronę bladej, zdeformowanej twarzy agenta. – Nie oczekuję zrozumienia od ciebie, ale sądziłem, że Hazel jest kobietą wykształconą i kulturalną...

Przez sekundę lub dwie Max się obawiał, że niewyparzony język zajaca wpędzi go w poważne kłopoty, ale pokryte bliznami oblicze Coopera wykrzywiło się tylko w stłumionym uśmiechu. Następnie agent naciągnął czarną wełnianą czapeczkę na lśniąca poparzoną czaszkę, wstał od stołu i mrugnął do panny Boon.

– Idę – rzekł po prostu, ustępując miejsca Maksowi i Julie, którzy natychmiast usiedli na wolnych krzesłach po obu stronach młodej nauczycielki mistyki.

– Do zobaczenia później, William – westchnęła panna Boon, a Tweedy uniósł łapkę, by zaznaczyć, że jeszcze nie skończył.

– Kontynuując temat – rzekł z werwą, zaczynając dreptać – nawet, jeśli chodzi o mistykę, obliczyłem, że będziemy

potrzebowali

co

najmniej

pięciuset

dotatkowych wolontariuszy pracujących w trybie zmianowym po dwanaście godzin, by spróbować, spróbować, powiadam, przynajmniej drgnąć w tym względzie do przodu.

– W jakim to względzie, jeśli można wiedzieć, Tweedy? – spytała Julie.

– Ach, nie chodzi o nic ważnego – odparował zając i zjeżył sierść. – Tylko o ocalenie wiedzy zgromadzonej przez jakieś pięć ostatnich tysiącleci. Ale dlaczegoż mielibyśmy się przejmować, że Proust, Hume, Arystoteles i Archimedes odchodzą w zapomnienie? Niezmiernie się dziwię, że agent Cooper nie przejmuje się bardziej rychłym

końcem

swych

szmatławych

powieści

szpiegowskich lub innych cholernych śmieci, które czytuje w wolnym czasie.

– Tweedy – warknęła panna Boon. – Dosyć!

– O czym mówicie? – zapytał Max.

– O tym! – wrzasnął zając i pchnął w ich stronę grubą książkę na temat teorii muzyki. – O tym mówimy, chłopcze!

Max zerknął na stronę, gęstą od tekstu i wykresów.

Wyglądało to na analizę porównawczą instrumentów strunowych i częstotliwości wydawanych przez nie dźwięków.

– Nie rozumiem – rzekł Max, zerkając na Julie, która wzruszyła tylko ramionami.

– Druk, druk! – zawołał Tweedy, wskazując łapką.

Max zwrócił uwagę na druk, który był szary na białym papierze – jakby wyblakły na słońcu. Przyjrzał się bliżej i stwierdził, że pewne fragmenty były już trudne do odczytania.

– Może jest po prostu stara – zasugerował w nadziei, że uspokoi trochę rozemocjonowaną zajacą.

– Idioci! – warknął zając. – Otaczają mnie sami idioci! – A więc, młody człowieku, powiem ci, że to mój osobisty egzemplarz. Książka ta była utrzymywana w nienagannym stanie i jeszcze dwa tygodnie temu jej druk był mocny i czarny, jak w każdej innej. A teraz dzień po dniu blednie!

– Może coś się na nią wylało? – spytała kojącym głosem Julie.

– Wszystkie książki bledną! – zagrzemiał zajac. –

Wszystko, z wyjątkiem ręcznie pisanych tekstów, znika!

Każdy kawałek papieru, który zszedł z maszyny drukarskiej, blednie tak, że pozostają na nim zaledwie śladowe ilości farby drukarskiej! Kiedy myślę o wzorach, partyturach, równaniach, reprodukcjach... och! Nawet zajaca ta świadomość doprowadza do łez!

Kiedy do Tweedy'ego dotarło, że Szekspir – jego ukochany, bezcenny Szekspir – również gotów jest zblednąć do tego stopnia, że zostaną po nim puste, białe tomy, zaczął histerycznie łapać powietrze.

Panna Boon pogłaskała roztrzęsionego zajacę po futrze.

– Znajdą się ochotnicy – obiecała. – Znajdę ich albo porozmawiam z Davidem Menlo, czyby nie wymyślił

lepszego sposobu na skopiowanie książek. Ale przynajmniej jednego możemy być pewni, że znasz na pamięć całego Szekspira.

Mała zajęcza łapka z uznaniem poklepała ją po ręku.

– To prawda – przyznał. – Mistrzowi nic nie grozi.

Dziękuję ci, Hazel, wiedziałem, że na ciebie można liczyć.

Przyciskając książkę do wypiętej piersi, Tweedy zeskoczył ze stołu. Panna Boon patrzyła w ślad za nim –

jej dwie dziwne tęczówki – jedna niebieska, jedna brązowa – śledziły zajacę, dopóki nie wykiął z sali jadalnej. Kiedy ruszył w górę po schodach, wydeła wargi i rozmasowała sobie skronie.

– Czasem... czasem żałuję, że wszystko nie może być po prostu tak jak dawniej – westchnęła i nieufnie spojrzała na Maksa i Julie oraz plany zajęć, które oboje ściskali w garści. – A co mogę dla was zrobić?

– Cóż, jest pani moim opiekunem – powiedział Max powoli – a w moim planie zajęć znalazłem coś dziwnego.

A mianowicie, że prowadzę zajęcia.

– O Boże – jęknęła panna Boon i przeczesła palcami krótkie brązowe włosy. – Max, to wszystko moja wina.

Przygotowania do dzisiejszego wieczoru były tak nieprawdopodobnie absorbujące, że kompletnie wyleciało mi to z głowy. Strasznie cię przepraszam. Jeśli cię to w jakimś stopniu pocieszy, to nie sądzę, aby te zajęcia wymagały jakichś szczególnych przygotowań. Nie trzeba pisać planu pracy ani układać listy lektur. Rozumiem, że agenci chcą po prostu poznać techniki, których nauczyłeś się w

Sidh.

Poszperała w stojącej u jej stóp torbie i wyciągnęła niewielki plik papierów.

Max rozłożył je i przeczytał pierwszą z ręcznie zapisanych stron. Wyglądało na to, że trzyma w ręku ofertę zatrudnienia i umowę o pracę.

Julie spojrzała mu przez ramię.

–

Czyli

Max

wejdzie

w

skład

grona

nauczycielskiego? – spytała.

– Tak – powiedziała panna Boon. – Jeśli się zdecyduje.

– Czy trójkowy uczeń może być nauczycielem? –

spytał z niedowierzaniem chłopak.

– Nie będziesz przecież uczył fizyki, mój drogi –

odparła panna Boon.

– Dlaczego ma dostawać pensję w złocie? – spytała Julie, nawiązując do ostatniego paragrafu umowy.

– A co innego byś sugerowała? – chciała wiedzieć panna Boon. – Bydło? Ziemię? Pszenicę? Sól? Jeśli Max wolałby inną formę wynagrodzenia, porozmawiam z panią dyrektor.

– A zwykle stare dolary? – spytał Max.

– A gdzie zamierzasz je wydać? – odparowała panna Boon, przecierając okulary. – Wartość pieniądza jest na tyle stabilna, na ile stabilne jest państwo, które ten pieniądz emituje. A o ile mi wiadomo, nie istnieje już nic takiego jak rząd Stanów Zjednoczonych. Na twoim miejscu wzięłabym złoto. Zajmowanie się stadem bydła może być dość uciążliwe.

– A jeśli nie zechcę prowadzić zajęć? – spytał Max.

Panna Boon wzruszyła ramionami.

– To chyba trafisz na WF razem ze swymi kolegami.

Zajęcia są codziennie o szóstej rano.

Max błyskawicznie porwał leżący przy talerzyku panny Boon długopis.

– Gdzie mam podpisać? – spytał.

– Na dole po prawej.

– Śmieszne – rzekł Max, podpisując się starannie. –

Biorąc pod uwagę wszystko, co zaszło, ciekawi mnie, po co w ogóle zawracamy sobie głowę szkołą i zajęciami.

Panna Boon zeszywniała. Wyjęła długopis z dłoni Maksa, donośnie stuknęła nim o stół i utkwiała w chłopaku stalowe spojrzenie, które sprawiło, że wyprostował się jak struna.

Dopiero wtedy odezwała się przenikliwym staccato.

– „Zawracamy sobie głowę” zajęciami i szkołą, ponieważ oznacza to cywilizację, Maksie McDaniels.

Cywilizację. Zapamiętaj to sobie. A teraz, jeśli mi wybaczycie, muszę iść i znaleźć pięciuset wolontariuszy.

– Może powinniśmy przelożyć na kiedy indziej dzisiejsze ognisko – zastanawiała się na głos Julie.

Panna Boon zatrzymała się w pół kroku i odwróciła na pięcie.

– Nie, Julie – rzekła. – Dla uczniów dzisiejszy wieczór jest ważny i bardzo dobrze, że będą mogli go świętować. Pewna jestem, że na ognisku będzie świetnie, ale Max nie będzie niestety mógł ci towarzyszyć.

Nauczyciele zaraz po uczcie mają naradę.

– Ale to nie fair – zaprotestował Max.

– Witaj w gronie pedagogicznym, agencie McDaniels

– odparła panna Boon. – Wkrótce odkryjesz, że bycie nauczycielem niesie wiele przywilejów, ale nie należy do nich niestety bujne życie towarzyskie. Życzę wam miłego dnia.

Max i Julie siedzieli przez parę minut w ciszy, na zmianę czytając umowę ze wszystkimi szczegółami.

Jak się okazało, ciesząca się powszechnym szacunkiem rodzina skrzatów domowych – obsesyjnych stworzeń przypominających

gnomy

–

miała

nadzorować

wynagrodzenia, miary i wagi. Skrzaty zajmowały się bowiem tego typu sprawami od wieków i mimo złej sławy swych dalekich kuzynów, koboldów, zyskały sobie opinię niezwykle kompetentnych księgowych.

– Zapomniałem spytać o wakacje – rzekł Max, żeby rozweselić Julie.

– Jediną dobrą stroną tego wszystkiego – odezwała się, dzielnie przywołując na twarz uśmiech – jest to, że będziesz przy kasie. Ale i tak wolałabym zamiast tego po prostu potańczyć. Słuchaj, wiem, że musisz się pojawić na tej naradzie czy czymś tam, ale panna Boon nie określiła, jak długo tam będziesz musiał siedzieć, prawda? Może dasz radę urwać się, powiedzmy, o dziesiątej i przyjść potańczyć z dziewczyną?

– Na sto procent – potwierdził Max.

– Dobra odpowiedź – rzekła Julie i na jej twarz powrócił uśmiech. Posłała Maksowi całusa i odeszła do swych porannych obowiązków.

Max schwycił kromkę chleba dyniowego i przeżuwał go w zamyśleniu, ruszył w stronę kuchni.

Poprzedniego dnia nie widział się z tatą, a wiedział, że tam właśnie znajdzie Scotta McDanielsa, zajętego krojeniem w kostkę bądź plastry, marynowaniem, opiekaniem, mieleniem i pieczeniem – a wszystko to w ramach przygotowań do wieczornej uczy. Idąc, zwrócił

uwagę na to, jak zatłoczone stało się odbudowane Domostwo. Sala jadalna wręcz roiła się od ludzi – matek karmiących, dziadków, uczniów, nauczycieli, agentów, ubranych w szaty mistyków, a nawet tu i ówdzie –

faunów. Max pchnął podwójne drzwi do kuchni.

Drzwi w coś uderzyły. Cokolwiek to było, było niewielkich rozmiarów – drzwi lekko zadrżały, ale nie przestały swobodnie huścić się na zawiasach. Max zajrzał

do środka i zamarł na widok berbecia w pieluszcze leżącego na plecach i niezdarnie wymachującego nóżkami.

– Och! – krzyknął i czym prędzej podbiegł, by pomóc małemu. Kiedy przykląkł przy dziecku,

zauważył plecy nachylonego nad zlewem ojca, który obierał ziemniaki. –

Tato! – krzyknął. – Pomóż mi! Nieszczęście!

– Nic jej nie będzie – odparł niewzruszony pan McDaniels, nawet się nie odwróciwszy. – Dopilnuj tylko, żeby maska jej nie spadła – dodał i sięgnął po następnego ziemniaka.

Max, wciąż spanikowany, zignorował uwagę taty i chciał podnieść dziecko, które z niewiarygodną siłą chwyciło go za palec. Kiedy je podniósł, okazało się, że patrzy na niego para bardzo złych, czarnych, lśniących jak koraliki oczu.

Trzymał na rękach wiedźmiątko.

Na pewno nie ważyło więcej niż pięć kilogramów, ale Max był zdumiony jego siłą i determinacją. Ziemistoszare rączki waliły, gdzie popadnie, a para zakończonych trzema palcami nówek pedałowiała zawzięcie w powietrzu.

Czarne włoski dziecka zebrane były w przewiązany różową kokardą kucyk, jak antena sterczący na czubku przypominającej tykwę główki. Kiedy Max przyglądał się dziecku, jego małe oczka wypełniły się łzami. Przestało się szarpać, a zamiast tego wydało żałosny ryk, jednocześnie słabo skubiąc kaganiec ze sztywnej, szorstkiej skóry, którym zasłonięto mu usta.

– Biedactwo – mruknął Max, tuląc maleństwo do piersi i ciągnąc za ciasno dopasowaną maskę, by zsunąć ją z podłużnej bródki. Kiedy to robił, kątem oka spostrzegł, że w wewnętrznych drzwiach kuchni pojawiła się większa liczba ciemnych, małych postaci. Stała tam, przypatrując mu się, grupka wiedźmiątek. Niektóre z nich nosiły pieluchy, inne – pozapinane agrafkami ręczniki, a dwa były całkiem gołe. Wszystkie za to miały na ustach skórzane maski. Zbliżyły się do Maksa, a ich siostra, którą trzymał w objęciach, jęczała coraz głośniejsze i coraz żałośniej drapała kaganiec. Wydawało się, że się dusi.

– Tato – zwrócił się do ojca rozeźlony Max. –

Możesz mi pomóc?

Pan McDaniels odłożył nóż w chwili, kiedy Maksowi udało się ściągnąć małej kaganiec.

– Max! – wykrzyknął tata. – Nie!

Było jednak za późno.

Oswobodzone z kagańca wiedźmiątko natychmiast przestało zawodzić. Drobna, asymetryczna twarzyczka uśmiechnęła się, by odsłonić pojedynczy, ostry ząb wystający niczym nóż do konserw koloru kości słoniowej z górnego dziąsła. Z mrozącym krew w żyłach krzykiem mała rzuciła się na Maksa, podczas gdy reszta zgromadziła się u jego stóp niczym ławica wygłodzonych piranii.

Kiedy Max, potykając się, zataczał się po kuchni, skrawkiem świadomości niewyraźnie rejestrował okrzyki ojca, dyszenie małej wiedźmy i brzęk tłuczonej porcelany, prawie całą uwagę koncentrując



na ostrym zębie, rozpaczliwie poszukującym krwi. Podczas gdy jedno wiedźmie dziecko wisiało mu u szyi, pozostałe uczepliły się jego nóg lub pchały się na niego zawzięcie, zupełnie jakby próbowały obalić drzewo. Ojciec pospieszył mu na pomoc, lecz pośliznął się na rozbitym talerzu i runął jak długi na podłogę. Wrzasnął, kiedy kilka wiedźmiątek porzuciło Maksa i oblało go jak armia mrówek.

– Oj! – zagrział wśród ogólnej wrzawy czyjś głos.

Wiedźmiątko uczeplone szyi Maksa zamarło, a te oblepiające mu nogi rozpierzchły się do najodleglejszych kątów kuchni. Wiedźmia dziewczynka z nagłym przeraźliwym wrzaskiem została oderwana od piersi Maksa, który, odzyskawszy oddech, ujrzał, że Bellagrog trzyma ją bezpardonowo za kucyk. Mała rozpaczliwie kwiczała i pluła na olbrzymią wiedźmę, lecz Bellagrog bardziej przejmowała się stanem Scotta McDanielsa.

Trzymając kopiać na oślep małą w wyciągniętej ręce, Bellagrog chrząknęła i pomogła panu McDanielsowi wstać.

– Przepraszam, kochasiu – westchnęła, odgarniając nogą porcelanowe skorupy. – A ty, Max, jesteś cały?

– Nic mi nie jest – odparł chłopak, rozglądając się czujnie wokoło, by sprawdzić, czy nie kręcą się tam jakieś wiedźmiątka, których przypadkiem nie zauważył.

– To dobrze – burknęła Bellagrog, po czym obróciła się wokół własnej osi na grubo podzielowanym bucie, by odnaleźć pochowane po kątach dzieci.

To, które nadal trzymała w wyciągniętej ręce za kucyk, zrezygnowało z walki i z kwaśną miną zwisało bezwładnie w powietrzu.

– W szeregu zbiórka! – zakomenderowała Bellagrog.

W tej samej sekundzie maluchy wylażyły z kryjówek i posłusznie ustawiły się w szeregu pod kredensem. Siedem wiedźmiątek stało według wzrostu – dwa z nich zostawiły między sobą większy odstęp – najwyraźniej dla pulchnej nieszczęsnej siostrzyczki, która wisiała trzymana za włosy. Bellagrog podniosła ją trochę, by nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Co ty wyprawiasz, chciałaś pokąsać Maksa? –

zwróciła się do niej. – Co masz na ten temat do powiedzenia?

Wiedźmiątko zerknęło w bok, na chłopaka.

– Przepraszam, że chciałam cię ugryźć – mruknęło grubym głosem.

– Czy to wystarczy, Max? – Bellagrog domagała się odpowiedzi, jednocześnie świdrując go swym krokodylim spojrzeniem.

– Oczywiście – odparł Max. – Bel, proszę, puść ją już.

– W porządku – mruknęła wiedźma, po czym bezceremonialnie się zamachnęła i rzuciła wiedźmiątko przez ramię. Max z rozdziawionymi ustami patrzył, jak mała leci w górę łukiem, opada na stertę tac ustawioną na najwyższej półce, po czym wszystko – półka, tace i wiedźmiątko – z hukiem spada na podłogę.

– Bel! – krzyknął Max, lecz wiedźma machnęła na niego ręką i zagroziła mu drogę, kiedy rzucił się na ratunek maluchowi.

– Nie wtrącaj się – warknęła. – Piątka musi się nauczyć, jak się trzeba zachować.

Spomiędzy rozrzuconych tac wyłoniła się malutka wiedźma. Odrzuciła na bok tacę, poprawiła sobie pieluchę i z buntowniczą miną pomaszerowała na swoje miejsce w szeregu. Wydawało się, że całe wydarzenie nie wywarło na niej zbyt wielkiego wrażenia.

– Czyje to dzieci? – spytał Max, oddychając z ulgą.

– Moje! – wykrzyknęła z dumą Bellagrog. –

Wydałam je na świat dziś w nocy, jak tylko się położyłam. Myślałam, że to napad nocnych gazów, ale nie. Urodziłam je przez sen i te cudowne potworki niemal mnie nie pożarły! Niemal... ale obudziłam się i pokazałam im, co i jak, prawda? A teraz tu je mamy, proszę bardzo!

Dziewięć małych wiedźmiątek, ślicznych jak ciasteczka z kremem!

Max omiótł wzrokiem szereg nadąsanych brzydactw, które gapiły się na niego zuchwale zza kagańców.

– Mówiłaś, że masz ich dziewięć, Bellagrog? –

wydusił wreszcie. – Cóż, hm, doliczyłem się tylko ośmiu.

– Osiem czy dziewięć, co to za różnica? – Bellagrog wzruszyła ramionami i podrapała się po brzuchu. Tak czy siak, muszą chodzić w kagańcach, dopóki nie nauczą się kontrolować odruchów.

– Eee, czy ktoś to zamierza posprzątać? – wtrącił się pan McDaniels, słabym gestem wskazując rozrzucone tace i potłuczone naczynia.

– Bardzo miło z twojej strony, że proponujesz, ale ich ciocia się tym zajmie. – Bellagrog wciągnęła powietrze. –

To robota Bei, kochasiu.

W tej samej chwili do zewnętrznego pomieszczenia kuchennego przybyła siostra Bellagrog. Bea Shrope, zwana Mamuską, pracowała w Rowan od dziesięcioleci, lecz jej długoletnia kadencja nie peszyła bynajmniej Bellagrog. Max nie znał się na zasadach, którymi rządziła się kultura wiedźm,

lecz podejrzewał, że opiera się ona na hierarchii, w której niezawodnym wskaźnikiem statusu jest dostojność imienia. Bea, jeśli chodzi o urodzenie i tytuł, była w porównaniu z Bellagrog nikim, wobec czego ta ostatnia, odkąd przybyła do Rowan rok wcześniej, rządziła i pomiatała Mamušką.

– Co takiego jest robotą Bei, można wiedzieć? –

spytała Mamuška, rzucając zebrany pytający uśmiech.

Jej małe, zaczerwienione oczka omiatały pomieszczenie, dopóki nie spoczęły wreszcie na wierzących się wiedzmiatkach. – Nie wiedziałam, że spodziewasz się potomstwa, Bel...

– Ani ja! – zachichotała większa wiedźma. – Ale oto są, a ty, jako ciotka, masz pewne obowiązki...

– O nie, Bel, to ty jesteś za nie odpowiedzialna! –

wrzasnęła Mamuška i uciekła do spiżarni. – Ja mam już dość roboty!

– Kodeks wiem, Bea! – zagrzmiała Bellagrog i założyła na piersi mocarne ręce przypominające dwie skrzyżowane szynki.

Rozległo się przekleństwo i odgłos przesuwanego drewnianego stołka, po czym Mamuška stanęła w drzwiach. Godząc się najwyraźniej w duszy z nową powinnością, skłoniła się przed wiedzmiatkami, które natychmiast podreptały ku niej i obstały jej spódnicę, wspinając się po nich coraz wyżej, dopóki każde nie znalazło sobie wygodnego gniazdka w jednym z, jakby do tego stworzonych, zagłębień jej ciała. W miarę jak ciało Mamuški stawało się coraz bardziej obciążone, jej nogi mocniej wbijały się w podłogę, a nos zbliżał do ziemi. Po chwili mogła już tylko człapać niczym obwisłe, zrzedliwe ptaszędło.

– No, proszę! – Bellagrog z uznaniem skinęła głową.

– Takie to trudne? Moje ręce potrzebne są do innych zadań, nieprawdaż?

Max całą duszą współczuł Mamuške.

– A co z... hm... ich ojcem? – spytał.

Bellagrog zatoczyła się ze śmiechu. Nawet Mamuška sapnęła rozbawiona i oparła się o stół. Max oblał się rumieńcem.

– Co? – bronił się. – Powiedziałem coś śmiesznego?

Bellagrog otarła łzę z oka.

– Niech cię Bóg wynagrodzi, Max! Dawno się już tak nie ubawiłam! Widzisz, ktoś taki jak pan Shrope nie istnieje. Wszystkie wiedźmy to kobiety.

– Ale – zaczął Max, marszcząc nos – w takim razie jak...

– ... się rozmnażamy? – dokończyła bezceremonialnie Bellagrog. – To jeden z sekretów natury. Kiedy na świecie potrzeba wiedźmiątek, po prostu się rodzą, i tyle.

– I jak się rodzą... to od razu potrafią chodzić... i mówić? – dopytywał się pan McDaniels.

– Jasne, że tak! – dumnie oznajmiła Bellagrog. – A te urodziły się i od razu potrafiły wiązać węzły! Nie minęła chwileczka, a byłam cała skrępowana! Uahahahaha!

– Mamuśka, a ty miałaś kiedyś małe? – spytał Max.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, domyślił się, że popełnił straszliwą gafę. Mamuśka zmarszczyła czoło i pochyliła się niżej pod ciężarem oblepiających ją siostrzenic.

– Nie – odparła cicho i odczepiła ząb jednego z wiedźmiątek, zahaczony o jej naszyjnik. – Jeszcze nie.

– Natura wie, co dobre – rzekła Bellagrog autorytatywnie. – Jednym wiedźmom daje młode, a innym nie.

– A ile dzieci ty masz, Bel? – chciał wiedzieć pan McDaniels.

– Nie wiem, sama nie wiem – odparła Bellagrog, skubiąc sobie brodę. – Urodziłam może ze setkę, ale mają zwyczaj się rozpierzchać. Chyba nie jestem typem matki.

Cholera, nie nadałam im nawet imion. Z wyjątkiem dwóch!

– Ale właśnie powiedziałaś do jednej „Piątka” –

zaoponował tata Maksa.

– Wszystkie są ponumerowane – mruknęła Mamuśka.

– Mają tylko numer, a imię nadaje im się dopiero, kiedy mają po kilkanaście lat. Inaczej przynosi to nieszczęście.

Zdaniem Maksa już sam fakt, że urodziło się wiedźmą, oznaczał nieszczęście – od samego początku.

Biorąc pod uwagę drapieżne rodzeństwo i żarłocznego rodzica,

życie

trójpalczastych

maluchów,

ściśle

przylegających teraz do Mamuśki, nie obfitowało chyba w bezpieczne przystanie. Max był zdumiony,

że w ogóle są w stanie dorosnąć do wieku kilkunastu lat i doczekać się prawdziwego imienia.

– Dobra, dosyć gadania – zarządziła Bellagrog i stuknęła w podkładkę, do której przypięta miała listę zadań do wykonania. – Domyślam się, że przyszedłeś tu, żeby ci przydzielić następane zadanie.

– Och – zająknął się Max. – Nie, naprawdę, mam tyle spraw do przemyślenia...

Bellagrog odwróciła się i rzuciła mu spojrzenie pełne rozbawienia, ale i politowania.

– Żartujesz sobie trochę z Bel, prawda, chłopasiu? –

zachichotała, przekrzywiwszy głowę. – Jasne, Przystojny Max próbuje wykręcać się od obowiązków w dniu wielkiej uczyty, o nie! Czyżby mój Max miał czelność powiedzieć pracującej wiedźmie, która w nocy powiła tuzin wiedźmiątek, że „ma tyle spraw do przemyślenia”?

– Jest ich tylko osiem – przypomniał jej Max.

– Kto by je liczył! – zagrzmiała Bel, zbliżając się do niego i waląc podkładką w stół.

– Cóż. Przed chwilą się dowiedziałem, że mam prowadzić zajęcia – tłumaczył się spłoszony Max, pokazując swoje papiery. Wyrwała mu je z rąk, a jej obwiedzione na czerwono oczy natychmiast zaczęły biegać po zapisanych arkuszach.

– Co takiego? – wtrącił się pan McDaniels. –

Będiesz uczył?

– Mhm – dumnie przytaknął Max. – Zajęcia z technik walki dla agentów. I będą mi płacić w złocie!

Scott McDaniels zagwizdał i wyciągnął do Bellagrog rękę po dokumenty. Twarz wiedźmy pociemniała po przeczytaniu paru ostatnich wersów kontraktu. Wściekła, rzuciła papiery ojcu Maksu.

– Idź sobie w takim razie – powiedziała szorstko. –

Nie mam nic wspólnego z pracą nauczycieli.

– Ho, ho! – zawołał pan McDaniels, nie odrywając wzroku od umowy. – Mój chłopak ma zostać profesorem pełną gębą!

– Nic mi o tym nie wiadomo – zaprotestował Max i poczerwieniał. – Będę tylko uczył tego, czego sam się nauczyłem.

– Cóż, Max, mamy tu trochę rzeczy do zrobienia –

wtrąciła się Bellagrog. – Mamuśka, ubierz dziewczyny w fartuszki i pokaż im, jak wałkować ciasto. Scott, ciebie potrzebuję przy cielęcinie. Zawołajcie jakichś uchodźców do obierania ziemniaków. O, tante babcie na pewno świetnie sobie radzą z nożykiem do warzyw!

– Dobrze, dobrze – zgodził się radośnie Scott McDaniels. Umył ręce i spojrzął przez ramię na Maksa. –

Zrobisz dziś coś dla mnie? – spytał. – Poszukaj Connora i upewnij się, że przyjdzie na ucztę. Tak samo David.

Strasznie dawno ich nie widziałem. Będzie miło, jak się przyłączą.

– Dobrze, tato – obiecał Max. – Postaram się, żeby Connor się pojawił. Natomiast jeśli chodzi o Davida, to ostatnio jest... dość zajęty. – Max wzruszył ramionami, słysząc swoje kiepskie tłumaczenie. – Pójdę już, tato.

Wychodząc, rzucił ostatnie spojrzenie na kuchnię.

Westchnął z żalu, że nie ma tam Boba – zgarbionego na swym olbrzymim stołku i powykręcanyimi palcami wyczarowującego prawdziwe kulinarne cuda. Główny kucharz Rowan, zreformowany ogr rosyjski, nie doszedł

jeszcze w pełni do zdrowia po obrażeniach, jakie odniósł

podczas oblężenia. Osiem małych wiedzmiątek kręcących się tu i tam z wałkami do ciasta było kiepskim zamiennikiem spokojnej, krzepiącej obecności Boba.

Max zerknął na zegarek i wszedł na schody. Był

dopiero późny ranek, a Connor potrafił ostatnio spać do południa. Idąc szybkim krokiem przez korytarz w skrzydle mieszkalnym, Max postanowił nie pukać na razie do drzwi kolegi. Zamiast tego poszedł do swojego pokoju.

Kopuła

obserwatorium

pojaśniała.

Na

jasnobłękitnym, gładkim niebie blado odznaczały się gwiazdy. Max nie oczekiwał, że znajdzie Davida, i okazało się, że się nie mylił. Łóżko przyjaciela było nietknięte. Nic nie wskazywało na to, żeby David pojawił

się w pokoju od czasu swego tajemniczego zniknięcia w nocy.

Max zszedł na dół, rozniecił ogień i powstrzymał w sobie przemożną chęć pomyszkowania w rzeczach Davida. Nie mógł się jednak oprzeć i zerknął na jego biurko. Zatrzymał wzrok na szczególnie opasłym tomie.

Rozpoznał nawet jego tytuł: *Kodeks czarodziejskich wezwań*. Księga, która już kiedyś wpędziła Davida w tarapaty.

Wytlaczana ołowiana okładka przesunęła się bez oporu na zawiasach. Max poślinił kciuk i przekartkował

ciężkie, pergaminowe stronice, zatrzymując wzrok na nieznanym imionach i obrazach. Zwrócił uwagę, że wypisanych smoliście czarnym atramentem tytułów ani całych fragmentów tekstu nie dotknęło tajemnicze zjawisko blednięcia, które tak zaniepokoiło Tweedy'ego.

Max zatrzymał się na chwilę na stronie szczegółowo opisującej marida. Dopiero potem otworzył księgę na stronie, której szukał od początku.

– Poznać wroga – szepnął, wpatrując się we wklęsłodruk przedstawiający emisariusza Astarotha – Prusiasa.

Wizerunek demona spoglądał na niego z księgi.

Artysta przedstawił go jako postać o bladych, kocich oczach, świecących niczym klejnoty w urodziwej twarzy o ciemnej karnacji. Prusiasa otaczało bogactwo – siedział

na ciężkich worach, z których szwami wysypywały się monety. Trzymając w palcach wysadzany klejnotami kielich, demon wydawał się kiwać na czytelnika, zapraszając go, by zajął wolne krzesło przy suto zastawionym stole. Max zastanawiał się, czy demon rzeczywiście wygląda jak ubrany w bogate szaty szlachcic z wypiętą piersią, uwieczniony na ilustracji.

O zachodzie słońca wszystko się wyjaśni.

## DZIESIĘĆ JEDWABNYCH ŻAGLI

Z ognia pozostał już tylko żar, a Max wciąż czytał.

Zapadł się głębiej w wygrzany fotel, oparł tom na kolanach i chłonał relacje osób, które w ciągu dziejów wzywały Prusiasa. Było ich wiele. Prusias okazał się ulubieńcem poszukujących majątku. Słyszał nie tylko z tego, że mógł wystarać się o bogactwo, lecz także z tego, że uważano go za przyjaznego ludziom. Z relacji tych, którzy mieli z nim do czynienia, wyłaniał się portret dowcipnego i ciekawego znawcy ludzkości i jej potrzeb. I w przeciwieństwie do Astarotha Prusias lubił być wzywany.

*O umówionej godzinie przez wschodnie okno ujrzałem demona – ciemną postać między białymi brzożami, które Lizzie tak kocha wiosną. Odziany był w płaszcz z kapturem i muszę wyznać, że kiedy po raz pierwszy na niego spojrzałem i patrzyłem, jak się zbliża, owładnęło mną przerażenie. Mój sługa umknął z pokoju i zostałem sam – stałem w magicznym kręgu, który nieznajoma narysowała na podłodze. Obawiałem się, że sługa zbudzi Lizzie i zniweczy mój spiszek, ale nie, zatrzasnęła się po prostu w piwnicy i niechaj tam szeptnie.*

*Gdy demon zastukał, nieznajoma wstała i to właśnie ona wpuściła go do mego domu. Oczekiwałem wroga, oczekiwałem przerażającej postaci rodem z Dantego!*

*Tymczasem demon okazał się przystojnym szlachcicem, który, przechodząc przez drzwi, skłonił głowę. Z*

*prawdziwą przyjemnością poczęstowałem go, czym mogłem. W końcu zdobyłem się na odwagę, by przemówić.*

*Demon słuchał łaskawie i każdą z moich próśb sprawiedliwie komentował. Dom Jacoba i jego grunta będą moje, tak jak to powinno mieć miejsce od razu po śmierci Ojca. Prusias obiecał mi je, co więcej –*

*powiedział mi o srebrnych łyżkach ukrytych w przeklętym pokoju dzieciennym.*

Max przeczytał wiele historii dotyczących drobnych dóbr, dziedzicznych gruntów, splamionych krwią klejnotów ściągniętych z ręki martwego właściciela. Nie była to przyjemna lektura. Gdziekolwiek pojawiał się Prusias, dobra materialne w potworny sposób zmieniały właściciela. Ci, którzy go wzywali, niezmiennie wychwalali jego usługi, po czym przez resztę dni harowali, by okupić swe powodzenie.

Był jednak jeden wyjątek, do którego Max powracał

wiele razy. Mianowicie zapis z dziennika Eliasa Brama, datowany na zimę 1647 roku.

*Moje badania zawsze prowadzą do Astarotha. Nie jestem w stanie odnaleźć demona, lecz wiem, że*



się czai.

Rozpoznaję jego uśmieszek na kartach ksiąg, słyszę go w pieśniach minstrela. Działa na targowiskach i na scenach teatrów. Jest tu. Wspiąłem się na Wieżę, wołałem doń z kamiennych kręgów na Orkadach, lecz demon jest silny i nie odpowiada na me wezwania. Chcę złowić Lewiatana, mając do dyspozycji tylko sznurek i haczyk. Dlatego dziś wieczór postanowiłem zwrócić się do jego wasala –

demona zwanego Prusiasem.

Błogosławiony niech będzie Salomon, który przede mną zanurzył się w tych głębinach. Prusias bowiem zjawiał

się w wyznaczonej godzinie, lecz nie pod postacią, jakiej się spodziewałem. Przybył z zamiarem morderstwa, co mnie zdziwiło, bo nie taką reputacją cieszy się wśród tych, którzy go cenią. Nie przybrał ludzkiej formy w obrębie wyznaczonego kręgu, lecz skrył się w ciele mego ucznia.

Mały Pieter zapukał do mych drzwi i wszedł, by zasiąść ze mną do kolacji, kiedy zobaczyłem w jego oczach demona.

Rozeźliło mnie to i wyciągnąłem Prusiasa z ukrycia.

Demon przeżył bolesną nauczkę. Mam nadzieję, że chłopiec dojdzie do siebie, lecz użyczenie ciała Złemu Duchowi to dla kogoś tak młodego bardzo poważne obciążenie. Najważniejsze jest to, w jaki sposób Prusias uchylił się od warunków wezwania, gdyż w takich sprawach się nie mylę. Nadciąga wielkie zło.

Opuściwszy ciało chłopaka, demon walczył, a ja go złamałem. Wpetł do kręgu i przez krótką chwilę widziałem jego rzeczywistą postać wijącą się na podłodze.

Mrugnąłem jednak i oto pojawił się przede mną pogański król spowity w czarną zdobioną szatę.

Skręcając się z bólu, Prusias wyznał, że wszelkie istoty Starej Magii związane są jedną lub większą liczbą geisów – ograniczeń, którym należy się poddać, aby nie zginąć. Geis Astarotha zobowiązuje go do mówienia prawdy. Jeśli demon skłamię, nadejdzie jego zguba.

Zostaną mu odebrane wszelkie przyjemności tego świata. I tu leży nasza szansa, jeśli Fortuna będzie miała nas w swej łasce.

Moje odkrycie nie jest jednak takie piękne. Od czasów chłopięctwa wiedziałem, że noszę w sobie Starą Magię. A więc i ja mogę być związany geisami. Muszę zatem poznać ich naturę, aby, samemu o tym nie wiedząc, nie doprowadzić do własnej zguby i nie pozostawić wielkich dzieł niedokończonych.

Jeśli zaś chodzi o Prusiasa, niemal już świtało, kiedy pozwoliłem mu odejść. Przeklęty demon obnażał zęby i powłóczył nogami, poprzysięgając mi zemstę, zanim zmienił się w padlinożernego ptaka i wyleciał przez okno.

*Poranek wstał szary i pochmurny i obawiam się, że mieszkańcy miasteczka, którzy jeszcze spali, zostali okrutnie obudzeni krzykiem demona. Modłę się tylko, aby nie usłyszał go żaden noworodek, ponieważ nie byłoby to odpowiednie powitanie na świecie.*

– Hej, tam – odezwał się głos za plecami Maksa.

Max krzyknął z przestachu, po czym odrzucił

tomiszczę i poderwał się z krzesła. Odwrócił się na pięcie, by ujrzeć stojącego na najniższym stopniu obserwatorium Davida Menlo.

– Och – zaśmiał się David. – Nie chciałem cię tak wystraszyć. – Nachylił się, by podnieść księgę.

– W porządku, w porządku – odparł Max i machnął ręką. – Zaskoczyłeś mnie tylko.

– Czytałeś o Prusiasie? – chciał wiedzieć David.

– Uhm. I trochę mnie to przeraziło.

– To całkiem zrozumiałe. Ale cieszę się, że interesujesz się Starą Magią i geisami, Max. Pewien jestem, że zdajesz sobie sprawę, jakie to ważne.

– Że sam jestem nimi ograniczony? Tak, myślałem o tym.

– Nigdy nie chciałem być wścibski, jeśli chodzi o to, co działo się w Rodrubân – rzekł miękko David – ale czy Scathach lub Lugh wspominali kiedykolwiek o czymś, co przywodziłoby na myśl geis?

Max podszedł do komody i z górnej szuflady wyciągnął broszkę, którą dostał od Scathach, kiedy ostatecznie opuszczał dziwny zamek w Sidh. Dotknął

palcami zapięcia, a potem gładkiego słońca z kości słoniowej i próbował przypomnieć sobie dni, które tam spędził.

– Chyba nie – rzekł po chwili namysłu. – Luga widziałem tylko raz i prawie się do mnie nie odzywał. Ze Scathach spędziłem sporo czasu, ale nigdy nie wspomniała o czymś w rodzaju geisu. Pamiętam tylko, co mówiła przy naszym rozstaniu.

– Co takiego?

– Nigdy nie zapomnij, że jesteś synem króla – odparł

Max, do którego powrócił niewyjaśniony smutek, z jakim dziewczyna wypowiadała te słowa.

– Hmm. – David zamyślił się, odkładając księgę na stół i siadając obok Maksa.

– Można by się spodziewać, że będą bardziej konkretni, jeśli chodzi o kwestie życia i śmierci – zaśmiał

się Max. David zmarszczył tylko czoło i leniwie poruszał

pogrzebaczem w żarze kominka. – A która to godzina, przy okazji?

– Trochę po czwartej – odparł David, wstał i skierował się ku schodom.

– Muszę się zbierać – mruknął Max. Odwrócił się i zapatrzył na odbicie swej twarzy i niesfornych włosów w lustrze na drzwiach szafy. Kątem oka złapał również odbicie Davida, kiedy ten nachylił się, by pogłaskać Nicka. Chłopiec o zawsze bladej cerze był dziś wręcz trupio blady. To, co robił tej nocy, odcisnęło się na nim wyraźnym piętnem.

– Wybierasz się na ucztę? – spytał Max, zmuszając się do zwyczajnego tonu. – Moglibyśmy razem zobaczyć Prusiasa.

David westchnął i ruszył w stronę swego łóżka.

– Widziałem Prusiasa, ale on mnie nie widział –

odparł. – Wolę, żeby tak pozostało. Pozdrów serdecznie tatę i resztę. Będę z wami duchem.

I znowu Max usłyszał dźwięk zasuwanych zasłon.

Mógł tylko zgadywać, czy przyjaciel leży w łóżku i rozszyfrowuje tajemnice nieboskłonu, czy wymyka się do Nibylandii.

Dwadzieścia minut później Max wyszorował twarz, przyczesał włosy i tak długo szczotkował szkolną marynarkę, aż odzyska swą pierwotną granatową barwę.

Parę sprawnych ruchów przy wiązaniu krawata, ostatnie spojrzenie w lustro – i wysliznął się z pokoju. Nick za nim.

Na korytarzu piętra sypialnego panowało istne pandemonium.

Tłoczyli

się

tam

uczniowie

z

podnieceniem oczekujący na ponowne otwarcie szkoły i towarzyszące temu wydarzeniu uroczystości.

Tu i ówdzie kręcili się dorośli – rodzice rozczulający się nad synami w szkolnych mundurkach i dziadkowie gmerający w torbach w poszukiwaniu aparatów fotograficznych.

Przypominało to bardziej atmosferę przed uroczystością wręczenia świadectw i Max zastanawiał się, czy wszyscy ci rozpromienieni rodzice – a nawet jego koledzy, uczniowie – zdawali sobie sprawę, jakim zaskoczeniem może się okazać nadchodzący wieczór. Do Rowan przybywała delegacja demonów, a tu, przy wtórze pstrykania migawek i w błyskach lamp, przyjmowano pozy i zaplatano ręce na piersiach.

Max podniósł Nicka i przeszedł przez korytarz, by zastukać do drzwi Connora Lyncha. Odpowiedzi nie było, więc po trzeciej daremnej próbie, odwrócił się, by odejść.

Wtedy właśnie drzwi uchyliły się nieco i dobiegł zza nich głęboki męski głos ze wschodnioeuropejskim akcentem.

– Nigdy nie obiecywałem, że to będzie przyjemność, Connor. Wybór należy do ciebie, ale dobrze znasz moje stanowisko.

Drzwi otworzyły się szerzej i Max zobaczył przed sobą mężczyznę o jednym oku zielonym, a drugim tak białym, że przypominało wyzierającą z muszli perłę.

Przez krótką chwilę Max i Peter Varga po prostu patrzyli na siebie. Mimo że widzieli się już niejedną raz, oko jasnowidza wciąż zaskakiwało chłopaka. Peter, inaczej „Ronin” – jak został Maksowi przedstawiony – był

mężczyzną w średnim wieku o krótkich, czarnych włosach i przystojnej, choć nieco zapadniętej twarzy.

Kiedyś był pokaźnego wzrostu, lecz odniesione rany spowodowały, że bardzo się zgarbił i Max spoglądał na niego z góry, stając w otwartych drzwiach.

– Witaj, Max – powiedział Peter i wyciągnął do chłopca rękę.

Max lekko skinął głową.

– Jest Connor? – spytał, omijając Petera wzrokiem i zaglądając do pokoju.

– Jest, jest – odpowiedział Peter i wepchnął ręce do kieszeni blezera. – Wiem, że trochę późno pytam, ale czy mógłbym się przyłączyć do ciebie i twojego taty na uczenie? Przegapiłem odwiedzin.

– Przy naszym stole nie ma już ani jednego wolnego miejsca – odparł Max chłodno.

– Rozumiem – rzekł Peter i spuścił wzrok. – Wobec tego nie zatrzymuję cię. Wesolej zabawy i gratuluję awansu na nauczyciela. Nie mogę się już doczekać twoich zajęć.

– Dziękuję.

Peter przeszedł obok niego i pokuśtykał korytarzem, wywołując nagłą ciszę wśród gości Rowan, którzy po raz pierwszy mieli okazję widzieć ocalonego jasnowidza i jego straszliwe oko. Zazwyczaj Peter używał laski, na której wspierał się podczas porannych spacerów wokół

kampusu, dziś jednak nie miał jej przy sobie, więc pokonywał korytarz, mocno kulejąc i mruczając co chwila

„przepraszam” do ludzi, którzy ustępowali mu z drogi.

Fakt, że Peter w ogóle chodził, zakrawał na cud, ponieważ gdy ratował Maksa i porwanych nowo przyjętych uczniów z ręki Wroga, doznał poważnego uszkodzenia kręgosłupa. Patrząc w ślad za kuśtykającym, Max doświadczał sprzecznych uczuć. Z jednej strony ten mężczyzna uratował mu życie, z drugiej, zdaniem Maksa, był odpowiedzialny za zniknięcie i przedwczesną śmierć jego matki.

Lata temu Ronin odszukał Bryn McDaniels w Chicago i zabrał ją do Sidh, by pewnego dnia mogła pomóc synowi, kiedy ten będzie miał do spełnienia misję w owej tajemniczej krainie. Wizja Ronina spełniła się i pani McDaniels zaprowadziła Maksa i Davida do miejsca ukrycia Księgi Thotha. Ponieważ jednak Sidh nie było krainą śmiertelników, pobyt tam pozbawił ją młodości.

Kiedy Max odnalazł mamę, okazało się, że była już w bardzo podeszłym wieku. Bryn McDaniels zdołała wraz z synem zbiec z Sidh, lecz wkrótce potem zmarła.

Gdy Ronin zniknął mu z pola widzenia, Max zmarszczył brew. Po co Peter odwiedzał Connora? Max postawił Nicka na ziemi i pchnął otwarte drzwi.

Pokój Connora Lyncha był przytulny. Stały w nim dwa piętrowe łóżka i jedno biurko – pod oknem wychodzącym na zalaną słońcem łąkę. W porównaniu z wieloma egzotycznymi, czasem wspaniałymi sypialniami, ta była nad wyraz skromna, lecz Max uważał ją za wyjątkowo sympatyczną. Paliło się w kominku, od wyłożonych sosnową boazerią ścian odbijał się różowawy blask zachodzącego słońca, którego ostatnie promienie wpadały przez otwarte na oścież okno.

Promienie te oświetlały twarz Connora, który w koszulce i džinsach siedział na jednym z dolnych łóżek.

Obok niego leżał stos ubrań, z mundurkiem szkolnym Rowan włącznie. Connor siedział zgarbiony, ze wzrokiem wlepionym w buty i palcami wczepionymi w bujne, kasztanowe loki.

– Hej – rzucił Max, kopiąc go w stopę. – Co ty, urządzasz pokaz mody?

Connor odburknął coś z obowiązku, ale Max widział, że jest czymś bardzo przejęty.

– Wskakuj w mundurek – polecił mu Max. – Za chwilę kolacja, którą zjesz w towarzystwie mojego taty i państwa Tellerów.

– Sorki – odparł Connor – ale raczej nie wybieram się na ucztę. A jeśli się wybiorę, to będę musiał usiąść z moją rodziną.

– Możecie się do nas przysiąść – odpowiedział Max.

– Albo my do was. Tak czy siak, pora się zbierać.

– Ach – jęknął Connor i zamknął oczy. – Wiem, co próbujesz zrobić. Dobry z ciebie kumpel. Ale i ty, i ja świetnie wiemy, że moja rodzina nie przysiądzie się na uroczystej kolacji do duetu McDanielsów. Na pewno nieprędko...

Max kiwnął głową. Był przygotowany na taką odpowiedź. Rodzina Connora winiła Maksa za tarapaty, w jakich rok wcześniej znalazł się Connor. Polegały one między innymi na tym, że chłopakiem zawładnął

chochlik, pan Sikes, a podczas oblężenia Connor dostał

się do niewoli Wroga. Znajdując się pod wpływem złego ducha, Connor zadał nożem cios Davidowi Menlo i rozwiął zakłęcie skrywające Rowan przed Wrogiem.

Zdarzenia te, a prócz nich inne okropności, których Connor doświadczył podczas niewoli, zmieniły tego zawsze wesołego, pełnego energii chłopca w smutną, jakby wyblakłą wersję samego siebie.

– Eee, tak naprawdę to wcale nie chcieliśmy siedzieć z tobą przy stole – zażartował Max, który klapnął już na krzesło przy biurku i rysował esy-floresy na papierowej podkładce. – Obserwowałeś kiedyś siebie podczas jedzenia? Jesteś gorszy niż Nick.

Lymrill na dźwięk swego imienia podniósł łebek. Z

pyszczka zwisała mu skarpetka. Connor zmusił się do bladego uśmiechu i pochylił się, by podnieść z podłogi szkolną marynarkę. Zdjął z jej rękawa jakąś nitkę i rozprostował ubiór na kolanie.

– Nie sądzę, że powinienem tam iść.

– Widziałeś się ostatnio z Lucią? – spytał Max dziarskim głosem. – Będzie tam, a jeśli się pojawisz, obiecuję, że napuszczę tatę na pana Cavallo. Przez całą noc będzie musiał rozmawiać o Chrupiących Chrupkach do Zupy Bedford!

Lucia Cavallo była uderzająco piękną koleżanką z klasy, którą Connor darzył szczególnymi względami od samego początku pobytu w Rowan. Jej rodzina, podobnie jak rodzina Connora, także znalazła w szkole schronienie.

Najbardziej rzucającą się w oczy postacią był tam pan Cavallo, który pilnował córki jak kogut podwórka, w związku z czym wielbiciele dziewczyny żyli w ciągłym stresie.

– To rzeczywiście kusząca propozycja – rzekł Connor ze śmiesznie zmarszczoną brwią. Na ułamek sekundy przez jego smutek przebłysnął dawny humor. Następnie z głośnym westchnieniem Connor wstał z łóżka, otworzył

wieko kufra jednego z kolegów i wyjął z niego czyste bokserki, ciemne skarpetki i wyjściową

koszulę. – Dobra, Max, coś ci powiem. Uprasuj mi spodnie, to pójdę.

– Tak po prostu bierzesz sobie rzeczy chłopaków, kiedy ci przyjdzie ochota? – spytał Max, wyciągając z szafki żelazko, gdy tymczasem Connor wkładał czystą białą koszulę.

– Mniej więcej tak to wygląda – odparł Connor, przyglądając się odbiciu swego języka w małym lusterku.

– Na Stefana zawsze można liczyć, jeśli chodzi o czyste koszule, a Bóg jeden wie, ile jest mi dłużny za to straszne chrapanie.

– Jestem przekonany, że chrapie wyłącznie po to, żeby się z tobą drażnić – odparł Max, w skupieniu prasując kant spodni. – A przy okazji, po co tu był Peter Varga?

– Stary Mrugacz? – zaśmiał się Connor, odciągając sobie od oka powiekę i wywijając ją do góry. – O, odwiedza mnie od czasu do czasu. Zawsze chowa się po kątach i musi powiedzieć swoje, tak mi się wydaje. Od wiosny nie daje mi spokoju.

– Ale o co mu chodzi? – spytał Max. Odstawił

żelazko i utkwiał w Connorze przenikliwe spojrzenie.

– Jak na razie to tylko moja sprawa – odparł Connor.

– Wciąż nad tym rozmyślam. Niech ci wystarczy tyle, że mam nadzieję, że demon w czerni nie przyplynie tu z dalekich mórz.

Max natychmiast pomyślał o opisach Prusiasa, które właśnie przeczytał.

– Connor, demon w czerni, właśnie przypląwa do Rowan. Dziś. Wieczorem. Demon imieniem Prusias.

Przez krótką chwilę Connor milczał, lecz Max był

świadkiem, jak krew odpływa z jego okrągłej, rumianej twarzy. Przygryzł wargę i kiwnął na Maksa, żeby ten rzucił mu wyprasowane spodnie.

– Jeszcze nie skończyłem – zaprotestował Max, oglądając godny pożałowania wynik swej pracy.

– Wszystko jedno – rzekł Connor. Wziął głęboki, uspokajający oddech i wypiął pierś jak kulturysta. Oceniał

swe odbicie w lustrze i zadowolony z efektu klepnął się po okazałym brzuszku, po czym wypuścił powietrze. –

Dziś wieczór będę rozsiewał wokół siebie humor, ciepło i zniewalający wdzięk. Pomięte spodnie to tylko jeden z przejawów geniuszu, a także chytry detal mego mistrzowskiego planu...

Max rzucił mu niedoprasowane spodnie, a Connor przerwał monolog i siadł na łóżku, by je wciągnąć.

Minutę później chłopcy spiesznie przeciskali się korytarzem.

Rowan z zewnątrz świeciło niczym miasto Sidh –

zbudowane z połyskliwego kamienia, oświetlone od środka, pod wstęgami ciemniejącego błękitu. Ze Starego Toma zdjęto rusztowania i czysta kamienna fasada budynku stała obnażona – zupełnie jak pacjent oswobodzony z gipsu i opatrunków.

– Biedak wygląda, jakby był goły, co? – zażartował

Connor.

Max musiał się z nim zgodzić. Bez porastającego go bluszczu stateczny budynek szkolny wyglądał znacznie młodziej. Na szarych kamieniach ścian brakowało patyny starości i splątanych gałęzi, które jak szal okrywały dawniej jego ramiona. Choć budynek stracił na charakterze, to jednak zyskał na jasności, oświetlony od dołu reflektorami wielkości kotłów. W ogrodach rozbrzmiewały

śmiechy

uczniów

i

uchodźców

spacerujących między fosforyzującymi muszlami lub czekających na schodach przed Starym Tomem i Maggie.

Connor pociągnął Maksa za rękaw i wskazał palcem Julie, która z uśmiechem przeciskała się w ich kierunku przez grupę brodatych mędrców.

– No, wreszcie! – wykrzyknęła, wskakując po schodach Domostwa. Dała buziaka Maksowi, a Connora objęła. – Twój tata mnie wysłał, żebym cię poszukała.

Mamy stół w sadzie – trochę za blisko tych dziwolągów z Warsztatu, ale przynajmniej obok gniazda Hanny. Gdzie David?

– Nie przyjdzie – odparł Max krótko. – Mamy już siadać?

– Za minutkę – odrzekła Julie. – Wszyscy mają się najpierw tu zgromadzić na specjalne obwieszczenie.

Connor, w jakim jesteś dzisiaj stylu? Codzienna niedbałość?



– Ujmujący nieład – odparł Connor, wywijając mankiety. – Opanowany do perfekcji, nieprawdaż?

– Niewątpliwie – zgodziła się Julie.

Stali tak we trójkę na schodach, przyciśnięci do poręczy, podczas gdy z Domostwa i z lasów wylewały się strumienie ludzi, którzy kierowali się na ścieżki prowadzące do Sanktuarium. Pomiędzy nimi widać było domowe

skrzaty,

fauny,

lutiny

w

czerwonych

czapczkach, małe elfiny w długich dzierganych czapkach, a nawet Oriona – syryjskiego shedu, stukającego kopytami i niosącego na grzbiecie dzieci.

Nick nastroszył ogon i wmieszał się między zdążających na ucztę, by po chwili przyłączyć się do himalajskiego miinchela. Kiedy na ciemniejącym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, wszyscy zebrali się na dziedzińcu otoczonym ogromnymi białymi pomnikami dawnych znakomitości. Max poczuł, że ktoś szczypie go w łokieć –

to Julie wskazywała palcem oświetloną wieżę Starego Toma. Na balkoniku na wysokości mechanizmu zegara stała mała postać. Była to pani Richter.

Dyrektorka Rowan podniosła rękę, znad której uniosło się pojedyncze białe światełko niczym samotna gwiazdka. Światełko to rosło, rosło i rosło, aż w jego jasności skąpał się cały kampus. Rozmowy zamilkły.

Wszystkie oczy skierowały się na balkonik. Kiedy pani dyrektor przemówiła, jej wzmocniony głos rozbrzmiał

jasno i czysto.

– Panie i panowie, dzieci, mieszkańcy Sanktuarium –

witam was wszystkich na ponownym otwarciu Akademii Rowan. Dziękuję wam za ogromny wysiłek, którego dokonaliście w naszym imieniu.

Max wiwatował i klaskał wraz z tysiącami innych, a jednocześnie przeszukiwał tłum wzrokiem, by wyłowić postać ojca.

Kiedy znowu zapadła cisza, pani Richter podjęła:

– Dziś wieczór witamy również przedstawicieli Warsztatu we Frankfurcie i przedstawicieli Blys, którzy wkrótce do nas przybędą. Wiem, że potraktujecie ich z uprzejmością, która należy się każdemu gościowi.

Zapowiedź ta wywołała przerywane oklaski, pytające spojrzenia i szmer zadawanych ściszym głosem pytań.

– Co to do diabła jest Blys? – spytał Connor, ale Julie szybko go uciszyła, jako że pani Richter znów zabrała głos.

–

Oczywiście

chcemy

uhonorować

tych

wysłanników, lecz dziś wieczór nie gromadzimy się tu z ich powodu. Gromadzimy się z naszego własnego powodu. Przez ostatnie pół roku nie opuszczaliśmy tego kampusu, odbudowując go, naprawiając i sami odzyskując siły. Z radością informuję, że za tydzień bramy staną otworem. Będziecie mogli opuszczać teren szkoły, kiedy zechcecie.

Zagrzmiały oklaski. Wielu spośród zebranych bardzo martwiło się o swoje rodziny pozostałe za murami Rowan.

Innych, w tym Maksa, zżerała ciekawość, jak mają się sprawy na świecie.

Pani Richter ostrzegawczym gestem uniosła rękę.

– Chciałabym was jednak prosić o nieco więcej cierpliwości. Wytrwajcie, dopóki nie znajdziemy nowych uczniów i nie zapewnimy im bezpieczeństwa. Jak wszyscy doskonale wiecie, sytuacja się zmieniła.

Max nigdy dotąd nie widział tylu ludzi stojących w martwej ciszy. Mógł sobie tylko wyobrazić emocje i myśli, jakie kłębiły się w każdym z nich. Nie było rządów państw. Domy zebranych tu rodzin stały porzucone, a los ich bliskich był często nieznanym.

– Lecz inne sprawy – ciągnęła pani dyrektor –

pozostały bez zmian. Dziś rozbrzmi znowu dzwon Starego Toma. Otworzy szkołę i przypomni nam o świętym obowiązku

podtrzymywania

płomyka

–

choćby

najmniejszego – na naszej ukochanej ziemi. Jak inni przed nami, będziemy miastem na wzgórzu, latarnią morską dla tych, którzy szukają schronienia przed burzą. Nie jesteśmy już uczniami, nauczycielami, uchodźcami czy gośćmi Rowan. Jesteśmy jej obywatelami. W tej chwili chciałabym poprosić jednego z nas, by uderzył w dzwon Starego Toma, otwierając tym samym nowy rozdział naszej historii.

Max wpatrzył się w ogromną głowę, która ukazała się w ciemnych drzwiczkach wieży zegarowej Starego Toma.

Był to Bob.

Nawet z dużej odległości chłopak widział

charakterystyczny uśmiech rosyjskiego ogra. Tłum zaczął

wiwatować. Głowę Boba wciąż spowijały bandaże, lecz ogr ubrał się odświętnie na ten wielki dzień. Wyprostował

swą olbrzymią sylwetkę, górując nad dyrektorką.

Nieśmiało, wstydliwie pomachał ręką do zgromadzonych, po czym pochylił się nisko, by szepnąć coś pani Richter do ucha. Ona ucałowała go w policzek i oboje zwrócili się ku tarczy zegara nad swymi głowami.

Kiedy wskazówki ułożyły się już prawie w równej linii, by pokazać szóstą, Bob zgiął się i zniknął w łukowatym przejściu prowadzącym do wnętrza wieży, gdzie znajdował się mechanizm zegara. Tłum zamilkł.

Wydawało się, że wszyscy zebrani wstrzymali oddech.

Nagle, gładko i precyzyjnie dłuższa wskazówka zegara przesunęła się na godzinę dwunastą. Wybiła szóstą.

Stary Tom zadzwonił.

Oczy Maksa napęłniły się łzami, kiedy nad kampusem zabrzmiały uderzenia zegara. Nieoczekiwany hałas spłoszył parę ptaków gnieźdzących się tuż pod wiatrowskazem. Ich ostre głosy wdarły się do uszu Maksa, który nagle z całego serca zapragnął znowu być uczniem. Wydało mu się naraz niesłychanie ważne, by zaszywać się w rozmaitych zakamarkach i czytać, odkrywać sekrety tego świata i kształtować swe życie tak, by służyło pięknemu celowi. Napawał się wspomnieniami o

tablicy i kredzie oraz o podniszczonych drewnianych ławkach i charakterystycznym skrzypieniu grzbietów nowych książek. Nauka, którą kiedyś uważał za męczący obowiązek, wydała mu się teraz niezwykle przywilejem.

Zerknął na Julie. Jej mokre oczy błyszcząły. W tej chwili kampus, a nawet cały świat zdawały się kipieć od nowych możliwości.

Podobnie jak suto zastawione stoły, które kipiały od wszelkiego jadła i napitków. Connor poszedł szukać swojej rodziny, a Max i Julie przyłączyli się do powolnej procesji osób, których stoły znajdowały się na tyłach Domostwa. Stały one w sadzie pomiędzy drzewami, które z nikomu nieznanymi przyczynami nie ucierpiały w ogóle w czasie oblężenia.

Owe święte drzewa o gałęziach ciężkich od złotych jabłek skąpane były teraz w świetle setek latami i świec poustawianych na beczułkach lub skrytych w wieńcach z jesiennych liści. Max wciągnął powietrze przesycone aromatem jabłek i dymu, a dźwięki fujarki fauna i skrzypiec skrzata domowego działały na niego kojąco niczym ciepła kąpiel. Julie pomachała do swojej rodziny siedzącej już za stołem z panem McDanielsem, Hazel Boon, Cooperem i Bristowami. Kiedy Max przywitał się ze wszystkimi i usiadł na końcu stołu, dostrzegł Nolana, zarządcę i opiekuna Sanktuarium, klęczącego nad gniazdem Hanny i pogrążonego w konwersacji z jego mieszkanką. Każde pióro gęsi trzęsło się z oburzenia.

– A więc mam twoje słowo, że te ohydy... te wstrętne, przeklęte ohydy rozumieją, że mają się trzymać z dala od mojego gniazda?

– Tak – odparł Nolan zmęczonym głosem. – Mają już kagańce, a Bellagrog obiecała...

– Ha! – wrzasnęła Hanna i podrapała się w szyję. –

Mówisz, jakby jej obietnice były cokolwiek warte! Sama będzie pierwsza w kolejce, jak przyjdzie do pożerania moich dzieci. – Gęś zniżyła głos do szeptu. – Na miłość Boską, Nolan, ona pożera swoje własne! Moje gąsiątka są całkiem bezbronne, a na dodatek biedny Honk wciąż świeci. Nie może się nawet schować w ciemności!

Max poczuł ukłucie winy i zmieszany zerknął na puchatą żaróweczkę wystającą z gniazda Hanny.

Próbował skoncentrować się na najnowszym dziele sześciolatniego braciszka Julie, Billa, przedstawiającym Maksa walczącego z wielokiem. Uznał, że rysunek koniecznie należy opisać, ponieważ on sam miał na nim czerwoną skórę, a przewyższał wzrostem wieloka tak bardzo, że ten przypominał raczej czarnego króliczka z olbrzymimi zębami. Mimo to oznajmił, że obrazek jest świetny, a Bill promieniał.

Max skoncentrował się teraz na rozmowie między panną Boon, Tellerami i swoim ojcem, który raczył

Coopera opowieściami o drużynie futbolowej z dawnych czasów studenckich. Nie mógł jednak nic poradzić na to, że przez cały czas rozglądał się na wszystkie strony.

– Szukasz Boba, prawda? – spytała Julie.

– Tak – potwierdził Max. Ukradkiem upił łyżeczek wina z kieliszka taty i otarł usta.

– No to idź – szepnęła Julie. – Moja mama narzeka na ciotkę i będzie to robić przez następne pół godziny, a ja muszę siedzieć i kiwać głową. Mam nadzieję, że wrócisz na deser!

Max uśmiechnął się, przeprosił i wstał od stołu.

Przełożył nogi przez ławkę i przeszedł obok niskiego stołu, przy którym cztery lutiny w czerwonych czapeczkach z zacięciem grały w pokera. Schylił się pod gałęzią, minął jeszcze parę stołów, po czym dostrzegł

członków Warsztatu przy dużym okrągłym stole na patio tuż przy ogromnych oszklonych drzwiach prowadzących do gabinetu pani dyrektor.

Prym wiódł tu zadowolony, senny Rasmussen.

Bellagrog co chwila napełniała jego kielich, a Mamuśka krzątała się, uprzątając talerze czy zmiatając ze stołu okruchy. W pewnej odległości od stołu, w pozycji na baczność, stały szpalerem wiedźmiątka ubrane w sztywno wykrochmalone staroświeckie stroje pokojówek. Max usłyszał chichot Bellagrog.

– Ma pan rację, proszę pana – odpowiedziała inżynierowi o budyniowatej twarzy. – To naprawdę bardzo posłuszna gromadka. Wiedźmy i ich młode są najszczęśliwsze w świecie, kiedy mogą obsługiwać wyżej postawionych. Och, i ja, i moja siostra byłyśmy zachwycone, kiedy dowiedziałyśmy się, że będziemy dziś państwu usługiwać. Zachwycone!

Max przystanął na chwilę. Bellagrog dość szybko uzupełniała alkohol w kieliszkach, a poza tym jej stwierdzenie, że była „zachwycona”, kiedy dowiedziała się, że będzie podawać do stołu Warsztatowi, było kompletnie bez sensu – przecież to sama Bellagrog rozdzielala pracę. Max podszedł do stołu, po czym nachylił się, by szepnąć coś Rasmussenowi do ucha. Ten w tym czasie zaśmiewał się, opowiadając o jakimś eksperymencie optycznym, który przeprowadził w dzieciństwie.

– Możemy zamienić słowo? – syknął Max.

– O co chodzi, chłopcze? – spytał Rasmussen, nie podnosząc nawet wzroku. Max spojrzał za niego i napotkał wściekłe spojrzenie wiedźmiątka w kagańcu.

Bellagrog również zamarła w pół ruchu i łypnęła na niego krokodylim okiem.

– To prywatna sprawa – rzekł Max. – Nalegam.

Uśmiech Rasmussena się rozplynął.

– W porządku – odparł inżynier, wytarł usta serwetką i wstał od stołu. – Koledzy, wybaczcie mi na chwilę. Ten młody człowiek „nalega”, żeby zamienić ze mną słówko.

Max zignorował wybuch śmiechu i odprowadził

Rasmussena poza zasięg wzroku i słuchu czujnych wiedźmiątek – na trawnik. Rasmussen patrzył na chłopaka ze złością.

– Proszę przestać pić – rozkazał Max.

Mężczyzna mrugnął i skoncentrował się na słowach chłopca. Wbijał w niego zamglony wzrok z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Wiedźmy próbują pana upić – wyjaśnił Max. – Coś knują. Czyżby naprawdę pan nie pamiętał, że ich kuzynka Gretie znajduje się w waszym muzeum jako egzemplarz pokazowy?

– Brednie! – odparował Rasmussen, potrząsając głową. Spojrzał na chłopca z wszystkowiedzącym pobłażliwym uśmiechem, pokiwał ostrzegawczo palcem i powiedział:

– Jesteś strasznie sentymentalny, Maksie McDaniels, i dlatego przeceniasz ich sentymentalizm. Obawiam się, że kiepski byłby z ciebie inżynier. To są wiedźmy, chłopcze. *Pedivore terribilis* to gatunek nie bardziej uczuciowy niż jaszczurka.

W tym momencie mała, szara rączka pociągnęła go za smoking. Obaj z Makssem spojrzeli w dół i spostrzegli, że wpatruje się w nich jedno z wiedźmiątek. Zza skórzanego kagańca zakrywającego ostry ząb wydobył się ochryply głos.

– Czy miły pan życzy sobie, aby Numerk Trzy podał

popołudniowego drinka?

– Nie, moje miłe wiedźmiątko – odparł

wspaniałomyślnie Rasmussen. – Zaprowadź mnie do niego. Mam ochotę na doskonały, aksamitny koniak...

tylko to wydaje się słuszne, kiedy człowiek ma za chwilę stanąć twarzą w twarz z demonem.

Zaśmiał się, lecz Max dostrzegł w jego twarzy przebłysk prawdziwego strachu, a w uśmiechu – nerwowy tik. Bez słowa pożegnania doktor pozwolił Numerkowi Trzy zaprowadzić się z powrotem do stołu, przy którym jego koledzy wznosili głośne, nieco już niewyraźne toasty za swoje zdrowie.

Przełknąwszy oburzenie, Max okrążył Domostwo i pobiegł na dziedziniec przed budynkami akademickimi, gdzie spodziewał się znaleźć Boba. Nietrudno było go zauważyć. Siedział za stołem pod jarzębinami, a po bokach jego wózka inwalidzkiego czuwały dwie moonenhoveny. Zabandażowana głowa ogra błyszczała od maleńkich kropelek wody z pobliskiej fontanny.

Sącząc zupę pomidorową z ogromnej wazy, Bob uprzejmie skinął głową w odpowiedzi na jakieś pytanie *monsieur* Renarda.

Max szturchnął Boba w ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Olbrzymia głowa odwróciła się i chłopak przez chwilę myślał, że ogr go nie poznaje. Jego małe niebieskie oczka mrugnęły tylko z wielką ciekawością, wpatrując się w niego zupełnie tak, jakby był malutkim, kolorowym ptaszkiem, który z furkotem skrzydełek wyleciał z pobliskiego zagajnika. Wkrótce jednak ciepłe, skórzaste ręce Boba wyciągnęły się i objęły dłonie Maksa. Ogr kiwnął na jedną z moomenhoven, by ustawiła wózek na wprost chłopca.

– To mój Maks, prawda? – zagrzemiał jego głos, gdy tymczasem dłoń klepała rękę chłopca tak delikatnie, jakby był króliczkiem. – Bob nie najlepiej ostatnio widzi.

– Tak, to ja – rzekł Max. Zauważył, że Bob jest szczuplejszy, a jego nogi wyglądają, jakby to były same kości. Zeszłoroczny atak pozostawił na starym ogrze wyraźne ślady. Po jego ciepłym bezzębnym uśmiechu nie dało się jednak tego poznać.

– Bardzo miło cię widzieć, Bob – odezwał się Max. –

Jak żyjesz?

Ogr wzruszył ramionami.

– Bob jest twardy. Nie obejrzysz się, a znowu będzie robił eklerki i suflety.

– Więc wracasz w przyszłym tygodniu do kuchni? –

spytał Max.

– Od jutra – szorstkim, zdecydowanym głosem odpowiedział ogr, spoglądając znacząco na jedną z opiekujących się nim moomenhoven. – W kuchni Bob jest potrzebny.

– O, tak – potwierdził Max. – Widziałeś już wiedźmiątka?

Bob zmarszczył brwi, kiwnął głową i pochylił się niżej. Jego plamista, pergaminowa skóra pachniała mydłem i dojrzałymi jabłkami. – Bądź dobry dla naszej Mamuśki. Potrzebuje cię. Bellagrog jest... trudna. Obiecuj Bobowi, że odwiedzisz jego małą Mamuśkę.

– Nie ma sprawy – obiecał Max.

– Dobry z ciebie chłopak.

I to był koniec wizyty, ponieważ powieki śpiącego ogra zatrzepotały, a uścisk jego dłoni rozluźnił się. Bob zamknął oczy i splótł palce dłoni, co sprawiło, że wyglądał jak pobożny, pełen nadziei chłopczyk w Wigilię Bożego Narodzenia. Jego wielka głowa kiwnęła się, a wtedy jedna z moomenhoven błyskawicznie strzepnęła jego serwetkę, a druga z wysiłkiem przestawiła kółka wózka. Parę minut później szef kuchni Rowan chrapał

smacznie, a obie pielęgniarki, sapiąc i dysząc, pchały go na wózku w kierunku łóżka.

Kolacja miała się ku końcowi. Wiele młodszych dzieci wstało już od stołów i biegało w najlepsze, obrzucało się szyszkami i generalnie robiło wszystko, by zwrócić na siebie uwagę pogrążonych w rozmowach przy stole dorosłych. Nad głowami biesiadujących mrugały gwiazdy, a w powietrzu czuć było wrześniowy chłód.

Kiedy Max wracał do swojego stołu, niebo niespodziewanie rozbłysło. Odwrócił się i zobaczył opadające iskry złotych fajerwerków.

Błyszczały nad morzem.

Max pospieszył w tamtą stronę. Kluczył między pustoszejącymi stołami wraz z setkami innych biesiadników spieszących ogrodowymi ścieżkami i na przełaj przez trawniki, by ustawić się wzdłuż skalistego urwiska. Niebo na wschodzie znów rozbłysło wybuchem złotych fajerwerków, które najpierw rozkwitły niczym róże, aby za chwilę z sykiem iskier opaść ku morzu. Max dosłyszał głosy tych, którzy już coś zauważyli –

mianowicie okręt na Atlantyku.

Przeciskając się przez tłum, Max stwierdził, że ogólne poruszenie ustępuje upiornej ciszy. Ponieważ nie mógł znaleźć dobrego punktu obserwacyjnego, wspiął się na piedestał posągu Eliasa Brama, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie stojącej obok mistyczki. Ponad głowami zebranych wpatrywał się w granatowoczarne fale. Dostrzegł wreszcie okręt taki, jakiego nigdy nawet sobie nie wyobrażał.

Był nieprawdopodobnie wielki. Nie zachwiałyby nim nawet gigantyczna fala ani monstrualny przyływ. Max pomyślał,

że

jednostka

nie

została

zapewne

zaprojektowana z myślą o ziemskich morzach. Olbrzymi okręt przypominał zmodyfikowany galeon z jasno oświetlonymi

iluminatorami,

umieszczonymi

w



nieregularnych odstępach i na różnych wysokościach wzdłuż burt. Dziesięć masztów wysokości sekwoi górowało nad pokładem, całkowicie spowitym nocną mgłą. Na masztach dumnie bieleły idealnie wybrzuszone wiatrem jedwabne żagle. W poświacie było dokładnie widać, że każdy z nich ozdobiony jest kunsztownym haftem – zapewne jakimś symbolem. Z początku Max myślał, że może to być pieczęć Astarotha, jednak kiedy przyjrzał się dokładniej, stwierdził, że zamiast znaku demona w okręgu przedstawiono dwa splecione ze sobą snopy zboża, zachodzące na siebie tak, że wyznaczały trzy mniejsze okręgi, przywodzące na myśl monety. Dzięki wcześniejszej lekturze Max rozpoznał, że to znak Prusiasa. Z zapierającą dech w piersi potęgą okrętu zadziwiająco kontrastowała lina, którą przycumowano go do ciemnych skał Czuwania Brygidy. Była cienka i delikatna.

Bum!

Z długiej armaty na rufie okrętu znowu wystrzelono fajerwerki. Wzleciały wysoko w niebo, po czym oszałamiająco jasno eksplodowały, zmieniając na chwilę ciemną wodę w morze złota. Kilkoro dzieci zaczęło bić brawo, dopóki rodzice ich nie uciszyli. Fajerwerki bladły.

Potężny galeon stał nieruchomo na fali. Max poczuł, że czyjeś palce splatają się z jego palcami. To Julie wspięła się na piedestał i przycupnęła obok.

– To demony? – spytała spokojnie. – Słyszałam, jak mówiła o tym panna Boon.

– Tak, to one – odparł Max ze zmarszczonym czołem.

– Jak myślisz, ile ich tam jest?

– Mniej, niżby się mogło wydawać – odpowiedział. –

Przybyły rozmawiać, nie walczyć.

– To po co przyplłynęły na tak potężnym statku? –

spytał stojący w pobliżu mężczyzna z córeczką na rękach.

– Żeby nas onieśmielić – odparł Max.

– Udało im się – rzekła Julie i zadrżała. Wiatr znad oceanu przywiał strzępy zimnej mgły.

# MAJESTATYCZNY GRAVENMUIR

Wiatr jęczał, a pochodnie strzelały iskrami, kiedy demony po kamiennych stopniach wspinały się do Rowan.

Max przyłączył się do reszty członków Czerwonego Bractwa, którzy odsuwali gapiów od krawędzi klifu, jak również od krętych ścieżek prowadzących do Sanktuarium. Obiecał Julie, że kiedy tylko da radę, przyjdzie na ognisko, po czym wrócił nad urwisko i stanął

między mistykami, agentami, nauczycielami i uczonymi, wśród których znajdowali się członkowie Warsztatu.

Obserwowali barkas, który odbił od galeonu i oświetlony pochodniami, mknął ku kamienistej plaży.

Gdy demony po długich schodach wspinały się na szczyt urwiska, Max zauważył, że jego oddech stał się krótki i płytki. Zastanawiał się, czy to strach. W

zamyśleniu przyglądał się olbrzymiemu okrętowi zacumowanemu z dala od brzegu i cichej procesji nieznanych gości, po czym stwierdził, że owszem – to strach. Ale nie tylko. Również złość. To Max kopał grób dla Jimmy'ego – dozorczy łazienki chłopców, który strzygł

ich na starodawną modłę i bez ostrzeżenia spryskiwał

wodą kolońską. Tego wesołego skrzata domowego znaleziono po obłączeniu w potwornym stanie. Choć nic złego nie zrobił, leżał martwy na grządce tulipanów przy północnym skrzydle Domostwa. Jimmy'ego, który próbował przebić się do szukających schronienia w Sanktuarium, zabili właśnie ci, którzy teraz przybywali.

Lub ich słudzy.

Max splótł palce. Czuł, jak w jego ciele wzbiera powoli fala nieprzyjemnej, wciąż narastającej siły.

Przeszył go dreszcz. Upadł na jedno kolano.

– Co się dzieje, Max? – spytał Cooper, podchodząc do chłopca.

– To święte miejsce – wychrypiął Max, po czym spojrzął za siebie, na pomnik Brama, gdzie obiecał

Nigelowi, że będzie się hamował. – Demonów nie powinno tu być.

Twarz Coopera nie zdradzała żadnych uczuć.

– Jesteś członkiem Czerwonego Bractwa, Max –

powiedział surowo i pociągnął chłopca, by wstał. – Panuj nad sobą.

Max kiwnął głową. Czuł jednak, że serce dziko wali mu w piersi. Głęboko wciągnął zimne powietrze

i wpatrzył się w ogień, wokół którego ustawiono dwa szerokie krzesła. Ogień rozpalał się coraz mocniej –

strzelał iskrami i rzucał złocisty blask na twarze gospodarzy Rowan, którzy po kolei zajmowali miejsca.

Pani Richter siedziała już w centralnej części pierwszego rzędu. Twarz miała poważną i nie spuszczała wzroku z miejsca na urwisku, gdzie powinny za chwilę ukazać się demony. Cooper i Max również podeszli do ognia i zajęli miejsca. Cooper usiadł po prawej stronie pani dyrektor.

– Jesteś królewskim synem – Max wyszeptał do siebie słowa, którymi pożegnała go Scathach.

Cooper rzucił mu krótkie spojrzenie, ale nic nie powiedział. Max zamknął oczy i jak mantrę powtarzał w myślach to zdanie. Wokół siebie słyszał tylko przyciszone, nerwowe głosy i skrzypienie krzesła.

Nagle wszystko ucichło.

Max otworzył oczy, by stwierdzić, że nad linią urwiska ukazały się dwa identyczne sztandary na długich drzewcach – oba z okrągłą pieczęcią Astarotha. Łopotały na morskiej bryzie, kiedy oczom zebranych ukazały się postaci, które je niosły i które w cichej procesji szły przez trawnik.

Przez

cały

ten

czas

Max

siedział

jak

zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać wzroku od koszmarnych istot, które znajdowały się na usługach Astarotha. Niosący sztandary byli istotami wyższymi i chudszyimi od ludzi, patykowatymi, o twarzach ukrytych za maskami mimów. Maski te – prymitywne, pierwotne –

wyobrażały barana i byka i wznosiły się na dwa metry powyżej ramion noszących je istot. Powłócząc połatanymi szatami, stwory szły przez trawnik. Max uważał, że są przerażające. Przyszły mu na myśl pogańskie lalki, wskrzeszone do życia i przeznaczone do ciemnych celów.

Za nimi płynęła fala dziwacznych stworzeń.

Ani uzbrojone ogry, ani wieloki z błyszczącymi w ciemnościach oczami bestii nie zadziwiły Maksa.

Za to reszta – prawdopodobnie same demony – niezupełnie odpowiadały jego wyobrażeniom.

Niektóre wyglądały dokładnie tak, jak oczekiwał.

Potężne i diaboliczne, miały zakrzywione kły i budzące grozę twarze o agresywnym wyrazie. Inne za to przypominały

potulnych,

strachliwych

uczonych.

Zwłaszcza jeden chochlik – bez szyi, o brzoskwiniowej cerze, nie większy od kilkuletniego berbecia. Demony, w przeciwieństwie do chroniących je ogrów i wieloków, były ubrane dostatnio. Gdy się zbliżały, wydawało się, że powietrze przed nimi drży, jakby przed tą różnorodną zgrają płynęła fala gorąca.

Kiedy sztandarowi w maskach doszli do krzeseł, zatrzymali się i stanęli na baczność. Przez chwilę panowała grobowa cisza. Mieszkańcy Rowan przyglądali się gromadzie demonów.

W końcu pani Richter podniosła się i przemówiła:

– Nastal czas pokoju, kruki odleciały, a ziemia jest nieruchoma. Witajcie w Rowan.

Tłum przybyszów wydał z siebie ogłuszający jazgot.

Potem rozległ się nikły dźwięk wesołych dzwoneczków, a ogry, wieloki i pomniejsze demony rozstąpiły się, by kogoś przepuścić. Znowu rozległ się śmiech – tym razem podobny do krótkiego wesołego szczeknięcia, jakby ten, kto się śmiał, próbował się pohamować.

– Pani Richter, wita nas pani ze zbyt wielkimi honorami – wykrzyknął głos. – Wita nas pani z poezją na ustach, melodyjnym rytmem zaklęć... Na pustkowiach mej ojczyzny nie mieszkają kruki, ale wysłę tam parę i od tej pory będą znane jako zwiastuny pokoju, nie wojny.

Gigantyczna postać o ludzkich kształtach wyszła przed sztandary, wspierając się na lasce z kości słoniowej.

W porównaniu z innymi demonami, Prusias zdecydowanie przypominał człowieka. Z tego, co Max czytał, wynikało, że demon ten wcielał się w potężnie zbudowanego, lecz niedołązniejszego szlachcica. Pierś miał szeroką i beczkowatą, obleczoną w czarną, bogatą tunikę. Nogi, nieproporcjonalnie chude w porównaniu z ogromem tułowia, przypominały szczudła. Jego rysy były głębokie i wyraziste, jakby wyrzeźbiła je pewna, zdecydowana ręka. Cerę miał oliwkową, bardzo smagłą, a po licznych zmarszczkach można było sądzić, że jest skory do śmiechu. Była to twarz sceniczna – rysy skrojone na wielką miarę. Teatralny efekt całej postaci podkreślała czarna grzywa i długa, zapleciona broda. Mimo królewskiego wrazenia Prusias roztaczał wokół siebie raczej aurę wodza plemiennego niż wytwornego władcy.

W głębokich oczodołach świeciła para okrągłych, niebieskich kocich oczu, która przypominała o jego przerażającym, demonicznym dziedzictwie.

Brzoskwiniowy chochlik podskoczył bliżej i odchrząknął.

– Mam zaszczyt przedstawić lorda Prusiasa, władcę potężnego Blys, obrońcę...

– Dosyć już, dosyć – warknął Prusias i odsunął

chochlika na bok. – Jesteśmy wśród przyjaciół, niepotrzebne

nam takie formalności. Czas na

przedstawianie się nadejdzie później. Gabrielle Richter już znam. A gdzie jest człowiek imieniem David Menlo?

– zapytał, przebiegając wzrokiem tłum. – Mój pan prosił, abym przekazał mu szczególne wyrazy szacunku.

Zebrani poruszyli się. Głowy zaczęły się obracać w poszukiwaniu Davida. Rozległy się szepty.

– Nie ma go tu – odparła pani Richter z budzącym podziw spokojem. – Nie czuje się zbyt dobrze.

– Ach, smuci mnie to, co słyszę – rzekł Prusias z uśmiechem. – Bardzo pragnąłem go poznać. – A czy jest z nami drugie dziecko Starej Magii, abym mógł je powitać?

Całe Rowan zwróciło oczy na Maksa, który z kolei zacisnął powieki i zapragnął znaleźć się gdzieś bardzo, bardzo daleko. Na życzenie pani Richter wstał jednak.

Twarz oświetlały mu promienie księżyca. Jeden z demonów – wysoki, uzbrojony rakszasa, stojący za plecami Prusiasa, wyszczerzył zęby i przekrzywił głowę, najwyraźniej szacując siły chłopca.

– *Caia, Prusias!* – wykrzyknął inny demon, z dziobem i szeroko rozstawionymi natarczywymi oczami lemura. – *Lihuar connla nehunt un homna. Connla brearg un Sidh.*

– *Vey, miyama.* – Prusias skinął głową, odpowiadając demonowi jak ciekawskiemu dzieciakowi. – Ale nieuprzejmie jest rozmawiać w naszym języku w obecności gospodarzy.

Demon o natarczywych oczach skłonił głowę na znak przeprosin i cofnął się o krok.

– Co on powiedział? – spytał Max, odpowiadając na wyraźne oznaki zainteresowania demonów, które gromadziły się i cisnęły wokół niego.

Prusias jednym niecierpliwym spojrzeniem stłumił

ich gadaninę.

– Na jej oko nie jesteś człowiekiem – wyjaśnił. – W

świecie księżycy twoja aura świeci identycznie jak te z naszego królestwa... i inne. Pewien jesteś, Max, że nie jesteś demonem?

Przez parę sekund bezczelne pytanie wisiało w powietrzu. W końcu Prusias mrugnął, a jego jowialna twarz wykrzywiła się w rozbawionym uśmiechu.

Następnie skłonił się uprzejmie przed Makssem. Chłopak nie odwzajemnił gestu.

Kilka demonów zachłysnęło się ze zdumienia.

Powietrze przesyciło wyczuwalne napięcie. Max czuł na sobie przeszywający wzrok pani Richter.

Prostując się powoli, Prusias mrugnął i wlepił wzrok w Maksa.

– To nie wystarczy – rzekł i uniósł brew, spoglądając krótko w stronę pani Richter. – Poddani powinni znać etykietę.

– Max – zwróciła się do chłopca nienaturalnym głosem dyrektorka – powitaj w odpowiedni sposób lorda Prusiasa, abyśmy mogli przystąpić do omawiania ważnych spraw.

Max odwrócił się, by na nią spojrzeć, lecz nagle stała się dla niego tak mało istotna jak postać z filmu. Nie była rzeczywista. Nie istniała naprawdę. Jej oczy patrzyły na niego błagalnie, lecz dla niego pozostawała za mgłą. W

jego uszach dudniły bębny – tysiąc bębnów, tysiąc okrzyków i tysiąc rogów pobudzało do życia Starą Magię w jego krwi.

– Nie jestem poddanym.

Ktoś ciągnął go za ramię. Cooper. Max spojrzał na niego nieuważnie, jakby agent był dzieckiem. Następnie zdecydowanym ruchem zdjął z siebie jego rękę.

– Max McDaniels nie przemawia w imieniu Rowan, lordzie Prusiasie – rzekła pani Richter i wstała, by głęboko się uklonić. – Szczerze za niego przepraszam, to jeszcze dziecko.

Max rzucił jej pełne złości spojrzenie, lecz ona nie spuszczała wzroku z Prusiasa, który śledził rozwój wydarzeń czujnie i cierpliwie. Demon uśmiechnął się wyrozumiale, lecz w jego oczach błyszczała wrogość.

Wreszcie wzruszył ramionami, które następnie zatrzęsły się w wybuchu śmiechu.

– Proszę się nie kłopotać, pani dyrektor – wykrzyknął

i skinął na nią, by wstała. – To czas ucztowania i wesołości! Współczuję naszemu młodemu przyjacielowi.

Zawsze

tak

jest,

kiedy

wynikają

podobne

nieporozumienia. Zajmijmy się raczej zadaniami, które stoją dziś przed nami. Jest parę punktów porządku, które trzeba omówić, zanim będziemy mogli rozpocząć zabawę.

Czy otrzymam twoje pozwolenie, Max, by przedstawić warunki lorda Astarotha? Są wspaniałomyślne.

Max nie spuszczał z Prusiasa wzroku. Demon, ciężko wsparty na lasce, oddawał mu spojrzenie. Jego twarz ani przez chwilę nie straciła wyrazu spokojnej kontemplacji, co sprawiło, że Max nagle odczuł, jak dziecinnie się zachował. Powoli zajął miejsce.

Na komendę Prusiasa demony zasiadły w pierwszym rzędzie krzesel po drugiej stronie ognia – naprzeciwko starszyny Rowan. Było ich około dwunastu. Część w wyszukanych kolczugach, inne w eleganckich szatach. Za ich plecami ustawily się ogry i wieloki – potężne i ponure, a z boku sztandarowi.

– Gdzie się podział nasz uroczy posłaniec? – spytał

rozpromieniony Prusias i odwrócił się do swej świty.

Jeden z wieloków wybiegł naprzód, lekko pociągając za smycz, do której uwiązany był ktoś, kto do tej pory skrywał się za szeregiem ogrów. Max usiadł. Była to kobieta w średnim wieku, a przynajmniej na taką wyglądała. Garbiła się, ubrana w krzykliwe jedwabie i czapkę trefnisia. Jej siwiejące włosy były wilgotne od potu, a w oczach, którymi wodziła wokoło, malowało się niezrozumienie. W trzęsących się dłoniach kobieta ścisnęła obsydianową tubę.

Prusias wygładził jej włosy i życzliwie, niczym dobrotliwy wujaszek, szepnął coś do ucha. Kobieta wypuściła lśniącą tubę, on poklepał ją po głowie, po czym została wyprowadzona z powrotem na tyły, gdzie usiadła na ziemi i wbiła palce w trawę.

Wciąż wsparty na lasce Prusias osunął się na krzesło naprzeciwko pani Richter. Uśmiechnął się szeroko i zabębnił palcami w tubę.

– Witają was Cztery Królestwa – rzekł. – A ja mam zaszczyt przemawiać w ich imieniu.

Odkręcił z czarnej tuby srebrzystą nakrętkę, po czym wyjął i rozwinął długi zwój pergaminu gęsto

zapisanego czerwonym atramentem. Uniósł go i ustawił tak, by móc czytać przy świetle ognia.

– Królestwo Rowan będzie wielkie! – oznajmił

podniesionym głosem, by wszyscy mogli go słyszeć. –

Jeśli zgodzicie się na poniższe warunki i podpiszecie dokument, ziemia ta będzie należeć do was. Rowan będzie zarządzać własnym losem, kwitnąć w spokoju, będzie ją chronił własny port...

Przez chwilę Prusias milczał. Jego oczy – szafirowe, wypełnione wewnętrznym blaskiem, błędziły po twarzach zgromadzonych osobistości Rowan i Warsztatu z wyrazem wielkopańskiej wspaniałomyślności.

– Jakie to warunki, lordzie Prusiasie? – zapytała pani Richter, przełamując ciszę. Na jej słowa Prusias mrugnął i ponownie skupił wzrok na zwoju.

– Jest ich tylko siedem – odparł, nawijając sobie na palec pasmo włosów z brody. – Siedem Świętych Dekretów. Tylko tego muszą przestrzegać wasi ludzie, aby zapewnić sobie łaskę naszego pana. Są to warunki bardzo rozsądne.

Prusias odwrócił się na krześle i wykręcił szyję, by rozejrzeć się po kampusie.

– Jak bez wątpienia zauważyliście, lord Astaroth od pewnego czasu oczyszcza ten świat z nagromadzonego na nim plugastwa i choroby. Powietrze znowu jest czyste, gleba żyzna, a oceany tętnią życiem. Rodzaj ludzki musi rozpocząć nowe życie – pod troskliwym okiem mądrzejszego i łagodniejszego gospodarza. To Rok Pierwszy.

– Czy to jeden z dekretów, lordzie Prusiasie? –

spytała pani Richter.

– Obserwacja. – Demon uśmiechnął się i z powrotem zajął się odczytywaniem pergaminu. – Dekret pierwszy dotyczy terenów, suwerenności i bezpieczeństwa Rowan.

Rowan będzie piątym królestwem pod rządami Astarotha.

Jego ziemie ciągnąć się będą od tego wybrzeża na zachód aż po pasmo Appalachów, na północ po rzekę Great, a na południe – do Aloncjuin Chesapeake. Rowan będzie zarządzać tym obszarem i wedle własnego uznania rządzić jego mieszkańcami. Żaden lord ani aspirant demonów pod karą śmierci nie wtargnie na te ziemie i nie skrzywdzi jej mieszkańców.

Wśród starszyny Rowan rozległ się pomruk świadczący o pełnej aprobaty uldze.

– Czy nasze bezpieczeństwo jest gwarantowane również poza tym terenem? – spytała pani Richter.

– Niestety – odparł Prusias. – Nasz pan wzdraga się przed



dawaniem

nierozsądnych

obietnic.

Jak

powiedziałem, żaden demon nie wtargnie na wasze ziemie bez zaproszenia, nie będziemy też wypowiadać wam wojny. Jeśli jednak ktoś z waszych ludzi opuści granice Rowan, będzie zdany na łaskę i niełaskę tego świata.

Maksowi nie podobało się niedbałe wzruszanie ramionami Prusiasa ani to, że jego oczy stawały się puste i zdekoncentrowane za każdym razem, kiedy przerywano mu pytaniem. Zastanawiając się nad odpowiedzią, Prusias miał w zwyczaju gładzić się po brodzie i bezwiednie oblizywać czerwone wargi. Tworzyło to odrażający, drapieżny kontrast z jego uśmiechami i dyplomatyczną mową.

– Musimy więc dbać o siebie sami – potwierdziła pani Richter. – Proszę mówić dalej.

– Wielu mieszkańców Rowan zostało obdarzonych mehrun – darem „magii”, jak to nazywacie. Jako nosiciele owej łaski pamiętacie też dawniejsze czasy i jesteście w posiadaniu ksiąg i mądrości, które przetrwały Upadek.

Dlatego drugi dekret brzmi: zabronione jest wywożenie jakichkolwiek ksiąg, dokumentów czy w ogóle słowa pisanego poza granice waszego obszaru. Akt taki będzie uważany za poważną prowokację. Czy to jasne?

Pani Richter skinęła głową niczym skarcona uczennica.

– Doskonale – zaśmiał się Prusias. – Dekret trzeci: zakazane jest nauczanie czytania, pisania i historii osobom spoza Rowan.

Twarz demona spoważniała, a jego oczy błędziły po zgromadzonych, zatrzymując się dłużej na postaciach uczonych.

– Pozwólcie, że uświadomię wam wagę punktu trzeciego, przyjaciele. Jeśli będziecie nauczać czytania, pisania czy historii jakkolwiek istotę ludzką poza tymi granicami, życie straci nie tylko nauczyciel i uczeń, ale i każdy człowiek w promieniu stu mil. Rozumiecie?

Zapadła cisza.

– Rozważmy to – odparła po dłuższej chwili pani Richter. Max nigdy dotąd nie widział jej w takim stanie.

– Koniecznie – odparł Prusias, na nowo przyjmując pogodny wyraz twarzy. Wpatrywał się w pergamin, dopóki nie odnalazł miejsca, w którym skończył.

– O, tu jesteśmy... warunek czwarty. Mieszkańcy Rowan mogą żyć i prosperować w wolności, ale granice państwa pozostają zamknięte. Nikomu nie wolno wkroczyć na teren Rowan bez zgody naszego ambasadora.

Rowan i jej przedstawiciele nie mogą również poszukiwać innych osób urodzonych z mehrun. W przeciwnym razie nasz kontrakt utraci ważność.

– Ale oni są nieśmiertelni! – syknął Max do Coopera.

– Chcą nas tu zamknąć jak w zoo, dopóki wszyscy nie pomrzemy i nie pozostanie po nas mamy pył.

Usta Coopera zacisnęły się, lecz agent milczał. To samo nakazał gestem Maksowi.

– Dekret piąty – ciągnął Prusias – dotyczy mistyki i przyzywania. Ten dział sztuki mistycznej jest od tej chwili zamknięty. Wszystkie prace opisujące szczegóły przyzywania demonów – se'irimow, shedimów, afrytów, dzinów, ahrimanów, lilinów, marid, asura, degas, daitya, rakszas, nefilimów, vetalasow, druidów, chochlików oraz wszystkich innych demonów o absurdalnych imionach, jakie ludzie nadają przedstawicielom naszego rodu, w tym również najszlachetniejszych, których nazywacie duchami niebezpiecznymi – należy usunąć z waszych zbiorów i zniszczyć. Od tej chwili przyzywanie duchów jest zabronione.

– Jak więc będziemy zdobywać wiedzę? – szepnął

jeden z uczonych do ucha sąsiada.

Prusias musiał to usłyszeć, bo odwrócił się gwałtownie i rzekł bezpośrednio do struchlałego uczzonego:

– Zaprawdę, jak? – spytał. – Wydaje mi się, przyjacielu, że będziecie ją musieli zdobywać na własną rękę. Możesz sobie bowiem wyobrazić, jak męczące dla wielu z mego rodu musi być nieustanne, trwające całe wieki odpowiadanie na wasze wezwania, a co więcej –

płacenie za to bólem. Uczeni, uczcie się sami!

Prusias wskazał laską brodatego uczzonego w okularach i zarechotał z własnego dowcipu. Mężczyzna związał się pod przenikliwym spojrzeniem demona, nie odwzajemniając go. Maks przyglądał się lasce Prusiasa.

Stanowiła dziwną podporę dla kogoś tak potężnego. Po co Prusias jej używał? Czy służyła wywoływaniu współczucia? Lata wcześniej Max dał się nabrać, że wsparty na lasce wielok w przebraniu to stary, słabowity człowiek. Nie sądził jednak, aby laska Prusiasa była fortelem. Przypomniał sobie relację Brama: „Przeklęty demon obnażał zęby i powłóczył nogami, poprzysięgając mi zemstę”... Czyżby Prusias wciąż był nie w pełni sprawny po spotkaniu z Eliasem Bramem? Max odwrócił

się, spojrzął na figurę Ikama, na jego dziką, gniewną twarz. Bram oddał życie za uchodźców z Solas, aby mogli przetrwać i założyć nową szkołę. Ale proszę, oto siedzi w niej Prusias, tłusty i

zadowolony niczym Falstaff na uczcie. Max mógł sobie tylko wyobrazić gniew Brama.

– Nasz pan w imię niegasnącego pokoju wydał szósty dekret – ciągnął demon. – Rowan nie będzie szukać zemsty na wiedźmach, które z kolei zrzekają się wszelkich roszczeń wobec kontraktu zwanego „Przysięgą Brama”. Czas wendety minął, a wiedźmy otrzymały własne ziemie w królestwie lorda Aamona.

– Dobrze. A ostatni dekret? – spytała pani Richter.

– Bardzo prosty – odparł Prusias z uśmiechem. –

Również w imię pokoju. Wszelkie nowe wynalazki, plany emigracji i umowy handlowe między królestwami będą przedkładane do wglądu i sankcjonowane przez ambasadę lorda Astarotha.

– A gdzie ona się znajduje? – spytała pani Richter.

Prusias wstał i wyprostował się, po czym rozejrzał po dziedzińcu. Wreszcie zatrzymał wzrok na gładkim trawniku pod własnymi stopami. Postukał w to miejsce laską.

– Tu powinno być dobrze – rzekł, dziwnie rozkojarzony. – Tak, dokładnie w tym miejscu.

Demon wyprostował się na całą wysokość swego potężnego ciała i powolnym krokiem obszedł miejsce, w które uprzednio postukał. Oceniał je raz jeszcze, rozejrzał

się po jego bezpośredniej okolicy, na chwilę zatrzymując wzrok na posągu Brama.

– Dokładnie w tym miejscu – powtórzył szeptem, oblizując wargi.

Następnie utkwiał wzrok w Maksie, podniósł wysoko laskę, po czym z całej mocy wbił ją w miękką dłoń.

Powietrze rozdarł straszliwy zgrzyt, jakby piorun uderzył w metal. Jak wszyscy wokół, Max zakrył uszy rękami i upadł na ziemię, która z jękiem zaczęła się wybrzuszać. Krzesło, na którym siedział, przewróciło się, a on chaotycznie szukał punktu oparcia na chłodnym trawniku, który burzył się i falował. W miejscu, gdzie Prusias wbił laskę, Max zobaczył bulgoczący potok karminowej krwi wypływający spod ziemi – jakby w Rowan ziała otwarta rana. Z tego miejsca – z tego jednego miejsca – wydobywała się dzika, drgająca siła. Stara Magia fala za falą, niczym kręgi na jeziorze, rozchodziła się z zagłębionej w ziemi laski. Fale te wydawały się zakrzywiać i wypaczać zarówno ziemię, jak i powietrze, nadając materii nowy kształt.

Max obserwował, jak trawa pod jego palcami twardnieje, jak splatają się ze sobą jej źdźbła, po czym stają się coraz gładziej i gładziej, aż wreszcie stapiają się w podobną do marmuru zwartą masę. Wydawało mu się, że przyczajona w nim Stara Magia rozszarpuje go pazurami, sprawiając, że skręcał się niczym dzikie zwierzę pragnące uciec z klatki.

Ziemia wyła i jęczała, kiedy wznosiły się wokół nich ściany z żywego kamienia, przesłaniając i księżyc, i nocne niebo, i ściany Starego Toma. Mury te rosły coraz wyżej i wyżej, wypływając od

czasu do czasu odpryski skał i grudy ziemi, kiedy w górę pięły się kamienne wąsy tworzące zarys sklepienia. Z kamienia wyrastały pnącza, których sploty formowały się kolejno w gobeliny i obrazy.

Zbutwiałe muchomory przekształcały się w luksusowe sofy, niewidzialne ręce sięgały po języki ognia, którymi następnie zapalały świece i latarnie oświetlające pomieszczenie w szybkim tempie zmieniające się w najwspanialszą salę, jaką Max widział.

Krzyki i jęki natury powoli ustawały. Głuchy, dochodzący spod ziemi ryk ucichł, kiedy nierówne kanty ścian wygładzały się, tworząc idealną gładź. Max, który cały trząsał się od skumulowanej energii, rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy podobne emocje miały Cooperem i panią Richter.

Okazało się, że nie. Działanie Starej Magii – zwykły akt tworzenia – wywołało u dostojników Rowan szok objawiający się pełną podziwu ciszą. Nie padło ani słowo protestu. Zamiast tego pani Richter i cała reszta wykręcali szyje, by podziwiać salę, której pokryty freskami sufit i złożone ściany mogły spokojnie rywalizować z wnętrzami Wersalu.

Max nie spuszczał wzroku z Prusiasa, który wydawał

się wyczuwać jego spojrzenie – ocknął się ze stanu przypominającego trans, uniósł ciężkie powieki i przywołał na twarz niepokojący uśmiech. Następnie porwał laskę i głośno stuknął nią o marmurową podłogę, przerywając śmiertelną ciszę. Max pochylił się trochę naprzód, by zerknąć na pannę Kraken. Słuchał kiedyś wykładu, podczas którego wiekowa mistyczka mówiła, że ilość magii potrzebna do stworzenia czegoś daleko przekracza ilość energii niezbędnej, by tę rzecz zniszczyć.

Max nie mógł sobie wyobrazić pokładów magii, które musiały drzemać w Prusiasie.

Dostrzegł wreszcie pannę Kraken, siedzącą teraz nie na składanym plastikowym krześle, lecz na antycznej ławie z oparciem, na której znalazła się również panna Boon. Obie wyglądały na sparaliżowane strachem –

odsuwały się mimowolnie od demona, kuląc pod siebie stopy, jakby samo postawienie ich na ziemi oznaczało niewolę.

Max przełknął ślinę. Uznał, że rozsądniej będzie siedzieć cicho i potulnie słuchać.

Stary Tom wybił dziewiątą. Ze swego miejsca chłopak widział przez ogromne witrażowe okno białą tarczę zegara – pofalowaną, wypaczoną. Prusias przeczekał, aż głos dzwonu umilknie, i skinął na ponurych sztandarowych, by cofnęli się na tyły świąty, która siedziała teraz wygodnie na licznych sofach i krzesłach.

Kiedy dzwon umilkł, demon znowu zwrócił się do przedstawicieli Rowan.

– Pozwólcie, że powitam was w naszej ambasadzie –

rzekł, kłaniając się nisko. – Miejsce to będzie nosić nazwę Gravenmuir, czyli po waszemu Czatownia. Nasi przedstawiciele

zawsze

będą

tu

czuwać

nad

bezpieczeństwem Rowan, tu będą wysłuchiwać waszych skarg i wniosków, stąd będziemy czuwać nad pokojem między naszymi królestwami. Ufam, że nie macie nic przeciwko temu.

– Nie mamy – odparła pani Richter.

– Jeśli sobie dobrze przypominam, pani dyrektor, wyraziła pani pewne obiekcje odnośnie do dekretu trzeciego – rzekł Prusias, pochylił się nieco i oblizał

wargi. – Czy wciąż potrzebuje pani czasu, aby go przemyśleć, czy też gotowa jest pani zakończyć negocjacje, składając swój podpis pod dokumentem? Nasz pan bywa wielce nieustępliwy, jeśli chodzi o umowy, więc potraktuję to jako osobistą przysługę, jeśli mi pani...

dogodzi. – Demon uśmiechnął się, lecz wciąż patrzył

pustym, rozkojarzonym wzrokiem.

Pani Richter zwróciła się do swych starszych doradców – panny Kraken, Nolana, Vincentego, Watanabe i innych. Pełne udręki kiwanie głowami stanowiło jednomyślną odpowiedź. Pani dyrektor wstała, by podejść do Prusiasa, który czekał niecierpliwie z wyciągniętym przed siebie pergaminem. Podszedł

chochlik z atramentem i piórem. Dokument został

podpisany.

– No i proszę! – zawołał Prusias, niemal wyrywając pergamin spod pióra. Zręcznie zwinął go i wepchnął do obsydianowej tuby. – Po wszystkim. Mój sekretarz dostarczy pani kopię. A teraz możemy pobłogosławić tę salę, pobłogosławić Gravenmuir, świętując pokój między naszymi narodami.

Demony zaczęły klaskać, wieloki zawyły, a ogry zagrzmiały, podczas gdy sługi – zgarbione stworzenia o oczach larw – pojawiły się w drzwiach z tacami jedzenia i dzbanami wina. Spiesznie rozeszły się po sali, częstując mięsiwem oraz innymi potrawami. Mieszkańcy Rowan stali zażenowani niczym uczniowie na pierwszym balu.

Max z furią machnął ręką, by odegnać dziwaczne stworzenie, które pojawiło się przed nim już po raz drugi.

Wyczuwając z oddali złamanie etykiety, podszedł do niego sir Alistair Wesley.

– Nie wypada odmawiać przyjęcia poczęstunku –

szeptał i wziął z półmiska gęsie udko, które następnie wepchnął Maksowi do ręki.

– Ale ja tego nie chcę – warknął Max.

Wciąż z uśmiechem na ustach, sir Alistair kiwnął

głową przechodzącej kobiecie – demonce.

– Młody człowieku, zachowuj się przyzwoicie. Zjedz tę gęś ze smakiem i z uśmiechem na ustach. Innymi słowy, postępuj jak dżentelmen i przestań wreszcie narażać na niebezpieczeństwo całą naszą społeczność.

Z grymasem na twarzy Max powąchał gęś i wściekły, zdołał uszczknąć kąsek. Sir Alistair westchnął z irytacją, po czym pomknął ku przedstawicielom Warsztatu, jakby byli jego najdroższymi przyjaciółmi. Kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył, że chłopak nachylił się pod pretekstem wiązania sznurowadła.

Kiedy Max kucnął, zbliżyła się do niego para wielgaśnych czarnych buciorów. Chłopak zerknął w górę.

Piętrzył się nad nim sam Prusias.

– Nie ma potrzeby klękać, mój chłopcze – zachichotał

demon, dając ręką znak, by Max się podniósł.

Kiedy ten wstał, rozmowy w ich otoczeniu przycichły, by za chwilę całkiem zamilknąć. Z bliska Prusias był jeszcze większy – wydawało się, że mierzy ze dwa metry, a jego beczkowata pierś ma przynajmniej metr szerokości. Olbrzymia dłoń, na której lśniły ciężkie złote pierścienie, chwyciła rękę Maksa i potrząsnęła nią. Siła tej dłoni była przerażająca. Z uśmiechem na ustach Prusias przyciągnął chłopca do siebie, tak że ten niemal dotykał

tkaniny jego tuniki. Max poczuł, że ciało demona emanuje palącym gorącem, jakby Prusias był samym płomieniem.

Drugą ręką demon uniósł brodę Maksa, zmuszając go, by spojrzał mu prosto w twarz.

– Spotkanie z „niepokonanym” jest doprawdy bardzo odświeżające – rzekł miękko Prusias. – Byłem już przekonany, że będę musiał ścierpieć lament Alexandra w rodzaju: „nie zostały żadne światy” i tak dalej. To ożywcze, odkryć, że jest przynajmniej jeden, kto dotąd nie skłonił głowy. Odwiedź tylko Blyś, odważny Maksie, a wszyscy moi poddani pokonają wiele mil, by cię zobaczyć.

– W dybach, czy na szubienicy, panie? – spytał Max niewinnie.

Słyszając ten ponury humor, Prusias wybuchnął

gromkim, korsarskim śmiechem, od którego zatrzęsło mu się całe ciało. Wypuścił z ręki dłoń Maksa, wygładził

zmięzwione warkocze brody i studiował obojętną teraz twarz chłopaka. Od czasu do czasu wstrząsały nim spazmy śmiechu, a pomiędzy czerwonymi wargami przeblyskiwały małe, idealne ząbki – ząbki dziecka.

– Ach, podobasz mi się, Max – rzekł w końcu i puścił

do chłopca oko. Spoglądając poza jego głowę, zawołał coś jowialnie do panny Kraken i poszedł w jej kierunku.

Mimo że się uśmiechał, kiedy szedł przez salę, nawet demony rozstępowały się na boki, jak to robią pomniejsze rybki, kiedy na ich terytorium wpływa rekin. –

Zgromadźmy się! – zawołał i skinął dłonią. – Nadszedł

czas, by uczcić tę okazję za pomocą medim. Proszę, siadźcie, a ja wyjaśnię wam, na czym to polega.

Zaciekawiony Max obserwował, jak wszyscy przerwali rozmowy i zajęli miejsca siedzące. Max usiadł z tyłu. Kiedy się przemykał do wyjścia, Nigel chwycił go za rękę i wcisnął na miejsce obok siebie.

– Pamiętaj o obietnicy – szepnął zaniepokojony.

Zanim Max zdążył odpowiedzieć, Prusias jednym zamaszystym ruchem łaski zgasił wszystkie światła, jakie paliły się w sali. Pozostał tylko ogień buzujący w żeliwnych piecykach. W półmroku oczy demona świeciły dziwnym blaskiem. Powietrze przesycone było ciężkim zapachem kadzidła. Prusias wyszedł na środek, a jego obecność była tak dominująca, że Max niemal zapomniał, iż znajduje się w Rowan. Demon wydawał się jedynym panem nie tylko tej sali, ale również wszystkiego, co znajdowało się poza nią. Jego głęboki głos odbijał się echem od kamiennych ścian. Cienie tańczyły na obrazach i złoceniach.

– Nasz rodzaj – wyjaśnił – świętuje wszelkie zgromadzenia jak również zażegnane konflikty świętą rywalizacją. Nazywamy ją medim. W ten sposób oddajemy cześć Wielkim Darom naszego Stwórcy, a także tym, którzy je opanowali. Rodzaje rywalizacji w medim różnią się między sobą, lecz zawsze stanowią jedną z trzech wielkich sztuk – alennya, amann i ahulmm. Po waszemu to sztuka piękna, krwi i duszy. Zaczniemy od alennya. Kto będzie reprezentował Rowan z muzyce i poezji?

Prusias czekał, podczas gdy mistycy i agenci Rowan z niepokojem popatrywali po sobie. Minęło jeszcze parę pełnych napięcia minut, zanim podniosła się pani Richter.

– Lordzie Prusiasie, tradycje te nie są nam znane i muszę wyznać, że nie wyznaczyliśmy osób, które mogłyby nas reprezentować.

Kilka demonów prychnęło głośno, a pełen oczekiwania uśmiezek Prusiasa zbladł.

– Tego się nie spodziewałem – odparł. – Mówiono mi, że jesteście ludźmi o wysokiej kulturze. Czyż nie ma wśród

wszystkich

zebranych

mehrun

żadnego

utalentowanego muzyka? Jeśli nie, to bardzo mi was żal...

Cisza, która nastąpiła, była niemal nie do zniesienia.

Rowan dawała bolesne świadectwo, że jest siedzibą nie tylko prostaków, lecz także tchórzy.

– Niech ktoś się zgłosi – jęknął prawie bezgłośnie Max.

W końcu tak się stało. Spośród grupy nauczycieli podniósł się Nolan – nadzorca Sanktuarium Rowan. Kiedy wyszedł na środek, stało się jasne, że Max nie był jedyną osobą, której duma została urażona.

– Dajcie mi skrzypce, a pokażę, co potrafię! –

krzyknął Nolan ze złością.

Duch Nolana był zaraźliwy. Mistycy i uczeni, agenci i nauczyciele jak jeden mąż poderwali się z krzesel i wznieśli głośne okrzyki dla pokrzepienia Nolana. A Max klaskał i krzyczał najgłośniej ze wszystkich.

– Doskonale! – zapał Prusias, a jego rozczarowanie ustąpiło miejsca entuzjazmowi. – Nie ma na co czekać, dajcie temu dobremu człowiekowi skrzypce. Niechaj usłyszemy jego duszę w każdej nucie i każdym akordzie!

Przyniesiono

instrument.

Nolan

natychmiast

przystąpił do strojenia go. Na jego ogorzałej twarzy malowało się głębokie skupienie. Kiedy był już usatysfakcjonowany, kiwnął głową do Prusiasa, który usadowił się wygodnie na poduszce. W sali zapadła cisza.



Nolan trzykrotnie tupnął nogą i zaczął grać. Wybrał

starą irlandzką melodię i grał ją z takim rozmachem, na jaki tylko pozwalał instrument. Poruszał smyczkiem coraz szybciej i szybciej. Prusias chłonał przedstawienie w zachwycie. W końcu, kiedy Max zaczął się bać, że struny zaraz pękną, dźwięki zbiegły się w jedną nutę –

pojedynczą, pełną żalosnej prostoty. Nuta brzmiała długo, potem zadrżała, aż w końcu ucichła.

– Bravo! – zagrzmiął Prusias i zaczął klaskać, po czym wyszedł na środek, by uścisnąć dłoń Nolana.

Nolan – wyczerpany, ale dumny – stanął obok Prusiasa i zaprosił na scenę swego konkurenta.

Okazała się nim delikatna demonka o lisiej twarzy.

Należała do rodzaju znanego jako kitsune. Miała na sobie czerwone kimono i zdawało się, że przemknęła na ustawione w centrum złożone krzesło bez dotykania podłogi. Wielok podał jej zagadkowy instrument.

Przypominał z wyglądu kontrabas, lecz był od niego wyższy i smuklejszy. Wielok ustawił go na podstawie, a kitsune rozluźniła, po czym rozprostowała swe długie, szczupłe palce. W jej dłoniach było coś dziwnego i w pewnej chwili Max niemal krzyknął ze zdumienia.

– Ma po siedem palców w każdej dłoni! – syknął, szturchając Nigela łokciem. – To nie fair!

Nigel uciszył go, a Prusias zabrał głos.

– Możecie być dumni z waszego przedstawiciela –

powiedział.

– Oddajemy mu cześć, że podzielił się z nami swym talentem i podarował Rowan niezwykle widowisko. A teraz popatrzmy, czy lady Akiko i jej belyael będą w stanie mu dorównać.

W sali raz jeszcze zapadła cisza. Lady Akiko zamknęła oczy i precyzyjnie ułożyła dłonie na instrumencie. Najpierw miękko stuknęła w belyael, jakby chciała zachęcić instrument do współpracy, po czym zaczęła grać.

Popłynęła muzyka nie tyle piękna, co dziwnie hipnotyzująca. Palce lady Akiko poruszały się po strunach tak szybko, że niemal nie dawało się ich śledzić wzrokiem. Kiedy grała, każdy z podwójnych kciuków obu rąk zręcznie pstrykał w rozmieszczone na strunach koraliki, zmieniając w ten sposób naciąg i nadając instrumentowi brzmienie, jakiego Max nigdy nie słyszał.

Utwór był prawdziwie poruszający – szybkie szarpanie nut, przerywane szorstkimi akordami i kipiącymi dysanonsami. Nadzieje Maksa na zwycięstwo Nolana zawiodły – nie dość, że kitsune miała dłonie o siedmiu palcach, to jeszcze każdy z nich tańczył po strunach z nadludzką sprawnością. Nolan był uzdolnionym amatorem. Demonka najwyraźniej została stworzona, by grać.

Lady Akiko bez wątplenia zasłużyła na laur zwycięstwa, lecz i kiedy Prusias ogłosił werdykt, Maks miał ochotę protestować.

– Jasne, że wygrała jego drużyna – biadolił, zwracając się do Nigela. – Jak w ogóle można coś takiego rozsądzać? Przecież to strasznie subiektywne, co się komu podoba!

To samo można było powiedzieć o dalszym ciągu medim. Inne konkurencje, które też oceniał Prusias, stanowiły tylko lodowate, i obiektywne potwierdzenie wyższości świata demonów. Natasha Kiraly – zrečna biegaczka, członkini Czerwonego Bractwa, została z łatwością pobita w biegu wokół sali. Łucznictwo okazało się porażką – demon lord Vyndra trzykrotnie trafił w sam środek tarczy, zanim agent Rowan zdążył naciągnąć cięciwę.

Max wprost kipiał gniewem. Odbyło się już parę konkurencji, co do których uważał, że dałby sobie radę znacznie lepiej niż zawodnicy wyznaczeni przez panią Richter. Medim służył udowodnieniu, że demony są nie tylko silniejsze i szybsze, lecz również bardziej utalentowane

i

kulturalne.

Muzyka,

łucznictwo,

szermierka, poezja... demony wygrywały we wszystkim.

Nie sposób było znieść ich rosnącego triumfu. Im większe straty ponosiła Rowan, w tym bardziej buntownicze milczenie popadał Max.

– Czekał – szepnął Nigel.

– Zgodnie z tradycją, ostatnią konkurencją jest walka bez broni – rzekł Prusias. – To najstarsza z konkurencji, a również podstawowy sport amann – sztuki krwi. Kto będzie reprezentował Rowan?

Zadając to pytanie, Prusias odwrócił się i wbił wzrok w Maksa.

– Zignoruj go – rzekł Nigel. – Cooper się tym zajmie.

Tak też się stało – William Cooper wstał już z miejsca i zbliżał się do środka sali, zdjawszy z głowy czarną czapkę, by odsłonić białą czaszkę z nieregularnymi łatanami blond włosów. Widząc, kto się zbliża, Prusias przekrzywił głowę.

– Madam Richter, czy to naprawdę przedstawiciel Rowan? – spytał. – Tyle słyszałem na temat Małego Psa Rowan, a on przez cały medim chowa się za plecami starszyny...

Max omal nie skoczył na równe nogi, lecz Nigel mocno chwycił go za ramię i błagał wzrokiem, by nie ruszał się z miejsca.

– Nie rzucaj się na tak oczywistą przynętę – ostrzegł.

– Pamiętaj o obietnicy.

Max skinął głową, lecz nie przestał splatać drżących palców.

Prusias westchnął i zwrócił się do lorda Vyndry:

– Myślałem o tym, by znów cię wystawić, lecz zadaję sobie pytanie, czy ten człowiek jest ciębie wart. Decyzję pozostawiam tobie.

Ogromny rakszasa siedział ze stoickim spokojem pośród swych zastępców. Był dumnym, budzącym grozę demonem, odzianym w wypolerowaną zbroję, która lśniła miedzianymi łuskami. Na jego zwieńczonej rogami tygryziej głowie błyszczało troje oczu – każde z nich świeciło tak, jakby w głębi za nim buzował ogień. Potwór wstał i wyszedł na środek. Górował nad Cooperem.

Przez parę minut przyglądał się agentowi od stóp do głów, lecz po chwili nachylił się, by spojrzeć mu prosto w oczy. Cooper wytrzymał jego spojrzenie przez pełną minutę. Wtedy Vyndra z dezaprobatą pokręcił głową.

– Boi się – oznajmił. – Nie staniemy przeciwko sobie jak równy z równym. Grahn nauczy go pokory.

Max zagotował się, widząc, jak Vyndra odwraca się plecami do przywódcy Czerwonego Bractwa. Była to najdotkliwsza oznaka braku szacunku. A Cooper w obliczu tak wielkiej zniewagi stał spokojnie z rękami złączonymi przed sobą.

Wróciwszy na swoje miejsce, rakszasa leniwie wskazał na jednego ze swych zastępców – demona o wystających kłach, pokaźnym brzuchu i czterech owłosionych rękach, które wydawały się zdolne do rozerwania człowieka na dwoje. Max z otwartymi ustami gapił się na nowego przeciwnika Coopera.

– O mój Boże – mruknął Nigel, kiedy potwór wskoczył na ring wyjąc przy tym z taką furją, że aż włoski na szyi stanęły Maksowi dęba.

Cooper przygotowywał się do walki – ściągnął

nanokolczugę, odsłaniając umięśniony, blady tors pocięty bliznami. Grahn znowu zawył, a wieloki zdjęty z jego piersi gruby żelazny napierśnik. Cztery umięśnione ramiona, każde z nich grubsze od ramienia ogra, zaczęły się trząść i bić powietrze, jakby chwytając i dusząc wyimaginowanego przeciwnika.

– Nigel – szepnął Max – to ja powinienem tam stać.

Cooper nie może tego robić.

– Cooper da sobie radę – wychrypiał Nigel.

Wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. – Nie wtrącaj się.

– Ale...

– Ale nic – uciał Nigel. – A teraz siedź cicho i mów mi, co się dzieje. Nie mogę na to patrzeć...

– Zasady są proste – rzekł Prusias. – Żadnej broni, żadnej magii, żadnego zabijania. Walka kończy się, kiedy jeden z zawodników się podda. Amann zaczyna się po uderzeniu dzwonu.

Wiele demonów zaciągało się fajkami wodnymi.

Prusias zasiadł na miejscu. Powietrze było gęste od dymu, światło – bursztynowe od ognia w piecykach. Grahn znowu zawył. Dreptał nerwowo na odległość wyciągniętej ręki od Coopera, który z ramionami założonymi na piersi wbijał wzrok w dywanik pod swymi stopami, jego poza przywodziła na myśl raczej więźnia przed egzekucją niż gotowego do walki zawodnika.

Demon przyjął przerażającą postawę kuczną, napinając każdy nerw i mięsień do nagłego miażdżącego ataku. W sali zapadła cisza. Napięcie było nie do zniesienia.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Grahn skoczył.

Max nigdy nie widział, by Cooper ruszał się tak szybko. Błyskawicznym unikiem wywinął się z uchwytu demona i zadał mu precyzyjny, idealnie wymierzony cios w skroń. Słyszając chrzęst, widownia zamarła. Nawet Max nie wydał radosnego okrzyku, kiedy ujrzał efekt ciosu.

Grahn niczym nieruchoma góra mięsa leżał na podłodze.

Czyżby Cooper go zabił?

Przez chwilę nawet on wydawał się niepewny.

Okręcił się na pięcie, strzepnął dłońmi i zamarł, nie spuszczać wzroku z powalonego przeciwnika. Grahn leżał niezgrabnie powykręcany, obojętny na krzyki towarzyszy, którzy ryczeli na niego, by powstał. Wyndra przyglądał się scenie z lodowatą odrazą, lecz Prusias wydawał się prawdziwie rozbawiony.

– Poddajesz się, Grahn? – zawołał szyderczo.

Jedno z ramion demona drgnęło. Za chwilę drugie.

Max przeniósł wzrok na Coopera, który przyglądał

się Grahnowi, by ocenić, czy wstanie, a jednocześnie ostrożnie potrząsał ręką, zginał i prostował palce. Max jęknął. Był pewien, że ręka jest złamana.

– Co się dzieje? – spytał Nigel, który zasłaniał oczy rękami.

– Cooper zwałił go na ziemię – odpowiedział Max. –

A teraz stoi i czeka, aż demon dojdzie do siebie. Dlaczego go po prostu nie wykończy?

Agent jednak nie wykorzystywał przewagi. Ku zbiorowemu rozczarowaniu Rowan Grahn odzyskał

świadomość i gramolił się na nogi. Lewą stronę twarzy miał spuchniętą, świńskie oczka zalepione spływającą krwią. Zachwiał się niepewnie jak pijany, przez cały czas gapiąc się na Coopera. Wyndra ryknął coś w końcu do niego w ich języku. Grahn zebrał się w sobie i przystąpił

do powtórnego ataku.

I znowu Cooper wymierzył mu cios, który zabiłby słabszego przeciwnika. Tym razem jednak Grahn zdołał

utrzymać się na nogach, by za chwilę oddać uderzenie.

Max słyszał krzyk panny Boon, kiedy agent został

gwałtownie poderwany z podłogi. Objęły go dwie pary ramion. Demon zawył i przycisnął Coopera do piersi, gniotąc go niczym szmacianą lalkę.

– Pogruhocze mu kręgosłup – jęknął przerażony Maks.

– Poddaje się! – krzyczała panna Boon. – On się poddaje!

– Zawodnik musi poddać się sam – przypomniał jej Prusias, nie spuszczać oczu z walczących.

I znowu Grahn potrząsnął Cooperem w szaleńczym porywie. Ciało agenta stało się bezwładne. Grahn zachichotał.

– Czy ten człowieczek się poddaje? Czy się poddaje, czy jego skóra ma się znaleźć na ścianie z trofeami Grahna?

Kiedy wydawało się, że agent się odezwie, demon przerwał swój bełkot. Przez twarz Coopera przeszedł

jednak tylko grymas, a z nosa poleciała mu krew. Demon poprawił chwyt, zawył i jeszcze raz zmiażdżył w objęciach Coopera.

– Poddaj się, William! – krzyknęła panna Boon histerycznie.

Czas zwolnił – pełził niemiłosiernie wolno, przedłużając każdą bolesną chwilę. Max po prostu nie mógł na to patrzeć. Cooper nigdy się nie podda – był zbyt dumny, by to zrobić. Max poderwał się na nogi, zdeterminowany, by interweniować.

W tej samej chwili odezwał się Prusias.

– Dość, Grahnie.

Demon przerwał gwałtownie, z niedowierzaniem odwracając głowę w stronę swego pana.

– Tak, powiedziałem, dosyć – powtórzył Prusias spokojnie. – Ten człowiek jest nieprzytomny i nie może się poddać. Tego medimu nie zmąci śmierć.

Grahn, wyjąc, odrzucił ciało agenta na bok. Uderzyło o jeden z piecyków i bezwładne leżało bez ruchu.

Natychmiast rzuciła się ku niemu panna Boon.

– Szkoda – zauważył Prusias, nie odrywając oczu od Maksa. – Szkoda, że ten człowiek został ranny, podczas gdy czempion Rowan kulił się w cieniu.

Tego było za wiele. Z twarzą płonąca ze wstydu, Max wyszarpnął rękę z uchwytu Nigela i zerwał się na nogi.

Wiedział, że robi przedstawienie. Wiedział, że sprzeciwia się rozkazom. Ale nie zważał na to. Wystarczająco straszne było znosić fakt, że Rowan podpisała umowę i została poniżona w czasie medimu. Lecz widzieć leżącego na ziemi, zgniecionego na miazgę Coopera było ponad jego siły.

Dopadł drzwi pilnowanych przez sztandarowych w maskach. Rozstąpili się bez słowa i przepuścili go.

Wyszedłszy z ambasady, Max rzucił się biegiem, jakby goniły go same furie.

## PERGAMINY I PIÓRA

Maks jak oszalały pokonał odcinek między Maggie a Starym Tomem, po czym krętą ścieżką pomknął w ciemny las od północy otaczający kampus. Dysząc, zmuszał się do dalszego biegu, by za wszelką cenę znaleźć się jak najdalej od haniebnego medimu w Gravenmuirze. Nie opuszczał go obraz leżącego nieruchomo Coopera. Nie miał siły przyłączyć się do kolegów bawiących się przy ognisku. Przyspieszył kroku.

Wkrótce znalazł się na nieznanym sobie terenie.

Nigdy jeszcze nie zawędrował tak daleko na północ.

Zarejestrował nieznaczną zmianę w powietrzu – jakby naładowane było czymś dzikim i pierwotnym. Pot chłodził mu skórę, kiedy chłopak wreszcie zwolnił i rozejrzał się po okolicy. Wydawało się, że unosi się w morzu drzew – olbrzymich drzew, które sprawiały wrażenie, że zasadzono je w zapomnianych, pierwotnych czasach. Ich pnie porastał mech, który nasycał powietrze wilgocią. Max zatrzymał się i wytężył słuch.

Cisza była wręcz namacalna. Żadnych ptasich świergotów, żadnych szmerów stworzeń przemykających w leśnym poszyciu – nie zakłócało bezruchu. Max usłyszał łomot własnego serca. Oddychając głęboko, by się uspokoić, wciągał ciężki zapach wilgotnej ziemi, dzikich ziół i opadłych liści. Tam, gdzie się zatrzymał, gęstwina była taka, że czuł się, jakby wkroczył w najczarniejszą noc. Przez parę chwil tylko stał, oddychał i nasłuchiwał, zadowolony, że jest po prostu zwykłym mieszkańcem lasu. Ciemność była tak głęboka, że nie widział swego nadgarstka ani wytatuowanego na nim znaku Czerwonego Bractwa.

Zagłębił się w las – poszedł dalej niż jakakolwiek ścieżka, którą szedł czy widział na mapie Rowan. W

końcu dotarł do polanki, gdzie stał samotnie pradawny dąb. Spomiędzy jego liści błyskały od czasu do czasu światełka – niczym korona z migoczących między gałęziami gwiazd.

Kiedy Max podszedł bliżej, światełka zniknęły.

Zapanował bezruch, lecz mimo to chłopak wyczuwał

obecność życia – żywego, czujnego życia – wszędzie wokół. Las nasłuchiwał, a on był w nim intruzem.

Wyczarował na dłoni krąg niebieskich płomieni i, oparty o pień starego dębu, rozglądał się po polanie.

– Ten ogień mnie parzy.

Max aż podskoczył, usłyszawszy głos – głęboki, kobiecy głos mówiący po grecku. Błyskawicznie zgasił

plomyk i rozejrzał się w poszukiwaniu tego, kto mówił.

Nie musiał szukać długo. Stary dąb zatrzęsł się i z jego spękanej kory wyłoniła się twarz. Zamrugała para pięknych oczu – wilgotnych i błyszczących.

– Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy – odezwał się Max. – Tylko... patrzyłem.

– Wiem – odpowiedział duszek, bynajmniej nie wrogo. – Ale my boimy się ognia i nie lubimy go tutaj.

– Przepraszam – odparł Max, mrużąc oczy, by lepiej widzieć twarz, która wydawała się przemieszczać po pniu i marszczyć na jego nierównościach, zupełnie jakby kora dębu była płynna. Z pnia wystąpiła smukła, gibka postać i Max stwierdził, że oto stoi przed nim ciemnowłosa kobieta o migdałowych oczach, potarganych włosach i lśniącej, jakby siateczkowatej skórze, którą trudno było odróżnić od gałęzi i liści.

– Kim jesteś? – cicho spytał Max.

– Jestem driadą – odparł dziki duszek. Przechylił

głowę i z ciekawieniem przyglądał się Maksowi. –

Mojego imienia nie zdradzę. A ty, kim jesteś?

– Człowiekiem – wyjaśnił Max. – Uczniem Rowan.

– Uczniem, być może – powiedziała w zamyśleniu driada. – Ale człowiekiem nie jesteś. Bo nad twym czołem widzę gwiazdy. Jesteś dzieckiem duchem? Jesteś demonem?

– Nie wiem, kim jestem – odparł Max zachrypłym, pustym głosem.

– Jakie to dziwne, że nie wiesz – odparła driada. – Ja sama dopiero się obudziłam, a już wiem, kim jestem.

– Jak to „obudziłaś się”? – chciał wiedzieć Max.

– Spałam – wyjaśniła. – Driady od dawna trwają w uśpieniu, głęboko między korzeniami tego świata. Lecz teraz wiele z nich się budzi. Zostałyśmy wezwane do życia przez Wielkiego Boga.

– Jakiego Wielkiego Boga? – pytał Max.

– Wielkiego Boga, który zawołał mnie po imieniu –

wyjaśniła driada.



– Astarotha... – rzekł Max. Ogarnęły go czarne myśli na wieść o tym, że demon nie próżnował, jeśli chodzi o Księgę Thotha i jej sekrety.

– Tak – powoli, w skupieniu potwierdziła driada. –

Tak brzmiało jego imię. Słyszałam, jak je do mnie szepce... Lecz czy mądrze jest wymawiać imię Stworzyciela bez należnej czci?

– Astaroth to nie Stworzyciel! – uciał Max. – To demon podszywający się pod Boga!

Widząc ten wybuch, driada cofnęła się o parę kroków, tak że jej ciało znów stopiło się z pniem dębu.

Wydawało się, że jej emocje wahają się między złością a dezorientacją.

– A jakże miałabym nazywać tego, kto tchnął we mnie iskrę życia? – syknęła. – Kim zaś ty jesteś, by szerzyć wiedzę o Stworzycielu? Sam nawet nie wiesz, kim jesteś! Ja jestem driadą. Astaroth zaś jest tym, kto dał

mi życie. Astaroth powrócił, by świat znowu stał się piękną jednością.

– Nie – zmęczonym głosem odrzekł Max. – Demon cię oszukał.

Minęły długie sekundy, podczas których driada zastanawiała się nad jego słowami.

– Może jestem głupia – odparła. – Niewielu tędy przechodzi, a nie mam przyjaciół, którzy wyjaśniliby mi tę dziwną nową aurę, w której zostałam przebudzona.

Ostatnio, kiedy nie spałam, wiedźmy i im podobne istoty bały się ludzi, a dziś w nocy widziałam wiedźmy, które niosły człowieka wysoko na ramionach, jakby był dla nich Wielkim Bogiem!

Max zmarszczył czoło na tak nieoczekiwane słowa driady. Powoli zaczęło w nim narastać zimne, przerażające przeczucie.

– Widziałaś wiedźmy? – wycedził. – Niosące człowieka w las?

– Tak – odparła driada. – Myślałam, że to jakieś święto, bo wiedźmy tańczyły i śpiewały, a człowiek wydawał się bardzo zadowolony. Wił się niczym ryba i wydawał bardzo przejmujące piski.

– O nie – jęknął Max. – Był chudy? Bez włosów?

– Chyba tak – potwierdziła driada.

– Dokąd go niosły? Szybko, mów!

Driada wskazała na północny wschód i Max, nie czekając, ruszył biegiem przez las, rączy jak jeleni.

Wykrzyknął tylko do driady słowa podziękowania i obiecał, że kiedyś wróci.

Poszukiwania zawiodły go z powrotem w stronę wybrzeża. Las nad głową ustąpił miejsca nocnemu niebu, przysłoniętemu ogromnymi perłowszarymi chmurami.

Fale grzmiały u stóp wapiennych klifów. Chłopak przedzierał się przez gęste świerki rosnące nad morzem, nasłuchując odgłosów świadczących o obecności wiedźm i ich ofiary.

Wpadł w końcu na trop, a to, co zobaczył, nie rokowało dobrze, jakieś sto metrów przed nim, na polanie, stała rozsypująca się chata. Płonęło również ognisko, nad którym wisiał olbrzymi osmalony kocioł, a wokół

tańczyły i podskakiwały w wesołym kręgu wiedźmy, rzucając na polanę dziwne cienie. Pośrodku kręgu, przy kotle, stała Mamuśka, która kosztowała rosółu, kiwając się w rytm piosenki Bellagrog. Max, trzymając się w cieniu, podkraść się bliżej. Wówczas dotarł do niego wyraźniej szorstki, melodyjny głos wiedźmy, unoszący się ponad szumem fal:

*Przekroję ziemniak na dwie połowy*

*Dodam marchewkę i trochę selera*

*I szczyptę soli – przysmak gotowy*

*Pyszna potrawka z pana Rasmussena!*

*Raz nam się wymknął – teraz już jest nasz Ostrzegaliśmy go przecież nie raz,*

*Dołóż do ognia, i nie żałuj drew*

*Zemsty, ach zemsty dzisiaj czuję zew.*

Bellagrog i Mamuśka uniosły kieliszki, stuknęły się nimi i ponownie zaczęły śpiewać. Chichotały, gdy jedno z wiedźmiątek wrzuciło do kociołka ziemniak, wychlapując fontannę wrzątku. Maksa zmroziła myśl, że w środku może pływać pokrojone na kawałki ciało Jespera Rasmussena. Przykucnął, oparł się plecami o drzewo i zastanowił, co może zrobić.

Jeśli doniosłby na wiedźmy, cała rodzina Shrope'ow zostałaby

zapewne

wyrzucona

z

Rowan.

W

przeciwieństwie do losu Mamuśki, nie obchodziło go zbytnio, co stanie się z Bellagrog i jej

straszliwym miotem. Lecz Mamuśka, choć była wiedźmą, była jego wiedźmą. Jego i Boba.

Max znowu zerknął na kocioł. Zbrodnia być może już została dokonana, ale nie będzie siedział i nie pozwoli wiedźmom na bezkarną ucztę. Wyciągnął przed siebie rękę, skoncentrował się na ogniu i zaczął chłonać jego strzelającą iskrami energię. Rozśpiewane i rozhasane wiedźmy z początku nie zauważyły, że ogień pod kotłem przygasł, a jasne płomienie objęły złożoną z boku kupę chrustu. Kiedy spod kociołka unosiła się już tylko wąska smużka dymu, Bellagrog przestała śpiewać.

– Oj! – krzyknęła. – Czemu nie słuchacie, moje małe?

Mówiłam wam – dokładać do ognia, podgrzewać gar!

Kocioł jest zimny jak grób Babuni! Dawajcie no tu trochę rozpałki i zaraz się podgrzeje!

Gdy Max zastanawiał się, jak najlepiej rozegrać tę sytuację, wiedźmiątka wyruszyły po drewno na rozpałkę, które leżało starannie ułożone przy chacie. Jedno z nich przysunęło grubszą drzazgę do knota lampy i trzymało ją, dopóki nie zadymiała i nie złapała ognia. Tymczasem Mamuśka postanowiła dodać do potrawy jeszcze parę ziemniaków i marchewek. Obrala je więc i zręcznym ruchem cisnęła przez ramię.

Plusk, który po tym nastąpił, był oczekiwanym następstwem rzutu. To, co stało się po plusku – nie.

Jeden z ziemniaków wyleciał z kotła.

Jego lot był niepewny, ale ziemniak, śledzony wzrokiem przez Bellagrog, wylądował w końcu na ziemi, potoczył się trochę i znieruchomiał. Jak się okazało, nie on jeden. Z kociołka wyskakiwało więcej warzyw – i marchewki, i cebule, i cała główka czosnku – jakby potrawa wszczęła rewolucję na pełną skalę. Bellagrog uśmiechnęła się przebiegle, mięsistą ręką chwyciła ogromną łychę i przez chwilę szacowała jej wagę.

Podszedłszy do gara, zajrzała do środka.

– Uahahahahaha! – zagrzmiała. – Chodź, zobacz, Bea! Doktorek ciągle kopie, oj tak! Och, ależ z niego wojownik! Cóż, ze mnie też jest wojownik, jeśli chcę!

Max był przerażony. Bellagrog zdążyła trzykrotnie grzmotnąć szamoczącego się inżyniera w łusą głowę, zanim Max chwycił ją za nadgarstek. Zszokowana, gapiła się na niego, kiedy wyrywał jej chochlę z ręki i odrzucał

daleko od ognia.

– Więc mi pomóż, Bel – mruknął, odepchnął

Bellagrog i zajrzał do garnka.

Związany i zakneblowany doktor Rasmussen tkwił w środku po nos w rosole z kury. Był oszalały ze strachu.

Spojrzał na Maksa i próbował krzyknąć, lecz z kiepskim rezultatem – wzbudził tylko parę bąbelków w rosole, na skutek czego kawałki marchewki odpłynęły trochę dalej.

– Spokojnie, kochasiu – warknęła za nim Bellagrog. –

Nic się nie dzieje, załatwiamy tylko interesy rodziny Shrope'ow...

– Bellagrog, odłóż ten topór, zanim się do reszty zdenerwuję – warknął Max, kątem oka łapiąc cień złowieszczej wiedźmy. Ta zaklęła siarczyście i zawiesiła sobie narzędzie u pasa.

– Max, nie złość się – błagała Mamuśka.

– Nie złość się?!! – ryknął Max, nacierając na nią. –

Gotujecie go żywcem!

– Cóż, jest strasznie żyłasty – wyjaśniła Mamuśka. –

Miałyśmy zamiar podgotować go na małym ogniu ze dwie godzinki, i dopiero...

Max machnął ręką, nie chcąc słyszeć jej wyjaśnień, po czym odwrócił się do na wpół ugotowanego spanikowanego więźnia, którego skóra błyszczała teraz raczą czerwienią. Kiedy Max wyciągnął inżyniera z rosolu, ten wrzeszczał jak opętany.

– Tak mi przykro – szepnął Max. – Wiem, że to boli... Ale proszę tak nie krzyczeć.

Nic to jednak nie dało. Mimo że już powoli stygł, Rasmussen był różowy, nagusieńki i niepoczyszony niczym noworodek. Po wyjęciu knebla, kiedy Max ostrożnie posadził go na ziemi i zaczął zdejmować pęta, doktor wył. Nawet najlżejsze dotknięcie powodowało grymas twarzy i zawodzenie.

– Chcę... chcę, żeby wszystkie zostały aresztowane! –

skrzeczał, przytulony do Maksa, a z jego ciała unosiły się kłęby pary. – Te małe też. One są najgorsze!

– Óóóó – uspokajał go Max i równocześnie próbował

zdjąć z siebie obejmujące go ramiona Rasmussena.

– Napadły na mnie! – szlochał dyrektor Warsztatu. –

Tuż przed samym spotkaniem...

– Óóóó – szeptał Max, jednocześnie podnosząc go na nogi. – Zaprowadzę pana z powrotem do Domostwa.

Spokojnie, damy sobie radę. No, idziemy.

– Wtrącasz się w interesy rodziny Shrope'ow –

zagrzmiała Bellagrog z twarzą pociemniałą z wściekłości.

– Uważaj, Max, bo sprawisz, że będę musiała umieścić cię na liście!

– Zapomnij o interesach rodzinnych Shrope'ow i wsadź sobie swoją listę, gdzie chcesz – mruknął Max. –

Będiesz miała szczęście, jeśli pani dyrektor, kiedy się o tym dowie, nie wyrzuci cię za bramę!

– Bel mi kazała to zrobić – tłumaczyła się Mamuśka z rękami założonymi na plecy.

– Zamknij się, Bea – warknęła Bellagrog i zebrała wokół siebie potomstwo. Przysadziste, złośliwe małe bestyjki w milczeniu przyłgnęły do wykrochmalonej spódnicy matki i gapiły się na Maksą oddalającego się z Rasmussenem od kotła. Kiedy odeszli już na pewną odległość, usłyszeli prawie niezrozumiały od dławionej złości krzyk Bellagrog, przesywający nocne powietrze:

– To jeszcze nie koniec, Rasmussen! Shrope'owie łatwo nie odpuszczają!

Przerażony inżynier zajęczał głośno i nieporadnie przyspieszył kroku.

Byli już prawie na progu Domostwa, kiedy Rasmussen zdał sobie sprawę, że jest nagi.

O świcie Max oddał poparzonego, półprzytomnego pacjenta pod opiekę moomenhoven. Był wykończony, lecz wciąż zbyt podminowany, by zasnąć. Przechadzał się więc po uśpionym Domostwie, jak cień przemykając przez niezliczone pokoje i kameralne saloniki. Od czasu do czasu mijał domowego skrzata lub kogoś, kto również nie mógł spać, lecz ogólnie rzecz biorąc w olbrzymim domu panował spokój. Domostwo nie zbudziło się jeszcze, by zacząć nową erę swego istnienia.

Bezpośrednio naprzeciw niego, w odległości zaledwie paruset metrów trawnika i ogrodów, wznosił się Gravenmuir.

Max wyszedł na zewnątrz i ze schodów Domostwa patrzył na nowy budynek. Wyglądał jak wielki, czarny sęp, który przycupnął na skraju urwiska. Była to ciemna, gotycka bryła, której wieżyczki i strome dachy pięły się w niebo niczym żelazna korona o wielu iglicach. Kamień, z którego wzniesiono budynek, był zwietrzały, a wieże oplecione ciemnym bluszczem, jakby ambasada demonów stała na smaganym wiatrem wybrzeżu całe wieki. Przy niej budynki Rowan – świeżo odbudowane, nowe i jaśniejsze – wydawały się wręcz nie na miejscu, jak nowicjusze. Gravenmuir był mroczny, jednak przez okna jego wnętrza lśniło światłem w kolorze stopionego złota, kontrastującym z ponurą szarością świtu. Drzwi wejściowe stały otworem i złote światło wylewało się na ciemny trawnik. Najwyraźniej ambasada demona otworzyła już podwoje dla interesantów.

Max odwrócił się na pięcie i zamknął za sobą ciężkie drzwi Domostwa.

Wspinał się po krętych schodach i szwendał po długich korytarzach, aż trafił do Biblioteki Bacona.

Drzwi były otwarte. Dochodziło przez nie zbiorowe nerwowe skrzywienie piór, jakby wszyscy uczniowie Rowan razem wzięci w szaleńczym pośpiechu pisali egzamin końcowy.

Max zajrzał do środka. Jego oczom ukazał się niezwykle widok.

Nad stołami unosiły się setki piór – wąskich, czarnych piór. Pod każdym z nich leżał stos arkuszy pergaminu, stał kałamarz z atramentem i otwarta księga, której strony przewracały się same. Pióra, jakby prowadzone niewidzialną ręką, przepisywały – niczym rzesza skrybów, którzy przedawkowali kofeinę. Na jednym ze stołów siedziały dwa szkockie zające pogrążone w cichej rozmowie nad strzelającym iskrami płomykiem świecy.

– Nie wiem, po co mamy tu siedzieć, Dalrymple –

jęknął młody, złotawobrazowy osobnik z kępkami futra na uszach. – Pióra same świetnie pracują.

– Ale ktoś musi im od czasu do czasu dolać atramentu – odparł starszy zajęc o długich wąsach. – Tak czy siak Tweedy powiedział, że pan Menlo życzy sobie, abyśmy nad nimi czuwali i natychmiast informowali, gdyby coś szło nie tak.

– Przecież to zwykły uczeń, na wszystko, co lubię –

ziewnął śpiący młody. – Od kiedy to w Rowan rządzą uczniowie?

– Uczniowie czy nie uczniowe, Hamish, ten chłopak być może uratował nas przed kolejną Ciemną Epoką. Ja sam położę się dopiero, kiedy będę pewien, że klasycy zostali skopiiowani bez zakłóceń. A teraz siedź już cicho...

Max jeszcze raz zerknął na piszące pióra i cichutko wycofał się z biblioteki. Wzmianka o Davidzie rozbudziła jego ciekawość. Gdzie on się podziewał przez cały wieczór? Może Prusias nie byłby aż taki hardy, a medim taki upokarzający, gdyby największy czarownik Rowan zechciał się na nim pojawić.

Max pospiesznie przeszedł do skrzydła sypialnego chłopców. Otworzył obserwatorium, wszedł do środka i od razu natknął się na dwa listy wsunięte w szparę pod drzwiami. Pierwszy z nich był po prostu zwykłą kartką zgiętą na pół, na której napisano:

*Max, przyjdź do mnie z samego rana. Jest dużo spraw do omówienia.*

*Dyrektor chce się z Tobą widzieć przed kolacją.*

*Cooper*

*P. S. Mam się dobrze. Nie trać przeze mnie snu.*

Max odetchnął z ulgą, po czym zajął się drugim listem. Zarówno brzoskwiniowa papeteria, jak i zgrabne pismo były mu bardzo dobrze znane.

*Cóż, czekałam na ciebie, ile mogłam, ale w końcu się poddałam. Gdzie jesteś? Wszyscy nie robili nic innego, jak tylko cały czas zgadywali i plotkowali o demonach.*

*Miałam nadzieję, że pojawi się ktoś, kto nam to wszystko wyjaśni, ale zostaliśmy zagonieni do Domostwa tylnymi drzwiami i nie pozwolono nam już później wyjść. Serio –*

*jesteśmy pod kluczem! Tak czy owak, ów wyżej wymieniony ktoś znajduje się teraz w poważnych tarapatach, a ponadto jest winien komuś innemu taniec.*

*Tak tylko żartuję. Uważam, że jesteś świetny, i mam nadzieję, że jutro uda nam się spędzić razem trochę czasu.*

*Lunch w Sanktuarium? Można tylko pomarzyć!*

Julie

Max uśmiechnął się i wepchnął liścik do kieszeni.

Zamknął za sobą drzwi. Widok szarego nieba w szklanej półkuli, z bladymi konstelacjami gwiazd, potęgował

uczucie zmęczenia. Max ziewnął i spojrzał na łóżko Davida. Zasłony były zasunięte i nie było słychać charakterystycznego, gwizdzącego chrapania przyjaciela.

Mimo że Max całkiem niedawno rozgniewał się na Davida, żałował teraz, że znowu go nie ma. David patrzył

na wszystko tak logicznie – zawsze paroma dociekliwymi pytaniami umiał rozwiązać zawilości, z którymi Max nie potrafił sobie poradzić. Spoglądając to na zataczające kręgi na niebie gwiazdy, to na rozmaite zakamarki pokoju, chłopak zastanawiał się, gdzie znajduje się tajemne przejście Davida.

Wiedział, że nie będzie widzialne – na pewno nic w stylu połyskliwej zasłony skrywającej wyjście na zewnątrz. Ale miał nadzieję, że je wyczuje – przecież mistycy zostawiali po sobie ślady, a on wyczuwał magię tak, jak widzi się wyblakłą plamę. Powoli podszedł do części pokoju zajmowanej przez Davida.

Zbliżywszy się do utkanych z księżycowego blasku zasłon osłaniających łóżko przyjaciela, zatrzymał się.

Nękało go poczucie winy. David był bardzo zamknięty w sobie i Max miał świadomość, że wtargnięcie na jego terytorium jest jawnym pogwałceniem prawa do prywatności. Próbował spojrzeć na sprawy z perspektywy Davida. Mimo ogromnych i wciąż powiększających się możliwości Maksa, to David Menlo na swych wątłych ramionach i „pożyczonym” sercu niósł nadzieje tego świata. To nie Maksa poproszono o zaczarowanie piór, podnoszenie z ruin budynków lub wróżenie o losach świata poprzez wgląd w przyszłość. Te doniosłe sprawy obciążały delikatnego chłopca o blond włosach, z którym mieszkał w pokoju i który utrzymywał, że ma powody udawać się w pojedynkę na długotrwałe tajemne wyprawy.

Max miał wielu powierników – ojca, Boba, Coopera, a nawet Hannę – i nagle uderzyło go, że przecież David był kompletnie sam. Kiedy pojawił się w Rowan, nie wiedział nic o istnieniu swojej rodziny, z wyjątkiem chorej mamy w Kolorado. O ile Max się orientował, matka porzuciła Davida, a wszystkie listy, które do niej pisał, będąc dzieckiem, wracały z dopiskiem „zwrot do nadawcy”. David znosił to mężnie, podobnie, jak wiele innych rzeczy – z pełnym dojrzałości stoicyzmem, tak kłóącym się z jego młodym wiekiem. Panna Kraken, pani Richter czy ktokolwiek z uczonych byłby zachwycony, gdyby mógł pełnić rolę przybranej rodziny Davida, lecz Max wiedział, że przyjaciel nigdy do tego nie dążył. Jeśli już, to jako przybraną rodzinę traktował

Maksa. A we wszystkich innych sprawach polegał tylko na sobie.

Są jednak sprawy, rozmyślał Max, w których człowiek nie może polegać tylko na sobie. David przyznał

się, że widział już Prusiasa... Tylko gdzie? Myśli Maksa nabrały tempa. David wiele wiedział, ale odmawiał

odpowiedzi na, wydawałoby się, rozsądne pytania. David eksperymentował z substancjami, które dla Maksa mogły być niebezpieczne. David przyzywał rozmaite istoty, co teraz będzie srogim pogwałceniem zasad Astarotha.

Max włożył kciuk w szparę między jedwabnymi zasłonami łóżka. Przyjaciel używał tajemnego przejścia, by szukać odpowiedzi na swe pytania. Być może mógłby to zrobić i on, Max. O ile wiedział, David bardzo ryzykował – narażał się na wielkie niebezpieczeństwo.

Max zawiódłby przyjaciela i złamał przysięgę, gdyby nie wyruszył go szukać. Zerknął na tatuaż Czerwonego Bractwa na nadgarstku. Miał święty obowiązek chronić swego nieuchwytnego, wykrętnego współlokatora... dla wspólnego dobra.

Rozsunął zasłony. Mimo wyrzutów sumienia wkroczył na najbardziej intymne terytorium Davida – na teren obok jego łóżka – i rozglądał się za jakimś przejściem, zamaskowanymi drzwiami prowadzącymi na zewnątrz. Stary Tom wybił w oddali siódmą. Max przesunął łóżko, sprawdził, co jest pod nim, i przekopał

pościel, zdeterminowany, by odszukać czarodziejskie przejście. Nie znalazł jednak nic poza kawałkiem zmiętego pergaminu, swetrem od mundurka Rowan, pustą buteleczką po krwi ulu – rzadkiej i cennej substancji pozwalającej tłumaczyć języki ezoteryczne – z jej zaschniętymi resztkami na ściankach.

Max, zgarbiony z przygnębienia, usiadł na łóżku. Nie dość, że pogwałcił prywatność Davida, to jeszcze nic nie znalazł. Westchnął i siedział dalej bez ruchu, dopóki nie spostrzegł czegoś kątem oka. Przekrzywił głowę i gapił

się na zagłówek łóżka. Wydawało mu się bowiem, że jego mahoniowa struktura w pewnym punkcie wiruje, najpierw na zewnątrz, potem jakby wkręcając się do środka –



zupełnie jak coś, na co się patrzy przez szkło powiększające. Max skoczył na nogi, stanął obok i z triumfem odkrył, że ciemne cząsteczki drewna układają się w dające się rozróżnić litery. Triumf szybko jednak prysł, gdy okazało się, że utworzyły napis będący prztyczkiem w nos dla intruza.

HASŁO?

– Menlo! – wybuchnął Max. – Kolorado... Maya...

Ulu... Richter... Sidh... Szewc... Czarownik... Lody... nie, nie, nie!

Ostatni okrzyk nie był próbą podania prawidłowego hasła, lecz pełną desperacji próbą wyzycia się na zagłówek, na którym zaczął blednąć napis. Litery zlały się w jedną strukturę i drewno wróciło do swego oryginalnego wyglądu. Max postukał w nie, lecz nic się nie wydarzyło.

– Tak blisko – jęknął, wtulając głowę w poduszkę Davida. Spojrzał w powiększone konstelacje nad głową.

W polu widzenia błyskała Kasjopea, po chwili – Perseusz, potem gwiazdozbiór Wieloryba. Max mrugnął, a złota nić łącząca gwiazdy mitycznego morskiego potwora rozwiała się, nie pozostawiając po sobie nic prócz maleńkich pyłków światła.

Kiedy się obudził, leżał we własnym łóżku. Podparł

się na łokciach i stwierdził, że wciąż ma na nogach buty, a na szafce nocnej ktoś postawił szklankę wody. Usiadł, rozsunął zasłony i przez poręcz spojrział na dolną część pokoju.

David siedział przy stole i pisał coś w swym dzienniku. Max nie mógł się nadziwić, jak łatwo David przestawił się na leworęczność – jego lewa ręka była już równie sprawna jak niegdyś prawa (którą stracił).

Długopis poruszał się szybko. David od czasu do czasu kiwał się w tył i w przód, zatopiony w myślach. Max wziął do ręki szklankę z wodą i powoli zszedł po schodach.

– David, przepraszam, że szperałem w twoich rzeczach – rzekł schrypniętym głosem. – To było złe.

David nie odpowiedział od razu. Zamiast tego odepchnął swoje krzesło od stołu, wstał i podszedł do szafki, skąd wygrzebał zniszczone pudełko po butach.

Otworzył je, wysypał na stół stos kart z graczami w baseball i zaczął w nich grzebać. W końcu znalazł tę, której szukał, i wziął ją do ręki.

– Chodź, zobacz – rzekł.

Max patrzył przez chwilę na wyblakłą kartę przedstawiającą

zawodnika

odbijającego

piłkę,

uchwyconego w momencie dynamicznego zamachu.

Przypominała prześwietloną fotografię.

– To zawsze była moja ulubiona karta – powiedział

David. – Kiedyś, w Kolorado, zbierałem karty baseballowe. Nie mieliśmy za dużo pieniędzy, ale karty były tanie i z każdą paczką dostawało się gumę do żucia gratis. Zawsze, jak tylko miałem dolara na zbyciu, wsiadałem na rower i zjeżdżałem na dół ze wzgórza do sklepu

pana

Twilla

– mówił, uśmiechając się

nostalgicznie. – Pewnie już dawno nie istnieje. W każdym razie uwielbiałem to oczekiwanie. Wydawałem dolara i co sił w nogach pedałowalem do mojego tajnego miejsca nad rzeką, gdzie mogłem siedzieć w spokoju, z dala od tego wszystkiego, co działo się w domu. Każdą paczkę otwierałem, żułem gumę, a karty odwracałem, jakbym wróżył sobie z nich przyszłość. Większość z nich była do chrzanu, ale pewnego dnia znalazłem w paczce właśnie tę...

– Naprawdę jest cenna? – chciał wiedzieć Max.

– Nie – roześmiał się David. – Była warta może z dziesięć dolców, ale jest najlepsza, jaka mi się w życiu trafiła. Pieniądzy u nas w domu nie było. Mama nie mogła pracować i sąsiedzi ją wykorzystywali. Wiedzieli, kiedy przychodzi jej renta, i zawsze się wtedy pojawiali po bardzo pilną pożyczkę, tylko ten jeden, jedyny raz. Ale nigdy to nie była prawda. I nigdy nie oddawali tych pieniędzy.

– Czemu? – pytał Max. – Czemu wciąż dawała im pieniądze?

David nie spuszczał wzroku z karty.

– Moja mama jest upośledzona, Max – odparł, ostrożnie wymawiając słowa. – Ma iloraz inteligencji około sześćdziesięciu. Nietrudno ją nabrać.

Max ze zrozumieniem kiwnął głową, lecz nie wyjawiał

koledze, że z wrażenia aż zakręciło mu się w głowie.

David niezwykle rzadko wracał do swej przeszłości.

Dotąd tylko raz wspomniał o matce – powiedział wtedy, że nie była w stanie sięnim opiekować. Max zawsze myślał, że albo była bardzo chora, albo piła.

– No – ciągnął David – i pewnego lata jeden z sąsiadów, pan Bailey, przyszedł do nas z pękniętym dzbankiem do herbaty i sprzedał go mamie. Bałem się pana Baileya i schowałem się za kanapą. Patrzyłem tylko, jak przegląda jej portfel i przelicza pieniądze. Powiedział

mamie, że szczęście jej dzisiaj sprzyja, bo dzbanek wart jest dwieście dolarów, a ona dostanie go za dziewięćdziesiąt trzy, które miała w portfelu. Mama wręczyła mu pieniądze, a on na to w śmiech i mówi, że jest spryciarą.

– David – powiedział cicho Max – to, co mówisz, jest straszne.

David kiwnął tylko głową.

– To były wszystkie pieniądze, które mieliśmy, a następna renta miała przyjść dopiero za tydzień –

wyjaśnił. – W domu nie było nic do jedzenia. Następnego dnia siedziałem i widziałem, jak mama zagląda do lodówki, marszczy czoło, a potem przeszukuje portfel.

Zrobiła to z sześć czy siedem razy. Nie była w stanie skojarzyć faktu, że w portfelu nie ma pieniędzy, a my nie możemy kupić jedzenia. Następny tydzień był potworny.

Była tak głodna, że płakała i leżała na podłodze. Kiedy wreszcie zasnęła, wyjąłem tę kartę i oglądałem ją pod lampą. Wiedziałem, że mogę ją sprzedać, a pan Twill zapłaci mi za nią dziesięć dolarów. Ale nie zrobiłem tego.

– Więc co zrobiłeś? – spytał Max.

– Po zmroku przegrzebałem śmietnik sąsiadów –

odparł David i odłożył kartę na stół, zdjęciem do dołu. –

Nakarmiłem mamę karmą dla psów, ale zatrzymałem sobie kartę.

Max milczał. David zebrał karty do pudełka.

– Każdy zachowuje się czasem tak, że się tego wstydzi – rzekł w końcu. – Źle, że naruszyłeś moją prywatność. Źle, że nie sprzedałem karty. Wstydzę się tego, co zrobiłem. Wiem, że ty też się wstydzisz.

Max ostro spojrzał na kolegę.

– Prawdę mówiąc, David, załuję tylko, że zostałem przyłapany. Chciałem wiedzieć, co robisz.

– A ja chciałbym ci powiedzieć – odparł David. – Ale tak się nie stanie.

Max zmarszczył czoło i spojrzał uważnie w twarz kolegi w poszukiwaniu jakiegokolwiek słabego punktu, śladu utajonej chęci, by podzielić się wiedzą. Nie znalazł

go jednak.

– Poznałem Prusiasa – rzekł wreszcie ponuro. – Ty zawsze o wszystkim wiesz, jak się wydaje, więc pewnie wiesz i o ambasadzie.

– Tak – potwierdził David. – Prusias jest większym głupcem, niż mogłem mieć i miałem nadzieję.

– Cóż, cieszę się, że tak sądzisz – powiedział Max. –

Ale nie wygląda na głupca. Wydał dekrety i wzniosł

Gravenmuir jednym maleńkim ruchem laski. Nigdy nie czułem większego natężenia magii w jednym punkcie. To było przerażające.

– Właśnie! – rozpromienił się David. – Zapomnij na chwilę o dekretach – były całkowicie do przewidzenia.

Ciemężcy zawsze narzucają reguły ograniczające przemieszczanie się, komunikację, badanie historii, rozwój nauki ciemżonych... Hitler, Stalin, Pol Pot. Co nie było do przewidzenia, to niecierpliwość Prusiasa, by jak najszybciej popisać się nowo odkrytą władzą. To prawdziwa słabość, Max. To coś, co można wykorzystać.

– Co masz na myśli? – spytał Max. – Jaką nowo odkrytą władzę?

– Prusias to potężny demon, ale należy do tych, których sens życia opiera się na bogactwach i ich gromadzeniu. To, co dziś w nocy pokazał, przekracza wszystko, co widziały dotychczas ludzkie oczy. Ja nie byłbym w stanie uczynić tego, co zrobił Prusias... on zresztą też.

– Więc... jak?

– Sam to powiedziałaś – rzekł David, uśmiechając się i popychając w kierunku kolegi metalową puszkę ciastek.

– Laska – myślał na głos Max. – Wydawało się, że energia płynie z laski. Więc laska jest artefaktem?

– Sądzę, że laska zawiera jakiś niezwykle silny składnik – odparł David. – Jest skarbem Prusiasa, i to takim, który ma powodować głęboką zazdrość wśród jego rywali. Tak między nami – zdaje mi się, że w lasce została umieszczona jakaś strona z Księgi Thotha. Prusias jest równocześnie zbyt arogancki i zbyt impulsywny, by zdać sobie sprawę, że podobne demonstrowanie potęgi i władzy wywoła w Rowan – i nie tylko w Rowan – wiele pytań. Założę się, że jego rywale dowiedzieli się już o wczorajszych fajerwerkach i odpowiednio modyfikują teraz swoje spiski.

– Jacy rywale? – spytał Max. – I jakie spiski?

– Przywódcy trzech pozostałych królestw – wyjaśnił

David. – Nie wierzę, jakoby Prusias był pośród czterech władców demonów najstarszy czy najpotężniejszy, ale na tę misję został wybrany jako reprezentant Astarotha. I oto zademonstrował swój najpotężniejszy i najbardziej rzucający się w oczy dar. Lordowi Aamonowi się to zapewne nie spodoba. Lilith ani Rashaverakowi także nie.

Wybacz, że to powiem, ale jedynym sukcesem Prusiasa wczorajszej nocy było to, że udało mu się sprowokować cię do niesubordynacji. Wyszło na to, że pani Richter nie ma ostatniego słowa, jeśli chodzi o decyzje w sprawie Rowan.

– A skąd ty o tym wiesz? – spytał Max.

– Byłem tam.

– Co?

David kiwnął tylko głową i zamknął swój dziennik, a długopis odłożył na wierzch.

– Jeśli to, co powiem, sprawi, że poczujesz się lepiej, to posłuchaj: ten wieczór nie do końca był sukcesem Prusiasa. Jestem przekonany, że był bardzo rozczarowany, że nie wskoczyłeś na ring.

–

Mało

brakowało,

a

byłby

całkowicie

usatysfakcjonowany – przyznał Max, marszcząc brew na wspomnienie niedawnych wydarzeń. – Nienawidzę Prusiasa.

– Jeśli cię to pocieszy – mruknął David – nie ciebie jednego pragnął tej nocy sprowokować.

– To znaczy? – spytał Max.

– Widziałeś tę kobietę w jego świetle? Tę w kostiumie trefnisia, która przyniosła dekrety?

Max kiwnął głową.

– To moja matka.

## OSTROŚCI, PŁASZCZYZNY I FOKI SELKIE

David Menlo nie rozwodził się nad szczegółami swego rewelacyjnego doniesienia. Nie zdradził ani cienia emocji, kiedy Max zasypywał go gradem pytań dotyczących pani Menlo, jej obecnych losów i tego, czy jest bezpieczna tam, wśród demonów.

Nie było rozmowy.

Max wziął prysznic, ubrał się i przeszedł przez skrzydło z sypialniami uczniów, by dostać się do części budynku, gdzie znajdowały się pokoje starszych nauczycieli. Gdzieś tutaj powinno być też mieszkanie Coopera, w którym Max nigdy jeszcze nie był. Przyglądał

się drzwiom i czytał wizytówki, dopóki jakiś pomocny mistyk nie wskazał mu prostych drewnianych drzwi w końcu wąskiego korytarzyka. Max zastukał i z radością przyjął fakt, że za drzwiami rozległ się znajomy głos Coopera z charakterystycznym akcentem cockney.

– Otwarte!

Max wszedł z pewnym wahaniem. Cooper siedział za niewielkim biurkiem. Jego pokój nie przypominał pałacu o ścianach wybitych jedwabiem. Ba, daleko mu było nawet do przytulnej chaty Connora. Był wzorem spartańskiej prostoty. Max rozglądał się po pustych ścianach i zastanawiał się, czy przestrzeń ta została kiedykolwiek skonfigurowana. W kącie leżał śpiwór. Poza tym był tu regał na książki, biurko i zniszczony kufer podróżny.

– Jak się czujesz? – spytał Max, zerkając na bandaż na rękę agenta.

– No, jestem trochę poturbowany – mruknął Cooper, smarując obdarte ze skóry kostki dłoni jakąś maścią. – Ma ścisk ten Grahn, ale bywało gorzej.

– Żałuję, że uciekłem – odparł chłopak. – Po prostu...

Cooper machnięciem ręki zbył słowa przeprosin i obwiązał dłoń ostatnią warstwą bandaża. Rozprostował

palce i wstał.

– Nie po to chciałem, żebyś przyszedł – powiedział. –

Siadaj. Chcę ci coś pokazać.

Podszedł do kufra, wyciągnął talię kart do gry i usiadł

po turecku na podłodze. Zręcznym ruchem przedzielił

talię na pół i zaczął metodycznie tasować karty.

– Wiesz, na czym polega gra w sekret? – spytał.

– Co?

– Gra w sekret – powtórzył agent, znowu dzieląc talię na pół i tasując jeszcze szybciej. – Więc gra w sekret to gra między sprytnym a frajerem. Sprytny to drapieżca, frajer to ofiara. A więc w większości gier są trzy stadia, Max. Pierwsze stadium nazywa się zobowiązanie. Sprytny sprawia, że frajer kupuje wstępną część gry.

Zobowiązanie jest bardzo ważne, bo ustala scenerię do dalszej gry. Na przykład gra w karty...

Ręce Coopera poruszały się niczym błyskawice.

Znowu uderzył w talię i przetasował ją, przesyłając z ręki do ręki strumień kart.

– Stadium drugie – ciągnął tym samym tonem – to zmiana. Zachodzi wtedy, kiedy spryciarz pozwoli frajerowi zauważyć coś nieoczekiwanego i w ten sposób skłonić go do myślenia, że jest mądrą i że kontroluje sytuację. Każdy frajer pragnie myśleć, że jest spryciarzem, i dobrze rozgrywana gra pozwala mu to robić.

Mówiąc, Cooper od czasu do czasu wyciągał

spomiędzy kart asa – wybierał je, wydawałoby się, siłą woli. Trick był sprytny, lecz Max dostrzegł, że agent zawsze stara się mieć asa przy dłoni, oddzielając je od reszty kart i czekając, aż się przydadzą.

– Jasne, jasne – odparł zmęczonym głosem. –

Chowasz karty, żeby udowodnić, że jesteś nie do ogrania.

– Nie – odparł agent. – Niezupełnie. Zapominasz o trzecim stadium gry, Max. Trzecie i ostatnie stadium nazywa się prestiz i zachodzi wtedy, gdy frajer został już wykiwany i jest przekonany, że jest górą.

Coś klepnęło Maksa w ramię.

Odwróciwszy się błyskawicznie, Max ujrzał nad sobą pociętą bliznami, obojętną twarz Coopera. Agent stuknął

chłopaka między pełne niedowierzania oczy nożem w pochwie, po czym odłożył broń na biurko. Ominął Maksa i pochylił się, by przyjrzeć się iluzorycznej kopii samego siebie, która wciąż tasowała karty jakby nigdy nic. Po chwili donośnym pstryknięciem rozwiął iluzję.

Myśl, że właśnie zaprezentował się jako frajer, sprawiła, że policzki Maksa poczerwieniały.

Cooper wzruszył tylko ramionami.

– Być ogranym to żadna frajda – podsumował. –

Chciałem ci tylko pokazać, że nie zawsze odgadniesz, na czym polega trick. Jest takie stare powiedzenie pokerzystów: „Jeśli nie widzisz frajera, to znaczy, że sam jesteś frajerem”.

– Więc uważasz, że jestem frajerem? – warknął Max i poczuł, że zaczyna w nim wrzeć.

– Nie, kolego – spokojnie odpowiedział Cooper. –

Nie

jesteś

frajerem,

ale

jesteś

impulsywnym

szczeniakiem. Weźmy choćby wczorajszy wieczór...

– Chcę o nim zapomnieć – przerwał mu Max. –

Dlaczego po prostu nie wykończyłeś Grahna, kiedy miałaś taką szansę?

Cooper uśmiechnął się.

– Nie lubię, jak ktoś mnie wodzi za nos, zresztą tak samo jak ty – odparł agent. – Ani pani dyrektor, powinienem

dodać.

Ale

wczorajszy

wieczór

zdecydowanie nie był okazją, by wykładać na stół

najlepsze karty. Jeśli demon będzie przekonany, że jesteśmy kupą żalonych frajerów, to tym lepiej dla nas...

Max gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Więc dałeś się pokonać celowo?



– Takie miałem rozkazy – odrzekł Cooper, wzruszając ramionami. – I widzisz, prawie to spartaczyłem. Ten Vyndra tak mnie wkurzył, że uderzyłem potem gostka całą parą. Cholera, prawie go zabiłem. Dyrektorka nie byłaby zadowolona, gdyby się wreszcie nie podniósł.

– A dlaczego nie pozwoliłeś mi wejść na ring? –

spytał Max.

– Bo jesteś impulsywnym szczeniakiem – powtórzył

Cooper. Osobiście nie sędzę, żebyś pozwolił się pokonać.

No i są inne opcje...

– Na przykład?

– Na przykład ten Vyndra, Max – wyjaśnił agent. –

Grahn to tylko brutalne bydło, ale Vyndra jest naprawdę niebezpieczny. Sędzę, że gdybyś ty wszedł na ring, Vyndra nie zleciłby roboty Grahnowi. Sam by się z tobą porachował.

– I co z tego? – uciął Max. – Nie boję się go.

– A może powinieneś.

– Jesteśmy w Czerwonym Bractwie – odparł Max dumnie. – Więc nic nie jest nam straszne.

Cooper zmarszczył czoło i odszedł w drugi kąt pokoju.

– Jesteśmy w Czerwonym Bractwie – potwierdził. –

A to oznacza, że musimy czasem znaleźć się w miejscach, w których inni znaleźć się nie mogą. Miejsca te w większości są mroczne, a to, co w nich znajdziemy –

przerażające. Udawanie, że jest inaczej, nie czyni z ciebie bohatera, Max. Czyni z ciebie głupca.

Max nie odpowiedział. Jego wzrok przyciągnął

dziwny przedmiot – coś w rodzaju strusiego jaja – na najwyższej półce regału na książki. Cooper patrzył tylko, jak chłopak zdejmuje lśniący owal i pociera ręką jego tłustawą powierzchnię. Przedmiot ów pokrywała błona ślizgająca się pod palcami.

– To jakieś jajo? – spytał Max, ważąc w obu rękach nieoczekiwanie ciężki przedmiot.

– Odwróć to – zasugerował Cooper.

Max odwrócił.

Jego wzrok padł na ogromną przekrwioną gałkę oczną z kobaltowoniebieską tęczówką. Max natychmiast upuścił ohydny przedmiot. Ten upadł z trzaskiem i potoczył się do stóp Coopera, który podniósł go i umieścił

z powrotem na półce, przekręcając tęczówkę tak, by nie musieli na nią patrzeć.

– Czyje to, do diaska? – wydusił Max.

– Fomorianina – mruknął Cooper.

– Och! – wyjąkał Max. – Tego z wyspy Man?

– Tego samego – potwierdził Cooper.

– Señor Lorca o nim mówił – dodał szybko Max. –

Mówił, że przez niego....

– Straciłem twarz – wybawił go z niezręcznej sytuacji Cooper.

– Ty też go chyba nieźle uszkodziłeś – rzekł Max.

Agent po prostu się zaśmiał.

– Kto to wie? Fomorianie, a przynajmniej ten jeden, mają dowolną liczbę oczu. Ja pamiętam to jak przez mgłę.

Pół twarzy miałem spalone... zostały tylko zwęglone strzępy, naprawdę. Chyba miał zamiar rozgryźć mnie na miazgę. Ale kiedy udało mi się podejść bliżej...

Max skrzywił się, gdy agent uczynił dziki, szarpiący ruch ręką.

– Co się wtedy stało? – szepnął Max.

– Nie wiem. – Cooper wzruszył ramionami. – Kiedy Lorca mnie znalazł, byłem nieprzytomny, a to oko tuliłem do siebie jak pierwotne dziecko. Tak czy inaczej, mam teraz pamiątkę, która mi przypomina, że bać się to żaden wstyd.

Agent uśmiechnął się, lecz przez jego uśmiech wyraźnie przeziarał ból. Max przypomniał sobie zdjęcia Coopera przed wypadkiem. William Cooper był kiedyś bardzo przystojnym facetem.

– Czy moomenhoveny nie mogą jakoś... no, wiesz, wyleczyć tych blizn?

– Próbowaly – odparł Cooper. – Fomorianin należy do Starej Magii, rządzi nim pradawna siła, stara jak korzenie i skały. Jego dzieła nie bledną tak szybko.

Ponieważ co nieco o tym wszystkim słyszałeś, to chyba wiesz, dlaczego pojechałem go szukać.

– Señor Lorca mówił, że miał naprawić włócznie Cuchulaina – odparł Max.

– Racja – odrzekł Cooper. – Też byłem impulsywnym szczeniakiem.

– Czemu? – chciał wiedzieć Max. – Co było impulsywnego w tym, że chciałeś naprawić Gae Bolga?

– Wszystko – odpowiedział Cooper, wpatrując się we własne dłonie. – Byłem świeżo przyjęty do Czerwonego Bractwa. Zabrano mnie do krypty, abym wybrał sobie broń. Wiljak i reszta pokazali mi złamaną włócznie Cuchulaina i powiedzieli, że to największy skarb Bractwa.

Inni nie mogli nawet jej dotknąć, bo Gae Bolga parzyła ich albo z wrzaskiem wrywała się z ich rąk. Na początku i ja nie mogłem jej dotknąć. Ale wciąż próbowałem i odkryłem, że pozwala mi się trzymać – minutę czy dwie.

W końcu zaczynało boleć, ale nie potrzebowałem większej zachęty. Czytałem opowieści, Max... Myślałem, że jeśli ją naprawię, ona uczyni mnie niepokonanym.

Zrobiłem się zachłanny. I zapłaciłem za to.

Twarz agenta zachmurzyła się na samo wspomnienie.

Zamrugał.

– Tak czy siak, wczorajszy medim i moja utarczka z Fomorianinem to nie jedyne powody, dla których cię tu zaprosiłem. Teraz, kiedy podpisaliśmy układ z Astarothem, wyruszamy na wyprawę zwiadowczą. My, czyli Czerwone Bractwo. Jutro rano. Dzielę dwunastu członków na sześć par. Ty pojedziesz ze mną.

– Dokąd jedziemy? – spytał Max.

Cooper rozwinął zabytkową, ręcznie rysowaną mapę Ameryki Północnej. Rysunek wschodniego wybrzeża był

bardzo

szczegółowy,

natomiast środkowa

część

kontynentu była prawie pusta. Max przebiegł wzrokiem po całości, od jednego postrzępionego brzegu do drugiego. Żadnych opisów. Zupełnie jakby Ameryki nigdy nie odkryto.

– Gdzie Nowy Jork? – spytał Max, mrużąc oczy. – A Boston?

– Właśnie tego będziemy chcieli się dowiedzieć –

odparł Cooper, postukując palcem w mapę. – Wszystkie współczesne mapy błędne. Uczni mają swoje teorie, ale nikt jak na razie nie wybrał się poza kampus, żeby je sprawdzić.

– David był poza kampusem – wypalił Max.

– Nikt nie był poza kampusem – powtórzył agent. –

Trzymamy strażę przy każdej bramie.

– W takim razie się myślę – odparł Max.

– Wyruszymy konno na południe, wzdłuż wybrzeża, a potem skręcimy na zachód – rzekł Cooper patrząc na mapę. – Jesteś zwolniony z zajęć i z obowiązków wykładowcy aż do powrotu. To w tej chwili najwyższy priorytet pani dyrektor.

– A kiedy wrócimy? Jak sądzisz? – spytał Max, myśląc nie tylko o Julie, ale i o swoim pragnieniu, by spędzić nadchodzący rok szkolny z kolegami.

– Za jakieś dwa tygodnie – myślał na głos agent, pocierając dłońmi kępki blond włosów. – No, może trzy.

Zależy od tego, co zastaniemy.

Kiedy Max pożegnał się z Cooperem i wyszedł z Domostwa, czuł się nieco lepiej. Mimo przygniatającej obecności Gravenmuira, trawniki wręcz roiły się od ludzi.

Postanowiwszy przyjąć pełną zdecydowania postawę swego mentora, Max prężnym krokiem ruszył w kierunku Sanktuarium, gdzie, jak wiedział, będzie czekała na niego Julie.

Na skraju Sanktuarium powitał go nieoczekiwany widok. Wzdłuż szerokiego żywopłotu otaczającego teren, jak również w dół ku stawowi i Chatce Rozgrzewania ustawiono mnóstwo chorągiewek na kijach. Kręciły się tam setki ludzi i domowych skrzatów – Max dostrzegł

między nimi nawet starego satyra – którzy mierzyli odległości, zawiązywali na drzewcach kolorowe wstążki i konsultowali swoje poczynania z mężczyzną o wyglądzie uczonego, z siwymi włosami i schludnie przyciętą brodą.

Max przyspieszył kroku.

– Co to wszystko ma znaczyć, panie Vincenti? –

spytał Max, ustępując drogi sapiącemu skrzatowi domowemu obładowanemu naręczem tyczek.

– Max! – ucieszył się pan Vincenti i rażno potrząsnął

dłonią chłopca. – Cieszę się, że cię widzę w dobrej formie po wczorajszym... hm, po wczorajszych wydarzeniach.

Przepraszam za zamieszanie, ale oto zakładamy nowe osiedle. W obrębie Rowan.

Rozpostarł plany, aby Max mógł się lepiej przyjrzeć.

Chłopak rzucił okiem na dokumenty. Były to przepięknie wykonane rysunki wioski o wijących się, brukowanych ulicach i dziwnych małych budynkach. Zerknął na legendę i zaczął czytać głośno:

– Zakłady szewskie, garbarnie, przędzalnie, kuźnie, farbiarnie, kołodzieje... to całe miasto!

– W założeniu tak ma to wyglądać – z dumą odparł

Vincenti. – Jak na pewno zgadujesz, musimy teraz wytwarzać wszystko sami, przy użyciu dawnych technologii i środków. Każdy zostanie przeszkolony w konkretnym fachu i zacznie pracować. Całe szczęście, że w książkach ocaliliśmy opisy dawnych rzemiosł, a i mieszkańcy Sanktuarium to dar niebios. Dvergary na przykład umieją formować żelazo jak glinę...

– Dlaczego nie możemy odtworzyć nowoczesnych technologii? – spytał Max. – To znaczy rozumiem, że zniknęły pewne maszyny, na przykład silniki czy prasy drukarskie, ale czy nie możemy ich odtworzyć?

– Masz szczęście, chłopcze, że je chociaż pamiętasz –

rzekł Vincenti. – Bo większość uchodźców zapomniała już nawet o ich istnieniu. Nawet mnie pamięć zaczyna płatać figle i pewne sprawy pamiętam jak przez mgłę.

– To dziwne – mruknął Max. – Całe życie jest pan inżynierem i zapomina pan, jak działają maszyny? A gdyby pan spojrział na schemat albo coś w tym rodzaju?

– Próbowałem – pan Vincenti smutno wzruszył

ramionami. – Ale niezależnie od tego, jak intensywnie pióra Davida kopiują wzory technologii przemysłowych, blakną one dosłownie w parę sekund. Już wszystkie oryginały wyblakły, całkowicie. A ja, kiedy próbuję zapamiętać jakiś schemat, po paru sekundach też go zapominam. To obłąd. Zupełnie jak z rybą, która wyslizguje ci się z rąk i nie możesz jej złapać.

– Czy to wszystko robota Astarotha? – spytał Max.

– Astarotha i Księgi – potwierdził pan Vincenti. –

Może za jej pomocą dowolnie kształtować rzeczywistość.

Całe szczęście, że przynajmniej przeszłość zostawił w spokoju.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Max. – Przecież odebrał nam wszystkie wynalazki. W zasadzie żyjemy w przeszłości.

– Odebrał je nam – rzekł Vincenti. – Ale nie wymazał

ich zupełnie z Księgi. Nie zrobił tak, jakby w ogóle nigdy nie istniały. Gdyby tak zrobił, oznaczałoby to zmianę biegu historii, czego konsekwencje byłyby nie do przewidzenia....

– Ciekawe, kiedy zaczniesz mnie od tego boleć głowa –

rzucił Max. – David próbował kiedyś ze mną rozmawiać o podróżach w czasie i głowa mnie od tego bolała ładnych parę dni.

– Wyjaśnię to jak najprościej – rzekł pan Vincenti z uśmiechem. – Powiedzmy, że jestem właścicielem Księgi i używam jej, by z historii ludzkości wykasować pewne leki. Nie chodzi mi o to, żeby teraz zniknęły z półek, chcę je wyeliminować i z przeszłości, i z teraźniejszości.

Miałoby to fundamentalny wpływ na bieg historii, prawda? A co, jeśli moi dziadkowie przeżyli w dzieciństwie tylko dzięki tym lekom? Moi rodzice nie mogliby się wtedy urodzić, więc i mnie nie byłoby na świecie! A jeśli mnie nie byłoby na świecie, jak mógłbym osiąść Księgę i wymazać z niej te lekarstwa?

– O, i proszę, zaczyna się ból głowy – jęknął Max.

Pan Vincenti się zaśmiał.

– Tak czy siak, sam widzisz, że każda, nawet najdrobniejsza zmiana przeszłości mogłaby skutkować na nieskończenie wiele sposobów. Nie wyobrażam sobie, by Astaroth podjął aż takie ryzyko. Przecież jeśli byłby na tyle głupi, żeby zmienić przeszłość, mógłby stracić kontrolę nad teraźniejszością. Nie. Sądzę, że uzyska kontrolę, jakiej pragnie, przekształcając teraźniejszość i powodując, że pamięć o przeszłości blednie.

– Czy ludzie będą chociaż pamiętać, że Astaroth to nasz wróg? – zastanawiał się Max, przypominając sobie rozmowę z driadą.

Pan Vincenti zapatrzył się na Sanktuarium tętniące życiem, energią i zjednoczonym wysiłkiem ludzi i stworzeń niegdyś zagrożonych wyginięciem. Wzruszył

ramionami.

– Jeśli tylko da nam spokój, ja sam gotów jestem o tym zapomnieć. Z własnej woli.

Stwierdzenie to zmąciło spokój Maksa. Zauważył

Julie siedzącą wśród koleżanek nad stawem. Oddał

projekty nauczycielowi.

– Pójdę już, panie Vincenti. Dziękuję za lekcję.

– Miłej zabawy – odparł nauczyciel. Po chwili jego uwagę zaprzątęła para dvergów – karłowatych stworzeń o zrogowaciałej skórze, białych oczach i brązowych obrączkach na brodach.

Max zbiegł z pagórka ku stawowi, podkradł się za Julie i zakrył jej oczy rękami.

– Zgadnij, kto to – powiedział.

– Hmmmm – zastanawiała się, rozbawiona. –

Tweedy? Wiedźmiątko? Nie, nie... głos nie jest tak głęboki. Max nie.... Max McDaniels jest za bardzo zajęty, żeby zadawać się ze zwykłymi uczennicami.

– A-ha – odparł Max i dał jej pstry czka w ucho.

Zachichotała.

– Chodź, jakoś się wciśniesz – zaproponowała i przesunęła się trochę, robiąc mu miejsce między sobą a koleżanką. – Dostałeś mój liścik?

– Uhm – odparł Max. – Przepraszam, nie dałem rady dotrzeć na ognisko, wynikło parę spraw.

– To niezwykle łagodne określenie – powiedziała jedna z dziewcząt. – Czarny zamek wyrósł jak spod ziemi, vis-a-vis Domostwa! Widziałeś, jak to się działo?

– Tak – odpowiedział Max cicho.

– Widziałeś lorda Prusiasa? – spytała inna, zamykając książkę.

Max kiwnął głową, zdziwiony i zaniepokojony tonem jej głosu, w którym brzmiała jednocześnie nutka rozmarzenia i zazdrości.

– Przystojny jest? – spytała.

– Jest demonem – odrzekł Max lodowato – a nie jakąś osobistością.

– Cóż, ja słyszałam, że jest przystojny – odparła obronnym tonem dziewczyna. – I zamożny. Czytałam o nim w zeszlórocznym podręczniku przyzywania.

Niektórzy twierdzą, że to on był geniuszem stojącym za rozwojem potęgi Medyceuszy we Florencji. Przystojny i inteligentny!

Max był zdumiony.

– Przepraszam, czy ja tu czegoś nie rozumiem? –

spytał, zwracając się do Julie. – Czy naprawdę poważnie dyskutujemy o tym, jaki przystojny jest ambasador Astarotha? Błagam, tylko nie mów, że to prawda.

– Oczywiście, że nie – szybko odparła Julie. – Ale sam przyznasz, że te wszystkie zmiany są ekscytujące.

Max, przecież żyjemy w całkiem nowym świecie! Nie można nikogo winić, że chce być świadomy, co się dookoła dzieje. Wprowadzono nową rasę... nowe królestwo... Powiedz, czy jest ktoś, kogo to nie interesuje?

– No, tak – przyznał Max. – Cóż. Jeśli chcecie wiedzieć, co się dzieje, to mogę wam powiedzieć, że o Prusiasie nie będziecie już czytać w podręcznikach do przyzywania. Przyzywanie jest zabronione.

– Wiemy – powiedziała Julie, wskazując gestem stos przewiązanych plików pergaminu. – Wszystkie materiały do przyzywania zostały wycofane z programu nauczania.

– Mimo to – nie dawała za wygraną dziewczyna, mrugając oczami – słyszałam, że Prusias lubi, gdy się go przyzywa. Wchodzisz po prostu po pas w wodę i trzy razy wymawiasz jego imię.

– Nie – sprzeciwiła się inna. – Ja słyszałam, że wrzucasz monetę do studni, szepcząc przy tym coś w rodzaju wierszyka.

– Nic takiego bym nie robił – ostrzegł je Max. –

Prusiasa boją się nawet inne demony.

– Jaki jest w porównaniu z Astarothem? – spytała inna koleżanka Julie. – Poznałeś ich obu, prawda?

Max nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie te pytania bardzo go rozdrażniły – świadczyły o lekkim traktowaniu poważnych spraw. Lecz temat sam w sobie był intrygujący. Dobrze pamiętał swą rozmowę z Astarothem na rozstaju dróg w odległym Sidh. Wyobraził

sobie białą twarz demona, jego gładkie włosy otaczające twarz niczym jedwab... żartobliwe spojrzenie wiecznie rozbawionych oczu. W porównaniu z robiącym imponujące wrażenie Prusiasem, Astaroth wydawał się delikatny, wręcz zniewieściały. Lecz Max wiedział, że subtelny obraz Astarotha był tylko powierzchowną maską.

Za tymi wesołymi oczami Max dostrzegł straszliwą, niezachwianą wolę – pozostającą poza ludzkim zrozumieniem – która kryła się w drobnej, uśmiechniętej postaci.

– Prusias nazywa się lordem, ale dopiero Astaroth jest władcą – odparł Max spokojnie. – Jest... jak samotna gwiazda, która spadła na ziemię i wszystko, wszystko wypala...

– Nie miałam pojęcia, że jesteś poetą – droczyła się Julie, opierając się o niego.

– Nie jestem – zaprzeczył Max, wpatrując się w lśniący skrawek szarawej skały, wystający z wód stawu. –

Tylko nie wiem, jak to inaczej opisać. Co to jest, do diaska?

Skała poruszyła się i zataczała teraz powolny, majestatyczny krąg, gnąc trzciny i dobrodusznie spoglądając na dzieciaki, które brodziły na płyciźnie, prosząc o przejażdżkę na szarobrazowym cielsku.



Max aż stęknął ze zdziwienia.

Była to selkie – selkie wielkości szkolnego autobusu.

Tłuszcz potężnymi fałdami otaczał jej boki. Postawę miała dumną i poruszała się po leniwych wodach stawu niczym jacht wycieczkowy. Podniósłszy wysoko nos, węszyła w powietrzu – raz, drugi, po czym wydała z siebie niskie wołanie, które spłoszyło dwie brodzące nieopodal czaple.

– Nowa selkie – rzekł Max, po czym wstał, by przyjrzeć się stworzeniu, które teraz znajdowało się przy przeciwległym brzegu.

– To pan selkie – dodała Julie.

Max uniósł brwi.

– Nigdy w życiu nie słyszałem o męskim selkie –

uświadomił sobie. – A gdzie Frigga i Helga?

– Och, pewnie poleciały się odświeżyć – zazartowała Julie. – Jego przybycie wprawilo je w prawdziwe podekscytowanie. Cały dzień łapały dla Jego Wysokości ryby.

– Jego Wysokości? – powtórzył Max.

– Sir Olafa Nienasyconego, lorda Wolnego Czasu –

dodała Julie, przewracając oczami.

– Zmyślasz – rzekł Max.

– Nie – zaprzeczyła. – Uwierz mi, kiedy mówię, że tak jest. – Sir Olaf to pedant, jeśli chodzi o właściwe zwracanie się do niego. Wystarczy tytułować go jednym imieniem, ale woli, kiedy używa się obydwu.

– No, no – rzekł Max, ściągając buty i znowu siadając.

Przez następne dwadzieścia minut odpierał krzyżowy ogień pytań na temat wczorajszego wieczoru, jakimi zasypywała go Julie z koleżankami.

Stary Tom wybił czwartą. Max jęknął.

– Muszę iść – rzekł przeproszającym tonem. – Mam spotkanie z panią Richter.

– Ale przecież dopiero przyszedłeś! – poskarżyła się Julie. – I chciałam ci coś pokazać.... Masz czas po kolacji?

– Jasne – odparł Max.

– O której zaczynasz spotkanie?

– Minutę temu! – odkrzyknął Max przez ramię, pomachał dziewczynom i pomknął przez tunel.

Gabinet pani Richter zmienił się bardzo od czasu obłączenia.

Zniknęły

skomputeryzowane

mapy

i

podświetlane ekrany, na których można było śledzić wszelkie ruchy agentów. Zniknęły lampy elektryczne, wiatraki klimatyzacyjne, a nawet lśniący miniaturowy Bugatti, zabawka z dzieciństwa, która dotąd zdobiła eleganckie biurko. Światło pochodziło teraz od wielu świec, chłodne powietrze wpadało przez uchylone francuskie okno, a świat – lub to, co z niego zostało –

przedstawiony był na kremowym gobelinie, który wisiał

na ścianie. Wszystko jednak wskazywało na to, że wciąż było to pomieszczenie, w którym odbywano narady i podejmowano decyzje.

Max zorientował się, że jedna z nich właśnie miała zapaść, ponieważ trzy z czterech krzeseł ustawionych przed biurkiem dyrektorki były już zajęte. Pani Richter siedziała zaś za biurkiem i świdrowała go wzrokiem.

– Przepraszam – bąknął. – Straciłem poczucie czasu.

Dyrektorka gestem nakazała mu usiąść, więc zajął

ostatnie wolne miejsce między doktorem Rasmussenem a dwoma nachmurzonymi wiedźmami. Mamuśka poklepała go po rękę, ale Bellagrog nawet na niego nie zerknęła.

Zamiast tego opuściła się niżej na krzesło i skrzyżowała na piersi mięsiste ramiona.

– Proszę kontynuować zeznania dotyczące napadu na pana, doktorze – odezwała się chłodno pani Richter.

– Napadu? – pogardliwie rzucił Rasmussen. – To nie było nic w tym stylu. To było morderstwo, próba morderstwa! Jako pani gość i przedstawiciel Warsztatu we Frankfurcie żądam sprawiedliwości.

– Brednie! – zaprotestowała Bellagrog. – Był tak pijany, że potknął się i wpadł mi do rosołu!

– Kłamstwo! – rzekł Rasmussen. – Twoje dzieci...

twoje... twoje rojące się obrzydlistwa wrzuciły mnie do kotła i przykryły pokrywką!

– Gdzie masz dowody, ty głupia kreaturo? –

indagowała Bellagrog, wskazując doktora tłustym palcem.

– Nie pozwolę, by nazwisko rodowe Shrope'ow zostało zbrukane przez tego świra! Nie pozwolę!

– Oszalałaś?! – zawołał Rasmussen, wymachując obandażowanymi ramionami. – Jestem czerwony jak rak!

Jestem na wpół ugotowany, obandażowany! McDaniels to widział, był tam!

– Czy to prawda, Max? – spytała niewzruszona pani Richter.

Max odwrócił się do Mamuśki, która, wpatrzona w swą kwiecistą spódnicę, bezskutecznie powstrzymywała łzy.

– A co się stanie wiedźmom, jeśli tak? – spytał Max.

– To nie ma nic do rzeczy – odparła pani Richter. –

Czy możesz zaświadczyć, że wiedźmy uprowadziły doktora Rasmussena i próbowały go ugotować?

– Jasne, że może! – wrzasnął Rasmussen.

– Cicho! – warknął Max, spoglądając na doktora spode łba. – Ostrzegałem pana, żeby pan się trzymał od nich z daleka, tak czy nie?

– Odpowiedz na pytanie, Max – zażądała spokojnie pani Richter. – Czy widziałeś, jak wiedźmy uprowadziły doktora?

– Cóż – odparł Max ostrożnie. – Mówiąc ściśle, nie widziałem, żeby ktokolwiek kogokolwiek uprowadzał.

Był już w kotle...

– To prawda, pani dyrektor! – przerwała mu Bellagrog. – Max odnalazł przygłupa zaraz po nas!

Szczęściarz z doktorka, że się tam w porę znalazłyśmy, żeby go ocalić...

Pani Richter uniosła brew i chłodno spojrzała na Bellagrog, która przerwała swą opowieść i z powrotem przyjęła pozę obojętnej pogardy. Uwaga pani dyrektor skierowała się znów na Maksa.

– Czy musimy koniecznie rozmawiać o różnicy między szczerością a uczciwością? Oczekuję zarówno jednego, jak i drugiego i prosiłabym, abyś skończył z tą sofistyką. Czy uważasz, że wiedźmy uprowadziły doktora Rasmussena z zamiarem zjedzenia go?

Zegar na ścianie odmierzał kolejne sekundy.

Mamuśka zaczęła łkać, a Max ociągając się, rozglądał się po gabinecie. W końcu rzucił Mamuście przeprasające spojrzenie i otworzył usta.

– Żądam procesu! – wrzasnęła Bellagrog.

– Słucham? – zapytała pani Richter.

– Procesu! – syknęła wiedźma, wychylając się do przodu. – Procesu przeprowadzonego przez nasze towarzyszki! Musi nam go pani umożliwić, pani dyrektor, tak jest napisane w naszej małej książce zasad! – I rzuciła dyrektorce na biurko tom przepisany piórem.

*Akademia Rowan: prawa i zasady.*

– Nie sądzę, aby był potrzebny formalny proces –

odparła pani Richter znużonym głosem.

– O, doprawdy? – gdała Bellagrog. – A ja sądzę! I tu jest napisane, że mam prawo do procesu. Artykuł trzeci, ustęp czwarty, początek trzeciego paragrafu! Znam swoje prawa, pani dyrektor, i niech mnie piekło pochłonie, jeśli będę siedzieć i patrzeć, jak pani je brutalnie depcze!

Pani Richter potarła sobie skronie, po czym zerknęła na stojący na biurku kalendarz.

– W porządku – odpowiedziała. – Za trzy tygodnie od dzisiejszego dnia przeprowadzimy proces. Pan McDaniels przez pewien czas będzie w podróży, więc wcześniej nie będzie mógł zeznawać. Mam nadzieję, Bellagrog, że będziesz miała dość czasu, aby przygotować swoją obronę?

– Mnóstwo czasu, pani dyrektor, dziękuję – odparła wiedźma, najwyraźniej udobruchana.

– To oburzające – szepnął Rasmussen. – Nikt, nikt nie może oczekiwać, że zostanę w tym magicznym zoo dla dziwolągów nawet przez jedną minutę, a co dopiero mówić o trzech tygodniach.

– Oznacza to zrzeczenie się prawa do zeznań i będziemy musieli automatycznie zarzucić sprawę – ostrzegła pani Richter.

Bellagrog zachichotała z satysfakcją i splotła palce na szerokim brzuchu.

Rasmussen uspokoił emocje, wychylił się do przodu i spojrzał na nią wilkiem.

– Żądam całodobowej ochrony! – oświadczył.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, sądzę, że to rozsądne żądanie – powiedziała pani Richter. – Zadbamy o pana bezpieczeństwo.

– Krzywda i zniesławienie! – zagrzmiała Bellagrog, uderzając otwartą dłońią w biurko dyrektorki. – Jeśli za tym głupcem będzie łąził ochroniarz, co pomyśli sobie ława przysięgłych? Siostry Shrope zostaną skazane, zanim nadejdzie dzień rozprawy!

– Bellagrog – rzekła ostrzegawczym tonem pani Richter. – Zażądałaś procesu i będziesz go miała. Doktor Rasmussen zażądał ochrony i ją otrzyma. To sprawiedliwe i na tym zakończymy. Możesz odejść i jesteś zawieszona w obowiązkach kuchennych aż do wyjaśnienia sprawy.

Mamuśko, to samo dotyczy ciebie.

Mniejsza wiedźma zalała się łzami.

– Ale właśnie wraca Bob – jęknęła. – Nie poradzi sobie przecież sam!

– Dopilnujemy, aby Bob otrzymał potrzebną pomoc –

zapewniła ją pani Richter.

Kiedy tylko Bellagrog z trzaskiem zamknęła za wiedźmami drzwi, pani dyrektor westchnęła i skreśliła na papeterii liścik. Następnie złożyła kartkę, zapieczętowała i pozwoliła jej wyfrunąć przez okno. Notka uleciała zupełnie jak ptak. Pani Richter pomogła czerwonemu jak burak doktorowi Rasmussenowi podnieść się z krzesła i odprowadziła go do drzwi.

– Najlepiej będzie, Jesperze, jeśli wrócisz na oddział

szpitalny – poradziła. – Napisałam notkę do agent Eames, z którą się tam spotkasz. Do chwili procesu będzie cię miała pod opieką.

– Ale jakie ma kwalifikacje? – spytał spanikowany Rasmussen. – Czy ma praktyczne doświadczenie, jeśli chodzi o wiedźmy?

– Oczywiście – przytaknęła pani Richter i wyprowadziła Rasmussena za drzwi, po czym zamknęła je energicznie. Znów westchnęła, i zwróciła się do Maksa.

– Czego się napijesz? Wody czy lemoniady?

– Dziękuję, nie trzeba – odparł chłopak.

W gabinecie zapadła krępująca cisza. Pani Richter usiadła za biurkiem i zaczęła poprawiać kwiaty w wazonie.

– Przepraszam, że nie wykonałem polecenia, pani dyrektor! – wybuchnął Max. – Nie miałem złych intencji, chciałem tylko pomóc Cooperowi.

– Wiem – odparła cicho.

– Jest pani na mnie zła? – spytał.

– Jak mam na to odpowiedzieć? – zaśmiała się sama do siebie, i pochyliła się, by powąchać kwiaty.  
– Max, postaw się na moim miejscu. Właśnie podpisałam układ z naszym najeźdźcą, byłam świadkiem wzniesienia ambasady demonów na naszym terenie, jak również podjęłam starania w kierunku rozpoczęcia nowej ery –

Ery Odkrycia. Jestem tym wszystkim bardzo zajęta. Prócz tego muszę prowadzić szkołę i musimy rozbudować Rowan, by tysiące uchodźców znalazło dom i zajęcie.

Można śmiało powiedzieć, że jestem zawałona pracą, i dojść do wniosku, że sytuacja, w której muszę wszystko rzucić, by zająć się nieposłusznym nastolatkiem i obeznanymi z prawem wiedźmami, wystawia moją cierpliwość na ciężką próbę.

Przerwała i westchnęła po raz trzeci.

– Rozumiem, że Cooper udzielił ci dziś rano cennej lekcji?

– Tak – odparł Max. – Mówił o sprytnych i frajerach.

– Dobrze. Teraz, Max, potrzebuję skalpeli. Nie młotów.

Max skinął głową.

– Ale to nie wszystko, czego mi trzeba – dodała. –

Chciałabym wiedzieć, co porabia David Menlo.

– Nie wiem – odparł chłopak.

– Max, jestem pewna, że rozumiesz, jak ważne jest wyjawienie całej prawdy. Nie łudzę się, że jesteśmy w stanie ograniczyć ruchy i działania Davida, lecz powinniśmy przynajmniej spróbować współpracować.

– Nie może go pani po prostu wezwać na spotkanie?

– zapytał Max.

– Nie odpowiada – odparła pani Richter ze zmarszczonym czołem. – Całkowicie się wycofał. Co on tam robi w tym waszym pokoju?

– Nie wiem – powtórzył Max. – Mówię uczciwie, pani dyrektor. David wszystko trzyma w tajemnicy.

Mówi, że tak musi być.

Dyrektorka westchnęła i odgarnęła z czoła kosmyk srebrnych włosów.

– Ten biedak może narazić na szwank wszystkie moje plany – mruknęła.

– A jeśli on tak samo myśli o pani? – spytał Max.

Oczy pani Richter zaświeciły.

– Dziękuję, Max. To byłoby na tyle.

Kolacja dopiero się zaczęła, a Julie już wzięła Maksa za rękę i wyprowadziła go z jadalni. Wymknęli się z Domostwa i szli ogrodowymi ścieżkami, oświetlonymi tylko mrugającymi w gęstniejącym mroku latarniami.

Śmiali się i, szeleszcząc liśćmi, zdążali w stronę Sanktuarium, gdzie Julie chciała mu coś pokazać.

Niebo nad Sanktuarium pociemniało – z lazurowego stało się ciemnogrnatowe. Nad majaczącymi na horyzoncie górami mrugały gwiazdy.

– Sprawdzę tylko, czy Nick jest w Chatce Rozgrzewania – rzekł Max. Od uczyty nie widział lymrilla i ciekaw był, czy ten nie wybrał się do Domostwa na poszukiwanie swego pana.

– Nie ma go w Chatce – z przekonaniem powiedziała Julie, biorąc Maksa pod ramię.

– Skąd wiesz? – spytał, rozglądając się, by sprawdzić, czy lymrill nie pokaże się zza skały lub spomiędzy wysokich traw. Nick uwielbiał zasadzki.

– Ee... tylko mam przeczucie.

Max zasypał ją pytaniami, lecz odmówiła odpowiedzi. Szli krętą ścieżynką przez porośnięte lasem podnóża gór otaczające rozległą polanę. Kiedy ścieżka rozdzieliła się na kilka mniejszych, Julie wybrała tę prowadzącą na północ. Paręset metrów wspinali się pod górę. Potem dziewczyna zatrzymała się i zaczęła się rozglądać.

– To chyba tu – powiedziała i podeszła do młodego drzewka. Max zobaczył na jednej z gałęzi trzy cienkie kreski. Julie położyła palec na ustach. Wzięła go za rękę i sprowadziła ze ścieżki w pachnący żywicą las. Znaleźli się pod wyniosłą brzozą, prawie zupełnie obdartą z kory.

Julie pochylili się, by szepnąć Maksowi do ucha:

– Po ognisku było mi smutno, że nie przyszedłeś.

Więc poszłyśmy z Camille się przejść i zauważyłam Nicka koło tamtego drzewka, które zaznaczyłam.

Zawołałam go, ale mnie zignorował. Pomyślałam sobie, że to dziwne – przecież zawsze przychodzi, kiedy go wołam. Postanowiłam więc za nim pójść. Myślałam, że może jest chory. A on tylko węszył i dreptał, a potem znienacka dał susa na to drzewo!

– Nic mu nie jest? – zapytał zaniepokojony Max.

– Sam zobacz – odparła Julie, wskazując na gruby konar jakieś siedem metrów nad ziemią.

Max podniósł wzrok i między gęstymi liśćmi dojrzał

coś błyszczącego. Zawołał. W odpowiedzi usłyszał

znajome miauknięcie. W gałęziach coś zaszeleściło, posypała się kora i spadło parę wyrzuconych ogonów gryzoni. Julie odsłoniła okienko latarni i puściła strumień światła na koronę drzewa.

Max aż otworzył usta ze zdumienia, kiedy zamiast jednej pary lśniących oczu zobaczył dwie.

– Ma się nawet lepiej niż dobrze – zaśmiała się Julie.

– Jest zakochany!

Max przez pełną minutę z czystą przyjemnością gapił

się na widok, którego by się nigdy nie spodziewał. Obok Nicka na gałęzi siedział drugi lymrill. Była to srebrzysta samiczka, której łuski świeciły równie jasno jak księżyc.



## TU SĄ POTWORY

Nick zaczął schodzić z drzewa głową w dół. Z

wysokości trzech metrów zeskoczył i z głośnym łupnięciem wylądował u stóp Maksa i Julie, po czym zaczął ich okrążyć. Wygładził łuski w jednolitą, lśniącą powłokę i po kociemu ocierał się o nogi przyjaciół, od czasu do czasu spoglądając na ukrytą wśród gałęzi samiczkę. Następnie miauknął, stanął na tylnych łapkach i wczepił pazury w sweter Maksa, rozdzierając wełnę.

– Hej! – krzyknął chłopak, na próżno starając się odtrącić swego krzepkiego podopiecznego.

– Chyba próbuje jej powiedzieć, że jesteście rodziną

– zaśmiała się Julie.

Samiczka zamiauczała w odpowiedzi i wyłoniła się z kryjówki, by ostrożnie zsunąć się po pniu. Kiedy obwąchiwała Maksa, Julie oświetliła ją latarnią. W jej blasku ukazało się szczupłe, ładne stworzenie przypominające nieco fretkę. W przeciwieństwie do Nicka, którego łuski błyszcząły miedzią, jej łuski u podstawy były brązowe, a dalej srebrne. Łuski te, o końcówkach ostrych jak igły, jeżyły się i kładły na przemian, kiedy samiczka oswajała się z obecnością ludzi.

Jej bursztynowe oczy utkwione były w Maksa, kiedy przysiadła na tylnych łapkach i wydała z siebie niski warkot, potrząsając jednocześnie grubym ogonem niczym marakasem. Tak samo parę lat wcześniej zachowywał się Nick. Max próbował przygotować się na to, co, jak przypuszczał, nastąpi za chwilę.

Nie mylił się. Wąska główka błyskawicznie wysunęła się naprzód i samiczka ugryzła go do krwi w wyciągniętą rękę.

– Auć – mruknął Max, potrząsając zranioną dłonią.

– Czemu to zrobiła? – spytała Julie i pochyliła się, by obejrzeć ranę.

– Aby mi pokazać, że potrafi – odparł Max. – Nick zrobił dokładnie tak samo, kiedy mnie sobie wybrał.

– Nie wygląda to najlepiej – rzekła Julie, po czym zebrała z pobliskiego krzewu owoce głogu. Rozgniotła je i zaczęła szeptać łagodne słowa zaklęcia. Max jej przerwał.

– Nie trzeba – rzekł, podnosząc rękę i poruszając palcami. – Już jest lepiej.

– Nie rozumiem – powiedziała Julie, mrugając szybko oczami, kiedy przyglądała się w świetle latarni zranionej ręce. – Widziałam tu przed chwilą przynajmniej cztery głębokie ukłucia. Jak to zrobiłeś?

– Co mam ci powiedzieć? – odparł półzartem Max.

Nie przestawał delikatnie poklepywać samiczki lymrilla, która teraz zajęta była obgryzaniem jego sznurowadła. –

Szybko się goję, i tyle.

Wzrok Julie spoczął na bladej szramie biegnącej cienką, prostą linią od kości policzkowej Maksa do brody.

– To czemu w takim razie to nie zniknęło? – spytała.

– Nie mam pojęcia – odparł chłopak, wzruszając ramionami. – Mam ją z Sidh. To rana z treningu walki.

Scathach wykorzystała chwilę mojej nieuwagi.

– A kto to taki Scathach? – spytała Julie, unosząc brwi.

– Kobieta – odparł Max. – Mieszkała w Rodrubân.

– Ile miała lat? – chciała wiedzieć Julie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Max ze śmiechem. – Czas działa tam zupełnie inaczej. Wyglądała młodo, ale mogła być starsza niż Yaya. Od wieków trenowała wojowników.

– Hmmmm – zastanawiała się Julie. Nachyliła się, by pogłaskać Nicka, który dreptał u jej stóp. Następne słowa wypowiedziała tonem, który nie zdradzał cienia emocji.

– Ładna?

– Bardzo – odparł Max, przywołując w pamięci obraz pożegnania z kruczowłosą kobietą stojącą na szczycie białej wieży Rodrubân. Siła i smutek biły nawet z jej sylwetki; zdradzała je postawa i sposób poruszania się Scathach. – A nawet piękna.

Nastała krępująca, przedłużająca się cisza. Po jakimś czasie Julie westchnęła, przyciągnęła do twarzy wydrzy pyszczek Nicka i ucałowała go, a potem się zaśmiała.

– Szczerze mówiąc, Max – odezwała się –

powinieneś zdecydowanie więcej czasu spędzić z sir Alistairem. Jeśli nie potrafisz kłamać i nie opisujesz jej jako rzeźżącej, powłóczącej nogami staruchy, to mógłbyś przynajmniej powiedzieć: „Eee tam, była w porządku”. To byłoby do zniesienia. Niegroźne.

– Zrozumiano – odparł Max. Pogłaskał przyjaciółkę Nicka po wąsikach i szybko zmienił temat. – Chyba powinniśmy cię jakoś nazwać, co? Jak jej damy na imię, Julie? Może Eve. Wiesz, być może to jedyna samica lymrilla na świecie.

– Nick i Eve? – mruknęła Julie. – Nie podoba mi się.

Głosuję za Kirke.

Szukając w pamięci, Max zatrzymał się na *Odysei* i zamieszkującej na wyspie czarodziejce, która zamieniła mężczyznę w świnie. Zastanowił się, czy Julie nie próbowała mu przypadkiem czegoś dać do zrozumienia.

– W porządku – powiedział dobitnie. – Niech będzie Kirke.

Jakby akceptując swe nowe imię, Kirke szturchnęła Maksa nosem i zwinęła się w kłębek, ignorując Nicka, który podszedł i zaczął kęsać ją w płasko położone ucho.

– Dobrze – rzekła Julie. – Może powinnam jeszcze coś wiedzieć o tej Scathach? Wolę dowiedzieć się teraz niż jutro przy obiedzie, przy tych wszystkich plotkarach, które będą nadstawiać uszu.

– Nie zamierzam rozmawiać ani o Scathach, ani o niczym innym, co miało miejsce w Sidh – rzekł Max zdecydowanym tonem. – A jutro tym bardziej nie będę o niczym mógł rozmawiać, bo o świcie wyjeżdżam. Na parę tygodni.

Julie stała w złotym świetle latami, skubiąc smukły wisiołek na bransoletce.

– Żartujesz – powiedziała ledwie dosłyszalnie.

– Chciałbym – odparł Max. – Czerwone Bractwo organizuje wyprawę badawczą po terenach Rowan. Nikt nie wie, czy stare mapy są jeszcze aktualne. Wszystko jest teraz niezbadane.

– Ale co z twoją szkołą? – zaprotestowała Julie, śmiejąc się z niedowierzaniem. – I z zajęciami, które masz prowadzić?

– Mam to nadrobić, jak wrócę – odparł Max.

Julie przygryzła wargę. Rozglądała się nerwowo wokoło, jakby za wszelką cenę chciała znaleźć jakąś lukę w tym, co mówi Max. Gdy wreszcie spojrzała mu w oczy, wzrok miała przygaszony.

– A kiedy właściwie chciałeś mnie o tym poinformować? – zapytała sztywno.

– Dziś wieczorem – odparł Max łagodnie. – Nie złość się. Sam się dopiero dowiedziałem.

– Rozumiem. – Julie uściskała go. Jej ciepły, mokry policzek przez chwilę dotykał jego policzka. Odsunęła się i spytała: – Zostawić ci latarnię?

– Nie – odparł Max. – Weź ją.

Skinęła głową i odeszła, kiwając latarnią u boku.

Ciepłe, żółte światło oddalało się, aż w końcu zniknęło za gęstwiną osik. Max ukląkł, przytulił Nicka

i Kirke i przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy lasu. Księżyc stał

wysoko na niebie. Była spokojna, głęboka noc. Lymrille były tak głodne, że nie mogły ustać w miejscu.

– Udanego polowania – mruknął. Opróżnił kieszenie, zostawiając na mokrej od rosy trawie parę niewielkich metalowych sztabek i wolnym krokiem odszedł w kierunku wzgórz – tam, gdzie drzewa rzedły, odsłaniając szeroką równinę.

O wschodzie słońca Max siedział w głównej kuchni Rowan, mieszając owsiankę, i żalonym wzrokiem wpatrywał się w kubek z kawą, który postawił przed nim tata.

– Zaraz będzie świeże mleko, jeśli możesz chwilę zaczekać – rzekł pan McDaniels, oplukując ręce w misce z wodą. Westchnął i usiadł ciężko na stołku naprzeciwko syna, przebiegając wzrokiem po zapisanych odręcznym pismem kartkach z przepisami na ten dzień. Za Makssem skrzypnęły drzwi do spiżarni. Chłopak odwrócił się i zobaczył gramolącego się stamtąd Boba, który dźwigał

worek pietruszki. Ogr, prócz tego, że wciąż nie do końca wylizał się z ran, wyglądał wyjątkowo mizernie. Max domyślał się, że przyczyną musiały być kłopoty Mamuśki i Bellagrog. Bob wymamrotał coś na powitanie, po czym bez słowa przecisnął się do następnego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi.

– Co jest z Bobem? – spytał Max.

– O, nic, w porządku – opowiedział pan McDaniels, nalewając sobie kawy. – Martwi się o Mamuśkę.

Oczywiście bez wieźm będzie nam brakowało rąk do pracy, ale jakoś sobie poradzimy. Pełno jest zgłoszeń do pracy w kuchni. Każdemu teraz zależy, żeby zarobić trochę złota, bo przecież wszystko będzie kosztować.

– Pobieracie opłaty za jedzenie i tak dalej? – spytał

Max.

– Jeszcze nie, ale będziemy – odparł pan McDaniels.

– Rolnicy nie mogą przecież pracować za darmo. Też potrzebują pieniędzy na narzędzia i ubrania, i wszystko inne. Tak samo jak my.

– To ile za kawę? – zapytał Max ze zmęczonym uśmiechem.

– Ja stawiam, bogaczu – odparł pan McDaniels.

– Myślałem, że zbierasz dla mnie na samochód –

zażartował Max.

– A co to do diaska jest samochód? – spytał jego tata.

– Coś drogiego?

– E, nieważne – odpowiedział Max, a uśmiech mu zbladł. – Zapomnij o tym. Właściwie to potrzebuję twojej rady w sprawie Julie. Myślisz, że ze mną zerwała?

– Nie – odparł tata. – Ale być może rozważa taką możliwość po tym, jak pozwoliłeś jej odejść samej.

– Przecież myślałem, że właśnie chce być sama.

– Nie. Chciała, żebyś za nią poszedł. Chciała, żebyś jej udowodnił, że cię obchodzi to, co ona czuje, i że przez tych następnych parę tygodni będziesz za nią tęsknił.

– No cóż, za późno – rzekł Max, spoglądając na wczesnoporanne słońce, które zajrzało przez kuchenne szyby. – Dlaczego nie mogła mi po prostu powiedzieć, o co jej chodzi? Jasno i bezpośrednio?

– Ona zachowywała się jasno i bezpośrednio –

zaśmiał się Scott McDaniels. – Tylko przemawiała w innym języku. Dziewczęta i chłopcy często tak mają. Tak czy siak, nie ona jedna będzie za tobą tęsknić, dzieciaku.

– Wiem. Ja też będę za tobą tęsknić. Dasz sobie radę?

– spytał Max.

Ojciec zdołał tylko wydusić: „jasne, jasne”, po czym z pewnym trudem podniósł się, by przygotować tacę pełną czystych kubków na kawę do wyniesienia do jadalni.

Następnie, po chwili gmerania w portfelu, wcisnął coś Maksowi do ręki. Była to mała tekturka, pognieciona i wymięta, jakby wiele razy podawano ją sobie z rąk do rąk.

– Dam sobie radę, wszystko będzie w porządku –

zagrzmiał. – Już się trochę przyzwyczailem, że nagle znikasz nie wiadomo gdzie. Ale mam do ciebie prośbę, skoro już wyruszasz na tę wyprawę.

– Jaką? – chciał wiedzieć Max, wpatrując się wciąż w zagadkową tekturkę.

– Jak znajdziesz jakieś ładne miejsce... no, drzewo albo pagórek nad jeziorem, pochowasz ją w moim imieniu?

– Oczywiście – odparł Max. – Ale co to jest?

– Fotografia twojej mamy – wyjaśnił pan McDaniels.

– Ostatnia, która wyblakła. Nie została mi już żadna, a trzymać je to czysta tortura. Wszystkie zrobiły się białe i puste, jakby Bryn po prostu nie istniała. Już się pozbyłem innych, ale chciałbym, żeby ta ostatnia trafiła w jakieś ładne miejsce i tam została pochowana. Mógłbyś to dla mnie zrobić?

– Tak, tato.

Pozegnali się. Max wziął wyblakłą fotografię matki, owinał ją w szmatkę i wsunął pod wełnianą kurtkę.

Parę minut później Max z plecakiem przewieszonym przez ramię wyszedł przez główne drzwi Domostwa. Pod jarzębinami, nieopodal fontanny, czekało dwanaście osiodłanych koni, od czasu do czasu przestępujących z nogi na nogę i strząsających z kopyt poranną rosę. Cooper siedział już na niecierpliwym rumaku rasy appaloosa. W

rękach trzymał wodze lśniącego karego araba.

Max pospiesznie zbiegł po schodach, skinął głową członkom Czerwonego Bractwa i zaczął mocować plecak do siodła araba. Odpowiedziano mu na powitanie, ale nikt nie był zbyt rozmowny. Wyjątek stanowiła Xiumei –

pomarszczona, pulchna Chinka o dobrotliwej, babcinej twarzy, całkowicie zaprzeczającej historiom, które na jej temat słyszał Max – na przykład o paleniu brytyjskich statków z opium, zamachach na konkurencyjnych gubernatorów wojskowych i wyprowadzeniu szczególnie bezpardonowego klanu wampirów z rodzimej prowincji.

Xiumei o tłustym brzuchu wesoło kołysała się w siodle i dowcipkowała z sąsiadami, którym nie pozostawało nic innego, jak się uśmiechać.

Kiedy tylko Max wspiął się na wierzchowca, Czerwone Bractwo w ślad za Cooperem skierowało się w stronę gęstych lasów ciągnących się wzdłuż południowej granicy terenów akademii. Znajdowała się tam imponująca brama ze strażnicą zbudowana z białego kamienia,

będąca

częścią

kamienego

muru

kilkunastometrowej wysokości. Cooper zawołał na strażę, czyli dwoje mistyków wyglądających przez okratowane okienko, i Czerwone Bractwo czekało, aż nowa brama Rowan otworzy się przed nimi po raz pierwszy. Uchyliła się do wewnątrz, odrywając przy tym kawałki skały i bluszczu i odsłaniając wszystkie zaklęcia ochronne, wyryte przez Davida na zewnętrznych częściach belek, gzymsów i nitów. Mechanizm bramy poruszał się powoli i ze zgrzytem.

– Co jest za nią? – spytał szeptem Max.

– Piekło? – zaśmiała się Xiumei i mieczem ozdobionym wzorem girlandy poklepała Maksa po nodze.

– Może Acheron? Stawiam, że po prostu drzewa.

Max uśmiechnął się, lecz w miarę, jak brama się otwierała, serce coraz bardziej łomotało mu w piersi.

Obleciał go strach – przez chwilę wyobraził sobie, że poza bramami Rowan jest tylko olbrzymia, ciągnąca się w nieskończoność otchłań.

– Szkoda, że nie jedziesz ze mną, młody Psie –

zaśmiała się znowu Xiumei, klepiąc tym razem konia chłopca. – Nie władam już mieczem tak sprawnie jak kiedyś.

– Mamy przecież tylko obserwować i złożyć raporty

– próbował pocieszyć ją Max.

– Powiedz to Wrogowi – odparła, wsuwając ostry jak brzytwa jiang do pochwy.

Max przekonał się, że stara Chinka miała rację – za progiem Rowan nie roilo się od dusz potępionych ani przysłowiowych ognistych jezior. Rozciągał się tam las, w którym dominowały zgaszone barwy i który miękko wyściełała gęsta mgła. Ścieżka kończyła się gwałtownie na progu bramy. Poza Rowan była już tylko głusza.

Konie zarżały cicho, wietrząc niespokojnie powietrze za bramą, po czym powoli, postukując kopytami, mszyły na zachód w stronę dawnego miasteczka Rowan. Kiedy arab Maksa ostrożnie stawiał nogi w wysokiej trawie i na porośniętych kwiatami pagórkach, chłopak uniósł się w strzemionach, rozglądając się za drewnianym kościółkiem czy „Zagajnikiem” – przytulną knajpką na szczycie wzgórza, na południowo-wschodnim skraju miasteczka.

Nie dojrzał jednak znajomych widoków. Jak okiem sięgnąć ciągnął się las. Czerwone Bractwo jechało powoli, ostrożnie.

Końskie podkowy wydeptywały ledwo

dostrzegalne ścieżki w chłodnej mgle, która zamykała się za nimi białym welonem. Nie był to jednak nawiedzony las z bajki. Po gałęziach skakały wiewiórki, a w koronach drzew rozbrzmiewały ptasie trele, kiedy drużyna wybierała drogę między konarami starych pochylonych drzew.

Po jakichś dziesięciu minutach Max spostrzegł, że Cooper prowadzi swego wierzchowca wokół niewielkiej polanki porośniętej bluszczem i fiołkami. Agent ściągnął

wodze, zeskoczył z konia i zaczął rozgarniać rękami poszycie. Przekrzywił głowę i czemuś uważnie się przyglądał. Dopiero po chwili zawołał innych, by się zbliżyli.

– Ktoś poznaje? – spytał, wskazując na ostry szary odłamek kamienia wystający z ziemi.

Nie odezwał się nikt prócz mężczyzny o młodzieńczym wyglądzie i rudawych bokobrodach, który zaśmiał się i wskazał ów kamień swym zakończonym kolcem toporem.

– A to dopiero, przecież to miecz z pomnika w parku miejskim!

– Brawo, chłopie – rzekł Cooper, drapiąc się z rozkojarzeniem po głowie. – Co prawda za dobrze to nie wróży, przykro mi to mówić. Pamiętacie, jak wysoki był

pomnik? No, więc cukiernia była – Agent rozejrzał się dokoła, po czym odwrócił się na pięcie, by zdecydowanym gestem wskazać kępę jesionów – gdzieś tutaj. Jesteśmy dokładnie pośrodku miasteczka, które zostało... wchłonięte.

Zimny pot oblał Maksa. Właśnie czegoś takiego się spodziewał... i obawiał, lecz mimo wszystko w głębi serca żywił iskierkę nadziei, że kwarantanna w Rowan była mocno przesadzonym środkiem ostrożności. Jak się okazało, nadzieja ta była płonna.

– W porządku – rzekł Cooper, wsiadając na konia. –

Ben i Natasha zostają i badają teren. Reszta jedzie dalej zgodnie z planem. Do zobaczenia przed Samhain.

Kiwnął na Maksa, po czym popędził konia, który ruszył zawiłym szlakiem między drzewami w takim tempie, że nawet Max – swoją drogą znakomity jeździec –

z ledwością dotrzymywał mu kroku. Obaj jeźdźcy, nisko pochyleni nad końskimi szyjami, mknęli pomiędzy drzewami, które rzedły i rzedły, by po chwili przejść w rozległą,

otwartą

łąkę

porośniętą

gdzieniegdzie

wiciokrzewami i leszczyną.

Cooper spojrział przez ramię; jego oddech w chłodnym powietrzu unosił się obłoczkiem pary. Agent oszacował przebytą odległość, po czym sięgnął do plecaka i wydobyl z niego gruby plik arkuszy pergaminu.

Otworzył go.

– Całe szczęście – mruknął, pobieżnie przeglądając dokument. – Działa, i to nawet w pełnym galopie.



Dyszając i poklepując konia, Max pochylił się w stronę Coopera i rzucił okiem na pergamin. Przedstawiał on geograficzny zapis terenu, który przebyli – aż po rozszczepiony uderzeniem pioruna samotny dąb pośrodku polany. Przebyta droga została odwzorowana w mistycznym zwoju z kunsztem i wiedzą mistrza kartografii. Cooper znowu spiął konia i ruszyli w nowym kierunku – na południowy wschód.

Teren otwierał się przed nimi niczym cudowna mapa.

Kilometr za kilometrem ciągnęło się skaliste wybrzeże i falujące lasy, które nie nosiły śladu bytności człowieka.

Jechali w milczeniu – każdy przeszukiwał wzrokiem teren pod kątem obecności ludzi, potworów czy Wroga. Z tego, co jak na razie mógł powiedzieć Max, Rowan stanowiła jedyne ognisko cywilizacji w tej części świata. Myśl o tym była przygnębiająca i sprawiała, że poczuł się osamotniony.

Przez cały tydzień jechali dalej, a ich mapa zaczęła przypominać mapy Cortesa czy Cabota. Zatoka Massachusetts nie wywoływała żadnych skojarzeń z przeszłością – nie było śladu ani po Bostonie, ani w ogóle po jakiegokolwiek ludzkiej obecności. Siedząc mapę, Cooper skierował się bardziej na zachód. Codziennie rano Max bawił się w łapanie własnego cienia, gdy za ich plecami wstawało słońce i złotym blaskiem oświetlało niezmierzone morze wysokiej trawy.

Dni mijały, powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

Prawie każdego ranka, myjąc twarz i przygotowując się do całodziennego drogi, Max trząsał się z zimna. Ponieważ Cooper, zgodnie ze swoim zwyczajem, przeważnie milczał, wieczorami Max dla rozrywki próbował rysować stworzenia, które widział w dzień. Szkicował ptaki i jelenie, wiewiórki, a nawet młodego niedźwiedzia czarnego, który zatrzymał się, gdy ich zobaczył, zastygł

na chwilę, węsząc, po czym odbiegł, szeleszcząc poszyciem.

Podróżowali na zachód ku górą, przez wysokie świerkowe lasy i w poprzek strumieni o wodzie tak lodowatej, że konie nie chciały jej pić. Pewnego wieczora, gdy rozkładali obóz w górskim terenie, Max pożyczył łuk Coopera, by zapolować, gdyż zapasy coraz bardziej im się kurczyły. Ruszył w poprzek stoku, rozglądając się za odpowiednim łupem.

Zwierzyny nie brakowało i w ciągu godziny Max upatrzył sobie stosowny cel. Koziołek, biało umaszczone wokół ogona, pasł się przy krzaku głogu. Obojętny wobec niebezpieczeństwa, ustawił się bokiem do Maksa i statecznie, spokojnie przeżuwał kolację, podczas gdy chłopak zakładał strzałę i napinając cięciwę, przyciągnął

ją aż do ucha. Poleciała prosto i celnie, uderzając kozła tuż nad sercem. Padł, zanim zdążył postawić choćby jeden krok.

Max opuścił łuk i podszedł do koziołka, by sprawdzić, czy na pewno nie żyje. Wydobył strzałę i zaczął się krzątać, sprawiając zwierzę – zdejmował skórę, wyciągał wnętrzności i przygotowywał mięso przed przeniesieniem do obozu. Pracował szybko i sprawnie.

Odczuwał pewną satysfakcję, że inne zwierzęta i owady wykorzystają te części koziołka, które on zostawi.

Spojrzał w dolinę. Jego oczom ukazał się przepiękny widok – przebarwione jesiennie drzewa płonęły złotem i czerwienią,

oświetlone

ostatnimi

promieniami

zachodzącego za przeciwległe pasmo gór słońca. Zapadał

zmrok. Wytarłszy ręce w trawę, Max zarzucił sobie zdobycz na ramiona i ruszył pod górę z powrotem do obozu.

Nagle coś stanęło mu na drodze.

Człowiek. Chłopak.

Był mniej więcej w tym samym wieku co Max. Miał

rozczochrane czarne włosy, koszulę postrzępioną, a buty całkiem zdarte, jakby żył w dziczy od miesięcy, a nawet lat. Serce Maksa zamarło na jego widok. Z trudem oparł

się przemożnej chęci, by podbiec do nieufnego chłopaka, uściskać go i krzyknąć z radości. Zrzucił z ramion zwierzynę, podniósł obie ręce i skinął głową na powitanie.

Ku jego zdziwieniu chłopak nie odpowiedział. Stał po prostu jak wmurowany w ziemię, milczał i trząsał się, jakby był w szoku. Dopiero teraz Max zauważył, że z trudnością chwyta powietrze, a po jego ubłoconej twarzy spływa pot.

– Nic ci nie zrobię – rzekł Max spokojnie, pokazując puste dłonie.

*Łup, łup.*

Na dźwięk nieprzyjemnych stuknięć, które rozległy się niemal równocześnie, Max drgnął. Zobaczył, że z piersi chłopca sterczą dwie strzały, po których pełzają zielone magiczne ogniki. Ranny zatoczył się, nie spuszczając oczu z Maksa, po czym upadł naprzód, jego ciało zwinęło się w bezwładną kulę i zaczęło toczyć się w dół po opadłych liściach, dopóki nie zatrzymało się na pniu topoli.

Z góry dobiegł czyjś podekscytowany głos:

– *Connla n'uhlun veh delyael morkun!*

Max zamarł.

To był język demonów.

Max wydobyl gladius z pochwy, wymowil slowa formuly i cofnal sie o krok, podczas gdy jego iluzja kamuflowala go idealnie w otoczeniu. Sciskajac w reku krutki miecz, czujnie przygladal sie chochlikowi, który zbiegl z gory, by przyjrzeć sie zdobyczy. Przetoczył

chlópca na plecy, syknal z zadowoleniem, odslaniajac pare niewielkich ostrych siekaczy. Zgasil upiorne plomienie i wprawna reka wyciagnal strzaly z piersi chlópca.

Mimo wstretu Max sie nie poruszył. Chochlik nie mial przy sobie luku. To nie z jego rak padly zabójcze strzaly.

Wlasciwego myśliwego wciaz nie bylo widać.

Max przykucnal ostroznie i obserwowal toczace sie z gory kamienie, stracane przez kogos, kto cięzkimi krokami schodzil z gory. Zamigotalo tam cos zielonego –

strzala obwiedziona takim samym zielonym plomieniem jak te, które zabily chlópca. Plomien zblizył sie i Max ujrzal jego odbicie w trzech oczach – trzech bladych, tygrysich oczach lśniacych w twarzy rogatego rakszasy.

Był to lord Vyndra.

– *Caia!* – powtorzył chochlik, z dumą wskazujac na zabitego chlópca.

Rakszasa zatrzymal sie jakies dziesiec metrów od Maksa. Trzecia strzala wciaz zaczepiona byla o cięciwe, gotowa do strzalu. Z piersi lorda wydobyl sie gluchy warkot – zrobil glęboki wdech, jakby rozkoszujac sie nocnym powietrzem i zdobycza. Dzwiecznym, nawyklym do wydawania rozkazów glósem odezwal sie do chochlika. Ku zdziwieniu Maksa – po angielsku.

– Nie widzisz czekajacej na ciebie Śmierci, miyama?

Chochlik gwałtownie odwrócił glówe i zszokowany wbil wzrok w Maksa. Obnażywszy zęby, syknal i z pyknięciem zmienil sie w węża, który natychmiast zaczął

pełznac po opadlych liściach ku swemu panu. Max przykucnal jeszcze niżej.

– Dziwie sie, ze cię tu widzę – podjal rakszasa. Wciaz z naciagnięta cięciwa odwrócił sie do chlópaka. – Tez na niego polowales? – spytal.

Max nie odpowiedzial. Przyczajony, dalej skrywál sie w cieniu.

Rakszasa zaśmiał sie.

– Chowaj sie w zaklęciach lub w cieniu, jeśli tak wolisz, dziecko Rowan. Dla mnie to bez znaczenia. I tak cię widzę.

Zszedł jeszcze parę metrów w dół, stanął nad ciałem chłopca i odwrócił je pazurzystą stopą. Z jego gardła wydobył się złowrogi pomruk, a oczy rozbłyły blaskiem, który zdawał się pochodzić głęboko z wnętrza.

– Długo biegł, ten tu. Dalej i szybciej od innych –

rzekł, po czym natrafił spojrzeniem na sprawione mięso koziołka. – Czy Pies Rowan poluje dla sportu, czy dla zdobycia pożywienia, miyama? – Demon nachylił się, by powąchać krew zwierzęcia.

– Nie wiem, panie – syknął chochlik, opleciony teraz wokół szyi rakszasy. Jego rozdwojony język drgał

niespokojnie.

– Dla zdobycia pożywienia – odparł Max. Zbliżając się do demona, ledwo hamował drżenie głosu. Kiedy podszedł doń na trzy metry, rakszasa uniósł łuk. – A ty z jakiego powodu polujesz, demonie? – spytał chłopak.

Demon nie odpowiedział. Zamiast tego napiął

cięciwę.

– Odłóż ten miecz, dziecko Rowan. Nie szukamy z tobą wojny.

– Ha! – wykrzyknął Max, nie mogąc skryć pogardy w głosie. – Za to strzelasz do bezbronnego chłopca!

Rakszasa zerknął pod swoje nogi, na ciało, potem na koziołka, potem znów na Maksa.

– Widocznie widzisz różnicę. Ja nie.

– Nie powinno cię tu być – wycedził Max, z całej siły starając się hamować emocje. – Traktat, dekrety i tak dalej! To królestwo Rowan. Nie masz prawa tu być!

Na to troje oczu demona zwężiło się w szparki, a on zatrzęsł się od śmiechu. Z kolejnym pyknięciem chochlik Vyndry przybrał z powrotem swój maleńki elfi kształt i stanął na ramieniu pana.

– Jeśli ludzi tak bardzo zasmuca śmierć obcego człowieka, to jak muszą reagować na śmierć bliskich? –

zastanawiał się demon. – Nie miałem pojęcia, że wasz rodzaj jest tak sentymentalny. Nie dziwię się, że tak fascynujecie Prusiasa. Czy chodzi ci o główszczyznę?

– Co takiego? – spytał Max.

– Pieniądze dla rodziny ofiary – warknął demon, po czym skinął na chochlika, który zeskoczył na ziemię i wyciągnął przed siebie rękę z małym woreczkiem monet.

– Nie chcę złota – rzekł Max, z odrazą spoglądając na sakiewkę.

– Odejdź stąd.

Demon zdawał się rozważać tę możliwość. Z

przekrzywioną głową patrzył na broń w ręku chłopaka.

– Jestem gościem w twym królestwie – oznajmił. –

Wezmę więc mą zdobycz i pójdę sobie. – Rakszasa wyciągnął olbrzymią rękę, schwycił bezwładne ciało chłopca i zarzucił je sobie na ramię.

– Nie zabierzesz go – rzekł Max drżącym z emocji głosem. – Zostawisz go. Tutaj.

Demon odwrócił się i obrzucił Maksa wściekłym spojrzeniem. Jego postać w ciemniejącym lesie była czarna i przytłaczająca. Tylko oczy świeciły w mroku.

Po długiej chwili ciało ześliznęło się z ramienia demona i ciężko upadło na suche liście. Z oddali zabrzmiał głos myśliwskiego rogu – ohydny, upiorny ryk, mrozący krew w żyłach. W lesie nagle zapanowała cisza, jakby wszystkie istoty w całej dolinie skryły się w swych norach i gniazdach.

– Może i cieszyć się łaską Astarotha, lecz ostrzegam: lord Vyndra ma swoje prawa.

Demon obnażył zęby i z pogardliwym uśmiechem wycofał się w mrok. Max czuł, jak otaczające go powietrze na chwilę nieruchomieje, po czym ogarnia go nagły poryw parzącego ognistego wiatru, który następnie odpływa w noc z dzikim prymitywnym wyciem. Gałęzie zaczęły trzaskać, igły się zatliły, lecz po chwili las znów odetchnął. Demon zniknął.

Max spojrzał na ciało chłopca i z bólem pomyślał, że on musiał go uznać za jednego z myśliwych, demona, który zagroził mu drogę ucieczki. Przypomniał sobie panikę chłopaka i jego niezdecydowanie na widok pokojowego gestu Maksa. Może właśnie ta chwila wahania udaremniła mu ucieczkę i kosztowała życie?

Powrót do obozu zajął Maksowi większą część nocy.

Nie dlatego, że ciało zmarłego było ciężkie – nie, ważyło tylko ciut więcej niż upolowany koziołek – lecz z powodu potwornego

wycia

rogów

myśliwskich

rozbrzmiewającego co jakiś czas w dolinie. Na ich głos Max przystawał i na dłuższą chwilę zamierał, nasłuchując.

Dźwięk ten był nie do zniesienia, nawet z dużej odległości.

Obóz zastał pusty – tak jak oczekiwał. Ogień był

wygaszony, a otaczające go kamienie zimne i porozrzucane. Wpatrując się w jeden z nich, oświetlony światłem księżyca, zauważył pośpiesznie wydrapane na nim „C”, i nabrał przekonania, że agent wróci. Usiadł

więc po turecku w ciemnościach, przystosowując się do nich wszystkimi zmysłami. Gladius wyjęty z pochwy położył na kolanach.

Cooper wrócił niedługo przed świtem.

Stanął obok Maksa i wbił spojrzenie w ciało zabitego.

– Co się stało? – spytał cicho.

Max opowiedział mu przebieg zdarzeń.

– Wyndra nie jest jedyny – potwierdził Cooper. –

Wybrałem się na zwiady. Dolina pełna jest myśliwych na polowaniu. Słyszałeś rogi?

Max skinął głową.

– To nie tylko demony – ciągnął Cooper. – Na grzbiecie tej góry widziałem ettina. – Wskazał ręką na postrzępione zbocze góry, której szczyt skrywała gęsta poranna mgła. – Dwugłowego giganta. Podobno już wyginęły, lecz zdaje mi się, że wszystkie potwory obudziły się i krążą wokół nas.

Pochyliwszy się nad ciałem chłopaka, agent przyjrzał

się jego ranom i zmarszczył czoło.

– Pochowamy go tu, pod drzewem – rzekł, potrząsając głową.

– I ruszamy z powrotem. Dowiedzieliśmy się już wystarczająco dużo.

– Czego się dowiedzieliśmy? – spytał Max.

– Że nie ma miast i miasteczek – odpowiedział

Cooper. – I że nie jesteśmy tu sami.

Podniósł ciało chłopca i zaniósł je na skraj obozu, gdzie zaczął kopać grób. Max wstał z wysiłkiem i zaczął

grzebać w kieszeni w poszukiwaniu zdjęcia matki.

Postanowił, że pochowa je razem z chłopcem. Wiedział, że ojciec nie chciałby, by jakieś dziecko leżało samo w sercu górskiej dziczy. Podchodząc do grobu, spojrzął w przelocie na otwartą mapę Coopera, którą agent położył

na ziemi. Pergamin był teraz wypełniony szczegółami dotyczącymi ukształtowania terenu, biegu rzek i strumieni, położenia jezior. Na miejscu ich dzisiejszego obozu Cooper coś nagryzmołił. Były to zaledwie trzy słowa, lecz wystarczyły, by po plecach Maksa przebiegł

dreszcz.

*Tu są potwory.*

# HONOR I ZASZCZYT

Podróż powrotna do Rowan była długa. Wiele razy przeprawiali się przez rzeki, wiele razy powoli, z mozołem wspinali się na przełęcze, pokonując góry, które oddzielały wybrzeże od głębi lądu. Świat się zmienił, to prawda, myślał sobie Max, lecz pory roku następowały po sobie jak zwykle. Jaskrawe kolory jesieni z dnia na dzień bledły. Ogień liści gasł, kiedy nieubłagane porywy północnego wichru ogołacały gałęzie drzew.

Był dwudziesty ósmy października – już tylko parę dni dzieliło ich od święta Samhain, kiedy Max ujrzał z oddali Rowan. Nigdy dotąd nie widział nowego, odbudowanego Rowan z takiej perspektywy. Jego widok przywiódł mu na myśl lśniące w słońcu wieże zamków Sidh. Niezaprzeczalnie widok mocnych murów był

krzepiący – przypominał, że nie wszystko zalała fala ciemności i dziczy.

Kiedy zbliżali się do miasta, Max ze zdziwieniem stwierdził, że słyszy stąpanie końskich kopyt po bruku, a nie, jak zwykle, po miękkim podłożu. Galopowali aleją, która łagodnym łukiem skręcała na północ ku bramom Rowan. Po obu jej stronach wycięto niedawno drzewa i Max widział wąsate skrzaty domowe oraz ludzi w zgrzebnych strojach przy pracy na porębie. Oczyszczali teren z krzaków i ładowali drewno opałowe na wózki.

Przed nimi stała otworem brama wjazdowa do Rowan, a w jej świetle bawiła się spora grupka dzieci.

Nawet Cooper uśmiechnął się, słysząc pokrzykiwania i piski dzieciarni, która kopala piłki, kręciła obręczami i tarzała się w stosach liści. Wśród dorosłych natomiast wyróżniała się jedna znajoma postać. Scott McDaniels siedział cierpliwie na odwróconym do góry dnem wiadrze, podczas gdy zdeterminowana kilkuletnia dziewczynka usiłowała spiąć spinką parę jego pojedynczych włosów.

– Max! – krzyknął, podrywając się na nogi i nieuchronnie strząsając spinkę z głowy. – Jesteś! Już się martwiliśmy!

Max uśmiechnął się i zeskoczył z konia, uścisnął ojca i wysłuchał zwyczajowych komentarzy na temat swojej osoby – o tym, że urósł, że wygląda na zmęczonego i „O, Boże, czyżbyś zapuszczał brodę?”. Cooper, który się spieszył, by jak najszybciej złożyć raport z wyprawy, pożegnał się, więc McDanielsowie pozostali sami. Siedli pod murem i patrzyli, jak tuzin dzieciaków wspina się, kopie, toczy, wrzeszczy i wybucha śmiechem.

– Co, rzuciłeś robotę? – spytał Max.

– Nie. W kuchni jest teraz sporo ludzi do pomocy –

wyjaśnił tata. – Więc po południu najczęściej pilnuję tych małych potworków. Teraz, kiedy wreszcie otwarto bramy, na ogół tu przesiadujemy. Miło jest wreszcie wystawić nos na świat.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? – spytał Max.



Jego tata się zaśmiał.

– Na murach są porozstawiane strażę, w lesie pełno drwali i inspektorów, nadzorują prace i wyznaczają nowe drogi. Przecież dziesięć tysięcy ludzi nie może wiecznie kłębić się za murami Rowan.

– Ale tam są demony – rzekł Max. – I najprawdopodobniej nie tylko one.

– Cóż, mnie nic o tym nie wiadomo – powiedział

Scott McDaniels – a demony ostatecznie nie wydają się aż tak okropne. Przy okazji, będziesz musiał uważać z używaniem tego słowa w kampusie. Wolą, żeby odnosząc się do nich, stosować konkretne nazwy – chochlik, rakszasa, mazikin i tak dalej. Sir Alistair przygotował

specjalną tabelę, ale trudno to wszystkie spamiętać.

– I tak wygląda na to, że nieźle się w tym orientujesz

– stwierdził Max.

– Cóż, trudno się na nie tu i ówdzie nie natknąć. W

Gravenmuirze panuje wieczny ruch.

– Nie mów, że i ty byłeś w środku – zaniepokoił się Max.

– Oczywiście, że byłem – odparł tata. – Prawie wszyscy już tam byli. Handel się powoli rozkręca, więc wieczorami ambasador organizuje zebrania i spotkania towarzyskie. Dzisiaj targ już się zwija, ale chyba jakieś stragany będą jeszcze otwarte.

– Wygląda na to, że nieźle się tu bawicie – rzekł Max posępnie.

– Cóż – odparł tata – biorąc pod uwagę, przez co przeszliśmy i czego wszyscy oczekują, nie można ludzi oskarżać, że odetchnęli z ulgą i chcą mieć trochę frajdy z życia.

– Jest zupełnie tak, jakby wszyscy zapomnieli, przez co przeszli – myślał na głos Max. – Ile milionów ludzi zginęło w zeszłym roku? Już o tym nie pamiętasz, bo demony nagle wydają się miłe? Wszystko ci tu gra, tato?

– A ile milionów ludzi zginęło w wojnach w całej historii ludzkości? – odparował pan McDaniels. – Wojna to obrzydliwa sprawa, Max, niezależnie od tego, kto w niej bierze udział. Jestem za pokojem i na ile potrafię to zrozumieć, one też. Ale dosyć tej rozmowy. Powiedz coś o waszej wyprawie. Opowiesz mi po drodze, bo muszę już powoli zgarnąć tę hałastę i odprowadzić do domu. Mam twoje książki szkolne i zadania. Nagromadziło ci się mnóstwo zaległości...

– Żadnego odpoczynku dla strudzonych – jęknął

Max.

– Ach, zobaczysz, jak przyjemnie będzie wrócić do szkoły – rzekł ojciec i krzepiąco klepnął go po ramieniu. –

Chodźmy. Zbieramy dzieciarnię i wracamy. Bramy zamykają o zmroku, czyli już niedługo.

Dzieci, z dwoma niesubordynowanymi wyjątkami, szybko ustawiły się w rzędzie za panem McDanielsem, podczas gdy Max chwycił wodze araba. Ruszyli do Rowan. Po drodze chłopiec zastanawiał się nad słowami ojca i nad faktem, że Gravenmuir stał się naturalnym elementem Rowan.

Pobieżny rzut oka na główny kampus nie przyniósł

żadnych rewelacji. Uczniowie spieszili się na popołudniowe zajęcia, na kolację lub po prostu spacerowali w ogrodach. Max spojrzął w kierunku boisk sportowych i stwierdził, że uczniowie grają w piłkę Euklidesa – tradycyjną piłkę nożną, w której rozgrywkę komplikowało jedynie to, że boisko w dowolnej chwili mogło zmienić kształt, wypiętrzyć się lub zapaść. Świat wydawał się trwać w doskonałej harmonii. Dopóki wzrok Maksa nie spoczął na Gravenmuirze.

Ambasada demonów była rzęsiście oświetlona.

Piękne detale z czarnego kamienia lśniły, a ze wszystkich okien i otwartych drzwi wylewały się strumienie światła.

Z wewnątrz dobiegała muzyka – hipnotyzujące, zniewalające dźwięki belyael. Za ogrodzeniem ambasady kłębiły się tłumy ludzi. Gromadzili się wokół stoisk i namiotów, w których kupcy rozłożyli swe towary. Maksa uderzył kontrast pomiędzy wyglądem tego miejsca i tym, co się w nim działo – zupełnie jakby na stopniach mrocznej katedry odbywał się piknik.

Stary Tom wybił piątą. Pan McDaniels pomachał na pożegnanie dzieciom, które rozchodziły się w towarzystwie dorosłych.

– No i co myślisz? – spytał. – Mogło być gorzej, co?

Max nie odpowiedział. Stał tylko ze wzrokiem utkwionym w fundamenty budynków i rusztowania widoczne z tyłu za Starym Tomem i Maggie.

– A tam, co powstaje? – spytał.

– Nowe budynki akademickie – odpowiedział z dumą tata. – Nowe wydziały. Ja też myślę, czyby się nie zapisać. A to nie wszystko. W Sanktuarium będzie nowe miasteczko.

– To wszystko buduje sam David? – chciał wiedzieć Max.

– Nie. I dlatego wszystko idzie o wiele wolniej niż zwykle. – Ożywienie na twarzy pana McDanielsa ustąpiło miejsca niepokoju, a jego głos zniżył się do szeptu. –

Max. Powinieneś wiedzieć, że David jest ostatnio na topie. Ale nie w sensie pozytywnym. Mówią że nie współpracuje z panią Richter. Ba, słyszałem nawet gorsze plotki.

– Na przykład? – spytał Max.

Ojciec zerknął na przechodzącą nieopodal parę i jeszcze bardziej ściszył głos.

– Że potajemnie wymyka się ze szkoły. Że atakuje demony... zatapia statki handlowe, zanim przybiją do portu Rowan. Ambasador twierdzi uparcie, że Davida widziano w Blys, ale coś mi się nie widzi, żeby to miała być prawda. Blys leży przecież za oceanem, a panna Boon twierdzi, że od początku roku szkolnego David nie opuścił

ani jednych zajęć. – Twarz pana McDanielsa była zaczerwieniona, a on sam wiercił się niespokojnie w miejscu. – To, co gadają, jest okropne, Max. Niepokojące.

Nigdy byś o takie rzeczy naszego małego Davida nie podejrzewał, ale on sam niczemu nie zaprzeczył.

Słyszałem, że lord Prusias domaga się, aby został

aresztowany, i naciska na panią Richter....

– Rozmawiałeś z Davidem? – przerwał mu Max. –

On cię kocha.

– Próbowałem – odparł ze smutkiem ojciec. – Raz otworzył mi drzwi, ale tylko podziękował za ciastka, które mu przyniosłem, i zamknął się z powrotem w pokoju. On źle wygląda, Max. Chyba lepiej by było, jeśli byś się przeniósł do mnie.

W milczeniu odprowadzili araba do stajni, po czym zawrócili do Domostwa.

– To była długa wyprawa – rzekł w końcu Max. –

Pochowałem zdjęcie mamy. Zostawiłem je z kimś, kto go potrzebował.

Opowiedział tacie o zabitym strzałami demonów chłopcu, którego ciało spoczywało teraz w grobie na górskim zboczu. Zamiast jeść w jadalni, zabrali kolację do mieszkania pana McDanielsa. Po jedzeniu Max zauważył

gruby arkusz pergaminu. Zbliżywszy go do światła, stwierdził, że to opatrzona złotą pieczęcią Prusiasa ulotka.

*ZIEMIA, BOGACTWA, HONOR I ZASZCZYTY*

*Wielka Wojna zakończona! Wiele możliwości czeka na każdego, kto potrafi z nich skorzystać!*

*Lord Prusias poszukuje mężczyzn i kobiet o bojowym duchu i szlachetnym usposobieniu do*

*administrowania jego rozległym, wciąż rozszerzającym granice Królestwem Blys. Odpowiedni kandydaci otrzymają na własność ziemię, tytuł szlachecki oraz świętę – zgodnie z tradycją królewską. Kandydaci obdarzeni mehrun – czyli w waszym szlachetnym języku magią – będą szczególnie mile widziani, lecz do zgłaszania się zachęcamy wszystkich.*

*Uprzejmie prosimy o zgłoszenia do święta Samhain.*

*Osoby, które zgłoszą się najwcześniej, będą miały pierwszeństwo wyboru wśród oferowanych posiadłości.*

*Osoby zainteresowane prosimy o kontakt z panem Cree, sekretarzem jego wysokości ambasadora, celem otrzymania karty zgłoszeniowej.*

– A to co za nonsens? – zapytał Max.

– Och – odparł jego tata, coraz bardziej zażenowany.

– To... cóż. To dokładnie to, co przeczytałeś. Zachęta, by ubiegać się o minikrólestwo lub coś w tym rodzaju.

– A ty trzymasz to w swoim pokoju dla żartu, tak? –

wywnioskował Max. – To znaczy, w życiu byś się nie zastanawiał...

– Oczywiście, że nie – odparł tata, parskając z dezaprobatą. – Możesz sobie wyobrazić Scotta McDanielsa w koronie i z berłem? Nie. To nie w moim stylu. Choć przecież nie można nikogo winić za dogadanie swojej wyobraźni.

Max uśmiechnął się i westchnął, odrzucając obwieszczenie na bok.

– Wyobrażasz sobie, że ktoś mógłby pójść na coś takiego?

– Owszem – odparł tata, zdecydowanie kiwając głową. – Widziałem wiele osób z tymi ulotkami w rękach, jak poszukiwały pana Cree.

– To tylko świadczy o tym, że są głupcami – rzekł

gorzko Max. – Zachłannymi, pazernymi głupcami. Pani Richter lub ktoś inny powinien ich powstrzymać.

– Niby dlaczego? – zaśmiał się pan McDaniels. – Nie jesteśmy więźniami Rowan ani tym bardziej własnością pani Richter. Ludzie mają prawo dokonywać wyborów, jakich chcą, Max. Jeśli to będą głupie lub niebezpieczne wybory, ich sprawa.

– Wolność wyboru i tak dalej – rzekł Max.

– Amen – zakończył rozmowę tata, uderzając ręką w stół. – A teraz trochę odpocznij. Przecież jutro

idziesz do szkoły!

Kiedy następnego ranka Max szedł na lekcje, czuł się jak nowo narodzony. Włosy miał ostrzyżone, twarz ogoloną i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, wyglądał i czuł się jak prawdziwy uczeń. Idąc pospiesznie do jadalni, gadał z Rolfem Lugerem – również uczniem, cieszył się ciężarem książek, a nawet straszliwymi historiami dotyczącymi zajęć na trzecim roku. Z tego, co mówił

Rolf, panna Boon była tyranem, pani Caswell, jak się wydaje, sądziła, że wszyscy co do jednego mają matkę w małym palcu, a pan Vincenti zadawał takie prace domowe, że nieraz trzeba było posiedzieć całą noc. Przy śniadaniu dołączyło do nich radosne trio – Cynthia Gilley, Lucia Cavallo i Sara Amankwe. Dziewczyny były równie zainteresowane nowym wizerunkiem Maksa, jak podróżą, z której właśnie wrócił.

– Za krótko, Max – stwierdziła Lucia, przyglądając się jego włosom. – Bez duszy, bez stylu.

– A właśnie że nie – sprzeciwiła się Cynthia, autorytatywnie wymachując łyżką. – Ja tam lubię krótkie włosy, jak u dobrego ucznia.

– A co sądzi na ten temat Julie? – spytała Sara z prowokacyjnym uśmiechem.

– Julie? – powtórzył Max, postukując palcami o stół.

– Tak naprawdę to jeszcze się z nią nie widziałem.

Wróciłem dopiero wczoraj wieczorem i...

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

– Zrobiłem coś złego? – spytał.

– Oj, Max – rzekła Cynthia głosem pełnym siostrzanej troski. – Chyba jednak powinniśmy ci to wszystko spisać. Życie nie składa się tylko z bohaterskich czynów i wymachiwania mieczem.

– Czy ja tylko to robię? – nie dowierzał Max, rozbawiony. – Bohaterskie czyny i wymachiwanie mieczem to ja?

– Uff, jesteście wybawieni! – wykrzyknęła Cynthia, bo donośny głos dzwonu z wieży zegarowej Starego Toma odwołał wszystkich do klas.

Max skierował się do Kuźni, jako że na pierwszej lekcji miał urządzenia – te zajęcia prowadził pan Vincenti i uczył, jak wykonać rozmaite przydatne przedmioty. Sala, w której odbywały się jego lekcje, była ciasna, a uczniowie tłoczyli się przy niskich stołach i warsztatach.

Nauczyciel stał przy palenisku kowalskim z przodu sali i zaganiał uczniów na miejsca. Po jego bokach stała para dvergarow – jeden z nich operował miechem, drugi dbał o utrzymanie właściwej temperatury w palenisku, z którego na ciemne ściany sali padał pomarańczowy blask i buchało nieznośne gorąco. Gdy uczniowie już się zgromadzili, pan Vincenti poprosił wszystkich bliżej.

– Wiem, że jest gorąco, ale bardzo proszę się ścisnąć

– rzekł. – Przez cały ostatni miesiąc uczyliśmy się o tym, że kowalstwo to jedna z podstawowych umiejętności rzemieślniczych, i zapoznawaliśmy się z podstawowymi narzędziami kowalskimi oraz z tym, jak ich używać. W

Rowan nikt nie ma lepszych kowali niż dvergary, których przodkowie kuli broń dla bogów. Dziś mamy wielkie szczęście powitać wśród nas Aurvangra i Ginnarra, którzy zgodzili się podzielić z nami swą wiedzę.

Dvergary przerwały swe czynności i odwróciły się przodem do klasy. Były to staroskandynawskie krasnoludy wywodzące się z najstarszego i najbardziej chlubnego rodu – miały długie, splecione w warkocze brody, popielatą cerę i mleczone oczy, które w wyniku wieloletniego wpatrywania się w ogień wydawały się ślepe. Mówiły schrypniętym, przerywanym angielskim i Max słuchał ich z największym zainteresowaniem.

– Wybaczcie, ale ludzie bardzo kiepsko radzą sobie z metalem – rzekł Aurvangr. – Człowiek przy pracy używa rozumu, nie duszy. Prawdziwy kowal nie tylko nadaje kształt żelazu. Jest artystą. Prawdziwy kowal woła do swego żelaza i dzieli z nim swoją pieśń.

Ginnarr pochylił się do przodu i podjął opowieść brata.

– Jeden jest tylko język Tworzenia, a znajduje się on teraz w rękach Astarotha....

Na sam dźwięk tego imienia bracia jednocześnie uczynili znak chroniący przed złem.

– Język Tworzenia może należeć do Wielkiego Demona i jego Księgi, lecz w Tworzeniu jest również muzyka, a mądry kowal rozumie jej nuty.

Krasnolud sięgnął po pradawny czarny młot, którego główka była tak starta, że została z niej tylko lśniąca bryłka.

– Pomożemy wam odnaleźć melodię Tworzenia. Lecz młody kowal najpierw musi poczuć żądło żelaza, musi spocić się przed paleniskiem. Najpierw trzy uderzenia młotem, by poczuć pracę mięśni...

\* \* \*

W południe Max pożegnał się z kolegami z klasy, którzy szli na lekcję dyplomacji, podczas gdy on miał po raz pierwszy poprowadzić zajęcia z technik walki. Wszedł

po schodach do Maggie, lecz kiedy dotarł na drugie piętro, zatrzymał się, zdziwiony. Przed drzwiami sali zastał Julie.

– No, jesteś! – wykrzyknęła i pomachała do niego przyjaźnie.

– Hej – odparł Max i przepchnął się między uczniami, by ją uścisnąć.

– Słyszałam, że wróciłeś. Wprost nie mogę uwierzyć, jakim jesteś schludnym i grzecznym uczniem – przekomarzała się. – Przygotowałeś się do prowadzenia zajęć?

– Eee, myślałem, że zaimprovizuję – przyznał się Max. – Wiesz... poprowadzę spontanicznie.

Julie uniosła brwi, lecz powstrzymała się od komentarza. Życzyła mu tylko powodzenia.

Max stwierdził, że klasa 222 była obszernym dojo, czyli salą do treningu sztuk walki, teraz pełną ludzi.

Rzucił okiem na zebranych. Obecne było całe Czerwone Bractwo, pani Richter, starsi wykładowcy, paru mistyków i grupka agentów. Wszyscy, ubrani w stroje do ćwiczeń, nie spuszczała z niego pełnego wyczekiwania wzroku.

Na czoło Maksa wystąpiły grube krople potu. Zsunął

torbę z ramienia, postawił ją pod ścianą, po czym tępo zagapił się na zebranych, mrugając. Wydawało mu się, że to zły sen.

– Witajcie – odezwał się w końcu. – Przepraszam za spóźnienie.

Cisza.

– Cóż... witajcie na zaawansowanym treningu technik walki – zaczął. – Nazywam się Max McDaniels i jestem waszym... nauczycielem. Chyba powinniśmy zacząć od przedstawienia się.

– Gabrielle Richter, dyrektor.

– William Cooper, Czerwone Bractwo.

– Annika Kraken, Loża Mistyków.

Zebrani przedstawiali się dalej, podczas gdy Max na próżno starał się wymyślić odpowiedni scenariusz zajęć.

Kiedy ostatni uczeń podał swoje imię i stanowisko, Max klasnął w dłonie i potarł je o siebie nerwowo.

– Dobrze więc – rzekł. – Hm... czy ktoś ma jakieś doświadczenie w walce?

Po chwili milczenia zebrani zaczęli wymieniać między sobą powolne, zdziwione spojrzenia. Podniosły się wszystkie ręce.

– O... oczywiście – wyjąkał Max, czerwony jak burak. – Przepraszam... głupie pytanie. Przejdźmy dalej...

Mimo że miał najlepsze chęci, by przejść dalej, stwierdził, że stoi jak wmurowany, pocierając dłońią o dłoń, jakby dla rozgrzewki, I nie jest w stanie wydusić słowa. Ktoś odchrząknął. Max podniósł wzrok i stwierdził, że Cooper podniósł rękę.

– Profesorze McDaniels? – zaczął bez śladu ironii w głosie. – Wiadomo mi o twoim pobycie w Sidh rok temu.

– Tak – odparł Max i wypuścił nagromadzone w piersi powietrze. – Zgadza się.

– Słyszałem także, że odbyłeś tam szkolenie w walce.

– To prawda.

– W takim razie – kontynuował taktownie Cooper –

nie chciałbym zabierać głosu w imieniu grupy, ale choć widziałem w życiu sporo różnych walk i nauczyłem się wszelkich możliwych technik walki, nigdy nie przeszedłem szkolenia w Sidh...

– Oczywiście – powiedział Max, którego przepełniała wdzięczność za podpowiedź. – Oczywiście. Od czego zaczniemy?

– Czy nauczyłeś się jakichś konkretnych technik walki? – spytała pani Richter.

– Tak, wielu – odparł Max. – *T-ubullchless* – czyli wyczyn jabłka, *ich n-erred* – skok łososia, *cless cletenach*

– wyczyn małej strzały...

Jeden z agentów zakrył usta, by stłumić śmiech.

– Ma pan pytanie? – spytał Max.

– Nie – odparł agent. – Ale myślałem, że to mają być zajęcia z technik walki. Łososie i jabłka – to brzmi jak lekcja gotowania.

– Rozumiem – odparł Max, rozglądając się z uwagą.

Wypatrzył stojący nieopodal stojak z bronią i podszedł do niego. Chwycił wytartą piłkę treningową i szerokim łukiem wyrzucił ją w kierunku przeciwległej ściany. Kiedy była w locie, schwycił z drewnianej kasetki osiem małych strzałek i wypuścił je jedna po drugiej w mgnieniu oka. Sekundę później piłka wylądowała na podłodze. Przypominała jeżowca – żadna ze strzałek nie chybiła celu.

– *Cless cletenach* – wyjaśnił Max. – A teraz... *ich n-erred*. – Wziął krok rozbiegu, po czym jednym niewyobrażalnym susem przesadził siedemnastometrową salę, płynnym ruchem chwycił piłkę z podłogi i delikatnie położył sobie na dłoni, jakby szacując jej wagę. – I wreszcie – dodał – *T-ubullchless*.



Silnym rzutem cisnął piłkę w kierunku stojącego przy drzwiach manekina ćwiczebnego. Piłka dotarła do celu z taką siłą, że roztrzaskała głowę manekina i wysłała w powietrze fontannę trocin, którymi był wypchany.

Na sali panowała cisza.

– Kiepski ze mnie nauczyciel – rzekł Max, któremu drżały palce. – Ale te rzeczy opanowałem. Więc jeśli macie coś lepszego do roboty, nie chciałbym marnować waszego czasu.

Pani Richter podniosła rękę.

– Zapewniam agenta Crowleya, że nie ma lepszych rzeczy do roboty. Proszę kontynuować.

Kiedy zajęcia się skończyły, Max padał z nóg

W duszy pocieszał się, że może nie były kompletną klapą.

Rzeczywiście, raz czy drugi zapomniał języka w gębie, ale czuł, że następnym razem pójdzie mu lepiej.

Otarł pot z czoła i rozejrzał się po podwórzu za Julie.

Miał nadzieję, że spotkają się po kolacji, i pluł sobie teraz w brodę, że nie wspomniał o tym, kiedy się widzieli.

Nie było jej na dziedzińcu. Nie było w zatłoczonej jadalni. Już miał szukać w pokoju, kiedy wpadł na schodach na jej współlokatorkę i dowiedział się, że Julie wzięła jedzenie na górę i zaszyła się u siebie, żeby się uczyć.

– Co, podpadłem? – spytał chłopak.

– Może trochę – uśmiechnęła się Camille.

Jęknął.

Max wziął sobie kolację na wynos i spiesznym krokiem ruszył do skrzydła z sypialniami chłopców.  
O

następnych zajęciach pomyśli później – teraz trzeba się skupić na tym, jak odzyskać względy Julie. Dać jej kwiaty? Zbyt oklepane, uznał. Ojciec na pewno by mu doradził, żeby coś dla niej ugotował, ale akurat w tej dziedzinie Max był beznadziejny.

Kiedy dotarł do pokoju, myślami był z powrotem przy opcji „kwiaty”. Sięgnął po klucz i na chwilę zamarł.

Drzwi do pokoju Connora po drugiej stronie korytarza były lekko uchylone. Rozległ się tam jakiś szelest, a po nim stłumione przekleństwo. Coś upadło na podłogę. Max wsunął głowę do środka i

zobaczył kolegę wrzucającego ubrania do ogromnego kufra.

– Hej – odezwał się Max.

Na jego głos Connor odwrócił się na pięcie. Jego oczy były czerwone, a na policzkach wyraźnie widać było ślady łez. Pospiesznie otarł twarz rękawem.

– Hej. Witaj w domu i tak dalej.

– Dzięki – rzekł Max, wszedł do pokoju i zamknął

drzwi. – Nie widziałem cię dziś na lekcjach. Co się dzieje? Chory jesteś?

Connor pokręcił głową i zaśmiał się smutno.

– Ja? Rzuciłem szkołę. Już nie mam lekcji.

– Co takiego?! – wykrzyknął Max. – Nie możesz tak po prostu rzucić szkoły!

– Już to zrobiłem.

Connor podał Maksowi zwój papieru przewiązany czerwoną wstążeczką.

Max rozwinął go szybko i pozerął oczami treść kontraktu

spisanego

błęszącym,

czerwonym

atramentem.

*28 października roku 1*

*Niniejszy kontrakt stanowi, że pan Connor Braden Lynch, uprzednio członek Akademii Rowan, wyrzeka się przynależności do powyższej instytucji w zamian za ziemię i tytuły w Królestwie Blys. Zaświadczy o tym przez złożenie hołdu lordowi Prusiasowi i opuszczenie terenu Rowan w ciągu dwóch dni.*

Max szybko przebiegł wzrokiem dalsze szczegóły, aż doszedł do końcowej formuły.

*Jako poręczenie dobrej woli i gwarancja lojalności baron*

*Lynch*

*niniejszym*

*zobowiązuje*

*się*

*do*

*zabezpieczenia umowy w sposób wyszczególniony w Dodatku I. Zabezpieczenie to będzie obowiązywać do dnia jego śmierci.*

– Connor – szepnął Max. – Jakie masz im dać zabezpieczenie?

Connor nie patrzył na kolegę. Odwrócił się i wbił

wzrok w ciemną ławkę za oknem. Potem bezradnie wzruszył ramionami i gorzko się zaśmiał.

– Jedyne, jakie chcą przyjąć.

## OKNO NA ŚWIAT

Max trzymał kontrakt Connora w koniuszkach palców. Przez chwilę obaj chłopcy milczeli. Cienie za oknem wydłużały się.

– Więc mają twoją duszę? – ledwie słyszalnym szeptem spytał Max.

– Jeszcze nie – pociągnął nosem Connor. – Ale będą mieli. Zaprzysięgnę ją, kiedy będę składał hołd.

– Dlaczego to robisz? – nie rozumiał Max. –

Postradałeś zmysły?

– Chciałbym – odparł Connor i zaśmiał się smutno. –

Według rady Petera postępuję właściwie.

Max wzdrygnął się, słysząc to imię, i oddał kontrakt Connorowi. Fakt, że Peter Varga może sprowadzić następną bliską osobę na nieznane ścieżki, wydawał się zbyt szokujący. Resztki wdzięczności, jakie Max czuł dla Petera za jego pomoc w przeszłości, natychmiast wyparowały.

– Peter Varga doradził ci, żebyś zaprzedał duszę? –

spytał. – Za kawałek ziemi?

– No, mniej więcej – odparł bezradnie Connor. –

Powiedział, że przeniesienie się do Blys to dla mnie najlepszy sposób, żeby odkupić winy.

– Jakie winy? – spytał Max.

– Wszystkie – odparł Connor, kopiąc bez przekonania krzesło, na którym siedział kolega. – Bo to wszystko moja wina. I jest coś takiego jak zemsta, Max. Wiesz, kto mnie pilnował, kiedy podczas oblężenia byłem w niewoli?

– Wiem – odparł Max. Alex Munoz, były uczeń Rowan, który został inkwizytorem Wroga. Kiedy przyprowadził zakładników, zwolnionych za okup w postaci Księgi Thotha, wydawał się zmieniony, jakby ubyło mu człowieczeństwa. Zresztą już wcześniej okrył

się niechlubną sławą urodzonego sadysty. Max nie chciał

nawet myśleć, jaką krzywdę mógł wyrządzić Connorowi.

– Zabiję go – wyznał Connor głosem pełnym zimnej, spokojnej determinacji. – Zabiję Aleksa Munoz, nawet jeśli będzie mnie to kosztowało ostatni oddech i nieśmiertelną duszę.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

– O co chodzi? – wrzasnął Connor.

– To nie tylko twój pokój – krzyknął czyjś zagniewany głos.

Connor szarpnął się za włosy i dziko spojrział na Maksa pełen niedowierzania.

– Nie mogą się domyślić, że właśnie rozmawiam o mojej nieśmiertelnej duszy i zemście?!

Włożył ostatnie sztuki swej garderoby do kufra i zamknął go na skobel, kiedy rozległ się grad uderzeń w drzwi przemieszany z okrzykami protestu, groźbami i przekleństwami.

– Cholerne szczeniaki – mruknął Connor i rzucił

Maksowi pytające spojrzenie. – Mógłbym się do was wcisnąć? Tylko na jedną noc, góra dwie.

– Jasne – odparł Max. – Poza tym jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

Connor, ciągnąc ciężki kufer, poczłapał do drzwi i otworzył je na oścież. Za progiem stali jego współlokatorzy z dłońmi zwiniętymi w pięści i pełnymi złości minami.

– Proszę bardzo, pokój jest wasz – oznajmił Connor.

– Prawdziwą przyjemnością było wspólne użytkowanie go z wami przez ostatnich parę lat, panowie. Każdy młody człowiek powinien mieć przyjemność pomieszkania z Wankerem, Wimplem i Stinkym. To wspaniała szkoła charakteru. Życzę wam wszystkiego dobrego, chłopcy.

Powodzenia i niech was Bóg strzeże.

Koledzy, nie wiedząc, czy się złościć, czy dziwić, rozstąpili się, a Connor przeciągnął kufer przez korytarz do pokoju Maksa. Czekał na progu, podczas gdy Max mruczał coś na przeprosiny trzem chłopakom, którym odjęło mowę, i pospieszył za nim.

Connor przybliżył się do niego, kiedy Max przekręcał

klucz w zamku.

– Davie jest? – spytał nerwowo. – Nie, żebym wierzył

w to, co o nim mówią, ale...

– Uspokój się – rzekł Max i otworzył drzwi. – I tak nigdy go nie ma.

Okazało się, że tym razem się mylił.

Chłopcy przeszli przez próg i stwierdzili, że David jest w domu. Największy czarnoksiężnik Rowan znajdował się w centrum sceny tak surrealistycznej, że Max i Connor stanęli z zadartymi głowami i

otwartymi ustami.

David Menlo unosił się jakieś dziesięć metrów nad niższym poziomem pokoju. Na tle kopuły wydawał się drobnutki niczym laleczka z wyciągniętymi w stronę wypukłego szkła rękami. Za kopułą zaś nie było widać spokojnych mrugających lekko gwiazdnych konstelacji.

Widniał za nią wzburzony, rozszalały kosmos.

– To dopiero! – wykrzyknął Connor. – Co ten chłopak wyprawia?

– Nie mam pojęcia – szepnął Max. – Óóó.

Chłopcy przykucnęli i obserwowali, jak David wzniósł się wyżej. Jego drobna sylwetka rysowała się na tle nieba. Max mógł przysiąc, że między gwiazdami rozpoznaje niewyraźne twarze – twarze złowrogich zakapturzonych postaci, rysowanych światłem i kształtem wirujących mgławic. David uczynił ręką gest, jakby chciał

je oddalić, lecz potworne oblicza pozostały. Najwyraźniej stały na przeszkodzie temu, czego próbował dokonać.

Max usłyszał krzyk Davida i kopuła wypełniła się drżącą światłością, która niczym fala uderzyła w szkło. Kiedy światłość odpłynęła, twarzy już nie było.

Nie było również widać kosmosu. Za przezroczystą zasłoną z chmur kopuła ukazywała teraz gładkie, szare morze. Daleko majaczyło małe mrugające światełko, a za nim pojawił się kształt przypominający maszty i żagle. Z

trochę innej perspektywy widać było, że to statek – czarny statek wysoko wylądowany ostemplowanymi skrzyniami.

Na dziobie stała wiedźma dzierżąca w uniesionej dłoni płonąca pochodnię. Max domyślał się, że została wynajęta, by zaklinać pogodę – łagodzić wichry i prądy morskie, aby statek mógł bezpiecznie dopłynąć do celu.

Na jego drodze pojawił się jednak potężniejszy zaklinacz pogody.

Kiedy David wyciągnął ramiona przed siebie, na morze padł czarny cień. Wiedźma gwałtownie przerwała zaklinanie i wzniosła wzrok ku niebu. Max, zafascynowany, przyglądał się jej maleńkiej postaci w nieistniejącym świetle, kiedy unosiła w stronę kopuły płonąca pochodnię. Mimo jej desperackich wysiłków szare burzowe chmury piętrzyły się nad statkiem jak zapędzone do zagrody bydło. Spokojne wody zmieniły się we wściekłą, zielonoszarą kipieli. Na pokładzie jak szalone zaczęły uwijać się małe postaci, które próbowały zabezpieczyć ładunek. Wiedźma upadła na kolana i rzuciła coś do morza przez rufę miotanego dzikimi bałwanami statku. Zapewne ofiarę. David, który wisiał już pod samym szczytem kopuły, uniósł pięść i czerniejące niebo rozświetlił blask błyskawicy, a uderzenie pioruna pogruchotało główny maszt. Jedwabne żagle załopotały na wietrze jak chorągiewki na paradzie.

Max, pełen nabożnego lęku, obserwował, jak fala za falą wlewała się na pokład, demolując statek z pełnym kociego wdzięku okrucieństwem. Liny pękały, marynarzy zmiatało z pokładu w rozbuchaną morską toń, a elementy potężnego ładunku wywracały się jak klocki i wpadały do wody. David, który panował nad żywiołem jak dyrygent nad orkiestrą, przygotowywał się do straszliwego finału.

Na horyzoncie Max dostrzegł jeszcze jedną czarną falę – z oddali wyglądała nieszkodliwie, choć wiedział, że jest wielka, jednak dopiero kiedy w swej milczącej, morderczej potędze przesłoniła ciemne niebo, ukazał się jej prawdziwy ogrom.

– Mój Boże – szepnął Connor.

Max wzdrygnął się, widząc, jak fala zbliża się, rośnie, po czym uderza w chwiejący się statek. Uderzenie było niewiarygodnie silne. Wysłało w górę fontannę piany, wody i mgły, która – szczęśliwie dla świadków widowiska – przysłoniła żalosne szczątki wraku. Kiedy opadła, statku handlowego po prostu nie było. Ani jednego masztu, ani jednego drzewca, ani jednego rozbitka na falach. Zupełnie jakby statek nigdy nie istniał.

I znowu sceneria po drugiej stronie kopuły zaczęła się zmieniać. Wzburzone fale ustąpiły miejsca nocnemu niebu i znajomym gwiazdnym konstelacjom. Kiedy kopuła przybrała swój zwyczajny wygląd, David opadł

powoli na podłogę. Męczyły go napady rozdzierającego kaszlu. Rozniecił ogień na kominku, usiadł na fotelu i oparł się ciężko o stół. Swą jedyną dłonią wygrzebał z kieszeni chustkę, którą przyłożył do ust, podczas gdy jego ciałem wstrząsał spazmatyczny kaszel. Ustąpił dopiero, gdy David osunął się z fotela na podłogę.

– Chyba ma jakiś atak – przestraszył się Max. –

Szybko, chodźmy!

Connor ruszył za nim. Max pochylił się nad przyjacielem i wydobył z jego drętwej dłoni splamioną krwią chustkę.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? – syknął Connor. –

Przecież on może... rozwalić cię na strzępy!

W tej chwili David wydawał się jednak niezdolny nawet do zgniecenia komara. Leżał nieruchomo, zamknięte powieki silnie mu drgały, a oczy pod nimi poruszały się gwałtownie. Kaszel na razie ustał – zamiast niego pojawił się szybki, płytki oddech, graniczący z hiperwentylacją.

I nagle... atak się skończył.

David otworzył oczy i spojrzał wprost na Maksa.

Mrugnął, kaszlnął i gestem poprosił kolegę, by ten pomógł mu usiąść na fotelu. Spojrzeniem zarejestrował

obecność Connora, lecz całą uwagę poświęcił Maksowi.

– Długo tu jesteście? – spytał.

Kiedy Max zastanawiał się nad odpowiedzią, Connor wyręczył go w typowy dla siebie obcesowy sposób:

– Wystarczająco długo, aby widzieć, co robisz z tym cholernym statkiem! – wykrzyknął.

– Connor – ostrzegł go Max, lecz David machnął tylko ręką.

– Przykro mi, że musieliście na to patrzeć – rzekł

cicho. – Pewnie się zastanawiacie, czy te wszystkie okropne plotki to prawda...

W głosie Davida słychać było niezwykle spokoj.

Twarz Connora straszliwie pobladła i chłopak zaczął

wycofywać się w górę po schodach, jakby obawiał się, że zaraz zostanie zamieniony w ropuchę.

– Jasne, że tak! – przyznał. – Kto by się nie zastanawiał, widząc coś takiego?

– Dlaczego zatopiłeś ten statek? – spytał Max.

– Bo był cenny. – David wzruszył ramionami. – To był pierwszy kliper wiozący towary ze wszystkich czterech królestw. Jak dotąd do Rowan docierały tylko towary z Blys. Wieść o tym fiasku dobiegnie z pewnością nawet do samego Astarotha.

– Więc próbujesz go sprowokować? – zapytał Max.

Blade rysy Davida rozjaśnił nikły uśmiech.

– I robisz to stąd? – ciągnął Max, coraz bardziej rozżłoszczony. – Z Rowan? Nie sądzisz, że to trochę nieostrożne?

– Czyżby Max McDaniels miał zamiar prawić mi morały o ostrożności?

Max spojrział na niego wilkiem. Palce już swędziały go od tej okropnej Starej Magii, która chciała przejąć nad nim kontrolę.

– A od kiedy to nasz pokój zmienił się w gigantyczną kryształową kulę? – spytał, zmieniając temat i wskazując dłonią kopułę.

David się zaśmiał.



– A ty myślałeś, że to tylko ozdoba? – cmoknął i roześmiał się, rozbawiony swym pytaniem. – Max, to moja baza operacyjna. Moje małe okno na świat.

– A co to były za twarze za szkłem? – spytał Max.

Uśmiech Davida błyskawicznie zbladł, a na jego twarzy malowała się absolutna szczerłość.

– Też je widziałeś? – szepnął. – Czasami jestem przekonany, że tylko ja mogę je widzieć.... To najlepsi magowie Prusiasa. Próbują mnie odnaleźć. Ale nie mogą.

Jeszcze nie!

– Nie za bardzo podoba mi się pomysł, żeby demony zaglądały mi przez okno – rzekł Max ponuro.

– Nie przejmuj się. Nie widzą cię tu. Mnie mogą zauważyć tylko, kiedy wyglądam na zewnątrz, ale bardzo uważam, żeby tak się nie stało.

– Niezbyt chyba uważasz, jeśli dwie osoby bez twojej wiedzy wchodzą do pokoju, zwłaszcza że mają do niego klucz – uciał Max. – A gdyby to była pani Richter, David?

Słyszałem, że nie bardzo jej się podoba to, co robisz.

– Dziś sytuacja była wyjątkowa – odparł David. –

Musiałem odnaleźć ten statek, póki był jeszcze na wodach Blys. – Oczy chłopca napotkały zwój pergaminu w rękach Connora. – Czyżby ktoś dogadał się z panem Cree?

Connora to pytanie najwyraźniej zdeprymowało.

Zwiesił głowę jak zbesztany uczeń, kiwnął nią i oddał

pergamin Maksowi, który z kolei podał go Davidowi. Ten przeczytał pismo i odłożył je na stół z ciężkim westchnieniem.

– A więc zamierzasz sprzedać im duszę – powiedział

cicho. – Mogę spytać czemu? Wiem, że lubisz ładne rzeczy, Connor, ale wiem też, że nie jesteś głupcem.

– Więc być może Varga jest głupcem – odparł

Connor, obrażony. – Nalega, żebym się przeniósł do Blys, robi to już od lata. Twierdzi, że to dla mnie najlepszy sposób na odkupienie win. Mówi, że to mój obowiązek...

– Connor umilkł, a jego policzki poróżwiały.

David nie odpuszczał.

– Odkupienie jakich win? – spytał lodowato. – Próbę zabicia mnie? Zdjęcie mgieł, chroniących szkołę i obnażenie nas wszystkich?

– Win... z zeszłej wiosny – odparł Connor, patrząc w bok.

– Cóż – przerwał rozmowę Max, zanim zdążyły ożyć wspomnienia tych niechlubnych zdarzeń. – Nie ma wątpliwości, że nie możemy dopuścić, żeby Connor to zrobił. To znaczy musimy coś zrobić. Możemy się targować z panem Cree?

David potrząsnął głową i znużonym wzrokiem spojrzął na kontrakt.

– Pan Cree to tylko sekretarz, Max. Nie jest właścicielem duszy Connora, tylko spełniającym swoje obowiązki notariuszem. I nie lekceważyłbym tak łatwo sugestii Petera Vargi, bo jak dotąd w swych osądach częściej miał rację, niż się mylił. Być może Connor powinien jechać do Blys... W każdym razie kontraktu złamać nie można. Connor będzie musiał temu sprostać.

– Być może nie jestem ideałem – wtrącił się Connor –

ale tchórzem na pewno nie jestem. Jeśli będę musiał, poradzę sobie w Blys. Już się pożegnałem. Oczywiście z tymi, z którymi mogłem. Dopiero zaprzeczenie własnej duszy rozwaliło mnie do cna.

David ze współczuciem kiwnął głową. Już miał

oddać Connorowi pergamin, lecz zatrzymał rękę, by jeszcze raz na niego zerknąć. Gwizdnął cichutko.

– Być może będę mógł pomóc – wymamrotał i zabębnił palcami w dokument. – Ale to będzie ryzykowne.

Connor wyprostował się. Twarz mu pojaśniała.

– Masz na myśli, że nie będę musiał jechać? – spytał

z entuzjazmem.

– Nie – odparł David. – Jechać będziesz musiał. Ta część kontraktu jest niepodważalna. Kwestia zapłaty może być jednak różnie interpretowana. Tu jest napisane, że masz oddać duszę w momencie składania hołdu Prusiasowi. I to moglibyśmy ewentualnie spróbować obejść.

– W jaki sposób? – spytał Connor. – Mnie wszystko wydaje się jasne.

– Connor, powiedz mi, co to takiego twoja dusza? –

spytał David. – Czy to dusza, z którą przyszedłeś na świat, czy dusza uwięziona w twoim ciele?

– Mam nadzieję, że jedno i drugie to to samo – odparł

Connor i przeżegnał się.

– W tym momencie, owszem – przytaknął David. –

Ale nie musi tak być. Co byś powiedział na propozycję, żebym wyjął twoją duszę i złożył ją gdzieś... na przykład w krypcie, na przechowanie?

– Resekcja duszy? – spytał Connor.

David kiwnął głową i odsłonił bladą bliznę na piersi.

– Przeszczep. Wiem coś o tym.

– Ale przeszczep wymaga dawcy – zauważył Max. –

Skąd weźmiesz inną duszę?

– A to już nie twoja sprawa – odparł chłodno David.

– Przyjmij do wiadomości, że dawca będzie chętny.

– Nie podoba mi się to, Connor – rzekł Max. – Coś za bardzo przypomina mi to opętanie, a z tym miałeś już do czynienia, nawet za dużo. Chcesz, żeby zaczął czaić ci się w głowie kolejny pan Sikes?

– To nie będzie opętanie – zaprzeczył David. –

Ludzka dusza to absolutnie nie to samo co inwazyjny chochlik. Dusza zastępcza nie będzie kierować twoimi czynami ani cię demoralizować. Weź też pod uwagę, że będziesz ją miał tylko przez krótką chwilę. Przecież Prusias ma ją dostać już wkrótce.

– Chyba masz rację – rzekł Connor, po czym wstał

gwałtownie i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem przed kominkiem. – Jesteś pewien? To znaczy, że dawca będzie chętny? Nie chcę, żebyś kogoś uśmiercał, żeby wyjąć z niego cholerną duszę.

– Jak mówiłem – powtórzył David spokojnie – dawca będzie chętnie uczestniczył. Ale do rana musisz się zdecydować.

– Mój Boże – powiedział Connor, ukrywając twarz w dłoniach, po czym spojrzał bezradnie na Maksa. – A ja przedtem myślałem, że mam tyle problemów! Co mam robić?

– Tego ci nie powiem – rzekł Max. – Ty jeden możesz podjąć tę decyzję.

– Muszę to wszystko przemyśleć – oznajmił Connor ponuro. – Twoje łóżko wygląda bardzo zachęcająco, Max.

Można się na nie rzucić, że hej, no nie? Wiem, że nie chciałbyś, żebym spędził tych kilku ostatnich nocy w Rowan na podłodze, prawda?

– Czuj się jak u siebie – powiedział Max i machnął ręką w kierunku łóżka.

Kiedy Connor zniknął na górze, David popatrzył na Maksa z rozbawieniem.

– No, to jak leci, profesorze McDaniels? – spytał.

Max ściągnął buty i położył nogi na stole. Wpatrzył się w ogień.

– Mówię szczerze, David, czasami mam wrażenie, że głowa mi zaraz pęknie.

– Hm. A ja myślałem, że przynajmniej dvergary będą cię interesowały.

– Były jedynym plusem tego wszystkiego – odparł

Max. – Jak się wszystko uspokoi, to chcę z nimi pogadać.

Mogą się kiedyś przydać.

– Aha – uśmiechnął się David. – Więc o to chodzi.

– Cóż – ciągnął Max. – Może udałoby im się na nowo wykuć włócznie Cuchulaina.

– Po co? Powiedz, po co? Wojna się skończyła, Max.

Nie pamiętasz, że mamy tu siedzieć jak w kojcu, bawić się grzecznie i czekać na przyjemną emeryturę?

– Wiem – rzekł Max. – Ale wygląda na to, że ty prowadzisz wojnę w pojedynkę i na własną rękę. Chcesz się zemścić na Prusiasie?

– Za to, że poniżył moją matkę? – spytał David. –

Nie, nie mogę dopuścić, żeby sprawy osobiste wpływały na moje czyny. Mierzę znacznie wyżej.

– W Astarotha? – syknął Max. – David, błagam, powiedz mi, że nie czatujesz na Astarotha.

– Czatuje? – powtórzył David z uśmiechem. – Max, to nie szkolna bójka.

– Więc co zamierzasz? – spytał Max. – Przecież nie możesz myśleć, że uda ci się zniszczyć Astarotha. Nawet Bram nie zdołał tego zrobić!

– Łatwo nie będzie – powiedział David z ledwie dostrzegalnym cieniem uśmiechu na twarzy. –

Zobaczmy... cóż... Demon jest nieśmiertelny, nic ziemskiego nie może go uszkodzić, no i jest w

posiadaniu Księgi Thotha. W sytuacji, gdy pojawi się prawdziwe zagrożenie, usunie po prostu jego nazwę z Księgi i tym samym pozbawi je istnienia. To bardzo realna i całkowicie nieobliczalna moc. – David podrapał się w blady kikut, gdzie kiedyś znajdowała się jego prawa dłoń.

– Ale również i intrygujący problem do rozwiązania –

ciągnął. – Przypuszczam, że gdyby ktoś chciał zniszczyć Astarotha, musiałby wynaleźć specjalną broń. Weźmy przykład. Powiedzmy, że ta broń to trucizna...

David sięgnął do stojaka obok regału na książki po czystą probówkę. Położył ją na stole między sobą a Maksem i przez chwilę się jej przyglądał.

– Dobrze. Składniki i właściwości tej trucizny muszą spełniać dwa podstawowe warunki. Przede wszystkim muszą być zabójcze dla demonów. Po drugie, składniki muszą pochodzić ze świata innego niż nasz. Trudno spełnić takie warunki.

– Rozumiem pierwszy warunek, ale drugiego nie –

rzekł Max. – Dlaczego składniki muszą pochodzić spoza naszego świata?

– Ponieważ Astaroth ma Księgę Thotha – wyjaśnił

David. – I jeśli składnik będzie rzeczą ziemską, jego nazwa będzie zapisana w Księdze. A jeśli nazwy w Księdze nie będzie, Astaroth nie będzie miał nad nim władzy, nie będzie mógł go po prostu wymazać lub zmienić jego natury. Będzie wobec niego bezbronny.

– To genialne! – zachłysnął się Max, przepelniony jednocześnie radością z odkrycia Davida i obawą przed jego następstwami. – Więc te czerwone płatki kwiatów...

Pochodzą z innego świata? Naprawdę masz zamiar zniszczyć Astarotha?

David nie odpowiedział. Wyraz jego twarzy był

nieodgadniony.

– To przynajmniej mi powiedz, dlaczego tak bardzo się boisz, że ich dotknę – prosił Max. – Demony mówią, że jestem jednym z nich. Driady, demony... wszyscy mówią, że „wydaję blask”. Co to znaczy, David? Kim ja jestem?

David westchnął i odepchnął się od stołu.

– Sytuacja Connora z tym kontraktem będzie wymagała wycieczki do Archiwum – rzekł. – Jeśli masz ochotę, możesz ze mną iść. Powiem ci, co mogę, lecz nie obiecuję, że będziesz zadowolony z tego, co usłyszysz, Max.

Po minucie chłopcy opuścili obserwatorium, żegnani donośnym chrapaniem Connora.

Choć godzina była już późna, kampus nie opustoszał.

W wielu oknach w budynkach akademickich paliły się światła. Nauczyciele i uczniowie przechadzali się alejkami. Widok idących razem Maksa McDanielsa i Davida Menlo przyciągał wiele ciekawskich spojrzeń, ale David, ignorując je, wskazał z zadowoloną miną na Gravenmuir. Nawet z dużej odległości widać było postaci przemierzające się w środku z jednej złoconej sali do drugiej.

– Coś mi się zdaje, że dowiedzieli się o zatopieniu statku – rzekł David konspiracyjnym szeptem. – Nic nie rozchodzi się równie szybko jak złe wieści. Czy to nie cudowne?

– Nie boisz się, że się dowiedzą, kto za tym stoi? –

syknał Max. – Przecież jesteś jedyną osobą, którą na coś takiego stać!

– Niekoniecznie – odparł David. – W czterech królestwach jest sporo dość potężnych demonów, które mają własne cele, stronnictwa i rywali. Są jak wielkie, tłuste pająki, czające się w różnych kątach pajęczyny.

Sam znam ze dwunastu, którzy mogliby mieć interes w zatopieniu statku. A więc czy to David Menlo potrząsa pajęczyną, czy może konkurencyjny pająk?

– To niebezpieczna gra.

– Być może – przyznał David. – Ale zabawniej jest być rewolucjonistą niż rządzącym.

W nastroju tłumionej satysfakcji David pospieszył w kierunku Maggie, przez którą wchodziło się do Archiwum. Po krętych schodach zeszli w dół do bijącego serca Rowan, gdzie przechowywano najstarsze zwoje pergaminów i najcenniejsze skarby. Doszedłszy do ostatniego schodka, Max zatrzymał się przy strażnikach –

shedu. Z przekrzywioną głową przyglądał się kolosalnym figurom uskrzydłych byków o ludzkich głowach.

– Jakoś inaczej wyglądają – stwierdził. – Starzej. Czy to te same shedu?

– Nie – odparł David. – Tamte zostały zniszczone w czasie oblężenia. Starte na proch. Te musiałem pożyczyć z asyryjskiego grobowca.

Max zawsze odczuwał respekt przed shedu, jakby czuł, że musi się im przypodobać. Jako członek Czerwonego Bractwa miał jednak wolny dostęp do Archiwum. Shedu nie poruszyły się, kiedy Max i David przeszli obok.

Archiwum było dokładnie takie, jakie Max zapamiętał – niewyobrażalnie ogromne, z niekończącymi się korytarzami, wypełnione książkami, które niemal rozplływały się w mroku, gdy podniosło się wzrok ku niebotycznemu gotyckiemu sklepieniu. Przy wielu stołach siedzieli mędracy i nauczyciele i przy świetle latarń studiowali pradawne manuskrypty. Nigdzie indziej w Rowan brak światła elektrycznego odebranego przez Astarotha nie dawał się tak bardzo we znaki jak tu, w tej

gigantycznej podziemnej przestrzeni, gdzie w niszach migotały teraz płomienie świec i lamp.

Chłopcy weszli do prywatnej czytelnicy Davida.

Wsadzone jeden w drugi stały tam trzy kubki z osadem po kawie, leżały stosy książek, wyszczerbione talerzyki, a między tym wszystkim widniały plamy atramentu. David czuł się tu jak w domu. Nucił coś sobie pod nosem, zapalając jednocześnie kilka lamp i nakłaniając Maksa, by sobie usiadł.

– Wiesz – zaczął – nie chciałem nigdy być za bardzo natrętny, jeśli chodzi o czas, który spędziłeś w Rodrubân, ale ta rozmowa nie będzie miała sensu, jeśli nie będę mówił prosto z mostu.

– Wal śmiało – zachęcił go Max. – I tak zawsze mi się wydawało, że wiesz.

David skinął głową.

– Wyłożę więc karty na stół – zapowiedział. – Scott McDaniels nie jest twoim ojcem. I nie jesteś Cuchulainem, Max, lecz pochodzisz z jego rodu. Ty i Cuchulain jesteście braćmi, choć rozdziela was przepaść wielu epok. Obaj jesteście synami Lughy Długoręki, Najwyższego Króla Tuatha De Danann.

Max doświadczył przyływu sprzecznych emocji. Z

jednej strony odczuł ulgę, że David wie i że mógł z kimś podzielić tajemnicę. Z drugiej strony bał się, co się stanie, kiedy Scott McDaniels dowie się strasznej prawdy, że Max nie jest jego prawdziwym synem. No i walczył ze złością. Od lat próbował poznać swoją tożsamość. Od jak dawna David zna odpowiedzi na dręczące go pytania?

– Jeśli to wszystko wiedziałeś – szepnął Max –

dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Przeszłość człowieka to jego osobista sprawa –

odparł David. – Nie byłem pewien, dopóki nie przekroczyłeś mostu w Rodrubân, podczas gdy ja nie byłem w stanie tego zrobić.

Max przypomniał sobie tę chwilę. Teraz jego irytację na Davida zastąpiło jakieś bardziej podniosłe uczucie.

– Ależ to... to cudowna wiadomość! – wykrzyknął i klasnął w ręce. – Bo to znaczy, że nie jestem demonem!

– Spokojnie – ostudził jego zapał David. – To nie takie oczywiste. Twoje drzewo genealogiczne jest... cóż, trochę... pogmatwane.

Max przypomniał sobie swoje sny, w których ogromny wilkołak wciąż zadawał mu pytanie: „Kim jesteś? Odpowiadaj szybko, albo cię pożrę!”.

– Chcę wiedzieć, kim jestem – wyszeptał Max. –

Człowiekiem?

– Nie – rzekł David. – W każdym razie nie w pełni.

Twoim ojcem jest Lugh – bóg drzemiący w odległym Sidh. Może nazwiemy cię półbogiem? Czy to coś poprawi?

– To lepsze, niż być demonem – wyrzucił z siebie Max.

– Czy to aż taka różnica? – zapytał po prostu David.

– Co konkretnie masz na myśli? – Max posłał koledze wrogie spojrzenie.

David położył dłoń na tomie mitów celtyckich i zaczął głośno czytać.

*Jego przeciągły krzyk odbił się echem, niczym krzyk setek wojowników – było tak, jakby demony, diabły i gobliny z doliny oraz złe duchy powietrzne krzyczały, z wnętrza hełmu, przed nim, nad nim i wokół niego za każdym razem, kiedy przelewał krew wojowników i bohaterów... Pierwszy spazm ogarnął Cuchulaina i zmienił go w potwora – obrzydliwego i bezkształtnego, o jakim nigdy nie słyszano. Jego golenie i stawy, każda kosteczka i każdy organ w jego ciele trzęsły się niczym drzewo w czasie nawałnicy... Z gniewu włosy powstały mu na głowie. Nad jego brwiami uniosła się aureola bohatera... Z martwego wnętrza jego czaszki wytrysnęła*

*silny strumień czarnej krwi... Tak właśnie ruszył na poszukiwanie wrogów i tak ich odnalazł.*

– Czyż to nie jest opis demona? – łagodnie zapytał

David.

– Takie historie są zawsze przesadzone – odparował

Max. – Cuchulain czuł żądzę krwi. Ja taki nie jestem. Nie robię takich rzeczy.

– Nie – zapewnił go David. – Nie robisz. Ale przecież zostałeś obciążony współczesnym sumieniem. Dla Maksa McDanielsa zabijanie to tylko konieczne zło. Lecz w czasach Cuchulaina droga do chwały zbryzgana była krwią wrogów. Nie zostałeś ulepiony z innej gliny. Po prostu żyjesz w innych czasach.

Max rozmyślał w milczeniu. David mówił dalej:

– Pamiętasz, co się stało zeszłej wiosny? Kiedy stanąłeś twarzą w twarz z Wrogiem w Sanktuarium?

– Nie chcę tego pamiętać – odparł Max.

Epizod ten wydawał mu się teraz snem. Krzyk w wąskim, ciemnym wąwozie. Światło – oślepiające,



jaśniejsze od słońca. Potem rzucił się na Wroga, a Wróg się przed nim ugiął. Wspomnienie było ulotne i składało się z paraliżującego, niejasnego wrażenia okrucieństwa i przemocy. Uciekające wieloki, które jak oszalałe drapały pazurami skałę, by wspiąć się na ściany wąwozu i uciec...

Czy Max był wtedy potworem?

– Nie możesz mieć i tego, i tego – rzekł David. –

Czyli nie możesz najpierw szukać prawdy, a potem wybierać z niej to, co ci się podoba. Jeśli pragniesz wiedzieć, kim i czym jesteś, musisz zaakceptować całość.

– Przyjmuję to – odparł Max spokojnie. – Nie jestem demonem. Jestem synem Lugh'a i bratem Cuchulaina.

– A skąd wywodzi się Lugh? – spytał David.

– Należy do ludu Tuatha De Danann – odpowiedział

Max. – Przez pewien czas był nawet ich królem.

– Ale najpierw był wśród nich obcym – uzupełnił

David. – Uczynili go królem dopiero, gdy poprowadził ich na wojnę przeciwko Fomorianom i zabił Balora.

– A kim był Balor? – zainteresował się Max.

– Królem Fomorian – odparł David. – Balor był

gigantem. Potworem tak straszliwym, że spojrzenie jego jedyne oko zabijało wszystko, na co spojrzało. W bitwie pod Magh Tuireadh Lugh wyłupił mu oko i zabił go.

Wyrażenie „patrzeć złym okiem” wywodzi się właśnie od Balora. Czyż to nie fascynujące, w jaki sposób pradawne opowieści przenikają do współczesnego języka?

– Rzeczywiście – rzekł Max. – Ale powiedz lepiej, co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Cóż... To, że sposób unicestwienia Balora wypełnił

pradawne proroctwo. Proroctwo, które głosiło, że Balor zginie z rąk własnego wnuka...

– Czyli Lugh jest wnukiem Balora?! – wykrzyknął

Max. – Czyli jest w części Fomorianinem... czyli ja też jestem w części Fomorianinem!

– Mówisz to tak, jakby to było coś złego – stwierdził

David.

– Jestem potworem – jęknął Max. Przypomniął sobie makabryczne oko, które przypadkowo wziął do ręki w pokoju Coopera, oraz olbrzymi eksponat Fomorianina w muzeum Warsztatu. – Potworem.

– Dramatyzujesz – rzekł David. – Po prostu pochodzisz z pradawnego rodu. Kiedy sięgamy aż tak bardzo wstecz, linie rodowe zacierają się. Ale pamiętaj, Max: bóg jednych jest potworem drugich...

David wrócił do pracy i Max zrozumiał, że został

odprawiony. Minał stoły, przy których siedzieli uczeni, minął kryptę Czerwonego Bractwa i pokonał niezliczoną ilość schodków, by wyjść z Archiwum. W kampusie było ciemno i cicho. Nawet okna Gravenmuira zamknięto i zasłonięto, jakby wszystko i wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie.

Kiedy doszedł do pokoju, zauważył przylepioną do drzwi karteczkę.

*Camille mówiła, że mnie szukałeś. Szkoda, że się minęliśmy. Wiem, że nie miałeś czasu i pewnie przejmujesz się procesem sióstr Shrope w sobotę. Do zobaczenia tam. Kiedy będzie po wszystkim, odrobimy zaległości na Uczcie Samhaina.*

XXX

Julie

Max westchnął. Działo się tak wiele, że prawie zapomniał o procesie Mamuśki i Bellagrog. Już za dwa dni będzie musiał stanąć na miejscu dla świadka i przysiąc, że mówi prawdę. Miał jedynie nadzieję, że jego zeznania nie przyczynią się do wygnania Mamuśki z Rowan.



# EX POST FACTO

W sobotę Maksa nie obudziło bicie Starego Toma, lecz nachalne stukanie do drzwi. Leżał na dole, w śpiworze i zastanawiał się, czy otworzyć. Tego popołudnia miał się odbyć proces sióstr Shrope. Max nie miał ochoty rozpocząć dnia wcześniej, niż to było konieczne. Pukanie jednak nie ustawało. Wyplątał się ze śpiwora, pokuśtykał na górę i otworzył drzwi.

Na korytarzu stał skrzat domowy. Mały, schludny osobnik miał na sobie garnitur i krawat, a siwe włosy, jak się wydawało od urodzenia, miał przylizane do tyłu. Obok niego na niewielkim wózku stała kasa pancerna. Skrzat zerknął do notatek, odchrząknął i skręcił w palcach koniec swych obwisłych nawoskowanych wąsów.

– Agent McDaniels, jak rozumiem? – spytał.

– Tak – odrzekł Max, przeciągając się i ziewając szeroko.

– Nazywam się Thaler – przedstawił się szybko i bez zbędnych wstępów skrzat. – Przyszedłem dostarczyć pańską pensję. Narastała podczas pana nieobecności.

Pan Thaler wyciągnął ozdobny klucz i otworzył nim kasę. Chwiał się, kiedy z trudem wydobywał z niej spory worek. Wyjąwszy go, ledwo zdołał go utrzymać. W

środku brzęczały monety.

– To chyba jakaś pomyłka – rzekł Max. – Tu musi być znacznie więcej niż miesięczna pensja.

Wargi pana Thalera zacisnęły się, jakby doznał

dotkliwej obrazy.

– Zgadza się co do miligrama, panie McDaniels –

odparł sztywno. – Pięć uncji złota za tydzień, jeśli chodzi o kontrakt nauczycielski i dwadzieścia pięć uncji za tydzień za członkostwo w Czerwonym Bractwie.

– Kochany... czy mógłbym to wniesć do środka i wszystko wyjaśnić? – Skrzat porzucił pompacyjne maniery z powodu wysiłku, z jakim trzymał worek.

Wkroczył do pokoju Maksa, z trudem zarzucił worek na stół stojący pośrodku i wyjaśnił, że gospodarka Rowan przestawiła się teraz na złoto.

– Dla kogoś tak zamożnego jak pan złoto nie jest najpraktyczniejszym wyjściem – oznajmił pan Thaler, gładząc się po brodzie. – W rzeczy samej, wraz z kolegami chcielibyśmy przedyskutować z panem parę możliwości inwestycyjnych. Doskonałe możliwości zarobku oferuje marynarka handlowa, import, ale jeszcze bardziej obiecujące są interesy w miasteczku. W

przeciwieństwie do konkurencji, nasz bank ma znakomite kontakty we wszystkich czterech

królestwach, z Zenuvią włącznie.

– Co to jest Zenuvia? – chciał wiedzieć Max.

– Królestwo lady Lilith – wyjaśnił pan Thaler. –

Najbardziej wysunięte na wschód ze wszystkich królestw i zarazem królestwo o najbardziej obiecującej gospodarce, gdyż doradcy lady Lilith znają się na handlu lepiej niż lord Rashaverak. On bowiem nie pojmuje, że partnerom również należy się dochód.

– Pana bank współpracuje z demonami? – spytał

Max. – Poznał pan Rashaveraka?

– Bezpośrednio nie – odparł z żalem Thaler. – Ale jego starszych doradców, owszem.

– Żegnam, panie Thaler – powiedział Max, potrząsając małą ręką skrzata i ponaglając go do wyjścia.

– Czy moglibyśmy się umówić na rozmowę w sprawie możliwości, o których wspomniałem?

– Nie sądzę – odpowiedział Max. – Całkowicie satysfakcjonuje mnie trzymanie pieniędzy pod łóżkiem.

Wywołało to u pana Thalera zdziwione spojrzenie, ale nic więcej.

Kiedy Max wrócił do stołu na dole, Connor zajęty był

już ustawianiem błyszczących monet w złote i srebrne stosy.

– Popatrz tylko! – zawołał. – Jesteś cholernie bogaty!

To całe złoto to ma być jedna miesięczna pensja? –

Gwizdnął. – Za rok czy dwa będziesz prawdziwym bogaczem.

– Podśluchiwało się. Nie wstyd ci? – zganił go Max, po czym przewrócił stos monet i zgarnął je z powrotem do czerwonego aksamitnego worka od pana Thalera. – Jak się dzisiaj czujesz?

– Lepiej – przyznał Connor, zachłannie wpatrując się w monety. – Ale zamiana dusz to nie igraszki. Czuję się, jakby usiadł na mnie sam sir Olaf.

Poprzedniego dnia Connor zgodził się, by David usunął jego duszę i wymienił ją na inną, nieznanego pochodzenia. Na czas zabiegu poproszono Maksa o opuszczenie obserwatorium. Dlatego nie wiedział na ten temat nic prócz tajemniczego wyznania Connora, że był to najgorszy horror, jaki spotkał go w ciągu szesnastu lat życia.

Dotąd Max nigdy nie uczestniczył w procesie sądowym. W sadzie, jak również na niskim wzgórzu

znany jako Lasek Idurn, panowała atmosfera pełna podniecenia. Wilgotne powietrze drżało od ściszonych rozmów gapiów. Szczęśliwcom udało się zająć miejsca siedzące, inni ustawili się ściśle po bokach na kształt rozpychających się, ruchomych galerii.

Max jako świadek miał miejsce w pierwszym rzędzie, wciśnięty między ojca a Boba. Ogr, choć ubrany w swój najlepszy garnitur, wyglądał mizernie i ponuro.

Przygryzając wargi, wpatrywał się stoicko w ławę oskarżonych,

gdzie

siedziała

Mamuśka

wśród

wiedźmiątek i w towarzystwie Bellagrog, która na tę okazję postanowiła przywdziać ogromną sędziowską perukę. Obserwował ją kątem oka ze swego miejsca Jesper Rasmussen, lecz kiedy zauważyło to jedno z wiedźmiąt i łypnęło na niego zza skózanego kagańca, szybko odwrócił wzrok.

Pani Richter w szatach sędziowskich zasiadła na podium wzniesionym u stóp zasadzonego przez pierwszoklasistów drzewa. Za stołem po jej lewej stronie siedziała dwunastoosobowa ława przysięgłych wybrana spośród ciała pedagogicznego i uchodźców. Pani Richter uderzyła młotkiem i rozpoczęła posiedzenie sądu od przeczytania przygotowanego wcześniej oświadczenia.

– Sprawa dotyczy zarzutów stawianych przez pana Jespera Rasmussena z Warsztatu we Frankfurcie rodzinie Shrope'ow, składającej się z Bellagrog Shrope, Bei Shrope oraz dzieci Bellagrog, nazywanych Wiedźmiątko Jeden, Dwa, Cztery, Pięć, Sześć i Siedem.

Bellagrog odchrząknęła i rzekła:

– Wysoki sądzie, bardzo proszę wykreślić Wiedźmiątko Sześć z porządku obrad.

– A gdzie się znajduje Wiedźmiątko Sześć? – spytała pani Richter, patrząc badawczo znad okularów.

– Och, Wiedźmiątko Sześć jest nie-dys-po-no-wa-ne

– odparła Bellagrog niewinnie.

– Niedysponowane, na mój dziób! – kwaknęła Hanna z ławy przysięgłych. – Zjadłaś je, i tyle!

– Spokój – zarządziła pani Richter, uderzając młotkiem, by uciszyć harmider. – Hanno, czy mamy cię wykluczyć z obrad?

Hanna nie odpowiedziała. Potrząsnęła tylko głową i z niezadowoloną miną usiadła na swoim miejscu.

Bellagrog wstała i pełnym złości gestem wskazała na gęś.

– Obrona prosi o wykluczenie tego członka ławy przysięgłych

na

podstawie

bezpodstawnego

rozprzestrzeniania szkodliwych plotek odnośnie do wiedźm i wiedźmiątek.

– Słucham?

– Ex post facto, wysoki sędzie – wykrzyknęła Bellagrog i uderzyła pięścią w stół.

– A jak określenie „po fakcie” odnosi się w tym przypadku do sytuacji? – spytała pani Richter.

– Habeas corpus, w takim razie!

– Bellagrog – rzekła pani Richter i przetarła oczy. –

Jeśli twój sposób obrony będzie polegał na rzucaniu przypadkowych terminów prawniczych w bezsensowny sposób, sąd przydzieli rodzinie Shrope'ow adwokata z urzędu.

Bellagrog nachmurzyła się i usiadła z powrotem na miejscu.

– W imieniu rodziny Shrope przemawiam ja.

– Doskonale – powiedziała pani Richter. –

Wysłuchajmy więc zarzutów powoda.

Adwokat pana Rasmussena – imponujący mężczyzna w świetnie skrojonym szarym garniturze, stanął przed ławą przysięgłych i celowo zerknął na zegarek. – Panie i panowie, ławo przysięgłych – zaczął tonem sugerującym, że z członkami ławy łączy go głęboka zażyłość. –

Rozprawa ta przebiegać będzie w atmosferze wzajemnej uprzejmości, nie zaś kłótni i sporów. Nie zajmie dużo waszego cennego czasu, ponieważ fakty są tak jasne i niezaprzeczalne, jak uderzenia Starego Toma. Pięć tygodni

temu

mój

klient

został

zaatakowany,

uprowadzony i omal nie zjedzony przez pozwanych.

Mamy więc motywy, mamy naocznych świadków oraz mamy haniebną, doskonale opisaną historię rodu wiedźm...

– Już po nich – szepnął Max, wpatrzony w Bellagrog i Mamuskę, które na ławie oskarżonych wydawały się malutkie, jakby skurczone. Kiedy mężczyzna skończył

wypowiedź, Max oczekiwał aplauzu. Zdecydowanie nie ze strony Bellagrog.

– Brawo, brawo! – wykrzyknęła wiedźma i klasnęła w ręce. – Czyż nie świetny z ciebie mówca?

Opowiedziałeś śliczną, zgrabną historyjkę. Ale na tym właśnie polega opowiadanie historii, panie i panowie.

Wszystkim nam się bardzo podobało, prawda? Ja zapewne nie opowiadam równie zgrabnie jak ów dumny jegomość, ale przyszedłam tu w jednym celu: aby powiedzieć prawdę o człowieku, który wypił trochę za dużo i w związku z tym wpadł w małe kłopoty. Mamy również świadków, więc nie czyńcie pochopnych sądów, równie pospiesznych, jak pospiesznie przez ostatnie czterdzieści lat lecieliście do kuchni, by pożywić się tym, co ugotowała dla was Mamuska....

Bellagrog odstąpiła krok w bok, by każdy członek ławy przysięgłych mógł dobrze widzieć Mamuskę, która żałośnie rozciągnęła się na stole.

– To prawda – kontynuowała Bellagrog. – Wiedźma z ponadczterdziestoletnim stażem nie powinna zostać wygnana tylko dlatego, że jakiś pijany cudzoziemiec wystraszył się „okropnych, starych wiedźm”. Samą mnie ciarki przechodzą za każdym razem, kiedy mój wzrok pada na tego łysego, błyszczącego melona, ale nie latam z tego powodu po sądach!

W tym momencie paru przysięgłych zaczęło krztusić się ze śmiechu, a Max stwierdził, że doktora Rasmussena czeka być może cięższa przeprawa, niż się spodziewał.

Jesper Rasmussen, wezwany do składania zeznań, zdał pełną relację z przebiegu wydarzeń. Każde jego słowo było prawdą, lecz przemawiał z taką arogancją, zadufaniem i oburzeniem, że paru przysięgłych aż zmarszczyło brwi. Bellagrog, jak się zdaje, wyczuła to i przystąpiła do ataku.

– Nie darzy pan Rowan sympatią, prawda? –

zapytała.

– Oczywiście, że darzę – odparował Rasmussen. –

Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z napaścią na mnie.

– Doprawdy? – spytała Bellagrog i zajrzała do notatek. – Czy nie użył pan w stosunku do Rowan



określenia „magiczne małe zoo”, i to w biurze samej pani dyrektor?

Doktor Rasmussen spojrział na nią wilkiem i niechętnie kiwnął głową.

– Możliwe, że tak powiedziałem... ale nie miałem tego na myśli – dodał zdecydowanym tonem. – Byłem wtedy rozzłoszczony.

– Czy zawsze, kiedy jest pan rozzłoszczony, mówi pan rzeczy, których nie ma pan na myśli? – spytała Bellagrog.

– Nie – odparł Rasmussen. – Lecz znowu nie widzę związku...

Bellagrog wyczuła jednak słaby punkt swojego adwersarza.

Przerwała doktorowi w pół słowa dziarskim wzruszeniem ramion i powiedziała:

– Idźmy zatem dalej. Porozmawiajmy chwilę o Warsztacie, zgoda?

Doktor Rasmussen wyduł wargi, lecz nic nie powiedział.

– Czy był pan do niedawna Głównym Architektem i Inżynierem Warsztatu we Frankfurcie? – zapytała Bellagrog.

– Tak – potwierdził Rasmussen. – I z dumą oznajmiam, że zostałem przywrócony na to stanowisko.

– Moje gratulacje – powiedziała Bellagrog przeciągle i wywróciła oczami w stronę przysięgłych. – Więc czy jako głowa tej organizacji może pan potwierdzić lub zaprzeczyć, że jako eksponaty muzealne wystawiacie żywe okazy?

– Owszem, tak – odparł Rasmussen. – Zostały poddane humanitarnej eutanazji lub ich czynności życiowe zostały zawieszono. To przede wszystkim służba biologii. Jesteśmy na przykład w stanie sklonować osobnika, którego gatunkowi grozi wyginięcie.

– Och, rozumiem – rzekła Bellagrog. – Więc robicie to dla nich, zgadza się? Czy oni są przynajmniej chętni?

– Oczywiście, że nie – odparł Rasmussen, przyglądając się swoim paznokciom. – Nawet pchła posiada instynkt samozachowawczy.

– Czyli porównuje pan wiedźmy do pcheł? – zapytała Bellagrog.

– Nie – szybko sprostował Rasmussen. – Miałem na myśli, że...

– Och – przerwała mu Bellagrog – czyli to kolejny przypadek, kiedy nie ma pan na myśli tego, co pan mówi?

– Nie! – krzyknął Rasmusen, we frustracji waląc pięścią w pulpit.

– Spokojnie, spokojnie – zagruchała przymilnie Bellagrog. Zerknęła do notatek, jakby miała tam zapisany przebieg sprawy. – Przed chwilą opowiadał pan Wysokiemu Sądowi, jak porwać lub uśmiercić żyjące stworzenie i wbrew jego woli wystawić je jako eksponat...

Kiedy doktor Rasmussen został zwolniony z podium dla świadków, Bellagrog spacerkiem udała się do ławy oskarżonych i beztrosko upiła parę łyżek mrożonej herbaty. W tym czasie wiedźmiątka wspinały się na Mamuškę, przylegając do jej połatanej szarej sukni niczym nietoperze do ściany. Bellagrog złapała i na chwilę przytrzymała spojrzenie Maksa, mrugając do niego, jakby zwycięstwo było tuż, tuż. Po chwili z powrotem zagłębiła się w notatkach, a Max zdał sobie sprawę z bolesnej oczywistości: ponieważ Rasmussen został skompromitowany, o wyroku zaważą jego, Maksa, zeznania.

– Bellagrog to spryciara – szepnął pan McDaniels. –

Lepiej odpowiadać prosto i zwięźle, bo inaczej zagna cię w kozi róg.

Bob, który to usłyszał, spojrział na pana McDanielsa, po czym przeszył Maksa spojrzeniem swych smutnych niebieskich oczu.

– Trzymaj się lepiej prawdy – odpowiedział. – Bo tylko prawda prowadzi do sprawiedliwości.

Max wzdrygnął się, kiedy został wywołany.

Podchodząc do stanowiska świadka, zdał sobie sprawę z bolesnej prawdy, że w Lasku Idunn zgromadziły się steki gapiów, a spora ich część stała nawet na łupkowym dachu Domostwa i na balkonach. Gdy zajmował miejsce, w pierwszym rzędzie, ujrzał Julie z przepustką dla prasy.

Wydawało się, że go nie dostrzega – cała jej postawa potwierdzała, że jest profesjonalistką, całkowicie nastawioną na wykonanie zadania. Po zaprzysiężeniu Max wziął głęboki oddech, by się uspokoić.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie niełatwe –

odezwał się ze współczuciem w głosie adwokat Rasmussena. – Wiedzmy są ci bardzo bliskie, nieprawdaż? Założę się, że czujesz się jak między młotem a kowadłem.

Max lekko skinął głową, spoglądając jednocześnie w stronę ławy oskarżonych. Bellagrog przyglądała mu się stamtąd z wnikliwą ciekawością, natomiast Mamuška, wiedzona niepokojem lub po prostu pod wpływem ciężaru przylepionych do niej, patrzących wokół wilkiem siostrzenic, zsunęła się niemal pod stół.

– Panie McDaniels, będzie pan musiał odpowiadać głośniejszym głosem, aby pióra zdołały protokołować pańskie zeznania.

– Tak jest – odparł Max do zaczarowanego mosiężnego urządzenia, wzmacniającego jego ochryply szept.

– Tym bardziej, panie i panowie, że zeznania tego młodego człowieka okażą się druzgocące dla pozwanych

– ciągnął dramatycznie adwokat, po czym przeszedł do serii pytań, które postawiły wiedźmy w bardzo złym położeniu.

Jaki był cel Ceremonii Wąchania, urządzonej przez wiedźmy? Zagwarantowanie, że nie będą jadły uczniów.

Czy mimo to Mamuśce zdarzały się w przeszłości ataki na uczniów? Owszem. Czy przed nocą, kiedy doszło do zdarzenia, McDaniels wyrażał obawę o bezpieczeństwo doktora Rasmussena wśród wiedźm? Tak. Dlaczego?

Ponieważ ich kuzynka Gertie była eksponatem w muzeum Warsztatu i poprzysięgły zemstę. Czyż świadek odnalazł

pana Rasmussena w kotle w miejscu odległym od kampusu? Tak. Czy wyglądało na to, że wiedźmy zamierzają go zjeść? Tak.

Następne pytanie jednak całkowicie zbiło Maksa z tropu.

– Czy wiedźmy śpiewały piosenkę? – spytał adwokat.

– Hm... chyba tak – zastanawiał się na głos Max, marszcząc czoło.

– Pamiętasz jej słowa? – chłodno pytał prawnik.

– Niespecjalnie – odparł Max. – Koncentrowałem się na wygaszeniu ognia i wydobyciu pana Rasmussena z garnka. Pamiętam, że było coś o „potrawce z Rasmussena” i że „zemsty zew” czy coś w tym rodzaju. I że się rymowało.

– Wygląda na to, że wiedźmy miały niezły ubaw –

podsumował adwokat z chytrym uśmiechem. –

Przywodzi to na myśl wyjątkowo okrutne morderstwo z premedytacją.

– Chyba tak. – Max wzruszył ramionami.

– Nie mam więcej pytań – zakończył adwokat i odszedł na miejsce. – Obciążające zeznania bliskiego przyjaciela oskarżonej. Wysoki Sąd usłyszał już chyba wystarczająco dużo...

– Och, ale ja chętnie zadam parę pytań – przerwała Bellagrog.

– Oczywiście – zgodziła się pani Richter. – Proszę przesłuchać świadka.

Bellagrog poprawiła spodnie i rozkołysanym krokiem zawodowego boksera podeszła do Maksa, po

czym pomachała mu przed nosem palcem, zupełnie jakby był

małym, niegrzecznym chłopcem.

– Powiedziałeś bardzo brzydkie rzeczy o rodzinie Shrope'ow, synu.

– Zeznałem tylko, co widziałem – rzekł Max żalosnym tonem i ze zgarbionymi ramionami.

– Czy byłeś poinstruowany przez powoda? – chciała wiedzieć Bellagrog. – To znaczy, czy doktor Rasmussen i jego prawnik kazali ci mówić to, co powiedziałeś?

– Nie... – odparł Max z wahaniem. Bellagrog przemawiała z taką niedbałą pewnością siebie, że Max przeczuwał w tym jakiś wiedźmi trick czy chwyt.

– Rozumiem – powiedziała i ze zmarszczonym czołem pogładziła się po brodzie. – Ale skąd możesz wiedzieć, co się zdarzyło, skoro cię tam nie było?

– O czym ty mówisz? – zdenerwował się Max. –

Przecież byłem!

– Och, nie mam wątpliwości, że jakiś Max McDaniels był na miejscu zdarzenia, ale skąd możemy mieć pewność, że był to **ten** Max McDaniels?

Adwokat powoda natychmiast wniósł sprzeciw, a tłum zaszemrał pełnym podniecenia gwarem. Pani Richter wstała z fotela sędziowskiego i kilkoma uderzeniami młotka przywróciła coś na kształt porządku. Spojrzała wilkiem na Bellagrog, na której twarzy malowała się otwartość i niewinność.

– Obrona wyjaśni, co ma na myśli i natychmiast zaprzestanie kpin z tego procesu – zarządziła.

– Oczywiście, wysoki sędzie, oczywiście – obiecała Bellagrog, po czym kolebiącym się krokiem udała się na swoje miejsce i sięgnęła po zapiski. – Zapytam w takim razie świadka, czy w zeszłym roku odwiedził Warsztat we Frankfurcie?

– Tak – odparł Max.

– A podczas gdy przebywał w Warsztacie we Frankfurcie, czy z własnej woli oddał Warsztatowi trzy krople swojej krwi w zamian za jakieś wymaginowane ustrojstwo?

– Tak – odparł Max nieco obronnym tonem. –

Musiałem to zrobić, aby odzyskać Klucz Brama.

– Oczywiście, że Max to zrobił – rzekła Bellagrog. –

Max McDaniels, którego znam, to bohater i szlachetny chłopak. I dlatego nie mogę pozwolić, by taki kłamca jak ty brukał jego dobre imię!

– Wyjaśnij, co masz na myśli, Bellagrog – zażądała pani Richter, zanim adwokat Rasmussena zdążył wnieść sprzeciw.

Bellagrog szeroko się uśmiechnęła, odsłaniając dwa rzędy krokodylich zębów.

– Obrona zarzuca Warsztatowi, że sklonował Maksa McDanielsa i że ten oto świadek to oszust, podstawiony przez stronę skarżącą celem wygrania sprawy. Obrona żąda, by zeznania tego fałszywego, podstawionego świadka zostały wykreślone z protokołu. I wreszcie obrona sugeruje, że prawdziwy Max McDaniels znajduje się w straszliwym niebezpieczeństwie i że powinniśmy jak najszybciej opuścić salę rozpraw i udać się na poszukiwania bohatera Rowan!

Max, otumaniony, usiadł, natomiast adwokat doktora Rasmussena wstał i, równie oszołomiony, zgłosił

sprzeciw.

– A przeciwko czemu, jeśli można wiedzieć? –

zagrzmiała Bellagrog, pchając się prosto na niego. – Sam pan mówił, że Warsztat porywa żywe istoty, aby je klonować! Jak więc śmie pan twierdzić, że to ten sam Max McDaniels, który był świadkiem zdarzenia? Hm?

Odpowiedz na pytanie, ty żałosna, człekopodobna istoto!

Adwokat doktora Rasmussena bezradnie odwrócił się do swego klienta. Jesper Rasmussen skrzywił się, jakby właśnie przełknął coś bardzo niesmacznego. Jego obrzydzenie zmieniło się po chwili w mroczne mordercze spojrzenie skierowane na sprytną wiedźmę, która, rozpromieniona, czekała na odpowiedź. Szepnął coś adwokatowi na ucho, po czym zwiesił ramiona i wbił

wzrok we własne buty.

Adwokat wstał i oczyścił gardło chrząknięciem.

– Mój klient właśnie mnie poinformował, że obecny tutaj młody człowiek nie może być klonem Maksa McDanielsa, ponieważ mój klient może udowodnić, że wszystkie klony McDanielsa są skatalogowane.

Nawet Bellagrog wyglądała na zszokowaną.

Wieści rozchodziły się wśród publiczności jak świeże bułeczki, a ich rezultatem był nieskrywany sykk dezaprobaty. Max sam nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał – że gdzieś daleko, w którymś z laboratoriów Warsztatu, znajdują się jego klony. Spojrzał

przez salę na Julie, ale ona, śmiertelnie blada, zajęta była szaleńczym notowaniem przebiegu zdarzeń na podkładce.

Robili to zresztą wszyscy dziennikarze.

– Wysoki Sądzie – zabrała głos Bellagrog. – Pozwani wnoszą o oddalenie sprawy, ponieważ powód nie jest w stanie udowodnić, że ten konkretny chłopiec był obecny w miejscu zdarzenia w konkretnym czasie. Uahahahaha! –

zarechotała, tańcząc przed osłupiałym Rasmussenem szaleńczy taniec zwycięstwa.

– Spokój! – zawołała pani Richter, waląc z całych sił

młotkiem. – Spokój! Wniosek obrony został oddalony, lecz zeznania pana McDanielsa zostaną wykreślone z protokołu, na skutek czego przysięgli nie będą ich brać pod uwagę. Niniejszym oddalam świadka.

Bellagrog zapiała z zachwytu, gdy Max opuścił

miejsce świadka. Najwyraźniej nie słyszała, że pani Richter zaproponowała doktorowi Rasmussenowi oraz jego adwokatowi kilka możliwości do wyboru, po czym poinformowała zebranych, że teraz ona zajmie się zadawaniem pytań. Dopiero na dźwięk własnego imienia Bellagrog wyrwała się z rozmarzenia, któremu oddawała się z półprzymkniętymi oczami.

– Bellagrog Shrope, sąd prosi, abyś zajęła miejsce świadka – oznajmiła pani Richter i wycelowała w Bellagrog swój sędziowski młotek.

– Och – zorientowała się Bellagrog, a jej uśmiech błyskawicznie zbladł. – Jak pani sobie życzy. –

Odchrząknęła i z trudem wcisnęła się na stanowisko dla świadka, przy czym jej obfita pierś spłynęła na stolik.

Pani Richter zmrużyła oczy, pochyliła się do przodu na fotelu sędziowskim i zaczęła ją przesłuchiwać.

– Bellagrog Shrope, czy przysięgasz mówić prawdę, tylko prawdę i nic prócz prawdy?

– Oczywiście.

– Czy poprzysięgłaś Jesperowi Rasmussenowi zemstę?

– Tak – potwierdziła wiedźma. – I to w dodatku słuszną.

– Odpowiadaj tylko tak albo nie, proszę. I czy Bea Shrope, ty lub twoje potomstwo uprawiałyście pana Rasmussena nocą dnia zdarzenia?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyła Bellagrog, potwierdzając swoje słowa silnym uderzeniem pięści w stolik.

– Czy zamierzałyście zabić, ugotować i zjeść pana Rasmussena?

Bellagrog wzdrygnęła się, jakby została śmiertelnie obrażona.

Sięgnęła po chusteczkę, obficie wydmuchała nos i walcząc ze łzami, zapytała niewinnie:

– Dokładnie w tej kolejności?

– Kolejność nie ma znaczenia, pani Shrope – odparła pani Richter.

– Nie – siąknęła żałośnie Bellagrog.

– A więc, pani Shrope, potwierdza pani, że zarówno pani, jak pani rodzina jesteście w tej sprawie całkowicie niewinni?

– Przysięgam na grobowiec mej babki.

– Dziękuję, pani Shrope, może pani odejść – odparła pani Richter sucho. – Sąd wysłucha teraz zeznań pani Bei Shrope.

Mamuśka podniosła zamglone, zrozpaczone oczy i jęknęła:

– Naprawdę, pani Richter... czy muszę? Nie możemy po prostu poprzestać na tym, co powiedziała Bea?

– Nie możemy się doczekać twoich zeznań, Mamuśka. Proszę, zajmij miejsce świadka.

Z ciężkim westchnieniem Mamuśka przemieściła się do podium i została zaprzysiężona. Na krześle świadka wyglądała jak brudnobiała główka czosnku. Z

wdzięcznością upiła łyżeczek wody, zmusiła się do słabego uśmiechu i zrezygnowana oczekiwała na pytania.

– Mamuśko – zaczęła pani Richter. – Czy jesteś niewinna, czy winna postawionych dziś zarzutów?

Upłynęły długie sekundy, podczas których Mamuśka w milczeniu wpatrywała się w szklanekę wody.

– Bea, odpowiedz na pytanie! – ponagliła ją Bellagrog i potarła zapalką o draszkę, by triumfalnie zapalić cygaro.

Mamuśka nawet nie spojrzała na siostrę. Omijając ją wzrokiem,

patrzyła

prosto

na

Boba,

którego

wyprostowana, pełna czujności sylwetka przez całe długie popołudnie nawet nie drgnęła. Kiedy ich oczy się spotkały, surowe rysy ogra złagodniały, a po jego policzku powoli stoczyła się pojedyncza łza. Lekkim, niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy Bob dodał

Mamuśce otuchy, po czym z powrotem przybrał stoicką maskę. Wiedźma trzęsącą się ręką podniosła szklankę, upiła łyczek, po czym przemówiła niskim, żalonym i schrypniętym głosem.

– Tak, jestem winna. Jesteśmy winne wszystkich zarzutów.

Cisza. Kiedy te słowa wyszły z ust Mamuśki, Max przeniósł wzrok na Bellagrog. Ogromna wiedźma przez chwilę milczała z niedowierzaniem, a zapałka w jej ręku wypaliła się do końca, parząc ją w palce. Odrzuciła na bok cygaro, kurczowo złapała się stołu i wydawała się nabrzmiewać niczym fala tsunami.

Głos pani Richter był spokojny, a jednocześnie pełen współczucia.

– Czy to twoje ostateczne zdanie, Mamuśko? Czy jesteś świadoma, jakie może pociągnąć konsekwencje?

– Tak, pani dyrektor – odparła ciężko wiedźma. –

Jeśli Mamuśka chce być wiedźmą reformowaną, to musi mówić prawdę. Nawet jeśli to oznacza, że nie będzie mogła dalej tu mieszkać. Zrobiliśmy wszystko, o czym mówił Rasmussen. I jeśli chce pani wiedzieć, nie żałuję nawet. Zasłużył na to.

– Rozumiem – rzekła pani Richter. – Bellagrog, czy obrona ma coś do dodania? Jeśli nie, ława przysięgłych oddali się, by ustalić werdykt.

Max początkowo podejrzewał, że Bellagrog wymyśli kolejny argument z tą samą przebiegłością, którą demonstrowała przez całe popołudnie. Ona jednak stała jak zamurowana, z wybałuszonymi oczami, z których buchała wściekłość na stojącą wciąż przy stanowisku dla świadków siostrę. Napięcie wzrastało aż do chwili, kiedy wreszcie wybuchło wulkanem spienionej śliny.

– ZDRAJCZYNI! – zagrzmiała, oskarżycielsko wyciągając palec w stronę Mamuśki. – Pogwałciłaś kodeks postępowania! Pogwałciła kodeks wiedźm, i to dla kogo? Dla bezzębnego ogra? Dla ludzkich praw, które zabraniają zemsty?

– Bellagrog! – wykrzyknęła pani Richter. – Byłaś wspaniałą pomocą w kuchni i podczas odbudowy kampusu, więc przestań, póki pozostało ci choć trochę godności.

– Godności?! – ryknęła Bellagrog. – Ja wam pokażę, co znaczy godność! Żaden głupi sąd nie będzie wydawał

wyroków na Bellagrog Shrope! Razem z córkami wsiadam na najbliższy statek do Blys! Zostawcie swoje sądy dla siebie, wy świętoszki! Zostawcie sobie waszą bezcenną Mamuśkę, cholerną zdrajczynię! Ach! Chodźcie do mnie, moje ślicznotki!



Posłuszne jak nigdy, wiedźmiątka przyłgnęły do Bellagrog. Nie zwracając uwagi na ich ciężar, wiedźma porwała ze stołu dokumenty, wcisnęła je do kwiecistej torby i opuściła „salę” rozpraw, torując sobie drogę między zdumionymi gapiami.

– Do zobaczenia na przyjęciu! – zawołała i zniknęła w tłumie.

Pani Richter patrzyła w ślad za nią niewzruszona.

Następnie zwróciła się do Mamuśki, która kurczowo –

niczym tratwy ratunkowej – trzymała się ławy oskarżonych.

– Czy ty również chciałabyś uniknąć wyroku i wraz z siostrą wsiąść na pierwszy statek? Czy wolisz wysłuchać wyroku sądu, nawet jeśli oznaczać on będzie karę lub wygnanie?

Max słyszał stłumione szlochanie winowajczynie, która wspierając głowę na rękach, łkała.

– Chcę zostać, pani Richter – wystękała. – Mamuśka potrafi być dobra. Bob mi pomoże.

– Świetnie – odparła pani Richter. – W takim razie przysięgli udają się na naradę, by podjąć decyzję.

Kiedy pani Richter odprowadziła przysięgłych, Bob przyłączył się do siedzącej wciąż na ławie oskarżonych Mamuśki. Przemawiał do niej łagodnym głosem i próbował podnieść jej głowę ze stołu, co skończyło się tym, że wysmarkała nos w klapę jego marynarki.

– Dlaczego to ona zbiera współczucie wszystkich? –

nie pojmował Rasmussen. – Czyżby wszyscy zapomnieli, że to ja jestem tu ofiarą? Powinna zostać odesłana razem z tamtymi.

– Niech pan się lepiej zamknie, panie Rasmussen –

ostrzegł go Scott McDaniels i lekko uniósł się na krześle.

– Max już nieraz ocalił panu tyłek, a pan jeszcze miał

czelność klonować go jak jakąś... jakąś... sam nie wiem co! Do czego ich używacie? Mój syn miał prawo o tym wiedzieć!

– Za to przepraszam – odparł zażenowany Rasmussen. – Nie chciałem, aby tak delikatna sprawa została poruszona na forum publicznym, i to w dodatku w taki sposób. – Spojrzał chłopcu prosto w oczy. – Jestem ci wdzięczny za szczere zeznania, chłopcze. Powiedziałeś prawdę i doceniam twą lojalność.

– Jeśli jest pan aż tak wdzięczny, czemu nie zniszczy pan tych klonów? – zadrwił pan McDaniels.

– Niestety nie mam takiej władzy – jękał się Rasmussen, a spojrzenie miał rozbijająco szczere. –

Jeśli chodzi o mnie, rozważyłbym taką opcję, ale koleczy... –

Zrobił przeproszącą minę i wzruszył ramionami, jakby zniszczenie klonów w ogóle nie wchodziło w grę.

– Cwaniak, i to najgorszego rodzaju – prychnął pan McDaniels. – Więc co, Warsztat tworzy sobie z mojego syna armię?

Max skrzywił się, ponieważ wszyscy dziennikarze gorliwie zapisywali tę coraz głośniejszą wymianę zdań.

Twarz doktora Rasmussena pociemniała, kiedy przełykał

ripostę. Po chwili jednak odzyskał swój suchy, arogancki sposób bycia i odpowiedział, że to sprawa poufna, po czym odwrócił się do nich plecami.

Mimo najszerszych chęci, by skupić się na Mamusce i wyroku, który mieli poznać już za chwilę, Max wciąż był głęboko wstrząśnięty informacją o swoich klonach. Czy da się sklonować jego dziedzictwo? Czy Starą Magię można uzyskać z próbki?

Kiedy jednak przysięgli wrócili i zasiedli na swoich miejscach, wszystkie te myśli go opuściły. Bob szturchnął

Mamuskę, która wstała i ustawiła się twarzą do ławy przysięgłych. Mrugając oczami, by powstrzymać łzy, przyglądała swe pozlepiane w strąki włosy i poprawiła kok. Rasmussen wychylił się do przodu i w oczekiwaniu na werdykt zmarszczył brew. Przewodniczący ławy przysięgłych, mistrz w średnim wieku, wstał i odczytał

wyrok.

– W sprawie Rasmussen przeciw Shrope sąd uznaje oskarżoną Beę Shrope za winną wszystkich postawionych jej zarzutów i skazuje ją na wygnanie.

Rozległ się syk głośno wciąganego powietrza.

Mamuska kurczowo złapała Boba za rękę i zamknęła oczy.

– Jednakże – kontynuował przewodniczący – w świetle uczciwości oskarżonej i jej szczerego żalu za popełnione czyny, jak również z powodu poważnych prowokacji poprzedzających dokonanie przestępstwa, sąd postanawia zawiesić wyrok i oddać oskarżoną pannę Shrope pod nadzór sądowy na okres pięciu lat.

Tłum z wyjątkiem Hanny i Rasmussena powitał

wyrok burzą oklasków. Max wiwatował z innymi, a pani Richter ogłosiła koniec posiedzenia sądu. Mamuska jednak stała bez ruchu na baczność w śmiertelnym milczeniu. Dopiero, kiedy przysięgli opuścili ławę, odważyła się zerknąć na Boba.

– Co to znaczy? – wyszeptwała.

– To znaczy, że Mamuśka może zostać w domu –  
odparł ogr i pogłaskał ją po tłustych włosach.

## KODEKS WIEDŹM

Był wczesny wieczór – nadeszła pora przygotowań do Uczty Samhain. Należało też pomyśleć o odpowiednim stroju. W Rowan, na pamiątkę Solas, święto to oficjalnie nazywano Ucztą Samhain, lecz dla mieszkańców czas ten oznaczał obchody różnych świąt: Halloween, dnia Wszystkich Świętych, Święta Zmarłych, Dia de Finados lub Feralii. Niezależnie od nazwy stroje miały nawiązywać do wspólnego źródła tych świąt i wyrażać szacunek dla zmarłych, radość z udanych żniw oraz odganiać złe duchy.

Max, podobnie jak wielu starszych uczniów, w ogóle nie zamierzał się przebierać, jednak podczas jego nieobecności w pokoju Julie wsunęła pod drzwi liścik, w którym nakazywała mu to zrobić, ponieważ według niej, jeśli się przebiorą, czeka ich „superzabawa!”. Max niestety nie potrafił improwizować i zdążył zmarnować dwa dobre prześcieradła, zanim Connor wyraził opinię, że przebranie ducha to kiepski pomysł. Max pognął więc do miasteczka, by tam rywalizować o resztki z tymi, którzy również zostawili kwestię stroju na ostatnią chwilę.

Kiedy wrócił, w obserwatorium nikogo nie było, więc mógł w spokoju przyjrzeć się swojemu strojowi. Wyłożył

poszczególne jego części na łóżko i stwierdził, że określenie „strój” było dla niego bardzo nobilitujące.

Sugerowało bowiem zestaw części, które do siebie pasują.

Max tymczasem miał przed sobą zbieraninę rozmaitych elementów i próbował wyobrazić sobie, jaką szalową kombinację można by z nich stworzyć. Cóż, zdecydowanie przerastało to jego możliwości. Kiedy Stary Tom wybił godzinę siódmą, Max był już spóźniony.

Wiedział, że musi coś wymyślić i koniec. Sięgnął po największy fragment kostiumu i zaczął się zastanawiać, po co na nim tyle sprzączek.

Droga z obserwatorium do holu Domostwa była potwornie długa i do tego rzeświście oświetlona. Pokonując ją minął wielu czarodziejów, parę wiedźm, wampirów i upiorów, którzy na jego widok przerywali rozmowy i zaciekawieni, odprowadzali go wzrokiem.

Niektórych intrygowały na pewno upierzona peruka i maska złodzieja, lecz prędzej czy później wszystkie spojrzenia kierowały się w stronę ogromnego aksamitnego ogona homara, który chwiał się za idącym chłopcem.

Ogon ten ciągnął się za tułowiem o chudych odnóżach, a ten z kolei umocowany był do tułowia Maksa. Pokonując przeraźliwie długi korytarz, chłopak wyobraził sobie głowę i szczypcę zwierzęcia, znajdujące się w posiadaniu jakiegoś jegomościa w średnim wieku, który dokładnie w tym samym momencie co Max usiłował kupić kostium homara. Walka zakończyła się remisem, co dla Maksa oznaczało, że będzie największą połówką skorupiaka w historii Halloween. Kiwnął głową

gapiącemu się na niego szeroko otwartymi oczami dzieciakowi w przebraniu dyni i poszedł dalej.

Julie czekała na niego w holu. Cała na czarno, z jednym okiem przysłoniętym czarną opaską i z czarną bandanką na głowie, niewątpliwie była piratką, jeśli oczywiście piratki malowały usta na różowo. Max był

pełen podziwu dla jej powściągliwości, jeśli chodzi o strój.

– Udanego Halloween – powiedziała i pocałowała go w policzek. – A teraz, proszę, odwróć się, bo chciałabym przyrzeć się twemu kostiumowi w całej okazałości.

– Lepiej nie dałem rady się przebrać – zaczął Max, lecz Julie uniosła palec i powstrzymała go słowami:

– Cśśś. – Oczy jej migotały. – Kiedy w ostatniej chwili zażądałam od ciebie przebrania, wyobrażałam sobie, że skombinujesz coś na kształt trampa. No, może ducha. Ale zamaskowanego księdza-homara? W życiu bym nie przypuszczała. Maksie McDaniels, przeszedłeś wszelkie moje oczekiwania.

Przed Domostwem mistycy odganiaли deszcz.

Oświetlone blaskiem księżycy chmury błyszczały niczym ozdoby z cukru namówione do złożenia upiornego hołdu przebierańcom, w ciszy przemykającym po kampusie. Pod chmurami mrugały tysiące dyniowych latami. Niektóre z nich stroiły miny, inne wyły przeciągle w kierunku przechodniów, a inne po prostu leniwie toczyły się po swych orbitach.

– Strasznie mi przykro z powodu tego, co zaszło podczas rozprawy – odezwała się Julie. – No, wiesz, chodzi mi o całe to szaleństwo z Warsztatem.

Próbowałam złapać cię zaraz po tym, ale było takie zamieszanie, że...

– W porządku – odparł Max. – Naprawdę. Biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje, przejmowanie się jeszcze Warsztatem byłoby przesadą.

Rzucił posępne spojrzenie na Gravenmuir. Wszystkie drzwi i okna ambasady demonów stały otworem, tak że doskonale było widać wnętrza – zatłoczone sale balowe i salony. Pieczęć Astarotha, wyszyta na ogromnym białym sztandarze, łopotała na wietrze wysoko nad dachem budynku. Max przez chwilę gapił się na biały jedwab –

jeszcze jeden policzek wymierzony Rowan, która musiała jakoś egzystować w cieniu tego znaku.

– No, chodź – powiedziała Julie. – Dzisiejszy wieczór jest po to, żeby się bawić!

Zaprowadziła go na parkiet, który mieścił się między Starym Tomem a Maggie. Na stopniach do Maggie grała na saksofonach, klarnetach, puzonach i trąbkach dwunastoosobowa orkiestra.

Max niewiele wiedział na temat swinga, ale Julie w mig złapała rytm. Starał się dotrzymać jej kroku,

lecz ruchy nie były łatwe do naśladowania, zwłaszcza dla kogoś obciążonego ogonem homara. Mimo szczyrych wysiłków Maksa ogon co chwila uderzał któregoś z tańczących, więc chłopak spędził więcej czasu na przeproszaniu niż na samym tańcu. W większości przypadków jego sąsiedzi śmiali się z tych ciągłych kolizji. Wyjątek stanowił jeden mężczyzna – połowicznie przebrany za homara – który zdawał się myśleć, że Max robi to celowo. W związku z tym szybko odprowadził

żonę na inną część parkietu.

Max i Julie bawili się dobrze, to prawda, lecz nikt chyba nie bawił się lepiej niż pan McDaniels. Potłał się po jego nalanej, okrągłej twarzy, kiedy tańczył z partnerką, a bywało nawet, że z dwoma naraz. Jak na ciężkiego i dużego mężczyznę, w tańcu poruszał się lekko i zwinnie i instruował Cynthię i Sarę co do bardziej wyrafinowanych kroków. W końcu jednak i on się zmęczył, więc zarządził przerwę i zszedł z parkietu. Stał

jednak nieopodal i ocierał pot z czoła, nie przestając stukać stopą w rytm muzyki. Zamachał ręką, kiedy zauważył syna w towarzystwie Julie.

– Ooo! – sapnął, wachlując się cały czas ręką – nie wiedziałem, Max, że tańczysz.

– Nie tańczę – odparł Max, lecz dokładnie w tej samej chwili podbiegła Mamuśka, by zagnać pana McDanielsa z powrotem na parkiet, gdzie porwała go do chwiejnego tanga.

– Chodźmy się przejść – zaproponowała Julie i wzięła Maksa pod rękę. Ze szklankami ciepłego cydru w dłoniach przeszli między rozbawionymi gośćmi, by znaleźć trochę spokojniejsze miejsce na klifie z widokiem na port Rowan.

Max nie mógł się nadziwić, jak bardzo zmieniły się doki i port. Wzdłuż południowego wybrzeża zbudowano stocznię, a doki ciągnęły się daleko w głąb portu osłoniętego wychodzącym w morze łukiem falochronu. Z

masztów statków zacumowanych w porcie błyskały światła latarni. Było to dwanaście jednostek z czterech królestw demonów oraz sześć statków handlowych Rowan. Wśród spokojnej czerni portu Max dostrzegł

Czuwanie

Brygidy

–

charakterystyczną

skałę

wyznaczającą miejsce, w którym oczekiwała męża zrozpaczona żona Brama. Niegdyś była to samotna wystająca z morza skała, dominująca na należącym do Rowan skrawku wybrzeża. Teraz przytłaczały ją pobliskie doki przeładunkowe oraz komora celna, gdzie kupcy nadzorowali rozładunek towarów

przywożonych z obcych królestw, obcych miast i od obcych stworzeń. Max zauważył zgiętego pod ciężarem skrzynek wieloka, nierównym krokiem idącego rampą. Wieloki nie miały wstępu do kampusu, lecz wiele z nich kręciło się po porcie. Ich wilcze sylwetki wyraźnie rysowały się na tle rozjaśnionego księżycem nieba.

– Co tam, uciekacie przed światłem latarni? – rozległ się łagodny głos.

Max odwrócił się i zobaczył Coopera i pannę Boon.

Żadne z nich nie było przebrane.

– Za kogo jesteś przebrany? – spytał Cooper, przymrużonymi oczami przyglądając się strojowi Maksa.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – odparł chłopak. – A ty?

– Ja za mężczyznę, który się szanuje.

– Strasznie śmieszne – rzekł Max, a agent zaśmiał się swoim suchym, skrzypiącym śmiechem.

– William, popatrz tylko – panna Boon wyciągnęła rękę w stronę Gravenmuira.

Cooper ogarnął ponurym wzrokiem ambasadę, jak również stosy skrzyń i pudeł wznoszące się na jej ogrodzonym terenie.

– To chyba dziś – mruknął. – Żałośni głupcy.

Żałosnymi głupcami Cooper nazwał tych spośród uczniów i mieszkańców Rowan, którzy przyjęli ofertę Prusiasa dotyczącą ziemi i tytułu szlacheckiego. To właśnie ich ziemski dobytek leżał zgromadzony za żelaznym ogrodzeniem Gravenmuira. Max nie zdradził

nikomu zamiarów Connora. Przyglądając się bagażom, zastanawiał się, czy jest wśród nich także jego skrzynia.

– Ile osób wyjeżdża? – spytała Julie.

– Setki. Tak wynika z ostatnich danych –

odpowiedziała panna Boon.

W tej samej chwili znad oceanu rozległ się znajomy przerażający dźwięk, który sprawił, że przed oczami Maksa stanęła postać zabitego chłopca.

Dźwięk demonicznego rogu.

Różnił się nieco od tego, który Max słyszał w górach, lecz nie sposób było nie rozpoznać ich wspólnych cech.

Odwrócił się w stronę oceanu. Zaczął wnikliwie przyglądać się dokom, nabrzeżom oraz czarnym rozkołysanym wodom, na których barki podnosiły wiosła, a żaglowce żagle, by zrobić miejsce dla zbliżającego się giganta.

Galeon Prusiasa wyłonił się z nocnej mgły, by rozciąć dziobem wody portu Rowan. Odrażający dźwięk rogu, który mógłby budzić zmarłych, rozległ się raz jeszcze.

Ogromny statek wpłynął do portu i rzucił kotwicę.

Pozostałe cumujące w porcie jednostki wyglądały przy nim jak zabawki podskakujące na falach w cieniu monstrum. Przerwano zabawę w kampusie – wszyscy pospieszyli do klifu, by obserwować przebieg wydarzeń.

Tak jak uprzednio z działek okrętowych na dziobie wystrzelono fajerwerki, które barwnymi łukami rozświetliły niebo. Rozdzierający głos większej liczby rogów zabrzmiał, gdy na wodę opuszczano łódź, która napędzana siłą wiosła popłynęła ku brzegowi. Za sterem stał Prusias.

– Panie i panowie – rozległ się z Gravenmuira dystyngowany głos. – Oto nadeszła pora.

Max odwrócił się, by ujrzeć chudego chochlika w stroju dworzanina z czasów elżbietańskich, który zza ogrodzenia ambasady zwrócił się do tłumu. Chłopak domyślił się w nim cieszącego się złą sławą pana Cree, znanego z ulotek zachęcających do wyjazdu. W odzianych w eleganckie rękawiczki dłoniach chochlik trzymał zwój pergaminu. Po obu jego stronach stało dwóch upiornych komediantów – tych samych, którzy przybyli z Prusiasem na początku, a teraz pełnili nieustanną cichą straż u bram Gravenmuira. Max nie mógł się zmusić do patrzenia na nich.

W kampusie zapadła złowroga cisza. Ci, którzy zamiast ciężkiej pracy w Rowan wybrali szlacheckie tytuły w Blys, zgromadzili się w cieniu Gravenmuira.

Były to setki ludzi, a wśród nich całe rodziny, przeciskające się teraz przez tłum – niektóre zmieszane, inne harde i dumne, a wszystkie obładowane rzeczami, bez których nie mogłyby się obejść na początku nowego życia.

Fakt, że Max zobaczył wśród nich Annę Lundgren, nie zaskoczył go. Ta uczennica czwartego roku, jedna z najbliższych przyjaciółek Aleksa Munoz, zawsze odznaczała się okrucieństwem. Nie spojrzawszy nawet na swych rodziców, Anna wraz z przyjaciółką Saszą podniosły bagaże i dumnym krokiem przekroczyły bramy.

Był tam również Jurij Wiljak.

– O, mój Boże. Czy to Connor?! – wykrzyknęła Julie.



Za

odpowieź

wystarczyła

charakterystyczna

kasztanowa czupryna Irlandczyka, widoczna wśród morza głów. Max jak we śnie obserwował, jak owa czupryna jednostajnym ruchem posuwa się do przodu. Ciągąc za sobą worek marynarski, Connor skinął głową panu Cree i zajął miejsce za bramą. Max poklepał się po kieszeni i podbiegł do przyjaciela, zanim ten zniknął w tłumie.

Zawołał go po imieniu i rzucił mu sakiewkę zawierającą garść złotych monet.

– Co to? – spytał Connor, łapiąc sakiewkę i potrząsając nią. – Składka dobroczynna?

– Inwestycja – odparł Max. – Na czarną godzinę. Na cokolwiek. Oddasz mi, jak się dorobisz.

– Dzięki – odparł Connor. Po chwili milczenia zaklął

i wściekłym ruchem otarł łzy, które nagle popłynęły mu po policzkach. – Najlepiej będzie, jak mnie tu zostawisz, Max. I tak jest mi ciężko.

Max kiwnął głową i pomachał mu na pożegnanie.

Odchodząc w stronę Julie i reszty zebranych, miał

czas, by pobieżnie przyjrzeć się pozostałym emigrującym.

Nie zdziwił go widok Jurijsa Wiljaka – byłego dyrektora Rowan, zdymisjonowanego szefa Czerwonego Bractwa, który okrył się złą sławą, błędnie kierując obroną Akademii w czasie zeszłorocznego oblężenia. Chłopak nie spodziewał się jednak zobaczyć wśród opuszczających Rowan sir Alistaira Wesleya. Przyglądał się, jak siwowłosego nauczyciel etykiety, szykowny jak zwykle, przeprowadza żonę za bramę i uprzejmym ukłonem wita pana Cree.

Sir Alistair i porucznik Wiljak nie byli jedynymi wysokimi rangą osobami, które zdecydowały się na wyjazd do Blyss. Wśród oczekujących na swego nowego władcę mniej ważnych uczonych, uczniów i uchodźców Max dostrzegł również niejednego nauczyciela i mistyka; zobaczył nawet agenta z biura terenowego w Dublinie, którego miał kiedyś przyjemność poznać.

Entree Prusiasa podobne było do poprzedniego –

najpierw wybuch śmiechu, przerywający śmiertelną ciszę, a potem ciemna brodata twarz powoli wyłaniająca się z kłifu. Podobnie jak przedtem, otaczała go gromada pomniejszych demonów – świta posłusznie ciągnąca za swym panem.

Mimo że przybycie lorda odbywało się w radosnej atmosferze święta, Max stwierdził, że demon uzbrojony jest jak na wojnę. Jego masywną sylwetkę niczym powłoka z połyskliwych łusek okrywał ciemny pancerz. U

boku Prusias miał czarny, szeroki miecz, a ręce, które poprzednio aż świeciły od pierścieni, osłaniały rękawice.

Zatrzymał się nieopodal swej ambasady, by spojrzeniem kocich oczu ogarnąć zgromadzonych gości, po czym zsalutował we wszystkich kierunkach.

– O, Rowan, jakże za tobą tęskniłem – ogłosił

dźwięcznym basem, po czym zwilżył wargi i zawołał do swego sekretarza: – Czy wszyscy są, panie Cree? Czy mamy wszystkich nowych lordów i damy?

– Tak, ekscelencjo.

– Cudownie! – wykrzyknął Prusias. – Niechaj więc wystąpią i poznają swego nowego władcę. Popłynijmy do Blys, gdzie oczekują ich włości i tytuły. Podaj listy lordowi Muñozowi, by mógł je odczytać. Tak bardzo czekał na ten dzień.

Max boleśnie zaczerpnął powietrza, kiedy zobaczył

małą figurkę przesuającą się obok rakszasy, by zająć miejsce przy Prusiasie. Wcześniej przypuszczał, że to demon, lecz okazało się, że to były uczeń Rowan, Alex Muñoz. Kiedy Max widział go po raz ostatni, chłopak był

zmieniony, lecz nie w takim stopniu jak teraz prawie nie dało się go rozpoznać. Przez zmrużone powieki dostrzegał

jeszcze dawne rysy jego twarzy – urodziwe, lecz składające się w wyraz okrutnej determinacji. Max nie zobaczył jednak nic więcej. Wytatuowana skóra chłopaka miała niebieskoszary odcień, a jego oczy błyszczały, kiedy skłonił się w kierunku pani Richter, odsłaniając parę ostrych, zakręconych rogów wyzierających spomiędzy czarnych włosów. Pani dyrektor nie odpowiedziała na jego ukłon. Patrzyła tylko na chłopaka z nieskrywanym żalem.

Alex po kolei odczytywał nazwiska i tytuły osób, które miały odpłynąć do Blys. Niektórzy podchodzili do Prusiasa chętnie, klękali przed nim i całowali magiczną laskę, którą im podsuwał, lecz byli i tacy, którym na koniec zabrakło odwagi. Max wyobrażał sobie, że czym innym było śnić na jawie o włościach i tytułach, a czym innymi stanąć oko w oko z demonem, który je obiecywał.

Mimo wyraźnego strachu większość z nich zdołała – choć powoli i z wahaniem – pokłonić się nowemu władcy.

Jeden z nowo mianowanych wicehrabiów nie mógł

jednak zdobyć się na odwagę. Był to wiekowy uczonec, który gdy odczytano jego nazwisko, zatrzymał

się przy bramie Gravenmuira i wykrztusił, że kiedy dobijał targu z panem Cree, musiał postradać zmysły i że jego deklaracja wyjazdu była pomyłką. Ze bardzo docenia hojność lorda Prusiasa, lecz niestety musi odmówić. Nie może wyjechać.

Na to humor Prusiasa gwałtownie się zmienił. Jego uśmiech zbladł, a twarz przybrała nagle wyraz znudzenia i obojętności, jakby widział już tysiące tego typu widowisk i wysłuchał tysiąca takich próśb. Kiedy mężczyzna zaczął

łkać, Prusias potrząsnął głową i zawołał do pana Cree:

– To nie wystarczy.

Pan Cree przywołał gestem milczących komików.

Ku przerażeniu Maksa ruszyli oni powoli w stronę bełkoczącego uczonego. Ten, trzęsąc się ze strachu, chciał

się wycofać, szukając wsparcia i schronienia wśród ludzi za swymi plecami. Komicy nagłym ruchem nachylili się nad nim. Uczony upadł na ziemię, wpił się palcami w murawę, a obandażowane ręce komików zacisnęły się na jego nadgarstkach. Na oczach tysięcy gapiów szlochający starszy człowiek został oderwany od ziemi i szybko odprowadzony w dół po schodach ku czerwonemu galeonowi i swemu nowemu życiu.

– Dlaczego pani Richter czegoś nie zrobi? – spytała słabym głosem Julie, która trzęsła się ze strachu i złości.

– A co może zrobić? – syknęła panna Boon. –

Przecież ten idiota podpisał kontrakt.

– Biedni, biedni ludzie – szeptała Julie, ściskając Maksa za rękę. – Nigdy już ich nie zobaczymy.

– Nie mów tak – zaprotestował chłopak.

Procesja szła dalej. Żołądek Maksa wywrócił się do góry nogami, kiedy nadeszła kolej Anny Lundgren. Alex objął

ją,

a

ona

rozpromieniona

otrzymała

błogosławieństwo Prusiasa i pospiesznie zbiegła po kamiennych stopniach. Następny był Connor. Maksowi przyszła do głowy okropna myśl. Przecież Connor zaprzysiął Aleksowi zemstę, a składając przysięgę wierności Prusiasowi, będzie się znajdował bardzo blisko niego. Czy zrobi coś nieprzemyślanego?

Kiedy jednak odczytano nazwisko Connora, obawy opuściły Maksa. Connor, przechodząc obok Aleksa, wydawał się nawet nie zauważać swego dawnego prześladowcy. Kiedy ukląkł przed Prusiasem, na jego twarzy malowały się spokój i duma. Prusias uśmiechnął

się, powiedział coś, czego Max nie słyszał, i wystawił do przodu laskę. Connor ucałował ją, wstał, skłonił się, po czym pospiesznie udał się w stronę klifu.

Kiedy wywołano „hrabiego Wilijaka” oraz „markiza Wesleya”, a po nich całą resztę, Prusias zerknął na swego sekretarza.

– Czy to wszyscy, panie Cree? – zapytał.

– Tak – odparł chochlik. – Pozostaje jeszcze sprawa paru wiedźm, które wykupiły miejsca na statku.

– W pomieszczeniu ogólnym, jak rozumiem – odparł

demon i zaśmiał się gburowato.

Prusias na odjeźdźnym rzekł parę pięknych słów, pobłogosławił Rowan i zapowiedział się z następną wizytą wiosną, kiedy kampus będzie w rozkwicie.

Następnie, otoczony świtą, skierował się w dół na nabrzeże. Bellagrog zaś i wiedźmiątka wciąż trzymały się bram Gravenmuira, zbite w ciasną gromadkę, dopóki pan Cree nie zastukał w płot swym berłem.

– Nie ważcie się zatrzymywać lorda – syknął. –

Zjeżdżajcie już!

– Nikt nie będzie za wami płakał! – zawołała Hanna.

Inni gorliwie przyłączyli się do niej. Max nie mógł

nic poradzić na to, że strasznie mu było żal Bellagrog, która wreszcie potruczała w stronę klifu z torbami w rękach i córkami na plecach. Sapała przy tym, charczała i pluła, przemykając pod gradem przekleństw i gwizdów, które zewsząd się na nią sypały. Wydawało się, że to idealna okazja do bezpiecznego rewanżu dla wszystkich, których Bel w ciągu swego pobytu w Rowan zdążyła poniżyć lub pognać. Wiedźmę, która z morderczym wyciem parła przed siebie, zegnały obraźliwe słowa i przekleństwa.

Kiedy dobrnęła do schodów prowadzących ze szczytu klifu na nabrzeże, odwróciła się, jakby chciała powiedzieć parę słów pożegnania. Szyderstwa i wyzwiska ucichły.

Otworzyła już usta, lecz przerwał jej czyjś głos. Uwaga tłumu skupiła się teraz na Mamuśce, która kiwała się i nuciła ze ślepym entuzjazmem:

– Została tylko jedna wiedźma, hurra, a jestem nią ja, hurra! Cudowna, piękna Bea!

Zamilkła, po czym zadała wymaginanemu wrogowi nieoczekiwany cios karate i wykonała olbrzymi skok z obrotem w powietrzu. Dopiero kiedy Bob klepnął

ją w ramię, odwróciła się i z szeroko otwartymi oczami zdała sobie sprawę z żenującej sytuacji. Zwróciła się twarzą do Bellagrog, która dyszała, stojąc na pierwszym stopniu.

Mamuśka wyciągnęła chusteczkę i niepewnie nią pomachała.

– Bezpiecznej podróży, Bea. I nie zapomnij wysłać mi pocztówki!

Zaśmiała się słabo, lecz siostra nie odpowiedziała jej śmiechem. Upuściła za to obie walizy na ziemię.

– Musiałaś to tak zakończyć, co nie? – syknęła. –

Musiałaś. Nie mogłaś trzymać języka za zębami, co?

Pomyśleć tylko, że już miałam ci pozwolić wychowywać moje młode...

Mamuśka zaczęła drzeć.

– O nie... – mruknęła i zamknęła oczy. – O nie, nie, nie, nie....

– Kodeks wiedźm! – ryknęła Bellagrog. – Przywołuję go, więc zabieraj swój gruby zadek i bierz torby, i to zaraz! Co to ma znaczyć, żebym ja się pocila pod ciężarem własnego miotu! Do ciotki, dziewczynki, do ciotki!

Owinięte w co się da wiedźmiątka migiem spelzły z matki i pognały w stronę Mamuśki, która jęknęła, gdy zaczęły wspinać się po jej odświętnej sukience. Parę osób próbowało protestować, lecz Bellagrog uciszyła je szybko, cytując kodeks wiedźm – zupełnie jakby był

czarodziejskim zaklęciem, które nie podlega ani dyskusji, ani sprzeciwowi.

Mamuśka chwiejnym krokiem, z błagalnie złożonymi rękami podeszła do siostry.

– Ale, Bel, proszę – zaczęła. – Bądź rozsądna. Nawet się nie spakowałam! Wszystko mam w kredensie –

błagała.

– Nie martw się, moja droga – warknęła Bellagrog. –

Wzięłam dużo ciepłych rzeczy. Chodź, i to szybko! Nie chcę, żeby nasz pan i wszystkie damy musiały na nas czekać.

– Ale, Bel...

– KODEKS WIEDŹM, BEA!

Ostateczny argument został wypowiedziany z grzmiącą siłą. Ruchy Mamuśki, choć przyspieszone, miały w sobie jakąś mechaniczną sztywność, jakby pchała ją niewidzialna moc, której wiedźma chciała się oprzeć.

Kiedy podniosła z ziemi walizy, Bellagrog zaśmiała się z triumfem.

– Świecie, patrz – zakrzyknęła. – Oto idzie ród Shrope'ow!

I klaszcząc w ręce, znikła na stopniach. Mamuśka szła za nią – niezdolna nawet rzucić Bobowi ani ukochanej szkole pożegnalnego spojrzenia.

## TAM, GDZIE ZWĘŻA SIĘ STRUMIENĆ

Ponure zakończenie Święta Samhain w Rowan zszokowało i zasmuciło wielu. Około sześciuset dusz weszło na pokład galeonu Prusiasa i pożeglowało na wschód, omamione obietnicą ziemi i tytułów. Nie to jednak najbardziej martwiło Maksa, który znał historię wystarczająco dobrze, by rozumieć, że ludzie zawsze pożądaliby i będą pożądanymi bogactw i tytułów. Najbardziej szokowało go to, jak szybko tych ludzi zapomniano.

„Zapomniano” – może zbyt mocne określenie. Te osoby przecież kochano, więc ich rodzinom i znajomym brakowało ich tak, jak można było się tego spodziewać.

Max jednak wiedział, że działała tu jakaś tajemnicza siła, coś, co sprawiało, że wspomnienia bledły. I chociaż większość mieszkańców Rowan pamiętała tych, którzy wyjechali, to wspomnienia były niejasne, zamglone, zupełnie

jakby

przerwano

lub

uśpiono

jakaś

fundamentalną emocjonalną więź. Kiedy o tych osobach mówiono, wydawało się, że rzecz dotyczy jakichś odległych przodków, a nie najbliższych krewnych czy przyjaciół. Jeśli zapytało się kogoś o utraconych bliskich, nie było wcale pewne, czy ów ktoś przypomni sobie tych, którzy odpłynęli w nieznaną w poszukiwaniu lepszego losu.

I tak kończyły się historie ludzi, którzy wybrali Blys.

Ci, którzy tam odpłynęli, nie pisali. Mijały tygodnie, statki handlowe zawijały do portu i odpływały w morze, lecz nigdy nie przywoziły od nich poczty. Niewielu pozostałych w Rowan smuciła ta cisza. Przecież w Blys działy się rzeczy wielkie, a nowi rządcy tej krainy niewątpliwie mieli pełne ręce roboty. Małe Rowan pozostało zapewne w ich pamięci jako ślad wspomnienia.

Prowincjonalny zakątek w porównaniu z potężnym zamorskim Blys. Zawsze przecież tak było...

Właśnie to ostatnie stwierdzenie bardzo niepokoiło Maksa. Cztery Królestwa: Blys, Jakarun, Zenu via i Dun nie tylko znalazły miejsce w leksykonie Rowan, ale na stałe zagościły w świadomości mieszkańców. Wiele osób mówiło o tych miejscach tak, jakby istniały one zawsze.

Rosja, Los Angeles, Egipt – państwa i miasta z przeszłości zostały zepchnięte do odległej i

egzotycznej historii graniczącej z mitem. Zupełnie jakby była mowa o Atlantydzie.

Nie tylko wspomnienia bledły. Wydawało się też, że tydzień po tygodniu ubywa kolejnych wynalazków i odkryć myśli technicznej. Max zdążył się już przyzwyczać do nieobecności telewizji, telefonów, światła elektrycznego, komputerów i innych udogodnień.

Stratom jednak nie było końca. W połowie listopada większość rybaków odmawiała wypływania poza zasięg wzroku od lądu w obawie, że straci orientację na morzu. Z

aptek zniknęły antybiotyki, więc choroby takie jak koklusz czy szkarlatyna stały się zagrożeniem życia.

Mimo

gasnących

wspomnień

i

regresu

technologicznego Rowan prosperowała jak wielkie miasto epoki renesansu, nie zaś ciemny średniowieczny gród.

Plony były obfite, po brukowanych traktach toczyły się gładko konne wozy, a mleka, śmietany i masła było w bród. Panowała swobodna wymiana pieniędzy, a sklepy pełne były ręcznie wykonanych lamp, kołder i ozdób.

Nieliczni tylko nieszczęśnicy musieli błagać o miedziane rondle czy wełniane koce.

Jeśli już mowa o kocach, to w tej właśnie chwili Maksowi jeden by się przydał. Wieczorem, który niechybnie miał przynieść śnieg, chłopak szedł przez dziedziniec. Zapalono już latarnie, które oświetlały nagie gałęzie drzew tworzących na tle szarzejącego nieba misterne wzory. Znad oceanu dobiegł głos dzwonu. To do portu Rowan wpływał jakiś statek.

Max szedł na wschód, w kierunku morza, po czym skrajem lasu udał się ku wielkiej bramie Rowan. Wśród drzew ujrzał kiwające się światełka i usłyszał głos ojca wyśpiewujący jakiegoś absurdalnego marsza.

– No i jak się udał straszny spacer z latarniami? –

spytał Max, kiedy grupa wyszła na polankę.

– Straszliwie strasznie – odpowiedział pan McDaniels i uniósł latarnię ku twarzy. – Szkoda, że się nie przyłączyłeś. Drwale piekli kasztany na ognisku przy głównej drodze i opowiadaliśmy sobie historie o duchach.



Max uśmiechnął się i pomachał do brzdąców, z których każdy jedną ręką trzymał się mamy lub taty, a w drugiej ścisnął latarnię.

– Było strasznie, Tom? – spytał nieśmiałego chłopczyka.

– Trochę – odparł cicho chłopiec. – Ale nie za bardzo.

– Dobrze – rzekł Max. – Wiecie co, czuję już kolację z Domostwa. Chyba potrawka cieleca, coś mi się wydaje.

– No to chodźmy! – rzekł jego tata i machnął ręką na grupę. – Szukajcie informacji o następnej wyprawie na tablicy ogłoszeń. – Pan McDaniels odwrócił się i puścił do Maksa oko. – Powiesz mi, co się stało, czy mam zgadywać?

– Nic się nie stało – odparł Max.

– Max – zaśmiał się jego tata. – Nigdy nie byłeś dobry w ukrywaniu uczuć.

Szli razem wzdłuż wybrzeża, by przejść między Gravenmuirem a białym pomnikiem Eliasa Brama.

– Chodzi tylko o to, że spodziewałem się jakichś wieści od Connora. Albo od Mamuśki. Ale nie ma żadnych wiadomości od nikogo z Blyss. I w dodatku nikogo tutaj to nie niepokoi.

– Cóż, na twoim miejscu nie martwiłbym się zbytnio o Connora – odparł tata. – Jeśli ktoś w ogóle potrafi o siebie zadbać, to on na pewno...

– Tato, nie wydaje ci się, że trudniej ci zapamiętać różne rzeczy? – spytał Max. – Miejsca? Na przykład Warsztat. Albo nawet ważnych ludzi?

– Tak ważnych jak twoja mama? – spytał pan McDaniels z porozumiewawczym uśmiechem na twarzy.

– Uhm – odparł Max, w zamyśleniu spoglądając w morze. – Chyba.

– Max – powiedział tata. – Bądź spokojny, nigdy nie zapomnę twojej mamy.

– Wiesz, tato – zaczął Max cicho – nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale mógłbyś się z kimś spotykać, jeślibyś chciał. Chodzi mi o to, że nie będę zły ani nic w tym stylu.

– Czyli dajesz mi pozwolenie? – spytał rozbawiony ojciec.

– Tak – Max wzruszył ramionami. – Chyba tak.

Scott McDaniels zaśmiał się i z czułością spojrzął na syna.

– Nie wiedziałem, że potrzebuję twojego pozwolenia

– mówił roześmiany. – Ale miło jest wiedzieć, że mi je dajesz. A poza tym skąd wiesz, że się do tej pory z nikim nie umawiałem? Przecież jestem bardzo atrakcyjną partią!

Max spojrział na tatę z powątpiewaniem.

– Coś ci powiem – rzekł pan McDaniels. – Kiedy przestanę śnić o twojej mamie, zacznę się umawiać. Ale do tego czasu wciąż będzie moją ukochaną. Właśnie wczoraj w nocy miałem o niej niesamowity sen...

– Tato! – wykrzyknął Max. – Nie chcę, żebyś mi o tym opowiadał!

– Nie, nie – zaśmiał się pan McDaniels. – Nic z tych rzeczy. To był sen zupełnie niewinny. Wyszedłem gdzieś, nie wiem gdzie, w piżamie. Były tam wzgórza i niebo pełne gwiazd i jasny, magiczny księżyc. Coś jednak skradało się za mną. Słyszałem oddech, ale za bardzo się bałem, żeby się obejrzeć! Szedłem więc drogą, próbowałem zachować spokój, żeby nie sprowokować tego czegoś. Zobaczyłem przed sobą dom – duży dom na wzgórzu. Skierowałem się prosto do niego. Kiedy doszedłem do drzwi, Max, przysięgam, że poczułem czyjś gorący oddech na szyi.

Maksowi przebiegł po plecach zimny dreszcz. Sen ojca był dziwnie podobny do jego powracających koszmarów o potwornym wilczarzu. To wilczarz śledził

tatę. Max był tego pewien.

– I co było dalej? – szepnął.

– Cóż. Zapukałem i modliłem się gorąco, żeby ktoś mi otworzył. Znowu zapukałem i znowu poczułem na plecach ten okropny oddech. Zapukałem jeszcze raz i jak myślisz, kto mi otworzył?

– Mama?

– No pewnie, ty bystrzaku – odparł tata. – Stała tam, równie piękna jak w dniu, kiedy ją spotkałem. Nie powiedziała ani słowa, tylko wzięła mnie za rękę. A kiedy jej palce dotknęły moich, Max, przysięgam, że czułem ten dotyk. Podskoczyłem jak rażony piorunem. Obudziłem się, rzecz jasna, i po prostu siedziałem w ciemnościach i żałowałem, że nie mogę z powrotem zasnąć i znowu jej zobaczyć. Czy to nie niezwykle?

– Rzeczywiście – potwierdził Max.

– No – podsumował tata – więc jak przestanę mieć tego typu sny, to zacznę się umawiać.

– W porządku – rzekł Max, poruszony wyznaniem taty.

Scott McDaniels spojrział w dal, za syna.

– Co się tam dzieje? – spytał.

Max odwrócił się i zobaczył, że tykowaci komedianci prowadzą przez trawnik, ku schodom

wiodącym nad ocean,

niewielką

procesję

demonów.

Wszystko

wskazywało na to, że kogoś odprowadzają –

najprawdopodobniej też demona, lecz wyższego ranga.

McDanielsowie patrzyli, a w ich polu widzenia pojawiły się nowe postaci. Była to panna Awolowo oraz panna Kraken, obydwie w szalach zamotanych dla ochrony

przed

zimnem.

Cicho

rozmawiały

z

ambasadorem Prusiasa, który zatrzymał się i czekał na ostatnią parę.

Max nie wierzył własnym oczom.

Pani Richter – dyrektor Rowan – szła ramię w ramię z tym samym demonem, który zabił chłopca wtedy, jesienią, w lesie. Całe ciało jak również wyraz twarzy pani Richter wyrażały chęć załagodzenia jakiejś nieprzyjemnej sytuacji, która najwyraźniej musiała się wydarzyć.

Dyrektorka złożyła przed sobą ręce, a twarz miała czujną, jakby chciała wyłowić z rozmowy coś, z czym mogłaby się zgodzić lub czemu podporządkować. Rakszasa skłonił

zaś swą potężną, tygrysią głowę, najwyraźniej zadowolony z ostatniej wypowiedzi pani dyrektor. Kiedy doszli do klifu i przyłączyli się do reszty towarzystwa, zaczęli schodzić na dół.

– Kto to taki? – zapytał pan McDaniels, trąc dłonie dla rozgrzewki.

– Ktoś, kogo tam być nie powinno – mruknął Max. –

Chodźmy.

Max wyprzedził tatę i wyrzwał zza urwiska. Na kotwicy stał luksusowy jacht, a obok na nabrzeżu

piętrzyły się bagaże. Szare, zwinne wieloki ładowały je już na pokład. Lord Vyndra wraz z eskortą znajdował się na dole i szedł po zmrożonym piasku.

Max nie zamierzał czekać na ojca. Przesadzając po dwa stopnie, pomknął na dół, po czym skierował się ku oświetlonemu pochodniami nabrzeżu.

Wieloki dalej ładowały paki i skrzynie, a lord Vyndra palił fajkę. Stał twarzą do brzegu i wyglądał jednocześnie na zadowolonego i znudzonego, wysłuchując jakiejś ostatniej wiadomości lub prośby ambasadora. Pani Richter oraz inni przedstawiciele Rowan ustawili się z boku, obok innych demonów i komików. Max biegł wzdłuż doku.

Vyndra zauważył go i wydmuchnął w orzeźwiające nocne powietrze równiutkie kółko z dymu.

– Proszę lepiej uwiązać swego Psa, madame dyrektor

– warknął.

Pani Richter odwróciła się dokładnie w momencie, kiedy komicy ustawili się między nią a Maksem i skrzyżowali swe długie halabardy, jakby chcieli zadrwić z halabardzistów watykańskich. Pomniejsze demony pospieszyły w ich stronę.

– Max, co ty tu robisz? – spytała spokojnie pani Richter.

– Ja? – spytał Max i zatrzymał się. – Raczej, co o n tu robi?

– Lord Vyndra przed swym odjazdem odwiedził

ambasadę

–

odparła

pani

Richter

sztywnym,

ostrzegawczym tonem. – I ma do tego całkowite prawo.

– Ten demon polował na ludzi – wycedził przez zęby Max. – Widziałem na własne oczy! Zabił chłopca na moich oczach!

– Dlaczego nie doniosłeś o tym w raporcie? – spytała pani Richter.

– Raport pisał Cooper – odpowiedział Max. – Proszę go zapytać! Może to potwierdzić.

Pani Richter wydeła wargi i skłoniła głowę, jakby w przeproszającym geście wobec lorda Vyndry, który po prostu stał i w zamyśleniu palił fajkę.

– Max, agent Cooper nic takiego nie zaraportował i nie ma go tu, by potwierdzić twoje oskarżenie, ponieważ dziś rano odpłynął do Dun. A teraz bardzo cię przepraszam, zostaw nas samych.

Max z rozdziawionymi ustami gapił się na panią Richter.

– Jak może pani trzymać jego stronę? – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Proszę przeszukać jego bagaż, pani Richter. Założę się, że ma tam trofea, głowy lub skóry lub cokolwiek ten potwór upolował!

– Max, proszę o spokój! – ucięła dyrektorka.

– Proszę się nie trudzić, madame dyrektor – wtrącił

Lord Vyndra, a jego zawzięte kocie rysy ułożyły się w drwiący uśmiech. – Jestem wdzięczny za długą gościnę na waszym terytorium, lecz ten chłopak ma jakieś urojenia.

Prusias być może toleruje zniewagi, ale ja nie. Owszem, przyznaję, że upolowałem jelenia czy dwa, ale nie mam żadnych ludzkich skór i czaszek. Proszę przeszukać moje bagaże, jeśli pani sobie życzy – rzekł i zrobił gest w stronę wieloków, by rozładowały skrzynie i paki.

– To nie będzie konieczne – odparła pani Richter.

– Czy pani postradała zmysły?! – wrzasnął Max z niedowierzaniem. – Proszę je przeszukać!

– Nie – sprzeciwiła się stanowczo pani Richter. –

Byłaby to zniewaga dla naszego gościa. A teraz odejdz

lub będziesz musiał zostać aresztowany pod zarzutem niesubordynacji. Zrozumiano?

Max wzdrygnął się, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

– Nikt nie będzie aresztował mojego syna – parsknął

pan McDaniels, który właśnie pojawił się na nabrzeżu.

– To pana nie dotyczy, panie McDaniels – odezwała się pani Richter. – Proszę zabrać Maksa i odejść.

Lord Vyndra się zaśmiał.

– Pan jest ojcem Psa? – spytał, wyraźnie zainteresowany. – Czyż to możliwe? – Wkroczył między dwóch komików, wychylił się ponad ich skrzyżowanymi halabardami i wnikliwie przyglądał się Scottowi McDanielsowi. Obecność demona wyczuwało się z wielką intensywnością – pan

McDaniels trząśił się niczym pisklę w szponach węża. Po dłuższej chwili demon wypuścił chmurę słodkiego dymu i potrząśnął głową. –

Myślę, że pańska żona pana oszukała, mój drogi. Nie jesteś jego ojcem, tylko upasionym rogaczem.

– Zabiję cię! – wykrzyknął Max i rzucił się w stronę Vyndry. Wybił się i wyskoczył wysoko ponad skrzyżowane halabardy.

Nie spadł jednak, jak planował, prosto na demona.

Zamiast tego jego ruch całkowicie ustał, jakby nagle zatrzymał się czas. Ciało Maksa trwało zawieszony w powietrzu, kończyny zmroziła jakaś obezwładniająca siła, która niemal wycisnęła mu całe powietrze z płuc. Za wszelką cenę chciał się jej przeciwstawić.

Kiedy próbował, nad jego czołem zaśniło światło.

Blask ten nasilał się tym bardziej, im silniej Max walczył

z powstrzymującą go mocą.

– Annika! – krzyknęła pani Richter. – Ndidi, pomocy!

Dopiero wtedy Max zdał sobie sprawę, że to nie Vyndra go powstrzymuje, lecz pani Richter. Energia, którą ku niemu wysyłała, była tak potężna, że dyrektorka osunęła się na kolana, a jej wyciągnięte ramiona drżały.

Cały port zaśnił nagłym błyskiem, kiedy Maks złamał zaklęcie.

Ciężko runął na nabrzeże. Wstał z pewnym trudem, odzyskał równowagę i jeszcze raz skoczył na Vyndrę, który stał jak zamurowany.

I znowu zawisł w powietrzu, tym razem zatrzymany przez połączone energie trzech potężnych mistyczek.

Wrzasnął. W komorze celnej z brzękiem posypały się wszystkie szyby. Z ciała Maksa wyrwała się fala energii, która wypaczyła nabrzeże i niemal strąciła wszystko, co się na nim znajdowało, do lodowatego morza. Pana McDanielsa odrzuciło w tył. Mimo wszystko pani Richter i pozostałe mistyczki nie przestały go obezwładniać.

– Płyńcie już! – krzyknęła panna Kraken. – Dłużej go nie utrzymamy!

Wieloki wrzuciły ostatnie bagaże na jacht. Lord Vyndra skłonił się chłodno i wkroczył na pokład, a za nim jego świta. Wieloki zgrabnie zrzuciły cumy i długimi tyczkami odepchnęły jacht od nabrzeża, by mogły go porwać lodowate fale. Żagle, jakby obsługiwane przez widmową załogę, wsunęły się na maszty i jacht wziął kurs na otwarte morze.

Oczy wszystkich wpatrzone były teraz w Maksa i oślepiającą jasność, która go otaczała. On zaś

obserwował

jacht, który żeglował w stronę wyjścia z portu, ku czarnemu, rozkołysanemu oceanowi. Lord Wyndra stał na pokładzie, wsparty o mosiężny reling i pykał z fajki.

Uniósł dłoń i pomachał do Maksa uprzejmie.

Chłopak, wpatrując się w demona, stwierdził, że ten nie tyle macha ręką, ile czymś, co w niej trzyma.

Przedmiot ten zaśnił nagle bielą w bladym, księżycowym blasku.

Była to ludzka czaszka.

Max próbował krzyknąć, by skierować uwagę innych na ten przedmiot, ale nawet język i struny głosowe miał

sparaliżowane. Całe ciało odrętwiało mu z bólu. Z

końców palców pani Richter, panny Awolowo i panny Kraken wytryskały strumienie energii, wzmacniając krąg mocy wokół Maksa w miarę, jak chłopak słabł.

– Ambasadorze, proszę zabrać swoich ludzi i odejść –

odezwała się spokojnie pani Richter.

Kiedy demony wróciły przez plażę na kamienne stopnie, odezwał się pan McDaniels.

– Sądzę, że możecie go już puścić. Teraz chyba będzie bezpiecznie.

Mistyczki jednak nie puściły Maksa tak szybko.

Zrobiły to dopiero, kiedy jacht lorda Wyndry zniknął za horyzontem, a blask wokół Maksa przygasł. Wówczas trzy kobiety zwolniły wspólne zaklęcie. Działo się to powoli – kręgi energii rozluźniały się i rozplatały jak kłębek wełny, aż wreszcie zanikły zupełnie. Max w zwolnionym tempie opadł na ziemię i leżał bezwładnie, ciężko dysząc. Lodowate fale głośno biły o brzeg.

Pani Richter odchrząknęła i zawołała do oniemiałego urzędnika celnego:

– Panie Hagan, proszę posłać wiadomość na oddział

ratunkowy i poprosić o pomoc. Annika może wymagać interwencji medycznej. Ndidi, pomóż mi ją posadzić.

Siły powoli powracały Maksowi. Najpierw przetoczył

się na bok, wziął głęboki oddech, a potem spojrzał spode łba na panią Richter, która pośród potłuczonego szkła pochylała się nad panną Kraken. Wyglądała na wyczerpaną.

– Panie McDaniels – rzekła. – Jeśli nic panu nie jest, proszę odprowadzić syna do jego pokoju.

Max poczuł, jak pod jego ramiona wślizguje się para silnych rąk i podnosi go z ziemi. Mimo słabości zdołał

wesprzeć się na ojcu i powoli, na trzęsących się nogach, powlec się nabrzeżem w stronę schodów. Tam stwierdził, że na górze, nad urwiskiem, zebrał się tłum. Rozejrzał się, szukając przyjaznej twarzy. Żadnej nie znalazł.

Przez następne dwa dni Max pozostawał w odosobnieniu. Nie opuszczał obserwatorium. Pukano do drzwi, wsuwano pod nie listy i wiadomości. Lecz on nie ruszał się z łóżka; nie wstawał nawet na posiłki. Nie reagował też na zachęty ze strony taty. Leżał tylko, zakopany w ciepłej pościeli i obserwował, jak nad szklaną kopułą powoli przemieszczają się gwiazdne konstelacje.

Targany emocjami, popadał to w depresję, to w złość.

Rozsadzała go wściekłość na panią Richter – na całe kierownictwo Rowan – za płaszczenie się przed demonami. Z drugiej strony czuł się winny, że stracił nad sobą panowanie.

Nie widywał się też z Davidem, ale to dlatego, że większość czasu przesypiał. Ziewnął i zmęczonym krokiem podszedł do podestu schodów, by spojrzeć na dolny poziom pokoju. Choć Davida nie było, widział

oznaki jego obecności. Tu i tam wałały się papiery i manuskrypty, a z kominka wciąż unosił się nikły zapach dymu. Max naciągnął na siebie szlafrok i zszedł na dół.

Na stole panował nieopisany bałagan. Każdy cal blatu zajmowały książki i dokumenty. Najbliżej leżący pergamin posmarowany był jakąś srebrzystą substancją, która błyszczała, jakby wciąż była mokra. Zaciekawiony Max zapalił jedną z grubych świec i podniósł nieco arkusz, by oświetlić go ciepłym, żółtym blaskiem.

Na początku nic nie mógł przeczytać – wydawało się, że na pergaminie jest tylko bezsensowny, chaotyczny zbiór słów i liter, liczb i symboli. Jednak w miarę, jak Max się w nie wpatrywał, zaczęły tworzyć pewien wzór.

Wyłoniły się słowa, potem całe zdania – zupełnie jakby ktoś założył chłopakowi czarodziejskie okulary. Wkrótce stało się jasne, że ma przed sobą pisma Brama. Jego prywatne zapiski.

*11 stycznia 1633*

*Drogi Kepler przewidział przed śmiercią, że to się stanie. Dzień mija, a ja dygoczę ze szczęścia. Wysoka wieża była zamknięta przez trzy stulecia. Jutro wieczorem zostanie otwarta, a ja w niej zamieszkać. Starszyzna przezwyciężyła wreszcie absurdalne wątpliwości i obawy związane z moim młodym wiekiem. Jutro Elias Bram jako piąty w historii stanie na czele Katedry Mistyków Gwydion.*

*Prawdziwe osiągnięcie, jak na człowieka niespełna dwudziestoletniego. Wyznaję, że ubiegałem się*



*o ten tytuł i że nie wszystkim jest to na rękę. Czyż jednak wielcy nie sięgają po to, co zostało dla nich przygotowane?*

*Jak zareaguje Brigida? Zapewne żartem i udawaną obojętnością – uwielbia pomniejszać moje osiągnięcia, traktując je z pełną uroku lekkością. Ale czegoś takiego nie sposób zignorować. Nieważne, co powie Marley.*

*Wygrywam wyścig po jej uczucia. Za rok porozmawiam z jej ojcem. Niezależnie, jakiej ceny zażąda za córkę, zapłacę ją.*

*Biedny Marley. Nie mam bardziej oddanego przyjaciela i najpewniej mój sukces będzie dla niego wielkim ciosem. Oczywiście, będzie się cieszył, ale również uświadomi sobie na pewno, co za tym idzie.*

*Straci najlepszego przyjaciela i ukochaną kobietę. Los doprawdy potrafi być okrutny. W obliczu Katedry Gwydion nie mogę jednak kierować się takimi skrupułami.*

*Ponieważ istnieją sprawy większe niż jego żądza uwagi....*

Max odwrócił stronę, lecz nic więcej nie było. Ton dziennika

mocno

kontrastował

z

trzeźwymi,

realistycznymi zapiskami Brama z innych lat, które Max czytał dawniej. Ten Bram brzmiał arogancko i ambitnie, z zimną niewrażliwością mówił o ciosie zadany przyjacielowi.

Max usłyszał z góry jakiś dźwięk i odłożył arkusz.

Drzwi otworzyły się i do ciemnego obserwatorium wpadła smuga światła z korytarza. Kroki. Szelest papieru.

– Przychodzę w pokoju! – zawołał ciepły głos z brytyjskim akcentem. – Mogę zejść?

– Jasne – odparł Max i podniósł się. Odsunął stos ksiąg i papierzysk na bok i próbował uładzić rozgardiasz, zanim Nigel zdążył do niego zejść.

– Hmm – mruknął nauczyciel, który niegdyś rekrutował Maksa. – Trochę tu ponuro. Można by ciut ocieplić atmosferę?

– To samo powiedziałeś, kiedy się poznaliśmy –

odpowiedział Max. – Kakao i ogień na kominku dla rozgrzania duszy, czy coś takiego.

– Fakt, ale byłeś wtedy nieźle wystraszony i trzeba było cię trochę uspokoić – żartował Nigel, kładąc na stole brązową torbę i stos papierów. – Przepraszam za wtargnięcie, ale dostałem klucz od twojego taty.

– Jak się miewa panna Kraken? – spytał Max z niepokojem.

– W miarę nieźle – powiedział Nigel. Rzucił okiem na gazetę i zmarszczył brew. – Trochę przeciążona całym tym zamieszaniem, ale coraz lepiej.

Max skinął głową i poczuł, że napięte mięśnie barków trochę mu się rozluźniają. Nigel podsunął w jego stronę brązową torbę. Max rozpoznał maślany zapach bułeczek. Wciąż były ciepłe. Za jednym zamachem połknął dwie i chrząknął z zadowoleniem.

– No, z etykietą to nie miało to nic wspólnego – rzekł

rozbawiony Nigel.

– A aak ammm panii Byssow? – spytał Max z następną bułeczką w ustach.

– Słucham, co takiego?

Max przełknął i strzepnął z brody okruch ciasta.

– Jak tam pani Bristow?

– Świetnie, bardzo dziękuję. Cięża dodała jej mnóstwo uroku. Jeszcze nigdy nie była ładniejsza. A ty?

Jak żyjesz?

– W porządku – odparł Max.

– Hmm – mruknął Nigel i podał Maksowi stos nieotwartych kopert.

Max przejrzał je i naliczył cztery od Julie, dwie od Cynthii, jedną od Sary i jedną od kogoś, czyjego pisma nie rozpoznawał.

– Otworzę, dobrze? – przeprosił Nigela. – Nie wiem, od kogo to.

Nigel skinął głową, więc Max otworzył kopertę.

*Drogi Maksie,*

*trudno nam pisać te słowa. Zawsze byłeś dla Julie i małego Billa dobrym przyjacielem i bardzo to doceniamy.*

*Jednak nie możemy ignorować plotek na twój temat, a także najnowszych informacji w gazetach. Bardzo kochamy nasze dzieci i zależy nam przede wszystkim na ich bezpieczeństwie. Dlatego z całym szacunkiem prosimy, abyś natychmiast zaprzestał kontaktów z nimi. Julie oczywiście toczy z nami o to batalię – bardzo jej na tobie zależy. Jeśli jednak tobie zależy na niej, zostaw ją w spokoju i zaufaj zdaniu jej rodziny.*

*Dziękujemy,*

*Robert i Linda Teller*

– I co, dobre wieści? – spytał Nigel.

– Niezbyt – odparł Max. – Rodzice Julie nie chcą, abym się z nią widywał. – Mówił monotonnym, obojętnym głosem. Treść wiadomości tak naprawdę jeszcze do niego nie dotarła.

Za zgodą Maksa Nigel przeczytał list.

– Jesteś wściekły? – spytał, kiedy skończył czytać.

– Nie – westchnął Max. – To mili ludzie i wiem, że robią to, co im się wydaje słuszne. Ale ja nigdy nie zraniłbym Julie.

– Wiem o tym – odparł Nigel. – I wiesz, co myślę?

Że oni też to wiedzą, niezależnie od wszystkiego. Z ich listu nie wynika, że boją się, że ją zranisz. Chodzi im raczej o to, że przez to, kim jesteś, jak magnes przyciągasz niebezpieczeństwo. Tego się boją.

– Ten demon miał szczęście, że mnie zatrzymały –

wycedził Max. – Bo nie wiem, co bym mu zrobił.

– Hmm – zastanowił się Nigel. – Myślę, że dobrze się stało dla wszystkich zainteresowanych, że do niczego nie doszło. Rakszasy są niezwykle potężne, Max. Mógłbyś wyjść z tego nieźle pokiereszowany. A na dodatek, z tego co słyszałem, akurat ten konkretny rakszasa jest nam potrzebny...

– Vyndra? – zachnął się Max. – Dlaczego mielibyśmy go potrzebować?

– Lord Vyndra jest w świecie demonów postacią niezmiernie wpływową – odpowiedział Nigel. – I nie za bardzo kocha Prusiasa. O ile rozumiem, Vyndra uważa, że to on powinien być władcą Blys. Łatwo więc można sobie wyobrazić, jak bardzo jest użyteczny.

– To morderca – uciał Max. – Widziałem, jak polował na człowieka, dla sportu.

– Nie powiedziałem, że to miły gość – zaprotestował

Nigel.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle musimy się z nimi zadawać – warknął Max. – Przecież to ma być nasz kraj.

To całe kłanianie się, uprzejmości są dla mnie jednym wielkim tchórzostwem.

– Wolałbyś, żebyśmy od razu przeszli na pięści, co?

Na pięści z demonami?

– Może i tak.

Nigel uśmiechnął się i zmiażdżył pustą torbę w kulkę.

– Max, przy obecnym stanie rzeczy nie wytrzymałibyśmy nawet tygodnia – powiedział bez emocji.

Stary Tom wybił trzecią.

– Jak zwykle jestem spóźniony – westchnął Nigel. –

Obiecałem twojemu tacie, że cię wyciągnę na dwór, żeby pobawić się z dziećmi. W nocy spadł śnieg, mówię ci, jest biało, wszystko się skrzy. Naprawdę pięknie.

Porzucamy się śnieżkami? Kiedy ja ostatni raz toczyłem wojnę na śnieżki? Lata temu. Powiedz, czy te dzieciaki bardzo mocno rzucają?

– Nigel, to pięciolatki.

– Co z tego, ale i tak na pewno potrafią niezłe walnąć.

Nie minęło parę minut, a Max chwycił kurtkę, zawiązał buty i pognął w dół po schodach. Spotkał się z Nigelem w holu. Pchnęli drzwi i wyszli na biały, lśniący dziedziniec.

To był ulubiony rodzaj śniegu Maksa – czysty, puszysty i wystarczająco mokry, by się lepić. Grubą warstwą otulał gałęzie drzew, spoczywał na rzeźbach fontanny, a nawet na dachu Gravenmiura, ozdobiąc jego okapy grubymi soplami. Dziedziniec wypełniali uczniowie biadolący z powodu egzaminów semestralnych.

Z turkotem przejechał konny powóz, ciągnąc domowej roboty pług, by odśnieżyć przejście. Ponad dachami na wietrze wnosiły się i opadały szpaki i mewy, krzycząc przenikliwie i smutno.

– Są w Sanktuarium? – zapytał Max.

– Nie – odparł Nigel. – Gdzieś za murami, w lesie.

Twój tata mówił, że będziesz wiedział gdzie – nad jakimś strumieniem czy czymś takim przy tamie

bobrów.

Wyruszyli, zostawiając za sobą w śniegu głębokie ślady.

Rowan rzadko kiedy zamykała obecnie bramy.

Wyrzeźbione przez Davida nad drzwiami znaki i zaklęcia wydawały

się

dziwacznym

powitaniem

gości

przyjeżdżających brukowanym traktem z farm i niewielkich osad, które leżały poza murami. Max i Nigel przeszli pod wysokim kamiennym łukiem. Max opowiadał Nigelowi o swoich niezbyt budujących nauczycielskich doświadczeniach.

– Wszyscy próbują – mówił. – Pani Richter, agenci...

próbują, jak mogą. Ale nie wiem. Po prostu nie są w stanie wykonać większości ruchów. Nawet jak stosują wzmocnienia, coś jest nie tak, czegoś brakuje. I w dodatku nie potrafię dokładnie stwierdzić czego, więc robieramy każdy ruch na części pierwsze.

– Bardzo rozsądnie – rzekł Nigel.

– Tak, ale coś się wtedy gubi, coś się traci – mówił

Max, zatrzymując się, by przeczytać nowy znak wzniesiony na rozstaju dróg. – Cooperowi trochę wychodzi, ale wciąż nie robi tego bez wysiłku, naturalnie, tak jak trzeba.

Max prowadził. Zeszli z brukowanego traktu i skręcili na leśny dukt drwali, który łagodnym łukiem przecinał las i prowadził w stronę oceanu. Robiło się pochmurno – na horyzoncie niebo było już ciemnoszare, co zapowiadało kolejną śnieżycę. Po zachodzie słońca krajobraz nabrał surowego piękna podkreślonego kontrastem bieli śniegu i czerni cienia, zieleni igieł i ciemnej szarości gałęzi. Wiatr był coraz chłodniejszy, ale nie nieprzyjemny. Daleko w porcie rozległo się bicie dzwonu. Dźwięk rozchodził się pięknie w zimowym powietrzu.

– Max, lubisz się zakładać? – spytał Nigel.

– Jasne – odparł Max. – Chcesz się założyć?

– Tak. Dzwon dzwoni, bo do portu coś wpłynęło, to pewnie wiesz. Jeśli to mały trójmasztowiec z Blyss, stawiam ci najlepszą czekoladę Mr. Babel's. Jeśli to kliper z Zenuvii, ty stawiasz czekoladę Emily.

– Umowa stoi! – zawołał Max i potrząsnął dłonią Nigela. – Trójmasztowce z Blyś wchodzą do portu dwa razy częściej niż klipery z Zenuvii, więc chyba zrobiłem dobry interes! Ha!

– A czytałeś dzisiejsze wiadomości portowe? –

zapytał, siląc się na obojętność, Nigel.

– O, nie – jęknął Max i wśliznął się między świerki, by zająć dogodną pozycję obserwacyjną. Wkrótce znalazł

dobrze miejsce – granitową półkę, z której roztaczała się panorama murów Rowan i widać było czarne wieżyczki Gravenmuira. Daleki port wydawał się maleńki niczym zabawka.

Nie było wątpliwości, że zawinął do niego statek.

Najpierw wypatrzyli latarnie na masztach – punkciki światła na tle szaroczarnego morza. Czarny kadłub statku był długi i wąski, a wysokie maszty przeznaczone do ogromnych powierzchni żagli. Linia statku sugerowała, że jego przeznaczeniem jest przewóz egzotycznych towarów w szybkim tempie – a więc kliper z Zenuvii.

– Słodkie zwycięstwo! – zawołał Nigel. – Dopilnuję, by Emily wysłała ci specjalne podziękowania. Tak się składa, że woli czekoladę gorzką.

– Mr. Babel's – potwierdził Max.

– W rzeczy samej – zgodził się Nigel. – Wszystkim przydałoby się po kawałku czekolady, żeby wytrzymać na tym mrozie, ale chyba nie tamtemu gościowi. Kto do licha znajduje przyjemność w żeglowaniu w takich warunkach?

– Gdzie? – spytał Max, wpatrując się w ocean.

– Tam, o – odparł Nigel i wyciągnął rękę na południe, gdzie w zacisznej, niewielkiej jaskini bujał się na falach jacht. W pobliskie skały waliły fale, wysyłając w górę pióropusze piany, które zamazywały zarysy statku.

Wreszcie jakaś większa fala uniosła go trochę wyżej, dzięki czemu ukazał się w pełnej krasie. Max dostrzegł

lśniące tekowe drewno i podobny do węża dziób. Widział

już gdzieś ten jacht.

To był jacht lorda Vyndry.

– Co on tu jeszcze robi? – mruknął.

– Kto? – spytał uśmiechnięty Nigel.

Jakby w odpowiedzi usłyszeli dźwięk rogu demonów.

Dochodził z południa, z ładu. Kiedy rozlegało się jego długie, schrypnięte wołanie, krew zastygała w żyłach, a ptaki zrywały się z drzew i z furkotem skrzydeł ulatywały w niebo.

– Masz przy sobie broń? – zapytał szybko Max.

Uśmiech Nigela zniknął.

– Co takiego? Nie, oczywiście, że nie, Max, ale co się dzieje?

– Chodźmy! – krzyknął chłopak i rzucił się w kierunku, skąd dobiegł głos rogu, wzdłuż brzegu.

Nigel szybko został w tyle, ale Max nie zatrzymał się, by na niego zaczekać.

– Tato! – wrzasnął, wyteżając wzrok.

Nikt nie odpowiedział. Zaczynało się zmierzchać, kiedy przeskoczył pień zwałonego drzewa i pomknął

zasypaną śniegiem ścieżką prowadzącą do przewężenia potoku – ulubionego miejsca zabaw dzieci.

– Tato!

Nie było odpowiedzi – tylko szelest wiatru i miarowy łomot serca Maksa. Tak. Przed nim stał ulepiony przez dzieci bałwan. Na tle jego białej twarzy odcinały się ciemne, krzywo osadzone oczy. Max minął go biegiem, po wydeptanej w śniegu ścieżce zbiegając z pagórka, który kończył się potokiem.

Dosłyszał stamtąd jakiś głos. Głos płaczącego dziecka.

– Tato!

I wtedy ich zobaczył.

Dziewczynka siedziała na kupie wilgotnych liści, a stopy miała zanurzone w potoku. Szlochała. W ręce ścisnęła rąbek kurtki pana McDanielsa, który leżał

bezwładnie, wsparty o plataninę korzeni wystających ponad brzeg strumienia.

– Nie! – wyrzucił z siebie Max, po czym wyciągnął

dziecko z zimnej wody i postawił je na splamionym krwią śniegu. – Tato, słyszysz mnie? Proszę, powiedz, że mnie słyszysz.

Rozległ się plusk i jednocześnie noga jego ojca wykonała nagłe kopnięcie.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął Max. – Już jestem.

Naraz zobaczył dziurę w swetrze ojca tuż pod piersią.

Najpierw pomyślał, że to zwykłe oczko w dzianinie, ale po sekundzie stwierdził, że niczym gęsty syrop sączy się z niej krew. Ostrożnie rozdarł dziurę i szybko rozpiął

koszulę taty, by obejrzeć ranę.

To, co zobaczył, sprawiło, że zabrakło mu tchu.

Tata ścisnął w rękę dwie strzały – musiał zadać sobie potworny ból i powiększyć ranę, kiedy je z siebie wyszarpnął.

Płacz dziewczynki zmienił się we wrzask hysterii.

Max starał się go nie słyszeć. Gorączkowo zastanawiał

się, co robić.

– Okej – mówił do siebie, aby się uspokoić. – Okej.

Zrobimy tak...

Złapał tatę za rękę i sprawdził puls. Słaby, ale był.

Ręka jednak była zimna... potwornie, strasznie zimna.

Max musiał go ogrzać, a jednocześnie zatamować krwotok. Ściągnął z siebie kurtkę i sweter i okrył nimi tatę, po czym owinał sobie szalikiem dłonie, by tamować krwotok, uciskając ranę. Tata chrapliwie wciągnął

powietrze, wyprężając się z bólu.

– Przepraszam – rzekł Max. – Strasznie przepraszam.

Pan McDaniels wypuścił z ręki strzały i po omacku szukał dłonią dłoni syna.

– Wszystko będzie dobrze, tato – powtarzał Max, ściskając jego rękę. – Już przestaje krwawić. Za chwilę całkiem przestanie. Wszystko będzie dobrze, na pewno.

Usłyszał nad strumieniem czyjeś szybkie kroki. To nadbiegł Nigel, dysząc z wysiłku.

– Żyje? – spytał, z trudem chwytając oddech.

Max skinął głową.

– Gdzie reszta?

– Nie wiem – odparł chłopak, starając się cały czas równomiernie uciskać ranę. – Była tylko ona.



Krwotok chyba ustał, ale nie przeniosę go w tym stanie.

Nigel podniósł rękę i wypuścił w niebo hałaśliwy, strzelający iskrami sygnał świetlny – wołanie o pomoc.

Blask iskier odbił się w ciemnej wodzie strumienia i dziwnym, uroczystym światłem rozjaśnił okolicę. Nigel wysłał dwa następne sygnały – konkretne i kategoryczne, które

niczym

trąba

powietrzna

pomknęły

do

wyznaczonego celu. Potem przykucnął i poszukał pulsu pana McDanielsa.

– Bardzo słabo wyczuwalny – powiedział, blady ze zmartwienia.

– Ale już nie krwawi – upierał się Max, zaglądając pod szalik. – Przestało.

Nigel spojrzał na strumień. Powoli zanurzył ręce w wodzie, tuż przy boku pana McDanielsa.

Kiedy je wyjął, były czerwone.

Max wstrzymał oddech.

Nigel odchrząknął i powiedział powoli:

– Max, wygląda na to, że jest jeszcze inna rana.

Delikatnie odwrócił pana McDanielsa na bok i zadarł

jego koszulę do góry, by przyrzeć się dolnej części pleców. Zbladł jak ściana. Obywając się bez opatrunków uciskowych, przyłożył obie dłonie bezpośrednio do rany.

– Znasz jakieś zakłęcie? – spytał Max, odchodząc od zmysłów.

– Na coś takiego... nie.

Ciało Scotta McDanielsa przeszło nagły dreszcz.

Ranny osiągnął najwyraźniej punkt krytyczny. Max pochylił się nisko nad nim, przycisnął swój policzek do jego policzka.

– Nie odchodź – szepnął. – Zostanę całkiem sam.

Proszę, proszę, zostań ze mną.

Powtarzał błaganie bez przerwy, niczym mantrę, niczym monotonną inkantację. Tak długo, jak powtarzał

te słowa, ojciec nie mógł odejść.

Nie słyszał już płaczu dziewczynki.

Nie widział Nigela.

Ani potoku.

Był tylko zimny policzek ojca przyciśnięty do jego ciepłego policzka.

Były tylko słowa, które trzymały go przy życiu.

## POŻEGNANIA

Mantra nie pomogła.

Słowa zawiodły.

Dwa dni później Max siedział samotnie w nogach łóżka ojca. W pokoju było cicho. Rozsunięte zasłony odsłaniały szare, groźne niebo.

Max wstał, otworzył szafę i jeszcze raz przejrzał się w lustrze na wewnętrznej stronie drzwi. Wyglądał okej.

Buty w porządku. Garnitur też. Ubrania Scotta McDanielsa leżały w szafie równo poskładane. Max zapatrzył się na nie. Były tam koszule flanelowe, koszule wyjściowe, eleganckie spodnie w prążki i koszyk ciemnych skarpetek. Jedna z koszul ześliznęła się prawie z wieszaka. Max poprawił ją i powoli zamknął drzwi.

Ledwo wyczuwalny zapach wody kolońskiej i cedrowego drzewa gorzko przypominał, że jego tata tu mieszkał, że zajmował ten pokój.

Stary Tom wybił godzinę trzecią. Jednocześnie rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i głęboki, ochryply głos. Max otworzył. Skinął głową Bobowi i państwu Bristowom stojącym za progiem. Bob i Nigel byli w czarnych garniturach, natomiast pani Bristow miała na sobie szarą sukienkę uwydatniającą krągłą figurę.

Droga do Kaplicy Róż przypominała niemy sen –

płatana korytarzy, bolesne uklucie światła dziennego, zapach żywicy. Brnęli w wilgotnym, zimnym powietrzu.

Kaplica znajdowała się na północny zachód od Domostwa, za ostatnimi rzędami drzew w sadzie. Był to budynek skromny, ale elegancki, wzniesiony z białego kamienia na polanie wśród jodeł, świerków i jesionów.

Wiele osób już przybyło – tu i tam kręciły się grupki w czarnych garniturach i sukienkach niczym gromady szpaków. Ksiądz poukładał notatki i skinął na Boba, Bristowów i Maksa, by zajęli miejsca w pierwszej ławce.

Max wbił wzrok w trumnę.

Leżało w niej ciało jego ojca – blade i elegancko ubrane. Co to musi być za dziwna praca, myślał – czesać włosy zmarłego i wiązać mu krawat. Ale ciało to tylko naczynie, pocieszył się, tylko mięśnie i krew, kości i zęby.

Ktoś – jakaś dobra dusza – próbuje upiększyć zmarłego, lecz żaden makijaż nie jest w stanie oddać życia, które zeń odeszło. Mimo czyichś wysiłków, by twarz wyglądała na przepełnioną naturalnym spokojem, była absolutnie wyłączona. Jak woskowa podróbka – nie błyskała w niej iskra osobowości określająca zmarłego człowieka.

Podczas przemówienia księdza Max skupił wzrok na rękach taty. O ileż więcej było go w tych rękach niż w upiększonej woskowej twarzy. Miał na palcu ukochaną obrączkę ślubną i pierścień swojego roku z nieistniejącego już uniwersytetu w Bostonie. Odciski i szramy po skaleczeniach – dowody ciężkiej pracy w kuchni. Krzywy palec wskazujący – pozostałość po kontuzji przy grze w kosza przed laty. Dłonie złożone były na szerokiej klatce piersiowej ojca w geście skromności czy pobożności, albo i tego, i tego. Poza ta wydała się Maksowi głupia –

przywodziła na myśl potulność i skruchę. A przecież tata nigdy tak się nie zachowywał. Czy właśnie tak człowiek ma się żegnać ze światem – ze złożonymi rękami, w sosnowej skrzyni?

Max odwrócił wzrok od trumny, podniósł się nieco i spojrzął w bok, poza postać Boba. Jedni żałobnicy ocierali oczy, wycierali nosy w chusteczki, podczas gdy inni siedzieli pochyleni, w pełnej szacunku ciszy. Byli i Tellerowie – Julie wydawała się przerażona, a jej zalana łzami twarz wpatrzona była w Maksa. Była i pani Richter, a po jej obu stronach siedziały panna Awolowo i panna Kraken. Twarz dyrektorki wyrażała zamyślenie, a linia jej szczęki była ostra i zacięta. Ręce były równo złożone na czarnym szalu.

David Menlo stał w otwartych drzwiach kaplicy niczym duch w garniturze. Nawet ze znacznej odległości widać było, że na jego policzkach błyszczą łzy. Stał sam w drzwiach i drżał, szlochając bezgłośnie. Ksiądz czytał

coś ze starej Biblii.

Max słuchał słów pocieszenia, ale tylko go rozżłościły. Stara Magia znów obudziła się z uśpienia.

Bob wydał dziwny, gardłowy odgłos i skręcił tułów, by czujnym okiem zerknąć na chłopca. Ogr musiał wyczuć w nim jakąś subtelną zmianę – coś, czego nie czuł nikt z ludzi.

– Wychodzimy, już – szepnął.

Dysząc ciężko, Max skinął głową i poczuł, jak ręka ogra zamyka się na jego ręce. Nastąpiło delikatne pociągnięcie i chwiejnym krokiem wyszedł z kaplicy, ignorując zdziwione spojrzenia, w tym spojrzenie Davida, który odsunął się trochę, by im zrobić przejście.

Zimne powietrze przyniosło Maksowi wielką ulgę.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, stwierdził, że potwornie się poci. Przepocił koszulę, a nawet marynarkę. Bob podprowadził go do pnia przewróconego drzewa i rozłożył na nim swoją kurtkę, by chłopak mógł usiąść i złapać oddech. Przez parę minut, pochylony do przodu, dyszał tylko, a w jego głowie kotłowało się tyle myśli, że nie sposób było ich uporządkować.

– Kiedy postanowiłeś odejść? – spytał w końcu Boba, cały czas nie wypuszczając jego ręki.

– Bob nie rozumie – odparł Bob.

– Ze swojej ojczyzny – mruknął Max. – Co cię przywiodło do Rowan?

– Hmm – zastanowił się Bob, warcząc gardłowo, jakby wspomnienia leżały zakopane w historii jego życia gdzieś bardzo głęboko. W gęstniejącym mroku zaczął

sypać śnieg; maleńkie kryształowe płatki osiadały na łysej, guzowatej głowie ogra. – Dawno temu, w Rosji, usłyszałem, że jest miejsce, do którego mogą się udać pradawne stworzenia. W czasie pierwszej wojny światowej przybyłem tu i nauczyłem się gotować.

Okazało się, że właśnie to było Bobowi pisane.

– Pisane... – mruknął Max, zastanawiając się nad słowami ogra. Dzwon kaplicy zaczął bić.

Żałobnicy wysypali się ze środka. Trzymali się za ręce i rozmawiali ze sobą cicho, a jasny dźwięk dzwonu rozbrzmiewał nad ciemną polaną.

Bob poklepał chłopca po dłoni.

– Chcesz jeszcze raz zobaczyć tatę?

Max wstał i spojrzał na otwarte drzwi kościoła.

– Nie – odparł. – Jego już nie ma, Bob. Jest gdzie indziej.

Ogr skinął głową i przestąpił z nogi na nogę. Dla rozgrzewki zaczął prostować i zginać palce rąk.

– Bob o wszystko zadba – rzekł. – A ty idź, rób to, co musisz. Bob prosi cię tylko o jedno, maleńki.

– O co?

– Odwiedź Boba, zanim wyjedziesz – mruknął. – Bob tęskni za swoją małą Mamuską. I będzie tęsknił za swym dzielnym Maksem.

– Kto powiedział, że się gdzieś wybieram? –

zaprotestował Max.

Ogr uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową.

– Zanim Bob został kucharzem, Bob był ogrem. Nie tak trudno mu rozszyfrować ludzkie zamiary...

Zgarbiony ogr narzucił kurtkę na ramiona i wycofał

się z powrotem w kierunku kaplicy, ostrożnie omijając łąty zlodowaciałego śniegu. Przechodząc, zrobił

powitalny gest w kierunku Julie, która w pewnej odległości od swojej rodziny stała na ścieżce. Max skinął

uprzejmie głową do jej rodziców, podszedł i wziął ją za rękę.

– Max, tak mi przykro – szepnęła, bliska łez. – Tyle razy cię szukałam przez te ostatnie dni...

– Wiem – odparł Max. – I dziękuję. Ale musiałem być sam.

– Rodzice mi powiedzieli, że napisali do ciebie list –

szepnęła, pochylając się w jego stronę. – Zapomnij o tym, ja nie zważam na to, co napisali. Chcę być z tobą.

Max zamknął oczy i poczuł, jak napełniają się łzami.

– Julie! – zawołał pan Teller z niepokojem w głosie. –

Idziemy! Bill zaraz zmarznie!

– Sekundę! – poprosiła, po czym zniżonym głosem powiedziała: – Będziemy razem niezależnie od tego, co na ten temat sądzą moi rodzice.

– Julie! – rzekł Max. – Twoi rodzice mają rację.

Bycie ze mną to nie najlepszy pomysł. Moim bliskim, jak widać, przytrafiają się złe rzeczy.

– Nonsens! – syknęła, ignorując kolejne ponaglenia ojca. Otworzyła usta, by się odezwać, kiedy jej ramienia dotknęła dłoń w rękawiczce. Julie odwróciła się, a Max zobaczył kobietę w czerni, z twarzą zasłoniętą woalką spływającą z róna kapelusza.

– Chciałam tylko złożyć wyrazy współczucia –

powiedziała głosem miękkim jak dym.

Kobieta przeszła obok Julie, objęła Maksa i przytuliła go do siebie. Poczuł na policzku dotyk wzorzystej koronki, kiedy szepnęła mu zza woalki:

– Pamiętaj, że jesteś królewskim synem.

Rozluźniła uścisk i odeszła, zwinnie przeciskając się pośród tłumu, aż Max i Julie stracili ją z oczu.

– Kto to był? – zapytała Julie.

– N-nie wiem – wymamrotał Max.

Ojciec Julie stracił cierpliwość i ruszył po córkę.

Padło kilka słów współczucia, następnie przeprosin, i protestująca Julie została odprowadzona na bok.

Tak jest lepiej, myślał Max. Nie dość, że długie pożegnanie byłoby bolesne, to jeszcze aby złożyć mu kondolencje, czekały Sara, Cynthia, rodzice kolegów i koleżanek oraz nauczyciele, którzy zapewniali go, że w tych okolicznościach w ogóle nie musi przejmować się pracami domowymi. Była i panna Boon – sama, ponieważ Cooper wyjechał z jakąś misją. Mocno uściskała Maksa, tak samo zresztą jak panna Awolowo, a nawet stara, zrzędliva panna Kraken, która wydawała się nie żywić do niego urazy po niedawnych zajściach. Podszedł utykający Ronin, uścisnął rękę Maksa i złożył wyrazy współczucia.

To samo zrobili Nolan, monsieur Renard oraz wielu innych, którzy jak rodzina wpisali się w życie Maksa w Rowan.

Te gesty sympatii i szczerze przejawianej dobrej woli były naprawdę poruszające. Mimo to Max nadal czuł się sam jak palec. I w dodatku nigdzie nie było widać Davida.

Żałobnicy rozeszli się – pozostała tylko jedna osoba, która cierpliwie czekała przy drzwiach kaplicy do chwili, kiedy zamilkł dzwon.

Pani Richter.

Na polanie przed kaplicą było już ciemno. Śnieg padał jednostajnie. Dyrektorka podeszła do Maksa, miękko stąpając po kocich łbach ścieżki.

– Max, tak ogromnie mi przykro – rzekła i zatrzymała się. – Żałuję, że nie mogę nic więcej dodać. Twój tata był

bardzo dobrym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie, co to znaczy go stracić.

– Skończyła pani dochodzenie? – zapytał

zdecydowanym tonem Max.

– Oboje wiemy, że żadnego dochodzenia nie było i nie będzie – odparła po prostu. – Wierzę w każde twoje słowo.

Max nie wiedział, co o tym sądzić. Z jednej strony czuł ogromną ulgę, że pani Richter mu wierzy i że jego oskarżenia oraz bolesne zeznania nie trafiły w próżnię. Z

drugiej – odczuwał potworną frustrację.

– Jeśli pani mi wierzy, to dlaczego nic pani nie zrobi?

– spytał.

Pani Richter wzięła go pod rękę i razem ruszyli pustą już dróżką przez przyprószony śniegiem las.

Noc była bezksiężycowa. Z dala od świateł kampusu panowały nieprzeniknione ciemności. Dyrektorka wyczarowała dwie świecące kule, które zawisły tuż przed nimi i oświetlały drogę. Zanim odpowiedziała na pytanie Maksa, minęła pełna minuta.

– Chciałabym udzielić ci odpowiedzi, która cię zadowoli – rzekła cicho. – Moglibyśmy domagać się sprawiedliwości i nalegać, by lord Vyndra wrócił i stanął

przed sądem. On oczywiście odmówiłby, a nie wyobrażam sobie, by ambasador zechciał nas w tej sprawie wesprzeć. Demony nie działają w naszym, ziemskim czasie, Max. Nawet jeśli zdecydowałyby się spełnić nasze żądanie i wziąć udział w procesie, to mógłby na przykład nie pojawić się tu przez wieki, a do tego czasu ja, Nigel czy nawet ty dawno pomrzemy.

– Nie zależy mi na procesie sądowym – wyznał cicho Max. – Chcę zemsty. Chcę znaleźć Vyndrę.

– Wiem, że tego chcesz – odpowiedziała cicho. – To najnaturalniejsza reakcja w świecie. Muszę cię jednak poprosić, Max, żebyś powstrzymał w sobie to pragnienie.

Bardzo możliwe, że lord Vyndra nie marzy o niczym innym, jak o tym, żebyś go odnalazł. Nie pozwoli łatwo się na sobie zemścić. W przeciwnym razie dlaczego obrałby taką oczywistą taktykę ataku? Chciał cię sprowokować.

– Więc to zrobił. I będzie tego bardzo żałował.

– Max, lord Vyndra to potwór. Nie pozwól, by zmienił w potwora i ciebie.

Max zatrzymał się nagle i zdezorientowany spojrzał

na dyrektorkę.

– Czyż nie jesteśmy wszyscy potworami? – zapytał

retorycznie. – Co się dzieje z resztą ludzkości, kiedy my kryjemy się tu za murami, bramami, osłaniamy się umowami i traktatami? Czy nie istniejemy po to, by stawać w obronie tych, którzy sami obronić się nie mogą?

Czy polowanie na potwory takie jak Vyndra nie jest naszym obowiązkiem? Czy nie po to właśnie uczymy się mistyki, technik walki i tak dalej?

Pani Richter westchnęła.

– Max, i tu doszedłeś do dylematu, przed którym stają wszyscy

przywódcy.

Czy

przywódcę



powinny

interesować potrzeby teraźniejszości, czy bardziej powinien troszczyć się o przyszłość? Czy powinnam ulec twojej złości, zaspokoić twoje pragnienie sprawiedliwości i wypowiedzieć Wyndrze lub Prusiasowi wojnę, a może powinnam wypowiedzieć wojnę całemu rodowi demonów na Ziemi? Byłoby to odpowiedzią na nasze pragnienia, ale straszną cenę zapłaciłoby za to wielu ludzi. Pamiętasz Winstona Churchilla i drugą wojnę światową?

Max skinął głową.

– Cóż – opowiadała dalej – na samym początku wojny Brytyjczycy złamali nazistowski tajny szyfr.

Wiadomo więc było dokładnie, kiedy i w którym miejscu uderzą niemieckie samoloty. Mimo tej wiedzy Churchill musiał pozwolić na bombardowanie niektórych celów.

Rozumiesz, dlaczego to było konieczne?

– Oczywiście – odparł Max. – Jeśli zawsze byliby przygotowani na atak, hitlerowcy mogliby zacząć podejrzewać, że ktoś złamał ich szyfr.

– Właśnie – potwierdziła pani Richter. – Churchill musiał więc dokonać krytycznego wyboru. Czy powinien działać tak, jak mu podpowiadał naturalny, człowieczy impuls i oszczędzić wszystko, co się da, czy w imię wyższego celu sprzeciwić się instynktowi? Wybrał

oczywiście to drugie. Wyobraź sobie złość, wściekłość, jaką ludzie w stosunku do niego musieli żywić! Czy byli usprawiedliwieni? Oczywiście, że tak. Ale to nie znaczy, że Churchill nie postąpił słusznie...

– Ma pani rację – przyznał Max. – Przywódcy rzeczywiście stają przed trudnymi wyborami. Ale ja nie jestem przywódcą, pani Richter. Nie muszę specjalnie zważać na decyzje ani toczyć z nikim potajemnych wojen.

Mogę decydować sam za siebie i robić to, co uważam za stosowne. Czyli to, co muszę.

– Nie, jeśli tu mieszkasz, Max – powiedziała pani Richter ze smutkiem. – Jeśli mieszkasz w Rowan, musisz podporządkować się tutejszym zasadom. Nie mogę pozwolić, byś dał upust swojej złości, narażając przy tym na niebezpieczeństwo resztę mieszkańców naszego królestwa. Jeśli zamierzasz zrobić to, o czym mówiłeś, musisz zrobić to gdzie indziej.

– Rozumiem – rzekł Max.

– Ale chciałabym cię poprosić, abysz zaczekał –

dodała dyrektorka. – Takiej decyzji nie powinno się podejmować ani w pośpiechu, ani w gniewie. I pamiętaj –

mimo że należysz do Starej Magii, wciąż jesteś bardzo młody. Możemy cię jeszcze wiele nauczyć.

Jest tyle rzeczy, których ty sam możesz się nauczyć.

– W świecie idealnym na pewno bym został –

odpowiedział cichym głosem Max. – Ale to nie jest idealny świat. Pani urodziła się po to, by kierować tym miejscem i tymi ludźmi. Ja urodziłem się po co innego.

Zapadła między nimi długa cisza, przerywana tylko groźnym wyciem wiatru pochylającego korony drzew.

Kiedy stało się jasne, że Max powiedział już wszystko, co miał zamiar powiedzieć, dyrektorka uśmiechnęła się do niego smutno.

– Dokąd pójdziesz? – spytała.

– Nie wiem.

– Cóż – westchnęła – dokądkolwiek byś poszedł, życzę ci jak najlepiej. I pamiętaj zawsze, że tu, w Rowan, jest twój dom, Max. Masz dom i ludzi, którzy cię kochają...

\* \* \*

Bracia Aurvangr i Girmarr, jak zresztą większość z ich rodu, woleli mieszkać pod ziemią, więc Max wiedział, że musi być cierpliwy. Dvergary mieszkaly pod swoją kuźnią i zapewne smacznie spały, kiedy Max w środku nocy zadzwonił do ich drzwi. Stał przed kuźnią, rozglądał

się po miasteczku i przyciskał do piersi swój tobołek.

Ulice były puste, a okna ciemne.

Zrezygowany Max ostatni raz mocno pociągnął za sznur od dzwonka. W środku w ciemności pojawiło się światelko – drżący płomień świecy. Zasłony odsłonięto i za szybą ukazała się ciekawa twarz. Max odsunął się, kiedy Aurvangr otwierał liczne zamki i robił szparkę w drzwiach.

– Przepraszam, że was niepokoję – szepnął Max. –

Ale mam pilną sprawę. Mogę wejść i porozmawiać?

– Masz tam złoto? – zapytał dvergar, z przekrzywioną głową wpatrując się w zawiniątko Maksa.

– Tak.

Aurvangr otworzył drzwi szerzej i odsunął się, by przepuścić chłopca. Ten, schylając się pod łukiem wejścia, ujrzał wygasłe palenisko i olbrzymie kowadło, na którym bracia wykuwali produkty swego rzemieślniczego kunsztu. Budynek był niski. Dach wspierał się na ciężkich belach bogato rzeźbionych pradawnymi runami i wizerunkami ziemi, morza i nieba. Max przykucnął pod wieszakiem ze szczypcami i obcęgi, natomiast Aurvangr zadrżał i naciągnął szlafmycę na uszy.

Chrząknął donośnie, zatrzasnął ramieniem drzwi i odwrócił się do Maksa, by zlustrować go zaciekawionym wzrokiem.

– Stukanie pośrodku nocy to znak, że gdzieś czai się wróg – westchnął. – Po co przychodzisz?

– Po waszą łódź – odpowiedział po prostu Max. –

Widziałem ciebie i twojego brata, jak żeglowaliście po zatoce. Widziałem, jak wasza łódź płynie sama.

Potrzebuję czegoś takiego.

– Ormenheid nie jest na sprzedaż. – Dvergar wzruszył

ramionami.

Z klatki schodowej na zapleczu dobiegło szuranie nogami po stopniach. Z podziemia rozległ się też głos:

– Kto to, Aurvangrze?

– To ten chłopak – odpowiedział dvergar bratu. –

Chce mieć Ormenheid.

– Chce. Teraz? – spytał Ginnarr z nieskrywaną ciekawością. – Ale gdzie twoje maniery, bracie?

Sprowadź go na dół i posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia.

Aurvangr niechętnie zmarszczył brew. Mamrocząc coś pod nosem, gestem pokazał Maksowi, że ma iść za nim.

Podążając w ślad za słabym światłem latarni, Max zszedł po schodach do pomieszczenia, gdzie przez zdobiony kamienny sufit przebijały się korzenie drzew.

Potem zeszli niżej, mijając parę spiżarni i pomieszczeń do przechowywania rozmaitych rzeczy, a także komórkę na węgiel. Dopiero wtedy schody kończyły się w przytulnej jamie. Musiała się mieścić jakieś dziesięć-dwanaście metrów pod powierzchnią ziemi.

Była bardzo niska – nie miała więcej niż półtora metra wysokości, więc Max zmuszony był sięgać na podłogę. Zresztą krzesła i tak były dla niego za małe. W

słabym świetle latarni zauważył, że pomieszczenie ma kształt ośmiokąta, a każdy z kątów wsparty jest potężną belką. Belki te były rzeźbione z wielką pieczołowitością i wydawało się, że stanowią swoistą opowieść, niczym gobelin pełen runów i hieroglifów wyryty w twardych pniach. W ścianach wyłobione były trzy głębokie wnęki, niczym trzy alkowy. W jednej stała wanna na wygiętych nóżkach i dwa wiadra na wodę. W pozostałych dwóch znajdowały się drewniane łóżka z siennikami,

podobne do nakrytych kocami gniazd. Ginnarr dał szybkiego nura do łóżka, które stało bliżej żeliwnego piecyka. Jego długa zapleciona broda wystawała znad czerwonego wełnianego koca jak śliniak. Przytulne miejsce, pomyślał Max, choć w powietrzu panowała wilgoć, a zapach zdradzał

zamiłowanie braci do dojrzałych serów pleśniowych.

– Aurvangr wspomniał, że masz dla nas jakąś propozycję – zagaił Ginnarr.

– Hm, tak – odparł Max. – Jestem zainteresowany kupnem waszej łodzi, Ormenheid.

– I to właśnie wymagało odwiedzin w środku nocy? –

zapytał Aurvangr.

– Tak – przytaknął Max. – Chcę odejść. Odejść z Rowan. Chcę to zrobić tej nocy, by uniknąć pytań i pożegnań.

– To już twoja sprawa – rzekł Ginnarr. – Twoja i niczyja inna. Nie możesz wykupić sobie miejsca na okręcie demonów? Po co ci akurat Ormenheid?

– Nie wsiądę na statek demonów – odrzekł Max. –

Jeśli nie zechcecie sprzedać mi swej łodzi, będę musiał

zbudować własną lub poszukać innej. Ale mam nadzieję, że zastanowicie się nad moją propozycją.

Max sięgnął do zawiniątka i wyciągnął szkatułkę klejnotów, na które od pewnego czasu wymieniał złoto.

Stanowiły znaczne bogactwo, lecz na dvergarach nie zrobiły najmniejszego wrażenia.

– Chłopcze, za tyle nie mógłbyś nawet wypożyczyć Ormenheid, a co dopiero kupić. Czy w ogóle wiesz, co ty chcesz kupić?

– Łódź, która sama pływa.

Bracia popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się.

– Nie, Psie. Chcesz kupić wytwór pracy naszego ludu, pozostałość po jego największych osiągnięciach.

Słyszałeś o Skidbladnir?

– Nie – odparł Max. – Przykro mi, ale nie słyszałem.

– Dawno temu – zaczął Ginnarr – kłamca Loki rozzłościł bogów swoimi oszustwami. Zjednął więc sobie nasz lud, synów Ivaldiego, i zamówił u nich podarki, które udobruchałyby bogów i

wynagrodziły jego złe czyny.

Wykuto trzy podarki – złote włosy dla bogini Sif, włócznię Gungnir dla Odina i okręt Skidbladnir dla Freya z Vanir. Okręt potrafił spokojnie płynąć i przewozić na swym pokładzie wszystkich bogów, pokonując zarówno fale, jak i wiatr, ponieważ jego domem były wszystkie żywioły. A kiedy Skidbladnir nie był w użyciu, potrafił

skurczyć się do takiego rozmiaru, by zmieścić się do kieszeni dziecka. Niewiarygodne, prawda?

– Tak – odparł Max, usiłując ukryć zniecierpliwienie.

– Ale ja przecież nie chcę kupić Skidbladnir. Chcę Ormenheid.

– Ach – rzekł Aurvangr, upijając łyk herbaty. – Ale Ormenheid przy budowie Skidbladnir służył jako model.

To największy skarb, jaki mamy. Nawet jeśli zaproponowałbyś nam dziesięć razy tyle, ile masz w szkatułce, nie moglibyśmy go sprzedać.

Max zamarł. Zaczął intensywnie myśleć, co jeszcze mógłby zaproponować dvergarom. Pogrzebał w plecaku, przeglądając jego skromną zawartość.

– Co to takiego? – spytał nagle Ginnarr, pochylając się do przodu.

Max wyciągnął z plecaka i rozłożył swoją nanokolczugę – elastyczną zbroję, prezent od zmarłego Antonia de Lorki, rzecz prawie nie do zdobycia.

– Możemy zobaczyć? – zapytał Aurvangr, wpatrując się w nią zachłannie.

Max podał braciom koszulkę. Obaj jednocześnie chwycili ją w ręce i wodzili po jej gładkim splocie sękatymi palcami.

– Piękna rzecz – rzekł Ginnarr.

– Są na niej znaki runiczne – zauważył Aurvangr, przyglądając się tkaninie przez jubilerskie szkło powiększające.

Jak na komendę odwrócili się do Maksa, jakby zawarli między sobą bezgłośnie porozumienie.

– Może dobijemy targu, co? – zaproponował

Aurvangr. – Za diamenty i tę kolczugę wypożyczymy ci Ormenheid na trzy lata i nauczymy cię słów, którymi będziesz nią kierować. Po trzech latach oddasz łódź.

– Nie wiem... – Max miał wątpliwości. – Ta kolczuga to wielki skarb Czerwonego Bractwa i może mi się przydać tam, dokąd się wybieram. Poza tym cena wydaje się ogromna za wypożyczenie małego stateczku.

– W takim razie idź negocjować z demonami –

wzruszył ramionami Aurvangr.

– Nie – Max podjął decyzję – z nimi nie będę negocjował. Zgoda!

Podczas gdy Aurvangr przygotowywał umowę, Ginnarr począłapał do regału na książki pełnego starych papierów i maleńkich portretów ich przodków. Z małego szklanego pudełka wyjął coś, co wydawało się modelem łodzi wikingów ze smokiem na dziobie, z miniwiosłami i pasiastym żaglem. Wszystko wykonane było z ogromną dbałością o każdy szczegół.

Dvergar czule pogłaskał model i umieścił go na dłoni Maksa.

– Oto nasz mały Ormenheid, czyli Świecący Wąż –

obwieścił.

Max słuchał uważnie, podczas gdy Ginnarr po kolei objaśniał mu słowa rządzące łodzią. Ostatnie z nich, ostrzegł dvergar, można wymówić dopiero, gdy statek znajdzie się na otwartym morzu, bowiem za jego sprawą zabawka przekształci się w pełnowymiarową łódź o dwudziestometrowym pokładzie. Ginnarr nabazgrał to słowo – a właściwie jego wymowę – na kawałku pergaminu, by Max nie miał problemu z prawidłowym odczytaniem języka staroskandynawskiego.

Kiedy umowę sporządzono w trzech egzemplarzach i widać było, że dvergary coraz chętniej spoglądają na łóżka, Max zdecydował się wypowiedzieć jeszcze jedną prośbę.

– Wiem, że jest późno – zaczął i wyciągnął z plecaka zawiniątko – ale chciałbym was poprosić, abyście na to spojrzeli i stwierdzili, czy dalibyście radę coś z tym zrobić.

Położył zawiniątko na stole i powoli odwinął je, odsłaniając setki ostrych jak brzytwy odłamków czarnego metalu i szarawej kości. Laikowi odłamki te wydawać się mogły nic niewartymi resztkami. Ale były to pozostałości włóczni Cuchulaina – straszliwej Gae Bolga. Rany nią zadane zawsze były śmiertelne. Max roztrzaskał ją w Sidh, lecz uratował każdy odłamek, każdą drzazgę mitycznego reliktu.

Bracia kowale popadli w ponure milczenie.

Wydawało się, że senność nagle ich opuściła. Pochylili się nisko nad stołem i wnikliwie przyglądali się szczątkom broni, lecz byli na tyle ostrożni, by jej nie dotykać.

Ginnarr przemówił mrukliwie, przywołując historię metalu.

– To ostrze Morrigan – wychrypiał i spojrzał na brata, po czym obaj wykonali jakiś zamaszysty gest i odstąpili od stołu. – Nic z nim nie zrobimy. Nie, nawet nasi proajcowie nie śmieliby zadawać się z czymś takim.

– Jak to Morrigan? – zapytał Max. – Przecież to należało do Cuchulaina.

– Mogło należeć do Cuchulaina – szepnął Ginnarr –

ale jest to broń bogini Morrigan, która pod postacią wilka i kruka chodzi pomiędzy zmarłymi i umierającymi. To zwiastunka śmierci, a te drzazgi są jej głodne. Przeklęty ten, kto wrzuci je do ognia i nada im nowy kształt.

Rozrzucić to na cztery wiatry lub zakop głęboko pod ziemią. My tego nie tkniemy.

Max chciał wiedzieć więcej, lecz bracia stanowczo odmówili odpowiedzi. Widać było, że dalsze nalegania rozżłoszczą ich lub przestraszą. Max podziękował im za Ormenheid, zawinął szczątki włóczni i zapakował je uważnie do swego skórzanego plecaka.

Kiedy wyszedł z warsztatu dvergarow, był środek nocy. Musiał się spieszyć, jeśli chciał zniknąć niepostrzeżenie. Miasteczko Rowan spało spokojnie, gdy po cichu przemykał brukowanymi uliczkami, a potem szedł w głąb Sanktuarium w poszukiwaniu Nicka. Biegał

po leśnych ścieżkach i wspinał się na wzgórza prawie godzinę, wołając lymrilla po imieniu.

O piątej nad ranem, zrozpaczony, zrezygnował z pożegnania z podopiecznym i pospieszył z powrotem do Domostwa. Wszedł do swego pokoju. Ucieszyła go nieobecność Davida. Było już późno i miał czas tylko na jedno jedyne pożegnanie. Świadom zakazów Astarotha nie wziął ze sobą żadnych książek. Sięgnął tylko po jedną niewinną karteczkę – prywatną notatkę, którą wepchnął za pazuchę. Miał na sobie ciepły płaszcz, spięty teraz perłową broszką z Sidh. Rzucił ostatnie spojrzenie na mrugający gwiazdozbiorem nieboskłon, po czym podniósł ciężki plecak, umocował sobie na plecach ostry gladius i chwycił długą laskę wędrowca, z którą, miał

nadzieję, przemierzy dalekie góry świata.

Kiedy zapukał do drzwi Boba, ogr jeszcze nie spał.

Mieszkał w pomieszczeniu przerobionym ze spiżarni, o wysokim suficie i oknach w dachu. Bob przycisnął do swej potężnej piersi książkę i skłonił głowę w stronę Maksa.

– Cieszę się, że jesteś – wychrypiał. – Mam coś dla ciebie.

Na małej ławeczce stał przygotowany przez ogra duży kosz wypełniony przetworami, wędzonym mięsem i sucharami.

– Co zamierzasz w sprawie wody? – spytał.

– Będę jej szukał, kiedy się da – odparł Max. – A kiedy się nie da, użyję magii. O wodę najmniej się martwię.

Ogr skinął głową i przyjął pakiecik listów oraz kilka woreczków z monetami, które Max przygotował do rozdania. Kiedy się ich pozbywał, poczuł się dziwnie wyzwolony. Teraz wszystko, co posiadał – i na posiadaniu czego mu zależało – nosił na własnym grzbiecie. Bob jednak nalegał, by szybko przejrzeć bagaż chłopca.

Zatwierdził go dopiero, gdy znalazł spory zapas wełnianej bielizny oraz harpun, który można przymocować do laski wędrowca.

– Proszę, wytłumacz za mnie wszystko – rzekł Max, rozglądając się jeszcze raz po pokoju Boba, jakby chciał

zapamiętać każdy szczegół. – Będę za tobą tęsknił, Bob.

Byłeś dla mnie zawsze dobrym przyjacielem.

– A ty dla mnie – odparł Bob i schylił się, by zająrzeć chłopcu w oczy. – Żegnaj, maleńki.

Parę minut później Max zamknął za sobą drzwi Domostwa. Omijając główne ścieżki, okrężną drogą szedł

w stronę portu. Nadłożył drogi, by pogłodzić ręką mury Starego Toma.

Ostatnim budynkiem, który mijał, był Gravenmuir.

Jak zwykle przed bramą stali zamaskowani strażnicy –

wysocy i wstrętnei. Bardziej przedsiębiorczy kupcy zaczęli już rozkładać stragany. Mimo że noc była bezksiężycowa, Max trzymał się cienia żywopłotów, dopóki nie dotarł do kamiennych stopni prowadzących w dół do portu Rowan.

Każdy krok wydawał mu się znaczący. Każdy oddalał

go od schronienia, jedzenia, ciepła i cywilizacji. Za portem roztaczał się inny świat i nie było gwarancji, że przyniesie on odpowiedzi na pytania, realizację planu i zemstę, której chłopak tak szczerze pragnął. Musiał

jednak spróbować. Ta właśnie myśl prowadziła go, gdy szedł kamienistą plażą, by oddalić się od doków przeładunkowych i prywatnych pomostów, skąd mogłyby go wytropić czyjeś ciekawskie oczy.

Przełaząc między kamieniami, brodząc w lodowatej wodzie, Max przebył dobre czterysta metrów, zanim uznał, że wodowanie Ormenheid będzie bezpieczne.

Szcękając zębami, sięgnął za pazuchę i postawił maleńki stateczek na czarnej fali.

Pochylił się nisko nad nimi i wyszeptał:

– *Skina, Ormenheid, skina.*

Odstąpił krok do tyłu i czekał, co się zdarzy.

Spodziewał się nagłego wybuchu światła, fontanny iskier czy czegoś równie oszałamiającego. Przez kilkanaście sekund miał okropne podejrzenie, że padł ofiarą potwornego żartu, płacąc wysoką cenę



za zwykłą zabawkę, podczas gdy prawdziwy Ormenheid cumował

gdzie indziej.

Nie oszukano go jednak. Ormenheid załśnił i zaczął

falistym ruchem rozciągać się na wodzie do chwili, gdy osiągnął długość mniej więcej dwudziestu metrów. Zaczął

również rosnać wszcz – ze sztywniejącej stępki wyłoniło się powoli ozebrowanie, tworząc kadłub, który pokrył się zachodzącymi jedna na drugą deskami. Nie minęła minuta, a przybrał charakterystyczny kształt łodzi wikingów. Na samym końcu urósł maszt, rozpostarł się na nim żagiel, a potężny dziób wydłużył się, formując głowę smoka.

Max wsparł dłoń na nadburciu. Nie mógł się nadziwić budzącej zaufanie solidności łodzi, która jeszcze przed chwilą mieściła się w jego kieszeni. Wrzucił na pokład laskę i plecak, po czym podciągnął się na rękach, wydobywając resztę ciała z lodowatej wody, i rozejrzał

się dokoła. Zaczynało świtać.

Szybko przebrał się w suche ubranie i umościł sobie posłanie bliżej rufy, tam gdzie pokład się zwężał. Kiedy wydobył ostatni koc, zauważył, że jakieś dwadzieścia metrów od niego na plaży stoi samotna postać.

Był to David Menlo.

Wciąż ubrany w garnitur, w którym był na pogrzebie pana McDanielsa, i wciąż z tą przeraźliwą bladością na twarzy, smagany przez gęstą śnieżną zawieruchę, patrzył

po prostu na Maksa z tą samą niepokojącą dojrzałością, jaką wykazywał, odkąd się znali.

– Przyszedłem się pożegnać – odezwał się, a jego głos, niesiony wiatrem i falą, wydawał się dziwnie obcy.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zapytał Max.

David wzruszył tylko ramionami.

– Wiesz, dokąd płyniesz? – zapytał.

– Mówią, że Wielki Bóg powrócił – odparł Max z ponurym uśmiechem.

– To prawda, tak mówią.

– No więc wyruszam, by go odnaleźć.

David uśmiechnął się znacząco i pomachał Maksowi na pożegnanie. Max odpowiedział tym samym i

dopiero wtedy skierował łódź na kurs.

– *Leita Blys* – rozkazał czystym głosem.

Długie wiosła jak na komendę przecięły falę i ustawiły łódź. Żagiel wypełnił się wiatrem. Stateczek pożeglował ku otwartemu morzu.

Odpywając, Max wydobył z plecaka małą lunetę i rzucił ostatnie spojrzenie na budzące się do życia Rowan.

Zobaczył idącego powoli szarą plażą Davida, który zbliżał

się już do jasnych ognisk wartowniczych na wygiętym w łuk falochronie. Max podniósł lunetę i zerknął na widoczny nad klifem pomnik Brama – małą, białą figurkę na tle wielkiej czarnej bryły Gravenmuira.



# NA MORZACH

Max był już wcześniej na morzu, ale nigdy sam. Z

biegiem godzin, kiedy widok lądu ustąpił miejsca wszechobecnej,

szarej,

nieprzebranej

mgle,

do

świadomości chłopca dotarła w całej pełni groza i ogrom oceanu. Wiał zimny, jednostajny wiatr, a upiornie białe niebo nie było w stanie odciągnąć uwagi od szarej, nieskończonej przestrzeni oceanu.

Max rozmyślał o ojcu, a zwłaszcza o straszliwej ostateczności jego śmierci w lodowatym strumieniu.

W tym przenikliwie zimnym krajobrazie trudno było o tym nie myśleć. Powinien być szczęśliwy, że nie ma sztormu i że zwałów czarnych chmur nie gna dziki, północno-wschodni wicher, jak to często bywa w opowieściach rybaków i w bajkach. Tu nie było nawet słycać wołania mew, a fala była tak gładka, że ostry dziób Ormenheid przecinał wodę jak świeżą gęstą śmietaną.

W upiornej ciszy myśli Maksa wróciły do Davida Menlo.

David zawsze był dziwny, ale ostatnio dziwactwo to przerodziło się w pogodną ekscentryczność, właściwą, jak się zdaje, roztargnionym geniuszom. A całkiem niedawno dołączyło do niej coś bardziej mrocznego. Max zastanowił

się nad obsesyjną tajemniczością Davida, jego atakami na statki Wroga i niebezpiecznymi eksperymentami. Jeśliby rozpatrywać każdą z tych rzeczy oddzielnie, byłyby powodem do niepokoju, ale wzięte wszystkie razem, sugerowały coś naprawdę groźnego.

Max zmarszczył czoło.

Historia obfitowała w opowieści o wybitnych ludziach, którzy zbyt głęboko weszli w ciemne sprawy i za swe zuchwałstwo zostali ukarani szaleństwem.

Śmiertelnikom nie jest przeznaczone stawiać czoła Olimpowi czy zagłębiać za głęboko w przepaść...

Kiedy zapadała noc, Max próbował wyprzeć te myśli z głowy. W ciepłym gniazdku z koców było mu dość przyjemnie, ale przeszkadzała mu całkowita cisza na morzu. Wiedział, że łączenie tej nienormalnej ciszy z ponurymi rozmyślaniami nie przyniesie wiele dobrego.

Gdzieś daleko na horyzoncie, dziesiątki mil od siebie, dostrzegł mikroskopijne światełko, bledo mrugające w ciemnościach. Bez wątplenia była to latarnia dziobowa jakiegoś żaglowca lub łodzi

wyjątkowo ambitnego rybaka. Max poczuł się dziwnie podniesiony na duchu, że w tej czarnej niezmierzonej przestrzeni nie jest sam.

Nie zaryzykował jednak zapalenia latami. Długie godziny leżał, zanim nerwy pozwoliły mu zapaść w sen na otwartym gołym pokładzie Ormenheid.

Dni mijały i Max wyrobił sobie swego rodzaju rutynę. O wschodzie słońca mył twarz w zimnej wodzie, po czym w niewielkim zagłębieniu służącym jako miniaturowa ładownia rozniecał mały ogień. Tam oprawiał i przyrządzał złowionego dorsza. Było ich w tych wodach pod dostatkiem.

Jedzenia było dość, jedyny problem stanowił lód.

Kiedy spadała temperatura, na burtach Ormenheid oraz na takielunku tworzyła się lodowa skorupa, w związku z czym łódź znacznie zwalniała. Wiele popołudni upłynęło Maksowi na cierpliwym skuwaniem lodu. Oddech zamarzał w powietrzu, ale wiosła i żagiel nie przestawały posuwać łodzi w stronę Blys.

Na początku Max przyjął, że kieruje się w prostej linii do królestwa Prusiasa, ale im dłużej trwała podróż, tym większych nabierał wątpliwości. W wodach, przez które płynął, działały silne prądy morskie, które spychały Ormenheid coraz bardziej na południe. Za każdym razem jednak, kiedy Max próbował zmienić kurs, wiosła opadały. To samo działo się z żaglem. Po dwóch próbach chłopak uznał, że łódź wie, dokąd płynie, znacznie lepiej niż on, i przestał w to ingerować.

Pozostawiwszy żeglowanie i nawigację Ormenheid, Max, owinięty w koce, wbijał wzrok w horyzont, wypatrując gór lodowych lub innych statków. W nocy wyglądało to podobnie, choć bywały noce, kiedy niebo było tak czyste, a gwiazdy tak niemożliwie bliskie i wyraźne, że całymi godzinami patrzył w nie, słuchając pieśni wielorybów w głębinach.

Po tygodniu zaczęła się zmieniać pogoda. Zamiast gładkich, niewielkich fal, jakie dotychczas otaczały łódź, o burty roztrzaskiwały się teraz potężne bałwany, wysyłając w górę pióropusze piany, która moczyła ubrania wywieszzone przez chłopca do wyschnięcia. Po godzinie zniechęcony Max przestał marzyć o wysuszeniu garderoby, a skoncentrował wysiłki na zdjęciu jej z olinowania, by nagły poryw wiatru nie zabrał do morza bielizny lub skarpetek.

Kiedy upychał do plecaka mokre, zimne zawiniątka, zauważył, że na górnej krawędzi burty coś się porusza.

Był to tłusty, krzepki ptak morski, który odwracał się do Maksa raz jednym, raz drugim profilem, jakby nie mogąc się zdecydować, którym ze swych zimnych, okrągłych oczu mu się przyjrzeć.

Obok niego wylądował drugi ptak, niegrzecznie krzycząc na sąsiada.

Za chwilę trzeci.

Max spojrział w górę, na żagiel, i zobaczył, że lądują na nim dziesiątki ptaków, a inne spadają i parami lub trójkami siadają na pokładzie. Wkrótce cała łódź pokryta była przycupniętymi ptakami. Na początku scena wydawała się Maksowi komiczna, lecz za chwilę stwierdził, że ptaki, które

wyglądały na zmęczone, robią mu na pokładzie niesamowity bałagan – zanieczyszczają pokład odchodami, podjadają mu ryby i kotłują się na pokładzie. Max chwycił laskę i próbował je odgonić, ale tylko były skrzydłami powietrze, patrzyły na niego gniewnie i z powrotem sadowiły się na poprzednich miejscach.

Minęło dziesięć minut próżnego wysiłku i Max zebrał

siły na ostateczną próbę. Wymachując laską nad głową, podskakiwał, krzyczał i błagał. Ku jego radości ptaki tym razem zerwały się i odfrunęły w zgodnej kraczącej chmurze. Usatysfakcjonowany Max napawał się zwycięstwem, a jednocześnie zastanawiał, jaką metodą najlepiej będzie wyszorować magiczny statek, na którym zalegały teraz ptasie odchody.

Nie trwało to jednak długo.

Nagle zawył wiatr, a Max poczuł spadek ciśnienia powietrza. Niebo zaroilo się od ptaków – rybitw i mew, wydrzyków i kormoranów, rozpędzonych na tle bladoszarego nieba. Spojrzał w ślad za nimi. To, co zobaczył, sprawiło, że zapomniał i o czyszczeniu pokładu, i o rysowaniu, i o sprawdzaniu zapasów.

Skupił się tylko na tym, jak przetrwać.

Na horyzoncie przed nim rozciągała się bezbrzeżna, nierównomierna, wielka czerń. Na ocean położył się cień, jakby niebiosa zarwały się pod straszliwym ciężarem nadciągającej burzy.

Nigdy jeszcze Max nie czuł się tak mały i tak bezradny. Nie było czasu przyglądać się żywiołowi. Max zaczął miotać się po pokładzie i zabezpieczać bagaże.

Zrzucił żagiel, by nie szargały nim zachłanne wichry grożące zerwaniem go z masztu. Wciągnął wiosła za burtę, drżąc z pośpiechu powiązał je w długie pakunki i przymocował do żelaznych pierścieni na potężnych dębowych belkach burty.

Pozostało mu do zrobienia jeszcze tylko jedno –

zadbanie o własne bezpieczeństwo.

Wydechając

obłoczki

zamarzającego

szybko

powietrza, zawiązał sobie linę wokół nadgarstka i za pomocą węzła trolli przywiązał się do żelaznego kółka przy burcie. Kuląc się pod marnym schronieniem burty, uspokoił oddech i czekał.

Dziób Ormenheid uniósł się powoli, kiedy łódź

wspinała się na pierwszą olbrzymią falę. Działo się to jednostajnie i stopniowo, lecz jednocześnie przerażająco, ponieważ sznur zaciskał się wokół nadgarstka Maksa, a on sam najpierw widział własne buty, potem koło sterowe, a w końcu stalowoszare niebo. Drewno trzeszczało, a łódź

wspinała się coraz wyżej. Kiedy wreszcie znalazła się na szczycie fali, wśród strumieni lodowatej wody runęła w dół.

Ormenheid, niczym bąk zabawka, kręcił się, miotany porywistą wichurą w strumieniach deszczu ze śniegiem.

Bombardowała go fala za falą, atakując ciosami o potwornej sile. Nie wiadomo, czy to za sprawą czystego szczęścia, czy magicznej siły użytej przy jej budowie, łódź unikała głównych uderzeń sztormu. Przemykała się między falami, szybko się prostowała i ustawiała zawsze dziobem do fal, które nie potrafiły zadać jej ostatecznego ciosu.

Max nigdy nie czuł się równie bliski śmierci. Z

trudem oddychał, bo kiedy otwierał usta, by zaczerpnąć powietrza, zalewał je zamarzający deszcz i potoki spienionej słonej wody. Jego ciało co chwila odrywało się od pokładu. Wprawdzie lina chroniła go od wypadnięcia do morza, ale chłopak uderzał z impetem o pokład albo o żelazne kółka na burtach.

Hałas był ogłuszający – wycie wiatru i łomot fal, nagle przzerwany pojedynczym trzaskiem jak wystrzał ze strzelby. Max odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, że jedno z wiosel wysunęło się z uwięzi i roztrzaskało na wiele kawałków najeżonych drzazgami. Kilka z nich wypadło za burtę, lecz jeden mknął wprost na Maksa –

sunął po pokładzie, po czym uderzył w chłopaka niczym rozpędzony pociąg towarowy. Max zobaczył oślepiający błysk, w uszach usłyszał głuche dzwonienie, a potem wszystko spowiła ciepła mgła.

Mewy.

Przeklinał

ich

przenikliwie

krzyki,

jednocześnie mając niejasną świadomość ich cieni przesuwających się za zamkniętymi powiekami. Czuł się tak, jakby ktoś ścisnął mu czaszkę imadłem. Tępy ból atakował z furją, kiedy choćby o milimetr poruszył głowę.

Słońce boleśnie paliło mu twarz – słońce znacznie bardziej gorące niż to, które świeciło nad północnym Atlantykiem. Max z jękiem uchylił powiekę i czekał, aż oko odzyska ostrość widzenia.

Leżał na pokładzie Ormenheid, wciąż uwiązany do burty za nadgarstek. Krew zlepiła mu włosy i wylała się pod policzek, przyklejając go niemal do ciepłych desek pokładu.

Max zacisnął zęby, podparł się i powoli podniósł na nogi. Zanim, dysząc, zdołał wyprostować się przy burcie, był już zlany potem. Mimo że morze było spokojne, przez kilka minut wymiotował za burte, kurczowo trzymając się relingu i usiłując przypomnieć sobie, co zaszło.

Kulejąc, ruszył na obchód łodzi, by sprawdzić straty.

Był zdumiony, że Ormenheid ucierpiała tak niewiele. Jego bagaże były wciąż przywiązane, pozostała większość wiosła, a żagiel wyglądał na nietknięty. Po trochu, z wysiłkiem, zaczął wsuwać wiosła z powrotem na miejsca i wciągać żagiel na solidny maszt, pomrukując:

– *Leita Blys, Ormenheid.*

Po czym osunął się na kolana, by poszukać wody.

W bukłakach nie zostało jej wiele. Trawiła go gorączka, od której ciało dosłownie płonęło, więc wypił

wszystko, co mu pozostało. Zaparł się o maszt i znowu wstał, by zorientować się w położeniu.

Z pozycji słońca wywnioskował, że jest wczesne popołudnie. Z ciepła wiatru – że prądy morskie musiały go znieść na południe, w cieplejsze szerokości geograficzne. Na horyzoncie nie było lądu. Wszędzie naokoło, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się fale, które wyglądały jak wydmy. Tylko srebrzyste migotanie wody w upalnym słońcu zdradzało, że to nie piasek.

Dla zabicia czasu Max zaczął zapisywać w notesie codzienne obserwacje. Choć w czasie sztormu notes został

zalany i kartki pomarszczyły się, a poprzednie rysunki Maksa rozmazały, chłopak wysuszył go na słońcu i wyprostował kartki, by móc robić notatki o pogodzie, kursie łodzi i spotykanych zwierzętach.

A te występowały w ogromnej obfitości – morświny, wieloryby, setki różnych gatunków ptaków morskich, ryby wszelkich rozmiarów, kształtów i kolorów.

Przeplływał nad ogromnymi łanami dużych brązowych wodorostów

i

oszałamiającymi

skupiskami

fosforyzującego planktonu. Padały deszcze, zdarzały się nawet czarne szkwały, lecz absolutnie nic nie przypominało horroru północno-wschodniego sztormu.



Zrobiło się na tyle ciepło, że Max mógł zrezygnować z ciężkich futer i koców, a wieczory spędzać na rozmyślaniach

przy

małym

ogieńku,

który

wyczarowywał sobie do gotowania, ale przede wszystkim ku pokrzepieniu serca.

Nie licząc sztormu, Max był zdziwiony, że i morze, i niebo – czyli świat poza Rowan – wyglądają normalnie.

Dotąd wydawało mu się zawsze, że będąc w posiadaniu Księgi Thotha, Astaroth fundamentalnie zmieni świat.

Wyobrażał sobie najgorsze – wieczną noc, ogień piekielny, piekło na ziemi... w każdym razie na pewno nie spokojne morze i niebo usiane barankami.

Wpływ

Astarotha

mógłby

pozostawać

niedostrzegalny, gdyby nie pewne zdarzenie. Było późne popołudnie, szybko zapadał zmrok. Za prawą burtą Max usłyszał nagły plusk. Odszedł więc od ognia, wyjrzał za burtę i zobaczył fokę wyskakującą z wody.

Widział już w czasie podróży niejedną fokę, lecz osobnik tego gatunku był wyjątkowo tłusty i miał czerwoną jak pomidor, gładką i lśniącą skórę. Max wychylił się za burtę, by lepiej widzieć, i stwierdził, że wzdłuż całej długości łodzi ciągnie się purpurowa smuga.

Kształt uniósł się i ponownie wyjrzał na powierzchnię.

Chłopak przyjrzał mu się dokładniej.

To nie była foka.

Stworzenie miało gruby, walcowaty foczy tułów i takie same płetwy, lecz głowę ropuchy z dużymi, żółtymi oczami i cienką, obwisłą paszczą. Kiedy dało z powrotem nura w głąbiny, okazało się, że

wije się ruchem podobnym do ruchu kijanki. Max patrzył za nim i nasłuchiwał

dziwnego odgłosu, podobnego do chichotu głupka, który z siebie wydawało.

Jakieś pół kilometra dalej zauważył grupę czarnych skał wystających z oceanu. Przyglądając im się przez lunetę, stwierdził, że zalegają je setki, a może nawet tysiące owych czerwonych stworzeń wydających dziwny chichot lub zsuwających się do spienionego morza. A kiedy przyjrzał im się dokładniej, okazało się, że osobnik towarzyszący Ormenheid nie był bynajmniej typowy dla swego gatunku. W rzeczywistości wśród tych stworzeń nie było dwóch identycznych. Podobieństwo ograniczało się do kształtu ciała i jaskrawej czerwieni skóry oraz oczywiście do wydobywającego się z ich gardel hieniego chichotu. Głowy natomiast były różnorakie – ropusze, ptasie, krowie, a niektóre łądząco przypominały ludzką fizjonomię, co wywołało na plecach Maksa dreszcz. Szczególne cechy nie ograniczały się jednak tylko do ich głów. Stworzenia różniły się też pod względem liczby płetw – jedne miały ich dwie, inne cztery, a jeszcze inne posiadały tylko kończyny szczątkowe, które ledwo wystawały z tułowi. Max w życiu nie widział brzydszych i bardziej niekształtnych form życia.

Ormenheid płynęła dalej, a on obserwował dziwne czerwone stworzenie płynące za nią. Mimo groteskowego wyglądu ruchy zwierzęcia pełne były gibkiej elegancji, natomiast potężne płetwy, skazujące zwierzę na kompletną

niezdarność

na

ładzie,

w

wodzie

funkcjonowały idealnie. Max z uśmiechem przyglądał się, jak czerwona torpeda co chwila daje nura w głębiny, niemal znika, po czym pojawia się znowu, rośnie w oczach, by w końcu wystawić łeb na powierzchnię.

Za którymś razem na powierzchnię wypłynęło z nią coś jeszcze. Jakiś ciemny kształt – tak duży, że czerwone zwierzę wydawało się w jego coraz większym cieniu niewielką plamą.

Max odskoczył od burty w momencie, gdy czerwona istota ścigana przez rekina wielkości przynajmniej takiej jak pół Ormenheid, wytrysnęła z wody. Posypał się grad drzazg – to rekin, gruchocząc kilka wiosel, wyskoczył z głębiny. Max miał okazję ujrzeć go w pełnej krasie, jak również spojrzeć prosto w płaskie czarne oko. Przemknęło mu przez myśl, że siłą rozpędu rekin wpadnie na pokład, lecz na szczęście stwór chlupnął z powrotem do wody, trzymając w zaciśniętych szczękach ofiarę. Kadłub Ormenheid zatrzęsł się straszliwie, kiedy rekin uderzył

weń ogonem. Woda wokół łodzi pokryła się czerwoną pianą.

Max podniósł się na nogi, złapał harpun i pobiegł na rufę, na wypadek gdyby drapieżcy przyszło do głowy zaatakować łódź. Rekin pływał jednak w tym samym miejscu, w którym nastąpił atak. Jego olbrzymia płetwa zataczała powolne kręgi wśród wrzeszczącej chmary czyhających na kąski ptaków.

Z każdym dniem Max czuł, że wiatr staje się dziwnie ciepły jak na tę porę roku. Żeglował dopiero trzy tygodnie, a wydawało mu się, że minęły wieki. Zaniechał

wszelkich prób ustalenia położenia Ormenheid na morzu.

Ufał magii łodzi, ufał niewidzialnym siłom, które poruszały wiosłami, skracały liny i ustawiały ster, kierując łódź w stronę Blys. Podobne do fok stworzenia sprawiły, że zaczął wnikliwie przyglądać się wszystkiemu, co złowił, lecz jedzenia nie brakowało. Odkrył, że proste zaczarowanie haczyka, by świecił, wystarczało, aby w nocy ryby widziały w nim przynętę, której nie mogły się oprzeć.

Wreszcie zobaczył ląd. Pojawił się pewnego popołudnia – czarny skrawek łamiący monotonię szarego horyzontu. Zauważywszy go, Max podskoczył i wychylił

się przez dziób w obawie, że to tylko złudzenie, a może żart umysłu.

Okazało się jednak, że nie. Po kilku godzinach żeglugi Ormenheid przepływała przez mroczną cieśninę między dwoma ciemnymi skałami. Max patrzył w górę w nadziei, że zobaczy oznaki życia, lecz nie zobaczył nic poza skałą i gęstwiną krzewów, które przywierały do niej korzeniami.

Zanim łódź dobiła do niewielkiej plaży, na tyle wolnej od ostrych skał i gwałtownych fal, by umożliwić bezpieczne lądowanie, minęły jeszcze całe dni. Łódź pod kątem ciężła fale, wznosiła się i gwałtownie opadała, aż w końcu wpłynęła na płyciznę, gdzie kadłub wrył się w ciemny piasek i zatrzymał.

Przez jakiś czas Max nie ruszał się z miejsca. Siedział

w łodzi i obserwował, jak na ciemnoniebieskim niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy. Wieczór był chłodny.

Fale melodyjnie rozbijały się o plażę i rozlewały po piasku. Max wpatrywał się w krajobraz. Na niewysokim brzegu stały grupy ciemnych drzew, lecz nie było widać śladów niczyjej bytności. Przybył do Blys i zastał ją cichą i spokojną.

Po miesiącach na morzu dziwnie, a zarazem przyjemnie było poczuć stały ląd pod stopami. Maksowi nie wydawało się, że ziemia się kołysze, nie odczuwał też potrzeby, by wciąż łapać równowagę. Wziął plecak, zrobił

w pamięci spis wszystkich rzeczy, które miał w posiadaniu, i przytroczył na plecach gladius. Rzucił pokiereszowanej Ormenheid przeprasające spojrzenie i wymówił zaklęcie, które zmniejszyło łódź do rozmiarów pudełka zapalek, po czym podniósł ją z piasku i ukrył w bezpiecznym zacisku kieszeni. Ponurym uśmiechem skwitował swój wygląd obszarpanego brudas, chwycił

laskę wędrowca i rozpoczął powolny, mozolny marsz przez okalające wybrzeże skały. Noc sprzyjała wędrowce i z chłopca szybko opadło zmęczenie. Czuł się równie dziwnie i dziko jak wszystko, co mógł napotkać na swej drodze.

Wędrował całymi dniami, lecz nie zobaczył żywej duszy. Kraina, którą przemierzał, otrząsnęła się niedawno z zimy – spod śniegu wylaniały się nagie drzewa i błotniste wzgórza. Paleta barw nie ograniczała się jednak do szarości i ochry – od czasu do czasu Max przekraczał

rozległe dywany sięgających mu do kolan niebieskich kwiatków, przywodzących na myśl obrazy van Gogha. Po zapadnięciu zmroku często słyszał głębokie, niskie głosy zwierząt i pamiętając o radzie Boba, wynajdywał na nocleg ciasne, bezpieczne zakątki.

Dopiero po tygodniu napotkał wiedźmę.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to ptak, lecz kształt stawał się coraz większy i Max dostrzegł powiewające strzępy szaty, a potem zgarbioną na poskręcany cisowym drzewcu kobiecą postać. Wiedział, że próba ukrycia się spełźnie na niczym – wędrował

właśnie wzdłuż grzbietu wzgórza, oświetlony porannym słońcem i naokoło nie było żadnego miejsca, w którym mógłby się schować. Prócz tego miał nieodpartą chęć porozmawiania z kimkolwiek.

Wiedźma najwyraźniej go zauważyła, bo zmieniła kurs i zaczęła, krążąc, zniżać się nad ziemię, aż wreszcie wylądowała parę metrów od Maksa. Zaśmiała się piskliwym głosem, pogroziła mu chudym palcem i odezwała się po włosku:

– Kogóż my tu mamy? Jakiegoś zbiega?

– Nie jestem zbiegiem – odparł chłodno Max.

Wiedźma zsiadła z kija i przyglądała mu się podejrzliwie.

– Kim więc jesteś? – wychrypiła. – Nie mówisz jak tubylec.

– Jestem wędrowcem.

Zaśmiała się i splunęła na ziemię.

– Wędrowcy tu nie zagląдают – odparła. – Jesteś w Blys. Myślałam, że jesteś jednym z niewolników w tej przeklętej krainie, lecz ty... jesteś kimś innym, jak sądzę.

Pokaż no swój znak – rozkazała ponuro, gestem wskazując jego rękę.

Zdziwiony, że wiedźma wie o znaku, Max odsłonił

nadgarstek, a na nim tatuaż Czerwonego Bractwa.

Wiedźma wpatrywała się weń bez słowa przez pełnych dziesięć sekund.

– Na wszystkich bogów – szepnęła, cofając się o krok. – Naprawdę nim jesteś?

Max zmarszczył brew i opuścił rękaw.

– Co spodziewałaś się zobaczyć, wiedźmo? – spytał, ignorując jej pytanie.

– Znaki Prusiasa lub tutejszego braymy – wyjaśniła. –

Znajdujesz się na terytorium demonów i wszyscy ludzie są tu oznakowani. Przebacz mi, błogosławione dziecko, że to mówię, ale każdy cię rozpozna po tym znaku.

– Kto to jest brayma? – zapytał Max.

– Lokalny władca – odparła, rozglądając się po wzgórzach, jakby oczekiwała przybycia osoby, o której mówi. – Och, młody Psie, nie możesz tak otwarcie wędrować bez pozwolenia! Pojmają cię!

– Pokaż mi swój znak – rzekł Max, spoglądając na ciemne ręce wiedźmy usiane maleńkimi tatuażami hieroglifów i mistycznych znaków.

– My, wiedźmy, nie musimy ich nosić – odparła, lecz odsłoniła ręce aż po łokcie. – Nasz dom to królestwo Aamona, a on nas nie znakuje.

– Macie szczęście – odpowiedział Max. – Jeśli mieszkasz w królestwie Aamona, co w takim razie robisz tutaj?

– Pracuję przy zaklinaniu pogody – odpowiedziała. –

Jestem zakontraktowana na statku Blys, który właśnie podnosi kotwicę i udaje się do Zenuvii. Czeka ją tam na mnie.

– Poczekaj, nie tak prędko. – Max złapał jej kij, widząc, że już na niego wsiada. Skrzywiła się i odsłoniła małe, spiczaste zęby. – Gdzie leżą ziemie lorda Vyndry?

– Nie wiem – pisnęła, ciągnąc słabo za kij. – Wydaje mi się, że na dalekiej północy, ale nie gwarantuję. Proszę, puść mnie, bo zobaczą nas z góry!

– Mówiłaś, że w okolicy są ludzie – powiedział Max, nie puszczając miotły. – Myślałaś, że ja też jestem niewolnikiem. Więc gdzie oni są? I kto ich trzyma?

– Lepiej tam nie iść – ostrzegła. – Lepiej iść gdziekolwiek, ale nie tam.

– Dlaczego? – spytał Max. – Co się tam dzieje?

– Nie mogę ci powiedzieć – syknęła i zaczęła szcząkać zębami ze strachu, który najwyraźniej nagle ją obleciał. – Aaron upieklby mnie żywcem! On zawsze wie, kiedy się z kimś rozmawia. Opowieści...

opowieści!

– Będziemy musieli się dogadać – rzekł spokojnie Max. – Puszczę cię i sprawię, że wiatry będą przychylnie okrętom demonów. W zmian ty opowiesz mi o miejscu, gdzie mieszkają ludzie, a potem zapomnisz, że w ogóle mnie spotkałaś.

– Nie mogę! – wydyszała. – I to dla twojego dobra!

Odejdź, odejdź, daleko od tego miejsca!

Maksowi to jednak nie wystarczyło i w końcu wiedźma poradziła mu iść dalej na północny wschód, aż dojdzie do szczytkowej drogi – starej rzymskiej drogi, która przetrwała. Wiedźma twierdziła, że niedaleko stamtąd żyją ludzie, więc Max odnajdzie ich pod warunkiem, że się będzie trzymał traktu i unikał band goblinów zamieszkujących te okolice. Na pytanie, czy to właśnie gobliny zagrażają ludziom, wiedźma pokręciła tylko głową i upierając się, że wywiązała się ze swojej części umowy, jak wicher odleciała na zachód.

Max skrócił szelki plecaka i zbiegł trochę w dół

zbocza. Przed nim rozciągał się gęsty, brzozowy las, więc postanowił, że skryje się w nim podczas dalszej wędrówki w poszukiwaniu rzymskiej drogi.

Znalazł ją po paru godzinach – choć mocno zarośnięta chwastami, niezaprzeczalnie była gościńcem z zakurzonego kamienia wijącym się wśród wzgórz. Dalej Max szedł już po zniszczonym bruku, od czasu do czasu zatrzymując się, by zerknąć na rozsypujące się kamienie milowe postawione za czasów cesarów.

Nie tylko droga przetrwała wojny. Od czasu do czasu Max widział również domy – opuszczone kamienne konstrukcje, których dachy dawno się zawaliły. W jednym z nich Max odkrył pozostałości obozu goblinów –

rozzrzucone kości i ohydne graffiti na ścianie. Nie było jednak ani śladu ludzi.

Kiedy cienie zaczęły się wydłużać, a światło dzienne blednąć, Maksa ogarnęła rozpacz. Mimo ostrzeżeń wiedźmy był zdeterminowany, by jak najszybciej odnaleźć ludzi. Wizja ognia na kominku i rozmowy –

prawdziwej rozmowy – kusiła bardziej niż wszystkie skarby świata.

Księżyc w pierwszej kwadrze był już wysoko, kiedy Max usłyszał wreszcie znajomy odgłos. Nie dało się go pomylić z niczym – był to odgłos zamykania drzwi i dochodził zza niskiego pagórka jakieś piętnaście metrów od drogi. Max ruszył biegiem, wspinał się na wzgórze i całym sobą chłonał zapach dymu z opalanego drewnem pieca i aromat pieczonych warzyw. U podnóża pagórka stał rozległy wiejski dom. Księżyc jasno oświetlał jego kamienne ściany i spadzisty dach kryty strzechą.  
Z

komina uchodził biały dym, który wznosił się prostą smugą, dopóki wiatr go nie rozwiał, przynosząc

zapach do nozdrzy Maksa. Przez małe osłonięte okiennicami okienka błyskało złote światło. Na ten widok Max omal nie zbiegł radośnie z pagórka, spragniony ludzkiego towarzystwa.

Wiedźma jednak ostrzegła go, że z ludźmi jest coś nie w porządku, więc zatrzymał się, by dokładnie rozejrzeć się po najbliższej okolicy tej samotnej ludzkiej siedziby.

Na szerokiej polanie stała również zagroda dla zwierząt pełna owiec i kóz, widniała ciemniejsza plama – zapewne ogród warzywny – oraz parę komórek. Za ogródkiem warzywnym widać było starą studnię. W bladym księżycowym

blasku

wyraźnie

odznaczał

się

wyszczerbiony krąg jej cembrowiny. Przez podwórko przemykał się jakiś mały kształt. Szedł chwiejnie i powoli.

Max chwycił gladius w dłoń i z lisią zwinnością zszedł ze wzgórza. Szybko znalazł się za plecami postaci i skradał

się za nią.

Okazało się, że to mała dziewczynka.

Nie mogła mieć więcej niż sześć lat. Ubrana była w wełnianą kurtkę i o wiele za długą spódnicę. W rękach trzymała wiązkę chrustu, a jej oddech unosił się chmurką w chłodnym powietrzu. Kierowała się w stronę domu.

Max płynnym ruchem schował gladius do pochwy, ukląkł i łagodnie zawołał po włosku:

– Hej, tam.

Dziecko upuściło chrust i zamarło.

– Ćśśś – uspokoił je Max, podchodząc bliżej, by mogło go zobaczyć. – Wszystko w porządku, nic ci nie zrobię.

– Jesteś tym pot-potworem? – szepnęła mała.

– Nie. Nie jestem potworem. Jestem przyjacielem.

– Przyjacielem? – powtórzyła głosem pełnym niedowierzania.

Max skinął głową i podniósł z ziemi chrust.

– Mam na imię Max – powiedział łagodnie. – A ty?

– Mina – ledwo dosłyszalnym szeptem odpowiedziała dziewczynka.

– To twój dom, Mina? – zapytał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi domu otworzyły się i w ich świetle stanął potężny mężczyzna.

Mówił

szybko, głosem ostrym i pełnym wyrzutu.

– Mina, mówiłem ci, że masz się pospieszyć!

Max krzyknął z ciemności słowa przeprosin i wyjaśnił, że to jego wina. Na dźwięk jego głosu, mężczyzna wlepił wzrok w podwórze. Max wyczarował

krąg miękkiego, błękitnego światła, by oświetlić miejsce, gdzie stał wraz z Miną, teraz znieruchomiałą z przerażenia.

– Demon! – krzyknął mężczyzna, zatraskując drzwi i wywołując w środku wrzask wielu młodych głosów i histeryczne szczekanie psa.

Max wziął dziewczynkę za rękę i pospieszył w kierunku domu, w którym nagle pogasły wszystkie światła. Do drzwi ze zgrzytem dosunięto coś ciężkiego.

Ze środka dochodziły dramatyczne szepty i brzęk tłuczonego szkła. Spodiewając się, że odpowiedzią na pukanie w drzwi mogą być wymierzone w jego pierś widły, Max zastukał tylko raz, po czym odsunął się i odezwał spokojnym, łagodnym głosem:

– Przepraszam, nie chciałem was niepokoić.

Odpowiedzi nie było, lecz zza drzwi dochodził

wyraźnie ciężki oddech mężczyzny. Mina wciąż trzymała Maksa za rękę, ale życia w tym uścisku nie było. Ścisłała jego palce z jakąś rezygnacją, jakby już dawno poddała się okropnemu losowi.

– Rozumiem, że jest ciemno i że się boicie – krzyknął

Max przez drzwi. – Zostawiam tu Minę. Możemy porozmawiać rano.

Pogłaskał dziewczynkę po policzku, zostawił ją na progu razem z chrustem i poszedł do stogu siana stojącego jakieś piętnaście metrów dalej, przy zagrodzie dla zwierząt. Zza ogrodzenia łypnęła na niego jakaś senna koza, po czym z powrotem zapadła w sen. Max rozwinął

śpiwór na sianie. Cały czas nasłuchiwał, jak Mina błaga mężczyznę – prawdopodobnie swego ojca –



by wpuścił ją do środka.

Max wysilił słuch, by rozszyfrować pojedyncze słowa. „Nie, nic mi nie zrobił”. „Wciąż tu jest”. Coś o pójściu spać i coraz większej niecierpliwości Miny z powodu dokuczliwego zimna. Dopiero wtedy drzwi uchyliły się odrobinę. Max zobaczył wyciągnięte przez tę szparę ramię, które chwyciło małą za kołnierz i wciągnęło do środka. Następnie drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

Dom był ciemny. Jego mroczny kształt oświetlało księżycowe światło rzucające miękką poświatę na otaczające dom wzgórza i odległe góry. Mimo nieprzyjemnego powitania Max poczuł przypływ zachwyty. Tam, w środku, byli prawdziwi ludzie! Co prawda przerażeni, lecz w świetle dziennym ich obawy zbledną i powitanie może być cieplejsze. Chłopak zakopał

się głębiej w siano i ściółkę, wciągnął do płuc zimne, nocne powietrze i starał się zasnąć.

Świt obwieściło donośne pianie koguta. W pobliżu rozlegało się pełne zadowolenia gdakanie, przeciągłe beczenie owiec, a kiedy Max otworzył oczy, zobaczył

małego chłopca w piżamie, rzucającego ziarno stłoczonej wokół niego gromadce drobiu. Nieopodal dwie dziewczynki doiły kozę, która ze znudzonym wyrazem pyska spokojnie żuła gałąź. Max podparł się na łokciach i niemal nadział na długą włócznię, drżącą lekko i wycelowaną prosto w jego twarz.

– Kim jesteś? – zapytał opryskliwy głos. – I czego tu szukasz?

Max ominął wzrokiem włócznię, która była tak zardzewiała, że prędzej złamałaby się, niż spowodowała jakiegokolwiek poważne szkody. Trzymał ją mężczyzna potężnej budowy, na oko sześćdziesięcioletni. Brakowało mu paru zębów i patrzył przymrużonymi oczami, jakby wzrok mu szwankował.

Max podniósł ręce i powiedział powoli:

– Mam na imię Max i przychodzę w pokojowych zamiarach.

– Nie jesteś demonem? – spytał roztrzęsiony mężczyzna, a pot spływał mu po twarzy.

– Nie – potwierdził Max i ostrożnie podniósł się na nogi.

Podczas ich rozmowy kilkanaścioro spokojnych, poważnych dzieci krzątało się wokół porannych obowiązków, tylko od czasu do czasu rzucając ciekawe spojrzenia na dziwnego przybysza. Ponieważ Max nie mówił dobrze po włosku, konwersacja szła jak po grudzie, lecz mimo to udało się pewne rzeczy wyjaśnić. Po pierwsze to, że mężczyzna nie był ojcem dzieci, tylko ich opiekunem. Max zorientował się, że gospodarstwo musi służyć za przytułek lub jest siedzibą jakiejś wspólnoty.

Spytany o rodziców dzieci, mężczyzna skubał tylko siwe wąsy.

– Nie żyją – mruknął w końcu i wbił w Maksa spojrzenie swych małych, hardych oczu. Następnie podrapał się po siwiejącej czuprynie i bąknął, że Max nie jest tu mile widziany. I tak jest zbyt wiele gąb do wykarmienia. Mówiąc to, zaśmiał się ponuro i rozłożył

ręce, jakby chciał dodać: Obaj jesteście mężczyznami i dobrze wiemy, o co chodzi, nie?

Na prawej dłoni mężczyzny Max dostrzegł trzy znaki.

Największy, tuż pod palcami, był pieczęcią Astarotha. Za nim, bardziej na środku dłoni, widniał znak Prusiasa, zaś ostatnie było małe kółko, a w nim jakiś znaczek, lecz Max nie widział, co przedstawia. Chciał zapytać i wskazać

znaczek, lecz mężczyzna spojrzał na Maksa gniewnie i gwałtownie zamknął dłoń.

Aby zmienić temat, Max zapytał o jedzenie.

Mężczyzna zerknął na ukryty w pochwie gladius.

Podejrzliwe oczka zlustrowały następnie twarz Maksa.

Wydawało się, że rozważa różne warianty postępowania.

Wreszcie uśmiechnął się, a raczej przywołał na twarz nieszczerzy grymas nieznajdujący odbicia w oczach.

Odparł, że oczywiście, w domu mieli jedzenie. Z

przyjemnością poczęstują Maksa posiłkiem, lecz przed zapadnięciem nocy musi odejść. Czasy są ciężkie.

Ciężkie. Młody człowiek na pewno rozumie. Oczywiście, że tak.

Kiedy zbliżali się do domu, Max stwierdził, że dzieci w ogóle się nie odzywają. Były w różnym wieku – od małych pędraków po kilkunastoletnią młodzież.

Powiedział

nawet

„cześć”

do

mniej

więcej

dziewięcioletniej dziewczynki, ale ta tylko wydeła usta i kiwnęła głową. Opiekun przez cały czas nie spuszczał z niej srogiego spojrzenia. Coś tu było nie tak. Z coraz większą podejrzliwością Max patrzył na nieszczerze uśmiechniętego mężczyznę.

Pierwszym wrażeniem, jakie odniósł po wejściu do domu, była niewyobrażalna nędza. Mimo

wysokiego sufitu w ogromnym pokoju było ciemno, ponuro i strasznie. Ściany były okopcone i zatłuszczone od kominka, zapewne zatkanego. Roztaczał się duszący smród odchodów. Max zakrzuszył się i szybko rozejrzał, by sprawdzić, czy nikogo nie obraził, lecz mężczyzna cisnął tylko starą włócznię w kąt, gdzie łaciaty kundel obgryzał stary but, jeden z wielu walających się w pokoju.

– Poszedł sobie, Pietro? – rozległ się głos kobiety. –

Bo już wybraliśmy.

– Cicho bądź! – odburknął mężczyzna. – Mamy gościa honorowego.

Mówiąc to, zaśmiał się, klepnął Maksa w ramię i poprowadził go do miejsca, gdzie dwie kobiety siedziały przy dużym stole obok kamiennego paleniska. Pierwsza, w podobnym wieku co mężczyzna, była krzepka i miała hardą, ogorzałą twarz. Ze spokojem obrzuciła Maksa taksującym spojrzeniem. Nic nie powiedziała ani też nie uśmiechnęła się, ba, nawet nie skinęła głową. Ręce trzymała zaplecione na stole, obok kawałka różowego kwarcu połyskującego w wąskiej smudze światła, która padała z północnego okna.

– To wybrałyście? – zapytał ciężko Pietro.

Kobieta odwróciła się do swej młodszej towarzyszki, która skinęła tylko głową i powróciła do karmienia piersią noworodka. Zapadła pełna napięcia cisza. Pietro westchnął i poprowadził Maksa dalej. Minęli stół, na którym

stała

beczka

w

połowie

wypełniona

przezroczystym

alkoholem

wydzielającym

woń

fermentacji. Mężczyzna zanurzył w niej drewnianą czarzę, napełnił ją, po czym jednym haustem opróżnił.

Potem zaproponował to samo Maksowi, który odmówił i zwrócił się zamiast tego do młodszej kobiety.

– Jak ma na imię? – zapytał, uśmiechając się do dziecka. Spojrzały na niego ciężkie, niemrugające, niebieskie oczy. Matka na pewno nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Jej blada twarz nie zdradzała żadnych cieplejszych uczuć. Nic prócz pustki i wrogości.

– Bierz jedzenie i idź już – powiedziała.

– Pietro, księżyc... – syknęła starsza kobieta, spoglądając na mężczyznę, który stał z tyłu i cały czas pił.

– Myślisz, że nie wiem? – warknął Pietro i ze złością wrzucił czarękę do beczki. Kobieta zeszywniała. Wino chlupnęło przez krawędź beczki na zarzuconą słomą podłogę. Pietro burknął coś pod nosem, rzucił starszej kobiecie szmatę i gestem nakazał jej sprzątać.

Natychmiast wstała i zrobiła to, lecz biła z niej taka sama obojętność i rezygnacja, z jaką Mina trzymała Maksa za rękę.

– Nie ma potrzeby tak się unosić – powiedział ostro Max.

Mężczyzna obrzucił go wściekłym spojrzeniem. Jego czerwona twarz wręcz trzęsła się z bezsilnego gniewu.

Pietro był szeroki w ramionach; kiedyś może był nawet mężczyzną walecznym, lecz dni te musiały dawno minąć.

W jego nabiegłych krwią oczach wyraźnie odbijały się wszystkie myśli, zupełnie jakby wyrażał je na głos: oto mam przed sobą wysokiego, dobrze uzbrojonego młodzieńca, którego należy pozbyć się pokojowo, nie walczyć z nim. Pietro przełknął więc wściekłość i pospieszył do spizami, zamienionej teraz na ohydny wędzarnię, bo w środku na hakach zwisały kawałki mięsa.

Chrząknął ze złością i cisnął w kierunku Maksa kawał suszonej jagnięciny.

– Później – Max przeszedł na angielski. – Najpierw chcę porozmawiać z dziećmi.

– Eee? – Mężczyzna udał, że nie rozumie.

Maksowi się znudziło. Wyprostował się obok Pietra tak, że znacznie nad nim górował, wycelował palec w miękki brzuch mężczyzny i powtórzył swoje żądanie. Ten zamknął oczy, drżąc w oczekiwaniu na cios, który jednak nie padł.

Spojrzał w zawziętą twarz Maksa i wykrzyknął, zionąc przy tym krótkim, urywanym, cuchnącym oddechem.

– To nie ja tu jestem potworem!

Czoło Pietra pokrywały kropelki potu, spływające mu do szybko mrugających oczu. Max jeszcze raz

spojrzał na wiszące mięso, zardzewiały topór rzeźnicki i lepka deskę do krojenia. Wzrokiem przypadkowo wyłowił kolejny mały bucik, leżący pod połamanym stołkiem. Wiele małych butów poniewierało się też przy drzwiach – o wiele za dużo jak na kilkanaścioro dzieci, które widział.

Max wpatrywał się w okrągły brzuch Pietra i jego szczęki nerwowo zagryzające splamione krwią wargi. Do głowy zaczęły napływać mu przerażające myśli.

– Co tu robisz, Pietro? – zapytał cicho.

Mężczyzna nie spuszczał z niego wyzywającego spojrzenia, po czym zaklął i splunął pod nogi chłopca.

Ten chwycił go za nadgarstek i ciągnąc przez cały dom obok zdumionych kobiet, wyprowadził na dwór przez drzwi wejściowe. Przeciąwszy podwórze, pchnął go na stos siana. Dzieci przerwały swe czynności i przyglądały się wszystkiemu jak zahipnotyzowane. Pietro leżał i dyszał w promieniach porannego słońca.

– Czy on was krzywdzi? – zapytał Max, wodząc oczami po wszystkich dzieciach.

Dzieci milczały. Ich uwagę przyciągnęły teraz obie kobiety, które stanęły w drzwiach. Młodsza trzymała dziecko i krzyczała do Maksa, by sobie poszedł i zostawił

ich w spokoju. Wrzeszczała, że powinien odejść, nie obchodzi ją, dokąd, ale musi odejść natychmiast – czy nie widzi, że krzywdzi biednego Pietra?

Wszystko to nie miało sensu, a przynajmniej Max go nie odnajdywał. Słyszał, że takie okropności działy się podczas wojen, ale sam nigdy czegoś podobnego nie widział.

Zauważył wśród dzieci Minę.

– Mina – zaczął łagodnie, a dokończył dopiero, gdy wzrok dziewczynki przeniósł się z Pietra na niego. – Czy ten człowiek krzywdzi ciebie lub inne dzieci? Mnie to możesz powiedzieć, Mina....

– Nie – szepnęła, i znów spojrzał na mężczyznę.

W tym momencie Pietro ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

– A więc, o co tu chodzi? – zapytał zdumiony Max. –

Ludzie, co jest z wami nie tak?

Zamiast odpowiedzi parę starszych dzieciaków pomogło Piętrowi podnieść się na nogi i wprowadziło łkającego opiekuna do domu. Reszta zaś wróciła do swych obowiązków, zostawiając Maksa z mętlikiem w głowie. Niezależnie do tego, co powiedziała Mina, coś było nie tak. Wiedźma bała się tego miejsca jak ognia, a upiorny spokój i milcząca rezygnacja dzieci świadczyły o jakiejś potwornej, paraliżującej tajemnicy.

Max wtargnął do domu, odepchnął psa i policzył buty na stosie w kącie. Było ich sześćdziesiąt siedem sztuk, a dzieci zaledwie czternaścioro. Pietro oklapł bezwładnie nad stołem, a starsza kobieta próbowała go pocieszyć.

Młodsza natomiast, tuląc do siebie dziecko jedną ręką, drugą wkładała do starego worka po mące chleb, suszone oliwki, kawał solonego mięsa. Następnie rzuciła worek Maksowi do stóp.

– Kim jesteś, aby nas osądzać? – zapytała, płacząc ze złości. – Jesteś żebrakiem, zwykłym obscurnym żebrakiem!

– Do kogo należą? – spytał cicho Max, pokazując na buty.

– Do innych dzieci – mruknęła, odwracając wzrok. –

Innych dzieci, które rozchorowały się i umarły.

– Gdzie ich groby? – Max i zrobił gest w stronę podwórza. – Chcę je zobaczyć.

– Kim jesteś, żeby zadawać się ze zmarłymi? –

syknęła. – Idź do diabła!

– Chyba już tam jestem – mruknął w odpowiedzi i przecisnął się obok niej, by zlustrować pozostałą część domu. Parter był obszerny – miał pewnie kilkanaście metrów długości i otwartą antresolę nad belkowanym stropem. Mimo potwornego brudu oblepiającego ściany widać było na nich jeszcze stare, wyblakłe freski. Kiedyś musiała to być siedziba zamożnej, wiejskiej rodziny, lecz czas i sposób użytkowania zmieniły ją w obraz nędzy i rozpacz. Wszędzie widać było sznurze nory, a kiedy Max zwiedzał niemiłosiernie cuchnące pokoje na górze, jedyną rzeczą, która świadczyła o tym, że mieszkają tu ludzie, a nie zwierzęta, była szmaciana lalka starannie oparta o poplamioną poduszkę.

W żadnym pokoju Max nie znalazł jednak kości lub innych śladów kanibalizmu. Spodziewał się, że gdzieś natknie się na nie, ale nie – były tylko połamane meble i rozgrzebana pościel. Inspekcja w spiżarkach i w ziemnej piwniczce też nie przyniosła żadnych odkryć.

Mimo to Max nie mógł otrząsnąć się z niepokoju. Te dzieci nie bez powodu były tak osowiałe i tak mechanicznie wypełniały swoje obowiązki. Troje dorosłych przyjęło śledztwo Maksa z posępną rezygnacją.

Siedzieli wszyscy przy stole i mruclili coś do siebie, młodsza kobieta uspokajała dziecko, a Pietro, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, postukiwał kawałkiem kwarcu w stół.

Dopiero w południe Max zakończył inspekcję.

Dokładnie przeszukał dom i jego otoczenie. Było chłodno, lecz on pocił się z wysiłku – ostukiwał ściany, wślizgiwał

się w ciasne zakamarki, przebijał się przez tony brudu i niejednokrotnie wymiotował gdzieś w kącie.

To miejsce było odrażające, ale na pewno nie było domem grozy.

Był potwornie brudny i musiał się wykąpać. Za ogródkiem warzywnym wypatrzył starą studnię. Ku swemu rozczarowaniu nie znalazł tam jednak ani wiadra, ani łańcucha. Czarną dziurę o średnicy nieco ponad metr otaczała rozsypująca się cembrowina ze sporych kamieni.

Powiał wiatr i z wnętrza studni doleciał wstrętny odór.

Max cofnął się. Odwrócił się i stwierdził, że stoi za nim Mina.

Z

tym

samym

pustym

wyrazem

twarzy

poinformowała go, że ta studnia wyschła, ale że inni poszli już po świeżą wodę dla niego. Wzięła go za rękę i poprowadziła z powrotem do domu. W progu z workiem jedzenia dla Maksa stał Pietro, który zakomunikował mu, iż może się wykąpać, wziąć jedzenie, a potem musi iść.

Pietro mówił bełkotliwie i stał na chwiejnych nogach, wsparty o futrynę. Był nieźle pijany. Jego oczy nabiegły krwią – od alkoholu i od płaczu. Słabym gestem przywołał Minę, przytrzymał ją przed sobą, a Maksowi powtórzył, że ma opuścić to miejsce przed zmrokiem.

Przy domu stało koryto wypełnione wodą przyniesioną przez dzieci z jeziora, którego tafla lśniła w przerwie między topolami wzdłuż starej drogi.

– Ignis – mruknął Max, rozstawiając palce, by podgrzać wodę w stojącym obok wiaderku. Zmieszał gorącą wodę z zimną i starał się zmyć z siebie jak najwięcej pyłu i brudu, którym oblepił się w trakcie makabrycznych poszukiwań. Podgrzał pozostałą wodę, naostrzył starą brzytwę ojca na pasku i ogolił się.

Efektowi daleko było do ideału, lecz Max poczuł się odświeżony i znacznie czystszy. Wystawił mokrą twarz na chłodny wiatr. Zwinął brudne ubranie w tobołek z myślą, że upierze je później, i przebrał się w czyste.

Czekała go wielokilometrowa wędrówka.

Słońce już zaszło, a księżyc właśnie zaczynał

wschodzić, kiedy kończył się pakować. Rodzina – lub to, co za nią uchodziło – zebrała się na ganku, kiedy się żegnał. Dzieci pustym wzrokiem wpatrywały się w dal, a Max przeproszał wszystkich za nieprzyjemności, na które ich naraził. Nie miał takiego zamiaru. Nie chciał nikogo krzywdzić. Wywołało to znaczące chrząknięcie ze strony Pietra, lecz nic więcej. Kobiety milczały, wpatrując się w Maksa

wzrokiem

pełnym

kipiącej,

z

trudem

powstrzymywanej złości. Było to niezwykle deprymujące.

Na pytanie, czy gdzieś niedaleko mieszkają ludzie, Pietro rozzłościł się i wskazał na ciemniejące niebo, na którym jaskrawo świecił otoczony burzowymi chmurami księżyc.

– Późno już, dzieci są głodne – rzekł dobitnie, wypluwając każde słowo z odrobiną śliny. – Idź sobie i zostaw nas, nic więcej dla ciebie nie mamy.

– Dziękuję za jedzenie – odparł Max z ukłonem.

Zarzucił plecak na plecy i wyruszył w drogę. Trzymał

się pobocza, jako że księżyc był już całkiem wysoko na niebie. Przez pewien czas noc była jak z bajki – chmury tworzyły niesamowite wzory, które miękko oświetlał

księżycowy blask.

Wzmagął się jednak wiatr – lodowata wichura przetaczała się przez falisty krajobraz i niosła z odległych gór zapach deszczu. Chmury zasłoniły na chwilę tarczę księżyca i wszystko pogrążyło się w ciemności. Max nie szedł dłużej niż dwadzieścia minut, kiedy zaczął padać deszcz.

Po chwili mżawka przeszła w prawdziwą ulewę. Max przyspieszył kroku. Skrzyżował ramiona na piersi i kuląc się pod drzewami, zastanawiał się, co robić dalej. Mógł

rozbić w tym miejscu obóz, to jasne, ale nie byłaby to przyjemna noc. W taką noc przydałoby się spore ognisko, ale ostrzeżony przez wiedźmę przed bandami goblinów, wołał nie przyciągać niczyjej uwagi. Spojrzał na drogę i rozważał, czy nie lepiej byłoby wrócić tam, skąd przyszedł. Nie zdążył przecież zajść daleko. Mógł wrócić i położyć się spać w jednej z nieużywanych komórek. Nie było tam wprawdzie luksusów, lecz miałyby dach nad głową, a w czasie ulewy to już coś. Co do Pietra i reszty, to nie będą nawet wiedzieli o jego obecności.



Pomknął z powrotem przez ulewę. Biegł pod gałęziami drzew – dawały przynajmniej częściową osłonę przed deszczem, który zmienił się w nawałnicę. Gdzieś w chmurach rozlegały się grzmoty, wył wicher, lecz drogi nie oświetliła ani jedna błyskawica. Wyczarował więc krąg bladoniebieskiego światła, które prowadziło go, kiedy skakał przez parowy, a potem na skróty biegł przez śliską łąkę i zmarzniętą, twardą ziemię. Gdy zza skłębionych chmur na chwilę wyjrzał księżyc, Max dostrzegł na wzgórzu sylwetkę domu.

Zgasił światło i pospieszył naprzód, uważając, by nie zbudzić nikogo z mieszkańców. Obszedł więc dom szerokim łukiem, skierował się ku najbliższej szopie i bezszelestnie wśliznął do środka. Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach – oto miał wokół siebie cztery solidne ściany, a nad głową dach chroniący przed żywiołem. Nie było to wielkie zwycięstwo, ale jednak zwycięstwo.

Zsunął plecak z ramion i przystąpił do rozniecania ognia, uważając, by dym wydostawał się przez okienko niewychodzące na podwórze.

Oparł się o ścianę i nasłuchiwał wycia wiatru oraz bębnienia deszczu w dach. Zamknął oczy. I wtedy usłyszał inne dźwięki. Przez hałas deszczu i wichury przebijało się przeraźliwe beczenie owiec i kóz w zagrodzie. Niechybnie coś spowodowało ich panikę. Max wystawił głowę na zewnątrz i stwierdził, że stadko jak oszalałe biega z jednego końca zagrody na drugi.

Rozejrzał się za ewentualnym napastnikiem – wilkiem czy szakalem, który mógłby wywołać podobną reakcję. Nic jednak nie zobaczył. Było ciemno, ponuro i trwała ulewa.

Po namyśle jeszcze raz wystawił głowę z komórki, by sprawdzić, czy Pietro bądź któreś ze starszych dzieci usłyszało zaniepokojoną trzodę i wyszło sprawdzić, co się dzieje. Ale zarówno drzwi, jak i wszystkie okna w domu zamknięto przed burzą, tak że na zewnątrz nie wydobywała się nawet najmniejsza smuga światła. Owce i kozy beczwały jeszcze głośniejsze – wydawały wysokie, dźwięki pełne przerażenia. Max wstał z kucek, by mieć lepszy widok na podwórze.

Wszystkie zwierzęta odbiegły w południowy koniec zagrody, zostawiając pośrodku tylko małe jagniątko.

Wciąż nie było ani śladu napastnika, lecz zwierzęta zachowywały się tak, jakby coś je śmiertelnie wystraszyło. Jak szalone próbowały wydostać się z zagrody. Max nałożył harpun na laskę wędrowca i wyszedł w deszcz.

Przeszedł przez podwórze i pobiegł truchtem ku zagrodzie. Cały czas wpatrywał się w ciemność, sądząc, że za chwilę natknie się na parę żółtych oczu drapieżnika.

Przesadził ogrodzenie i starał się uspokoić zwierzęta, które nie przestawały beczeć, jakby ktoś żywcem obdzierał je ze skóry. Zrozpaczony podszedł do jednej oddzielonej od reszty stada małej owieczki skulonej na zimnej, mokrej ziemi.

Kiedy był już blisko, dostrzegł kształt małej białej postaci. Oto leżało przed nim dziecko – dziewczynka skulona w pozycji embrionalnej. Max podbiegł do niej. To była Mina.

Z niewidzącym wzrokiem utkwionym w dal, ssąc palec, oddychała płytko i powoli. Jak to się stało, że leżała sama w zamarzającym błocie i dlaczego tam leżała – Max nie mógł zgadnąć. Wiedział jedno – jeżeli ją tam zostawi, dziecko umrze z zimna. Zerwał więc z siebie kurtkę, owinął małą i podniósł z ziemi. Kiedy to robił, nawet nie pisnęła. Nie powiedziała ani słowa protestu czy podziękowania. Przyłgnęła tylko do Maksa pełnym ufności, lodowato zimnym ciałkiem.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął Max do jej ucha, podczas gdy zwierzęta dalej biegały i beczwały w panice. –

Zabiorę cię zaraz gdzieś, gdzie jest ciepło...

Mina, trzęsąc się, ścisnęła go gwałtownie, jeszcze silniej. Tuląc ją do siebie, Max odwrócił się w kierunku, w którym patrzyła.

Trzydzieści metrów dalej znajdowała się stara studnia.

Coś z niej wypełzało.



# HORROR W STUDNI

Max patrzył, jak owo coś wypełza ze studni, a jego cielsko rozlewa się na mokrej ziemi. Był wdzięczny, że panują ciemności. Wydawało się, że niebo ożyło. Chmury kłębiły się i jak szalone mknęły po niebie, co chwila przysłaniając księżyc, którego światło oświetlało obrzydliwy kształt. Kształt ów zaczął powoli przesuwać się ku podwórzu.

Posuwał się w bardzo osobliwy sposób – tak odrażający, że Max stał jak wmurowany, nie odrywając wzroku od przednich kończyn stwora, które wczepiały się w ziemię i tym sposobem przesuwały go do przodu. Jeśli stworzenie w ogóle miało nogi, to ciągnęło je za sobą, jakby były bezwładne, pogruchothane w jakimś wypadku.

W zasadzie nie posuwało się szybciej niż raczkujące dziecko, lecz czasem udawało mu się wyrwać do przodu z większą siłą i gibko, niczym krokodyl, pokonać za jednym zamachem kilka metrów. Potwór miał, ogólnie rzecz biorąc, ludzkie kształty, lecz jego kończyny i stawy wyginały się w dziwnych kierunkach. Ślizgająca się po mokrej trawie w kierunku zagrody dla zwierząt postać była odrażająca.

Mina kompletnie zeszywniała i przylgnęła do Maksa resztką sił.

– Już nas tu nie ma – szepnął Max. – Nie patrz tam.

Zaczął się powoli wycofywać. Do ogrodzenia dotarł

w tej samej chwili, kiedy potwór dopełził do drugiego końca zagrody. Wgramolił się na nie i ciężko spadł na ziemię po drugiej stronie, lecz szybko poprawił pozycję i poruszając się wciąż z nieregularną prędkością, dotarł

dokładnie w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżała Mina.

– Bądź cicho – szepnął Max i przerzucił nogi przez ogrodzenie. – Ćśśś.

Kiedy tylko wy dostał się z zagrody, zaczął

wycofywać się powoli w kierunku domu, nie spuszczać oczu z potwora, który wnikliwie badał teren pośrodku zagrody.

Stwór

nie

wykazywał

nawet

cienia

zainteresowania zwierzętami, które rozpięzły się po najdalszych kątach i beczwały jak oszalałe. Skupił się wyłącznie na miejscu, w którym spodziewał się znaleźć człowieka.

I wtedy krzyknął.

Dźwięk, przypominający zdeformowany ludzki głos, był straszliwy. Był przy tym tak niespodziewany i drażniący, że Max, odruchowo podnosząc ręce do uszu, niemal wypuścił dziecko. Krzyk okazał się również nie do zniesienia dla biednej Miny. Nie wiadomo, czy zachęcona jakąś wewnętrzną pokusą w głosie potwora, czy po prostu z czystego strachu, Mina odpowiedziała podobnym wrzaskiem.

Wrzeszczała i wrzeszczała, a jej krzyk był tak paniczny, że zagłuszył nawet głos potwora.

Owce, które stały najbliżej, przemknęły obok nich, by w obłędzie rzucić się na przeciwległe ogrodzenie. Przez krótką chwilę w świetle księżyca błysnęło pojedyncze białe oko, patrzące wprost na Maksa z nieoczekiwaną inteligencją.

Max pognął do domu i załomotał pięścią w drzwi.

Nikt nie otwierał.

Może byli zbyt przerażeni, lecz Max podejrzewał, że chodziło tu o coś bardziej skomplikowanego. Domyślał

się, że Minę pozostawiono w zagrodzie w charakterze ofiary dla ciemnego kształtu, który teraz prześliznął się pod ogrodzeniem i pełził w stronę domu.

Oczywiście mogli uciekać. Potwór nie dorównałby Maksowi w biegu, więc chłopak bez trudu mógł uchronić małą przed niebezpieczeństwem. Ale zostawić ten dom pełen ludzi na pastwę potwora? Nie wiadomo, czy Pietro i kobiety zawarli z nim jakiś diabelski pakt, ale dzieci z całą pewnością były niewinne. Nie mógł zostawić nikogo

– nawet przestępcy – na łaskę tego stworzenia.

A ono właśnie się do nich zbliżało. Coraz mniejsza odległość dzieliła je od domu. Max zebrał się w sobie i wskoczył na niższą część zakończonych szczytami dachu, nie wypuszczając z objęć Miny. Dachówki były śliskie od deszczu i omal z nich nie zjechał, ale na szczęście w ostatniej chwili mocno zahaczył palcami o kalenicę dachu.

Z tego punktu obserwacyjnego widział potwora w całości.

Ku swemu przerażeniu i obrzydzeniu stwierdził, że stwór wcale nie ciągnie za sobą sparaliżowanych nóg.

On wcale nie miał nóg.

Zamiast nich z ludzkiego korpusu pokrytego długim, matowym włosiem, wystawał tuzin wijących się macek.

To właśnie dzięki nim monstrum posuwało się do przodu w nieregularnym tempie.

Macki te zaprowadziły je teraz na ganek, poza zasięg wzroku Makska. Chłopak ześliznął się do krawędzi dachu po drugiej stronie domu, tam, gdzie tuż pod okapem było zasłonięte okiennicą okno. Zaczął walić w okiennicę, a wtedy stworzenie krzyknęło znowu. Domownicy nie zamierzali otworzyć okna. Max posadził więc Minę na okapie dachu i z wściekłością kopnął w okno, roztrzaskując okiennicę w drzazgi. Ukazała się za nią ciemna przestrzeń.

Wsunął się do środka i wciągnął za sobą Minę.

Poczuł, że coś wbija mu się w nogę.

Macając na oślep, wyczuł czyjąś rękę – to był Pietro

– i chwycił ją tak mocno, że mężczyzna zatoczył się pod ścianę, jęknął i wywrócił się niezdarnie. Max pochylił się nad raną w swoim udzie. Była niewielka, powierzchowna, zadana prawdopodobnie nożem kuchennym i w tych okolicznościach nie miała żadnego znaczenia. Chłopak wyczarował krąg światła i zobaczył ich wszystkich –

Pietra, kobiety i pozostałe dzieci – stłoczonych w przerażoną grupkę pod przeciwległą ścianą. Wzdrygnęli się na widok światła, a pewnie i na widok Makska. Ich zdziwienie było jednak niczym w porównaniu ze skrajnym przerażeniem, kiedy zobaczyli Minę.

– Ohyda! – wrzasnęła stara kobieta. – To dziecko jest przeklęte. To ona przyprowadziła do nas tego diabła!

– Cicho! – nakazał Max, a z dołu dobiegły znowu odgłosy dobijania się do drzwi. – Pomóżcie mi lepiej –

dodał – bo próbuje się tu dostać.

Nikt się nie poruszył. Nie było jednak czasu na spory.

Niech zostaną tu, gdzie są, pomyślał, lecz on nie zostawi im Miny w obawie, by nie wyrządzili dziecku krzywdy, gdyby oszalali ze strachu za wszelką cenę chcieli obłaskawić potwora. Wziął ją więc znowu na ręce, przypadł do drzwi i zbiegł na dół.

W wielkim pokoju na parterze panowały ciemności i niezwykła cisza. Max wsadził Minę pod ciężki stół i kazał

jej być cicho, nie odzywać się niezależnie od tego, co się stanie, nawet jeśli potwór będzie ją wołał. Dziewczynka przezwyciężyła strach, posłusznie skinęła głową i zwinęła się w kulkę. Upewniwszy się, że siedzi tam bez ruchu, Max zakradł się na środek pokoju i nasłuchiwał.

Przez całą długą minutę nie słyszał nic prócz szumu spływającego rynnymi deszczu. Potem jednak dobiegł go stłumiony chichot – straszliwy dźwięk, jakby potwór nie mógł

powstrzymać

zachwytu

z

powodu

tej

nieoczekiwanej zabawy w chowanego. Spod wschodniej ściany doleciał szelest pełzania, a po nim walenie w okiennicę, która zasłaniała okno i tak zbyt małe, by potwór dał radę się przez nie przecisnąć. Kiedy oczy Maksa przyzwyczyły się do ciemności, ustawił się w centralnym punkcie pokoju i obracał się wokół własnej osi w kierunku, skąd dochodziły odgłosy krążącego wokół

domu stwora. Ten od czasu do czasu wydawał

przerazający krzyk, domagając się skulonej pod stołem dziewczynki.

– Ćśśś – uspokajał ją Max, przykładając palec do ust.

Mina kiwała głową, a na jej twarzy malowała się zacięta koncentracja za każdym razem, gdy krzyk przechodził w chichot. Rozległo się niemal wesołe stukanie w tylne okiennice. I wtedy – ku odrazie Maksa –

potwór zaczął mówić. Na początku jego mowa wydawała się niezrozumiała – zbitka poprzekręcanych dźwięków i połykanych sylab imitująca słowa. Dało się w nich jednak zauważyć zdecydowany rytm, rozróżnić sylaby i intonację, jakby potwór próbował naśladować ludzką mowę. Czy nie wymawiał przypadkiem imienia „Piętro”?

Walenie w drzwi powtórzyło się. Drzwi zostały co prawda prowizorycznie wzmocnione poprzybijanymi tu i tam deskami oraz ciężką belką służącą jako zaporę, ale zaczynały się poddawać. Dał się słyszeć trzask, a spod zawiasów, powoli wrywanych ze ściany, zaczął się sypać pył. Potwór nie przestawał śmiać się i krzyczeć, od czasu do czasu wydając z siebie przeraźliwy bulgot przypominający imię „Piętro”.

Max patrzył, jak drzwi drżą, i nogi pod nim również zadrżały. Zaczęła się w nim budzić przerażająca energia –

jakby zogniskowała się w nim siła szalejącej na dworze burzy.

Na drzwi spadło kilka wściekłych ciosów. Jęknęły i wygięły się do środka na tyle, że między nie a framugę zdołała wbić się jedna blada ręka. Ręka ta natychmiast zaczęła manipulować przy belce podpierającej.

Max rzucił się na drzwi, przygniół rękę do węgara i wykręcił ją gwałtownie. Rozległo się wycie i łomot –

stworzenie próbowało się wyrwać. Max oparł się o drzwi i zwiększył nacisk na łokieć i nadgarstek potwora. W jego ręku czaiła się ogromna siła, a Max całą moc koncentrował na tym, by nie rozluźnić chwytu. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że muskularne ramię pokrywają czułki – podobne do małych węży wypustki z ostrymi zębami, które niczym głodne minogi wbijają się w skórę Maksa.

Przez kilkadziesiąt sekund trwali w makabrycznej walce przez drzwi. Ramię Maksa splotło się z krwią, lecz potwór wył z bólu spowodowanego żelaznym chwytym przeciwnika. I znowu Max zaparł się o drzwi, miażdżąc ramię potwora.

Kiedy potwór osłabł, Max z kolei doznał przyływu siły. Drzemiąca w nim Stara Magia była porażająca. Czuł, że przez każde jego naczynie krwionośne przepływa wiązka energii. Z wściekłą determinacją zatrzasnął drzwi i wygiął ramię potwora do tyłu. Rozległo się żalosne wycie.

Kończyna została wyrwana ze stawu. Zza drzwi dobiegł

lodowaty głos, a słowa były teraz w pełni zrozumiałe.

– Litości. Puść, a odejdę.

Max nachylił się ku drzwiom tak, by znaleźć się twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Szpara nie była szeroka – miała najwyżej piętnaście centymetrów, ale mimo ciemności można było przez nią coś zobaczyć. Max najpierw dostrzegł oko – okrągłe i wypukłe jak oko konia, rozszerzone ze strachu i zdumienia. Rysy twarzy przypominały ludzkie, lecz głowa wyglądała jak oskalpowana, a czaszka była groteskowo wyciągnięta. Sam fakt, że odzywało się do niego coś tak ohydne, był prawie nie do zniesienia. Mimo że potwór błagał go o litość, jego czułki nie przestawały ranić ramienia Maksa.

– Litości? – prychnął chłopak. – A ty okazujesz litość?

Potwór wrzasnął i próbował wyrwać się z uścisku, lecz Max był szybszy. Wykorzystując całą swoją siłę, jeszcze raz mocno wykręcił ramię. Rozległ się trzask, a po nim odrażające mlaśnięcie, kiedy ręka oderwała się od ramienia w łokciu. Max upadł do tyłu, ściskając obrzydliwe trofeum, a potwór zawył rozdzierająco. Drzwi wpadły do środka i w wejściu ukazała się makabryczna postać.

Max podniósł się na nogi, a stwór się wycofał.

Popęzł szybko w stronę błotnistego pagórka, a potem do studni. Max oderwał czułki od ran na swoim ramieniu, a rękę potwora odrzucił na bok i pomknął za przeciwnikiem. Kiedy ten jak szalony czołgał się w stronę swej kryjówki, Max popędził do komórki, gdzie zostawił

miecz. Chwilę później miał go już w ręku.

Potwór zniknął w studni, a kończyny wślizgnęły się za nim węzowym ruchem. Nie minęła sekunda, a Max dopadł studni. Zatrzymał się gwałtownie przy ciemnym otworze. Ciężko dyszał. W trakcie nauki w szkole wpojono mu, by nigdy nie rzucał się na oślep do niczyjej jamy. Wpatrując się w ciemny otwór, nie słyszał nic poza szumem deszczu – żadnych uderzeń macek, w ogóle żadnych odgłosów.



Mogło się wydawać, że potwór po prostu odpadł od ściany i zniknął w czeluści.

Monstrum to było jednak stworzeniem z krwi i kości, nie zaś rozgniewanym duchem, który mógł się po prostu rozpuścić w przestrzeni. Studnia musiała mieć dno, a na nim zapewne znajdowało się legowisko wstrętnej istoty.

Max nie miał zamiaru odpuścić – postanowił wykorzystać swoją przewagę i raz na zawsze zakończyć pojedynek.

Obwiązał ramię od gladiusa wokół nadgarstka, wyczarował światło i posłał je w głąb studni. Opuściło się parę metrów w dół, mrugnęło i zniknęło mu z oczu.

Ciemność wydawała się wręcz namacalna – jakby zanurzyć

głowę

w

kotle

z

atramentem

nieprzepuszczającym światła.

Max nie miał jednak zamiaru rezygnować ani pozwolić, by potwór w ukryciu wylizał się z ran i dalej terroryzował domostwo. Przecież po to właśnie tak ciężko pracował i trenował w Sidh. Rowan mogło opuszczać w potrzebie ludzi poza swymi murami, on – nie. On będzie ścigał to ohydztwo nawet w głębi ziemi i nieprzenikniona ciemność – naturalna czy nie – go nie powstrzyma.

Kiedy jednak znalazł się w głębi studni i zatopił w ciemności, opuściła go pewność siebie. Przyłgnąwszy do gładkiej, okrągłej ściany, wciągnął cuchnące powietrze i mężnie znosił fakt, że po krwawiącej ręce pełzają mu niewidoczne pająki. Z dołu dawał się odczuć powiew powietrza. Dobiegały stamtąd wywołujące mdłości fale smrodu, jakby studnia oddychała. Max najbardziej obawiał się tego, że potwór nie kryje się na dnie studni, lecz wydrążył sobie tunel odchodzący na pewnej wysokości w bok. Jeśli tak, to mógł się zacaić i zaatakować, kiedy Max będzie go mijał całkowicie bezbronny.

Kiedy chłopak opuszczał się coraz niżej, dotarła do niego jeszcze jedna straszliwa myśl. Do tej pory zakładał, że potwór jest jeden. A co będzie, jeśli to nieprawda –

jeśli gdzieś w tych wstrętnych głębinach kryje się jego towarzysz lub potomstwo? Wyobraził sobie gniazdo takich stworzeń – kłębowisko czułek i ramion i mnóstwo oczu bez powiek.

Jeszcze zanim dotarł do tunelu, wyczuł obecność potwora. Smród był już nie do zniesienia – dominujący nad wszystkim odór stęchlizny i rozkładu.

Wkrótce Max wymacał stopą pustą przestrzeń w ścianie studni. Przesuwając palcami stopy po obwodzie ocembrowania, dłońmi macał jednocześnie ścianę, aż przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów w prawo. Na wstrzymanym oddechu opuścił się jeszcze kilkadziesiąt centymetrów, aż wyczuł, że znajduje się naprzeciwko otworu w ścianie.

Przez parę minut czekał w ciemności, w skupieniu i z wytężeniem nasłuchując odgłosów świadczących o obecności

potwora.

Wszędzie

panowała

jednak

niezmacona cisza. Mógł skorzystać z zaklęcia Solas i wywołać nagły oślepiający blask. Był to jednak sposób ryzykowny. Ciemność była nieziemsko czarna i gęsta.

Jeśli zaklęcie nie podziałałoby, Max nie oślepiłby potwora, a nawet nie oświetlił terenu, a jedynie zdradził

swoją pozycję. Kreowanie iluzji w ciemnościach również było bezużyteczne, a jeśli chodzi o inne zaklęcia, to Max był beznadziejny. Kiedy tak stał i rozważał możliwości, których lista topniała, miał nadzieję, że potwór wykona jakiś nierozważny ruch – na przykład pierwszy zaatakuje, zrobi cokolwiek, by tylko zakończyć morderczy impas.

Minęły długie minuty, zanim Max zdecydował się mimo wszystko wpełznąć do tunelu. Wymacał jego brzegi i ustalił, że ma on jakiś metr dwadzieścia, może metr pięćdziesiąt średnicy.

Pewien był, że potwór wyłoni się właśnie stamtąd. W

tunelu panowały wilgoć i chłód. Co jakiś czas lewa ręka Maksa ślizgała się na czymś ciepłym i oślizgłym –

domyślił się, że to krew z rany potwora znacząca drogę jego odwrotu. W prawej dłoni ścisnął gladius i badał

ciemność przed sobą jego ostrym końcem. Cały czas napotykał jednak tylko pustkę, więc posuwał się krok za krokiem, ślepy niczym kret.

Po jakichś dwudziestu metrach gladius nie trafił w próżnię, lecz w twardą skałę. Macając rękami dookoła, Max stwierdził, że tunel rozdwaja się, co wywołało oczywiście poważny dylemat. Jeśli z jednego tunelu robiły się dwa, to za chwilę z dwóch mogły powstać cztery. W ogóle cały ten teren mógł okazać się jednym wielkim labiryntem, zamieszkanym przez jednego lub wiele potworów. W tak nieprzeniknionych ciemnościach można było zgubić się na dobre, pełzać w nich bez końca, do utraty sił i śmierci z głodu, wycieńczenia lub z rąk potwora.

Nie, to zły pomysł, stwierdził. Zmienił zdanie –

pojawiło się zbyt wiele argumentów na nie.

Zdecydowanie lepszym wyjściem będzie nie ryzykować i poczekać na inną szansę unicestwienia monstrum.

Domyślał się, że jedynym źródłem jego pożywienia był

dom, Więc Max mógł zaczekać, aż pojawi się znowu.

Wycofując się ze skrzyżowania, własnym śladem podążył

z powrotem. Pełził tyłem w obawie, by potwór nie zaatakował go zniecka.

Kiedy się wycofywał, zdał sobie sprawę, że słyszy odgłos tarcia skały o skałę. Czoło oblał mu lodowaty pot.

To nie wróżyło nic dobrego. Musiał jak najszybciej opuścić to miejsce. Zrezygnował więc z wszelkich starań, by działać ostrożnie i nie dać się zaskoczyć. Odwrócił się przodem do kierunku wyjścia, by poruszać się szybciej i zwinnie. Nie zważał już, czy uderzy się w głowę, czy wpadnie w głąb studni – każda ewentualność była lepsza niż pozostanie w tym tunelu, którego ściany wydawały się coraz bardziej zbliżać do siebie i zgniatać go.

Zgrzyt skał wypełniał uszy Maksa, a o pochodzenie tego dźwięku nie można było posądzać żadnej sztuczki akustycznej. Źródło hałasu było przed nim. Miecz Maksa uderzył o wielki kamienny blok, który w tym właśnie momencie wtaczał się przed wlot do tunelu, by go zatarasować. Max jak szalony wymacał pozostałą wolną przestrzeń. Miała może z pięćdziesiąt centymetrów i wciąż się kurczyła. Zawahał się – jeśli próbowałby się teraz precyzyjnie, mogłoby go zgnieść...

Bums.

Max skrzywił się. Wejście do tunelu zostało zablokowane. Odgłos przetaczanej skały rozbrzmiewał

nutą paralizującej ostateczności. Po chwili pozostała po nim tylko upiorna cisza. Max odetchnął i na óslep zaczął

obmacywać krawędzie kamiennego bloku. W większości dość ciasno przylegał do wlotu tunelu, pozostawiając nieznaczną przestrzeń tylko na samym dole. Max wcisnął

w nią palce. Natrafiły na coś drewnianego – tyczkę lub system tyczek, po których przetoczono skałę. Max wytężył siły, by przesunąć kamienny blok, ale bez skutku.

Musiał ważyć tony, a na miejscu przytrzymał go dodatkowo jakiś mechanizm.

Oparłszy się o skałę, Max wpatrzył się w ciemność i próbował zebrać myśli. Sprawdziły się jego najgorsze obawy – został pogrzebany za życia. Przez krótką chwilę żałował, że nie ma przy nim

David Menlo. Wiedział

jednak, że to dziecinne i rzewne życzenie. David nie pojawi się i nie pomoże mu – tak samo zresztą jak Cooper, panna Boon czy ktokolwiek inny. Był sam i sam musiał rozwiązać ten problem.

I to szybko.

Max rozumiał, że jego ciało zostało stworzone tak, by wytrzymało ekstremalnie wysokie i ekstremalnie niskie temperatury, a nawet straszny ból i śmiertelne rany. Lecz jeśli chodzi o psychikę, to wytrzymała mniej więcej tyle, ile psychika każdego innego człowieka, czyli niewiele.

– Myśl, człowieku, myśl – szepnął do siebie.

Kucnął w ciemnościach i zaczął rozważania.

Pierwsze to sam potwór. Odniósł poważne rany, ale nie został obezwładniony. Był na tyle sprawny, by uciec, a także by obsłużyć mechanizm odcinający drogę ucieczki z tunelu.

Już sam fakt, że w ogóle istniała blokada tunelu, był

wielce niepokojący. By poruszyć taki ciężar, trzeba było sporej inteligencji i niemałej wiedzy inżynierskiej. Ten, kto budował te tunele, potrafił nie tylko drążyć skałę, lecz także przewidywać oraz skonstruować urządzenie odcinające drogę powrotną intruzom lub ofiarom. Potwór więc albo miał współnika dysponującego wyższą inteligencją, albo sam posiadał znaczny potencjał

umysłowy.

Istota inteligentna, rozumował Max, nie szukałaby okazji do otwartej walki z silniejszym przeciwnikiem.

Raczej zaczęłaby się gdzieś nieopodal i czekała, aż jego ofiara wpadnie w pułapkę, zrani się lub osłabnie z braku jedzenia, wody lub woli życia. Mało prawdopodobne, by zdecydowała się na bezpośredni atak, chyba że w wyjątkowo korzystnych okolicznościach.

Istniało

też

prawdopodobieństwo,

że

istota

inteligentna dysponuje inną drogą ucieczki. Max domyślał

się, że tunele muszą prowadzić również do innych wyjść.

A jeśli nie, to przynajmniej do dźwigni lub mechanizmu przesuwającego kamień. Rezerwowe wyjście mogło się znajdować bardzo daleko, ale zamykający tunel mechanizm – raczej blisko. Tam gdzie była wola, była i droga, Max postanowił więc, że brak ducha walki nie uczyni z niego ani posiłku dla potwora, ani jego więźnia.

Najpierw zdecydował się szukać mechanizmu. Wciąż nie wiedział, czy potwór jest jeden, czy też w piekielnych ciemnościach czai się ich więcej. Na powierzchni ziemi stworzenie – wiedząc, że to ono kontroluje przebieg wydarzeń – wykazało się okrucieństwem. Teraz, kiedy Max był uwięziony jak mucha w butelce, zapewne postąpi tak samo.

– Hej tam! – zawołał w ciemność.

Jego słowa odbiły się echem od ścian niewidocznych tuneli.

– Słyszysz mnie? – zawołał znowu.

Cisza.

– Myślisz, że przejmuję się tym kamieniem? –

wrzasnął. – Myślisz, że boję się ciemności? Nic z tych rzeczy! Idę na ciebie, zbliżam się...

To wywołało reakcję.

Odgłos przytłumiło najpierw gasnące echo okrzyków Maksa, ale po chwili jasne było, że wciąż się nasila.

Tunele

wypełniał

głęboki,

jednostajny

chichot,

przenikający na wskroś duszę chłopca. Śmiech był

przerażający, ale przerażenie przyniosło korzyść. Choć Max nie był w stanie konkretnie określić miejsca pobytu potwora, dowiedział się, że znajduje się on stosunkowo blisko i że najprawdopodobniej działa w pojedynkę.

Zebrał się w sobie i powoli, ostrożnie ruszył tunelem pograżonym w nieprzeniknionej czerni. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie korytarz się rozgałęział, przeciągnął dłoń po skale. Zostawił po sobie ślad, by trafić z powrotem, jak Tezeusz w labiryncie Minotaura. Wyciągnął scyzoryk i wrył w miękkim wapieniu literę X. Mimo zdenerwowania rzeźbił cierpliwie, by mieć pewność, że wracając,

nie przeoczy znaku.

Szedł dalej i dalej, pełzając podziemnym korytarzem po omacku, jak szczur w kanale, nieprzerwanie nasłuchując potwora. Nie potrafił stwierdzić, ile czasu upłynęło. Miał wrażenie, że to były dni.

Nagle jego miecz natrafił na coś innego niż dotychczas. Chłopak zatrzymał się, by stwierdzić, co znajduje się przed nim. Była to woda, rytmicznie skapująca do małego jeziorka. Akustyka sugerowała, że jeziorko znajduje się w grocie, rozległej, ale niskiej. Max macał ręką wokół w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby rzucić, aby ocenić odległość. Kiedy natrafił na zimną, cuchnącą wodę, posunął się ciut do przodu. Przebił się palcami przez warstwę mułu i dotarł do zagłębionych w szlamie kamyków.

W ich kształcie było coś dziwnie znajomego. Max obrócił jeden z nich w palcach. Kciukiem natrafił na wydłużony koniec, rozszerzający się ku płaskiej, gładkiej powierzchni. Jeszcze raz zanurzył rękę w mule. Odkrył, że kamyków było wiele i gwałtownie odsunął się od jeziorka.

To nie były kamyki. To były zęby.

Wziął głęboki oddech i starał się przezwyciężyć przerażenie, pocieszając się, że przecież odkrył coś ważnego. Skalna grotka musiała być legowiskiem potwora lub miejscem jego żeru. Nasłuchując uważnie, doszedł do wniosku, że jest sam.

Już po pierwszych rzutach wywnioskował, że grotka jest naprawdę duża i że nie całe jej dno zalane jest wodą.

Wzdłuż jej obwodu ciągnął się pas suchej skały, natomiast rzuty wysoko w powietrze pozwalały się domyślać, że sklepienie jest wysoko. Jeziorko wydawało się dość głębokie. Z pozycji stojącej Max rzucił garścią zębów prosto przed siebie.

Spodziewał się usłyszeć, jak uderzają w skałę i wodę, lecz jedno z uderzeń rozeszło się po grocie dźwięcznym echem. Ząb upadł na coś metalowego. Rzucając jeszcze wiele razy, Max odkrył, że na czymś w rodzaju wysepki na jeziorku muszą się znajdować różne przedmioty.

Odkrycie było tak intrygujące, że musiał je zbadać.

Wymagało to jednak wejścia do wstrętnej, cuchnącej wody. Max mocniej schwycił miecz i zbliżył się do krawędzi jeziorka, palcami stóp wymacując ewentualną stromiznę. Spadek był jednak jednostajny i po paru krokach woda sięgnęła Maksowi do brody. Starając się nie zanurzać twarzy, Max suwał stopami w obrzydliwej warstwie mułu. Po jakichś dziesięciu metrach dno zaczęło się podnosić i po chwili chłopak wygramolił się na brzeg.

Znajdował się na wyspie.

Po omacku ruszył naprzód i znalazł coś absolutnie nieoczekiwanego. Była to szafka z szufladami na akta.

Przynajmniej po omacku tak się wydawało – metalowa skrzynia metrowej wysokości z wieloma

płaskimi szufladami. Przeszedł koło niej i natknął się na krawędź

dużego drewnianego stołu, a przy nim na drewniane krzesło. Przesunął dłońmi po stole – napotkał papier, długopisy... i jakąś podkładkę. Podniósł ją i poczuł, że coś potrąca. Usłyszał, że to coś się zakółsało i po sekundzie spadło ze stołu. Max podskoczył jak oparzony, gdy rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Parę sekund później usłyszał wrzask.

Rozdzierający krzyk rozniósł się echem po grocie.

Wydawało się, że dobiega ze wszystkich stron naraz, jakby to podziemne pomieszczenie było centrum nerwowym wielu tuneli. Ziemia lekko się zatrzęsała. Max przykucnął, ściskając w ręku miecz i wpatrując się w ciemność.

Kiedy czekał, zaczęły się pojawiać jakieś kształty i przebliski światła. I nie chodziło tylko o to, że oczy Maksa coraz bardziej przystosowywały się do mroku. W

jaskini rzeczywiście robiło się coraz widniej, jakby ktoś zdjął z tego miejsca zakłęcie. Max szybko wyczarował

krąg światła.

Po wielu godzinach przebywania w całkowitej czerni nagły błysk świetlnego kręgu niemal go oślepił. Chłopak osłonił zmrużone oczy ręką i zaczął się przyglądać gładkim ścianom groty i wielu, wielu rybom pływającym w jeziorcu.

I znowu usłyszał krzyk... mrozący krew w żyłach krzyk znacznie bliższy niż poprzedni.

Obracając się powoli wokół własnej osi, Max naliczył

dziewięć otworów rozmieszczonych w ścianach wokół

okrągłej komnaty – dziewięć czarnych korytarzy, prowadzących do centralnego węzła.

Potwór nadchodził – to było pewne. Ale z którego wyłoni się tunelu?

Zmuszony do obserwowania dziewięciu wylotów naraz, Max cały czas obracał się wokoło. Kątem oka dostrzegł ruch w sadzawce. To kilka ryb przemknęło nagle, jakby spłoszonych. Wtem z podwodnego tunelu wynurzył się jakiś ogromny kształt.

Dokładnie w chwili, kiedy Max odwracał się do niego przodem, potwór wyskoczył z wody i runął na niego, zmuszając go do postawienia kroku w tył – w wodę.

Otrząsając się z pierwszego szoku, Max stwierdził, że jest w fatalnym położeniu. Leżał przygnieciony do ziemi wstrętym ciężarem potwora, którego grube macki oplatały mu nogi. Głowę miał pod wodą, która dławiła go przy każdej desperackiej próbie zaczerpnięcia oddechu.

Potwór chichotał nad nim jak szalony, a jedną rękę zaciskał na gardle Maksa.

Max widział zamglony, niewyraźny obraz pochylonej nad nim twarzy. Błyszczało w niej jedno ogromne oko, a zęby świeciły niczym odłamki porcelany. Max szarpnął

się instynktownie w tył i otworzył usta, tylko po to, by poczuć, jak wlewa mu się do nich kolejna porcja wody.

Zobaczył czarne płyty przed oczami. W uszach zaczęło mu dudnić. Fale... dudnienie... wrzaski potwora...

Reszką sił spróbował zrzucić z siebie monstrum, ale bez powodzenia. Macki podwójnym, a nawet potrójnym splotem unieruchamiały mu dolną część ciała. Oszalały, wyciągnął rękę i chwycił nią potwora za zranione ramię.

Wyczuł obrzydliwy kikut i ze wszystkich sił zacisnął na nim palce. Potwór wydał wrzask bólu, puścił gardło Maksa i skoncentrował się na wyswobodzeniu swego okaleczonego ramienia.

I to wystarczyło Maksowi, by wydostać się z potrzasku.

Wyprężył się jak struna, zaczerpnął powietrza i zamachnął się gladiuszem na ogromną pochyloną nad nim głowę. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk, potwór zeszywniał i coś plusnęło do wody trzy metry dalej.

Pozbawione głowy cielsko zachwiało się, macki rozluźniły uścisk i Max zdołał się z nich wyplątać i odsunąć od drgającego korpusu.

Leżał na zimnej skale, wykasłując wodę. Kiedy złapał

oddech, przykucnął i nasłuchiwał, czy coś przypadkiem nie kryje się w pozostałych tunelach i nie ma zamiaru wychynąć, zwabione odgłosami walki. Słysząc było jednak tylko miarowe, powolne kapanie wody. W jezioru krążyły błyskające łuskami ryby.

Kiedy Max w pełni doszedł do siebie, wyczarował

kilka świetlnych kręgów, które następnie powysyłał w różne punkty grotu. Miejsce było ponure – starał się nie zatrzymywać wzroku na czaszkach widocznych pod powierzchnią wody.

Spojrzał na groteskowe cielsko potwora i stwierdził, że macki przestały się wić. Odwrócił wzrok i podszedł do stołu z nadzieją, że znajdzie coś, co pomoże mu wydostać się z tego przeklętego miejsca. Nic takiego jednak nie znalazł. Wśród dziwnego zestawu przedmiotów na stole nie było ani klucza, ani innej wyraźnej wskazówki.

Natomiast na ziemi Max znalazł coś zupełnie nieoczekiwanego – szkic oprawiony w ramkę z popękaną szybą. Przedstawiał kobietę i dziewczynkę siedzące na ławeczce w wiejskim krajobrazie. Dziewczynka była miniaturą matki – obie miały jasne włosy i ciemne, wesole oczy. Max odłożył szkic na stół. Otworzył srebrną kasetkę, w której leżało parę zniszczonych cygar i złota obrączka



zawinięta w jedwabną chusteczkę.

Przeszukał szafkę na akta i odkrył plik planów architektonicznych – wspaniałych rysunków fasad budynków, projektów banków, biur i luksusowych, bogatych domów. Żaden z nich nie miał związku ani ze studnią, ani z jej tunelami, lecz Max nie mógł się od nich oderwać. Kilka rysunków odróżniało się znacznie od reszty. Były to prymitywne bazgroły, jak dzieła dziecięcej ręki, przedstawiające krzywe wieże lub spłaszczone koła.

Otaczały je maleńkie, ściśnięte napisy, w których nie można było doszukać się żadnego sensu.

Po co potworowi były te rzeczy? Na pewno nie zostały zagrabione z domu wiejskich biedaków. I w jakim celu zostały tak starannie uporządkowane? Max przypomniał sobie przeraźliwy wrzask potwora, kiedy roztrzaskało się szkło na portrecie.

W głowie Maksa pojawiła się straszliwa myśl.

Czy ten potwór był kiedyś człowiekiem?

Myśl była zbyt straszna, by zastanawiać się nad nią w tych okolicznościach. Max opróżnił szafkę – zwinął w rulon rysunki i papiery, a potem wysłał podskakującą kulę światła do tunelu, którym przyszedł do groty. Z pomocą światła bez trudu odnalazł drogę, jak również inne korytarze, które przedtem przeoczył. Nie minęła godzina, a znalazł dźwignię.

Kiedy okazało się, że uruchomiła kamienną blokadę, z radości serce omal nie wyrwało się Maksowi z piersi.

## KSIEŻNICZKA MINA I GOBLINY

Kiedy Max wydostał się z czeluści studni, burza dawno minęła. Powietrze było chłodne, ale świeże i czyste, jakże przyjemne po koszmarnych przejściach pod ziemią. Był wczesny ranek – na brzoskwiowym niebie wciąż wisiał blady księżyc w pełni. Dom stał zamknięty na głucho, lecz z rozpadającego się komina już wydobywał się dym. Max spojrzął na zalane wodą pastwisko i stwierdził, że owce i kozy zachowują się spokojnie – jak dawniej.

Przy świetle dziennym mógł dokładniej przyjrzeć się swym obrażeniom. Szyję nadal miał potwornie zesztywniałą, a przedramiona poznaczone brzydkimi ranami, które jednak zaczynały się już goić. Po ranie zadanej nożem Pietra nie było ani śladu. Choć Max był

wykończony, nie myślał o niczym innym, jak tylko o tym, żeby się wykapać i zmyć z siebie wszelkie resztki obrzydliwej wody z podziemnego jeziora i brudu z tuneli.

Ale to za chwilę. Najpierw musi zobaczyć Minę.

Wyważone drzwi podparto czymś od środka tak, że trzymały się na miejscu. Musiał pukać i wołać wielokrotnie, zanim usłyszał złowrogie syknięcie i odgłos przesuwanych mebli. Chwiejące się na jedynym pozostałym zawiasie drzwi wpadłyby do środka, gdyby Max ich nie złapał. Spojrzął na zmęczoną, wystraszoną twarz młodej matki.

– Dzień dobry – rzekł.

– A po-potwór? – wyjąkała, spoglądając spoza Maksa na podwórze.

– Nie żyje.

Kobieta zasłoniła usta drżącą ręką i ciężko oparła się o ścianę. Gestem zaprosiła chłopca do środka, odwróciła się i podeszła do schodów, po czym zaczęła mówić coś po włosku, za szybko, by Max mógł ją zrozumieć. Wszedł do pomieszczenia. Pełne sadzy, tłuste, brudne wnętrza odpychało go tak samo jak wcześniej.

– Jak masz na imię? – zapytał kobietę, otwierając najbliższą okiennicę, by wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Isabella – odparła ze smutkiem na twarzy. – Pietro jest pijany... śpi. Nie może z tobą rozmawiać.

– Nie muszę z nim rozmawiać – odparł Max i odłożył

na stół swój miecz i wyniesione spod ziemi papiery. –

Chcę porozmawiać z dziećmi, Isabello. I to teraz.

Isabella kiwnęła głową, poszła na górę i przyprowadziła je wszystkie. Ku ogromnej uldze Maksa

była wśród nich Mina – wciąż owinięta w jego wełnianą kurtkę. Dzieci unikały jego wzroku, lecz posłusznie zebrały się wokół kominka, a Max usiadł przed nimi na stołeczku. Przyszła również starsza kobieta. Stanąwszy w połowie schodów, spoglądała na niego taksującymi wzrokiem.

Dzieci stały bez ruchu niczym żywe trupy, a Max tłumaczył im, że potwór nie żyje i nie będzie ich już krzywdził. Nie zareagowały na tę wiadomość, tylko dalej w milczeniu wpatrywały się w Maksa. On zaś spojrzął na najstarszego, kilkunastoletniego chłopca.

– Jak masz na imię?

Chłopiec zwiesił ramiona, jakby przygotowany na burę lub reprimendę.

– Nic ci nie powie – odezwała się łagodnym głosem Isabella. – Odkąd tu jest, nie odezwał się ani słowem. Ma na imię Mario.

– Mario – rzekł Max i potrząsnął bezwładną, niestawiającą żadnego oporu ręką chłopca. – Jestem Max.

Czy któreś z was powie mi, jak się nazywa? Chcę wam pomóc.

Jedna z dziewczynek, na oko jedenastolatka, zlustrowała go spojrzeniem żywych, zielonych oczu.

– Naprawdę nie żyje? – szepnęła. – Jesteś pewien?

Max kiwnął głową.

– Ale jak dałeś radę zabić takiego potwora? – spytała Isabella.

Max wzruszył ramionami i najlepiej, jak potrafił, wyjaśnił, że został do takich zadań przygotowany i że stoczył już wiele walk. Jego zadaniem jest obrona ludzi, dlatego musi się dowiedzieć, skąd wzięły się tu dzieci i dlaczego żyją w takich warunkach.

– Pilnuj swego nosa! – syknęła ze schodów starsza kobieta.

– Nie zamierzam – odparł spokojnie Max i odwrócił

się twarzą do niej. – Czy to ty jesteś odpowiedzialna za to, że z rąk potwora ginęły dzieci?

– Nie mogliśmy nic zrobić! – krzyknęła, obruszona. –

Pewnego dnia przyszły wieloki i wpuściły coś do studni.

A potem przyjechały wozy goblinów z więźniami –

dziećmi z obozów. Kazali nam zostawiać jedno w zagrodzie dla zwierząt w każdą pełnię księżyca. Mówili, że jeśli tak nie zrobimy, potwór zaatakuje nas.

– Dlaczego po prostu stąd nie odeszliście? – chciał

wiedzieć Max. – Nie zabraliście dzieci i nie poszliście mieszkać gdzie indziej?

Kobieta milczała. Kręciła tylko głową, jakby wiedziała, że żadna odpowiedź nie zadowoli zadającego głupie pytania chłopaka.

– Tę dolinę kontrolują gobliny – wyjaśniła Isabella. –

Co parę miesięcy przyjeżdżają, przywożą dzieci i jedzenie.

Starsza kobieta syknęła na nią, lecz Isabella odpowiedziała jej nieustępliwym spojrzeniem.

Max wstał i podszedł do staruchy. Czuł, że ogarnia go coraz większa złość.

– Rozumiem więc, że zostawiałaś dzieci na pastwę potwora, ponieważ sama obawiałaś się stąd uciec, a poza tym chciałaś dostawać od goblinów jedzenie?

– Gobliny mówiły, że jeśli nie będziemy troszczyć się o potwora, będziemy przeklęci – wyjaśniła Isabella. –

Mówiły, że to demon i że jesteśmy odpowiedzialni za opiekę nad nim. Naznaczyli nas znakiem studni... –

wyciągnęła przed siebie rękę i pokazała Maksowi taki sam tatuaż, jaki miał Pietro – pieczęć Astarotha, pieczęć Prusiasa i znak studni. – Goblin powiedział, że dzięki temu znakowi potwór zawsze nas znajdzie, że nigdy mu nie uciekniemy.

– To wcale nie usprawiedliwia tego, co robiliście –

mruknął Max, przygnębiony całą tą sprawą. Nie spuszczał

wzroku z Isabelli, która załamana wpatrywała się w ziemię. – Czy Pietro i ta kobieta to twoi rodzice?

– Nie – odparła. – Mój mąż zginął na wojnie.

Uciekłam z miasta i znalazłam ten dom. Ana i Pietro mnie przygarnęli i pomogli mi, kiedy rodziła się moja córka.

Nie możesz się na nich tak złościć. Pietro płakał za każdym razem, kiedy wybierał kamień.

Max przypomniał sobie kawałek kwarcu na stole.

– Nie – uciął. – To nie był kamień, to było dziecko.

Nie wybierali kamieni, Isabello. Wybierali dzieci, które zostawiali na dworze.

– Nie jesteśmy żołnierzami, jak ty! – wściekle krzyknęła Ana. – I to nie nasze dzieci! Podrzuciono je

nam! Nie mieliśmy wyboru!

– Cóż – rzekł Max – za to teraz macie wybór –

możecie odejść w dowolnym kierunku, jaki wybieriecie.

– Co masz na myśli? – spytała Ana.

– Spakujecie się i odejdziecie – powtórzył Max. – Tu nie możecie zostać. Ten dom należy do dzieci.

Słyszając to, Ana wysunęła szczękę do przodu, odsłaniając pożółkłe zęby.

– Nonsens! – syknęła. – To jest nasz dom! My go znaleźliśmy!

– Nie! – powiedział ostro Max. – To był wasz dom. A teraz należy do dzieci – zapłaciły za to ogromną cenę. Wy możecie albo mieszkać w studni, albo poszukać sobie innego miejsca. Zdecydujcie się do południa.

– Ale przecież gobliny... – zaprotestowała Ana. –

Hobgobliny! Jesteśmy bezbronni!

– Nie jesteście bezbronni – rzekł Max i podszedł do starej włóczni, przy której drzemał spaniel. Podniósł ją, dotknął kciukiem ostrza, po czym przytknął ją do futryny drzwi. – To więcej, niż miała Mina, by obronić się przed potworem. A jeśli chodzi tylko o hobgobliny, to nawet macie szansę.

– To morderstwo – wypluła z siebie Ana.

– Nie – odpowiedział Max. – To wygnanie.

– Czy ja i Gianna też musimy odejść? – spytała Izabella.

Max zerknął na dziecko w jej objęciach i potrząsnął głową.

– Nie skazuję na wygnanie karmiących matek.

Powiedziawszy to, Max wszedł na górę, by przeszukać pokoje. Znalazł Pietra rozciągniętego na obskurnym materacu i chrapiącego w głos. Nieopodal stało wiadro wody, więc wylał je na śpiącego, który parsknął, usiadł i spoglądał na niego nieprzytomnym wzrokiem. Potem zasypał Maksa pytaniami oraz pełnymi niezrozumienia i sprzeciwu pomrukami, ale Max je ignorował. Pomógł Piętrowi wstać i poprowadził go na dół, gdzie przy drzwiach stała zgarbiona Ana.

Dzieci patrzyły i słuchały, jak Max wyjaśniał

mężczyźnie sytuację. Wywołało to falę złości i sprzeciwu

– Ana i Pietro przeklinali Maksa, że śmie skazywać ich na wygnanie. Czy nie ma serca? W odpowiedzi Max wskazał

tylko na stos porzuconych butów, po czym zajął się przeczesywaniem spizarek.

Kiedy spakował trochę jedzenia, rzucił pod nogi Any worek, a do ręki Pietra włożył włócznię.

– Na waszym miejscu ruszyłbym na zachód –

poradził. – Stamtąd przyszedłem i nie napotkałem po drodze nic niepokojącego. Jest wiele potoków, a wędrówka jest lekka. Nie wolno wam ani tu wracać, ani rozmawiać o tym miejscu. Jeśli to zrobicie, osobiście nałożę na was klątwę.

Wypowiadając te słowa, wyciągnął do przodu ręce, z których wydobyły się niebieskie ogniki. Zatańczyły wokół

jego palców, po czym uniosły się w powietrze, gdzie rozdzieliły się na kilka małych błyskawic, a te, połączone w jeden krąg, zawisły nad głowami zdumionej pary.

– *Daemona!* – wrzasnął Pietro, wpijając palce w ramię żony.

– Nazywaj mnie, jak chcesz – rzekł Max i pochylił

się, by złapać iskry, które posłusznie pomknęły do jego ręki. – Ale pamiętaj o klątwie, Pietro. Ani słowa o tym miejscu, o dzieciach ani o mnie. Nikomu.

Był to oczywiście zwykły blef, ponieważ Max nie miał pojęcia, jak rzucić coś tak skomplikowanego jak prawdziwa klątwa. Wątpił również, aby potrafiły to gobliny, ale ponieważ wprawiały Pietra i Anę w przerażenie, Max doszedł do wniosku, że nieco pirotechniki wystarczy, by milczeli jak zakłęci. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było rozchodzenie się informacji o jego obecności w Blys.

– Żegnajcie i powodzenia – rzekł i wypchnął ich lekko przez drzwi.

Po gorącej dyskusji para nie skierowała się na zachód. Zamiast tego postanowili udać się na północny wschód. Odchodząc, wyglądali jak żebracy – Ana ugiwała się pod ciężarem dobytku, a Pietro zamachnął się włócznią na psa. Gdyby nie ich niegodziwe postęпки, Max zmiękłby i pozwolił im zostać. Byli jednak mordercami –

powtórzył sobie – a ich wina była równie wielka i godna potępienia jak wina potwora ze studni.

– Nic im nie będzie – odezwała się Izabella, kołysząc gaworzące dziecko. – Sądzę, że poszli do Niksa i Valii.

– Do kogo?

– Do innej pary mieszkającej w dolinie. Od czasu do czasu nas odwiedzają, przywożą prezenty dla

dzieci.

– A oni nie boją się goblinów? – zapytał

zaczekawiony Max.

– Na pewno się boją – odparła Izabella – ale mieszkają tu w dolinie od dawna i wygląda na to, że wiedzą co i jak.

Jeśli odejście Any i Pietra w jakiś sposób dotknęło Isabellę, to dobrze to ukrywała.

Po kąpieli i opatrzeniu swoich ran Max zjadł i zabrał

się do pracy. Dzieci wciąż się go bały. Przyglądały się tylko, jak wynosi baryłkę z kwaśnym winem i wylewa jej wstrętną zawartość w dużej odległości od domu. Starsi chłopcy i dziewczynki zajęli się swoimi obowiązkami, natomiast Max krzątał się po gospodarstwie, zbierając potrzebne narzędzia.

Zdołał wygrzebać setkę gwoździ, stary młotek, piłę i stojącą beczynnie w schowku miotłę. Znalazł też kilka nieużywanych wiader, ług, a nawet zakurzoną puszkę czerwonej farby. Jeszcze bardziej przydatna była oparta o zewnętrzną ścianę domu szufla. Choć stara i rachityczna, nadawała się jeszcze do użytku.

Przez resztę dnia Max kursował tylko z domu na dwór i z powrotem. Przy użyciu szuflki i zdezelowanych taczek wywiózł z domu stosy gnijącego siana, brudnej odzieży i niesamowitą ilość resztek i śmieci. Wszystko to zrzucił po zawietrznej stronie domu. Pootwierał okna, by wpuścić do każdego zapyziałego kąta słońce i zimne powietrze.

Po zachodzie słońca podpalił sterty śmieci i patrzył, jak płomień buchają wysoko w wiosennym zmierzchu.

Zaczynały pokazywać się gwiazdy, a ciemnopurpurowe smugi na niebie przypominały mu o długich wyprawach, na które chodził z Nickiem, kiedy jego podopieczny był

jeszcze młodym lymrillem. Bardzo mu go brakowało –

nie tylko jego dziarskiego parskania i w ogóle towarzystwa, ale również niezwykłych umiejętności.

Lymrill szybko poradziłby sobie z gryzoniami, które bez wątpienia opanowały stare domostwo.

Kiedy stosy wypaliły się wreszcie do popiołu, Max zmęczonym krokiem wrócił do domu, gdzie przez okna mrugał ogień na kominku. Usłyszał odległe wycie wilka.

Unosiło się ono w niebo, do księżycy, i zamierało gdzieś w głębi ciemnej doliny.

W domu Izabella gotowała potrawkę ze świeżo zabitego jagnięcia i warzyw, które nie zdążyły zgnić w zawilgoconej piwnicy. Kolacja upłynęła w ciszy. Max postanowił pozwolić dzieciom po swojemu przystosować się do nowych warunków. Kiedy sprzątnięto ze stołu, zamknął okiennice i wstawił

drzwi na miejsce. Zarządził

też, by przyniesiono z góry koce i rozścielono je na podłodze przed kominkiem. Wszyscy będą spali na dole –

warunki na górze wołają o pomstę do nieba, oświadczył.

Zdjął buty i usiadł ciężko na krześle. Patrzył, jak na ścianach tańczą złote blaski płomieni, a dzieci układają się na kocach i zapadają w sen.

Ocenił, że zapewne miną dni, a nawet tygodnie do czasu, kiedy zdoła doprowadzić dom do porządku i wyruszyć na północ. Taki miał plan, jeśli w ogóle można to było nazwać planem. Gdzieś na północy leżały ziemie Wyndry, a Max był zdeterminowany, żeby go dopaść.

Kolejne dni wyglądały mniej więcej tak samo. Dzieci zajmowały się pracami w polu i w zagrodzie, a Max pracował nad doprowadzeniem domu do stanu używalności. Kiedy wszystkie śmieci zostały już wywiezione i spalone, a koce uprane i wysuszone na słońcu, postanowił zeskrobać ze ścian, podłogi, a nawet sufitu warstwy brudu. Praca nie była łatwa, ale szybko przyniosła rezultaty – pokłady sadzy ustąpiły miejsca czystemu kamieniowi, ciemnemu drewnu i wyblakłej żółtej farbie.

Kiedy Max pracował, zauważył, że młodsze dzieci nie mogą oderwać od niego oczu. Stawały w drzwiach lub na ganku i wsadzały do środka rozczochrane głowy, podczas gdy on naprawiał meble, szorował listwy przy ścianach i płytki kuchenne, aż zaczynały błyszczeć.

To Claudia, grubiotka ciekawska dziewczynka, pierwsza zaczęła towarzyszyć mu w pracy. Nie powiedziała ani słowa, tylko wzięła szmatę i pomogła mu szorować kominek i półkę nad nim. Wkrótce przyłączył

się Marco, a po nim psotnik Paolo. Nie minęła godzina, a ośmioro dzieci razem z Maksem zapamiętało szorowało ściany.

Isabella obserwowała to wszystko z pewnym rozbawieniem, ale nic nie mówiła. Pilnowała tylko Gianny i nadzorowała prace w gospodarstwie. Pogarda, którą Max wobec niej żywił, była dla niej oczywista – od wygnania uchronił ją przecież tylko fakt, że miała małe dziecko, no i to, że po odejściu chłopaka dzieci będą potrzebować opieki. Isabella wydawała się to wyczuwać.

Była

uprzejma,

lecz

na

dystans.

Przygotowywała posiłki z ziarna i jaj od sześciu kur.



O zmroku Max mył twarz i ręce i wyruszał na okoliczne wzgórza, by lepiej zorientować się w terenie i rozpoznać wszelkie niebezpieczeństwa, które mogłyby na nich czyhać.

Krajobraz był zdumiewający. W miarę, jak dzięki wysiłkowi Maksa stan starego domostwa się poprawiał, coraz łatwiej można było sobie Wyobrazić, jak bogate było niegdyś gospodarstwo i jak zamożna rodzina tu mieszkała. Max zdawał sobie jednak sprawę, że musiały to być odległe czasy. Coraz lepiej też widział, że potrzeba czegoś więcej niż szmat, wody, mopów i szczotek, by uczynić z tego miejsca bezpieczny, kwitnący dom dla gromady biednych dzieci.

Podstawową kwestią było bezpieczeństwo. Potwora w studni już nie było, ale Max zastanawiał się, czy przypadkiem jego obecność nie powodowała, że nie zaglądali tu inni intruzi. Na razie w dolinie panował

spokój, lecz Maksa niepokoiło parę rzeczy.

Następnego ranka omówił je z Isabellą, która prażyła w kominku stare ziarna kawy. Jak dotąd odzywał się do niej tylko w przypadku absolutnej konieczności, a kiedy mówił, dzieci natychmiast przerywały swe zajęcia i słuchały z uwagą.

– Kawa – zaczął, wskazując na worek z grubej juty –

herbata i cukier. One tu nie rosną, Isabello. Skąd je bierzecie?

– Przywieźli je Nix i Valya – wyjaśniła z nutą nieufności w głosie. – Kiedy byli tu przed Bożym Narodzeniem.

– Bożym Narodzeniem? – powtórzył Max, spojrzął

na nią ostro i dmuchnął w kubek z herbatą. – Pamiętasz Boże Narodzenie, Isabello? Pamiętasz życie przed nastaniem demonów? Przed Astarothem?

Isabella nie odpowiedziała. Patrzyła tylko w ogień, podrzucając nad węglami ziarna w metalowym koszu z długą rączką. Usta miała zacięte i Max zauważył, że oczy jej stają się coraz bardziej smutne. Zwrócił się do dzieci z prośbą, by wyszły na dwór, żeby mógł porozmawiać z Isabellą w cztery oczy. Posłuchały – nawet Christopher, największy wśród nich uparciuch. Kiedy dzieci wyszły, Isabella zdjęła kosz znad płomieni i podeszła do córeczki.

– Przeszłość jest zbyt bolesna, by o niej mówić –

powiedziała, opatulając dziecko.

– Twoja przeszłość to twoja sprawa – odparł łagodnie Max. – Ale przecież są jeszcze inni, którzy odwiedzają ten dom. Ci Nix i Valya. No i wspominałaś coś o goblinach.

Pytam, bo chcę wiedzieć, czy dzieci będą tu z tobą bezpieczne, kiedy ja odejdę.

Isabella zeszywniała.

– Odejdiesz? – wykrztusiła i odwróciła się do niego.

– Ale dokąd chcesz iść?

– Nadejdzie kiedyś dzień, że opuszczę to miejsce –

odparł cicho Max. – Mam swoje powody.

– Och nie, nie możesz! – zaprotestowała Isabella, skubiąc kocyk dziecka. – Jesteś aniołem zesłanym nam na ratunek! Modliłam się i modliłam o wybawienie od złego i pojawiłeś się ty!

– Nie jestem żadnym aniołem – zaprotestował Max –

tylko chłopakiem zza morza.

– Ale czynisz cuda – upierała się.

– Słuchaj. Nie mogę zostać tu na zawsze. Pomogę przy wiosennych pracach w polu, dokończę prace w domu, i co najważniejsze, chcę uporać się z goblinami.

Wrócą tu, Isabello, i przyprowadzą nowych więźniów dla potwora. A potwór nie żyje. Zorientują się, że go nie ma.

Sądysz, że wtedy po prostu zostawią cię w spokoju?

– Przecież potrzebujemy goblinów! – wybuchła Isabella. – Przywożą nam ziarno i zwierzęta. Bez nich pomrzemy!

Max chodził wokół i zastanawiał się nad tym problemem, podczas gdy ona mechanicznie mieszała ziarno zbóż dla Gianny na śniadanie. W końcu wpadł na pomysł.

– Kiedy pojawiają się tu gobliny? – spytał.

– Co drugi miesiąc – odparła Isabella. – W pierwszej kwadrze księżyca. Nie chcą być blisko, kiedy potwór się budzi. Niebawem znów przyjdą.

Max kiwnął głową i wyprostował się.

– Co masz zamiar zrobić? – spytała nerwowo.

– Nic, co zagroziłoby wam lub wstrzymało zaopatrzenie – rzekł, po czym włożył buty i wyjrzał przez okno, by sprawdzić, jaka jest pogoda. – Nie mów dzieciom, o czym rozmawialiśmy.

Dzieci jednak były nie tylko spostrzegawcze, były również bardzo odporne. Po paru dniach od śmierci potwora i odejściu Pietra, Max widział, jak szepczą między sobą i obserwują go ukradkiem. Teraz uśmiechały się już słabo na jego widok, a mały, pulchny sześciolatek, na którego wołali Porcellino, odważył się nawet pokazać Maksowi swe muskuły.

– Imponujące – powiedział Max i nachylił się, by uszczypnąć małe, miękkie ramionko, podczas gdy twarz jego właściciela poczerwieniała z wysiłku jak burak. –

Będziesz duży i silny!

Porcellino rozpromienił się, a inni stłoczyli się wokół

Maksa, by zrobić dokładnie to samo. Przepychali się między sobą, by zademonstrować mu swe mięśnie, poinformować, gdzie rosną jagody lub że Claudia złapała pstrąga w strumieniu. Kiedy Max uszył wypchaną szmatami piłkę ze skóry wziętej ze starego buta, zniknęły resztki dystansu. Pod niezrównanym przywództwem Paola rozgrywano niezliczone mecze i konkursy. Mecze piłki kopanej, rzuconej, toczonej... Max był zdumiony pomysłowością i entuzjazmem dzieciaków. Po kilku dniach piłka się zniszczyła, a Isabella do późnej nocy szyła nową – mocniejszą, z potrójnymi szwami.

Jedynym dzieckiem, które nadal milczało, była Mina.

Było to zrozumiałe. Tylko ona została pozostawiona w zagrodzie i widziała potwora, a także słyszała jego wołanie. Teraz pracowała wraz z innymi, lecz w tym, co robiła, wciąż dostrzegało się tę samą tępą mechaniczność, jaką na początku wykazywały wszystkie dzieci. Pogoda wkrótce się poprawiła i Maksowi pękało serce, gdy widział, jak reszta dzieciaków hasa po podwórku, a ona chowa się po kątach. Zaczął więc prosić ją o pomoc przy swoich obowiązkach, zwłaszcza gdy wymagały wyjścia na dwór. Chciał, żeby złapała trochę słońca.

A obowiązków była masa. Prócz robót w domu i przy naprawie szop i komórek, pozostawała jeszcze opieka nad trzodą, przygotowanie pól pod wiosenne zasiewy, zbieranie drewna na opał i niekończące się inne zadania, których wykonanie utrudniały brak lub kiepska jakość narzędzi. Podczas odbudowy Rowan Max nauczył się podstaw stolarki i murarki, więc teraz bolał nad tym, że nie ma ani dobrego młotka, ani hebla, ani nawet prostych, niezardzewiałych gwoździ.

Ale radzili sobie jakoś z tym, co mieli, i pewnego pięknego wiosennego dnia o zachodzie słońca Max zamocował drzwi z powrotem na zawiasach i nałożył na nie ostatnią warstwę czerwonej farby. Isabella wraz z dziećmi stali wokoło, podziwiając efekt – radosna, czerwona plama, oznaczająca wejście do dużego domu o wyszorowanych i uporządkowanych pokojach. W

beczkach stała czysta woda, na podłogach leżał świeży tatarak, a na kolację miała być potrawa z koziego mięsa.

Za dumnym zgromadzeniem widniały oświetlone purpurą góry, a ponad nimi niczym smugi dymu przepływały obłoki.

Tego wieczora, kiedy dzieci leżały już na kocach, Max opowiedział im bajkę. Na kominku rażno trzaskał

ogień, a on przechadzał się po wielkim pokoju, opowiadając o małej dziewczynce, która pod wpływem złego czaru zapomniała, kim jest. Chcąc się tego za wszelką cenę dowiedzieć, wędrowała po świecie w poszukiwaniu swej tożsamości. Była naprawdę odważna, odwiedzała wszelkie leśne

stworzenia – żaby, węże, a nawet niedźwiedzia w gawrze. Ponieważ żadne z nich nie potrafiło odpowiedzieć na jej pytanie, wypłynęła daleko w morze, by zapytać ryb, wielorybów i sennych żółwi, mrugających małymi oczkami spod zielonych skorup.

Żadne zwierzę jednak nie знаło odpowiedzi. Niezrażona dziewczynka powędrowała na rozległe wzgórze, wspięła się na ośnieżone szczyty gór, aż wreszcie stanęła na najwyższym z nich, drżąc z zimna. Na tak ogromnej wysokości nie było żadnych zwierząt, więc ogarnęła ją rozpacz, że nikt jej nie pomoże. W tej samej chwili zauważyła, że na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, więc wyciągnęła ku nim ręce.

Opowiadając bajkę, Max wyczarowywał kolorowe postaci – od brunatnej ropuchy po ogromnego wieloryba wypuszczającego fontannę światła. Dzieci leżały zasłuchane,

z

rozdziawionymi

buziami.

Kiedy

dziewczynka wspięła się na góry, nad głowami dzieci pomiędzy belkami sufitu zamigotały małe gwiazdki.

Z rozłożonymi szeroko rączkami dziewczynka zapytała gwiazdy, czy znają odpowiedź na jej pytanie.

Kim była? Jak miała na imię? Gdy czekała tak na zimnie, gwiazdy zdawały się przybliżać, zupełnie jakby były równie ciekawe małej dziewczynki jak ona ich.

Opuszczały się coraz niżej i niżej, aż wszystkie zaroily się wokół niej.

Dzieci wzdychały z zachwytu, kiedy mrugające światełka zniżały się nad ich głowy niczym ciekawskie świetliki, krążąc po pokoju i zatrzymując się na chwilę nad każdą wyczekującą twarzyczką. Kiedy doszły do Myny, zatrzymały się na dłużej i zaczęły krążyć nad jej głową, tworząc koronę.

Ponieważ dziewczynka była odważna i wspięła się aż tak wysoko, gwiazdy postanowiły jej pomóc.

Powiedziały, że należy do królewskiego rodu, że jest księżniczką, dobrą, mądrą i ukochaną przez swój lud, który bardzo za nią tęskni. Czy teraz da radę przypomnieć sobie, jak się nazywa?

W tej samej chwili na obojętnej twarzyczce Myny pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Ma na imię Mina? – szepnęła. – Księżniczka Mina?

– Zgadza się – odparł Max. – Poddani księżniczki Myny ogromnie za nią tęsknili, potrzebowali jej i przez cały czas nie przestawali jej szukać. Czy Mina jest gotowa na powrót do domu?

Isabella odłożyła szycie, a dzieci przestały się wiercić. Wszystkie oczy skupiły się na Minie, leżącej z dala od innych. Ona zaś spojrzała na gwiazdy nad swoją głową, a potem na Maksa, który powtórzył pytanie.

– Czy mała księżniczka gotowa jest wrócić do domu?

Mina kiwnęła głową, a gwiazdy z jej korony wybuchły w małe ogniki, które zakręciwszy się po pokoju, wszystkie razem pomknęły do komina i zniknęły w nim, podobne do ogona komety. Był to emocjonujący finał, więc dzieci zaczęły bić brawo, a potem zrobiły miejsce dla Miny, by usiadła pośrodku. Ze wstydliwym uśmiechem dziewczynka zgarnęła swój koc i przyłączyła się do nich.

Kiedy mała śmiała się i żartowała z resztą dzieciaków, Max usiadł na krześle i zastanawiał się nad zakończeniem swojej opowieści. Było naprawdę zdumiewające – wymagało niemałego talentu i umiejętności mistycznych. Był tylko jeden problem.

Max nie był mistykiem.

Dzieci zasnęły, a on dalej zastanawiał się nad tym w ciemnościach. Kiedy w pokoju już od pewnego czasu panowała cisza, Isabella gestem poprosiła go, by poszedł z nią na górę.

– Dokonałeś czegoś niezwykłego – rzekła. – Nie przypuszczałam, że Mina kiedykolwiek znowu się uśmiechnie. Ty jej wcześniej nie znałeś, ale przed tą okropną nocą miała w sobie tyle energii. Jestem szczęśliwa, że się śmieje.

– To nic takiego – odparł Max, zażenowany pochwałą i faktem, że Isabella z bliska mu się przygląda.

– Ile masz lat? – spytała, odstawiając latarnię.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Jego urodziny były piętnastego marca i uprzytomnił sobie, że najwyraźniej w tym roku minęły bez jego świadomości.

Według tradycyjnego kalendarza Max powinien skończyć piętnaście lat, ale przecież tyle dni spędził w Sidh, gdzie czas falował, płynąc sobie tylko znanym, tajemniczym rytem. Pewności więc nie miał.

– Szesnaście – strześlił. – A może siedemnaście?

Trudno powiedzieć.

Isabella skinęła głową, po czym otworzyła okiennicę, by wpuścić wieczorny wiatr.

– Wciąż myślisz, że jestem takim złym człowiekiem?

– zapytała.

– Nigdy tak nie myślałem – odparł Max. – Myślałem tylko, że dokonałaś złego wyboru.

– Czasem każdy wybór jest zły – odpowiedziała.

Max wrócił myślami do rozmowy z panią Richter i z Nigelem. Byli dobrymi ludźmi. Jak dalece pani Richter poświęcała się dla dobra Rowan, a Nigel dla dobra swego nienarodzonego dziecka? Czy pani Bristow już urodziła?

Max zastanawiał się nad wieloma sprawami. W głębi serca czuł, że Isabella jest dobrym człowiekiem. Max nie był rodzicem, nie potrafił wyobrazić sobie wyboru, jakiego sam dokonałby, będąc na jej miejscu.

– Nie gniewam się na ciebie, Isabello – mruknął. –

Przedtem było mi wszystko jedno, i tyle. Ale teraz już nie.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy i Max poruszył się, zażenowany. Nie wiedział, do czego to prowadzi i dlaczego Isabella chciała z nim o tym mówić z dala od dzieci.

– Gobliny powrócą – odezwała się pośpiesznie. – Nie było ich już prawie dwa miesiące, a zawsze przychodziły mniej więcej w tym czasie. Przyjdą dziś lub jutro.

– W takim razie muszę się przygotować – odparł Max z ulgą. – Z której strony normalnie nadchodzą?

– Z tej – rzekła Isabella, wystawiając rękę za okno.

Max podążył wzrokiem za jej wyciągniętym palcem.

Zobaczył ciemną drogę wiodącą ku górcom.

– Ile zazwyczaj ich jest? – chciał wiedzieć.

– Nie wiem – odparła. – Pietro zawsze wychodził i z nimi rozmawiał. Próbowałam podsłuchiwać, lecz za bardzo się bałam, by podjąć wystarczająco blisko.

Max kiwnął głową i zaczął układać sobie w głowie plan.

– Co zamierzasz? – spytała Isabella ostrożnie.

– Poczekać na nich na zewnątrz – odparł z prostotą.

– Proszę, uważaj na siebie – zawołała i złapała go za rękaw. – Jeśli się dowiedzą, że potwór nie żyje...

Słyszałam o goblinach straszne rzeczy! Mogą cię uwięzić i zabrać!

– Gobliny są tępe, Isabello – rzekł Max – ale nie aż tak...

\* \* \*

Księżyc wzeszedł wyżej na wiosenne niebo. Max czekał nad zakrętem drogi, w gałęziach jesionu, na

których pękały już pąki. W dolinie zerwał się wiatr.

Szeleścił liśćmi, ale nie na tyle głośno, by zagłuszyć odgłos kół. Max obserwował, jak nietoperze przemykają tu i tam w poszukiwaniu pożywienia, i próbował

przypomnieć sobie wszystko, co wie na temat goblinów i tym podobnych stworzeń.

Wszelkie odmiany goblinów były żalosnymi kreaturami – okrutnymi tyranami używającymi przemocy we wszelkich sytuacjach, w których tylko miały przewagę. Driady nienawidziły ich i nie osiedlały się w zagajnikach sąsiadujących z ich legowiskami. Te znajdowały się z reguły pod ziemią lub w głębi gór, gdzie klany goblinów żyły w luźnej konfederacji pod absolutnymi rządami herszta, wybieranego często wyłącznie z uwagi na wzrost. Pod wieloma względami gobliny, wśród których nie było osobników płci żeńskiej, oraz wiedźmy, wśród których nie było z kolei osobników męskich, miały podobną mentalność i kulturę, więc Max zastanawiał się, czy gatunki te nie były przypadkiem dalekimi kuzynami. W przeciwieństwie jednak do wiedźm, gobliny różniły się między sobą wielkością i wyglądem. Mniejsze mogły nie osiągać nawet metra wzrostu, lecz były i osobniki, które dorównywały wzrostem dorosłemu człowiekowi, a ważyły i ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Z liną i ostrym mieczem w ręku Max był przygotowany na spotkanie z każdym z nich.

Gobliny chętnie trudniły się handlem, więc miały zawsze aktualne wiadomości na temat innych stworzeń, w tym demonów mieszkających w okolicy. Biorąc pod uwagę, że dostarczały do samotnego gospodarstwa bydło i podstawową żywność, gobliny były zamożne i aktywne.

Na pewno wiedziały o wszystkich pobliskich szlakach handlowych – może nawet będą miały mapę i dadzą ją Maksowi, jeśli będzie dość przekonujący.

Było już naprawdę późno, kiedy usłyszał wreszcie stukot kopyt. Odpędzając sen mruganiem, wpatrywał się w ciemność. Dojrzał parę mułów ciągnących wóz, za którym dreptało małe stadko owiec. Na wozie siedziało pięć pękatych goblinów, a największy z nich szarpał za wodze i poszczekiwał na muły. Oczy goblinów świeciły w ciemnościach – maleńkie, skrzące się punkciki wyzierające spod rond za dużych kapeluszy.

Kiedy wóz wjechał pod jesion, Max zeskoczył

spomiędzy gałęzi i stanął na jego drodze.

– *Misch-mischl* – syknął woźnica, mocno ciągnąc za wodze. Pozostałe gobliny wyprostowały się i patrzyły na Maksa, który spokojnie stał pośrodku traktu.

– *Hrunta, e nugluk a brimboshi? Ilbrya seulka nuv klunkle* – czknął najmniejszy.

Jego towarzysze parsknęli śmiechem, lecz woźnica spojrzął na niego spod oka i pochylił się, by wyjąć mu z rąk flaszkę.

– Gdzie Pietro? – wychrypiał i zdjął kapelusz, by podrapać się w głowę.

– Pietro odszedł – odparł Max. – Teraz ja tu rządę.

– Słyszeliście? – wykrzyknął goblin do towarzyszy. –

Powiedział, że tu rządzi! Powiedz, nędzny robaku, czym dokładnie rządzisz?

– Rządzę tym gospodarstwem – wyjaśnił Max. – A także jeziorem, tą doliną i górami poza nią. Rządziłbym również niebem, ale jest poza moim zasięgiem.

– Musi być pijany, jak Pietro – zaśmiał się goblin, a oczy mu błyszczały. – Dość tych bredni, i tak jesteśmy już spóźnieni. Rozładuj wóz i zmywaj się stąd, zanim wygarbujemy ci skórę!

– Tak jest – odparł Max, wyprężył się i zasalutował.

Podbiegł do tylnej części wozu, gdzie znalazł troje dzieci i parę skrzynek. Rozwiązał im pęta i spytał, czy dadzą radę iść. Najstarsze z nich – dziewczynka, jedenasto- lub dwunastoletnia, kiwnęła głową. Max kazał jej zagnać owce do gospodarstwa, zapukać do drzwi, zawołać Isabelle, Marię lub Claudię i poprosić o pomoc przy zwierzętach. Czy da radę? Powinna. Młodsze dzieci –

sądząc po wyglądzie, rodzeństwo – pomogły Maksowi zdjąć z wozu skrzynie, po czym poszły za dziewczynką na wzgórze.

– To się dopiero nazywa organizacja! – zaśmiał się woźnica i trzasnął z bicia tuż przed twarzą Maksa. –

Zaprzęć ich do roboty, zanim znikną w studni.

Max wzruszył ramionami.

– Musiały zanieść bagaże, bo chciałem z wami porozmawiać. Dostawa nie jest kompletna.

– O czym on mówi, Hrunta? – syknął do woźnicy jeden z goblinów.

– Przywieźliśmy wszystko to, co zawsze – warknął

Hrunta – a poza tym nie podoba mi się twój ton.

– Mój ton to pestka w porównaniu z innymi twoimi zmartwieniami.

Słyszając taką zniewagę, Hrunta podniósł bat i strzelił

nim prosto w Maksa. Trzask był silny jak uderzenie pioruna. Goblin był jednak o wiele za wolny. Max zrobił

unik, złapał bat, okręcił go sobie dwukrotnie wokół ręki i szybko ściągnął Hrunte z kozła. Goblin z głuchym łoskotem wylądował na ziemi i leżał tam jak owad, machając nogami w powietrzu. Jego towarzysze stali z rozdziawionymi gębami.

Każdy uczeń Rowan otrzymuje książkę –



kompedium wiedzy o zwyczajach i zachowaniu znanych wrogów. Nawet uczeń pierwszego roku wie, że gobliny nienawidzą być odwracane głową do dołu – wywołuje to u nich panikę tak silną, że przestają stawiać opór. I tylko w ten sposób można sobie z nimi poradzić, stosując metody humanitarne. Szybko jak błyskawica Max zawiązał bat wokół stopy Hrunty, a luźny koniec liny zarzucił na grubą gałąź jesionu. Sekundę później dyszący, protestujący goblin wisiał na gałęzi niczym wielka gruszka o grubej skórce.

– Zabić go! – szczechnął rozwścieczony, wymachując grubymi ramionami w stronę przerażonych towarzyszy.

Max odwrócił się dokładnie w momencie, kiedy jeden z młodych goblinów rzucił sztyletem. Biedny głupek w pośpiechu zapomniał jednak wyjąć go z pochwy. Nóż odbił się od ramienia chłopaka.

– Jak się nazywasz? – Max najzwyczajniejszym w świecie tonem zwrócił się do winowajcy, którego cienka ręka zastygła w bezruchu.

– Eee... Skeedle, mój panie.

– Skeedle, sądzisz, że to było mądre?

– Nie – mrugając oczami, odpowiedział upokorzony goblin. – Nie sądzę.

– Podejdź no tutaj – rzekł Max i kiwnął na niego palcem.

– Muszę? – jęknął Skeedle i w niechętnym grymasie obnażył pięć ostrych zębów.

– Tak – potwierdził Max i odmierzył kawał liny. –

Obawiam się, że tak.

Minutę później młodociany goblin bujał się już do góry nogami obok swego dowódcy, który na próżno przeklinał go i mu wymyślał. Zaciskając więzy, Max usłyszał stukot butów o żelaznych podeszwach, który przypominał mu o obecności pozostałych goblinów.

Max był dobrze obeznany z goblinami, ponieważ miał z nimi styczność przed rokiem, w Niemczech. Tamte jednak były dziksze i nie dawały tak szybko za wygraną, nawet jeśli zorientowały się, że są w tarapatach.

Natomiast tutejsze gobliny wydawały się bardziej dystygowane – w podobny sposób okrutne, ale znacznie bardziej elokwentne, a także miękkie i opasłe od ciągłego ucztowania. Maksowi zrobiło się prawie żal pozostałych trzech, kiedy gonił je i związywał w wierzgający kłębek, by za chwilę podwiesić każdego z osobna pod jesionem.

– A teraz – rzekł, przechadzając się pod głowami swych plujących ze złości więźniów – nie chciałbym tego wszystkiego przedłużać. Było nie było, widziałem wilki wałęsające się po tej dolinie...

Gobliny wydały piskliwy, gardłowy odgłos i spojrzały po sobie spanikowanym wzorkiem. Gatunek ten bowiem żyje w śmiertelnym strachu przed wilkami, które, jak powszechnie wiadomo, polują na nie z entuzjazmem.

– Czego od nas chcesz? – odezwał się błagalnym tonem Hrunta.

– Będę zadawał pytania – spokojnie odpowiedział

Max. – I chcę się dowiedzieć prawdy. Kiedy zadam pytanie, wszyscy odpowiadacie razem. Kto nie odpowie, zostaje na drzewie. Ten, który odpowie jako ostatni, również zostaje na drzewie. Ten, który odpowie inaczej niż reszta, też zostaje na drzewie. Rozumiecie, o co chodzi? Odpowiadacie szybko, mówicie prawdę, bo i tak się dowiem, kto kłamie...

Gobliny zaczęły przeklinać i miotać się w uwięzi, ale w końcu przystały na propozycję Maksa. On zaś przez następną godzinę zasypywał je pytaniami na temat ich klanu, miejsca zamieszkania i całej doliny. Dowiedział

się, że należą do klanu Szerokorondych, że ich herszt nazywa się Plumpka i że Szerokorondzi przepędzili wszystkie inne klany mieszkające w okolicy. Wygnałe klany – Kwaśnobienni, Czarnoplecy i Zielonozębi –

pierzchły w góry. Jak domyślał się Max, żadnych driad w pobliżu nie było. Żyły tu jednak lutiny, satyry, na południowych stokach fauny, a na północnych przełęczach, tam gdzie gobliny nie chciały polować, mieszkał złośliwy troll. Gobliny wiedziały też o wielokach mieszkających u podnóża gór, lecz jeśli jakiś uczciwy demon rościłby sobie prawo do tytułu władcy tej okolicy, musiałby się najpierw porachować z nimi, Szerokorondymi.

Max zaczął teraz wypytywać o ludzi. Ku jego rozczarowaniu gobliny zaprzeczyły, jakoby w tej okolicy mieszkali jacyś wolni ludzie. Max przypomniał sobie o dwojgu, których wspominała Isabella. Nix i Valya –

brzmiały ich imiona, lecz chłopak postanowił na razie zachować je dla siebie.

– Żadnych wolnych ludzi – upewnił się Max. – Ilu więc ludzi uwięzili Szerokorondzi?

– Ani jednego! – zawołał Skeedle. – Kiedy ich dostaliśmy, byli już więźniami. Handlarze przywożą ich z dużego miasta, a my tylko dostarczamy ich tutaj, tak jest w umowie.

– W umowie? Z kim? – zapytał Max.

– My nie wiemy – odparł Hrunta. – To sprawa Plumpki.

– Dobrze, w takim razie, gdzie jest to „duże miasto”?

– Na południu – zapiszczełi zgodnie. – Dwa tygodnie drogi na południe!

– To stamtąd przywozicie towary?

– Nie – odpowiedzieli i wkrótce Max dowiedział się o innych rynkach i osadach. Z tego, co mówił Skeedle (najbardziej rozmowny z goblinów), o dwa dni drogi na północ znajdowało się targowisko, a dość duża wioska zamieszkała przez najrozmaitsze stworzenia leżała na wschodzie, za górami.

Max z uwagą przysłuchiwał się tym i innym informacjom dotyczącym okolicy i jej mieszkańców. W dole, nad jeziorem, zawył wilk. Gobliny zaczęły szczekać zębami i oblewać się zimnym potem.

– No dobrze – rzekł Max i nachylił się, by poświecić lampą goblinów w oczy Hrunty. – Ten wilk wygląda mi na głodnego, a ja chcę zakończyć sprawę. Mówcie, gdzie znajdę wejście do jaskiń Szerokorondych?

Cisza.

– Moi drodzy – zaczął Max, a potem umilkł, by żaden głos nie zagłuszał przeciągłego wycia rozbrzmiewającego echem w dolinie. – Chyba wiecie, że tu jesteście... Więc zapytam jeszcze raz. Gdzie jest główne wejście do waszego domu?

– Między czerwonymi skałami najwyższego szczytu!

– zawołał Skeedle mimo miażdżącego spojrzenia, które rzucił mu szef. – To prawda! To prawda!

– A hasło? – zapytał Max. – Na pewno jest hasło, żeby odsunąć głaz przy wejściu...

– Tego nie możemy zdradzić – odezwał się Hrunta. –

Płumpka obdarłby nas ze skóry!

– Nie musi się o tym dowiedzieć – wzruszył

ramionami Max. – Więc albo mówicie, albo zostawiam was dla wilków. Policzymy do trzech, na trzy odpowiadacie. Raz... dwa...

– Bitka-lubka-bool Gobliny zgodnym chórem wypluły z siebie hasło, ponieważ w zasięgu wzroku pojawiło się kilka par żółtych oczu. Muły szarpnęły się w zaprzęgu i zaczęły bić kopytami w ziemię, a trzy szare wilki zmarszczyły górne wargi i zaczęły warczeć.

– Wynocha! – wrzasnął Max i wystrzelił z dłoni jaskrawoniebieską błyskawicę. Wilki wystraszyły się i pierzchły w mrok lasu. Zwrócił się teraz do goblinów, które bełkocząc, błagały, by je uwolnił. Max odwiązał

jednego po drugim i postawił na ziemi. Wszystkie, przyczajone, rozglądały się, czy za drzewami nie kryje się żaden wilk.

– Dobrze – rzekł Max, popychając gobliny w stronę wozu. – Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. Wiem, gdzie mieszkacie. Znam hasło. Jeśli spróbujecie coś kombinować lub mnie zdradzicie, obiecuję, że wkrótce odwiedzą

was

Kwaśnobienni,

Czamoplecy

i

Zielonozębi, a może nawet ten troll z przełęczu północnej...

– Tylko nie troll! – pisnął Skeedle. – To najdziksza istota w dolinie!

– Nie, Skeedle – rzekł Max i posadził małego goblina na wozie.

– Najdzikszy w całej dolinie jestem ja.



# NIX I VALYA

Był późny maj. Max, pogwizdując, szedł stromą ścieżką znad jeziora do domu. Porcellino próbował go naśladować, ale jego wysiłki kończyły się na pełnym werwy pohukiwaniu.

Claudia zatrzymała się i odwróciła do chłopca, mówiąc:

– Plujesz mi tu! Plujesz mi na ryby!

– To włóż je do koszyka – odparł niezrażony Porcellino. – Wyjęłaś je tylko po to, żeby się chwalić.

– Wcale nie, lubię się przyglądać, jak się mienia w słońcu – oznajmiła Claudia, podziwiając cztery połyskujące pstrągi. – Jesteś zazdrosny, bo sam żadnego nie złapałeś, i tyle.

– Złapałem dużo ryb – upierał się chłopiec i ukucnął, by zawiązać but. – Ale nie jestem tak zachłanny jak ty, więc je odłożyłem. Złapałem jedną ogromną, tuż zanim odeszliśmy.

– To dlaczego wciąż masz przynętę na haczyku? –

dopytywała Claudia.

– Jestem przygotowany na następne łowienie.

Dziewczynka prychnęła z pogardą i Max kazał jej przestać. Niech się raczej skupi na swej imponującej zdobyczy, a Porcellino niech lepiej ćwiczy gwizdanie, podczas gdy Max odpocznie chwilę od ich ciągłego przekomarzania.

Ciepły wiaterek unosił w powietrzu pyłek kwiatowy, a las dźwięczał od świergotu ptaków, łopotu ich skrzydeł i tupotania goniących się po drzewach wiewiórek. Szli dalej, a Max rozmyślał o Julie i znajomych z Rowan.

Zbliżał się tam czas końcowych egzaminów. Biblioteki pękały w szwach, kawiarenki w miasteczku pełne były uczniów w panice zgłębiających tajniki znaków runicznych i podstawowych wezwań... Pomyślał o kuchniach i o Bobie gotującym bez pomocy pana McDanielsa i wiedźm. Zrobiło mu się na tę myśl tak smutno, że spróbował przywołać obraz Nicka i Kirke, starej Yai, a nawet sir Olafa wysyłającego na posyłki biedne Friggę i Helgę. Wydawało mu się, że Rowan należy do innej epoki.

Jego życie na farmie było w miarę spokojne i wyizolowane. Od czasu spotkania z Maksem gobliny dostarczały im żywność dwa razy w miesiącu i przywiozły na farmę jeszcze pięcioro dzieci. Max zastanawiał się nad rozbudową domu. Było tam osiem sypialni, lecz robiło się w nich coraz ciasniej – dzieci przybywało, a był przecież jeszcze Max, Isabella i mała Gianna, która ząbkowała i często bywała rozdrażniona.

Kiedy zbliżał się do farmy, witały go znajome dźwięki. Owce, oczywiście, lecz od czasu ostatniej wizyty goblinów mieli jeszcze trzy mlecze krowy i krzepkiego byczka. Ten ryczał donośnie z pastwiska, a jego rykom towarzyszyło stukanie dwóch młotków – to Mario i Paolo naprawiali

cieknący dach nad północno-zachodnią sypialnią. Max usłyszał nagle jeszcze jeden odgłos, którego nie oczekiwał.

Śmiech mężczyzny.

Pokonawszy spieszny krok do szczytu pagórka, Max wyrzał na drogę i zobaczył, że przed nowym ogrodzeniem, dającym oparcie winorośli, stoi wóz, a dwie czarne kłaczki uwiązane do ogrodzenia jedzą z ręki Miny owies. Dziewczynka pomachała do Maksa, kiedy z Porcellinem i Claudią wyłonił się z lasu.

Znowu usłyszał śmiech – dochodził zza domu. Max położył wędkę przy korycie z wodą dla zwierząt i obszedł

dom. Okazało się, że na ganku Isabella rozmawia z dwojgiem obcych ludzi – mężczyzną i kobietą.

– Aj! – wykrzyknęła kobieta, kiedy Gianna złapała ją za włosy i próbowała włożyć je sobie do buzi. Zaśmiała się i odrzuciła siwe warkocze na plecy. Dziecko włożyło do buzi własną różową piąstkę.

– Posmaruj jej dziąsła olejem – poradził silny, smukły mężczyzna, na oko siedemdziesięcioletni. – Nie będzie taka dokuczliwa. – Jego oczy błysnęły w stronę Maksa, który zatrzymał się w pewnej odległości i ich obserwował. – Ty musisz być Max! – wykrzyknął.

– Dzień dobry – odezwał się chłopak, uprzejmie kiwając głową.

– Miło mi cię poznać – rzekła kobieta i oddała Giannę matce. – Isabella już nam o tobie opowiedziała.

– Naprawdę? – Max się uśmiechnął.

– Mówi, że jesteś błogosławieństwem – zaśmiał się mężczyzna. – I wystarczy rozejrzeć się dokoła, by stwierdzić, że to prawda. Nigdy bym nie przypuszczał, że kiedyś zobaczę to miejsce w takim świetnym stanie.

Starszy pan tryskał zdrowiem i energią. Wyciągnął do Maksa mocną, pełną zgrubień i odcisków dłoń.

– Jestem Nix – przedstawił się i mrugnął wesołym, niebieskim okiem spod krzaczastej siwej brwi. – A to moja żona, Valya.

Pulchniutka starsza pani uśmiechnęła się serdecznie i w podobny, pełen ciepła i zdecydowania sposób, potrząsnęła ręką Maksa.

– Mieszkamy po drugiej stronie doliny – wyjaśnił

Nix. – Powinniśmy byli was odwiedzić już dawno, ale zajmowaliśmy się Pietrem i Aną, kiedy się u nas pojawili.

Valya wykrzywiła twarz.

– Jak się mają? – spytał Max.

– Nie wiem – odparł Nix i usiadł na krześle. – Parę miesięcy temu poszli sobie od nas. Po tym, jak pewnej nocy nieopodal naszej chaty wałęsał się troll, nie chcieli zostać.

– Mieszkacie koło trolla? – spytał zaciekawiony Max.

Valya kiwnęła głową.

– Tuż pod jego nosem. Dotychczas nigdy nie zawracał sobie nami głowy, ale ostatnio coś często schodzi z gór. Po roztopach Ana i Pietro odeszli na wschód.

– To ich wybór, oczywiście – rzekł Nix. – Ale nie bardzo żałowaliśmy, że odchodzą, prawda? Nigdy nie podobało nam się, co oni tu wyprawiali – dodał i sięgnął

po jedną z oliwek, które podała na drewnianej tacy Isabella.

– Jeśli wam się nie podobało – powiedział sztywno Max – to dlaczego nic nie zrobiliście?

– Próbowaliśmy – wyjaśniła Valya. Umazała sobie palec oliwą z oliwek i masowała nim dziąsła Gianni. –

Ale kim jesteśmy w porównaniu z takim potworem?

Namawialiśmy Pietra, żeby stąd uciekł... Przywoziliśmy dzieciom podarki, kiedy tylko się dało.

– Dziś też coś dla nich mamy – zaśmiał się Nix i pokazał ręką na stos skrzynek – ale przy tym, co wyciągasz od Szerokorondych, to prawie nic. Oczom nie wierzę, kiedy patrzę na to miejsce... Świeża farba, krowy, nowe narzędzia, nawet czekolada, prawdziwa czekolada!

– Isabella pokazała mi kołowrotek – szepnęła Valya, pochylając się do Maksa konspiracyjnie. – Zaczarowany, sam pracuje... Gdzie można taki dostać? Moje ręce zrobiły się już takie sztywne...

– Hmmm – mruknął Max i spojrzał wilkiem na Isabelle. – Wygląda na to, że ktoś wygadał wszystkie nasze małe sekrety. A może tak jeden czy dwa zostawilibyśmy dla siebie?

– Ej, nie ma powodu do kłótni – zaśmiała się Valya i przetarła oczy, ponieważ wiatr przyniósł więcej pyłku. –

Wszyscy jesteśmy tu przyjaciółmi. Isabella mówiła, że jesteś bardzo odważnym chłopcem, ale o tym, że takim przystojnym, nie wspomniała ani słowem!

– Na miłość boską, Valya, nie zawstydzaj chłopaka –

skarcił ją Nix. – A poza tym ja też tu jestem.

– Ej, cicho bądź! – przerwała. – Wykorzystuję przywilej



mojego

wieku.

Starszej

pani

wolno

komentować, co jej się podoba, i to bez konsekwencji. I jeśli mam ochotę powiedzieć, że ten młody człowiek to najpiękniejsza istota, jaką w życiu widziałam, to powiem i już. Myślisz, że zapomniałam o tej wywłoce Sophii?

– Była aktorką! – jęknął Nix i potarł skronie. – Nawet jej nie poznałem! Widziałem ją tylko w filmie, a było to pięćdziesiąt lat temu, na miłość boską!

– To dokładnie to samo – upierała się Valya, wydymając wargi.

– Pamiętacie filmy? – wtrącił zaciekawiony Max.

Ale Nix tylko mrugnął i uśmiechnął się do niego, jakby nie słyszał pytania. Max powtórzył je, lecz starsza para droczyła się, aż rozmowa odpłynęła na inne tory.

– A więc – powiedziała Valya, poklepując Isabellę po kolanie – gobliny przywożą wam żywność i narzędzia, a co z zabawkami? Załóżę się, że maluchom przydałoby się coś do zabawy.

– Na pewno – odparła Isabella. – Ale i tak jesteście dla nas za dobrzy.

– Nonsens! – wykrzyknął Nix, uderzając się w kolano. – Uwielbiamy dawać prezenty. A w ogóle to myślę, że można już kupić zabawki Na Rozstajach. A to, że są przeznaczone dla małych faunów czy satyrów, na pewno nie przeszkodzi dzieciom się nimi bawić.

– Wybacz, że zapytam – wtrącił Max – ale... no... jak to się dzieje, że tak swobodnie się poruszacie? Nie boicie się goblinów?

– A co tym ohydny goblinom do nas? Albo staremu trollowi? – zaśmiała się Valya. – My ich zostawiamy w spokoju, a one nas. Żyj i pozwól żyć innym.

– Dobrze, Max – zmienił temat Nix, patrząc uważnie na chłopca. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz, kiedy powiem, że nie mówisz idealnie w naszym języku.

Isabella powiedziała, że pewnego dnia przybyłeś z za morza. Czy to może być prawda?

Maksa zaskoczyło to szczere pytanie i nie odpowiedział.

– Za dużo gadasz – syknęła Valya na męża.

– Nie – odparł Max i przeszedł przez ganek. – To Isabella za dużo gada. Przepraszam na chwilę.

Wszedł do środka, przeklinając nierozwagę młodej kobiety. Wiedział, że zrobiła to w dobrej wierze, ale z drugiej strony nie było wątpliwości, że Nix i Valya przemierzają się po całej dolinie i że mają do czynienia z ludźmi oraz różnymi stworzeniami. Ostatnią rzeczą, jakiej życzył sobie Max, było, by po okolicy rozniosła się wieść, że samotne gospodarstwo kwitnie pod kuratelą tajemniczego chłopca zza morza. Musiałoby to wywołać wiele pytań i przyciągnąć uwagę rozmaitych osób, w tym nawet braymy. Max kopnął stołek, który z hałasem upadł

na podłogę. Rozejrzał się po dużym pokoju. W rogu pracował zaczarowany kołowrotek, zmieniając skłębione runo w równą, cienką nić. Na ścianach jaśniała świeża farba, spiżarnie wypełnione były soloną wieprzowiną, przetworami z owoców, a nawet przywiezionym przez gobliny miodem w szkliwionych glinianych baryłkach. Na podwórzu stał już szkielet nowej stodoły, przygotowane było drewno do jej wykończenia, a na pastwisku pasło się spore stado. Nie sposób było ukryć dobrej passy zrujnowanego niegdyś gospodarstwa.

Może to on, Max, był nierozważny.

Wszedł po schodach i długim korytarzem skierował

się do swojej sypialni – najmniejszej z ośmiu, wciśniętej między krokwie, z jednym wąskim oknem wychodzącym na zielone wzgórze i wiodącą na południe drogę.

Na niewielkim materacu ułożył wszystko, co posiadał: wysłużony plecak, laskę wędrowca, gladius i osobiste pamiątki – brzytwę ojca i perłową broszkę od Scathach. W plecaku znajdowało się to, co zostało z Gae Bolga, owinięte w białe płótno. Pod zawiniątkiem leżał

zniszczony dziennik Maksa.

Rozległo się stukanie do drzwi. Stanęła w nich zdenerwowana Isabella.

– Wiem, że zrobiłam coś nie tak – powiedziała. –

Przepraszam, nie gniewaj się na mnie.

– Gdzie oni są? – spytał.

– Valya zajmuje się Gianną, a Nix gra z dziećmi w piłkę.

– Widać, że masz do nich zaufanie – zauważył Max.

– Tak – odparła. – To bardzo dobrzy ludzie. Przykro im, że cię urazili.

Max skinął głową.

– Isabello, spróbuj to zrozumieć – zaczął. – Mam wielu, wielu wrogów, którzy być może zastanawiają się, gdzie się podziewam. Wrogowie ci wiedzą, że przybyłem zza morza. Jeśli ludzie

zaczną o mnie plotkować... o chłopaku, który zabił potwora... wrogowie przyjdą tu mnie szukać. Znajdą to miejsce i nas wszystkich – a są znacznie gorsi od goblinów.

– Powiem im, żeby milczeli – rzekła. – Jestem pewna, że rozumieją. Są bardzo mądrzy; przed wojną byli profesorami, tak mi się wydaje. Zawsze, kiedy przyjeżdżali, zostawali tu na noc, ale na pewno odjadą, jeśli sobie tego życzysz.

– Nie – zaprotestował Max. Czuł się winny i niegościnnie. – Porozmawiam z nimi po kolacji, kiedy będziesz kładła dzieci spać. Mogą przenocować u mnie w pokoju.

Isabella skinęła głową, po czym jej wzrok napotkał perłową broszkę.

– Dostałeś to od kobiety? – spytała.

– Tak.

Za zgodą Maksa obejrzała broszkę i pochwaliła jej misterną robotę, po czym przeniosła wzrok na otwarty dziennik.

– Umiesz czytać te znaczki?

– Oczywiście – odparł. – Sam je napisałem.

– Nauczysz mnie? – zapytała. – Kiedyś je znałam, często mi się śnią... ale sen odpływa, a ja potem nic nie pamiętam. Chciałabym się ich znowu nauczyć.

Max pomyślał o dekretach Astarotha.

– Nie mogę... – westchnął. – Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że umiesz pisać... Nie warto ryzykować takiego niebezpieczeństwa, Isabello.

– No to pójde zająć się kolacją – odparła sztywno.

Godzinę później pokój wypełnił się dorosłymi i gwarzącymi dziećmi, tłoczącymi się przy kilku stołach.

Gobliny przywiozły im prawdziwe obrusy, tłuszcz wielorybi do lamp, a nawet sól i pieprz, które stały teraz na stołach w małych miseczkach.

Max zasiadł u szczytu głównego stołu i prowadził

uprzejmą rozmowę z Niksem i Valią, gdy tylko dzieci, które znały starszych państwa, pozwoliły im dojść do głosu. Kiedy Claudia podarowała im dwie własnoręcznie złowione ryby, Nix odezwał się do Maksa:

– Jesteś dla tego miejsca błogosławieństwem. Proszę, przyjmij nasze przeprosiny za to nieporozumienie. Nie chcieliśmy nikogo obrazić.

– Oczywiście. Wiem, że nie – odpowiedział Max ze wzrokiem wbitym w talerz. – Porozmawiamy po kolacji.

Okazja nadarzyła się jednak dopiero późnym wieczorem. Obecność gości i prezenty ożywiły dzieci do tego stopnia, że jak szalone biegały po pokoju, wspinały się na meble, odpakowywały podarki i, ogólnie mówiąc, tworzyły ogromny chaos, dopóki zdesperowana Isabella nie zagnała ich wszystkich na górę. Weszły po schodach z wielkim łomotem, wśród okrzyków protestu. Max został sam na sam z gośćmi.

Nalegał, by starsi państwo siedzieli przy stole, podczas gdy on sprzątał naczynia.

– Mam nadzieję, że rozumiecie moje obawy... –

zaczął. – Niedobrze byłoby, gdyby ktokolwiek dowiedział

się o tym miejscu, o naszym układzie z goblinami albo o mnie...

– Zachowamy całkowitą dyskrecję – obiecał Nix.

Valya skinęła głową dla potwierdzenia, po czym kichnęła w serwetkę.

– Jesteś zaziębiona? – spytał Max, wstawiając naczynia do wanienki z mydlinami.

– Nie, to te pyłki – wyjaśniła, pocierając oczy. –

Zawsze mi dokuczają o tej porze roku.

– Jak długo mieszkanie w dolinie? – chciał wiedzieć Max.

– Och – zaśmiał się Nix – długo... dłużej, niż chcielibyśmy przyznać.

– Czy góry, które widzę na północy, to Alpy? –

zapytał Max.

– Nie – odparł Nix i wziął sobie ciastko. – Apeniny.

Amerykanie często się mylą.

Max rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Pamiętasz Amerykę – zauważył. – I kino. To niezwykle.

– Jak mówiłam – Valya pociągnęła nosem i spojrzała na męża spod oka – za dużo gadasz!

– Nic się nie stało, kochanie – rzekł Nix poważnym tonem, nie spuszczać wzroku z oczu Maksa. – Coś mi mówi, że ta przyjaźń będzie wymagać więcej zaufania niż ostrożności.

– Isabella mówiła, że byliście profesorami – zagał

Max. – Gdzie uczyliście?

– W Sienie – odpowiedział Nix. – Ja uczyłem matematyki, a Valya medycyny.

– Jak to możliwe, że pamiętacie, co było przed zanikiem? – spytał Max. – Jak to możliwe, że żyjecie sobie w tej dolinie, jak gdyby nigdy nic? Coś tu się nie zgadza... coś jest nie tak.

– Dzieci mówią, że potrafisz rysować świetlne obrazy w powietrzu – rzekła Valya. – Mówią, że potrafisz strzelać ogniem z palców. Twierdzą, że jesteś magikiem.

Nix kichnął w rękaw, po czym odsunął od zaczerwienionych oczu kopczą świecę.

– Swego rodzaju – przyznał cicho Max, dochodząc do wniosku, że bezsensownie będzie zaprzeczać.

– Więc my też jesteśmy magikami... – uśmiechnął się Nix – swego rodzaju...

Mężczyzna pstryknął palcami – świece nagle zgasły, a po chwili same się zapaliły.

Nix się zaśmiał.

– No, i mniej więcej na tym się kończą nasze umiejętności – rzekł. – Nie zdaliśmy testów...

– Testów dla potencjalnych kandydatów? – Serce Maksa

gwałtownie

przyspieszyło.

–

Byliście

kandydatami?

– Jesteś uczniem Rowan? – zapytała Valya. – Tak podejrzewaliśmy. Zawsze pragnęliśmy tam pojechać, ale, jak się okazuje, to niemożliwe.

– Czy tam jest tak pięknie, jak opowiadają? – chciał

wiedzieć Nix.

– Tak – odparł Max i uśmiechnął się na samo wspomnienie Rowan. – To wyjątkowe miejsce. Ale...

czemu nie zdaliście?

– Och – westchnęła Valya i wzruszyła ramionami. –

Te testy były strasznie trudne. Ostatniego nikt nie zliczył.

Max przypomniał sobie, jak wiele lat temu w Chicago Nigel robił mu testy. Ostatni z nich był testem charakteru

– odwagi. Czy Nix i Valya byli tchórzami?

Nix znowu kichnął i zaczął trzeć oczy, które z minuty na minutę stawały się coraz bardziej zaczerwienione i opuchnięte.

– Późno się robi – pociągnął nosem, spoglądając na żonę.

– Idź się położyć, kochanie – doradziła mu. – Zawsze chce ci się spać po obfitym posiłku, a ja trochę porobię na drutach.

Nix powiedział „dobranoc” i poszedł na górę. Kiedy zniknął, Valya sięgnęła do torby i wyjęła kłębek przędzy, z której robiła skarpety dla Maria – chłopca, którego znali z Niksem najdłużej.

– Ten chłopak rośnie jak na drożdżach – westchnęła.

– Przecież nie może chodzić z palcami wyłazającymi przez dziury w skarpetach, prawda?

– Wiesz, co – zagadnął Max, zbierając kubki. –

Pewnego dnia Mario zadał mi śmieszny zagadkę. Zagadł

mnie. Ale na pewno ty, jako profesor, będziesz umiała znaleźć rozwiązanie.

– Spróbuję – zaśmiała się, a druty zastukały jeden o drugi.

– A więc – zaczął Max – gospodarz ma lisa, kurę i worek ziarna. Chce to wszystko przewieźć przez rzekę łódką, ale problem polega na tym, że za jednym razem może wziąć tylko jeden ładunek.

– Tak? – Valya zerknęła na niego z uprzejmą życzliwością.

– Bez jego nadzoru kura zje ziarno, a lis zje kurę.

– To jasne – odparła. – Taką mają naturę.

– Właśnie – dodał Max. – Więc pytanie brzmi: w jaki sposób może przewieźć wszystko bezpiecznie na drugą stronę, jeśli za jednym razem może wziąć tylko jeden ładunek?

– To proste – odpowiedziała Valya. – Jeśli weźmie tylko zboże... nie, nie, wtedy lis zje kurę. Hmmm. Więc niech weźmie najpierw lisa! Nie... wtedy kura zje ziarno....

Kiedy Valya zmagala się z zagadką, Max uważnie się jej przyglądał. Odłożyła druty, a kłębek spadł na podłogę, potoczył się i trochę rozwinął. Z przygryzioną wargą starsza pani kiwała się w przód i w tył. Głos miała coraz bardziej ożywiony.

– Ale może wziąć tylko jedną rzecz! – mruknęła do siebie, jeszcze raz przypominając sobie zasady.

Max stał przy stole i obserwował, jak Valya stuka paznokciami, a nawet wczepia się nimi w stół.

Niezauważalnym ruchem wziął do ręki nóż.

– Valya – rzekł, lecz kobieta nie odpowiedziała. Max pstryknął palcami i zawołał ją głośniej.

Spojrzała na niego czerwonymi podejrzliwymi oczami, nie przestając kiwać się w tył i w przód.

– Naprawdę myślisz, że nie wiem, kim jesteście? –

zapytał Max upiornie spokojnym głosem.

Krew odpłynęła z twarzy Valyi, a oddech jej przyspieszył. Gwałtownie, z trudem łapała powietrze.

– I naprawdę myślisz, że nie wiem, że tuż za mną stoi Nix?

Zanim skończył mówić, odwrócił się w stronę szarej, warczącej, pochylonej nad nim twarzy. Wielok obnażył

zęby i złapał go za ramiona, lecz Max wywinął się i jednocześnie wykręcił mu ramię i podciął nogi. W

mgnieniu oka zdumiony wielok leżał już twarzą do podłogi, z Maksem na plecach.

– Nie rób mu krzywdy! – zawołała Valya, zrywając się z krzesła tak, że się prawie przewróciło. – Błagam!

– Nie ruszaj się – syknął Max, trzymając nóż na gardle wieloka. – Poruszysz się, a z nim koniec.

Rozumiesz?

Wielok rzeził w uchwycie chłopca – z jego gardła pod naciskiem noża wydobywał się charkotliwy jęk. Futro Niksa miało kolor ołowiu, a jego lodowatoniebieskie oczy wywracały się, by spojrzeć na Maksa. Owłosiony czarny pysk zmarszczył się, gdy stwór odezwał się głosem upiornie ludzkim – głosem dobrotliwego profesora, który jeszcze przed chwilą bawił się z dziećmi.

– Rozumiemy doskonale – wydyszał. – Drogi chłopcze, to ty nie rozumiesz.

– Co tu jest do rozumienia? – gotował się Max. –

Dwa wieloki tak tchórzliwe, że uciekają się do przekupstwa i nęcenia ofiary...

– Nie – odparła Valya głosem pełnym przerażenia. –

To wcale nie tak. Pozwól nam wytłumaczyć.

– Kochamy dzieci – łagodnie powiedział Nix. –

Nigdy byśmy ich nie skrzywdzili.

– To prawda – poparła go Valya. – Proszę, nie osądzaj nas tylko dlatego, że jesteśmy inni. Jeśli chcielibyśmy skrzywdzić dzieci, mogliśmy to zrobić już dawno.

– Przecież jesteście wielokami – odparł wzburzony Max i spojrzał gniewnie na Valyę. – Wieloki przychodziły do mojego domu. Wieloki napadły na Rowan. Wieloki sprowadziły z powrotem Astarotha!

Valya przeżegnała się.

– Proszę – syknęła. – Nie nazywaj zła po imieniu, bo się odezwie.

– Wielok, który martwi się złem? – zadrwił Max i wzmocnił uścisk na dłoni Niksa. – Wieloki są złe. Wiem o waszym gatunku wszystko.

– Twoja wiedza pochodzi z Rowan – zakasłał Nix. –

A Rowan nigdy nie rozumiała „naszego gatunku”, jak to pięknie określiłeś. Proszę, pozwól mi wstać, mój chłopcze. Nie zamierzamy wyrzucić krzywdy ani tobie, ani nikomu innemu.

– Jeśli nie zamierzacie – rzekł Max – to w jakim celu zmieniłeś kształt? Dlaczego próbowałeś podkraść się do mnie od tyłu?

– Powód nie jest tak straszny, jak to sobie wyobrażasz – wyjaśnił wielok. – Zmieniłem kształt, ponieważ trwanie w ludzkiej postaci jest dla mnie bolesne. Przeobraziłem się już w pokoju i zszedłem na dół, bo usłyszałem, że Valya jest czymś wzburzona. Nie miałem wątpliwości, co się dzieje. Chciałem tylko powstrzymać cię od dalszego męczenia mojej biednej żony, a potem wszystko wyjaśnić.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał Max. –

Zamiast skończyć z wami właśnie tu i teraz?

– Ponieważ nie jesteś mordercą.

– Proszę, pozwól mojemu mężowi wstać – łagodnie odezwała się Valya. – Zadajesz mu ból.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z takim współczuciem i szczerością, że dało Maksowi do myślenia. Ciało Niksa przestało się napręzać, jego oddech stawał się coraz płytszy, a oczy wpatrywały się w dal.



Wielok wydawał się całkowicie zrezygnowany i przygotowany na wszystko, cokolwiek Max postanowi z nim zrobić.

Chłopiec powoli zwolnił uścisk na zmierzwionej sierści na gardle wieloka i zszedł z jego pleców. Zanim Nix się podniósł, niepewnie zerknął na Maksa i jego nóż, po czym powoli wstał i obszedł stół dookoła, by usiąść obok żony. Mimo że Max nie spuszczał z niego oka, wielok skurczył się, a jego wilcze cechy zaczęły zanikać.

Po chwili przy stole siedział już tylko zmęczony starszy pan w nocnej koszuli.

– Dziękuję. – Nix odetchnął głęboko, kiedy Valya z troską otarła mu pot z czoła.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Olbrzymi pokój wypełniony był ciszą i chybotliwymi cieniami rzucanymi przez migoczące płomienie świec. Max uważnie przyglądał się na przemian Niksowi i Valyi. Para spoglądała po sobie bez słowa.

– Dobrze – rzekł Max i wycelował w nich ostrze noża. – Chcieliście mi to wyjaśnić, więc proszę bardzo.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Valya ze smutnym uśmiechem. – Niełatwo jest być wielokiem. Wyobraź sobie, że przez całe życie jesteś celem polowań, musisz się ukrywać, żeby nie odnalazł cię agent Rowan.

– Rowan odebrała mi czwórkę rodzeństwa – mruknął

Nix, licząc coś na palcach.

– A całą moją rodzinę ujęto dwadzieścia lat temu –

dodała Valya. – Spotkali się, by świętować urodziny wujka. Wpadli w zasadzkę w lesie.

– Zastanawiasz się, czemu się chowamy? – zapytał

Nix. – Nie rozumiesz, dlaczego udajemy, że jesteśmy ludźmi, skrywając swą prawdziwą naturę?

– Rowan nie zabijałaby wieloków, gdyby te nie czyniły zła – warknął Max.

– Ach – mruknęła Valya – czy wieloki czyniliby zło, gdyby ludzie ich nie ścigali? Nie, lepiej się nie sprzeczać, lecz posłuchaj jeszcze chwilę.

Max oparł się wygodnie na krześle i powstrzymał

nico niechęć, a Valya mówiła dalej.

– Jest dużo wieloków, które polują na ludzi i które połączyły siły z Wrogiem. Są też wieloki, które infiltrowały rządy i korporacje oraz przyczyniły się do powrotu Demona. Ale wieloki nie są z gruntu złe, mój chłopcze. Nie ma w nas nic z natury złego.

– Dobrze – zadrwił Max. – Rozumiem w takim razie, że są tylko „nierozumiane”.

– Ciekaw jestem – zastanawiał się na głos Nix – co wiesz o naszej historii.

– Wszystko – rzekł Max i zaczął recytować podręczniki Rowan. – Mięsożerne istoty zmieniające kształty, potajemnie żyjące wśród ludzi. Potrafią hipnotyzować ofiary głosem, jednak można rozproszyć ich

uwagę

zagadką

i

wywołać

reakcję

obsesyjno-kompulsywną. Są przeważnie większe od wilkołaków, ale też znacznie bardziej różnorodne, jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. Potrafią kontrolować zmiany kształtów, które są u nich niezależne od cyklu księżyca. Bardzo wrażliwe na światło. Stworzenia inteligentne, często łączące się w pary na całe życie...

– Dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy – zwróciła się do męża Valya. – Rowan nie uczy niczego innego, jak tylko tego, jak nas rozpoznać i zabić.

– Wieloki próbowały mnie uprowadzić, zanim poznałem ludzi z Rowan – rzekł ponuro Max.

– Oczywiście, że wiele zeszło na złą drogę –

przytaknął Nix. – Nie mamy zamiaru zaprzeczać. Wieloki nie są jednak z natury gorsze od ludzi, wilków czy niedźwiedzi. Ludzie od zawsze atakowali to, czego się bali, a wieloków bali się od samego początku.

– A gdzie jest ten początek? – zapytał Max. – I dlaczego ja nic do tej pory o nim nie słyszałem?

– Nie słyszałeś, bo ta wiedza była zawsze tłumiona, zakazywana, aż powstała z niej swoista mitologia – odparł

Nix. – Jednak korzenie wieloków wywodzą się z tej doliny. Jesteśmy istotami powiązanymi z powstaniem Rzymu.

– Co wieloki mogą mieć wspólnego z Rzymem? –

zapytał Max tonem pełnym powątpiewania.

– Cóż – zaczęła Valya – jak się być może uczyłeś, miasto otrzymało nazwę od imienia mężczyzny –

Romulusa, który wraz ze swym bratem Remusem został

porzucony w dziczy, by tam zginęli. Uratowała ich jednak wilczyca, która dbała o nich i dzięki której przeżyli.

Uwaga: to nie była zwyczajna wilczyca, to był pradawny duch uwięziony w wilczym ciele, który przekazał

wychowywanym dzieciom część swej istoty.

– Kiedy bracia dorośli – podjął Nix – Romulus zapragnął rządzić ludźmi i postanowił stłumić dziką, zwierzęcą część swej osobowości. Remus jednak nie miał

takich ambicji, nie wstydził się swej zwierzęcej części i spędził życie w lesie. Historycy twierdzą, że Romulus zamordował brata, by pozbyć się konkurenta do rządów nad miastem nazwanym od jego imienia. Tak jednak nie było. Prawda jest taka, że Romulus obawiał się, iż Remus może zdradzić tajemnicę ich podwójnej natury. W obawie przed tym, że ludzie będą ich unikać, a nawet próbować ich pojmać, Romulus zaplanował zamach na brata. Chciał

być pewien, że tajemnica ich pochodzenia nigdy nie wyjdzie na jaw. Nie mógł się jednak zmusić do zadania bratu śmiertelnego ciosu i zamiast tego zesłał go na wygnanie. W ten sposób Remus zawędrował na północ i, ogólnie mówiąc, zniknął z historii dziejów.

– My osobiście lubimy wyobrazać sobie, że przechodził właśnie tędy – rzekła Valya i ścisnęła męża za rękę.

– Cóż, na pewno tego nie wiemy, ale to bardzo prawdopodobne – powiedział Nix. – Wiemy za to na pewno, że Remus napotkał na swej drodze etruską wiedźmę, z którą przeżył resztę swych dni. W końcu przenieśli się do Galii, a potem do Germanii. Ich potomstwem było pięć wieloków obdarzonych zarówno dzikim duchem ojca, jak i magicznymi właściwościami matki, oraz zdolnościami mistycznymi – takimi samymi jak ludzie uczący się w starożytnych szkołach. Wielokom jednak zakazano pobierania nauk.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Max.

– Ponieważ budzili wśród ludzi strach –

odpowiedziała Valya. – Dokładnie tak samo było, kiedy z Niksem przechodziliśmy testy dla kandydatów.

– Co za parodia – westchnął Nix i potrząsnął głową. –

Pewnego

ranka

zobaczyłem

coś

zupełnie

nieoczekiwanego. Złote światło, mrugające, tańczące poza moim zasięgiem. Pobiegłem za nim, na próżno, lecz wkrótce dostałem list z Ameryki, z dalekiej szkoły zwanej Rowan. Następnego dnia, kiedy rodzice pracowali w polu, odwiedziła mnie urzędniczka od rekrutacji. Zaliczyłem dwa pierwsze testy, ale trzeci tak bardzo mnie wystraszył, że nie wytrzymałem i przeobraziłem się w moją pierwotną formę.

– I co zrobiła ta od rekrutacji? – zapytał Max.

– Spakowała się i pojechała. – Nix skrzywił się i wzruszył ramionami. – Była zdziwiona, bez dwóch zdań, lecz znacznie mniej niż moi rodzice, kiedy wrócili i dowiedzieli się, co się stało. Musieliśmy pakować manatki i uciekać, zanim dopadli nas agenci. Chwilowo nam się udało, lecz w końcu dobrali się do mojej rodziny. Ja w tym czasie studiowałem na uniwersytecie.

– Ależ to okropne – Max z wrażenia aż wiercił się na miejscu. – To znaczy, za co zostali złapani? Zrobili coś złego?

– Za to, że byli wielokami – wyjaśnił Nix.

– Strasznie mi przykro – wyjąkał Max. – Nie miałem pojęcia, że takie rzeczy się zdarzają... że Rowan jest odpowiedzialna za takie sprawy.

– Dobrze, że opuściłeś Rowan, zanim zdążyłeś zostać agentem – rzekła Valya. – Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

– Ale... ja już jestem agentem – rzekł Max i poczerwieniał. – A przynajmniej byłem.

– Ty? – zaśmiał się Nix. – Bardzo cię przepraszam, ale czy nie jesteś przypadkiem ciut za młody?

– Nie – odparł Max. – Złożyłem przysięgę. Jestem nawet członkiem Czerwonego Bractwa.

Starsi państwo wzdrygnęli się, słysząc tę nazwę. Po chwili Valya zaśmiała się sztucznie i poklepała męża po ręku.

– Na pewno się z nami droczy, kochanie. To żart.

– Nie – powiedział Max i wstał, by odsłonić nadgarstek i zademonstrować tatuaż. – Naprawdę jestem w Czerwonym Bractwie.

Dwa wieloki gapiły się na niego z ustami rozdziawionymi z przerażenia.

– To znaczy, że jesteś... Maksymem McDanielsem? –

spytała z niedowierzaniem Valya.

Max skinął głową.

– Ale... ale to niemożliwe! – wybąkał Nix. – Max McDaniels to nie chłopiec, to potwór!

– Pies spijający krew swych ofiar – mruknęła blada Valya.

– Jest demonem – dodał Nix. – Demonem w ludzkim ciele...

– Kto wam naopowiadał tych bzdur? – spytał Max.

– Co masz na myśli? – spytała zdezorientowana Valya. – Każdy wielok o nim słyszał! To postrach wszystkich młodych wieloków!

– Bądź grzeczny, bo przyjdzie Max McDaniels i cię zabierze! – wyrecytował Nix.

– Żartujecie sobie – rzekł Max, równie poruszony, co rozbawiony. – Ale przecież ja taki nie jestem.

– Właśnie! – wykrzyknął Nix. – Prawdziwy Max McDaniels ma trzy metry wzrostu i...

– I kiedy krzyczy, góry drżą w posadach – dodała stanowczo Valya.

– Jest łajdakiem, w dodatku z okrutnym poczuciem humoru – westchnął Nix.

Lecz Max stał przed nimi, a ich oczy wędrowały od jego twarzy do ręki z czerwonym tatuażem przedstawiającym podniesioną dłoń i sznur związany w pętlę – symbol elity Rowan.

– Chyba naprawdę mamy szczęście – powiedziała zamyślona Valya, pociągnęła nosem i ciałniej opatulila ramiona szalem.

– Mówiłem ci, że coś jest nie tak – mruknął jej mąż. –

Gobliny nie przywożą ludziom magicznych kołowrotek.

– A ja muszę teraz umrzeć – jęknęła Valya, zerkając na cudowną maszynę. – Umrzeć, zanim zdążę skorzystać z tego cudownego urządzenia.

– O czym ty mówisz? – spytał Max.

– No przecież zaraz nas zabijesz – powiedział Nix ze spokojną rezygnacją.

– A naszymi wnętrznościami przyozdobisz ściany swego domu – dodała Valya. – Taki masz zwyczaj.

– Jesteście niepoważni! – wykrzyknął Max, wpatrując się z napięciem w ich twarze.

Starsi państwo wzięli się za ręce i patrzyli na niego szczerym spojrzeniem.

– Nie mam zamiaru was krzywdzić – zaśmiał się Max. – Miałem zamiar przeprosić... poprosić was o wybaczenie za cierpienia, na jakie naraziła was Rowan.

Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, była to wielka niesprawiedliwość. Tak nie powinno być.

– Więc... nie zamierzasz nas pozabijać? – szepnęła Valya z bolesnym grymasem.

– Nie – odparł Max i machnął ręką. – Miałem zamiar zrobić wam herbaty. Przeobraźcie się tak, jak wam wygodniej. Jesteście moimi gośćmi.

– Valya, on mówi poważnie?

– Tak mi się wydaje.

– Pomyśl tylko, moja droga – wykrzyknął Nix i poprawił nocną koszulę, by zakryła jego blade łydki.

–

Max McDaniels robi nam herbatę.

– Poproszę dwie kostki cukru – dodała Valya. – Jeśli można...

Max rozmawiał z wielokami do białego rana. Ku jego zdziwieniu ich towarzystwo okazało się niezwykle przyjemne. Potrafili słuchać, odpowiadali na jego pytania na temat wieloków w sposób wyważony i przemyślany, opowiadali o własnym życiu i o Królestwie Blys.

Ten ostatni temat interesował Maksa szczególnie, lecz ku jego rozczarowaniu okazało się, że wiedza Niksa i Valyi kończyła się na Alpach i Apeninach. O terenach położonych za tymi łańcuchami górskimi para wiedziała niewiele. Byli w stanie powiedzieć tylko tyle, że Blys podzielone jest na dziesięć księstw, którymi rządzą dobrze ustawione lub dobrze urodzone demony. Królem jest Prusias, ale wyglądało na to, że jego królestwo stanowi raczej dość luźną konfederację, w której układy sprzymierzonych zmieniają się jak położenie ziarenek piasku na smaganej wiatrem plaży.

Nix i Valya wymieniali nazwy hrabstw i baronii oraz ich władców, lecz były to tylko strzępy wiadomości zasłyszanych

od

goblinów

i

innych

stworzeń

poruszających się głównymi traktami handlowymi. Nie wiedzieli nic na temat organizacji królestwa demonów, jego mapy, listy najważniejszych księstw i ich władców.

Max, odkąd przybył do Blys, uczynił już sporo dobrych rzeczy, ale ani o krok nie przybliżył się do upragnionej zemsty. Dręczyło go to za każdym razem, kiedy brał do ręki brzytwę ojca.

– Niejednokrotnie wspominałeś tego Wyndrę – rzekła Valya, patrząc na niego w zamyśleniu. – I słyszę w twoim głosie nienawiść. Ten demon cię skrzywdził?

– Zabił mojego ojca – odparł Max głosem napiętym jak struna.

– Ach – westchnął Nix. – I chcesz go odszukać, by się zemścić, czy tak?

Chłopak skinął głową. Wielki zrobiły się nagle bardzo poważne.

– Max – powiedział łagodnie Nix – to absolutnie nierozsądne. Szykujesz stryczek na swoją szyję.

– Może – odparł spokojnie Max. – Ale to moja szyja.

– A Mina, zgodzi się? A Isabella? Przecież teraz od ciebie zależą – zapytała Valya.

– Nie odejdę, dopóki nie będą dobrze urządzone –

odpowiedział Max. – Ale ten dzień się zbliża.

– Świat się zmienił – powiedział Nix, dolewając Valyi herbaty. – Na tym świecie, Max, wszyscy jesteśmy sierotami. Każdy z nas kogoś stracił. Ty – ojca. Ale te dzieci... czyż one nie straciły już wszystkiego?

Pod surowym spojrzeniem wieloka Max odwrócił

wzrok.

– Rowan wymordowała nam rodziny – ciągnął

łagodnie Nix. – Zabrała nam prawie wszystko. Czy mamy w związku z tym oddać jeszcze więcej, samych siebie?

Czy złość i gniew powinny zawładnąć nami na resztę życia? Czy to mądre?

– Podziwiam, że jesteście w stanie z tym żyć –

powiedział Max, wbijając ręce w kieszenie i podchodząc do wschodniego okna. – Ja tak nie potrafię, Nix.

– Zastanów się więc nad kwestiami praktycznymi –

rzekła Valya, pochyliła się do przodu i zaczęła ku przestrodze machać palcem. – Demony nie należą do tego świata. Są nieśmiertelne, i – przepraszam cię bardzo za nietakt – żaden chłopiec im nie zagrozi. Jeśli ten Wyndra łaknie korony Prusiasa, to znaczy, że musi być potężny.

Pewnie jest jednym z książąt. Jest ogniem, śmiercią i zarazą. Zamorduje cię. To pewne jak fakt, że słońce wschodzi i zachodzi.

Max zapatrzył się w ciemny krajobraz za oknem. Na wschodzie widniał już małe rąbek światła. – Nie proszę was o współudział – zwrócił się do nich. – Tylko o informacje.

Wilcza twarz Valyi była cicha i skupiona. Nie wyrażała dzikiego zwierzęcego sprytu, które to cechy Max przypisywał jej gatunkowi. Valya skubała naszyjnik i przyglądała się zawieszonemu na nim małemu talizmanowi z kutego złota.

– On nam zawierzył, Nix – westchnęła. – Musimy zrobić to samo.

– Musimy, to musimy, Valya.

Z tymi słowy zmęczone wieloki weszły po schodach, by przespać się choć z godzinę, zanim cały dom się obudzi.

Zostali w gospodarstwie Maksa jeszcze dwa dni.

Kiedy tylko dzieci dawały im chwilę spokoju i nie prosiły o zabawę, prezenty lub dzikie opowieści, wieloki siedziały przy stole i dzieliły się z Maksem i Isabellą swoją wiedzą i doświadczeniem, jeśli chodzi o trudne sprawy codzienności.

Pochłonęło ich obliczanie, ile jest gąb do wykarmienia, znoszonych przez kury jaj, cyklów uprawy roślin, zbieranych plonów i potrzebnych zapasów. Max zwrócił uwagę, że przez cały czas, licząc osoby w gospodarstwie, brali pod uwagę także siebie, podkreślając, że w szacunkach należy zawsze „zakładać w górę”. Nie skomentował tego, ale w głębi serca miał nadzieję, że wieloki przeprowadzą się do gospodarstwa na stałe i przejmą opiekę nad Isabellą i dziećmi.

Kiedy Nix i Valya zbierali się do odjazdu, pomógł im zapakować wóz, podczas gdy oni żegnali się z dziećmi i wesoło gruchali do Gianni. Wspinając się na kozioł, Valya obiecała, że zrobią, co w ich mocy, by zdobyć jak najwięcej informacji i wrócić za miesiąc czy dwa. Nix cmoknął na konie i potrząsnął lejcami. Konie, parszkając, ruszyły kłusem po starym gościńcu.





# SKEEDLE I TROLL

Był koniec czerwca. Max układał list do Julie Teller, która na pewno zdawała właśnie egzaminy na koniec roku szkolnego. Wyobraził ją sobie, jak siedzi w ławce w Maggie i gorączkowo, pod czujnym okiem nauczyciela, pisze test. Uśmiechnął się do tej myśli.

Tak naprawdę nie miał zamiaru wysłać jej listu. Po pierwsze, i tak nie miał kto dostarczyć go do Rowan. Po drugie, Max nie był pewien, czy Julie w ogóle zechce go przeczytać, biorąc pod uwagę jego nagłe i nieoczekiwane zniknięcie. Mimo wszystko dobrze było usiąść, zebrać myśli i podzielić się nimi z przyjacielem – choćby na papierze.

Max opisywał właśnie gospodarstwo, kiedy dostrzegł

Minę. Dziewczynka cichutko przycupnęła na stołeczku obok i z brodą opartą na dłoniach, ciemnobrązowymi oczami przypatrywała się wychodzącym spod jego pióra literom.

– Hej, mała – przywitał ją i dmuchnął na atrament, by wysechł. – Od dawna tu jesteś?

Wzruszyła ramionami i ze stołeczka przeniosła się na jego kolana. Przyglądając się z bliska dziennikowi, otworzyła go na pierwszej stronie.

– Co to? – spytała, wskazując na rysunek.

– Nick – odpowiedział Max. – To był mój lymrill.

– Wygląda na bardzo złego – zauważyła, wskazując zakrzywione pazury i zjeżony ogon.

– Nie – zaprzeczył Max. – Ale zawzięta z niego sztuka, tak jak i z ciebie. Gdyby tu był, nie przepuściłby ani jednemu szczurowi w całej dolinie, więc skończyłyby się nasze problemy w spizami.

– A to co? – spytała Mina, przewracając stronę.

– To jest Stary Tom. Wysoki budynek z zegarem na wieży. Zegar bije co godzinę, żebyśmy, licząc uderzenia, wiedzieli, która jest godzina.

Mina uśmiechnęła się, po czym wskazała na rysunek czarnej lwicy ze złamanym rogiem.

– To Yaya – wyjaśnił. – Jest większa niż wóz Niksa, ale bardzo mądra i bardzo łagodna.

– A ten?

– To jest Bob – rzekł Max. – Wysoki jak drzewo.

– Jest potworem?

– Hmm – zastanowił się Max. – Jest ogrem. Ale bardzo, bardzo miłym.

– A to kto? – spytała Mina.

– Och – rzekł Max, przypatrując się portretom Mamuśki i Bellagrog. – To są wiedźmy...

– Też miłe?

– Nie aż tak.

Max przewrócił szybko kartkę, aby łypiące z niej postaci nie przyśniły się dziewczynce w nocy, ale Mina uparcie przewracała ją z powrotem.

– Nie boję się ich – zadeklarowała. – Uważam, że są śmieszne.

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, postaci zaczęły się poruszać. Max ze zdumieniem przyglądał się, jak wizerunek Mamuśki zrobił gwiazdę, podczas gdy Bellagrog hasała tu i tam z wystawionym językiem.

Przypominało to film rysunkowy.

– Mina – wyszeptał na wstrzymanym oddechu. – Ty to robisz?

Uśmiechnęła się z wahaniem i skinęła głową.

– I to ty sprawiłaś, że gwiazdki wyleciały kominem?

– zapytał.

– Prawda, że było ślicznie? – wyszeptała i podniosła na niego wzrok.

Max przytaknął i już miał zadać następne pytanie, gdy Claudia skończyła zmywać i przybiegła sprawdzić, co robią. Wiedźmy natychmiast znieruchomiały.

– Co to? – zapytała dziewczynka, przysiadając na oparciu krzesła Maksa i sięgając po dziennik.

– Nic takiego – odpowiedział. – Tak sobie coś tu piszę i rysuję.

Zerknął na Minę, która zachowywała się, jakby nic nie zaszło.

– Och! – wykrzyknęła Claudia i przysunęła się bliżej, by zerknąć na rysunek shedu.

Wkrótce zebrały się wokół nich inne dzieci, więc Max musiał podnieść dziennik i pokazywać im rysunki selkie oraz szkockich zajęcy, jak ustawiają książki na półkach w Bibliotece Bacona. Odpowiadał na wiele pytań dotyczących rozmaitych stworzeń, lecz największe zainteresowanie dzieci wywołała sama Rowan – a w zasadzie idea szkoły jako takiej. Czy naprawdę było to miejsce, w którym dzieci uczyły się pisać i rysować, a potem potrafiły robić to tak jak Max?

– Tak – odparł chłopak – ale leży bardzo daleko, za morzami.

Mimo że szkoła leżała za morzami, Max mógł

przecież uczyć dzieci! Claudia obwieściła to z tą samą pełną entuzjazmu determinacją, jaką wykazywała się podczas wypraw na ryby, pracy w gospodarstwie i wszystkiego, co robiła. Obwieszczenie to wywołało tak żywiołową radość dzieci, że protesty Maksa na nic się nie zdały. Isabella uśmiechnęła się tylko i dalej karmiła Giannę jagodami z miseczki.

W pokoju panował taki harmider, że Max prawie nie dosłyszał stukania do drzwi. Za pierwszym razem wydawało mu się, że to tylko chrobot pazurków wiewiórki o dach, lecz za chwilę usłyszał to znowu.

– Ćśśś – syknął i podbiegł do kominka, nad którym wisiał jego miecz.

W pokoju zapadła śmiertelna cisza. Max wyciągnął ostrze z pochwy i podszedł do drzwi. Pukanie ustało.

Chłopak gestem nakazał Isabelli i dzieciom iść na schody, zacisnął dłoń na rękojeści i zbliżył się do drzwi.

– Kto tam? – zapytał. – I czego chce?

– Bardzo przepraszam, panie, ale to ja, twój Skeedle!

– Jesteś sam?

– Tak – odpowiedział roztrzęsiony goblin. – Och, błagam, otwórz. Mogą się tu gdzieś kręcić wilki!

Max podniósł belkę zapierającą drzwi i otworzył je.

Na ganku stał mały goblin; trzymał w rękach swój ogromny kapelusz i nerwowo skubał jego rondo.

Spoglądając poza Maksa, uśmiechnął się niepewnie do Isabelli i dzieci zbitych w grupkę przy schodach.

– Ee, dobry wieczór – zaczął, kiwając się na piętach.

– Przepraszam, że was niepokoję stukaniem do drzwi, ale nie wiedziałem, dokąd iść...

– Co się stało? – zapytał surowo Max. – Mów szybko.

– No... – zaczął Skeedle – Hrunta kazał mi od tej pory dostarczać wam towary samemu...

– I? – ponaglił go Max.

– Samemu – pisnął Skeedle, któremu dygotała dolna warga.

– No to co? Przecież dobrze znasz drogę, więc w czym problem?

– Chodzi o t-t-trolla! – zachłysnął się Skeedle. –

Zszedł z gór i pożarł nam już połowę trzody! Mnie też zje, jak mnie zobaczy samego. Przyczaił się przy drodze, siedzi nieruchomo jak kamień!

– Dlaczego cię jeszcze nie zjadł? – spytał Max.

– Bo wyruszyłem przed zmrokiem – pisnął

przerażony goblin. – Tak pędziłem muły, że piana im na boki wystąpiła, biedaczyskom.

– A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? – chciał

wiedzieć Max.

– No... – zaczął Skeedle, kręcąc kapelusz w rękach. –

Mówiłeś, że to ty jesteś najdzikszy w całej dolinie, więc miałem nadzieję, że może rozmówisz się z tym trollem.

– Rozmówić się z trollem! – Max prawie się roześmiał, lecz w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że goblin mówi poważnie. – Dlaczego twój klan ci nie pomoże, Skeedle? – zapytał po prostu. – Jeśli Szerokorondzi są w stanie wystraszyć Zielonozębnych, to z pewnością poradzą też sobie z trollem.

– Hrunta twierdzi, że to ma być mój rytuał

inicjacyjny – wyjaśnił bezradnie goblin. – Więc muszę podjąć wyzwanie. Ale sam nigdy nie musiał mierzyć się z niczym równie ogromnym i równie głodnym jak troll!

– A z czym mierzył się Hrunta? – spytał Max.

– Z borsukiem.

– No, to rzeczywiście niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe!

Max przyglądał się przygnębionemu, pociągającemu nosem stworzeniu – małemu, z okrągłutkim brzuchem, w idiotycznie wielkim kapeluszu i podkutych żelazem butach. Skeedle był młody, niezwykle ciekawski i nie przywykł jeszcze do okrutnych zwyczajów swych starszych braci.

– Czy damy radę tu wrócić do jutra do zachodu słońca? – zapytał Max.

Kiedy Skeedle skinął głową, Max ukląkł, by uścisnąć jego niezgrabną rękę.

– W takim razie służę pomocą.

Goblin wybuchnął łzami wdzięczności.

Skeedle odwiózł Maksę następnego dnia przed zachodem słońca, tak jak obiecał. Kiedy wóz zatrzymał

się przed domem, Max usłyszał odgłos otwieranych drzwi wejściowych, a na jego spotkanie co sił w nogach rzucił

się rozemocjonowany tłumek. Skeedle radośnie powitał

dzieci i zeskoczył z kozła, by uwiązać muły.

– Znaleźliście trolla? – zapytała bez tchu Claudia.

– O, tak – odparł Skeedle.

– I rozmówiliście się z nim? – spytał Porcellino.

– Oczywiście – zapewnił go goblin. – Rozmówiliśmy się z nim na tyle, na ile wytrzymał!

– Gdzie Max? – zapytał pełen wątpliwości Paolo. –

Dlaczego z tobą nie wrócił?

– O, wrócił, tylko odpoczywa na wozie – wyjaśnił

Skeedle.

W polu widzenia Maksę pojawiły się twarzyczki dzieci na tle ciemniejącego nieba. Patrzyły na niego w pełnej niepokoju ciszy. Po chwili Claudia szturchnęła go w rękę.

– Jesteś nieżywy? – zapytała.

– Nie.

– Co się stało z twoim mieczem? – chciał wiedzieć Paolo, podnosząc pogruchotane szczątki gladiusa.

– Troll go roztrzaskał.

– Ciebie też roztrzaskał?

– Czy wyglądam, jakby mnie roztrzaskał?

Wszystkie głowy zaczęły się zgodnie kiwać.

Max jęknął i niepewnie sięgnął ręką do twarzy. Jedno oko miał zapuchnięte i był niemal pewien, że ma złamany nos. Bolały go wszystkie mięśnie, a za każdym razem, gdy poruszał nogą, w kolanie dziwnie mu chrzęściło.

– Hej – rzekł Porcellino. – To chyba inny wóz!

– Troll zjadł tamten wóz – odparł Skeedle z nutką podziwu. – Ten jest pożyczony. Pomóżcie mi odprowadzić Maksa do domu, to wam wszystko opowiem.

Parę minut później Max, kuśtykając, wszedł w drzwi frontowe. Na jego widok Isabella krzyknęła i niemal wypuściła z rąk tacę z kolacją. Odzyskawszy równowagę, pomogła Maksowi usiąść na jego ulubionym krześle.

– Nic ci nie jest? – spytała.

Max pokręcił głową i z wdzięcznością przyjął moką szmatkę, którą przyłożył sobie do oka.

– Co się stało? – zapytała wystraszona Isabella.

– Właśnie miałem zamiar zacząć opowiadać – rzekł

Skeedle. – Usiądźcie wszyscy wygodnie.

Zdumiona Isabella stała jak wmurowana, obserwując zuchwałego goblina, który wskoczył na ławę, z ławy na stół i stamtąd zwrócił się do zebranych. Zdjął kapelusz, odchrząknął i zniżył głos, jakby miał zamiar zacząć opowiadać jakąś straszliwą historię.

– Kłopoty zaczęły się dopiero, jak już byliśmy wysoko w górach. Byliśmy blisko trudnego zakrętu, gdzie trzeba bardzo, bardzo zwolnić, żeby nie spaść do przepaści. Tam właśnie czekał na nas stary sprytny troll.

Dobrze... więc kto może opowiedzieć mi coś o trollach?

Obolały Max musiał się uśmiechnąć, gdy dzieci zaczęły bombardować goblina swoją wiedzą na temat trolli – tym, że mają ogromne, ogromne rogi i szkliste zielone oczy oraz brody z winorośli i mchu.

– Wszystko się zgadza – potwierdził Skeedle. – I lubią siedzieć na wierzchołkach gór, przeżuwać czarne myśli i recytować stare wiersze. – Tu Skeedle ruszył

wokół stołu, zniżonym, burkliwym głosem udając trolla:

*Mówią na mnie Troll,*

*Mierzę się z księżycem*

*Gigant wichru, gigant ulewy*

*To ja, stary Troll.*

Dzieci zawyły ze śmiechu. Max musiał przyznać, że mały goblin rzeczywiście dobrze opowiada. Mimo talentu aktorskiego Skeedle'a chłopak stwierdził, że powieki zaczynają mu ciążyć. Zapadając w drzemkę, słyszał tylko fragmenty opowieści.

– ... myślałem, że troll posłucha się Maksa, lecz się myliłem! Kiedy go uderzył, podjąłem mądrą decyzję: uciekłem daleko i obmyśliłem plan...

– ... więc miecz Maksa połamał się, a troll ścigał go po całej okolicy, wrywając przy tym drzewa z korzeniami i robiąc tyle hałasu, że trudno mi było skoncentrować się na planie...

– ... kiedy Max go zwabił nad przepaść, mój plan był

wreszcie gotowy, więc podszedłem, by zakończyć całą sprawę. Znajdziesz sobie inną górę, trollu? – krzyknąłem.

On jednak nie chciał odpowiedzieć, więc musiałem go ciut sponiewierać...

Maksa obudziły gromkie brawa. Otworzył oczy w samą porę, by zobaczyć, jak Skeedle się kłania. Szczerząc zęby w uśmiechu, goblin włożył kapelusz na głowę i rzucił spojrzenie w kierunku kuchni.

– Od opowiadania historii goblina robią się strasznie głodne – oznajmił.

– Może zostaniesz na kolacji? – zapytała Isabella, powstrzymując uśmiech.

– Z prawdziwą przyjemnością!

Troll rzeczywiście pogruchotał miecz Maksa i złamał

chłopcu nos, lecz konfrontacja z nim miała również dobre strony. Nie tylko podniosła status klanu Skeedle'a, lecz także umożliwiła Szerokorondym korzystanie z lepszych szlaków handlowych. W rezultacie gospodarstwo cieszyło się częstszymi dostawami coraz lepszych towarów.

Po dwóch miesiącach od zwycięstwa nad trollem gospodarstwo szczyliło się już posiadaniem dziesięciu krów i kilku bloków zaklętego lodu, dzięki któremu część piwnicy zmieniła się w prawdziwą lodówkę. Wiezorami dzieci dostawały lody, a Max uczył je alfabetu i pisowni ich imion.

Gospodarstwo kwitło. Max zaś stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Po żniwach często brał lunetę i wdrapywał się na dach, skąd obserwował wzgórza i trakty, wypatrując śladu Niksa i Valyi. Wielki obiecały mu przecież informacje, a od ich wizyty minęły już całe trzy miesiące. Max oparł się o komin i podziwiał zachód słońca. Zdecydował, że odejdzie wraz z pierwszym mrozem.

Na początku października jabłka wreszcie dojrzały.

Max wysłał dzieci do sadu, by zerwały owoce, zanim spadnie deszcz. Podczas pracy dzieci recytowały alfabet lub toczyły pojedynki w literowaniu. Na warsztat szły nazwy wszelkich przedmiotów w zasięgu wzroku – *plot, drzewo, góra, chmura...* – wyśpiewywano ich pisownię litera po literze, a robili to wszyscy, od małej Miny po najstarszego Maria.

To Porcellino pierwszy wypatrzył wóz.



Max doszedł do wniosku, że to na pewno Skeedle.

Zbiegł z pagórka, przepychając się między owcami i kozami, przeciął wybieg dla zwierząt, by dojść do miejsca, skąd dobrze widać drogę.

Ku zaskoczeniu Maksa okazało się, że to Nix i Valya.

Natomiast ku jego bezbrzeżnemu zachwytowi wyglądało na to, że zamierzają zostać.

Ich wóz był wysoko wyładowany dobytkiem.

Piętrzyły się na nim krzesła i obrazy, zegar dziadka oraz szafa. Ciężki wóz ciągnęły cztery czarne konie, natomiast z tyłu dreptało posłusznie stado owiec. Kiedy konie zatrzymały się przy ogrodzeniu, Nix podniósł rękę w geście powitania.

W ciągu godziny rozpakowali wóz, wyprzęgli konie i zaprowadzili je do stajni. Dopiero wtedy na dobre nadciągnęła ulewa z północy. Deszcz bił w ziemię, a dzieci biegiem wracały do domu, wymachując wiadrami i łapiąc krople na język. Claudia i Paolo, pokrzykując, zapędzili szybko stado do zagrody i w końcu cała gromada znalazła schronienie w wielkim pokoju na dole.

Max zaczął rozpalać w kominku.

Dzieci były jak zwykle zachwycone wizytą Niksa i Valyi, ale Isabella nie bardzo. W czasie posiłku uśmiechała się, kiedy dzieci pokazywały gościom swoje rysunki, alfabet, a nawet proste zdania, lecz wydawała się nieobecna duchem. Kiedy Claudia spytała, czemu Nix i Valya przywieźli ze sobą tyle rzeczy, Isabella spojrzała na starszą parę ostro. Valya zaśmiała się i posunęła trochę, aby Claudia mogła się wcisnąć obok niej.

– Starzejemy się – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Jesteśmy już za starzy, żeby mieszkać samotnie, rąbać sobie drewno na opał. A poza tym strasznie za wami tęsknimy.

Claudia uśmiechnęła się i zaczęła bawić się naszyjnikami wieloka. Talizmany zabłyśły w świetle ognia.

– A gdzie będziecie spać? – dopytywał się zaniepokojony Paolo, który już dwa razy musiał zmieniać pokój, żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłych dzieci.

– U mnie – odparł Max.

Coś w jego tonie natychmiast przykuło uwagę wszystkich obecnych. Odłożono sztuce, a młodsze dzieci wstały zza bocznych stołów i podeszły bliżej. Max już od pewnego czasu przygotowywał sobie mowę, ale teraz, kiedy ta chwila nadeszła, trudno mu było zacząć.

– Hm, niełatwo mi to mówić – rzekł w końcu, rozglądając się dokoła. – Ale muszę wam coś wyznać.

Widzicie, przyjechałem do tego kraju, ponieważ miałem do załatwienia ważną sprawę. Ale kiedy znalazłem ten dom i poznałem was, chciałem tu zostać i trochę pomóc...

– Max przerwał i napił się wody. – Teraz jednak gospodarstwo kwitnie, więc nadszedł czas, abym i ja załatwił swoje sprawy...

W pokoju panowała absolutna cisza. W końcu odezwała się Isabella.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytała cicho.

– Prawdopodobnie bardzo długo.

Wśród starszych dzieci dały się słyszeć głosy sprzeciwu. Natomiast młodsze siedziały cicho – zdezorientowane, spłoszone.

– Pojedziemy z tobą – zadeklarowała Claudia. – Też możemy pomóc.

– Nie, w tej sprawie nie – odparł Max. – Najlepiej mi pomożecie, słuchając się Isabelli, Valyi i Niksa. Oni będą rządzić domem i chciałbym, abyście byli dla nich grzeczni.

Dzieci skinęły głowami, lecz wydawało się, że uszła z nich cała energia.

– Kiedy odejdziesz? – zapytała zamyślona Isabella, nie odrywając wzroku od ognia.

– Za dzień lub dwa. Czeka mnie długa droga. A wam nic nie będzie. Już po żniwach, zbiory są w spiżarniach, a gobliny zostawią was w spokoju.

– Ale co będzie z naszymi lekcjami? – narzekał

Porcellino.

– Nix i Valya potrafią uczyć o wiele lepiej niż ja –

odparł Max. – A Skeedle będzie dostarczał wam papier i atrament. Mam nadzieję, że kiedy wrócę, wszyscy już będziecie umieli czytać i pisać.

– A kiedy to będzie? – spytała Mina, pociągając go za rękaw.

– Nie wiem – odpowiedział Max. – Mam nadzieję, że do wiosny będę z powrotem, ale nie mogę niczego obiecać. I proszę, nie płaczcie, nie narzekajcie. Diego, wybierz pięć osób do pomocy przy zmywaniu, a ja pomogę Niksowi i Valyi się rozpakować.

Wielki weszły na górę, z ulgą postawiły ciężkie walizy na podłodze i zaczęły trzeć czerwieniejące oczy.

– Powinniście im powiedzieć – rzekł Max i zamknął

drzwi. – Myślę, że zrozumieją. Będzie wam trudno wytrzymać cały czas w ludzkiej skórze.

Nix uśmiechnął się z uznaniem, lecz pokręcił głową.

– Nie dzisiaj – powiedział. – Dostyc już mają stresu w związku z twoim wyjazdem. Nie martw się o nas. Mamy lekarstwa i inne środki, żeby sobie pomóc.

– No i zawsze możemy przeobrażać się w nocy –

dodała Valya.

– Cóż. Bardzo doceniam to, co robicie – powiedział

cicho Max. – To, że się wprowadzacie. I że będziecie opiekować się dziećmi.

Nix machnął ręką, po czym sięgnął do torby, by wyjąć duży złożony arkusz.

– Oto twoja mapa – rzekł, po czym rozłożył ją na łóżku i wygładził.

Max przyjrzał się mapie, której ogólny zarys pokrywał się z terenem niegdyś będącym Europą i Afryką Północną. O ile jednak zewnętrzny zarys przedstawionego terytorium był Maksowi znany, o tyle wewnętrzne granice i nazwy nie.

– A więc to jest Królestwo Blys. – Max zaczerpnął

powietrza, dokładniej przyglądając się pergaminowi.

– Dokładnie tak – potwierdził Nix. – Musieliśmy jeździć daleko i rozmawiać z wieloma cieszącymi się niechlubną sławą typami, żeby to wszystko posklejać w całość, więc traktuj tę mapę jak skarb.

– Ten twój Vyndra rzeczywiście jest jednym z książąt

– wymamrotała Valya, wskazując na tereny obejmujące większość Niemiec, Danii, Belgii i Holandii. – Na Rozstajach i dalej usłyszeliśmy wiele na temat tego tyrana, zazdrosnego o tron króla Prusiasa. Są tacy, którzy twierdzą, że to sprzymierzeniec króla Aamona. Niby nie wybuchła jeszcze otwarta wojna, ale księżę jest podejrzany o dwie próby zamachu na życie Prusiasa.

Wieloki, które służyły w jego armii, twierdzą, że jest straszliwy, Max. Nawet te, które służyły w armii Wroga...

– Cóż – mruknął Max. – Nie łudziłem się, że będzie łatwo.

– Masz jakiś plan? – zapytał zatroskany Nix. – Bo na pewno nie masz zamiaru wkroczyć do Azur i rzucić rękawicy jego władcy. Są tylko dwa przejścia przez góry.

– Wskazał góry dawniej zwane Alpami i Karpatami – i obydwie są ściśle obserwowane. Lepiej nie idź na wschód i nie zwracaj, bo wylądujesz w Holbrymn.

Max odnalazł na mapie rejon o tej nazwie. Rozciągał

się na miejscu dawnej Ukrainy i Gruzji.

– A co jest nie tak z tym Holbrymn? – spytał.

– To królestwo Yugi – wyjaśniła Valya. – Nic tam już nie mieszka – Yuga wszystko pożarł.

– To demon, który nie ma ciała. – Mówiąc to, Nix zadrżał. – Wielki mówią, że jest jak trąba powietrzna, jęczący wicher, który ogołaca ziemię i pozbawia ją wszelkiego życia. Nawet demony nie zaglądną w tamte strony.

Max powiódł palcem na zachód, przez Morze Śródziemne, na północ przez Zatokę Biskajską i wzdłuż wybrzeża ku księstwu o nazwie Harine, a przez nie – do Azur.

– Mogę żeglować – rzekł, myśląc o Ormenheid. –

Pogoda nie powinna być gorsza niż to, przez co już przeszedłem.

– To prawda – rzekł Nix. – Ale z tego, co słyszeliśmy, Cieśnina Gibraltarska jest pilnie strzeżona.

Nikt do niej nie wpłynie ani z niej nie wypłynie, nie mijając księcia Mad'raasta, bliskiego sprzymierzeńca Prusiasa.

Nie

dasz

radę

tamtędy

przepłynąć

niepostrzeżenie.

Maksa ogarniało coraz większe zdenerwowanie.

Zaczął gorączkowo przeglądać mapę w poszukiwaniu punktów wzdłuż wybrzeża, rzek oraz nizin, przez które mógłby się przedostać łatwiej, niż wspinając się na górskie szczyty lub prześlizgując między kontrolami granicznymi. Jednak za każdym razem, gdy proponował

jakieś

rozwiązanie,

wielki

zasypywały

go

kontrargumentami.

– Po prostu chcecie mnie tu siłą zatrzymać –

denerwował się.

– Nie – odparła Valya. – Chcemy cię tylko przygotować na zagrożenia.

– Założmy, że nawet uda ci się dojechać do Azur –

rzekł Nix – to jak go pokonasz? Nie masz broni, która zdołałaby skrzywdzić tak potężnego demona!

– Mam broń – sprzeciwił się Max. – Tylko trzeba ją naprawić.

– Jeśli chodzi o to, znamy kowala na Rozstajach –

powiedział Nix. – I w górach odgradzających nas od Azur mieszkają dvergary. Jeśli wybierzesz tamtą drogę, możesz je poprosić o pomoc.

Max potrząsnął głową.

– Rozmawiałem już z dvergarami. Nie chcą nawet tego tknąć.

Wieloki siedziały cierpliwie, a Max stukał w mapę ołówkiem, szukając drogi do Azur – czy to przez łańcuchy górskie, czy to wzdłuż wybrzeża.

– Spróbuję przez Gibraltar – zdecydował, spoglądając na wąski przesmyk. – Morzem podróż będzie najszybsza, no i jedyną przeszkodę będzie stanowiła cieśnina. Mad'raast zresztą pewnie bardziej się przejmuje tym, kto wjeżdża na jego terytorium, niż tym, kto je opuszcza. Może uda mi się przemknąć. Potem poześluję na północ.

– Dobrze, bądźmy więc optymistami – zastanawiał

się Nix. – Założmy, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Co dalej w takim razie?

Max nie miał jednak gotowej odpowiedzi. Do tej pory jego myśli błądziły wokół tematu abstrakcyjnej zemsty oraz koncentrowały się na konkretnych problemach gospodarstwa i jeszcze nie zaplanował, jak będzie wyglądało jego życie, kiedy już weźmie odwet na wrogu.

Wątpił, czy przyjmą go z otwartymi ramionami w Rowan.

Mógłby odszukać Connora, ale nie miał pojęcia, gdzie może leżeć małeńka baronia kolegi. Mógłby oczywiście prowadzić spokojne życie w gospodarstwie, lecz wydawało mu się to nierozsądnym marnotrawieniem swoich darów i umiejętności. Max zlikwidował już bądź

okiełznał największe zagrożenia tej doliny, więc Nix i Valya spokojnie mogli doglądać farmy i opiekować się jej powiększającą się trzódką.

– Nie wiem – przyznał. – O tym będę musiał

pomyśleć... – Przerwał nagle, usłyszawszy jakiś gwałtowny ruch w holu i szybkie kroki. Rozległo się ostre pukanie do drzwi i dobiegł zza nich zdenerwowany głos Maria.

– Max, szybko, chodź. Skeedle przyjechał!

Max zbiegł na dół. Zastał goblina nerwowo drepczącego na progu.

– Tylko mi nie mów, że jest jeszcze jeden troll –

roześmiał się Max.

Skeedle otarł pot z czoła, potrząsnął głową i zaczął

dawać gorączkowe znaki, by Max wyszedł za nim na ganek.

– Nie chcę nikogo przestraszyć – szepnął – lecz nadchodzą kłopoty, mój panie. I to najgorszego rodzaju!

– O czym ty mówisz? – zapytał Max, a uśmiech znikł z jego twarzy.

– Dowiedział się, że potwór nie żyje! – wykrzyknął goblin. – Ten potwór, co mieszkał w studni!

– Kto się dowiedział? – zapytał Max.

– I wie o trollu! – syknął Skeedle. – Zna prawdę...

– Ale o kim ty mówisz? – jeszcze raz zapytał Max.

– Dowiedział się, że ty to ty! – wykrzyknął goblin, pociągając za rondo swego kapelusza. – Musisz uciekać!

– KTO SIĘ DOWIEDZIAŁ?! – wrzasnął Max, łapiąc Skeedle'a za ramiona.

Mały goblin nie był jednak w stanie odpowiedzieć.

Strach zawładnął nim całkowicie – wydawał tylko chrypliwe, bełkotliwe odgłosy. Max powtórzył pytanie, lecz Skeedle zaczął łkać, zakrywszy rękami oczy. Za plecami Maksa zebrał się tłumek – Isabella i dzieci przybiegli sprawdzić, co się dzieje.

– Skeedle – spróbował jeszcze raz Max, tym razem łagodnym tonem. – Proszę, powiedz. Kto się dowiedział, że tu jestem?

Goblin jednak stracił przytomność.

Zamiast niego na pytanie Maksa odpowiedział inny głos. Był tak głęboki i ciepły jak jezioro krwi.

– Ja – zaśmiał się głos. – I pragnę cię powitać w moim królestwie!





# BLYS

Prusias wyłonił się z cienia pod krzewem głogu niczym barbarzyński król, który przeniósł się w czasie.

Jego czarne włosy przypominały lwią grzywę, a czarna broda spadała potarganymi warkoczami na szeroką klatkę piersiową. Miał ze dwa metry wzrostu, lecz ani wzrost, ani szerokość klatki piersiowej nie robiły takiego wrażenia jak oczy demona błyskające w świetle, które padało z otwartych drzwi domu.

Demon wydawał się ożywiony, jego ciemna, grubo ciosana twarz rozciągnęła się w egzaltowanym uśmiechu.

Wsparty ciężko na lasce, kuśtykając wyszedł z cienia.

Jedno ramię trzymał wyciągnięte, jakby serdecznym gestem chciał objąć wszystkich zgromadzonych.

– Max! – zawołał. – Chodź się przywitać ze swoim starym znajomym.

Maksowi przeszedł dreszcz po plecach, kiedy spojrzał

na szkliste oczy demona i jego język oblizujący co chwila wargi. Kończyny demona lekko drżały, jakby Prusias za wszelką cenę starał się powstrzymać jakąś straszną chuć.

– Nie ruszajcie się – mruknął Max do przerażonych dzieci zbitych wokół niego w ciasną gromadkę na ganku.

Zmusił się, by zejść parę kroków po schodkach na chodniczek przed wejściem, gdzie czekał Prusias. Kiedy tylko zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki, Prusias zarechotał i nie czekając, przyciągnął go do piersi.

Nawet przez kolczugę i jedwabną szatę Prusias był

potwornie gorący. Zaśmiał się ze szczerym zadowoleniem i wpatrywał się w Maksa jak w bliskiego krewnego. Przez cały czas, kiedy demon gadał, żartował i witał się, Max nie był w stanie oderwać myśli od jednego.

Demon oddychał krwią.

Na butach demona również była krew. Krwią były wysmarowane rękawiczki na dłoniach, którymi z ogromną siłą ścisnął Maksa za ramię. Krew ta była wciąż czerwona, wciąż świeża, jakby jadąc tu, Prusias siał

spustoszenie w całej dolinie.

– Proszę, nie rób im krzywdy – wyjąkał Max, sztywny ze strachu. – Nie zrobili nic złego.

– Dobrze, dobrze – rzucił demon z rozmarzonym uśmiechem. Wszystko zależy od ciebie. Czy zamierzasz zaprosić mnie do środka, czy mam stać na dworze jak żebrak?

– Oczywiście, że nie – wybuchnął Max. – Będziemy zaszczyceni, jeśli pobłogosławisz nasz dom.

Demon wsparł się jedną ręką na Maksie, drugą na lasce. Ciężkimi buciarami miażdżył opadłe liście, kierując się w stronę domu.

– Moje uszanowanie pani – rzekł, kłaniając się Isabelli i wyciągając w jej stronę diamentowy naszyjnik w zakrwawionych palcach. Wzięła go drżącą ręką, nie spuszczając oczu z egzaltowanego uśmiechu demona. –

Niemożliwe, czyżby wszystkie te urocze dzieciaki były twoje? – zaśmiał się na widok małych postaci stojących pod ścianami.

Isabella zaprzeczyła ledwo dostrzegalnym ruchem głowy i odsunęła się na bok. Demon przestąpił bezwładne ciało goblina i pochylając głowę, by zmieścić się w drzwiach, przestąpił próg. Max podniósł Skeedle'a i poszedł za demonem, który, kulejąc, dotarł do bujanego fotela przy kominku. Opadł na siedzenie, położył sobie laskę na kolanach i rozejrzał się, jakby spodziewał się, że zza kulis wejdzie ktoś, kto tego wieczora dostarczy mu rozrywki.

Jego oczy padły na kołyskę Gianny.

– Mogę zobaczyć dziecko? – zapytał.

Isabella zerknęła na Maksa, który powstrzymał się od szczerzej reakcji i kiwnął głową. Isabella wyjęła córeczkę z kołyski, przeszła przez pokój i podała demonowi śpiące dziecko. Położona na jego piersi Gianna obudziła się i zaczęła płakać.

– Ćśśś – szepnął Prusias z ciemną twarzą pochyloną dosłownie centymetry nad buzią dziecka. Zdjął rękawiczkę i wystawił palec, który Gianna posłusznie chwyciła. Płacz przeszedł w urywane szlochanie, po czym zapadała zdumiewająca cisza. Gianna wpatrywała się w oblicze uśmiechniętego demona.

– Obyś nigdy nie pożądała – wymamrotał Prusias, ucałował swoje palce i dotknął nimi lekko czółka dziecka.

Następnie zaczął je kołysać, uważnie wodząc wzrokiem po pokoju. Wzrok ten po chwili napotkał zaczarowany kołowrotek posłusznie przerabiający owcze runo na przędzę. – Podarunek od goblinów – zauważył.

Przyjrzał się też harfie, a potem posklejanym jeden z drugim arkuszom papieru. Stał na nich dzbanek pełen piór i butelka atramentu, z której na leżący na wierzchu arkusz wyciekło trochę czarnego płynu.

– Co my tu mamy? – zapytał przyjaźnie.

– Nic takiego – odparł szybko Max. – Dzieci lubią po prostu rysować.

Demon nachylił się i sięgnął do stosu kartek leżących na podłodze. Podniósł pierwszą z brzegu. Strużka potu ciekła Maksowi po plecach, kiedy demon jeden za drugim wyciągał arkusze, na których wypisane były litery alfabetu i ćwiczenia kaligraficzne.

Prusias wypowiedział zdanie, które Max słyszał rok wcześniej.

– Dekret trzeci: Zabrania się nauki czytania, pisania i historii wszystkim ludziom zamieszkałym poza granicami Rowan. Pamiętasz, młody Maksie, jaka kara grozi za złamanie tego przepisu?

– Tak jest – mruknął Max i zamknął oczy. – I błagam, abys jej nie stosował. Błagam cię o mądrość i łaskę właściwą królowi.

– Ho, ho! – wykrzyknął demon, huśtając Giannę na swym potężnym kolanie. – Jaki uprzejmy się stajesz w chwili desperacji! Przecież wiesz, że twórcą tych przepisów nie jestem ja, tylko nasz pan. I jeśli zażąda, abym zlikwidował każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w promieniu pięciuset kilometrów od tego miejsca, to co mam zrobić? – Prusias zaśmiał się i przepraszająco wzruszył ramionami.

– To twoje królestwo – odezwał się Max, siląc się na spokój. – Mógłbyś równie dobrze zignorować te kartki, nie zauważyć ich lub nawet zapomnieć, że kiedykolwiek byłeś w tym domu.

Demon zastanawiał się nad tym przez chwilę. Jego do połowy przykryte obwisłymi powiekami oczy zabłysły drwiną.

– Hmm – mruknął. – Przypuszczam, że jeden dobry uczynek pociąga za sobą drugi, więc być może jest coś, co ty z kolei mógłbyś zrobić dla mnie. Tak, tak, myślę, że to niezłe rozwiązanie.

– Co to miało być? – spytał Max. Z jednej strony czuł ulgę, z drugiej obawę, jakiej przysługi zażąda demon.

– Pogadamy po drodze – mruknął Prusias i wstał, by odłożyć Giannę do kołyski. – Uroczą masz córeczkę –

rzekł do Isabelli. – Będzie sobie dobrze w życiu radzić.

Mrugnął nagle, po czym pospieszył Maksa, jakby właśnie mieli spóźnić się do szkoły.

– Pakuj się – powiedział. – Przed świtem chcę być w pałacu.

Max poszedł na górę. Na podeście schodów znalazł

przykucniętych Niksa i Valyę. Przyłożył palec do ust i gestem kazał im wejść do swego pokoju.

– Mam tylko minutę – syknął i wysypał zawartość plecaka na łóżko. – Nie przerywajcie mi, tylko

róbcie dokładnie to, co mówię. Musicie wysłać tę mapę, ten mały stateczek i te metalowe odłamki do Williama Coopera, do Rowan. Przeszmuglujcie to albo wymyślcie coś innego, ale to musi trafić do jego rąk razem z wyjaśnieniem, co się stało. Jasne?

Nix kiwnął głową i szybko wsunął przedmioty pod łóżko. Valya pomogła Maksowi spakować resztę.

Zawiązawszy plecak, Max wstał i szybko uściśnął starszą parę, po czym zbiegł do holu.

Prusias czekał na niego przy drzwiach, postukując laską i posyłając uprzejme uśmiechy przerażonym domownikom. Dzieci stały wyprostowane jak struny, nie spuszczać wzroku z cienia demona zwijającego się nienaturalnie na ścianie. Max założył płaszcz i zwrócił się do wielu wpatrzonych weń twarzy:

– Do widzenia. Bądźcie grzeczni i opiekujcie się Skeedle'em.

I wyszedł za Prusiasem w ciemną noc.

– To dopiero szczęśliwy zbieg okoliczności – śmiał

się Prusias, obejmując ramię Maksa i prowadząc go w kierunku drogi. – Oto jeżdżę tu i tam w poszukiwaniu wojowników i, proszę, natygam się na Maksa McDanielsa. W moim własnym królestwie! Wprost nie mogę uwierzyć swojemu szczęściu!

Wyszedłszy na gościniec, demon podniósł laskę i stuknął nią niecierpliwie o bruk. Nastąpił gwałtowny wybuch, w powietrze wzbił się pióropusz iskier i na ziemię kaskadami opadły ogniki. Max szarpnął się do tyłu i zasłonił oczy ręką. Kiedy je otworzył, zobaczył przed sobą powóz – lśniącą czarną berlinkę z wymalowaną królewską pieczęcią Prusiasa, zaprzężoną w cztery konie.

Nie były to jednak zwierzęta z krwi i kości, ale kłęby płomieni i dymu, duchy ognia uformowane na kształt ziemskich istot.

Odsunęła się szybka w drzwiach powozu, odsłaniając małą, zniecierpliwioną twarz.

– Mój panie! – wyjąkał czerwonoskóry chochlik, otwierając drzwi. – Myślałem, że masz zamiar podróżować incognito.

– Mała zmiana planów – mruknął Prusias. – Panie Bonn, proszę przywitać się z Maksem McDanielsem.

Będzie nam towarzyszył w drodze powrotnej.

– Och! – wykrzyknął chochlik i pokłonił się przed Maksem, a następnie rzucił Prusiasowi porozumiewawczy uśmieszek.

– Nie siedź tak i nie śmiej się głupio! – zganił go Prusias. – Max jest naszym gościem. Weź jego bagaż i ruszajmy!

Nie minęła sekunda, a pełen skruchy chochlik zapakował plecak Maksa do powozu i pomógł wsiąść chłopcu. Bogate, obszerne wnętrze dalece przewyższało oczekiwania, jakie można było mieć, patrząc na berlinkę z zewnątrz. Prusias, który wsiadł za Maksem, westchnął i sięgnął po chusteczkę. Rozparł się na siedzeniu, po czym otarł czoło i brodę, chrząkając z odrazą, gdy zobaczył

otartą z ust krew.

– Żenujące – zaśmiał się i rzucił chustkę na drugą stronę powozu, do pana Bonna. Następnie stuknął laską w drzwi i ogniste rumaki rzuciły się cwałem.

Przez kilka minut Max siedział w pełnej napięcia ciszy, obserwując przesuujące się za szybą płomienie, kiedy powóz gładko mknął traktem. Prusias opuścił się niżej na siedzeniu i zakończoną szponami dłonią skubał

rękaw kolczugi, drugą zaś nalewał sobie whisky ze szklanej karafki. zaproponował trunek Maksowi, lecz ten spokojnie odmówił. Prusias wzruszył ramionami, oparł się wygodnie i upił łyczek.

– Bardzo mi się nie podoba to, co się stało z twoim ojcem – powiedział mrukliwie. – Nie podoba mi się, naprawdę. Wyndra posunął się za daleko.

Max gapił się na demona, który delikatnie kołysał

szklaneczką, mieszając trunek, a potem znowu upił łyk.

– A więc przyznajesz, że to Wyndra go zamordował –

rzekł lodowato chłopak.

– Przyznaję? – zapytał Prusias. – Oczywiście, że przyznaję. A nawet czuję się za to odpowiedzialny!

– A co to ma wspólnego z tobą?

– Wyndra pożąda mojego tronu – wyznał Prusias z łobuzerskim uśmiechem. – Moje piękne miasto zaśmiecają jego szpiedzy i zabójcy. Szlachta spodziewa się wojny domowej i, co naturalne, stara się przewidzieć zwycięzcę i zawrzeć z nim przymierze. Gdyby Wyndra pokonał kogoś o twojej sławie, szala zwycięstwa przechyliłaby się na jego stronę.

Podczas gdy Prusias nalewał sobie następnego drinka, pan Bonn odchrząknął i otworzył skórzaną teczkę wypchaną urzędowymi dokumentami.

– Mój panie – odezwał się chochlik – kiedy byłeś w podróży, nazbierało się wiele niecierpiących zwłoki spraw.

– Posłuchajmy więc – warknął Prusias i potarł oczy. –

Pamiętaj jednak o naszym gościu, Bonn.

Przez następną godzinę Max oglądał zmieniający się za oknem krajobraz. Jechali tak szybko, że widok był

zamazany. Od czasu do czasu szybę lizały żółte płomienie. Prusias wydawał decyzje w rozmaitych sprawach – pełne zawiści „tak” lub pełne współczucia

„nie”.

Kiedy

chochlik

sięgnął

po

następny

stos

dokumentów, Prusias machnął ręką, by odwieść go od tego pomysłu. Wyprostował się i uchylił szybę, by wpuścić do środka świeże nocne powietrze.

– Pamiętam, kiedy budowano tę drogę – mruknął do siebie. – Jeździłem nią już tyle razy, a mimo to nigdy nie jestem nią zmęczony.

– Jeśli uważasz, że jest tak cudowna, dlaczego siejesz wzdłuż niej spustoszenie? – zapytał Max z goryczą.

– To nieprawda – sprzeciwił się demon. – W stolicy zobaczysz wiele prądawnych budynków. Nadałem im tylko właściwą skalę.

– Dlaczego tak nienawidzisz rodzaju ludzkiego?

– Jeśli tak uważasz, to znaczy, że mnie nie rozumiesz

– odparł Prusias. – Kocham ludzi. Kocham w nich wszystko. Pasję, energię, emocje, determinację, by coś osiągnąć, stać się kimś, zanim śmierć wyciągnie po ciebie ręce za parę lat. Rodzaj ludzki jest jak pokaz fajerwerków.

Są dni, kiedy żałuję, że nie urodziłem się człowiekiem.

Max parsknął drwiąco.

– To prawda – potwierdził pan Bonn. – Niejeden raz słyszałem, jak to mówił.

– Nieśmiertelność jest przeceniana – mruczał dalej Prusias. – Ponieważ okrada cię z wszelkiego

pośpiechu!

Większość śmiertelników nie jest w stanie pojąć, że nieuchronność śmierci jest w rzeczywistości darem. Być może budzę wśród ludzi grozę, Max, ale znam ich i kocham. Wśród demonów nie znajdują wierniejszego sprzymierzeńca...

Prusias zamilkł, a powóz gwałtownie się zatrzymał.

Pan Bonn zbladł pod spojrzeniem swego pana i wyskoczył

z berlinki, by sprawdzić, w czym rzecz.

– Co się dzieje, panie Bonn? – warknął Prusias. –

Skąd to opóźnienie?

Przerażona twarz chochlika pojawiła się w drzwiach.

– Te kwiaty, mój panie... znowu... – jęknął. – Są... są wszędzie!

Prusias zaklął i sięgnął do schowka po jedwabną chusteczkę.

Przycisnął ją do twarzy, chwycił laskę i wychylił się na zewnątrz. Wystawiwszy głowę w ślad za demonem, Max stwierdził, że upiorne konie stają dęba, przy czym od ich grzyw odrywają się pojedyncze płomyki. Droga przed nimi schodziła w dół do starożytnego mostu – kruszącego się, kamiennego łuku nad spienionym strumieniem.

Czerwone kwiatki Davida – całe ich tysiące – porastały brzegi potoku i wspinały się na wzgórze, oplatając most girlandą.

– Co to jest? – zapytał Max, udając, że nie wie.

– Nic – zakasłał Prusias – poza śmiertelnym zieleń.

Jednym machnięciem różdżki zniszczył kwiaty, które natychmiast stanęły w płomieniach. Ich skręcone łodyżki kiwały się w żarze, a każdy z płatków syczał, jakby temperatura zmusiła cały zawarty w nim trujący sok do wybuchu. Prusias w ciszy obserwował płonący most.

Chusteczkę odsunął od twarzy dopiero wtedy, gdy z kwiatków i ich łodyg nie zostało nic poza tłącą się siateczką. Kiedy wrócił do powozu, jego szkliste oczy błyszczały przerażeniem. Max szybko wycofał się w głąb berlinki.

Na rozkaz Prusiasa znowu ruszyli. Humor demona zaczął się poprawiać. Wychylony do przodu, spoglądając od czasu do czasu przez okno na jaśniejące świtem niebo, Prusias przypominał dziecko.

– Byłeś już w wielkim mieście, Max? – zapytał

Prusias. – Zdarzyło ci się podkraść na obrzeża, lub odważyć się wejść do wewnętrznych dzielnic, odkąd mieszkasz w moich włościach?

– Nie.

– Chodź tutaj. – Demon kiwnął palcem, nakazując chochlikowi się posunąć. – Z tego miejsca lepiej widać.

Max zajął miejsce pana Bonna i wyjrzał przez okno, za którym rozciągało się poranne blade złote niebo. Nocne mgły rozstępowały się, a za odległymi wzgórzami wschodziło słońce. Oświetlało miasto, którego mury i budowle rozciągały się na wzgórzach i dolinach wzdłuż Tybru. Całość przypominała ogromny rozkwitający ogród.

– Mógłbyś na chwilę zatrzymać powóz? – wyszeptał

Max i przycisnął twarz do szyby. Demon, cmokając z zachwytu, przepuścił go i Max wysliznął się z berlinki.

Staął na zniszczonej drodze, spoglądając na miasto, które przekraczało wszystko, co umiałby sobie wyobrazić.

W porannym świetle wyglądało jak rzeźba – zbiór gładkich różnorodnych brył i cieni, kształtów stapiających się ze sobą nawzajem na najrozmaitsze sposoby i tworzących złożone formy przestrzenne, w dużej mierze przypominających organiczny podwodny świat. Z tej szalonej zbieraniny nietrudno było jednak wyłowić elementy architektury stworzonej przez człowieka –

chińskie pawilony, islamskie minarety, egipskie obeliski, potężne kopuły i kopułki górujące nad ich zbudowanymi przez człowieka praprzodkami. Niezliczone budynki piętrzyły się jedne nad drugimi, częściowo przysłonięte mgiełką przypominającą smog.

Pałac

zbudowany

był

z

niewyobrażalnym

rozmachem. Wyglądało to tak, jakby wzgórze palatyńskie wyniesiono na wysoki szczyt, ku któremu wspinały się pełne budynków tarasy, a którego ukoronowaniem był

potężny pałac. Jego podstawę stanowiła olbrzymia piramida łagodnie przechodząca w coś w rodzaju ogromnej repliki Koloseum. Z tego poziomu budowli wyrastała kolejna konstrukcja, inspirowana najwyraźniej katedrą Notre Dame, lecz znacznie bardziej wyciągnięta w pionie niż jej pierwowzór. Była tak niesamowicie wydłużona, że najwyższe wieże ginęły w chmurach.



– A ty myślałeś, że wszystko zrównaliśmy z ziemią!

– zaśmiał się zachwycony Prusias. – Chodź prędzej, zanim zdążą się dowiedzieć o naszym przyjeździe.

Maksa nieco zdziwiła ta uwaga, ale szybko zorientował się, o co chodzi. Mówiąc „zdążą się dowiedzieć”, Prusias miał na myśli niezliczone tłumy uchodźców – ludzi mieszkających pod namiotami w rozciągających się na obrzeżach miasta obozowiskach lub w skleconych z blachy falistej barakach zaśmiecających niegdysiejsze Pola Marsowe i zachodnie brzegi Tybru.

Natychmiast zaczął się gromadzić wielotysięczny tłum nędznie ubranych mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludzie ustawiali się wzdłuż drogi, przepychając się i wrzeszcząc na widok pędzącego powozu. Za oknem migwały zamazane twarze – młode i stare. Na każdej malowała się desperacja.

– Łaski, łaski! – wrzeszczeli, a każdy starał się przekrzyknąć sąsiada. – PANIE, ŁASKI!

– Dlaczego tak krzyczą? – zapytał Max, głęboko poruszony tym, co widział.

– Proszą o łaskę – westchnął Prusias, postukując kostkami dłoni w okno. – Wybierz kogoś.

– Słucham? – Max nie zrozumiał. Berlinka mknęła dalej, pozostawiając za sobą tysiące zgromadzonych.

– Wybierz kogoś – powtórzył Prusias.

– W takim razie niech będzie... ona – rzekł Max i wskazał na starszą kobietę w ciemnej chuście na głowie.

Berlinka zatrzymała się ze zgrzytem. Płonące konie dziko biły kopytami w ziemię. Tłum ruszył naprzód.

Powstrzymywały go tylko płomienie liżące boki powozu.

Na każdej twarzy malowała się obłąkańcza nadzieja.

Prusias otworzył okno.

– Ty, tam – mruknął leniwie. – Nie, nie smarkacz, tylko kobieta za nim.

Młody człowiek zawył i odstąpił o krok, a naprzód wysunęła się chwiejnym krokiem pomarszczona starucha.

Ręce trzymała złożone w poddańczym geście.

– Los mi sprzyja! – wyrzęziła z budzącym litość zachwytem na wpatrzonej w Prusiasa twarzy.

– Zaiste – przemówił Prusias. Wyszczrzył swe małe ząbki i poklepał kobietę po ręku. – Skończyły

się twoje zmartwienia, babciu. Pan Bonn zapisze sobie twoje nazwisko i jeszcze dziś wejdiesz do Blys.

Podczas gdy chochlik zajmował się szczegółami, młody człowiek, którego szczęście ominęło o włos, mruknął coś pod nosem. Twarz Prusiasa pociemniała i demon wystawił przez okno swą wielką głowę.

– Zatrzymajcie go! – warknął i gniewnym gestem wskazał na paru mężczyzn. Chłopaka przyciągnięto przed berlinkę. Twarz miał bladą, lecz buntowniczą.

– Co mówiłeś? – zapytał Prusias spokojnie.

– Nic – odparł chłopak.

– Czyżby? – zastanawiał się demon. – Mogę przysiąc, że to były słowa protestu. Czyż nie?

– Nie – zaprzeczył chłopak, a wyraz buntu natychmiast zniknął z jego twarzy.

– Chcesz powiedzieć, że kłamię? – zapytał Prusias.

– Nie – odparł młodzieniec i odwrócił wzrok.

– Chcesz powiedzieć, że się mylę? – pytał dalej rozmarzony Prusias.

– Nie – szepnął chłopak, drżąc niczym liść na wietrze.

Demon podniósł brew i zerknął w bok, na swego sekretarza.

– Panie Bonn, o zachodzie słońca proszę wypuścić z lochów dziesięć wieloków i pozwolić im pobuszować po obozowiskach ludzi.

– NIE! – wrzasnął chłopak.

– W takim razie dwadzieścia – rzekł Prusias i wzruszył ramionami.

– Ale...

– Pięćdziesiąt – uśmiechnął się demon. – Wieloki mogą robić, co im się podoba, ale temu chłopakowi niech włos z głowy nie spadnie.

– Tak, mój panie – odparł pan Bonn bez zająknięcia, jakby sprawa dotyczyła sporządzania listy zakupów.

– Widzisz? – odezwał się demon do sztywnego z przerażenia młodzieńca, kiwając nań szponiastym palcem.

– Bunt i niewdzięczność nie spotkają się w moim królestwie z nagrodą. Pamiętaj o tym, a być może

pewnego dnia los uśmiechnie się i do ciebie...

Okno się zamknęło i powóz potoczył się dalej.

Prusias znowu opuścił się na siedzenie i ziewnął, po czym zaczął opowiadać Maksowi o mieście i wskazywać miejsca i dzielnice, które pod ochroną odpowiedniej świty będzie mógł zwiedzić. Kiedy przeszedł do zachwyków nad ostatnimi wyczynami kulinarnymi swego kucharza, Max nie wytrzymał i się wtrącił.

– Czyli po prostu wpuścisz wielokrotnie pomiędzy tych ludzi koczujących u wrót twego miasta? – zapytał.

– Czy to pogwałcenie twojej wrażliwości? –

odpowiedział pytaniem rozbawiony demon.

– To barbarzyństwo – rzekł Max. – Ci ludzie cię potrzebują.

– A ja ich – zgodził się Prusias. – Ale na moich warunkach, Max. Wyłącznie na moich.

– Co będzie z tą kobietą? – zapytał Max, z trudem przełykając wściekłość.

– Zostanie wpuszczona do Bly i będzie mieszkać w Dzielnicy Ogrodów – wyjaśnił Prusias. – Będzie żyć przyjemnie i na niczym nie będzie jej zbywało.

– Więc wygrała los na loterii – stwierdził Max. – A ci wszyscy nędzni, plugawi ludzie, modlący się by „Wielki Prusias” zatrzymał się i zakręcił kołem fortuny...

– Ależ tak właśnie jest – zaśmiał się demon. – Kto podpowiedział Kleopatrze, by się owinęła w dywan? Kto poradził Aleksandrowi, jak rozsupłać węzeł? Kto pomógł

Drake'owi pokonać Hiszpanów? Od wieków kręcę kołem fortuny, Max...

Max pragnął wyrządzić demonowi krzywdę. Pragnął

zadać mu ból – tak jak Prusias robił to przez wieki w stosunku do innych. Był to dziki, sadystyczny impuls –

nagły, niezachwiany przypływ emocji. Niestety jedyną bronią Maksa były słowa.

– Wiem, dlaczego chodzisz z laską – wybuchnął, wpatrując się w niesprawną nogę Prusiasa. – Bram przełamał cię na pół na własnym kolanie. Wyrzucił cię przez okno.

Uśmiech demona nagle zgasł.

W jego oczach zabłyśnięcie piekielny ogień i Max bał się przez chwilę, że popełnił straszny błąd. Prusias wpatrywał

się w niego z miejsca naprzeciwko.

W końcu wzruszył ramionami.

– Bram był potężnym czarownikiem – stwierdził. – I dobrym kompanem, dopóki nie sięgnął za daleko.

– O czym mówisz? – spytał Max.

– Domyślam się, że o przyczynie mojego kalectwa musiałeś dowiedzieć się w Rowan – zastanawiał się na głos Prusias. – Może nawet ze wspomnień Brama?

– Tak – odparł Max i przed oczami stanęły mu mrozące

krewn

w

żyłach

fragmenty

*Kodeksu*

*czarodziejskich wezwań*, które czytał na temat Prusiasa.

– Ciekawym, co tam o mnie pisali – rozmyślał

Prusias ze złośliwym uśmieszkiem na ustach.

– To, że zawładnąłeś jego sługą – rzekł Max. – Że miałeś zamiar go zabić, ale odkrył twoje intencje i połamał cię.

– Taka wersja?! – wykrzyknął demon. – To wiele wyjaśnia! Musisz wiedzieć, Max, że byłem tam tego wieczoru, kiedy Bram składał swoją ofertę. Potrzebował

mojej pomocy. W połowie naszej rozmowy wkroczył jego młody sługa i zastał swego pana na uprawianiu sztuki zakazanej. Twój szlachetny Bram wpadł w szal i wyrzucił

mnie z kręgu, zanim zdążyły nadciągnąć zainteresowane strony. Możesz o nim myśleć, co chcesz, ale Bram był

najgorliwszym uczniem czarnej magii, jakiego w życiu spotkałem.

Max otworzył usta, a po chwili je zamknął. Demon westchnął.

– Wiem, boli, kiedy twój bohater spada z piedestału –

zadrwił Prusias.

Dalej jechali w ciszy. Max przyglądał się slumsom i prowizorycznym budom za oknem.

– Proszę, nie wypuszczaj wieloków na obozowiska –

szeptał. – Zostaw tych ludzi w spokoju.

– Oto, dlaczego kocham ludzi! – zagrzemiał Prusias i uderzył się w kolano. – Kiedy tylko koncentruję się na ich wadach, budzą się w ich głowach szlachetne impulsy, które mnie zawstydzają! – Demon spojrzał na Maksa uważnie i jakby z wahaniem. – Wiesz, jaka jest moja ulubiona zabawa?

– Nie – rzekł Max.

– Nazywa się „coś za coś” – odparł zadowolony demon, podkreślając każdą sylabę uderzeniem laski. – Ty robisz coś dla mnie, ja robię coś dla ciebie. Na przykład dziś rozpoczną się igrzyska, czyli widowisko dla pospólstwa. Ponieważ odmówiłeś udziału w medimie, weźmiesz udział w tych igrzyskach. Jeśli dasz sobie radę, skłonię się ku temu, by chętniej udzielać ludziom łask.

Jeśli zaś twój występ będzie kiepski... – Prusias wzruszył

ramionami i skrzywił się, odsłaniając równiutkie, drobne zęby. – Ale nie, nie będzie kiepski. Będziemy cię oczywiście musieli przebrać. Pan Bonn zajmie się szczegółami.

– Nie będę dla ciebie walczył – uciał Max.

– Nie dla mnie – gładko zauważył demon. – Dla nich...

Zbliżali się już do Tybru i do wjazdu na szeroki most.

Bramę wjazdową na most stanowiła olbrzymia kamienna płyta, w której wyrzeźbiono twarz brodatego mężczyzny –

jego usta pełniły rolę bramy. W bezmyślnych oczach i pustym wyrazie twarzy było coś niepokojącego.

– Usta Prawdy – pochwalił się Prusias. – Oryginał

spodobał mi się do tego stopnia, że postanowiłem go powiększyć.

Max przez okno obserwował kamienną twarz z pustymi oczami wpatrującymi się w dal i ustami otwartymi, by ich połknąć. Berlinka wjechała w usta, za którymi zaczynał się tunel. Oświetlały go jedynie płomienie ognistych rumaków.

Kiedy wyjechali na drugą stronę murów, Max stwierdził, że drogi się rozeszły. Jeden brukowany gościniec wiódł po zewnętrznym obwodzie miasta, do Dzielnicy Targowej, jak objaśnił pan Bonn. Drugi zaś wspinał się nad miasto, nad stożkowe dachy i kominy ku drugiemu pierścieniowi murów.

Max siedział w milczeniu, wpatrując się w tłumy ludzi, wiedźm, goblinów i wieloków, wypełniających place i targowiska. Wszystko to przypominało renesansowy jarmark.

– Widzę tu ludzi – rzekł zdumiony Max. – I to wielu.

– Jasne – odparł Prusias. – Służba, rzemieślnicy i oczywiście artyści. Uwielbiam artystów. Moje potężne miasto jest jak tygiel.

Max nie odpowiedział. Wyglądał przez okno na mijane ogrody i dachy. Czuł na sobie świdrujące spojrzenie Prusiasa, ale demon wydawał się zadowolony z panującego milczenia. Powóz mknął królewskim traktem prowadzącym ponad miasto. Kiedy przejechał pod łukowatą bramą wjazdową pokrytą runami, heroldzi sygnałem trąbek ogłosili powrót króla.

Kiedy powóz się zatrzymał, Prusias odchrząknął.

– Nikt nie wie, że tu jesteś – powiedział

zdecydowanym tonem. – Pan Bonn dopilnuje, abyś został

zakwaterowany

i

odpowiednio

zamaskowany.

Posłuszeństwem i zaangażowaniem w czasie igrzysk zapewnisz bezpieczeństwo gospodarstwu, z którego cię zabrałem, i ludziom w moim mieście. Czy to jasne?

Demon pochylił się i jego ciemna twarz zatrzymała się centymetry od twarzy Maksa.

– Możemy pomóc sobie nawzajem – szepnął. –

Zostań moim zwycięzcą, a pomogę ci się zemścić. Zostań czempionem, a dam ci szansę zamordowania Vyndry.

– A jeśli nie zwyciężę? – zapytał Max.

– Zasłużysz sobie na trumnę.

Wkrótce powóz zatrzymał się przed willą z jasnego kamienia w stylu śródziemnomorskim. Od frontu znajdowała się kuta żelazna brama, a dom ocieniały piękne cyprysy. Pan Bonn i Max wysiedli szybko na ulicę, a powóz pojechał dalej. Chochlik wyciągnął klucz, otworzył bramę i wprowadził Maksa do ogrodu pełnego pachnących kwiatów i rzucających głęboki cień palm.

Ten sam klucz posłużył do otworzenia pokrytych metalem drzwi, na których wyryto runy i hieroglify.

Sączył się z nich blady, zielonkawy blask, nadający kamieniowi, szkłu i drewnu upiorny charakter. W wyłożonym terakotą holu czekało już sześciu służących, którzy poruszali się tak, jakby sunęli nad podłogą.

– Malakhy będą dbać o twoje potrzeby i eskortować cię z domu, kiedy zostaniesz wezwany – powiedział pan Bonn, wręczając klucz najbliższemu stojącemu słudze ubranemu w suknię. Ten wziął klucz do ręki obleczonej w czarną rękawiczkę. – Bez eskorty nie wolno ci opuszczać tego domu. W przeciwnym przypadku gospodarstwu i uchodźcom grożą poważne konsekwencje.

Kiedy pan Bonn wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Max zwrócił się do odzianych w czarne szaty postaci.

– Malakhy – powiedział, uważnie wymawiając nieznane słowo. – Tak mam się do was zwracać, czy macie imiona?

Żadna z postaci nie odpowiedziała. Wszystkie stały w równym szeregu niczym maski śmierci z obsydianu.

– Który pokój należy do mnie? – zapytał Max.

Z gestu jednego ze sług wywnioskował, że wybór należy do niego. Kolejne pytania również nie przyniosły odpowiedzi, więc Max wyszedł z holu i ruszył obejrzeć dom. Malakhy nie opuszczały go ani na chwilę. Ich kroki zarówno na terakocie, jak na dywanach, były bezszelestne. Max przeszedł z salonu do sali balowej, a potem do niewielkiej biblioteki. Dom i otaczający go ogród były tak bogate i luksusowe, że o niczym więcej nie można marzyć. Poduszki były miękkie, dzieła sztuki –

zachwycające, woda fontann – chłodna, czysta i kojąca.

Późnym popołudniem jeden z malakhów przyniósł na srebrnych tackach figi i oliwki. Kiedy stawiał tacki, Max zauważył coś niezwykłego. Otóż na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystkie malakhy są identyczne. Ich maski błyszczały nieskazitelną czernią pięknych, jakby bezpłciowych rysów. Przyglądając się jednak bliżej, chłopak dostrzegł, że rysy tego konkretnego naznaczone były drobnymi pęknięciami i lekko zdeformowane wokół

nosa i ust. Przypominało to dzieło sztuki, wobec którego popełniono akt wandalizmu.

Później odkrył, że maska każdego z malakhów była w jakiś sposób zdeformowana. Jedna miała ogromną ranę ciętą przy ustach, inna – pęknięty oczodół. Były niczym sześć świątyń zrujnowanego piękna. Nagle w myślach Maksa pojawił się przebłysk wspomnienia – odkrył, że nazwa „malakh” coś mu mówi.

– Malakhy – szepnął, nie spuszczać z nich oczu. –

Ale czy malakhy nie są aniołami?

Postaci skinęły głowami.

– Co robią anioły na służbie u Prusiasa? – zapytał

Max. – Co robią w mieście demona?

Postaci jednak odwróciły się bez słowa.

Kiedy Max kończył kolację, słońce już zachodziło i w domu zaczynały kłaść się cienie. Stał na tarasie i pochylił się w stronę rododendronów, orchidei i drzew cytrynowych, napełniających wieczorne powietrze cudowną wonią. Z miasta dobiegło bicie gongów. Nad dachami bezszelestnie latały nietoperze, a atmosfera była gęsta od duchów powietrza i ognia, dymu i cienia. Oto mieszkał w Blys – mieście aniołów. Piękno tego miejsca niepokoiło go.

Rozmyślanie przerwał mu odległy głos rogu –

dyszharmonijny i fałszywy. Ten sam dźwięk słyszał wtedy, w górach oraz tego dnia, kiedy zginął jego ojciec. Max rzucił się do plecaka i wyjął lunetę, po czym skierował ją w stronę wschodniej bramy miasta. Coś się tam działo.

Widać było oddalające się światła pochodni i tuman kurzu, jakby ludzie w popłochu, niczym wystraszone bydło, uciekali poza obręb murów.

Dopiero po minucie dostrzegł wieloki.



## CZERWONA ŚMIERĆ

Śniadanie składało się z małych, słodkich owoców, jakich Max nigdy dotąd nie widział. Mięszki miały różowy jak grejpfrut, ale twarde jak jabłko. Najpierw powąchał i dopiero, gdy zapach go zadowolił, ugryzł i w zamyśleniu żuł owoc. W tym czasie malakł położył przed nim parę ciemnych spodni i koszulę.

– Więc co mam robić? – zapytał Max, przechadzając się po olbrzymim salonie willi, w której zebrało się sześć malakłków. Ich obojętne rysy i wieczne milczenie przytłaczały. Max uznałby malakłki za widma, gdyby nie to, że otwierały drzwi, przynosiły jedzenie, a zasłony poruszały się, gdy przechodziły.

Jego pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

Nagle zadzwonił dzwonek. Dwa malakłki wymknęły się z pokoju. Minutę później wróciły w towarzystwie pana Bonna.

Ubrany był w wytworny strój dworski –

jaskrawożółty kaftan i niebieskie buty z zadartymi czubkami, które mogłyby przywołać skojarzenie z trefnisiem, gdyby nie poważna, wręcz ponura mina chochlika. Pan Bonn skłonił się Maksowi i zapytał o samopoczucie.

– W porządku – odparł chłopak. – Bo nie musiałem spać w obozowisku za miastem.

– Nie rozumiem.

– Wieloki – wyjaśnił Max. – Prusias wysłał je na polowanie do obozu uchodźców.

– Oczywiście, że to zrobił – odparł chochlik. –

Władca musi być konsekwentny, jeśli chodzi o groźby.

– Myślałem, że miał udzielić ludziom łaski –

zaoponował Max.

– Ach – odparł pan Bonn. – Przed tobą wiele możliwości, by tej łaski doświadczyć. W rzeczy samej, dlatego tu jestem. Zostałeś dodany do listy uczestników igrzysk i przysłano mnie tu, bym się upewnił, że widowisko z twoim udziałem będzie satysfakcjonujące.

– Żeby się upewnić, że wygram? – zapytał Max podejrzliwie.

– To, czy wygrasz, nie jest ważne. – Chochlik pociągnął nosem. – Liczy się postawa i wysiłek. Nie wystarczy po prostu załatwić przeciwnika. Walczący muszą dostarczyć rozrywki, mistrzu McDaniels.

Muszą odsłonić artyzm swych dusz. Medim powinien być cię tego nauczyć. O tym jednak podyskutujemy później, ponieważ na razie najbardziej interesuje nas kwestia stroju. Nikt bowiem nie może poznać twojej tożsamości.

Musimy zamaskować nie tylko twoją twarz, ale również twój blask.

– Co masz na myśli? – chciał wiedzieć Max. – Już gdzieś to słyszałem.

– Demony nie postrzegają tylko ciała z krwi i kości, jak ludzie – wyjaśnił pan Bonn – ale również esencję i aurę. Nie wiem, czym ty jesteś, ale świecisz bardzo jasno, więc musimy to ukryć, abyś nie został rozpoznany.

Skinął na jednego z malakhów, by podał czerwony stalowy hełm z rogami. Choć jego wnętrze wyłożone było miękką skórą, obejmował głowę zbyt ciasno, przylegając do czaszki niczym macki ośmiornicy. Z przodu było otwarty, lecz pan Bonn wydobyl skądś przerażającą maskę.

Przywodziła na myśl maski azjatyckie. Wymalowane na niej rysy przedstawiały jakiegoś ducha – tengu lub oni.

Podobnie jak cały hełm, maska była czerwona, z wyjątkiem pieczęci Astarotha wymalowanej wyraźną białą linią na czole. Nie było w niej żadnych otworów ani nacięć, dzięki którym osoba ukrywająca za nią twarz mogłaby widzieć lub oddychać. Max z odrazą odepchnął

maskę ozdobioną wstrętną pieczęcią.

– Król nalega – warknął chochlik. – Wzywam cię, byś się podporządkował.

Max

przypomniął sobie karę, jaką Prusias zapowiedział dla ludzi w obozach u stóp miasta oraz tych w bezbronnym gospodarstwie oddalonym o setki kilometrów. Skrzywił się i wziął maskę z rąk pana Bonna.

Natychmiast poczuł, że ożyła. Poruszyła się w jego rękach w stronę hełmu, jakby przyciągana magnesem.

Wyrwała się z jego dłoni, przykryła mu twarz i pogrążyła go w całkowitych ciemnościach.

Ponieważ równie gwałtownie odcięła dopływ powietrza, Maksa ogarnęła panika. Łapczywie zaczerpnął

tchu, zatoczył się do przodu i złapał się jednego z malakhów, by odzyskać równowagę. Ten posadził go na kanapie.

– Rozluźnij się po prostu – doradził mu królewski sekretarz. – Od razu zaczniesz widzieć i oddychać.

Max zignorował go i obiema rękami siłował się z maską.

– Tylko Prusias i ja możemy ją usunąć – wyjaśnił

spokojnie pan Bonn. – Nie dopuścimy, abyś w przyływie urażonej dumy czy złości ujawnił swą tożsamość. Tak masz wyglądać na arenie.

Max słuchał walenia własnego serca w piersi.

Stopniowo zdał sobie sprawę, że jednak oddycha, a powietrze jakoś przedostaje się przez maskę.

Pan Bonn instruował malakhy, gdzie mają położyć lekką zbroję składającą się z ozdobnych czerwonych płytek przymocowanych do obciskającej ciało czarnej skóry.

– Ten strój i hełm masz mieć na sobie na arenie i za każdym razem, gdy opuszczasz mury tego domu. Hamuje on twoją aurę, ale niewiele daje, jeśli chodzi o rzeczywistą ochronę. Nie zatrzyma ani miecza, ani włóczni, ani zębów.

– Prawdziwy ze mnie szczęściarz – rzucił Max ponuro.

Chochlik cofnął się nieco i założył ręce na piersi w geście oczekiwania. Max podniósł strój i wśliznął się w niego. Zbroja opięła go ściśle niczym druga skóra – tak samo jak hełm. Zakrywała idealnie każdy cal ciała – od ozdobionej rogami głowy po buty o stalowych noskach.

Podobnie jak nanokolczuga, nic nie ważyła. Jedyne ciężar hełmu wydawał się wciąż dziwny, niepokojący.

– Doskonale! – wykrzyknął chochlik i obszedł Maksa dookoła, by obejrzeć go z różnych stron. – Nie ma twarzy i nie ma aury. Bragha Run będzie po prostu jednym z wojowników, którzy pragną zdobyć sławę na igrzyskach.

– Kto to jest Bragha Run? – zapytał Max.

– Ty – odparł chochlik. – Takie imię otrzymujesz na czas występów. Powinieneś być zaszczycony. Lord Prusias sam je wybrał. To bardzo znaczący tytuł.

– Co oznacza? – chciał wiedzieć Max.

– Czerwona Śmierć.

Max podszedł do dużego lustra przy drzwiach.

Odbiło postać demona – nikczemnego, z zakrzywionymi rogami i okrutną, bezlitosną twarzą.

Wymalowany cienką linią biały znak Astarotha na czole kojarzył się z pieczęcią wypalaną na skórze bydła na znak własności.

– Dziś wieczorem czeka cię pierwsza walka –

powiedział pan Bonn i zbliżył się, by zdjąć Maksowi maskę. Ześliznęła się z hełmu i w tym samym momencie chłopak poczuł nagły powiew powietrza. Chochlik rzucił

maskę na łóżko. Leżała tam, wpatrując się pustym wzrokiem w sufit.

– A w jaki sposób mam dostarczać rozrywki? –

zapytał Max.

– Masz okazać odwagę i umiejętności, odmawiając ataku na przeciwnika, dopóki ten nie natrze na ciebie sto razy – odparł chochlik. – Jeśli uda ci się zdobyć prawo do odwetu, musisz zakończyć walkę jednym ciosem. Dzięki temu zostaniesz okrzyknięty mistrzem areny i zyskasz sławę.

– To nonsens – fuknął Max. – To nawet w jednym procencie nie jest sprawiedliwe.

– Coś za coś – wyrecytował chochlik. – Jeśli dostarczysz należytej rozrywki widzom, Prusias będzie łaskawy dla ludzi. Jeśli ci się nie uda, ukarze ich.

Powiedziawszy to, odszedł.

Przez resztę dnia Max wałęsał się po domu. W końcu znalazł sobie miejsce w bibliotece. Większość ksiąg napisana była pajęczymi runami demonów, ale znalazło się parę po łacinie, po grecku, a nawet po angielsku.

Wzrok Maksa zatrzymał się na wyjątkowo grubym tomie, którego autorem był chochlik imieniem Kalumnia. Nosił

on tytuł: *O ludzkości*.

Lektura zafascynowała go. Kalumnia był tylko chochlikiem – nie Niebezpiecznym Duchem czy straszliwym rakszasa, lecz przez wieki służył ludziom i notował swoje obserwacje. Mógłby być antropologiem.

Jego spostrzeżenia zdradzały przekonanie, że ludzie to zwierzęta niezdolne do powstrzymania się od pierwotnych żądź i do czerpania doświadczeń ze swej historii.

W

dziele

zamieszczono

niezliczone

studia

przypadków. Mimo bezgranicznej pogardy chochlika do ludzi i jawnego zadowolenia z ich

niepowodzeń Max odkrył również swego rodzaju sympatię dla obiektu swych rozważań, zwłaszcza dla dzieci. Kalumnia uważał

je za bardziej przejrzyste i uczciwe od dorosłych. Jeśli czegoś chciały, po prostu brały to, nie siląc się na racjonalizowanie.

Max rozmyślał nad wywodami Kalumnii, aż zasnął.

Kiedy się obudził, w pokoju było ciemno. Książka Kalumnii ześliznęła mu się z kolan i leżała na podłodze okładką do dołu. Przy drzwiach zapalono dwie lampy.

Obok stał jeden z malaków, przypominający ponury totem.

– Która godzina? – zapytał Max, otrząsnąwszy się ze snu.

Malakh

w

odpowiedzi

podniósł

tylko

krwistoczerwoną maskę.

W przeciągu godziny chłopak siedział już w powozie i wyboistą, obsadzaną drzewami drogą zjeżdżał w dół, mijając pałacyki i wille, by po chwili szerszą aleją skierować się w stronę pałacu. W zamyśleniu dotykał

palcami maski, która okrywała mu twarz, i skubał

czerwone zachodzące jedna na drugą płytki opinające ciało. Po obu jego stronach siedziały malakhy z rękami złożonymi na czarnych sukniach. Max czuł się nieobecny duchem – było tak, jakby obserwował własne życie z jakiejś odległej, zamglonej perspektywy.

Ten stan pełnej zamyślenia ociążałości trwał nawet wówczas, gdy powóz zajechał pod groźnie piętrzący się pałac z wieżyczkami i murami, które oświetlały pochodnie i upiorne ogniki. Powietrze drżało od grzmotu bębnow i hipnotyzujących dźwięków belyael. Przez wielkie wrota na wieczorną rozrywkę do pałacu zajeżdżały karoce. Wnoszono też lektyki.

Ubrany w pelerynę stangret krzyknął i strzelił z bata.

Na ten znak ogniste rumaki z głównej alei skierowały się pod szeroki portyk, a strażnicy rozstąpili się bez słowa, by je przepuścić. Kiedy galopowali, łagodnym łukiem okrążając pałac, muzyka i hałasy słabły.

Max odwrócił się i zobaczył światła w ludzkim obozowisku. Mrugały hen, daleko w dole, na Polach Marsowych. To wszystko dla nich, przypomniawszy sobie.

Cooper skwitowałby tego rodzaju sentymentalizm pogardliwym prychnięciem i zażądałby od Maksa pełnej koncentracji na zadaniu. Odkąd chłopak ostatni raz trenował, a tym bardziej walczył, minęły całe miesiące.

Rozluźnił palce i wzrokiem pełnym wątpliwości przyjrzał

się swym dłoniom w rękawicach z czerwonymi pazurami.

Nie przychodziło mu do głowy nic ponad to, że jest jak legendarna broń ze stępionym ostrzem. Zamknął oczy i wrócił myślami do lekcji pobieranych w Sidh.

Przypomniał sobie głos Scathach dobiegający z czubka wieży, gdzie ćwiczyli między blankami: „Prawdziwy wojownik nie dostrzega przeciwnika, a nawet wielu przeciwników. Dostrzega wzory. Walka to taniec. To twój taniec. To taniec krwi, śmierci i chwały. Tworzysz wzorzec – prowadzisz w tańcu”.

Max zamrugał i wyprostował się – powóz stanął.

Jakiś ogr obszedł go wokół i zajrzał do środka. Jeden z malakhów podał mu list i stworzenie z grymasem na twarzy odsunęło się. Skrzypnęły zawieszane na potężnych zawiasach żelazne drzwi. Ogniste rumaki parsknęły i pociągnęły powóz na teren pałacu.

Max zauważył, że na mury z grubo ciosanego kamienia pada blade światło pochodni. Poczuł kwaśny, trochę zgniły zapach pleśni i zwierząt domowych. Jechali tunelem prowadzącym w dół – w pałacowe trzewia.

Ponure, kręte korytarze, dziwny kostium i czekające go zadanie tak bardzo obciążały myśli i nerwy Maksa, że oczekiwanie stało się prawie nie od wytrzymania. W

końcu usłyszał znany dźwięk – odgłos młota bijącego o kowadło. Mury pojaśniały, oświetlone czerwonym blaskiem otwartych palenisk i nieznośnym gorącym kuźni.

Max stwierdził ze zdziwieniem, że obok powozu czeka cierpliwie pan Bonn. Małeńki wzrost i odświętny ubiór chochlika wydawały się kompletnie nie na miejscu w otoczeniu powykręcanych dvergarów i wieloków wykuwających przedmioty ze stali, a następnie zanurzających je w kadziach do hartowania, przy czym w powietrze buchały kłęby pary. Królewski sekretarz zerknął na czasomierz, skinął głową i otworzył drzwi.

– Spóźniliście się – rzekł i spojrzawszy wilkiem na malakha. – Teraz musimy się spieszyć. Młody panie, proszę za mną.

Max wysiadł z powozu i rozejrzał się dookoła.

Stwierdził, że na jego widok dvergary przerwały prace przy miechach i kowadłach i zagapiły się na

niebo. Pan Bonn szybko poprowadził Maksa ku najbliższemu kowalowi – jakiemuś pradawnemu osobnikowi w zniszczonym, poplamionym fartuchu.

– Sudri – odezwał się do wysuszonego stworzenia. –

To nowy uczestnik igrzysk, o którym ci mówiłem. Bragha Run. Czy broń dla niego jest gotowa?

Dvergar skinął głową i odwrócił się do beczki, w której spoczywało tuzin mieczy różnych kształtów i rozmiarów. Wybrał spośród nich wąski, długi miecz o czerwonym ostrzu i z uwagą wręczył go chochlikowi. Pan Bonn kciukiem sprawdził, czy miecz jest ostry.

– W porządku – orzekł. – Pewien jesteś, że będzie odpowiedni?

– Tak – mruknął dvergar i zmarszczył brew. – Jest ostry, lecz kruchy. Roztrzaska się przy pierwszym mocnym uderzeniu.

– Słyszałeś? – zapytał pan Bonn, zwracając lśniące oczka ku Maksowi. – Jedno uderzenie, tylko tyle jest w stanie wytrzymać twój miecz. Więc kiedy nadejdzie właściwa chwila, musisz uderzyć dobrze.

Max wziął miecz i przez chwilę ważył go w dłoni.

Była to piękna broń, ze złoconą rękojeścią i gałką błyszczącą rubinami. Głupotą wydawało się wkładać tyle starania w wykonanie miecza przeznaczonego do zniszczenia, lecz dvergary byli ludem skłonny do dziwactw. Być może nie byli w stanie wykonać czegoś niepełnowartościowego.

Max, z obu stron pilnowany przez malakhy, przeszedł

za panem Bonnem pod olbrzymim łukiem. Tu ściany były już gładziej, a powietrze mniej stęchłe. Wyobraził sobie, że muszą się zbliżyć do zewnętrznej strony piramidy. Pan Bonn skręcił w jakiś korytarz i oczom Maksa ukazał się najbardziej nieoczekiwany widok.

Była to winda z Warsztatu.

Wbudowana w przejrzystą kolumnę, miała kształt srebrnego, zawieszzonego niczym w próżni jaja. Max jeździł już takimi windami – poruszał się nimi w Warsztacie we Frankfurcie. Od nadmiaru pytań dostał

zawrotu głowy. Czyż Astaroth nie zniszczył wszelkich nowych technologii?

Chochlik się zaśmiał.

– Trochę luksusu, trzeba przyznać. Ci z Warsztatu to niemożliwe gbury, ale przynajmniej się przydają. Lord Prusias uwielbia te ich zabawki. Proszę, idź przodem.

Kiedy tylko weszli do środka, drzwi zamknęły się bezszelestnie i winda uniosła się, przyspieszając do tego stopnia, że żołądek podchodził do gardła.

– Rozumiesz stojące przed tobą wyzwanie? – upewnił

się pan Bonn.

Max skinął głową.

– Doskonale. Mój pan prosi, abym ci przekazał, że jeśli spełnisz jego oczekiwania, sto osób zostanie wpuszczonych do Blys, a pozostający za murami otrzymają żywność i inne artykuły.

Winda płynnie zwolniła i zatrzymała się przed dużym, ciemnym pomieszczeniem, bogato zdobionym i oświetlonym płytkimi misami z fosforyzującym światłem.

W głębi znajdował się szeroki korytarz.

Opuszczanej kraty strzegącej wstępu na arenę pilnowały dwa ogry. Przez żelazne pręty Max mógł

przyrzeć się arenie, która miała długość kilku boisk do piłki nożnej, a otoczona była rzędami ławek oraz prywatnych łóż, wznoszących się ku skrzyśonej replice Notre Dame, której wieże strzelały wysoko pod księżyc.

W Koloseum musiało się znajdować ze sto tysięcy widzów. Ich twarze zlewały się ze sobą. Na zmysły Maksa najbardziej jednak działał hałas podobny do warkotu maszyny. Była to elektryczność w powietrzu –

wyczuwalny szum oczekiwania.

Po drugiej stronie areny uniosła się krata. Coś pochyliło głowę, by przejść pod nią i wkroczyć na arenę.

Max ciężko oparł się o pręty i spojrzał na swego przeciwnika.

Był nim wielok, lecz niepodobny do żadnego, którego Max kiedykolwiek widział.

Po pierwsze, był znacznie większy – wysoki jak ogr, pokryty gładkim, białym futrem. Co dziwniejsze jednak, wielok miał dwie głowy.

– To Straavh – szepnął pan Bonn. – Potomek wieloka i ettina. Wywodzi się z dalekiej północy i jest brutalny, mój młody panie. Kiedy wysłannicy mego władcy odnaleźli go w jego ojczyźnie, cały las zaśmiecony był

kościami, mój panie. Ludzkimi.

Max odwrócił się do chochlika.

– Pamiętaj, że za twoje niepowodzenie ludzie zapłacą ogromną cenę – mruknął blady pan Bonn.

Max ponuro patrzył przez kratę na Straavha, który truchtem wybiegł na środek areny, waląc toporem



w tarczę i prosząc tłum o doping, po czym zatrzymał się i dysząc, wpatrywał w kratę tunelu Maksa. W tej chwili krata podniosła się, skrzypiąc.

– Powodzenia – szepnął chochlik.

Max nie był w stanie odpowiedzieć – serce waliło mu w piersi, twarz pociła się od gorącego, płytkiego, łapczywego oddechu wewnątrz hełmu. Dotarły do niego odległe słowa komentatora igrzysk, który zapowiedział

wejście Bragha Run. Zapanowało milczenie, jakby tłum oczekiwał, że komentator opowie o wyczynach i historii gladiatora i być może poinformuje o stawkach zakładów.

Nie padły jednak żadne słowa. Komentator powtórzył

tylko imię wojownika, a rozczarowani widzowie zaczęli gwizdać i rzucać monetami w przyjmujących zakłady.

Mimo olbrzymich rozmiarów areny Max starał się nie spuszczać oczu z przeciwnika. Zebrał się w sobie i zbliżył

do nieznanego stworzenia, które spoglądało nań pogardliwie. Zatrzymali się parę kroków od siebie. Max sięgał potworowi zaledwie do pasa. Kiedy przyjrzał się bliżej, okazało się, że dwie głowy Straavha nie są wcale identyczne – prawa była szersza, podobna do głowy dzika, a lewa – zdecydowanie bardziej wilcza. Jasne futro wokół

nosa potwora było splamione krwią. Czarne wargi uniosły się, odsłaniając rząd pożółkłych zębów.

Rozległ się głos bębna – trzy uderzenia, raz po razie.

Straavh zwrócił się w stronę łoża królewskiej, skąd zwieszał się purpurowy proporzec z wyhaftowaną złotą pieczęcią Prusiasa. Sam król siedział pośrodku łoża, otoczony dworzanami i chochlikami. Skinął głową, a Max, wzorem Straavha, przyklęknął na jedno kolano i skłonił się głęboko.

Znowu uderzono w bęben. Uciszony na chwilę tłum ponownie zaczął wrzeszczeć.

Walka się rozpoczęła.

Straavh zaatakował natychmiast. Uderzenie było mordercze, zamaszyste, i Max zdołał uskoczyć przed nim dosłownie w ostatnim momencie. Reakcje miał trochę spowolnioną w stosunku do tego, do czego przywykł, zaczął jednak liczyć ataki.

Jeden.

Straavh nacierał. Jego topór raz za razem gwizdał w powietrzu. Zadając ciosy obliczone na to, by zmiażdżyć lub rozplatać ofiarę, potwór napierał na Maksa, jakby chciał go z całej siły cisnąć na czerwony piach areny.

Walka trwała. Z chwili na chwilę Max czuł, jak wracają jego dawne umiejętności. Z ogromną wyrazistością zaczęły docierać do niego szczegóły postaci przeciwnika – rozszerzone źrenice, spienione szczęki i jego niezdarne, niecelne ciosy...

Czterdzieste,

niezwykle

gwałtowne

uderzenie

Straavha pchnęło Maksa za jedną z wielu marmurowych kolumn rozsianych po całej arenie. Na chwilę skrył się za nią, czekając, aż Straavh nadejdzie. Zdegustowany tłum wygwizdywał walkę, na arenę spadał deszcz śmieci i resztek jedzenia. Max błyskawicznie rzucił okiem na Prusiasa, który siedział w łoży z obojętną miną i głaskał

się po brodzie.

To nie wystarczy, doszedł do wniosku. Wezmą go za zwykłego tchórza. Musi podjąć większe ryzyko, musi prowadzić w tańcu, prowokować, ale nie atakować. Musi być jak matador – śmiać się śmierci w twarz nawet wtedy, gdy ta po niego przyjdzie.

Wkroczył na otwartą przestrzeń. Straavh zamarł na chwilę, przekrzywiając obie głowy i ze zdziwieniem wpatrując się w przeciwnika, który zasalutował swym cieniuteńkim mieczem i odrzucił go na bok. Lodowato niebieskie oczy potwora zwęziły się, a szyderczy uśmiech nie pozostawił wątpliwości co do tego, o czym właśnie pomyślał. Oto jego przeciwnik jest tchórzem i błaga o szybką śmierć.

Straavh zamierzał spełnić jego życzenie. Podniósł

topór, zrobił trzy susy biegiem i zadał cios. Mierzył tak, by odciąć Maksowi głowę.

Uderzenie było jednak mocno chybione. Impet sprawił, że Straavh zachwiał się, potknął i prawie stracił

równowagę. Obrócił się wokół własnej osi tylko po to, by stwierdzić, że Max stoi tuż przy jego boku.

Od tej chwili Max prowadził w pojedynku – mimo że nie miał broni. Nacierał na Straavha, krążył wokół niego zaczepnie, podejmował niewyobrażalne ryzyko, po czym wymykał się spoza jego zasięgu. Tłum śmiał się, wygwizdywał Straavha i bił brawo bezczelnemu nowicjuszowi. Max ignorował okrzyki tłumu. Był

skupiony na liczeniu.

Osiemdziesiąt jeden... osiemdziesiąt dwa...

Na twarzach Straavha pojawiła się desperacja.

Machał toporem coraz bardziej dziko i niezdarnie. Max zaś stosował coraz to nowe sztuczki, popychał potwora do tyłu, nie unosząc nawet ręki do ciosu. Setne uderzenie Straavha było uderzeniem obronnym – żalosną próbą utrzymania Maksa na dystans. Chłopak zatrzymał się gwałtownie i pozwolił zabójczemu ostrzu topora przejść o milimetr od swojej szyi. Uderzenie było chybione – ku zachwytowi tłumu. Arystokracja podniosła się z siedzeń, obserwując Straavha, który chwiejnym krokiem wycofał

się pod ścianę areny.

Max natomiast, odwróciwszy się plecami do przeciwnika z całą arogancją, na jaką był w stanie się zdobyć, wkroczył na środek areny. Szedł wolnym, niemal beztroskim krokiem. Nie obejrzał się, by sprawdzić, jak Straavh przyjmie tę zniewagę.

Widownia szalała.

Gdyby Straavh teraz zaatakował, poprzez wycie tłumu Max nie usłyszałby kroków przeciwnika. Mimo to nie odwrócił się. Wszystko zależało od brawury – od zuchwałego, nieustraszonego gestu. Maszerując w stronę porzuconego wcześniej miecza, Max skupił się na reakcjach tłumu. To one powiedzą mu wszystko, co powinien wiedzieć.

Uwagę Maksa przykuł zwłaszcza pewien chochlik.

Jego pan siedział w jednej z królewskich łóż – był nim rozdęty demon o twarzy ropuchy i sterczących kłach.

Chochlik wyglądał na wrażliwego, wydawało się wręcz, że obserwuje widowisko z niechęcią. Max, podchodząc do miecza, wpatrywał się z napięciem właśnie w niego.

Nagle źrenice chochlika rozszerzyły się. W

przyływie panicznego strachu ścisnął barierkę i zamknął

oczy.

Teraz!

Jednym płynnym ruchem Max chwycił miecz, odwrócił się i pchnął.

Ostrze natrafiło na tarczę Straavha, przecięło ją równo na pół i z druzgocącą siłą wbiło się prosto w serce potwora. Straavh zatoczył się do przodu i uderzył piersią w jelec. Obie jego głowy spojrzały na Maksa z góry z wyrazem zdumienia, po czym stwór runął na piach.

Tłum wył, a Max przyglądał się ciału. Ręka, w której trzymał miecz, bolała, lecz czuł, że jest naładowany energią. Radość zwycięstwa tłumiła jednak poczucie winy, a nawet smutek. Max bawił się przeciwnikiem, wykorzystywał swą przewagę, by go upokorzyć, a potem zniszczyć – wszystko po

to, by ucieszyć tłum.

Jakby z bardzo daleka słyszał głos komentatora unoszący się ponad wiwatami tłumu: Bragha Run!

Tłum zaczął skandować to imię. Jego wycie z jednej strony mroziło Maksowi krew w żyłach, z drugiej budziło w nim do życia Starą Magię. Na arenę padały monety, kwiaty i błyskotki. Max odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem opuścił arenę, ignorując krzyki widowni i prośby o jego uwagę.

Pan Bonn nie odezwał się, dopóki nie usiedli w powozie. Kiedy zaś w końcu przemówił, na jego twarzy malowało się zadowolenie.

– Prusias miał rację – powiedział czule. – Jesteś do tego stworzony.

Druga walka Maksa wyznaczona była na następny tydzień. Do tego czasu heroldowie i bardowie Prusiasa rozgłosili wieść o Bragha Run w każdym zakątku królestwa. Kiedy okazało się, że Max sprostał wyzwaniu Prusiasa i w rekordowym czasie pokonał wroga, sprzedawcy biletów zaczęli żądać bająskich sum za przywilej podziwiania walki Bragha Run na żywo.

Hazardziści obstawiali niebotyczne stawki. Posypały się podania o spotkanie z obiecującym wojownikiem, o jego udział w rozmaitych uroczystościach państwowych i prywatnych. Wszystkie spotykały się z odpowiedzią odmowną, co potęgowało aurę tajemniczości otaczającą tego cichego utalentowanego zabójcę.

Wraz z liczbą wygranych przez Maksa walk w zawrotnym tempie rosła jego sława. W ciągu dwóch miesięcy stał się najpopularniejszym i najbardziej intrygującym tematem rozmów w królestwie.

Nie był jednak jedynym tematem. Napływały wieści o potyczkach granicznych z królestwem Aamona i kupcy ustawicznie narzekali na ataki. Na oceanie przepadały całe floty, a żywioł nie pozostawiał ani jednego rozbitka, który mógłby opisać przebieg zdarzeń. No i były te dziwne czerwone kwiaty wyrastające na miejscach starych kościołów i wzdłuż ważnych traktów handlowych.

Pewnego ranka Max zastanawiał się nad tym wszystkim, kiedy pan Bonn przerwał mu pytaniem:

– Czy coś cię trapi?

– Słucham? – zapytał Max i wziął tacę z jedzeniem.

Chochlik palił właśnie cygaro i z zadowoleniem wydychał jego słodki dym za okno. Zgasił je, podszedł do Maksa, przysiadł się do niego i podążając za jego wzrokiem, spojrzał na piękną perspektywę miasta.

– Jesteś dziś bardzo cichy – zauważył. – Polubiłem nasze poranne rozmowy.

– Rozmyślałem o dzisiejszej walce – skłamał Max.

– Ach tak – odparł chochlik i wybrał sobie oliwkę. –

Wiesz, że nie wolno mi zdradzać żadnych informacji na temat przeciwnika. Wkrótce sam się dowiesz.

– Wszystko mi jedno. – Max wzruszył ramionami. – I tak są tylko trzy możliwości: lord Ruk, grylmhoch i ten Myrmidon, tak?

– Zgadza się – odparł chochlik.

– Widziałeś wszystkie ich walki? – zapytał Max.

– Tak.

– Kogo ty byś wybrał?

– Żadnego – zażartował pan Bonn.

– Ja wybrałbym Ruka – zastanawiał się Max. – Jeśli kiedykolwiek będę miał szansę zemsty na Vyndrze, to warto byłoby spróbować walki z kimś z jego gatunku. Czy rakszasa są naprawdę tacy straszni?

– Tak – trzeźwo odpowiedział pan Bonn. – Zjedli już wiele dusz.

– Co to znaczy: „zjedli wiele dusz”? – zapytał Max, zmrożony na samą myśl o tym, co usłyszał.

– Oczywiście, że jedzą dusze – rzekł pan Bonn. –

Robią to wszystkie większe demony, to ich podstawowe pożywienie. I nie ma co się tak dziwić; niczym się to nie różni od tego, że ludzie jedzą mięso czy piją.

– Ale Prusias je zwykłe jedzenie – przypomniał sobie Max. – Je tyle, że starczyłoby dla dziesięciu.

– Robi to tylko dla przyjemności – zaśmiał się chochlik. – Dogadza swoim zmysłom. Chleb jednak i wino nie zdołają utrzymać przy życiu większego demona, nie mówiąc już o tym, że żywiąc się w ten sposób, demon nie może się rozwijać. Rakszasa nigdy nie osiągnąłby swojego wzrostu, gdyby nie pochłoniął tysiąca dusz.

Większość demonów mnóstwo razy przechodziła *koukerros*.

– Co to takiego *koukerros*? – zapytał Max, uważnie wypowiadając nieznane słowo.

Pan Bonn zastanowił się nad odpowiedzią.

– Kiedy demon zmagazynuje wystarczająco dużo sił

życiowych, przeważnie pochodzących z dusz, by ewoluować w istotę wyższego rzędu, to ta wzniosła chwila nazywa się właśnie *koukerros*.

– Ty też kiedyś będziesz rakszą? – zapytał Max.

– Raczej nie – odparł ze smutkiem pan Bonn. – To jest zarezerwowane dla demonów wyższych rangą.

Chochlik nie jest w stanie dokonać tego sam, więc musiałby dostąpić tego zaszczytu z rąk demona o wysokiej pozycji. Zdarza się to niezwykle rzadko, ponieważ starszy demon w wyniku tego procesu musi oddać część swego jestestwa protegowanemu. Niewielu panów ma chęć na takie poświęcenie, więc mój gatunek pozostanie zapewne zamknięty w swej obecnej postaci na zawsze.

– W takim razie bycie chochlikiem wydaje się dość beznadziejne – zauważył Max.

– Niezupełnie – odparł pan Bonn. – Są panowie, którzy ulubionemu słudze gotowi są rzeczywiście udzielić *koukerros*. No i jest Cierpliwa Yuga. Nie ma chochlika, który nie znałby jej szczęśliwej historii.

– Opowiesz mi ją? – poprosił Max.

Chochlik popchnął talerz w stronę chłopca. W tej samej chwili zauważył coś i wskazał palcem okno.

– Co to za ptak?

Max wyjrzał na dwór i niemal zakrztusił się winogronem.

Był to ptak Davida Menlo. A dokładniej, jeden z dwóch jaskrawoniebiesko-żółtych ptaszków, które David stworzył pod Brugh na Boinne, kiedy udało im się odzyskać Księgę Thotha. W samym sercu skarbów Sidh David otworzył księgę i wypowiedział słowa Stworzenia, nadając kształt nazwom, które powołały do życia te delikatne istoty. Max nie spuszczał z ptaszka wzroku.

– Jest stary czy nowy? – chciał wiedzieć chochlik.

– Nie wiem – skłamał Max i zerknął na pana Bonna, by sprawdzić, czy ten zwrócił uwagę, jak wielkie wrażenie wywarł na nim ptaszek.

– Tak czy siak, jest piękny – rzekł rozmarzony chochlik, obracając w palcach kawałeczek chleba. Ptaszek przekrzywił upierzony łebek i odfrunął, machając skrzydełkami szybko jak koliber.

– Miałeś mi opowiedzieć o Yudze – zmienił temat Max.

– Tak – rzekł pan Bonn i sięgnął po następne cygaro.

– Wybacz. Jak mówi opowieść, świat nie widział

zdołniejszego, wierniejszego chochlika niż Yuga. Służyła ona swemu panu bez wytchnienia przez wieki. Mówią, że na początku każdego stulecia pan obiecywał jej *koukerros*, kiedy wiek się skończy. Nie miał jednak wcale zamiaru wywiązać się z obietnicy. Kiedy nadchodził czas, zawsze i niezmiennie znajdował jakiś błąd w jej postępowaniu, choć w rzeczywistości takiego nie było, i

karal ją za zuchwalstwo. Pan Yugi był niezwykle potężny, lecz zbyt ślepy, by dostrzec rosnącą nienawiść sługi, i zbyt dumny, by się jej obawiać. Więc Yuga w tajemnicy porozumiała się z wrogami swego pana i dobiła targu. Obiecała, że dostarczy swego pana w ich ręce pod warunkiem, że pozwolą jej dostąpić *koukerros*. Zgodzili się i tak oto rozpoczął się spisek.

Max dostrzegł w oczach chochlika złocisty błysk dumy, a na jego twarzy najbledszy z uśmiechów.

– Yuga jednak wsławiła się na wieki tym, co zdarzyło się później. Ponieważ była bardzo sprytna, udało jej się przekonać wrogów swego pana, by udzielili jej *koukerros*, zanim ich do niego zaprowadzi. Ci zgodzili się w swej gorliwości i mały chochlik stał się prawdziwym demonem. Nie wiedzieli jednak, że Yuga zasiała już wśród nich nasiona zdrady. Przekonała mianowicie każdego ze spiskowców, że pozostali planują zdradę i że każdy z nich zamierza w pojedynkę pochłonąć jej pana.

Więc kiedy tylko go zgładzili, zwrócili się przeciwko sobie. Niebiosa zatrzęsły się i kiedy walka była zakończona, cztery potężne demony leżały konające. Były za słabe, by stawiać opór, więc Cierpliwa Yuga wyszła z ukrycia. Nasyciła swój apetyt ucztą tak obfitą, że wkrótce stała się potężna. W ten sposób historia Cierpliwej Yugi uczy każdego chochlika, że wytrwałość zostaje nagrodzona i że nawet prosty sługa może kiedyś przyćmić swego pana.

Ostatnie

zdanie

pan

Bonn

wypowiedział

rozmarzonym tonem, tonem pełnym nadziei. Wyraźnie zadowolony, wydmuchał mistrzowskie kółko dymu i wysłał je za okno.

Stuk!

Okna się zatrzęsnęły.

Zdziwieni Max i pan Bonn zobaczyli stojącego w drzwiach Prusiasa otoczonego wszystkimi sześcioroma malakhami w czarnych szatach. Król się uśmiechał, ale Max wiedział, że to uśmiech podszyty strachem.

– Ma pan wiernych słuchaczy, panie Bonn? – zapytał, wspierając się na lasce.

Wylęknięty chochlik wstał i nisko się pokłonił.

– Po tysiącuroc przepraszam, mój panie. Pański Bonn zapomniał, gdzie jego miejsce.

Prusias wszedł głębiej do pokoju, który pociemniał

nagle tak, jakby słońce schowało się za czarną chmurą.

Uśmiech nie schodził mu z ust.

– Opowiadaliście sobie historię Yugi?

– Tak, mój królu. Młodego panicza interesowało *koukerros*.

– I uważałeś, że najlepszym sposobem, by mu to wyjaśnić, będzie historia zdradzieckiego chochlika?

– Mój wybór był niemądry, panie.

Prusias uśmiechnął się szerzej – jego uśmiech rozciągnął się do tego stopnia, że szeroka, ciemna twarz się napięła. Pan Bonn trząsł się tak bardzo, że filiżanka, którą trzymał w ręku, stuknęła o spodek.

– Być może, panie Bonn, lepiej będzie, jeśli sam zajmę się edukacją Maksa.

– Oczywiście, wasza wysokość.

– Dziękuję, panie Bonn – odparł Prusias. – A teraz proszę zostawić nas samych.

– Do usług, panie.

Widok był żalony. Chochlik, wciąż dygocąc, skłonił

się przed swym panem, następnie przed Maksem, po czym sztywno wyszedł z pokoju. Prusias spojrzeniem wydał

malakhom jakiś rozkaz i ciemne postaci wymknęły się za drzwi.





# WIELKI CZERWONY SMOK

Pan Bonn nie towarzyszył Maksowi tego wieczora w drodze do kołoseum. Jechał z nim tylko malakh. Max zastanawiał się, co dzisiaj zgotuje mu los na arenie.

Wyglądając przez okno, nie przestawał myśleć o tym, jak niebezpieczne stały się walki. Nie mógł już przyjmować zwycięstw za pewnik.

W Blys panowało ogromne podniecenie – wszystkie dzielnice, od gett po mniej ważne pałace, kipiały od świateł i gwaru. Na ulicach gromadziły się gęste tłumy stworzeń pragnących posmakować coraz gorętszej atmosfery igrzysk. Max dostrzegł wymalowaną na długim na kilka pięter płótnie podobiznę swojej twarzy, a raczej maski Bragha Run. Na widok pieczęci Astarotha na swoim czole zrobiło mu się niedobrze.

Jeszcze tylko trochę.

Powóz, pokonawszy łagodny zakręt, zaczął się piąć pod górę, by dostać się na tyły pałacu, pod wejście dla zawodników. Kiedy przejechali przez bramy, malakh zaprowadził Maksa do oczekujących w kuźni dvergarow.

Max spodziewał się, że i tym razem Sudri lub jeden z jego pomocników wręczy mu broń, którą ma tego wieczora walczyć.

Dvergar jednak gestem dał Maksowi do zrozumienia, że wybór broni należy do niego. Leżało przed nim około dwunastu sztuk broni różnego rodzaju – od ciężkiego berdysza, przez buzdygan z ostrą głowicą po miecz oburęczny długości równiej wzrostowi chłopca.

Dlaczego taka broń?

Max wątpił, że znalazła się tu przypadkowo. Kiedy przyjrzał się wszystkim sztukom broni z bliska, stwierdził, że pokryto je niebieskawym metalem, jakiego dotąd nie widział. Nałożony był cieniutką warstwą i tylko na krawędzie i końcówki. Max domyślił się, że musi to być wyjątkowo rzadki i drogi materiał. Najwyraźniej przeciwnika, z którym przyjdzie mu się dziś zmierzyć, chroni niezwykle trudny do przebicia pancerz.

Dłuższą chwilę zastanawiał się nad czymś w rodzaju połączenia miecza i włóczni. Była to broń ciężka, długa prawie na metr, o szerokim ostrzu. W końcu się na nią zdecydował.

Kiedy windą projektu inżynierów z Warsztatu wjechał na górę, okazało się, że czeka na niego nieznajomy chochlik o zielononiebieskiej skórze. Nie uznał on za stosowne przedstawić się chłopcu, i od razu poprowadził go korytarzem do pustej poczekalni, po czym skłonił się i odszedł. Max został sam w ciemnym pomieszczeniu ozdobionym tylko poplamionymi krwią skórami zwierząt i dziwnymi, nieziemskimi dziełami sztuki. Minęło kilkanaście minut, zanim usłyszał głos komentatorki. Mówiła w języku demonów, więc nie zrozumiał nic poza własnym imieniem, po którym nastąpił

ryk podnieconego tłumu.

Centymetr po centymetrze uniosła się żelazna krata.

Max poczuł znajome swędzenie palców.

Chwycił swoją broń i po raz kolejny wyszedł z cienia bramy na arenę, gdzie – już to wiedział – czekały go blask, hałas i ból.

Nigdy dotąd nie został wpuszczony na arenę jako pierwszy. Doświadczenie było całkowicie inne. W przeszłości to na niego czekał przeciwnik, wyznaczając początkowy punkt skupienia uwagi. Teraz Max stał

samotnie pośrodku ogromnej areny, świdrowany wzrokiem stu tysięcy złaźnionych atrakcji widzów. Nigdy w życiu nie czuł się równie wyobcowany. Żołądek skurczył mu się ze strachu. Chłopak nie spuszczał wzroku z przeciwległego wejścia na arenę. Czy za kratą czai się na niego Śmierć?

Otrząsnął się z tych myśli, zdecydowany nie zdradzać postawą i gestem ani wątpliwości, ani słabości. Ścisnął

włócznię i wyprostował się dumnie, naśladując Cuchulaina, którego podobiznę widział kiedyś na gobelinie. Jeśli jego koniec właśnie nadchodzi, przyjmie go w pełnej gotowości.

Komentatorka nie przestawała mówić. Max starał się ponad gwarem tłumu wychwycić z jej monologu imię swego przeciwnika. Wsłuchiwał się więc w jej głos, by wyłowić coś, co przypominałoby jedno z imion: Ruk lub Myrmidon. Nie usłyszał jednak nic podobnego. Zamiast tego zaobserwował dziwną migrację na widowni. Wielu widzów gwałtownie opuszczało pierwsze rzędy i ustawiało się w przejściach bardziej odległych sektorów.

Mimo zamieszania na widowni Max ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z przeciwległego wyjścia na arenę.

Krata jednak nie poruszała się. Nagle odsunął się cały fragment sąsiadującej z wejściem ściany, ukazując wielki czarny otwór. Max wlepił wzrok w ciemność, w której mrugało mrowie nikłych światełek, do złudzenia przypominających gwiazdozbiory nad kopułą w jego pokoju w Rowan. Światelka te jednak powiększały się w szybkim tempie – zupełnie jakby umieszczono je na nadjeżdżającej z dużą prędkością lokomotywie.

Kiedy grylmhoch wbiegł na arenę, Max wiedział już, że stworzenie musi pochodzić nie z tej ziemi, lecz z jakiejś odległej galaktyki... lub piekła.

Pierwsze nasuwało się na myśl porównanie do ogromnego pająka, ponieważ potwór pośrodku czegoś, co mogło uchodzić za twarz, miał skupisko wielu oczu. Pod oczami znajdowały się kłapiące paszcze, pojawiające się i znikające

w

sposób

nieskoordynowany,

jakby

przelewające się gładkie cielsko potwora wytwarzało je przypadkowo.

Każda próba porównania tego stwora do czegokolwiek ziemskiego była bezsensowna, nie istniało bowiem w jego postaci nic stałego. Nawet jego stan zdawał się zmieniać – co jakiś czas straszliwa masa drgała i stawała się przezroczysta, jakby prawa natury buntowały się przeciw jego obecności na tym świecie.

W okrągłych oczach grylmhocha nie przeblyskiwał

nawet cień inteligencji. Dziesiątki tych oczu rozglądały się teraz bez zmrużenia po arenie.

O ile zatrważające rozmiary i blade cielsko przywodzące na myśl kałamamicę szokowały, o tyle prawdziwą grozę wywoływał sposób poruszania się potwora. Grylmhoch nie chodził, a ślizgał się po arenie, odpychając od siebie całe zwaly piachu. Przesuwał się dzięki śluzowatej substancji wydzielającej się spod rozłożystego brzucha. Posiadał co prawda nogi i ramiona, jak również kończyny przypominające płetwy, czułki i nibynóżki, lecz najwyraźniej nie były one w stanie udźwignąć takiej masy. Wyglądało na to, że jego właściwym środowiskiem była woda, a może nawet przestrzeń kosmiczna.

Max mimowolnie postąpił krok w tył i zerknął na swą broń.

Jakim cudem włócznia mogła wyrządzić krzywdę czemuś takiemu?

Jedno za drugim obracające się wokół własnej osi oczy skupiły się wreszcie na nim. Z jednej z paszcz grylmhocha wydobył się krzyk. Było to wołanie afryta, ducha ognia. Max słyszał go już wcześniej, kiedy to właśnie afryt uciekł z muzeum biologicznego Warsztatu we Frankfurcie.

Dlaczego grylmhoch krzyczy głosem afryta?

Odpowiedź prędko wyszła na jaw.

Kiedy potwór ruchem ślizgowym posuwał się w kierunku Maksa, na jego ciele utworzyła się kolejna paszcza, z której wydobył się zupełnie inny głos –

straszliwy ryk jakiegoś nieznanego stworzenia. Po chwili zmienił się on w dziwne brzęczenie, po którym nastąpiło odrażające gdakanie.

Potwór najwyraźniej naśladował głosy, które słyszał.

Czy były to bezmyślne echa głosów jego ofiar z przeszłości, czy może jakaś dziwaczna próba komunikacji? Max zadrżał, kiedy usłyszał dochodzący głęboko z trzewi grylmhocha histeryczny głos kobiety.

– Proszę jak najprędzej kogoś przysłać! Mój mąż zrobił coś strasznego.

Tłum, który wiwatował gromko, gdy Max nie ustąpił

pola potworowi, nie zdawał sobie sprawy, że stało się to za sprawą absolutnego szoku. Potwór górował nad chłopakiem. Był większy od domu. Max stał jak zahipnotyzowany, a grylmhoch uformował coś w rodzaju cielistej nibynóżki i wyciągnął ją powoli, niczym sondę, która zatrzymała się jakieś półtora metra przed jego twarzą. Skóra odnóża kipiała wciąż wybrzuszanymi się brodawkami. Ku przerażeniu Maksa brodawki te utworzyły usta – miękki, zmarszczony krąg ciała, który ziewnął szeroko, a wtedy z jego blad różowych dziąseł

wysunęły się ostre jak brzytwy zęby.

Max przezwyciężył obezwładniającą odrazę i szok i zamachnął się bronią.

Kiedy ostrze dotknęło ciała grylmhocha, Max poczuł

nagle kopnięcie prądu, który następnie powędrował mu po ramieniu. Ostrze czystym cięciem przekroiło nibynóżkę na pół. Odcięta część ciężko spadła na piach. Jej usta dziko kąsały wszystko dokoła. W tym samym czasie kikut wycofał się powoli do ciała potwora.

Max odsunął się szybko od zranionej, kłapiącej paszczy, która leżała u jego stóp. Jej ciało zaczęło kipieć.

Max, zdrętwiały z przerażenia, gwałtownie zaczerpnął

powietrza, gdy okazało się, że odcięta macka uformowała się w kopię grylmhocha wielkości dorosłego człowieka, wrzasnęła i ruszyła na chłopaka, który odskoczył w bok, podczas gdy pełnowymiarowy osobnik wysłał w jego kierunku więcej nibynózek.

Tłum zaczął wrzeszczeć, kiedy jedna z nich porwała Maksa w powietrze, a jej jeszcze nie do końca uformowana paszcza wpiła się w jego lewy nadgarstek.

Uścisk paszczy był zdumiewająco miękki, lecz za chwilę Max poczuł potężne ssanie. W jednej chwili całe jego ramię, aż po bark, zagłębiło się w chlupoczącym, mięsistym cieple, które systematycznie wciągało go ku wypełnionej zębami otchłani tworzącej się w tułowiu potwora.

Max zacieśnił uchwyt wolnej ręki na włóczni. Z pełną przerażenia desperacją zanurzył ją w otworze wsysającym jego lewą rękę. Nie było czasu na precyzję – mógł mieć tylko nadzieję, że nie okaleczy sam siebie.

Doświadczył kolejnego kopnięcia prądem, a następnie poczuł, że spada. Runął na piach areny i stwierdził, że wciąż ma obie ręce, z których jedna nadal zamknięta jest w miękkiej, żywej tkance grylmhocha. Jak szalony zaczął szarpać gumiąstą tkanekę, zdierać z siebie wijące się kawałki i odrzucać je na oślep.

Grylmhoch z niewzruszoną cierpliwością ganiał

Maksa po całej arenie. Tak jak troll górski, ścigał go z bezmyślną determinacją. W przeciwieństwie jednak do trolla, grylmhoch zdawał się nie męczyć. Choć poruszał

się nie szybciej niż truchtający człowiek, sprawiał

wrażenie, że może to robić w nieskończoność. Przez cały czas gonitwie towarzyszyły niepokojące wrzaski i szaleńcze błagania w rozmaitych językach.

Mimo to Max nie mógł przecież skupić się wyłącznie na odpieraniu ataków tej mięsożernej góry, ponieważ, broniąc się, odciął cztery kolejne nibynóżki, które przekształciły się w miniaturowe potomstwo potwora i wraz z pozostałymi dwoma zaciekle ścigały go po arenie.

Im mniejsze było potomstwo, tym prędzej się poruszało. Kiedy tylko Maksowi udawało się zbiec przed olbrzymim napastnikiem na przeciwny kraniec areny, jego pomiot już rzucał się w pogoń. Zmuszony do obrony Max siekał małe potwory na drobniejsze kawałki, tym samym zwiększając ich liczbę. Wiły się jak wygłodniałe meduzy, gdy tymczasem wielki grylmhoch metodycznie i niestrudzenie raz za razem przystępował do ataku.

Udręka chłopca wywoływała zachwyty widowni. Max nigdy dotąd nie słyszał takiego aplauzu. Na arenę sypał

się deszcz kwiatów i monet, podczas gdy on, dysząc ciężko, biegał z jednego jej końca na drugi. Hełm nieznośnie go ograniczał, a wysiłek rozdzierał mu płuca.

Łapiąc desperacko oddech, oparł się o kratę zamykającą wejście. Nie zdążył odpocząć nawet sekundy, kiedy usłyszał wściekły wrzask.

Odwrócił się i dostrzegł, że dogania go najmniejszy i najzwinniejszy mały stwór. Max był zbyt zmęczony, by zamachnąć się porządnie, więc nadział go tylko na włócznię i pozwolił, by ostrze pod ciężarem własnym oraz wijącego się na nim stworzenia opadło na ziemię. Znowu poczuł kopnięcie prądu – to broń oddała swój ładunek.

Zamiast wyciągnąć włócznię z ofiary jak poprzednio, Max tym razem pozwolił jej oddać kilka kolejnych wstrząsów.

Jego nozdrza podrażnił obrzydliwy smród podobny do zapachu palonych włosów.

Potomek potwora natychmiast przestał się poruszać.

Nie było czasu się nad tym zastanawiać, bo rzucały się już na niego następne. Posługując się rękojęcią broni niczym pałąką, Max powalił przeciwników na ziemię, by ich ogłuszyć, zanim zdąży porazić każdego po kolei śmiertelną dawką prądu. Nie minęło więcej niż pięć minut, a ich sztywne ciała leżały na arenie.

Jednak mimo chwilowego zwycięstwa pozostawał

przecież najgorszy potwór – sam grylmhoch.

Krańcowo wyczerpany Max stwierdził, że gigant już się do niego zbliża. Mimo zacieklej ciosów chłopca, stworzenie wyglądało tak, jakby nie doznało żadnego uszczerbku. Bledego, mięsistego cielska nie znaczyły ani rany, ani kikuty kończyn. I oczy, i paszcze wciąż powstawały na nim przypadkowo, podczas gdy olbrzym ślizgał się po arenie, ścigając Maksa i przy okazji metodycznie pochłaniając swe leżące bez życia potomstwo.

Wyglądało na to, że może to robić w nieskończoność.

Max nie mógł.

Wyszedł chwiejnie na środek areny, odwrócił się i próbował podejść do sprawy rozumowo. Widzowie w niektórych sektorach podnieśli się, jakby oczekiwali kulminacyjnego momentu widowiska. Całe koloseum ucichło nagle, jakby tłum zbiorowo wstrzymał oddech.

Przez ostatnie dwa miesiące podziwiano Bragha Run kruszącego tarcze i druzgocącego miecze, lecz jego wyjątkowość jako uczestnika igrzysk polegała na tym, że zawsze mógł dokonać czegoś, czego tłum dotąd nie widział. Chwile te były zarówno nieprzewidywalne, jak dramatyczne – wybuch okrutnego gniewu i siły całkowicie

obezwładniał

przeciwnika

i

często

doprowadzał pojedynek do spektakularnego końca.

Na zlaną potem twarz Maksa wypłynął ponury uśmiech. Wiedział, na co mieli nadzieję. Wiedział też, że tak się nie stanie.

Przykro mi. Nie mam więcej królików w kapeluszu.

Jestem skończony.

Max dałby teraz wszystko, żeby móc zedrzeć maskę i odrzucić ją na bok. Jeśli to miał być jego koniec, chciał

zobaczyć gwiazdy i odetchnąć nocnym powietrzem bez filtra blokującego jego dostęp.

Pragnął, by tłum dowiedział się, kto ukrywa się pod maską.

Ścisnął mocniej włócznię i postanowił zacząć ostateczne natarcie. Wziął pięć kroków rozbiegu i uważnie ustawił stopę do odbicia. Poczul ową cudowną, trwającą krótką chwilę nieważkość, kiedy jego ciało wzbijało się w powietrze. Oczy grylmhocha śledziły tor jego lotu. Utworzyły się paszcze – olbrzymie, rozwarte jamy zdolne połknąć buldożer. Przelatując tuż koło nich, Max zanurzył koniec

włócznie w lśniącym oku dwuipółmetrowej średnicy.

Ostrze gładko prześlizgnęło się po źrenicy.

Świat Maksa eksplodował.

W paroksyzmie bólu grylmhoch cisnął nim w poprzek areny. Max wylądował na ubitym piachu, czując, jak pękają mu żebra. W uszach mu dzwoniło, lecz mimo to wciąż słyszał dziką owację tłumu.

Przetoczył się na bok i powoli doszedł do siebie.

Mimo że miał zaburzoną ostrość widzenia, dotarło do niego, że grylmhoch zbliża się jednostajnym, statecznym ruchem liniowca oceanicznego. Wciąż ogłuszony, sięgnął

po włócznie.

Włócznie jednak nie było.

Max zmrużył oczy i dojrzał ją. Sterczała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się gigantyczne oko potwora. Oka nie było – najwyraźniej wchłonęła je obca materia składająca się na istotę tego strasznego stworzenia. W jego miejscu widniała teraz kipiąca, poprzecinana naczyniami biała tkanka zaciskająca się wokół drzewca włócznie. Zaraz potem cielsko wessało ją niczym drzazgę.

Przez chwilę Max po prostu patrzył, jak olbrzym się zbliża. Nie da rady zwyciężyć czegoś takiego gołymi rękami. Był poturbowany i pozbawiony broni, a grylmhoch nie wydawał się ani ranny, ani tym bardziej zmęczony. W głowie chłopca zagościło na moment niedobre pragnienie.

Położ się i leż. Leż bez ruchu, a zaraz będzie po wszystkim...

Coś jednak stłumiło w nim tę myśl. Pochodziło gdzieś z głębi – Max nie wiedział, czy to Stara Magia, czy coś innego, w każdym razie było to coś głęboko ludzkiego. Wbił palce w piasek i dźwignął się do góry.

Kiedy stanął na nogach, tłum zagrzemiał. Max chwiejnie oddalił się od potwora – wycofał się na tyle daleko, że plecami oparł się o wysoki mur okalający arenę. I mimo że grylmhoch był coraz bliżej, Max zauważył nagle coś dziwnego w zachowaniu tłumu.

Na

początku

walki

większość

widzów,



dowiedziawszy się, że Bragha Run zmierzy się z grylmhochem,

opuściła pierwsze rzędy. Decyzja

wydawała się niepozabawiona sensu – po co ryzykować, znajdując się w zasięgu tak potężnego, a zarazem głupiego stworzenia? Jednak w jednym z niższych sektorów widzowie pozostali. Widział ich po przekątnej areny. Siedzieli w pierwszych rzędach, tuż poniżej łoża królewskiej.

Dlaczego się nie przesiedli?

Musiał istnieć jakiś powód, dla którego mimo bliskości potwora czuli się bezpiecznie...

Cień grylmhocha wisiał teraz tuż nad Maksem. Jego wijąca się, biała masa odcinała się jaskrawo na tle atramentowoczarnego nieba i skrzyconych wież katedry sięgających wysoko w chmury. W stronę Maksa wytrysnęły dwie nibynóżki. Chłopak był tak wykończony, że dał radę tylko się schylić, podczas gdy one trafiły w ścianę, o którą przed chwilą się opierał. Z ledwością się wyprostował. Wiedział, że nie da rady biec.

Zataczając się, ruszył w stronę sektora królewskiego.

Płuca paliły go, kiedy tracił ostatnie resztki energii.

Słyszał za sobą chłupot i jednostajne buczenie potwora, lecz nie popatrzył za siebie. Ani na chwilę nie odwracał

wzroku od Prusiasa i otaczających go dostojników oraz widzów wrzeszczących z ławek poniżej.

I wtedy zobaczył.

Przedmiot ten wisiał na murze jakieś siedem metrów nad ziemią. Jego ciemny kolor na tle bogactwa barw sztandaru Prusiasa nie rzucał się w oczy. Była to kamienna

pieczęć

około

półmetrowej

średnicy

przedstawiająca prymitywnie wyciosaną gwiazdę. Max nigdy dotąd jej nie widział. Czyżby wywierała jakiś wpływ na potwora?

Był zbyt wycieńczony, by skoczyć. Wiedział, że będzie musiał wspinać się po ścianie, by próbować jej dosięgnąć. Łapczywie chwytając oddech, wpił się palcami w kruchą zaprawę murarską, zdeterminowany, by dosięgnąć tajemniczego znaku.

Kiedy gramolił się w górę, grylmhoch zbliżał się coraz bardziej. Zbyt szybko jego cień zaczął ogarniać Maksa. Przerażony chłopak starał się podwoić wysiłek, lecz brakowało mu już sił. Nie zdąży na czas dotrzeć do kamienia.

Stało się jednak coś zupełnie nieoczekiwanego.

Wyglądało na to, że grylmhoch się zatrzymał.

Max zerknął przez ramię i okazało się, że to prawda.

Potwór stanął jakieś piętnaście metrów dalej, jakby zatrzymany niewidzialną barierą. Wprawdzie nie spuszczał z Maksa swych niezliczonych oczu, lecz nie podchodził bliżej. Zamiast tego przelewał się i przerażająco wrzeszczał, usiłując dosięgnąć ofiary wysuniętymi czułkami.

Kiedy potwór zatrzymał się na niewidzialnym progu, jego stan fizyczny zaczął się intensywnie zmieniać.

Grylmhoch robił się coraz bardziej przezroczysty. Przez jego cielsko jak przez mgłę Max widział przeciwległe fragmenty areny. Zacisnął zęby i podjął morderczą wspinaczkę ku ciemnozielonemu kamieniowi.

Wyryta w nim prymitywna gwiazda była zniszczona i zwietrzała, jakby wykonano ją wieki temu. Max zdjął ją z żelaznego łańcucha, wziął głęboki oddech i skoczył na ziemię.

Wylądował na piachu. Nogi się pod nim ugięły, ale oparł się plecami o ścianę. Grylmhoch przerwał nagle swój bełkot i rozciągnął się na arenie niczym wyrzucone na brzeg morza paskudztwo. Max zbliżał się doń chwiejnym krokiem z kamienną tablicą podniesioną wysoko, zwróconą wizerunkiem gwiazdy w stronę migoczącego giganta.

Migotanie nasiliło się do tego stopnia, że obraz potwora się zamazał.

Kiedy Max podszedł na wyciągnięcie ręki do drżącego cielska, kamień rozgrzał się silnie i zaczął emitować pulsujące białe światło.

I wtedy grylmhoch zniknął. Został wygnany do innego, nieznanego świata lub na inną płaszczyznę istnienia.

Max upuścił ciężki kamień i runął na piach.

\* \* \*

Obudził się na stole w mrocznym, oświetlonym tylko świecami pokoju. Jęcząc cicho, poruszył palcami i uderzył

w coś, co mogło być ceramiczną miską. Rozchlapało się trochę pachnącej ziołami cieczy, która zmoczyła mu ramię. Czyjaś delikatna dłoń starła płyn gąbką i ostrożnie ułożyła jego rękę z powrotem

wzdłuż ciała. Max otworzył

oczy. Spodziewał się zobaczyć którąś z miłych moomenhoven z Rowan, lecz zamiast tego przyjemnego widoku jego oczom ukazały się popękane, przepelnione smutkiem maski malakhów.

– Co...

Nagłą falą napłynęły wspomnienia grylmhocha, walki i połamanych żeber. Zdumiony Max wstał i spuścił nogi ze stołu, zrzucając na podłogę kilka misek i metalowych instrumentów.

– Jestem na stole operacyjnym?

Chwycił się za bok. Napotkał dłonią gołą skórę, choć spodziewał się raczej otwartej świeżej rany. Rany nie było. Nie czuł również bólu. Zdezorientowany gapił się na milczące malakhy sprawnie sprzątające bałagan, którego narobił.

– Nie żyję?

Wypowiedział to pytanie głosem niskim i schrypniętym.

Ku swemu zdziwieniu usłyszał odpowiedź.

– Nie, mój chłopcze. Żyjesz, i to bardzo.

Max obrócił się i zobaczył Prusiasa w głębokim fotelu na drugim końcu pokoju. Z oczami zwężonymi w szparki, jak gdyby nigdy nic popijał szampana.

– I jak się czujesz? – spytał.

– Czuję się... dobrze – odparł zdumiony Max.

Spojrzał na swój tors. Nie było siniaków, nie było czarnosinych śladów żeber. Widział tylko gładką skórę i ledwo dostrzegalną cienką szramę wzdłuż lewego boku.

– Czy ta krew to moja? – spytał, wskazując na niewielki stos nasiąkniętych krwią ręczników.

– Tak – odparł Prusias. – Na początku była obawa, że nie przetrwasz, ale okazało się, że jesteś twardzielem.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Max, rozglądając się po pokoju.

– Wciąż w koloseum – odparł Prusias. – Malakhy bały się cię przewozić.

– Długo tu jestem?

– Prawie dwa dni.

– A grylmhoch?

– Zniknął – zaśmiał się Prusias. – Zdaje się, że ku zadowoleniu wszystkich...

– Dokąd poszedł?

– Z powrotem do Astarotha – odparł Prusias i wdzięcznie wzruszył ramionami. „Do Astarotha” było w Blys dość popularnym powiedzeniem, elementem propagandy, że Demon to istota boska. W przypadku grylmhocha powiedzenie to wydawało się całkiem adekwatne. Prusias z iskierkami w oczach popijał

szampana.

– Skąd wiedziałeś, że znak ci pomoże?

Max odpowiedział, a demon stuknął laską o podłogę.

– Dobrze! – wykrzyknął. – Kosztujesz mnie fortunę, ale nie żałuję – Dlaczego kosztuję cię fortunę? – zapytał

Max.

– Bo stawiam na twoich przeciwników – wyjaśnił

Prusias z chytrym uśmiechem.

– Myślałem, że chcesz, abym zwyciężał – chłodno zauważył Max.

– Oczywiście, że chcę! – zaśmiał się demon. – Ale w tym przypadku nie liczyłem na twoje zwycięstwo. Nie z grylmhochem! Miałeś pecha w losowaniu. Lord Ruk i Myrmidon mieli większe szczęście.

– Który wygrał? – chciał wiedzieć Max.

– Cóż, niestety – rzekł Prusias – lord Ruk poszedł do Astarotha...

– Więc w walce finałowej będę walczył z Myrmidonek? – zapytał Max.

– To zależy od dwóch rzeczy – rzekł Prusias. – Po pierwsze, czy poczujesz się na tyle dobrze, by w ogóle walczyć, po drugie, czy komisja nie postanowi cię zdyskwalifikować.

– Zdyskwalifikować? – wykrzyknął Max. – Czemu miałyby mnie zdyskwalifikować?

– Ponieważ wpłynęła skarga, że złamałeś zasady –

odparł Prusias. – Twoi krytycy złożyli podanie, argumentując, że w rzeczywistości nie zwyciężyłeś grylmhocha. Utrzymują, że znalazłeś po prostu sprytny sposób, by zbiec przed przeciwnikiem, zanim zdążył cię wykończyć.

– A ty, co sądzisz? – zapytał Max czerwony z gniewu.

– Nie powinno cię zbytnio obchodzić, co ja sądzę –

odparł lekko Prusias. – Za duży zaszczyt przynosisz swoim krytykom. Łatwo jest siedzieć z boku i krytykować. – Podniósł kieliszek i wyrecytował

oratorskim tonem: – „Nie krytyk się liczy, nie człowiek, który wytyka potknięcia silnym albo mówi, co inni mogliby zrobić lepiej. Chwała należy się mężczyźnie na arenie, którego twarz jest umazana błotem, potem i krwią... ”. Wiesz, kto to powiedział?

– Nie.

– Amerykański prezydent. Nazywał się Teddy Roosevelt – odparł demon. – Energetyczny gość...

konsultował się ze mną w sprawie Panamy. Nigdy nie przyznałem się otwarcie, kim jestem, ale myślę, że wiedział.

– Po co mi to mówisz? – spytał cicho Max.

– Ponieważ nie jesteś spłoszoną duszyczką i nie pozwolę, byś się zachowywał jak spłoszona duszyczka –

odparł Prusias, wstając z fotela. Malakhy rozstały się, kiedy wielki demon podszedł do stołu. – Zmierzyłeś się z tyloma potężnymi wrogami na arenie, a martwisz się tym, co mówią twoi krytycy? Mój chłopcze, oni są niegodni wypowiedzieć twego imienia.

– Więc jak zdecyduje komisja? – zapytał Max.

– To może zależeć od ciebie – rzekł Prusias, unosząc brew. – Chcesz wystąpić w tym ostatnim pojedynku?

– Nie robię tego, co chcę – odparł gorzko Max – ale to, co muszę. Jeśli nie wystąpię, co zrobisz w sprawie Vyndry?

Prusias wzruszył ramionami.

– Nic – odpowiedział po prostu. – Nie zrobię nic, by ci pomóc. Bo czemu miałbym coś robić? – prawie zaśmiał

się do swoich myśli. – Pomoc w sprawie Vyndry zależy od tego, czy zostaniesz moim zwycięzcą. Nigdy nie twierdziłem inaczej.

Max ze złością pomyślał o walkach, które dotąd stoczył.

– Ale przecież już...

– Zostałeś nagrodzony – przerwał mu ostro Prusias.

Zamknawszy oczy, demon powoli przechadzał się po pokoju i mówił coraz bardziej podniesionym głosem.

– W nagrodę za twe zwycięstwa tysiąc osób zostało wpuszczonych za mury tego miasta, obozy ludzi poza murami otrzymały dostawy żywności, a wieloki dostały zakaz polowania na ludzi. Pod osobistą opiekę wzięłem mieszkańców twego gospodarstwa na wsi. A ty jeszcze śmiesz zarzucać mi niesprawiedliwość!

Demon umilkł, lecz nie przestał chodzić. Na ścianie wił się i skręcał jego olbrzymi cień przypominający kłębowisko żmij.

Max przeniósł wzrok z cienia na jego właściciela.

Zdarzało się, że demon swym wyglądem i jowialnym sposobem bycia upodabniał się do człowieka.

Lecz nie był człowiekiem, przypominał sobie zdecydowanie Max. Prusias był czymś zupełnie innym. I kiedy chłopak patrzył na jego przerażający cień, jak płomień przemknął mu przez głowę cytat: „I patrz, wielki, czerwony smok!”.

Nie był w stanie sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy usłyszał te słowa, lecz wyzwoliły w nim one głęboki, niejasny strach. Ponieważ ów smok nie był

jakimś baśniowym jaszczurem, który lubi zjadać piękne dziewice, lecz pradawnym złem. Takim, które pochłania narody.

Stopniowo ruchy cienia uspokoiły się. Kiedy Prusias otworzył wreszcie oczy, odezwał się znów przyjaznym tonem.

– Powiedziałbym, że zabawa w „coś za coś” okazała się podstawą raczej udanego partnerstwa. Bez niej nasz związek opierałby się na zwykłej dobroczynności. A ja nie zajmuję się dobroczynnością, Max. To nie w moim stylu. Więc powiedzmy sobie jasno: ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie.

Max zastanowił się nad słowami demona. Był już tak blisko tego, czego pragnął, tak blisko szansy na zemstę, a przy okazji niósł pomoc innym. Jeszcze tylko jedna walka. Już tyle ich stoczył.

– Sądzisz, że komisja mnie zdyskwalifikuje? –

zapytał.

Demon się roześmiał.

– Max – skarcił go. – Nie przejmuj się tak. Komisja to ja.

– W takim razie w porządku – rzekł Max. – Zrobię to.

– Doskonale! – wykrzyknął Prusias. – A więc wszystko ustalone. Ogłosimy, że pojedynek finałowy odbędzie się za dwa tygodnie. Pan Bonn zajmie się szczegółami. Tymczasem przygotujmy ci coś do jedzenia.

Musisz odzyskać siły, jeśli chcesz polechtać Myrmidona!





# MYRMIDON

Dwa tygodnie później Max wyglądał przez najwyżej położone okno swej spokojnej willi. Do Blysnadeszła fala chłódów, a wraz z nią wielkie śniegi i dzikie porywy jęczącego za oknami wiatru. Przycisnął czoło do zimnej szyby. Ulice wrzały gwarem i ruchem. Mimo niesprzyjającej pogody mieszkańcy gromadzili się na placach i wzdłuż najszerszych alej miasta, by świętować kulminacyjną walkę, która miała się odbyć tego wieczora.

Rozległo się stukanie do drzwi i Max odwrócił się, by ujrzeć pana Bonna. Trzymał on w ręku hełm Bragha Run.

– Czemu tak wcześnie? – zapytał chłopak.

– Na ulicach jest ślisko – odparł chochlik. – A do tego tłumy będą większe niż zwykle.

– Jak tam najnowsze zakłady?

– Trzy do dwóch – odparł szybko pan Bonn. – Wciąż jesteś na topie, ale chodzą plotki, że jesteś ranny, i stawki spadają. Na Myrmidona w ostatniej chwili, dziś rano, postawiono nieprzeciętną sumę.

– Ty też stawiasz? – zapytał Max z gorzkim uśmiechem.

– Nie wolno mi – wzruszył ramionami chochlik. –

Ponieważ mam informacje z wewnątrz.

– A na kogo byś postawił, gdybyś mógł?

Chochlik przeszedł przez pokój i spojrzał na Maksa poważnie. Na jego drobnej twarzy wciąż było widać ślady kary, lecz pręgi już się goiły. Podniósł straszliwy hełm i podał go Maksowi.

– Mimo mojego stanowiska zawsze traktowałeś mnie życzliwie i z szacunkiem – rzekł pan Bonn. – Gdybym mógł, postawiłbym na ciebie.

– Nawet przeciwko grylmhochowi?

– Tak jest.

Max odebrał od niego hełm i westchnął:

– Panie Bonn, jest pan dobrym przyjacielem, ale hazardzista byłby z pana fatalny.

Malakhy czekały już na dworze, przy karecie. Kiedy przybyli na górę, do kompleksu pałacowego położonego w najwyższym punkcie, wydawało się, że wzgórze pod nim ożyło. Ulice tętniły ruchem – w stronę pałacu przemieszczały się oświetlone powozy, a postaci z pochodniami ciągnęły niczym potoki lawy.

W dni, kiedy walczył, Max przyzwyczał się już do tego, że na ulicach i ze stromych dachów skandowano jego imię. Dziś jednak tysiące zebranych wykrzykiwały imię kogoś innego, a robiły to z dzikim, maniakałnym wręcz entuzjazmem.

– Astaroth, Astaroth, Astaroth!

Pieczęć demona widniała nie tylko na hełmie Maksa, lecz także na tysiącach chorągwi i proporców powiewających na wieżach miasta. Max osobiście widział

demona, kiedy oddawał mu Księgę Thotha. Od tego czasu minęły już prawie dwa lata. Czy zobaczy go dziś wieczór?

Powóz zwolnił i zatrzymał się. Max stwierdził, że dojechali do kuźni. Dziś nie było tam ani dvergarow, ani kowali, ani stojaków na broń. To miał być ostatni pojedynek i wyglądało na to, że dvergary zwinęły już swój warsztat. W olbrzymiej pustej przestrzeni pozostał

tylko jeden sprzęt – stół roboczy skąpany w złotym świetle latarni.

Leżała na nim włócznia. Nie wielka i ciężka, jaką Max walczył z grylmhochem, lecz krótsza, o ostrzu w kształcie liścia. Max podniósł ją, odwrócił się i skinął

panu Bonnowi na pożegnanie.

– N-nie chcesz, żebym cię odprowadził? – zapytał

chochlik.

Max pokręcił głową.

Chochlik wydawał się rozumieć dlaczego.

– To był dla mnie wielki zaszczyt – powiedział.

Max wyszedł z windy i skierował się ku wyjściu na arenę. Pokonywał schody w równomiernym tempie bicia własnego serca, bo nie chciał teraz słyszeć nic innego.

Własne serce służyć mu będzie za bęben bojowy wybijający rytm, gdy już znajdzie się na arenie.

Mimo wszystko trudno było zignorować tłum. Jego krzyki odbijały się echem w przestronnym holu, wprawiając mury w takie drgania, że osypywały się z nich struzki pyłu. Max zacisnął dłoń na włóczni, zatrzymał się przed kratą wejściową i niczym zwierzę w klatce patrzył

na jej ciemne pręty. Pragnął, by już się podniosła i go wypuściła. Po raz ostatni.

Kiedy komentator ogłosił wreszcie jego wejście, rozległ się dziki, ogłuszający ryk.

Krata się uniosła i Max chwiejnym krokiem wszedł

na arenę.

Przeciwnik już na niego czekał.

Myrmidon wyglądał jak klasyczny rzymski gladiator murmillo. Nosił na głowie hełm z wysokim grzebieniem wykonany z niebieskawej stali. Twarz zakrywała mu przyłbica. Na hełmie widniał biały znak Astarotha i trzynaście nacięć, które, jak Max przypuszczał, symbolizowały jego trzynaście zwycięstw podczas igrzysk. Całe ciało Myrmidona pokrywała czarna tkanina, lecz tylko lewa strona ciała osłonięta była muszlowatymi płytkami z tego samego niebieskawego metalu co hełm.

W lewej ręce trzymał zakrzywioną prostokątną tarczę, a w dłoni odzianej w rękawicę tradycyjny gladius.

Max natychmiast rozpoczął ponure kalkulacje, które weszły mu w krew i stały się drugą naturą: jego włócznia miała większy zasięg. Myrmidon miał lepszą broń, to prawda, lecz jego prawy bok był bezbronny, jeśli chodzi o natarcie. Jego przeciwnik wydawał się lekko kiwać do przodu, co sugeruje agresywną naturę...

Jeden tylko element był zadziwiający: Myrmidon był

niższy od Maksa.

Chłopaka dziwnie to zdenerwowało. We wszystkich poprzednich walkach to on był tym mniejszym uczestnikiem – często różnica wynosiła setki, może nawet tysiące kilogramów. Scathach nauczyła go, jak radzić sobie z taką nierównowagą. Mógł po prostu narzucić inny wzór walki. Taki, który dawał mu przewagę.

Fizycznie większy przeciwnik mógł go obezwładnić, lecz Max zawsze był szybszy. Ponadto zdarzało się, że mniejszy przeciwnik onieśmiał większego. W walce z mniejszym, lecz niezrażonym przeciwnikiem ten większy często wahał się, jakby myślał: jakie straszliwe sztuczki trzyma w zanadrzu to byle co?

Wszystkie te wątpliwości potrafiły zasiać w głowie niezły chaos, więc Max denerwował się, żeby samemu nie paść ich ofiarą. Mimo wszystko nie mógł nie zastanawiać się, w jaki sposób stojący przed nim gladiator zaszedł w igrzyskach tak daleko, pokonując tylu straszliwych i doświadczonych przeciwników. Wpatrywał się w Myrmidona, jeszcze raz analizując wszystkie szczegóły broni, zbroi i postawy wojownika.

Myrmidon patrzył wprost na niego.

Max odwrócił oczy – zwyczaj nakazywał, by przeciwnicy skłonili się najpierw przed lożą królewską.

Król Prusias wstał, by wyrazić uznanie dla zawodników lub by obdarzyć ich swym błogosławieństwem. Max nie słuchał.

Na trybunach nie było wieloków, wiedźm ani rozwrzeszczanych goblinów. Finał igrzysk

przeznaczony był dla elity. Podziwiać ostatnią walkę przybyła arystokracja, bogaci kupcy i odwiedzający Bly dygnitarze.

Max wypatrzył pomiędzy nimi delegację wiedźm.

Wszystkie miały na sobie czarne szaty i gęste tatuaże plemienne, takie same, jakie zrobiły na nim wielkie wrażenie podczas pierwszego spotkania z wiedźmami. W

centrum grupy Max zauważył Damę Małą – matronę wiedźmięgo rodu.

Obecny

był

również

Warsztat,

którego

przedstawiciele zajmowali sąsiednią lożę. W oślepiającym blasku światła łysina doktora Rasmussena świeciła jak żarówka. W tej ciżbie ponurzy inżynierowie wydawali się całkowicie nie na miejscu. Wyglądali tak, jakby właśnie mieli przeprowadzić jakiś skomplikowany eksperyment w laboratorium.

Mimo rangi wydarzenia i niezwykłego popytu na bilety jeden sektor widowni pozostawał pusty. Była to największa loża królewska, mieszcząca wygodne duże fotele, w których normalnie zasiadał Prusias w otoczeniu swej świty. Dziś jednak wszystko wskazywało na to, że została zarezerwowana dla kogoś innego.

Max podniósł wzrok i stwierdził, że z barierki przy loży spływa sztandar Astarotha. I nie był to zwyczajny czerwony jedwab z białą pieczęcią demona, jakie powiewały wszędzie. Kolory tego sztandaru były zamienione. Czerwona pieczęć widniała na białym, jedwabnym tle.

Tylko Astaroth posługiwał się sztandarem o odwróconych barwach.

Max szukał demona wzrokiem. Nie było go jednak, przynajmniej nie w widzialnej postaci. Zamiast niego w pustej loży siedziała samotna figurka, mała i nierzucająca się w oczy. Kiedy Max rozpoznał, kto to taki, zawrzał

gniewem.

Był to bowiem pan Sikes – okrutny i przebiegły chochlik, który odegrał kluczową rolę w odzyskaniu władzy

przez

Astarotha.

Siedział

opanowany,

nieskazitelnym w swym idealnie skrojonym garniturze i z wyrazem uprzejmego oczekiwania na twarzy rozglądał się po arenie. Max poczuł natychmiastową chęć zaatakowania go. Z miejsca.

Ceremonia rozpoczęcia walki dobiegała końca.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem w odpowiedzi na pozdrowienie Prusiasa Max uniósł włócznię. Kątem oka dostrzegł, że to samo robi jego przeciwnik. I wtedy przeszła go nagła przerażająca myśl.

Czy Myrmidon to przypadkiem nie Astaroth w przebraniu?

Prawdopodobieństwo było duże i straszliwe. Pan Sikes siedział przecież na widowni, jego pana nie było nigdzie widać. Poza tym demon był mniej więcej wzrostu i postury Myrmidona. I wreszcie wyjaśniłoby się, dlaczego tak mało imponujący zawodnik doszedł do samego finału igrzysk...

Nie odrywając wzroku od przeciwnika, Max nagle poczuł dzikie, niepohamowane pragnienie, żeby to był

właśnie Astaroth. On był powodem wszystkich problemów. Gdyby nie Astaroth, ludzie nie nędznieliby teraz w strachu pod butem demonów, a one nie zdołałyby wziąć świata w swe piekielne lenno.

Stara Magia wzbierała, wyła, prężyła się w jego wnętrzu.

Kiedy

wybrzmiało

ostatnie uderzenie bębna,

wybuchła.

Max rzucił się na przeciwnika z taką brutalnością i szybkością, jakiej dotąd u niego nie widziano. Jego włócznia uderzyła w tarczę Myrmidona. Przeciwnik cofnął się o krok, lecz tarcza nie pękła.

Choć uderzenie zostało zablokowane, siłę pierwszego ataku Maksa można było porównać do błyskawicy. Tłum zawrzał z podniecenia na widok niezwykle zażartego rozpoczęcia walki przez znanego gladiatora.

I znowu Max natarł na przeciwnika, bombardując go serią uderzeń, pchnięć i cięć, które, wydawało się, rozmnożyły broń w jego rękach. Żaden z wojowników nie wydawał się zainteresowany kreowaniem w walce choreografii widowiska teatralnego. Nie przyjmowali taktyk służących tylko do

ozdoby, jak to często bywało na arenie. Wszystkie, co do jednego, natarcia i obrony w tym pojedynku pozbawione były efektownych popisów.

Zawierały w sobie wyłącznie brutalną żądzę mordu.

Hełm Maksa rozgrzał się jak piec. Pot lał się chłopakowi po twarzy strumieniami, kłuł go w oczy, kiedy Max nacierał w bezlitosnym tempie. Metaliczny szczęk broni nasilał się, dopóki nie osiągnął tempa wystrzałów z karabinu maszynowego. Przeciwnik Maksa był niezwykle zdolny, lecz chłopak zaczął powoli rozpoznawać

jego

system.

Myrmidon

odsłaniał

mianowicie co jakiś czas swój bezbronny bok i tworzył

lukę na cios. Odsłonięte miejsce pojawiało się jednak tylko na mgnienie oka, bo potem...

Max z niezwykłą szybkością i precyzją przeniósł

ciężar ciała i okręcił się na pięcie, by przeprowadzić włócznie pod wyciągniętym ramieniem przeciwnika.

Nieosłonięte serce Myrmidona znajdowało się tylko parę centymetrów dalej.

Z gardłowym rykiem Max zadał doskonale wymierzone uderzenie, takie samo jak to, które wykończyło Straavha. Cios wymagał całkowitego skupienia siły i woli na zabójczych właściwościach broni.

Uderzenie powinno zakończyć walkę.

Jednak ze zwinnością, która zaskoczyła nawet Maksa, jego przeciwnik odskoczył w tył i tak zwiększył odległość między sobą a śmiertelno ostrzem, że trafiło w tarczę.

Cios nie wyrządził Myrmidonowi krzywdy, lecz jego siła sprawiła, że wojownik potoczył się do tyłu po piachu i z impetem wpadł na ścianę areny. Zderzenie było tak silne, że wszyscy obserwatorzy poderwali się z miejsc. Na arenę posypały się monety i kwiaty. Rozległy się okrzyki, by Bragha Run wykończył przeciwnika.

Max mógł to zrobić, gdyż Myrmidon leżał

bezwładnie pod ścianą. Nie miał jednak zamiaru atakować leżącego – nawet gdyby był to sam demon próbujący swych sił na arenie.

Minęły długie sekundy, zanim Myrmidon się poruszył. Ale się poruszył.

Gładiator wstał z ponurą determinacją i rzucił

Maksowi szybkie spojrzenie, jakby chciał oszacować, czy ten zaatakuje od razu. Korzystając z tego, że Max zechciał

począkać, przyjrzał się swej pogruchotanej tarczy. Czy była zaklęta, czy nie, przyjęła cios tak silny, że doznała poważnego uszczerbku.

W pięknym, godnym podziwu stylu odrzucił tarczę na bok. Następnie odwrócił się do Maksa, pozdrowił go szybkim gestem i ruszył do ataku.

Pozbawiony tarczy, zmienił strategię i skupił się przede wszystkim na natarciu. Po raz pierwszy w czasie pojedynku Max stanął twarzą twarzą z własnymi słabościami. Myrmidon, z twarzą ukrytą za okazałym hełmem, przejawiał niespotykaną zaciekłość. Jego absolutna nieustraszonosc deprymowała. Wyposażony tylko w krótki gladius, wykazywał niezwykle talent prześlizgiwania się przez linię obrony wyższego i silniejszego od siebie przeciwnika. Śmiertelne pchnięcia omijały Maksa dosłownie o włos.

W Sidh Scathach często mu powtarzała, że pewność siebie walczącego, jego wiara, liczą się znacznie bardziej niż jego krew. Przelana krew wroga oznaczała postęp w walce, lecz złamanie jego wiary oznaczało zwycięstwo.

Max więc, wzmocniwszy atak, dokładnie przyglądał się przeciwnikowi, by dostrzec, czy nie słabnie jego wiara i pewność siebie.

Postawa

Myrmidona niezmiennie pozostawała

dumna, jego ruchy zaś – celowe i drapieżne. Nie okazywał zmęczenia, nie kręcił się chaotycznie, nie opadała mu głowa.

Nie, nie było mowy o zwycięstwie. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Szansa pojawiła się jednak, kiedy Myrmidon, jak się zdawało, pośliznął się na sypkim piachu. Max rzucił się, by natychmiast wykorzystać tę rzadką sposobność, i z ogromną siłą dwukrotnie uderzył przeciwnika w hełm zakończeniem włóczni, po czym przekręcił ostrze, by go ostatecznie wykończyć.

Za późno uświadomił sobie swój błąd. Myrmidon w mgnieniu oka przerzucił gladius do drugiej ręki. Zadając pchnięcie w przód, Max nadzieiał się na jego koniec, podczas gdy Myrmidon wykręcił się spod włóczni, która ledwo drasnęła mu szyję.

Poląła się pierwsza krew. Tłum poderwał się na nogi.

Max chwiejnie wycofał się poza zasięg miecza i przyłożył rękę do rany. Gladius przebił cienkie

metalowe płytki jego zbroi, raniąc go dość poważnie. Na początku ból był bardzo ostry, lecz po chwili zmienił się w tępy, pulsujący. Max spojrzał na swoją rękę i stwierdził, że jest zlana krwią.

W tym czasie Myrmidon również wycofał się poza zasięg przeciwnika. Wydawało się, że bada swoją ranę –

długie, płytke nacięcie w poprzek szyi – lecz Max doskonale wiedział, że tak naprawdę przygląda się nie ranie, ale jemu i szacuje wyrządzoną mu krzywdę.

Niewątpliwie rana była brzydka. Max odetchnął

jednak z ulgą, ponieważ nie ucierpiał żaden ważny narząd, a on był pewien, że jego niesamowite ciało za chwilę samo zatamuje krwawienie i rana zacznie się goić. Aby wygrać pojedynek, Myrmidon musiałby zadać cios śmiertelny.

Wtedy Max poczuł coś niezwykle dziwnego.

Zgodnie z tym, czego oczekiwał, zranione miejsce odrętwiało, lecz krwawienie nie ustępowało. Uciskając ranę ręką, czuł pod palcami ciągłe pompowanie świeżej krwi. Kolana ugięły się pod nim i Max zatoczył się na prawo.

Nie upadł jednak, natomiast widownia zareagowała tak, jakby walka osiągnęła punkt kulminacyjny. Rozległ

się zbiorowy ryk, wrzaski radości, okrzyki domagające się krwi, ale również świadczące o trwodze. Max podniósł

głowę, by ujrzeć Myrmidona biegnącego nań z uniesionym mieczem. Zamierzał zakończyć pojedynek jednym dramatycznym uderzeniem, jak wielokrotnie robił

to Max.

Zamiast się wycofać, Max zrobił nagły krok naprzód.

Manewr ten zdziwił Myrmidona i Max zdołał chwycić go za ramię, w którym przeciwnik trzymał miecz. Upuścił

włócznie i uderzył Myrmidona w twarz, miażdżąc lewą stronę jego hełmu. Następnie złapał ogłuszonego przeciwnika i odsunął go od siebie na długość ramienia.

Myrmidon wciąż jednak miał broń. Mimo że Max trzymał go za gardło, zdołał wykręcić prawą rękę z uścisku i zamachnąć się na niego mieczem. Ostrze przecięło Maksowi skórę na ramieniu, i choć rana była powierzchowna, chłopak nie chciał ryzykować kolejnego, celniej wymierzonego ataku z tak małej odległości.

Odepchnął więc Myrmidona z całej siły.



Przeciwnik wpadł na kamienny obelisk z taką siłą, że ten pękł. Demon upadł pod dziwnym kątem, tak że Max był pewien, iż skręcił sobie kark. Powinien leżeć bez życia.

Tak jednak nie było.

Z całą pewnością był to Astaroth.

Max omal nie zaśmiał się z niedowierzaniem, gdyż demon podniósł się po raz kolejny.

Chłopak przypomniał sobie, że włócznia nie znajduje się w jego dłoni, ale na ziemi. Schylił się, by ją podnieść, kiedy zauważył coś niepokojącego.

Jego rana krwawiła. Wysilek fizyczny bez dwóch zdań znacznie pogorszył jej stan. Po ciele rozchodziło mu się teraz upiorne zimno. Wsparty na włóczni, z niedowierzaniem patrzył na niepokonanego przeciwnika.

Myrmidon zbliżył się doń pędem, celując ostrzem w gardło Maksa. Ten odparował atak, choć ruchy miał już mechaniczne i ociężałe – nie pozostało w nich nic z poprzedniej siły i płynności. Niezdolny pchnąć przeciwnika, Max wycofywał się, kiedy ten coraz bardziej przybliżał ostrze do jego bezbronnego gardła. Podczas gdy Max skupił uwagę na broni, Myrmidon z zaskoczenia podciął mu nogi.

Max upadł na piasek i zgiął się z bólu promieniującego z rany w brzuchu. Spodziewał się, że gladius spadnie na niego w tej samej chwili, lecz tak się nie stało. Max podniósł wzrok i stwierdził, że Myrmidon wpatruje się w niego. Jego hełm otaczało rozgwieżdżone niebo. Nie uderzał jednak. Zamiast tego z zimną pogardą przeszedł nad Maksem, zajął pozycję jakieś dziesięć metrów od niego i odwrócił się doń plecami.

Gest był upokarzający, lecz Max niewiele mógł

zrobić. Leżał w kałuży własnej krwi. Rana po prostu nie chciała się zasklepić. Jego członki ogarnął bezwład. Max doszedł do ponurego wniosku.

Ostrze Myrmidona musiało być zatrute.

Strategia demona była dobrze przemyślana. Nie dość że pogardliwy gest wprowadził widownię w zachwyty, to dał

truciznie czas, by zadziałała skuteczniej.

Oddech Myrmidona w bladym świetle księżyca przybrał postać małych obłoczków pary. On zaś z uniesioną w geście triumfu ręką przyjmował owację tłumu. Max, leżąc na piachu w kałuży krwi, spojrział na lożę królewską. Prusias powstał, by dokładniej widzieć nieuchronne zakończenie walki, lecz wyraz jego twarzy był poważny. Król nie klaskał ani nie wiwatował. Pan Bonn był trupio blady. Reszta widowni zaś wpadła w zachwyty. Max nigdy nie widział doktora Rasmussena i jego współpracowników równie ożywionych. Gardził

Warszatem, więc tym bardziej przykro było mu patrzeć na to, z jaką przyjemnością witają jego przegraną.

W tłumie znalazła się jedna postać, która nie zerwała się na nogi. Siedziała niedaleko wiedźm i Max przez chwilę sądził, że była jedną z nich. Szata jej była jednak szara, nie czarna. Postać pochyliła się i zdjęła kaptur, pod którym ukrywała twarz.

Była to Scathach.

Max widział ją z taką ostrością, jakby stała metr od niego. Scathach była niezmierną piękną – jej alabastrową twarz okalały kruczoczarne włosy, a szare oczy patrzyły na Maksa z taką miłością i udręką, że chłopak prawie spuścił głowę ze wstydu.

Bez wątpienia wiedziała, kim jest Bragha Run.

Nie pozwoli, by patrzyła na niego, jak leży upokorzony we krwi i piachu. Nie podda się zdradzie, truciznie, nawet samemu Astarothowi.

Kiedy wstał, widownia ryknęła tak, jakby chciała zburzyć Jerycho. Myrmidon obrócił się na pięcie i po prostu wpatrywał się w niego.

Chłopak trząsł się i drżał, jakby trucizna miała go za chwilę całkiem pokonać. Ku zachwytowi widowni Myrmidon w uznaniu dla zażartego ducha przeciwnika zaczął bić mu brawo płazem miecza. Ów gest, gest pożegnania godnego przeciwnika, był niezwykle uroczysty. Kiedy gladiator przestał, tłum umilkł i nastąpiła pełna napięcia cisza.

Gdy Myrmidon natarł, by zadać ostateczny cios, uświadomił sobie swoją pomyłkę.

Max nie trząsł się bowiem ze słabości.

Stara Magia wybuchła w nim taką dumą i gniewem, że wydawało się, iż go pochłonie. Przyćmiła wszystko pozostałe: nie było rany, trucizny ani bólu. Zniknęły.

Pochłonął je dziki, rozbuchany wewnętrzny ogień.

Pozostał tylko demon w przebraniu gladiatora.

Walka zakończyła się w mgnieniu oka.

Myrmidon bezwładnie osunął się na piasek areny.

Jego miecz leżał pogruhotany, a ciało z niewyobrażalną siłą zostało przygwożdżone do obelisku. Zszokowany, ostrożnie dotknął włóczni, jakby starając się pojąć, co się stało. Jego palce wędrowały powoli w górę ostrza a potem rękojeści, dopóki nie natrafiły na drżące wciąż ręce zwycięzcy.

Początkowo Max myślał, że była to próba zdjęcia jego rąk z broni, lecz się mylił. Myrmidon chciał tylko go dotknąć, złożyć ręce na rękach Maksa i tam je trzymać.

Akt ten był tak nieoczekiwany i tak łagodny, że zaskoczony Max nie wiedział, jak zareagować. Stał więc po prostu bez ruchu.

Chwila była dziwnie piękna, lecz nie trwała długo.

Głowa Myrmidona opadła powoli do przodu jak w modlitwie.

Jego ręce ześliznęły się z rąk Maksa. Myrmidon wydał ostatnie tchnienie.

Koloseum eksplodowało wrzawą. Tłum zbiegał w ekstazie z widowni na arenę, by uczcić zwycięstwo Bragha Run.

Max widział to wszystko jak przez mgłę.

Nie odwracał wzroku od powalonego przeciwnika.

Setki malaków utrzymywały rozentuzjasmowaną cizbę w bezpiecznej odległości, a Max ukląkł, by zdjąć hełm z głowy Myrmidona.

Musiał potwierdzić swoje podejrzenia.

Odłożył hełm i spojrzał w twarz... swego klona.

Myrmidon wydawał się młodszą, drobniejszą wersją jego samego.

Przypominał

Maksa

w

wieku

czternastu-piętnastu lat. Twarz stworzonego w Warsztacie chłopca była dziwnie spokojna. Falujące czarne włosy opadały na wilgotne od potu czoło. Na lewym policzku widniał rozległy siniec, lecz nic poza tym nie szpeciło bladej, urodziwej twarzy, której młodość została zahartowana przez ciężkie przeżycia. Myrmidon był

młody, to prawda, lecz przywitał swój kres z otwartymi oczami.

Oczy te były ciemne i gniewne, lecz naznaczone sekretną mądrością, którą niesie śmierć. Max, otępiały z żalu, przykrył je powiekami i w milczeniu pożegnał się ze swym bliźniakiem, którego nie dane mu było poznać.

Wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu twarzy Scathach. Kiedy okazało się, że nigdzie jej nie ma,

odwrócił się i wymaszerował z areny. Jego pogarda była tak jawna, że tłum rozstał się natychmiast, aby go przepuścić. Gdy Max zniknął w tunelu, rozległ się ogłuszający ryk aprobaty.

Czerwona Śmierć dostąpił najwyższej chwały.

Żył tylko dla areny.

Czyż nie był godnym zwycięzcą?

## SZEPTY W CIEMNOŚCIACH

Wiadomość o spektakularnym zwycięstwie Bragha Run szybko rozeszła się po stolicy. Chodziło nie tylko o to, że królewski czempion wygrał w pięknym stylu, lecz także o to, że rozeszły się plotki, iż Myrmidon nie był

nikim innym jak Maksem McDanielsem, czyli cieszącym się niechlubną sławą Psem z Rowan. Plotki te przyjmowano co prawda ze zdrowym sceptycyzmem, ale tylko do momentu, kiedy wieloki, które miały za zadanie sprzątać z areny ciało gladiatora, potwierdziły, że to prawda. Te same wieloki brały udział w oblężeniu Rowan i były świadkami historycznej chwili, w której chłopak przekazywał Astarothowi Księgę. Wysyłając tego drania na tamten świat, Bragha Run pomścił więc wielu ich towarzyszy, którzy stracili wówczas życie. Pies został

zglądzony, a królestwo mogło się pochwalić godnym zwycięzcą igrzysk. Zwycięstwo było naprawdę wielkie.

Ostatnia walka poruszyła całe miasto, a zwłaszcza biedniejsze dzielnice ciągnące się wzdłuż brzegów Tybru.

Tu ogromne pożary ogarnęły całe skupiska ludzkich osad.

Max ze swej sypialni obserwował kłęby dymu, a pan Bonn przytaczał plotki zasłyszane na mieście.

– Dlaczego palą własne domy? – zapytał cicho Max.

– Och, wiele z tych dymów to tylko huczna zabawa –

odparł pan Bonn. – Śmiem twierdzić, że zaczną znowu budować. Lecz niektóre z tych ognisk to na pewno ofiara dla ciebie... przepraszam, powinienem może powiedzieć: dla Bragha Run. Wieloki mają nadzieję zyskać twe łaski, a może nawet zgodę na osobiste widzenie.

Max w ponurym niedowierzaniu potrząsnął głową.

Nawet z wysokości swej willi słyszał dochodzące z dołu, z bardzo daleka, krzyki i wystrzały. Ostatnia walka igrzysk zakończyła się wiele godzin temu, lecz śpiewy i harmider trwały nadal z tą samą niepokojącą intensywnością.

– Dlaczego Prusias nie karze im przestać? –

zastanawiał się Max, wpatrując się w odległy minaret, który runął, zanim w końcu pochłonęły go płomienie.

– On? Nigdy nie powstrzymuje takich wydarzeń –

stwierdził pan Bonn. – Bez wątplenia jest pośród nich, zagrzewa do zabawy, tu i ówdzie sypnie

złotem. Król wierzy, że uwagę mas należy kierować na bogactwa, wojny i igrzyska, w przeciwnym razie narasta powszechne niezadowolenie. Ludzie zniosą tyrana tak długo, jak długo uważają go za jednego ze swoich. Prusias uwielbia wszelkie zamieszki.

– Wygląda na to, że wszystko jest doskonale przemyślane – mruknął Max.

– To potężny wróg, mój panie – odparł pan Bonn z nutą ostrożności w głosie. – Sprzeciw wobec niego prowadzi donikąd. Wiem, jak bardzo zasmuciła cię prawdziwa tożsamość Myrmidona, lecz błagam, byś nie postępował nierozważnie. Nie znasz Prusiasa tak dobrze jak ja.

– Ale czy nie rozumiesz? – zapytał Max. – Nigdy nie pozwoli mi opuścić tego miejsca. Mam umrzeć. Przecież sto tysięcy widzów było świadkiem śmierci mojego kłona na arenie. Jaki więc ma plan?

– Nie zamierzam udawać, że znam królewskie zamiary w każdej materii – odparł chochlik. – Ale wierzę, że bardzo cię ceni. Ciebie i to, co sobą reprezentujesz.

– Zbyt cenny, by się go pozbyć – podsumował Max i zaśmiał się gorzko. – Będę tu przetrzymywany, dopóki znowu nie zechce wystawić do walki Bragha Run.

– Mógłby cię spotkać gorszy los, mój panie – odparł

chochlik.

– Doprawdy, panie Bonn! – wykrzyknął Prusias, strzepując śnieg z butów. – Prawie, prawie nam się nie udało na arenie, ale cóż to była za walka! Wyznam, że myślałem, że z tobą koniec, ale udawałeś tylko martwego, prawda?

Król pogroził mu palcem, jakby Max był rozkosznym małym psotnikiem.

– Niczego nie udawałem – odparł Max lodowato.

– Ach, jesteś przygnębiony – westchnął Prusias. –

Przypuszczam, że to nieuniknione. To żadna frajda widzieć swą podobiznę w tak żalonym stanie.

– Żalonym stanie? – wykrzyknął Max. – Moją podobiznę? Myrmidon nie był przecież moim przeciwnikiem! Był mną!

– Nonsens! – szczerknął Prusias, sadowiąc się w fotelu. Zerknął na kominek i drewno w nim posłusznie buchnęło płomieniem. – Równie dobrze mógłbyś oplakiwać obcinacz do paznokci. Twój żal jest udawany albo jesteś bardziej próżny, niż przypuszczałem. Szczerze, jeśli cokolwiek powinno cię martwić, to ja. Myrmidon kosztował mnie fortunę...

Na to niemiłe wspomnienie król zmarszczył brew.

Wybrał sobie cygaro i warknął na Maksa, by ten zajął

drugi fotel.

– A więc mam na zawsze zostać Bragha Run –

doszedł do wniosku chłopiec. – Max McDaniels nie żyje.

– Zaprawdę, nie żyje – zaśmiał się Prusias. – Wielki Pies Rowan... niech spoczywa w pokoju, et cetera, et cetera.

– Dziwię ci się – rzekł Max.

–

Słucham?

–

Prusias

świdrował

go

jaskrawoniebieskim okiem. – Co masz na myśli?

– Jestem twym małym, brudnym sekretem – zaśmiał

się Max. – Wszyscy myślą, że Pies Rowan nie żyje, podczas gdy w rzeczywistości został ukryty w samotnej willi na wzgórzu. Jak by zareagowali twoi wrogowie, gdyby poznali prawdę?

Zamiast złości na twarzy króla pojawiła się melancholia. Z grymasem podniósł się z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju. Jego cień znowu zrobił się dziwny.

Kiedy pan Bonn to zobaczył, natychmiast stał się potulny jak baranek i wyraźnie starał się nie zwracać na siebie uwagi. Najchętniej skurczyłby się i po prostu zniknął. Max był przerażony, lecz postanowił za żadną cenę się z tym nie zdradzić.

– Wiesz – rzekł z namysłem Prusias – ten klon zrobił

po prostu, co mu kazano. Zniszczył to, co polecono mu zniszczyć. Bez dyskusji. Na tym świecie jest się albo pożytecznym, albo nieprzydatnym. Ten klon był

pożyteczny.

Max milczał. Ciężko było wyobrazić sobie młodszą wersję samego siebie przemykającą po Blys, by wykonać złowrogi rozkaz króla.

– Talent Myrmidona w tej dziedzinie sprawił, że zacząłem się nad tobą zastanawiać – rzekł Prusias.  
– Był

naprawdę dobry i nie wzbierał się przed użyciem noża, lecz brakowało mu twojej prędkości i iskry. Wiesz, wydaje mi się, że tkwi w tobie coś potężnego, Max. I nie wierzę, jakoby Warsztat był w stanie cię zduplikować.

Nawet gdyby mogli pokroić cię na kawałeczki, powkładać do małych słoiczków i zbadać je swymi cudownymi maszynami. – Prusias skrzywił się złośliwie. – Cóż. Mam wrogów, to prawda. Wielu. Wśród nich są tacy, którzy mnie nudzą, tacy, którzy mi przeszkadzają, a nawet tacy, którzy mnie bawią. Niewielu jednak może mi zagrozić.

Dowiedziałem się niestety ostatnio, że jeden z nich rzeczywiście mi zagraża. Bardziej nawet, niż podejrzewałem.

– Król Aamon – odgadł Max.

– Właśnie – zgodził się Prusias. Odwrócił się do swego chochlika. – Widzi pan, panie Bonn? Czy nie mówiłem, że zrozumie nasz problem i zechce pomóc?

– Tego nie powiedziałem – rzekł Max.

– Co z tego? Zaraz powiesz – zaśmiał się Prusias. –

Naprawdę najlepiej będzie dla wszystkich, jeśli to zrobisz.

Max nie spuszczał czujnego wzroku z cienia demona.

Podczas rozmów takich jak ta łatwo było zapomnieć o niebezpieczeństwie. To nie człowiek – przypomniał sobie surowo Max. – Przebywasz w zamkniętym pomieszczeniu z wielkim czerwonym smokiem.

Który czegoś od ciebie chce.

– Zrobiłbym to oczywiście sam, lecz Astaroth zabronił mi maczać w czymkolwiek palce osobiście.

Sensowna zasada, ale trochę komplikuje sprawy. A więc przyjrzyjmy się szczegółom, zgoda? Mój współpracownik pozwolił sobie sporządzić szczegółowy plan zamku Aamona. – Prusias teatralnym wstrząśnięciem nadgarstka rozwinął zwój pergaminu. – Są oczywiście strażę, to jasne, ale znam już ich pozycje i wierzę, że zdołasz je wyeliminować...

Max bez słowa patrzył się na mapę, nie pojmując, jak to możliwe. Przypominało to planowanie akcji z Cooperem, z tym że właśnie przyjmował rozkazy od demona.

Co się z nim dzieje?

Prusias, nieświadom obiekcji Maksa, kreślił mu plany rozmaitych zasadzek w zamku, opowiadał o



możliwych wejściach i drogach ucieczki oraz o podziemnej kaplicy, w której, jak mu było wiadomo, lubił wypoczywać Aamon.

– Malakhy będą ci towarzyszyć do samej granicy –

rzekł Prusias. – Kiedy się na niej znajdziecie, wręczą ci pradawną broń, której nawet Aamon ma powody się obawiać. Dalej pojedziesz już sam. Nie wolno ci dać się schwytać.

– Dlaczego nie mogę dostać broni teraz? – zapytał

lodowato Max.

– Nie dostaniesz jej, póki znajdujesz się w pobliżu mojej osoby – warknął Prusias, za którym migotał cień jak głowa kobry. – Zrób to dla mnie, a nagroda przekroczy wszelkie twoje oczekiwania.

– Wiesz – zaczął Max, ostrożnie dobierając słowa –

że już mi coś obiecałeś: czystą drogę do Vyndry.

Obiecałeś mi szansę na rewanż za śmierć ojca.

– I dostaniesz ją! – zapewnił Prusias. – Ale Vyndra musi trochę poczekać.

– Wygląda na to, że żądasz drugiej usługi, zanim zapłaciłeś za pierwszą – rzekł Max. – A jak sam mówiłeś, produktywne partnerstwo opiera się na zasadzie „coś za coś”, nie na dobroczynności. Ja wypełniłem swoją część umowy, teraz kolej na ciebie.

Król zamrugnął.

– Max... myślałem, że się rozumiemy – powiedział

powoli. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny drwiący uśmiezek. Oczekujesz, że zakrzuszę się własnymi słowami? Że pozwolę, aby pouczała mnie młodość?

Max zerknął na pana Bonna i stwierdził, że chochlik skamieniał ze strachu. Wzrokiem dosłownie krzyczał do Maksa, by przestał, wycofał się, odstąpił od swego, udobruchał smoka. Oczy Prusiasa rozszerzyły się jednak, tworząc dwa niebieskie kręgi. Jego małe zęby wpiły się w dolną wargę tak mocno, że krew połała się na brodę demona. Wstał i kuśtykając obszedł pokój, ogromny i niebezpieczny. Max nie ośmielił się ruszyć.

– Chcesz negocjować? – wychrypiał demon. – W

takim razie dobrze. Co mi dasz, abym darował jeszcze jedną noc twoim przyjaciółom z gospodarstwa? No, zaproponuj coś, ty żałosny dzieciaku, albo pokażę ci taką rzeź, że nigdy już nie zmrużysz oka!

Walnął wściekle laską i skierował uwagę na chochlika.

– Panie Bonn, proszę to zanotować: Zarządzam, aby wszystkie wieloki z narkotycznych melin, z lochów i więzień wypuszczono dziś na ludzkie siedziby. Wszystkie co do jednego, panie Bonn!

– Błagam – szepnął Max, lecz demon zbliżył się do niego i podniósłszy palec, zażądał ciszy. Max nie był

nawet w stanie spojrzeć na jego twarz. Mógł tylko śledzić wzrokiem ów zamazany, groźny cień, który przybrał teraz kształt rogatej bestii o wielu głowach i splotach. Kiedy Prusias znów się odezwał, jego głęboki głos drżał.

– Widzisz teraz, jaki byłem hojny?

– Tak – odparł Max.

– Zrobisz więc, o co proszę?

– Nie.

Demon stanął jak wmurowany. Olbrzymia głowa ze spletaną grzywą czarnych włosów odwróciła się w stronę Maksa.

– Powtórz to – szepnął Prusias. – Powtórz to jeszcze raz...

Max nigdy w życiu nie był bardziej przerażony.

Przełknął ślinę i siłą przywołał głos.

– Nie – powtórzył, patrząc demonowi w oczy. – Nie zamierzam zrobić tego, o co prosisz. Nie zamierzam zostać niewolnikiem ani potworem, ponieważ grozisz, że skrzywdzisz ludzi, na których mi zależy. Taka gra może nie mieć końca. Zawsze znajdzie się jakaś straszna rzecz, której ode mnie zażadasz, i zawsze znajdzie się ktoś, na kim mi zależy.

Prusias zamachnął się dziko i uderzył Maksa swą ogromną pięścią. Siła uderzenia cisnęła chłopca pod regał

z książkami. Ze straszliwym, pierwotnym rykiem Prusias runął na Maksa i wczepił mu się w gardło. Z ust demona toczyła się piana, a jego źrenice rozszerzyły się tak, że wypełniły całe jego okrągłe oczy. Trzęsąc się, podniósł

Maksa z taką siłą, że chłopak zaczął się bać o swój kręgosłup. Został ciśnięty o ścianę i przygnieciony do niej tak, że stopy zwisały mu dobre półtora metra nad ziemią.

– Panie Bonn! – ryknął Prusias. – Zabierz to coś sprzed moich oczu, zanim połknę to w całości!

Max czuł się tak, jakby jego gardło ściśnięto rozgrzaną do czerwoności kłamrą lub wzięto w imadło, które z każdą sekundą zaciskało się coraz mocniej. Tracił

już przytomność, kiedy zebrały się wokół niego malakhy o dziwnie pięknych i spokojnych maskach. Związały mu nadgarstki delikatnym sznurem.

Kiedy odzyskał przytomność, zanurzony był w ciemnościach tak gęstych i czarnych, że nie sposób było zorientować się w sytuacji. Odkrył, że wciąż jest związany tym samym cieniutkim sznurem. Były to magiczne pęta, dławiące zarówno instynkt ucieczki, jak chęć stawiania oporu. Czuł ból szyi w miejscu, za które złapał go demon, lecz nie mógł nawet unieść ręki, by się tam dotknąć. Wszystko, co mógł, to odrobinę się przesuwać. Na podstawie tych żalonych ruchów wywnioskował, że został rzucony na jakąś kamienną ławę.

Powietrze stało. Pachniało tak, jakby znajdował się gdzieś głęboko pod ziemią, lecz Max nie był pewien.

Próbował zdusić w sobie przerażające przeświadczenie, że znów znajduje się w studni na terenie gospodarstwa, opuszczony i samotny pośród atramentowo-czarnych tuneli. Leżąc w ciemnościach, czuł, że traci wszelką więź

z rzeczywistością.

Mimo że świadomość gdzieś mu uciekała, jak przez mgłę docierało do niego drażniące tykanie. Coś jakby pełzło z jakiejś żerdzi lub kąta powyżej niego. Natężył

słuch. Usłyszał ostrożne drapanie pazurów na kamieniu.

Zbliżało się.

Kiedy usłyszał syk, wiedział już, co to jest. Baka, skórzaste,

podobne

do

nietoperza

stworzenie

wykorzystywane do dręczenia pojmanych. Już je kiedyś widział. Świadomość, że coś takiego pełźnie w jego kierunku, a on nie jest w stanie go zatrzymać, była nie do zniesienia.

Stworzenie pociągnęło nosem, wydało z siebie dziwaczny gulgot, po czym wczepiło się pazurami w ramiona Maksa i złożyło na nim swój upiorny ciężar.

Chłopak przesunął się wzdłuż ściany, nie przestając wpatrywać się w ciemność. Baka przytuliła twarz do jego szyi i zaczęła szeptać. Zarówno umysł, jak i wspomnienia wyrwały się spod jego kontroli.

*Jest w samochodzie. Nawet przez sen Max wie, że skręcili w swoją ulicę. Rozlega się znajomy*

*miarowy warkot silnika, kiedy tata puszcza pedał gazu i pozwala pojazdowi toczyć się na wolnych obrotach. Kiedy skręcają na podjazd, samochód podskakuje w znajomy sposób i Max wie, że są w domu.*

*Jest przebudzony i czujny, lecz nie otwiera oczu i udaje, że śpi. Wie bowiem, że za chwileczkę jego drzwi się otworzą i poczuje obejmujące go ramiona mamy, która zanieśie go do domu...*

*Tata siedzi zgarbiony przy stole w dużym pokoju.*

*Rozmawia z policją. Max chce usiąść obok niego, ale ładna policjantka bierze go za rękę. Klęka przy nim i uśmiecha się niezręcznie...*

*– Max, czy twoi rodzice czasem się kłócili? Słyszałeś, żeby tata krzyczał na mamę? Widziałeś, żeby kiedykolwiek ją uderzył?*

*Policji już nie ma. W domu panuje cisza. Na Bryn McDaniels czeka z nadzieją cały stos listów. Rozlega się stukanie do drzwi. Tata zmywa i prosi Maksa, by otworzył.*

*Wygląda oknem. Na progu stoi wielok z walizką. Max się boi, ale nie może się powstrzymać. Otwiera drzwi...*

*Max stoi w potoku, trzymając ciało ojca. Widzi ranę, której nie opatrzyli. Nigel klęczy obok niego i płacze, jakby ojciec już nie żył, ale przecież on jeszcze żyje. Jeśli tylko daliby radę zamknąć tę ranę...*

*Max poczuł ból. Rzeczywisty ból dochodzący z głowy, a dokładniej z oczu. Ból z powodu światła. Mimo to nie pragnie niczego poza światłem – pragnie czegokolwiek, co rozproszyłoby ciemności.*

*Zamknął oczy, kiedy do gardła spłynęła mu woda.*

*– Nic więcej nie mogę ci dać – odezwał się głos.*

*Max z trudem zogniskował wzrok na twarzy pana Bonna. Chochlik był poważny. Jego oczy wędrowały po ciele i twarzy Maksa, jakby to, co widziały, mocno go niepokoiło. Baka siedziała tam gdzie przedtem, lecz szeptała usta.*

*– Gdzie jestem? – wychrypiał Max.*

*– W lochu Prusiasa – mruknął chochlik.*

*– Od jak dawna? – wychrypiał znowu Max.*

*– Proszę, panie – jęknął chochlik. – Nie wolno mi odpowiadać na żadne pytania. Wolno mi tylko zadać jedno. Czy wypełnisz rozkazy Prusiasa i zaprzysięgniesz mu wierność na wieki? Jeśli zgodzisz się to zrobić, wszystko zostanie ci wybaczone i udręka skończy się w tej samej sekundzie.*

*– Nie zrobię tego – szepnął Max i leciutko pokręcił*

głową.

Na twarzy chochlika pojawiło się cierpienie. Zerknął

przez ramię.

– Błagam, zastanów się jeszcze – prosił. – Obaj znamy temperament króla. Taka propozycja może się więcej nie powtórzyć.

Max próbował przełknąć ślinę, ale nie był w stanie.

Spojrzał na pana Bonna zmrużonymi oczami i uśmiechnął

się.

– Proszę zgasić to światło, panie Bonn. Nie widzi pan, że spałem?

Pan Bonn smutno skinął głową. Odszedł, a wraz z nim – światło. Tuż za jego drżącym kręgiem czekała ciemność. Czekala, by napłynąć jak olbrzymia fala i zachłannie zalać jego świat.

Kiedy to się stało, szepty powróciły.

Nie sposób było określić upływu czasu. Koszmary nocne nie były dla Maksa niczym nowym, miewał je często. Te koszmary przechodziły jednak jeden w drugi, po czym zaczynały się od początku.

Mimo wszystko Max wolał szepty baki i koszmary niż te krótkie chwile rzeczywistej bądź wyobrażonej jasności umysłu. Wtedy bowiem więzienie rozświeślał

złocisty blask niewiadomego pochodzenia i Max widział

jego zakamarki, jak również kraty, oddzielające go od wielkiej czarnej próżni.

*Noc pachnie wiosną, mokrą trawą i ostami. Pachnie możliwościami. Na niskim wzgórzu stoi wielki dom. Nie tak bardzo daleko. Max rzuca piłkę przed siebie i biegnie ją złapać jak wielki norweski wilk goniący księżyc, który jest w jego zasięgu i daje się złapać, ponieważ nie widział*

*jeszcze jego twarzy i nie zna niebezpieczeństwa. Czai się jednak jeszcze coś. Wielki wilczarz. Max zatrzymuje się w pół kroku jak oniemiały, bo nie zna odpowiedzi na pytanie o swoje imię. Wilczarz ziewa, a z jego gardła wydobywa się pytanie: Kim jesteś? Odpowiadaj natychmiast, bo pożrę cię w całości! Księżyc spada na ziemię i toczy się w nieznanym kierunku, by pobawić się z nim kiedy indziej...*

Sen się skończył, lecz nie pojawiło się nic w zamian.

W trwożnym oczekiwaniu Max wyteżył wzrok i rozejrzał

się, czy nie widać złocistego światła.

Nie. Lecz nadchodziło coś innego.

Widział to przez pręty celi. Widział, jak sunęło ku niemu w ciemności. Niczego nie mógł być pewien – tego, czy to sen, czy jawa, czy oczy ma zamknięte, czy otwarte, czy jest żywy, czy martwy. Nie przejmował się tym jednak. Zastanawiał się tylko, czy to przypadkiem jego sen się nie ziścił. Księżyc naprawdę spadł na ziemię i przyszedł się z nim pobawić...

Księżyc robił się coraz większy i coraz jaśniejszy.

Toczył się ku niemu, dopóki nie zawisł tuż przed jego celą. Coś uszczypnęło Maksa w ramię. Zabolało. Okazało się, że to baka na chwilę mocniej wbiła pazury, po czym pospiesznie umknęła. Coś przyszło ją zastąpić.

To coś sfrunęło przez kraty. Wdzięczna, elegancka postać zarysowała się na tle pięknego księżyca. Na czubku nosa Maksa wylądowała ćma – brudnica nieparka.

Jej miękkie czułki łaskotały go po twarzy. Zdumiony chłopak patrzył na nią, dopóki księżyc nie przemówił do niego pradawnym, miodowym tenorem.

– O Boże, mógłbym siedzieć w łupinie orzecha i nazywać się królem nieskończoności, gdyby nie to, że mam złe sny.

Drzwi otworzyły się i księżyc wszedł do małej celi.

Kiedy kiwający się biały kształt zbliżył się do niego, Max odkrył, że to nie ten sam księżyc, z którym się bawił.

To był Astaroth.

Brudnica nieparka zerwała się i podleciała w stronę księżyca, po czym z migotaniem przeobraziła się w swą rzeczywistą postać – pana Sikesa.

W miarę, jak demon się zbliżał, Max był coraz bardziej oszołomiony siłą jego obecności. Podobnie jak księżyc, Astaroth wydawał się mieć siłę przyciągania.

Kiedy przybrał swe boskie kształty, wyglądał tak samo jak dawniej. Na jego jaśniejącej pięknej twarzy malował się sardoniczny uśmiech. Włosy miał gładkie, lśniące i czarne. Opadały mu z ramion, kiedy z łagodnym zainteresowaniem rozglądał się po małej celi. Jediną rzeczą, która zmieniła się w jego wizerunku, był strój.

Zamiast białej świetlistej sukni nosił szaty tak głęboko czarne, że wydawały się utkane z próżni, otchłani.

Demon westchnął.

– Max – odezwał się karcącym tonem. –

Podarowałem ci do odkrycia całkiem nowy świat, a ty wylądowałaś tutaj? Co za wstyd. Cóż takiego zrobiłeś, że tak rozgniewałeś Prusiasa?

Max usiłował odpowiedzieć, ale nie był w stanie wydusić ani słowa.

– Mów – rzekł łagodnie Astaroth. – Brakowało mi twojego głosu.

Zupełnie jakby stłumiono światło żarówki, aura demona przygasła, dając trochę przestrzeni świadomym myślom i wolnej woli. Max wziął kilka długich, powolnych oddechów.

– Nie będę mu służył – wyszeptał. – Chce, żebym zabił Aamona, a ja tego nie zrobię.

– Tak – odpowiedział rozbawiony Astaroth. – Tyle się domyślałem. Ty jesteś pełen dumy, a Prusias przezroczyisty i impulsywny niczym dziecko. On i Aamon nigdy się nie lubili. Przypuszczam więc, że wojna jest nieunikniona.

– Nie możesz do niej nie dopuścić? – zapytał Max.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Astaroth. –

Wszystko musi rozegrać się samo.

Demon westchnął i usiadł na kamiennej ławie obok Maksa. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu – jak dobrzy przyjaciele czekający na autobus.

– Po co tu przyszedłeś? – zapytał Max zmęczonym głosem.

– Bo chcę porozmawiać z Davidem Menlo – odparł

Astaroth. – Chcę się dowiedzieć, co tam u niego.

– Myślałem, że ty wiesz wszystko – rzekł Max.

– O, nie do końca – zaśmiał się Astaroth. – Często tak, to prawda, ale chylę czoło przed twoim młodym towarzyszem. Choć szukam go pilnie, nigdy nie mogę go znaleźć. Ucieka mi sprzed nosa jak koliber i cały czas płata figle.

– Jakie figle?

Astaroth skrzywił się i swobodnie oparł się ramieniem o Maksa.

– To właśnie ty masz mi powiedzieć jakie – szepnął.

– Obaj wiemy o jego męczących napaściach na flotę handlową. To sprytna sztuczka, by odwrócić uwagę, uderzyć w tego, kto będzie protestował najgłośniej. Ale obaj wiemy, że nie tym naprawdę się zajmuje.

Demon patrzył na niego z oczekiwaniem.

– Nie wiem, co on robi – rzekł Max. – Nawet jak byłem w Rowan, David o niczym mi nie mówił.

Wszystko, czym się zajmuje, to wielka tajemnica.

– Ha, ha, ha – rzekł Astaroth. – Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Max, ku jawnemu zachwytowi demona, odmówił.

– Ależ duma! – Zaczął bić brawo. – Ależ upór! Nic dziwnego, że Prusias cię tu wtrącił. Ale ja nie jestem Prusiasem – mnie nie zdołasz odmówić, mój mały Psie.

Kiedy Astaroth wstał, powróciła intensywność jego oszołamiającej obecności, która odebrała Maksowi jasność widzenia i zdolność mowy. Nieposkromiona wola demona zawładnęła umysłem Maksa niczym ośmiornica wciskająca się mackami we wspomnienia i naruszająca najtajniejsze z tajemnic. Demona napawało zachwytem wszelkie poniżenie, więc choć sam mógł odczytać myśli Maksa, zmusił chłopaka do wypowiedzenia sekretów Davida na głos.

Max szlochał, a Astaroth słuchał. Max powiedział

demonowi o czerwonych płatkach Davida i o tym, jak destylował z nich truciznę. Wyjawił, w jaki sposób David niszczył statki Wroga przez kopułę obserwatorium i jak oszukał Prusiasa, wymieniając Connorowi duszę. Wyznał

te rzeczy i więcej. Zdrada była tak bezgranicznie pełna, że gdyby nie krępujące go więzy, Max roztrzaskałby sobie głowę o kamienne ściany lochu.

– Ćśśś – szepnął Astaroth, gładząc go po włosach, jakby chciał go pocieszyć. Siła jego obecności stopniowo słabła, tak że Max mógł z powrotem przejąć kontrolę nad własnym umysłem i spojrzeć na uśmiechniętą triumfalnie twarz demona.

– Nie czuj się zbyt winny, mój chłopcze.

Potwierdziłeś tylko to, co podejrzewałem. Jestem jednak ciekaw jeszcze czegoś, Max. Czy David pozwolił ci dotykać tych czerwonych płatków kwiatowych?

Max potrząsnął tylko głową. Myśli krążyły mu wokół

tego, co ujawnił.

– To ciekawe – rzekł zamyślony Astaroth. – Wiesz, jak się nazywają? W Sidh znane są pod nazwą blath mag Balor – kwiaty Balora. Zakładam, że wiesz, kto to Balor.

– Król Fomorian – rzekł Max. – Mój pradziadek.

Astaroth zarechotał.



– Zgadza się – powiedział. – Widzę, że ktoś tu poszukiwał swoich korzeni. Ponieważ już wiesz, kim był

twój pradziadek, wiesz też pewnie, kto go zabił.

– Lugh Długoręki – odpowiedział z trudem Max. –

Mój rodzony ojciec i wnuk Balora.

– Dokładnie tak – potwierdził Astaroth. – I był to nie lada wyczyn, bo Balor był wrogiem potężnym, a spojrzenie jego jedyne oko było zabójcze. Na kogo spojrzał, ten ginął na miejscu.

– Znam tę historię – rzekł Max. – Lugh wybił mu oko, strzelając z procy.

– Balor padł martwy, a krew z jego oka sączyła się w ziemię – dokończył Astaroth. – I zanim Lugh odszedł z tego świata, zabrał ze sobą trochę ziemi z miejsca, w którym padł Balor. Rozrzucił tę ziemię po ogrodach Rodrubân i wkrótce wyrosły tam czerwone kwiaty – blath mag Balor. Z tego właśnie czerwonego kwiatu mędrcy są w stanie uzyskać truciznę śmiertelną zarówno dla bogów, jak i dla demonów.

Astaroth wyciągnął jeden z takich kwiatów spomiędzy swych szat. Straszliwa roślina tkwiła w świecącej kuli energii. Mimo że była w niej uwięziona, Max odsunął się, jakby miał do czynienia ze skorpionem.

– Wiesz, co jest w nim tak irytujące? – zapytał

Demon. – To, że Księga Thotha nie daje mi nad nim władzy. Kwiat ten bowiem pochodzi nie z tego świata, więc jego prawdziwa nazwa pozostaje przede mną ukryta.

A więc młody sprytny czarownik mógł to odkryć i odnaleźć taki kwiat. Mógł rozsiać jego nasiona po ziemi na zgubę mego rodu. A jeśli na dodatek byłby naprawdę bezczelny i pomysłowy, mógł wykorzystać płatki kwiatów, by uzyskać z nich truciznę tak silną, że byłaby zdolna zgładzić wszystkie demony na ziemi...

Astaroth przyjrzał się niepozornemu kwiatkowi z bliska, po czym z chytrym uśmieszkiem zerknął na Maksa.

– Podejrzewałem coś takiego. A ty tylko to potwierdziłeś, prawda?

Max tępym wzrokiem patrzył przed siebie. Milczał.

– Dobry występ zasługuje na rewanż – zaśmiał się Astaroth. – Chcesz, żebym ci zdradził resztę planu Davida? Wygląda na to, że z tobą zapomniał się nim podzielić.

Demon oparł się wygodnie, jakby nadeszła pora na opowiedzenie bajki.

– Więc skoro nasz młody czarownik sporządził

wystarczająco silną truciznę, będzie musiał wprowadzić swój uroczy plan w czyn. Dowie się zapewne, że cała szlachta Czterech Królestw spotyka się w tym właśnie pałacu w Noc Walpurgi, aby uczcić klęskę Brama i upadek Solas. A ponieważ ja trzymałem ostatnio miejsce swego pobytu w ścisłej tajemnicy, David odgadnie zapewne, że pojawię się właśnie na tym spotkaniu, by przemówić do arystokracji. Dalej, ponieważ nasz wspólny znajomy zachowuje się nieoczekiwanie bezczelnie i wysoce arogancko, wybierze właśnie tę chwilę, by uderzyć we mnie na oczach mego dworu...

Na widmowo białej twarzy Demona malowało się zamyślenie, podczas gdy on wpatrywał się w zawieszony kwiatek. Ku zdziwieniu Maksa ochronny krąg otaczający płatek krwi rozwiął się i śmiertelny kwiat spoczął na nagiej skórze Astarotha.

– Ale my mamy również swoje sekrety. Kiedy dowiedziałem się o blath mag Balor, zrozumiałem, że David odkrył broń, która mogłaby mnie rzeczywiście skrzywdzić. I przygotowałem się na to, mimo że był to proces bolesny i wymagający dużej cierpliwości.

Przygotowałem się tak gruntownie, że trucizna ta nie może mi zaszkodzić, niezależnie od ilości ani stężenia.

Jestem na nią odporny.

Demon wzruszył ramionami i wrzucił sobie kwiatek do ust, jakby to był mlecz. Kiedy żuł go w zamyśleniu, pan Sikes odchrząknął.

– Czy coś cię trapi, mój drogi? – zapytał Astaroth, zwracając się do niego.

– Mój pan wie najlepiej – odparł chochlik – ale czy roztropnie jest zdradzać wszystkie nasze sekrety? „Przed porażką – wyniosłość” i tak dalej...

– Nieźle powiedziane, panie Sikes – powiedział

rozmarzony Astaroth. – Jak zawsze przemawia przez ciebie mądrość. Musisz jednak zaufać swemu panu, ponieważ nadchodzi przepiękny moment. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie chwilę, w której David uświadomi sobie porażkę? Będzie to chwila wyjątkowa. A biedny Max zna teraz dokładną datę unicestwienia swego druha, lecz nie może zrobić absolutnie nic, by zawiadomić go o naszym podstępie. Wyobrażam sobie, że to tortura gorsza niż szeptaki...

Astaroth podniósł się i ze współczuciem spojrział na bezwładne, pokonane ciało Maksa.

– Nie sądź, że jestem bez serca – rzekł demon. –

Jakaś część mnie będzie żałować pochłonięcia Davida.

Będzie mi brakować jego poważnych małych podstępów.

Astaroth rzucił Maksowi słowa pożegnania, lecz tuż przy drzwiach się zatrzymał.

– Prawie zapomniałem – wyznał. Odwrócił się, uniósł

białą dłoń i wykonał nią ruch przypominający błogosławieństwo. – Dopóki nie minie Noc Walpurgi, nie wolno ci wyjawić nikomu żadnego aspektu mojej wizyty i naszej rozmowy. Nie wolno ci podejmować absolutnie żadnych działań, które mogłyby przeszkodzić Davidowi Menlo w wykonaniu jego planu.

Drzwi się zamknęły i demon odszedł.

I znowu Max zanurzył się w całkowitej, niezmierzonej czerni. Pragnął, aby pasywne pęta przytępiły mu umysł lub by baka znowu usiadła mu na ramieniu i zaczęła szeptać. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Przez długie godziny Max rozpamiętywał

swoją zdradę i zgubę czekającą przyjaciela.

## CZAROWNIK I ZMIEN

Max tkwił w czeluściach lochów Prusiasa niczym samotny duch. Trawiły go głód i pragnienie, lecz nie marniał i nie ginął, ponieważ zdradliwa magia baki podtrzymywała przy życiu jego ciało, niszcząc jednocześnie umysł.

Wynurzył się z kolejnego koszmarnego snu i usłyszał

lekkie postukiwanie przy kłódce. Nikłe światełko wydobywające się przez szparę odstłoniło na ułamek sekundy białą twarz przesuwającą się za drzwiami celi.

Baka na ramieniu Maksa poruszyła się, a on, mrugając, próbował rozpoznać postać. Pierwszy przyszedł

mu na myśl Astaroth. Zapewne powrócił, by napawać się zwycięstwem...

Po co jednak Astaroth zawracałby sobie głowę światłem lub kluczem?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, drzwi się otworzyły i postać wśliznęła się do celi. Kiedy podeszła bliżej i odstłoniła latarnię, tak że światło padło na twarz więźnia, baka się poruszyła. Ten nagły blask był bolesny.

Max jęknął, zamknął oczy i odwrócił się.

Rozległo się stłumione stuknięcie i Max poczuł, jak baka nagle sztywnieje, po czym zostaje zdjęta z jego ramienia. Na policzku momentalnie poczuł chłód.

Dręczycielka już nie przywierała mu do twarzy. Usłyszał, jak jej ciało z głuchym łupnięciem spada na ziemię w odległym kącie celi. Wiedział jednak, że to kolejny sen, kolejny koszmar, którego zadaniem jest mamić go, że nadszedł kres jego męczarni. Miał już takie sny i należały do najgorszych. Ze wszystkich pokus najokrutniejszą była bowiem nadzieja.

Nie otworzył więc oczu i nie odpowiedział na głos, który łagodnie zawołał go po imieniu. Spadły z niego pęta. Max czuł, jak się ześlizgują, podczas gdy głos nie przestawał do niego szeptać. Czyjeś szorstkie dłonie chwyciły jego ręce. Dotyk był ciepły i rzeczywisty –

ludzki. Głos natomiast był tak spokojny i zdecydowany, że w końcu Max otworzył oczy i zaryzykował spojrzenie na tę najbardziej natarczywą ze zjaw.

Był to William Cooper.

Twarz agenta znajdowała się dosłownie centymetry od jego twarzy. Błada skóra, nierówne, okaleczone rysy i kępki szaroblond włosów wystające spod czarnej czapeczki.

Agent poklepał go po ręce.

– Słyszysz mnie? – wyszeptał. – Pora wstawać.

Max jednak nie mógł – tak był zmęczony, przerażony i załamany.

Kiedy wreszcie zebrał siły, by skinąć głową – a właściwie poruszyć nią ledwo dostrzegalnie – niebieskie oczy agenta załśniły.

– Dobrze – szepnął Cooper. – Leż spokojnie i pozwól mi się wszystkim zająć. Mam zamiar cię stąd wydostać.

Podniósł Maksa, który poczuł się jak małe dziecko z najwcześniejszych wspomnień dzieciństwa. Agent przerzucił go sobie przez ramię i sięgnął po latarnię. W

prawym ręku trzymał swój straszny kris oraz coś, co przypominało kompas.

Zwinnie wykradł się z celi do rozciągającego się za nią labiryntu korytarzy. Jego ruchy były czujne, ale zdecydowane, jak ruchy pantery.

Poruszali się szybko i bezszelestnie, co dla Coopera było najważniejsze. Od czasu do czasu zatrzymywał się, zdejmował Maksa z ramion, opierał go o kamienną ścianę i studiował coś na płaskim urządzeniu w kształcie dysku, które trzymał w ręku. Pozwalał sączyć się z lampy tylko minimalnej ilości światła – wystarczył mu nikły blask padający na ziemię tuż przed nim.

Zaczęli wreszcie kierować się ku górze, kiedy dobiegł

ich przenikliwy, żalony krzyk. Cooper zatrzymał się natychmiast

i

zasłonił

latarnię.

Czekali

w

nieprzeniknionych ciemnościach. Max zapał się o zimną ścianę. Poczul znajome krzepiące klepnięcie w ramię – to Cooper dał znak, że oddala się na zwiady.

Po kilku minutach Max usłyszał kroki. Pomyślał, że to wraca agent.

Rozległo się ciche stuknięcie – coś uderzyło w niewidoczną stojącą na ziemi latarnię. Skrobnęły po niej czyjeś gorliwe palce, przewróciły ją i szarpnięciem przesunęło zasuwkę. W ciemność wdarło się jasne światło. Coś rzuciło się w tył, wydało przenikliwy krzyk, chwyciło latarnię i z wściekłością cisnęło nią o kamienie.

Szkoło pękoło i na ziemi zatańczyły biało-żółte płomienie.

Oczy stworzenia zalsniły w świetle latami, rozszerzone i nieruchome. Wyraźny był szeroki nos i usta o cienkich wargach ubrudzonych krwią, podobnie jak ostre pazury. Stwór wyglądał tak, jakby spędził całe życie, drapiąc pazurami w gołą ścianę w poszukiwaniu jedzenia lub schronienia przed tym, co czaiło się w głębokim podziemiu.

Teraz nie musiało ryc i kopać skały w poszukiwaniu pożywienia. Wyciągnęło pazury w kierunku bezwładnego ciała Maksa.

Kroki. Czyjeś kroki biegiem. Głowa stworzenia podskoczyła, kiedy czarny sztylet rzucony z znacznej odległości utkwił w jego szyi. Cooper pojawił się sekundę później. Przekroczył skulone ciało Maksa, by przykucnąć przy stworzeniu i z zadowoleniem stwierdzić, że nie żyje.

Bezceremonialnie zarzucił sobie Maksa na ramię. W

ciemnościach rozległy się kolejne przenikliwe krzyki odbijające się echem o ściany i nakładające jeden na drugi.

– Zabawa w chowanego skończona – szepnął Cooper.

I ruszył biegiem z nadludzką prędkością, chociaż Max ciążył mu na ramieniu. Zamiast wpatrywać się w ciemność, skupił się na dziwnym kompasie i jego świecącej igle.

Biegł w tym tempie całe godziny, z niewiarygodną wytrzymałością, dopóki coś się nie wydarzyło. Agent zaklął

i zwolnił.

Potrząsnął kompasem, jakby podejrzewał, że nie działa.

– Cooper! – szepnął Max.

Agent okręcił się wokół własnej osi, podniósł rękę i mruknął:

– *Solas!*

Podziemia wypełniło oślepiające światło. Na ułamek sekundy oczom Maksa ukazały się hordy wychudzonych nędznych stworzeń napierające na nich ze wszystkich stron.

Cooper ruszył biegiem. Max zauważył, że każdy jego krok pozostawia ślad w postaci kałuży rozszarpanych płomyków. Ścieżka za nimi wyglądała jak płonące pole minowe, które nie tylko raziło napastników blaskiem, lecz także parzyło ich jak ogień grecki. Za ich plecami wybuchały wkrótce piski, wrzaski i wycia. Płonęły dziesiątki podziemnych stworzeń, podczas gdy inne przeskakiwały przez płonące ciała lub wdrapywały się na ściany podziemnych korytarzy. W świetle ogników stworzenia przypominały blade embriony – zgraja kościstych, wygłodzonych złych duchów.

Mimo znacznego obciążenia agent był szybszy i bardziej zwinny od napastników. Ci jednak zdawali się wiedzieć, dokąd zmierza, ponieważ małe grupki odrywały się od pościgu i kierowały z głównego korytarza innymi, mniej niebezpiecznymi drogami.

Max obawiał się zasadzki.

Podziemne grotty i korytarze rozbrzmiewały okrzykami i drżały od nich. Krzyki dochodziły zewsząd.

Czyjaś ręka chwyciła Maksa za twarz, czyjeś pazury szarpały za włosy. Cooper przyspieszył. Biegł coraz szybciej i szybciej. Max czuł napór przybliżających się coraz bardziej ciał.

I nagle... świeże powietrze.

Ostatnim ognistym krokiem Cooper wypadł z wąskiej szczeliny. Wzmocnionym biegiem wyprowadził ich daleko, daleko w szary zmierzch...

Kilka stworzeń w pogoni za nimi wyskoczyło ze szczeliny. Siła rozpędu zrzuciła je jednak z półki skalnej i z wrzaskiem poleciały w dół, w przepaść.

Ściskając Maksa, agent nie zwalniał tempa, nawet wtedy, gdy łagodnym, powolnym łukiem spadali w stronę górskiego jeziora otoczonego zimozielonymi drzewami.

Spadali tak kilkadziesiąt metrów, niczym kometa ciągnąc za sobą ognisty ogon. Wiatr smagał Maksa po twarzy. W

oczekiwaniu na uderzenie w lustro wody i nurkowanie w lodowatej głębi chłopak spał się cały.

Nic takiego nie nastąpiło.

Przeciwnie – ich upadek wydawał się w pełni kontrolowany. Trajektoria lotu zmieniła się tak, że zamiast runąć w idealnie gładkie lustro wody, wylądowali na nim łagodnym ślizgiem. Wydawało się, że Cooper może biec zarówno w powietrzu, jak i po wodzie.

Każdemu jego krokowi towarzyszył ognisty syk. W ten sposób pokonali prawie całą szerokość jeziora. Następnie agent zwolnił do marszu i dopiero wtedy jego buty zanurzyły się w płytkiej wodzie. Zmęczonym krokiem dotarł do brzegu.

Oparł Maksa o pień zwalonego drzewa, po czym usiadł zupełnie nieruchomo i zamknął oczy, jakby medytował. Max rozejrzał się po niebie, górach, wodzie i trawie – jeszcze niedawno był przekonany, że nigdy nie zobaczy tych zwyczajnych widoków. Zapadał wieczór.

Powietrze przesycone było spokojnym złotym blaskiem, który przez stulecia stanowił natchnienie dla artystów. Na skraju jeziora piło wodę kilka jeleni. Wstawał księżyc. W

zasięgu wzroku nie było żadnych budynków, nawet pałacu Prusiasa. Skalna szczelina, z której wypadli, wydawała się teraz jednym z cieni gdzieś wysoko na urwisku.

Cooper otworzył oczy i gwałtownie wstał, jakby ta minuta czy dwie wystarczyły, by przywrócić mu siły.

Spojrzał na szczyt, z którego skoczył, wziął głęboki oddech i cicho, lecz przeciągle gwizdnął. Max próbował

się uśmiechnąć, lecz w głębi duszy wciąż nękały go wątpliwości, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Cooper musiał zdawać sobie sprawę z tego, jak trudno Maksowi przywyknąć do świeżego powietrza i wolności, więc zostawił go w spokoju. Kiedy jednak na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, ukląkł u jego boku.

– Wiem, że chcesz odpocząć – rzekł. – Ja też. Ale musimy się zbierać. Sądzę, że dobrze ci zrobi, jak się trochę przejdiesz.

Ponaglany przez Coopera Max chwycił go za rękę i próbował stanąć na własnych nogach. Z początku kilka razy kolana ugięły się pod nim tak, że musiał się wesprzeć na towarzyszu, lecz po paru minutach udało mu się utrzymać równowagę.

– Wyprostuj się – zarządził agent ostrym tonem.

Max starał się, jak mógł. Cooper z grymasem na twarzy zlustrował go wzrokiem.

– Jesteś wyższy ode mnie – mruknął. – Czym oni cię tam karmili?

– Niczym – odparł Max i ze zdziwieniem wzruszył ramionami.

Odpowiedź ta jednak nie usatysfakcjonowała Coopera, a grymas na jego twarzy świadczył o kompletnym

niezrozumieniu

faktu,

dlaczego

zmartwychwstałe niedożywione nastolatki przerastają dorosłych. Agent odszedł kawałek.

– Nie bądź zły – rzekł Max. – Mam dobre geny...

– Daj spokój.

Max uśmiechnął się. To był bez wątpienia prawdziwy William Cooper.

Tupiąc nogami, by przywrócić krążenie krwi, Max pokuśtykał za nim.



Dziwny kompas Coopera zamiast jednej igły miał

dwie i wydawało się, że Cooper kieruje się wskazaniem tej złotej, która niezmiennie wskazywała im kierunek marszu. Kiedy Max włókł się krok w krok za agentem i usiłował przyjrzeć się urządzeniu, stwierdził, że zielona igła kręci się jak szalona wokół tarczy.

– Czemu tak wiruje? – spytał.

– Bo cały czas się przemieszczasz – wyjaśnił Cooper.

– Ta igła pokazuje najszybszą drogę do ciebie. Ten kompas zrobił David. Dzięki niemu znalazłem cię tam, w ciemnościach.

– Wiec ta druga igła...

– Tak. Najkrótsza droga do niego – odparł Cooper.

Sumienie Maksa przygniótł nieznośny ciężar. David był nieopodal. Max próbował przypomnieć sobie rozmowę z Astarothem, ale myśli nie dawały się formułować. Złota igła nagle przekręciła się w lewo i Cooper się zatrzymał.

Stali na wzgórzu porośniętym topolami. Poniżej znajdowało się niewielkie zagłębienie osłonięte od wiatru i właśnie w nim urządzono obozowisko z małym strzelającym iskrami ogniskiem. Kiedy zeszli ze wzgórza i zbliżyli się do obozu, Max rozpoznał postaci zgromadzone przy ogniu.

Była to grupka tak różnorodna i nieoczekiwana, że podejrzenia Maksa wróciły. Znowu pomyślał, że śni.

Dookoła ognia zobaczył bowiem: czarownika, ulu, lymrilla i dziwną niewielką istotę wspartą na poduszce.

Jego

spojrzenie

najdłużej

utrzymało

się

na

miedzianołuskim lymrillu, który wpatrywał się w chłopca z podobną intensywnością. Nick miauknął przenikliwie i ruszył ku swemu panu.

Max nie miał najmniejszych szans.

Lymrill odbił się sprężyste i swym ciężkim ciałem przyparł Maksa do ziemi. Potem nastąpiła seria warknięć, delikatnych ugryzień i miauknięć, której towarzyszył

przypominający dźwięk marakasów grzechot ogona oraz natarczywe ugniatanie niedźwiedzimi pazurami. Takie powitanie przyprawiłoby każdego niewtajemniczonego o zawał serca.

Kiedy Cooper odgonił Nicka, przywitała się z Maksem Maya. Maya była ulu – srebrzystym zwierzęciem podobnym do gazeli, ze złotymi oczami. Była podopieczną, lecz równocześnie pomocnicą Davida, a jej zaklęta krew pomagała mu w odczytywaniu najbardziej zawitych języków i szyfrów. Była stworzeniem delikatnym i spokojnym, więc kiedy tylko dotknęła Maksa nosem, znowu opuściła głowę, by skubać trawę. Jej pan natomiast zdobył się tylko na nikły uśmiech. Siedział przy ogniu owinięty w koce.

David wyglądał przerażająco. Był trupio blady, a do tego schudł tak bardzo, że przypominał szkielet. Max nie rozpoznałby go, gdyby nie oczy, które wciąż patrzyły z tym samym spokojem i inteligencją.

Przywitawszy się ze starymi przyjaciółmi, Max zerknął na tajemniczą rzecz wspartą na poduszkach.

Słowo „rzecz” nie wydawało się najlaskawszym określeniem dla tak nieszkodliwej istoty, lecz Max nie wiedział, jakiego słowa użyć. Można było sądzić, że to po prostu duża bulwa pochryznu, gdyby nie to, że owo coś obracało się wokoło, jakby z ciekawością przyglądając się spotkaniu i powitaniam. Max zauważył złotą kępkę włosów na czubku przypominającej pocisk głowy oraz usta umieszczone gdzieś w jej połowie. Usta te przemówiły właśnie aksamitnym basem, który wydawał

się z jednej strony kompletnie nie na miejscu, z drugiej był tak znajomy, że Max rozdziawił usta ze zdziwienia.

– No, w końcu się spotykamy! – wykrzyknęło rozpostarte na poduszce coś.

– Max – odezwał się David. – Pozwól, że przedstawię ci sir Olafa...

– Sir Olafa? – odpowiedział pytaniem Max. – Czy ja śnię? Sir Olaf to selkie, David. Mieszka w stawie w Sanktuarium i waży z dziesięć ton.

– To były szczęśliwe czasy... – mruknęła rzewnie bulwa.

– Nie – wyjaśnił David i gestem zaprosił Maksa, by usiadł. – Sir Olaf to nie selkie. To zmien.

– Hm.. Pewnie powinienem to wiedzieć, ale co to właściwie są zmienie? – zapytał Max, wpatrując się w wyraźnie obruszoną bulwę. – Nie pamiętam, abym kiedykolwiek coś na ich temat słyszał.

– Nie mogłeś – odparł David. – Bo nie są niebezpieczne same z siebie...

– Ale potrafią być nie do zniesienia – wtrącił Cooper, spoglądając na bulwę. – Pasożytnicze małe sobowtóry. Są tak dobre w tym, co robią, że nawet ci, których imitują, się nie łapią.

– Jak śmiesz mnie opisywać w tak niegrzeczny i nieadekwatny sposób! – nadał się sir Olaf, a jego

okrągłe ciało wykręciło się w stronę Maksa. – Nie zwracaj uwagi na to, co mówi ten z bliźniami. Zmienie to dumna rasa, z miłością pielęgnowana przez soczystą dobroć Natury do chwili, kiedy potężna Opatrzność uzna, że...

– Inaczej: rosną jak bulwy w ziemi, dopóki nie wypłucze ich wielka ulewa – przerwał Cooper.

– Nigdy nie zaznasz rozkoszy wyrafinowanego języka, mój panie – narzekła bulwa.

– Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby się dowiedzieć różnych rzeczy o gatunku zmieni – rzekł

David – lecz teraz są ważniejsze sprawy do załatwienia.

Po pierwsze, chciałbym rozwiać twoje obawy. Nikomu z gospodarstwa nic się nie stało...

Max słuchał uważnie opowieści Davida o tym, jak pewnej

nocy

gospodarstwo

odwiedził

chochlik

nazwiskiem Bonn, który błagał mieszkańców, by uciekali, bo czyha na nich niebezpieczeństwo. Jak tej samej nocy dorośli i dzieci uciekli do chaty Nixa i Valyi, na drugą stronę doliny. Ukryli się w piwnicy, a żywności dostarczał

im pewien młody goblin.

– Wciąż tam są? – zapytał z niepokojem Max.

– Nix i Valya tak – odparł David. – Ale Isabellę i dzieci musiałem przenieść. Są całkowicie bezpieczni.

– Gdzie są? – chciał wiedzieć Max.

– W Rowan – odparł David i uśmiechnął się, widząc zdumienie Maksa. – Przeszmygłowałem ich. Nawet pani Richter była skłonna nagiąć przepisy dla Miny.

– Mina to potencjał! – szepnął Max konspiracyjnie, jakby to słowo było zakazane.

David potrząsnął głową.

– Jest kimś znacznie ważniejszym... – powiedział i zmienił temat, zadając Cooperowi pytanie o sprawy w tej chwili istotniejsze.

– Sytuacja wzdłuż granicy jest zła – relacjonował

Cooper, pijąc małymi łykami z termosu. – Między Prusiasem a Aamonem wybuchł konflikt, który jeszcze nie nazywa się oficjalnie wojną, ale już nią jest. Co chwila zdarzają się ataki i napaści. Sir Alistair twierdzi, że wojna wkrótce zostanie wypowiedziana.

– Czy Matheus i Natalya nie mogą wszystkiego przyspieszyć? – zapytał David, mając na myśli dwóch członków Czerwonego Bractwa.

– Natalya zrobiła wszystko, co mogła, bez narażania się na szwank – odparł Cooper. – Matheus wpadł na coś obiecującego, lecz wciąż pyta mnie o płatki krwi. Co mam mu powiedzieć?

– Nic – uciął David. – Podobno jest najlepszym specem od trucizn, jakiego mamy, więc może użyć czegoś innego. Nie chcę, aby ktokolwiek nawet mówił o płatkach krwi, a tym bardziej używał ich podczas akcji...

Max zauważył, że wypowiadając te słowa, David wyciągnął rękę w kierunku zamkniętej skórzanej kasetki stojącej obok plecaka. Max widział ją już przedtem.

Skrywała trujące kwiaty, które David chciał wykorzystać przeciwko Astarothowi.

Maksowi stanęła przed oczami cała rozmowa z Demonem. Pragnął potrząsnąć Davidem, wrzasnąć, powiedzieć mu, że Astaroth zna każdy szczegół jego misternego planu, który z góry skazany jest na niepowodzenie.

Nie był w stanie pisnąć nawet słowa.

Siedział tylko i słuchał, niezdolny w żaden sposób skomentować tego, co się dzieje lub choćby napomknąć o swej wewnętrznej męczarni. Dotąd nie znał Davida od tej strony. Chłopiec nie zachowywał się jak zagłębiany w rozważaniach mistyk, lecz jak generał przed bitwą. Max nie mógł nic poradzić na to, że czuł się poirytowany, kiedy David z Cooperem rozmawiali o rozmaitych nowinach, plotkach i bieżących działaniach. Czuł się zepchnięty na margines.

I nie był w tym uczuciu odosobniony.

– Rozmawialiście już o wszystkim i o wszystkich prócz mnie – przerwał podenerwowany sir Olaf, kręcąc się niespokojnie. – Dość już słyszałem o handlu z Zenuvią i o ruchach oddziałów Aamona! Pora porozmawiać o mojej roli w tych niewątpliwie ważnych sprawach!

– Zanim dojdziemy do twojej, niewątpliwie kluczowej roli – wtrącił się Max – chciałbym usłyszeć, co wiecie na temat Connora.

– Nic mu nie jest – odparł David swobodnie. – Jest zajęty zakładaniem swojej baronii. Trzymam nad nim pieczę przez Folly i Hubrisa.

– Widziałem ich. – Max przypomniał sobie ptaszki Davida. – A przynajmniej jednego. Pojawił się raz, jak rozmawiałem z chochlikiem Prusiasa.

– Kiedy tylko mogły, sprawdzały, co tam u ciebie –

odparł David. – Oczywiście są luki w ich relacjach, ale zanim wrzucili cię do lochu, miałem dość wyraźny obraz sytuacji.

– Nie wiem nawet, jak długo tam byłem – rzekł Max.

– Cztery i pół miesiąca – odpowiedział Cooper. –

Według starego kalendarza mamy połowę kwietnia.

Minęły twoje urodziny, ale nie martw się, mamy coś dla ciebie.

Cooper podszedł do plecaka Davida i wyciągnął z niego zawiniątko. W środku Max znalazł brzytwę po tacie, broszkę od Scathach i parę kartek z rysunkami dzieci z gospodarstwa. To było coś niesamowitego. Nie wiedział, jak zareagować. Oglądał jedną rzecz po drugiej, wkładając każdą z osobna ostrożnie do pudełka. Następnie odłożył pudełko i zapatrzył się w błyskające płomienie.

– Wiem, że byłem daleko, Max – odezwał się David.

– Od czasów oblężenia próbowałeś mi pomóc, być moim przyjacielem. Miałem powody, aby do tego nie dopuszczać. Teraz jednak potrzebuję twojej pomocy, Max. Nadszedł czas, kiedy musisz wywiązać się z obietnicy.

Max przypomniał sobie przysięgę, którą złożył przed Cooperem, kiedy byli w Warsztacie. Składała się ona z trzech słów: „Chronić Davida Menlo”.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nie chciałbym, aby chronił mnie ktokolwiek inny? – zapytał David.

– Tak – odparł cicho Max.

– I miałem to na myśli – rzekł David, znowu stając się nieśmiałym, niepozornym chłopcem, którego Max poznał pierwszego dnia w Rowan. – Właśnie teraz musisz mnie chronić. Ponieważ zaplanowałem coś bardzo skrupulatnie i nadszedł czas, aby zrealizować plan. Będzie to

najtrudniejsza

i

najstraszniejsza

rzecz,

jakiej

kiedykolwiek dokonałem. Bez ciebie tego nie zrobię.

Słowa te rozdzierały serce – Max wiedział, że nie jest w stanie ochronić przyjaciela przed zastawioną na niego pułapką. Mógł tylko skinąć głową i zapytać, jak może pomóc.

David odetchnął z ulgą.

– Jest święto, które obchodzą demony. Noc Walpurgi, pod koniec tego miesiąca. Tej nocy najważniejsze demony spotykają się tu, w Blys. Wszystko mam już prawie gotowe, ale do wykonania planu będę potrzebował twojej pomocy. Żeby mnie chronić, ty z kolei będziesz potrzebował specjalnej broni. Czegoś, co mogłoby wyrządzić krzywdę nawet potężnym duchom.

– Prusias mówił, że skrzywdzić go może tylko relikw

– ponuro odparł Max.

– I mówił prawdę – rzekł David. – Mamy nawet taką broń, ale jest połamana. Ja jej nie naprawię, dvergary też nie...

David sięgnął do plecaka i wyjął starannie zawinięty węzełek zawierający drzazgi pozostałe z Gae Bolga.

– Musisz znaleźć Fomorianina – rzekł trzeźwo Max.

– To prawda – zgodził się David. – A to będzie trudne, nawet mając Ormenheid i moje umiejętności.

Fomorianin to czysta Stara Magia, lecz mamy pośród nas jedyną osobę, która go kiedykolwiek odnalazła.

Max zerknął na Coopera, który słuchał ponuro, wpatrując się w ogień.

– Nie masz nic przeciwko? – zapytał Max.

Cooper milczał.

– Jeśli ten brutal nie ma zamiaru odpowiadać, ja to zrobię – zaciętrzewił się sir Olaf. – Uwięzić mnie w moim naturalnym stanie to jedno, a wlec mnie gdzieś całkiem wbrew mej woli – to drugie. Nie życzę sobie szukać złego Fomorianina i błagać go o cokolwiek. Zostanę tu do chwili, kiedy wrócicie.

– Możemy wcale nie wrócić – odparł David. – A po drodze nie obejdziemy się bez twojej pomocy.

– A jeśli odmówię? – zapytał sir Olaf.

– To wrócisz prosto do Friggi i Helgi – lodowatym tonem zagroził David. – Powitają cię z otwartymi ramionami.

Zmienić zdawał się zastanawiać. Chwilę później wyprostował się.

– Wiesz dobrze, że nazwą mnie mięczakiem.

– Owszem.

Tyber bulgotał za nimi w ciemnościach. Rzeka wezbrała od zimowych roztopów i wiosennych powodzi.

Kiedy schodzili ze stromego brzegu, Cooper wcisnął do ręki Maksa małą Ormenheid.

– Jak tam żagiel? – zapytał.

– Bardzo dobrze – odparł Max. – Ale i tak miałem ciężki rejs.

– Więc niech ten będzie lżejszy – odezwał się David, odchodząc na bok, by zrobić Maksowi więcej miejsca, kiedy będzie stawiał statek miniaturkę na falach.

Położony na wodzie stateczek kołysał się na fali. A kiedy Max wypowiedział słowa *Skina, Ormenheid*, zdarzyło się to samo co na wybrzeżu Rowan. Zabawka powiększyła się, rozwinęła niczym złoty smok morski, przekształcając w pełnowymiarową łódź wikingów.

Miejsca na pokładzie było wystarczająco dużo, by pomieścić całą grupę spiskowców.

– Cudowna rzecz – zauważył David.

Wkrótce wszyscy byli już na pokładzie, usadowieni za masztem i podnoszącym się żaglem. Wiosła zanurzyły się w wodę. Łódź unosiła się na fali, oczekując na dalsze rozkazy.

– *Leita*, wyspa Man – rzekł Max.

– Spróbuj lepiej powiedzieć *Elían Vanmm* –

zapropował David. – Tak ją kiedyś nazywano.

Kiedy tylko Max zastąpił współczesną nazwę wyspy jej dawnym odpowiednikiem, potężne wiosła Ormenheid odepchnęły wodę i łódź ruszyła gładko w stronę delty rzeki.

Ormenheid zawsze była chyża, ale odkąd na pokładzie znajdował się David, wydawało się, że jej zaklęta moc jeszcze wzrosła. Łódź sunęła teraz po wodzie niczym po wstążce niesłychanie silnych prądów, jakby pchana tylko sprzyjającymi wiatrami. A kiedy na dziobie siedział drobny czarownik, Ormenheid spowijała się delikatną mgiełką, by przybrać pozór wiejącego nad wodą mistralu.

Do wschodu słońca minęli już dawne wyspy Korsykę i Sycylię. Żeglowali na południe od dawnej Francji i Hiszpanii. David, siedząc po turecku na dziobie, garbił się nad lampą i kikutem ręki wskazywał cienką, szarą linię –

odległe wybrzeże.

– Tu niedaleko leżą ziemie Connora – rzekł sennie. –

Co prawda Connor nie tryska jeszcze tyloma pomysłami ekonomicznymi, iloma by chciał, ale poczekajcie, dajmy mu trochę czasu...

Zaśmiał się, lecz Max nie podchwycił żartu, tylko ze strapioną miną wpatrywał się w szarość.

– Co cię gnębi? – zapytał David.

– Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy... Nie wiedziałem, że demony naprawdę jedzą dusze, David.

Pomyśleć, co dzięki tobie Connor oddał Prusiasowi...

– Nie przejmuj się tym za bardzo – odparł David. –

Jeden z członków Czerwonego Bractwa już się tym zajmuje. Peter Varga.

– Varga? – prychnął Max, marszcząc nos. – On nie jest w Czerwonym Bractwie.

– Już jest – odpowiedział David. – Cooper go rekrutował na miejsce Wiljaka.

Max odwrócił się i rzucił złowrogie spojrzenie śpiącemu agentowi, który pod ciężkim wełnianym kocem robił wrażenie katatonika. Jak to możliwe, że Ronin został

przyjęty do Czerwonego Bractwa? Pomijając osobiste uprzedzenia Maksa, ten człowiek był przecież ciężko okaleczony i z trudnością się poruszał.

– Nie ufałbym mu w tym względzie – zadrwił Max.

Trupio blada twarz Davida odwróciła się w jego stronę.

– A ja tak – rzekł. – To jego dusza.

– To w takim razie... David, co się z tobą dzieje?

– Masz na myśli to, dlaczego tak wyglądam? –

mruknął David. – Jak narkoman?

– Nie wyglądasz jak narkoman – szybko odpowiedział Max – ale nie wydajesz się... sobą.

Myślałem, że to dlatego, że oddałeś Prusiasowi własną duszę.

David zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Prusias bez trudu rozpoznałby taką zamianę –

wyjaśnił. – A zaprzecanie duszy nie oznacza, że marniejesz w oczach. Wielu idiotów zaprzedało duszę dla piękna, robią to bez przerwy, więc byliby mocno rozczarowani, gdyby skutek był taki. Nie.



Prawda jest prosta – przekraczam granice swoich możliwości, a to kosztuje. Obaj wiemy, że żyję pożyczonym życiem...

Drobny blondynek uśmiechnął się nikło i postukał po długiej, bladej szramie w okolicach serca. Zanim Max zdążył zadać mu następne pytanie, odezwał się znowu.

– Późno jest, a ja mam jeszcze tyle do przemyślenia –

rzekł. – Prześpij się trochę.

Dopiero wtedy Max uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Powiedział przyjacielowi dobranoc i ledwo żywy podpełzł do rozciągniętego przy burcie Nicka.

Zrzucił buty, spojrzął w gwiazdy i poddał się kołysaniu morza.

Następnego dnia przed wschodem słońca zbliżali się już do cieśniny. Max odgadł to, ponieważ po obu stronach ciemniały klify linii brzegowej, tworzące wąski przepływ.

W pobliżu tej naturalnej morskiej bramy panował znaczny ruch jednostek pływających – masywnych galeonów, czarnych trójmaszowców i eleganckich kliperów ślizgających się, jak się zdawało, bez wysiłku po wodzie.

Ormenheid płynęła dotąd w niezwykle szybkim tempie, lecz teraz zwolniła do prędkości typowej dla tego rodzaju łodzi. Mimo że z łódek rybackich ciekawie spoglądały na nią wieloki i nędznie wyglądający ludzie, David nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Stał na dziobie, osłaniając oczy dłonią przed oślepiającym słońcem, i wydawał się niezwykle skupiony. Następnie podszedł do plecaka, otworzył go i szepnął coś do jego wnętrza.

Otwór plecaka zakipiał – zaczęły się z niego wydobywać wszelkiego rodzaju kufry, paki, skrzynie i płócienne wory. Ładunki same poustawiały się wzdłuż obu burt i przywiązały do nich linami, zupełnie jakby zrobili to niewidzialni marynarze. Po paru minutach Ormenheid wyglądała jak statek handlowy wyładowany towarami z egzotycznych krajów.

Zmień zapiał z zachwytu.

– Ach! Oszukujemy Wroga, nieprawdaż? Cudownie, absolutnie cudownie! Ale czy demony nie będą się dopytywać, kto dowodzi tym statkiem?

– Z całą pewnością będą – odparł David. – I dlatego musimy się ukryć.

– Ktoś przecież musi pozostać widzialny... –

zauważył zmień. Jego teatralny głos stopniowo przycichał, aż w końcu całe jego bulwiaste ciało zapadło się w sobie z rezygnacją. – I tym kimś mam być ja, prawda?

– Absolutna – potwierdził David. – Wcielisz się w demona imieniem Coros.

Max słuchał uważnie, kiedy David opisywał

zmieniowi życie wybitnego kupca z Blys. Posunął się nawet do tego, że wyczarował na chwilę obraz demona.

– Dziecinna igraszka – skomentował zmień, nieledwie znudzony. – Czuję się jednak nieco dotknięty, Davidzie. Dlaczego wcześniej nie podzieliłeś się ze mną tym planem?

– Ponieważ nigdy nie widziałeś Mad'raasta...

David pociągnął go do zaklętej skrzyni podróźnej. Jej otwarte wieko odsłaniało drabinę prowadzącą w dół do obszernej kabiny. Max wraz z innymi czekał już na dole, podczas gdy David uzgadniał ze zmieniem ostatnie szczegóły.

– Przeobrażaj się już, Olafie.

– Sir Olafie! – poprawił go natychmiast zmień, przerywając swoje ćwiczenia głosu.

David westchnął, zszedł po drabinie i opuścił za sobą klapę. Kiedy się zamknęła, stała się przezroczysta, jakby zrobiona ze szkła.

– Nie martw się – rzekł David, widząc zaniepokojenie Maksa. – To zaczarowana skrzynia szmuglerska projektu dzinnów. My widzimy, co się dzieje na zewnątrz, lecz nikt nie może zajrzeć do środka. Bardzo, bardzo przydatna.

Będziemy wiedzieć, jeśli coś pójdzie nie tak.

Max z Nickiem w objęciach rozglądał się uważnie.

Widział niebo, kawałek burty Ormenheid, beczkę, a teraz również niezmiernie gruby zadek, ponieważ Coros przechadzał się dumnie po pokładzie w swych olbrzymich jedwabnych pantalonach.

– David – rzekł Max – słyszałem o Corosie. Jest naprawdę dobrze znany. Czy przypadkiem sir Olaf nie powinien wcielić się w kogoś o mniejszej sławie?

– Nie – odparł David, spoglądając w górę. – Fakt, że Coros jest naprawdę dobrze znany i płaci kosmiczne łapówki za umożliwienie mu szmugłu, czyni z niego idealnego kandydata. Jest również tchórzem, co z kolei pomoże wyjaśnić strach sir Olafa na widok Mad'raasta.

David nie zdążył skończyć zdania, kiedy na Ormenheid padł cień, jakby słońce nagle zniknęło. Nick najeżył się, wyśliznął z objęć Maksa i ukrył pod ławką.

Max przechylił się, by lepiej widzieć, wykręcił szyję i spojrzał na Mad'raasta.

Na początku myślał, że patrzy po prostu na skałę Gibraltaru.

Skała jednak się poruszyła.

Mad'raast siedział przykucnięty na jej szczycie. Był

olbrzymim jak góra, ciemnogramatowym gargulcem. Jego skrzydła, podobne do skrzydeł nietoperza, miały dziesiątki metrów kwadratowych powierzchni. Rozpościerały się i drżały jak skóra konia ukąszonego przez muchę, kiedy demon wpatrywał się okrągłymi oczami w każdy przepływający przez cieśninę statek.

Kiedy podpłynęli bliżej, Max stwierdził, że mający nad nimi olbrzymi kształt. To Mad'raast rozpostarł nagle skrzydła, przesłonił cynobrowe niebo i wyciągnął potężne ramię, by chwycić za dziób Ormenheid.

– Bez paniki – ostrzegł David, kiedy łódź została zatrzymana szarpnięciem.

Z powodu bardzo ograniczonej widoczności Max widział teraz tylko korpulentną drżącą postać zmienia i pochyloną nad nią okrutną twarz Mad'raasta. Scena przypominała sytuację, w której kot upolował mysz i trzyma ją za ogon.

Mad'raast ochryple przemawiał do sir Olafa w języku demonów. Rozglądał się też po pokładzie, by oszacować liczbę ładunków. Max był pełen podziwu dla mężnego sir Olafa, który odpowiadał wprost, a nawet próbował

opowiedzieć dowcip o tańcu marynarskim. Kiedy skończył, skłonił nisko głowę w kornym geście i wskazał

na dużą, wzmocnioną skrzynię.

Łapówka najwyraźniej została przyjęta.

Demon z pełną złości zachłannością chwycił ją swą ogromną dłonią i ostrzegawczo pogroził Corosowi palcem, po czym puścił dziób Ormenheid. Skrzydło wielkości skrzydła samolotu przesunęło się tuż obok zaczarowanej skrzyni szmuglerskiej. Demon wdrapał się z powrotem na swój punkt obserwacyjny.

– Coś takiego pracuje dla Prusiasa? – wyszeptał

przeżony Max.

David skinął tylko głową i gestem nakazał milczenie.

Ormenheid pokonała cieśninę i wypłynęła na szerokie wody oceanu. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku Mad'raasta, sir Olaf otworzył wieko kryjówki. Max widział, że zmień jest mocno wstrząśnięty.

– Mogłeś mnie uprzedzić – rzekł, z trudem chwytając powietrze i łapiąc się za pierś. – Dobry Boże, co to był za potwór!

– Byłeś doskonały – pochwalił go David. – Za dwa dni będziemy na wyspie Man. Bez ciebie by się

nie udało.

Jesteś zmieniem nad zmianami.

– Umiesz odtworzyć nawet czyjaś aurę? – zapytał

Max.

– Oczywiście – odparł sir Olaf. – Musisz zrozumieć, mój panie, że dzięki tak wyjątkowemu talentowi zmien jest niekwestionowanym mistrzem naśladowania.

– W takim razie, jeśli tak doskonale naśladujesz, w jaki sposób nakryły cię selkie? – dociekał Max.

– Nie nakryły. – Sir Olaf pociągnął nosem. – Dopiero panna Teller zaczęła węszyć i opublikowała na mój temat informację w „Papli”. Byłem skończony! Ki-rin osobiście zaprowadziła mnie do tunelu w żywopłocie i kazała mi przyjąć prawdziwą postać. I to przed wszystkimi. W życiu nie spotkał mnie gorszy wstyd.

– To już twój problem – odparł Max zdecydowanym tonem.

Na twarzy zmienia malował się wyraz urażonej niewinności. Kępka jego włosów stanęła dęba.

– Powiedz, proszę, co dokładnie uważasz za mój

„problem”? – zapytał.

Max wzruszył ramionami.

– Myślę, że wstydzisz się tego, kim jesteś i czym jesteś. Dlatego albo zawsze się przechwalasz, albo próbujesz stać się kimś innym. Próbowalesz kiedyś być po prostu sir Olafem – zmieniem?

Cisza. Zmien jeszcze bardziej zapadł się w siebie.

– No dobrze, a po co miałbym to robić? – odezwał się w końcu przygnębiony. – To znaczy, spójrz tylko na mnie... wyglądam... jak bulwa.

Wszyscy zaprzeczyli, być może troszkę zbyt gorliwie.

– Jesteś dla siebie za surowy – rzekł Max, pokaszując.

– Bulwy mają tyle szczęścia – dodał David.

– Nie mam nawet rąk – zauważył ze smutnym zdziwieniem sir Olaf. – A przecież byle rozgwiżdza je ma.

– No dobrze, a twoja złota grzywka? – wykrzyknął

Max. – To na pewno duma i chwała całego królestwa zmieni!

– A, to. Nie... Jest nieprawdziwa.

– Proszę, powiedz, że żartujesz – rzekł Max, wykrzywiając twarz. – Mówisz serio?

– Spróbuj ją mocno złapać, mój chłopcze.

Max odmówił, lecz Zmien nalegał. Chwilę później Max trzymał w palcach kosmyk żółtych włosów.

– Włożę je na miejsce – powiedział w obawie, by silny wiatr nie wyrwał mu ich z dłoni.

– Nie – zarządził rezolutnie sir Olaf. – Zanieś mnie na rufę, dobry człowieku.

Max spełnił polecenie. Wziął bulwę w lewą rękę, podczas gdy w prawej ścisnął włosy. Ormenheid pruć fale na pełnym morzu. Byli już na wysokości Zatoki Biskajskiej. Na rufie Zmien w cichym zamyśleniu wpatrywał się w kilwater mieniący się srebrem w świetle księżyca. Wkrótce przyłączyli się do nich David z Cooperem.

Sir Olaf chrząknął.

– Dobrzy z was kumple – stwierdził. – Nawet nieokrzesany Cooper, na swój sposób. I na Jowisza, ja też jestem dobrym kumplem! Najwyższy czas, żebym zaczął

się tak zachowywać. Mówię więc: żadnych więcej kłamstw, żadnego próżnowania, gdy inni pracują. Od dziś jestem dumny z tego, że jestem Zmieniem!

Wyczuwając, że to odpowiednia chwila, Max wypuścił z dłoni złoty czubek, który z efektownym trzepotaniem unosił się przez chwilę na wietrze, zrobił

pętlę w powietrzu, po czym wpadł do oceanu.

– Sir Olafie – odezwał się Max – jesteśmy z ciebie dumni.

Zmien westchnął.

– Mówcie mi Toby.



# SYN ELATHANA

Bez złotego czubka i pretensjonalnej aury Toby okazał się znacznie lepszym kompanem niż sir Olaf.

Siedział na dziobie, zachwycając się wiatrem i morską bryzą, a Nick tkwił obok niego i odstraszał wygłodniałe ptactwo morskie. Wiatr cały czas nadymał żagiel Ormenheid, a wiosła ani na chwilę nie przerywały pracy.

Nie byłyby jej w stanie dogonić pirackie trójmasztowce i klipery żeglujące po kanale oddzielającym niegdysiejszą Wielką Brytanię od Irlandii.

– Teraz ten obszar jest częścią Wielkiego Księstwa Malakos – rzekł Cooper. – Był tu na zwiadzie Ben Polk.

To duży ośrodek handlowy. Import, eksport i przemysł.

Nie uwierzycie, co mi stąd przysłał.

– Niech zgadnę – rzucił David. – Mydła Shrope'ow?

– Cały kosz – potwierdził Cooper. – Mydła do rąk.

Do twarzy. Balsamy. Szampony. Wszystko w papierach i kokardach, opieczętowane wizerunkiem naszej Bellagrog.

Podarowałem je Hazel...

– Wiedzmy założyły firmę? – spytał Max.

– I to kwitnącą – wyjaśnił David. – Widziałem to wszystko z obserwatorium. W Szopie Shrope'ow zawsze pali się światło. Nie sądzę, aby Bellagrog w ogóle kiedykolwiek sypiała.

– Tak samo jak Fomorianin – rzekł Cooper, skupiając ich uwagę z powrotem na mapie.

– Udało ci się w ogóle odkryć, gdzie on mieszka? –

zapytał David.

– Nie – powiedział Cooper. – A jeśli tobie nie udało się wyszpiegować go z obserwatorium, nie sądzę, abyśmy go odnaleźli.

– Więc co zrobimy? – zapytał Max.

– Pozwolimy, by to on nas odnalazł – rzekł spokojnie Cooper. – Zrobi to. W dodatku szybko.

Twarz agenta pozostawała obojętna jak maska. Max wiedział, że to wynik zarówno odniesionych w przeszłości ran, jak i temperamentu. Szczeka Coopera była wykrzywiona, a jego twarz została tak

dotkliwie poraniona, że wyglądała, jakby jej połowa się po prostu roztopiła. Skóra została tak mocno naciągnięta na blizny że tworzyła maskę.

– Fomorianin nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałem, ani przedtem, ani potem –

mówił Cooper cicho. – Jest stary jak wzgórza i nie chce się z nami zadawać. Jeśli nagle zapadnie cisza, jeśli poczujecie się tak, jakby ktoś chodził po waszym grobie, to znaczy, że gigant jest blisko.

Agent przełknął ślinę i patrzył na załogę.

– Jeśli tak się zdarzy, zachowajcie spokój – poradził.

– Nie krzyczcie, nie pokazujcie go rękami, nie uciekajcie.

Nie niepokójcie go. Ja popełniłem właśnie ten błąd.

Weźcie po prostu głęboki oddech i pozwólcie, by nas wyczuł. Odzywajcie się tylko wtedy, gdy odezwie się do was pierwszy.

– A jeśli się nie odezwie? – zapytał David.

– To się stamtąd zmywamy – odparł agent. – Tylko powoli. Bieganie nic nie zmieni. Nie oglądajcie się za siebie, by na niego spojrzeć. Po prostu idźcie. Nie zmusimy go do niczego, jeśli on sam nie zechce tego zrobić.

– A co z Nickiem? – zapytał Max. – On może zrobić coś nie tak.

Cooper pokręcił głową.

– Wierz mi – rzekł – Nick ma instynkt znacznie lepszy niż my.

Fakt, że agent wyrażał się o potworze z takim respektem, zrobił na Maksie ogromne wrażenie. Niejeden raz był świadkiem, jak Cooper radził sobie w niewyobrażalnie trudnych sytuacjach i pokonywał

wrogów, ani trochę nie zważając na własne bezpieczeństwo. Teraz jednak jego strach był namacalny, a czekające ich zadanie urosło do czegoś znacznie większego niż przystanek w drodze na Noc Walpurgi.

Max żył dotąd w śmiertelnym strachu o to, co czeka Davida z rąk Astarotha. Teraz zastanawiał się, czy demon będzie w ogóle miał okazję naciągnąć sprężynę swej pułapki.

Kiedy Ormenheid przybiła wreszcie do szarej plaży wyspy, Toby koniecznie chciał wyruszyć wraz ze wszystkimi. Agent jednak usiadł przy nim i wyjaśnił, że łódź musi zostać przy brzegu. Zapytał, czy zmienić wyświadczyłby im tę ogromną przysługę i przypilnował i jej, i Mai, gdyż dla jej delikatnych kopyt grunt był tu zbyt skalisty. Maya wołała zostać i poczekać, ale bez towarzystwa czułaby się bardzo nieswojo. Toby zgodził



się, owszem, ale z niepokojem przyglądał się krążącym nad nimi mewom.

– Chętnie pomogę – rzekł. – Z przyjemnością. Ale czy mógłbym zmienić postać?

– Oczywiście – zgodził się David. – Tylko zmień się w coś rozsądnego. Żadnych różowych jednorożców.

Zostawiwszy w łodzi Mayę i Toby'ego, załoga ruszyła w górę urwiska. Cooper pomagał Davidowi na bardziej stromych odcinkach, a Max nie spuszczał z oczu Nicka, który sadził susami tu i tam, wężąc pośród roślinności. Nie rosło tu zbyt wiele drzew – głównym elementem krajobrazu były skały i porosty, wysokie trawy i kolcolisty porastające wzgórze.

Sceneria była piękna i liryczna. Brązy, szarości i zieleń, od czasu do czasu urozmaicone bielą lepnicy nadmorskiej czy jaskrawożółtą koniczyną. Powietrze było chłodne i wilgotne od mgły napływającej strzępami od morza i poruszającej się ponad wzgórzami niczym powietrzne rzeki. Postrzępioną skalistą linię brzegową widać było z dużej odległości. Nigdzie jednak nie dojrzeli budynków ani jakichkolwiek siedzib.

– Myślisz, że mieszkają tu demony? – spytał Max.

– Wątpię – odparł Cooper. – Jeśli wciąż żyje tu Fomorianin, to pewnie większość demonów unika tego miejsca. Pełno mają lepszych terenów, gdzie nic im nie zagraża.

Zgodnie z przewidywaniami Coopera żadnych demonów nie spotkali. Były oczywiście ptaki i króliki, i nawet od czasu do czasu z jakiejś polanki w głębi lądu wyjrzała zwierzyna płowa, lecz na ślad olbrzyma nie natrafili. Do zachodu słońca przeszli wiele kilometrów po wzgórzach i wrzosach. Kiedy zapadł zmierzch, postanowili rozbić obóz.

– Pewien jesteś, że to najlepszy sposób, by go znaleźć? – zapytał Max, ciągnąc za sobą naręcze suchego drewna. Wrzucił je do ognia, wysyłając w górę snop iskier i kłęb wonnego dymu. Uderzył parę razy dłonią o dłoń, by strzepnąć z nich okruchy, usiadł na śpiworze i rozejrzał

się za Nickiem. Oczy lymrilla świeciły z gałęzi odległego drzewa, na którym przycupnął, lustrując teren, niczym jaguar.

Max,

zdeenerwowany

bezwocnymi

poszukiwaniami, rwał trawę rosnącą wokół niego i wrzucał ją do ognia.

– Tak jak mówiłem – odezwał się Cooper – sam nas znajdzie. A teraz prześpijcie się trochę.

– Czy ktoś nie powinien czuwać na wypadek, gdyby się pojawił? – zapytał Max.

– Ja o to zadbam – mruknął Cooper sennym głosem.

Zirytowany Max siedział kilkanaście minut w ciszy.

Cooper zasnął mocno, a David tkwił z nosem w niewielkiej książeczce o gęsto zapisanych kartkach. Max potrząsnął głową i włożył buty.

– Idę się przejść – mruknął.

Odwrócił się od ogniska i ruszył w głąb łądu, plecami do wiatru, w kierunku drzewa, na którym czaił się Nick.

Przynajmniej on produktywnie spędzał czas – czyścił

sobie pazury i poszturchiwał nosem pozostałości paru myszy i królików. Księżyc świecił mu w oczy, kiedy wpatrywał się w Maksa i miauczał na znak przyjaznego powitania. Wreszcie przyłączył się do swego opiekuna i poczłapał obok niego. We dwóch zeszli ze wzgórza do parowu, który wił się w stronę skraju lasu.

– No, więc – zagadnął Max – opowiadaj, jak tam życie małżeńskie.

Księżyc był coraz wyżej na niebie. Max szedł

wąwozem, po czym wspiał się na chłostany wiatrem szczyt, z którego rozciągał się doskonały widok zarówno na wybrzeże, jak i na środkową część wyspy. Daleko widział ich ognisko – maleńki jasny płomień na tle ciemności. Noc była cicha, a miejsce sprzyjało rozmyśleniom. Nawet Nick zachowywał się spokojnie –

nie odprawiał swego rytuału pisków i parsknięć, tylko zwinął się u stóp opiekuna w kulkę.

Kiedy Max zerknął na jeżące się łuski swego podopiecznego, przyszło mu do głowy, że Nick zachowuje się znacznie spokojniej niż zazwyczaj.

Zaczął nasłuchiwać.

Wiatr ucichł. Nocnej ciszy nie przerywał ani jeden ptasi odgłos. Uczucie było niesamowite – Max mógł je porównać tylko do okropnego bezruchu, który towarzyszył chwilom poprzedzającym oblężenie Rowan.

Powoli się odwrócił. Jego buty wydały absurdalnie głośny dźwięk, pocierając o skałę. Serce waliło mu jak młotem.

Gigant musiał być blisko.

Minęła prawie godzina – godzina wypełniona bezbrzeżną ciszą i paralizującym napięciem. Fomorianin jednak się nie ujawnił. Max doszedł do wniosku, że najlepiej będzie odejść. Wziął ciężkiego lymrilla na ręce i zszedł ze szczytu. Ani razu nie obejrzał się za siebie na teren, który

opuszczał, lecz przez całą drogę czuł za sobą czyjąś obecność.

Kiedy dotarł do obozu, David wciąż nie spał.

Czarownik Rowan siedział po turecku nad czymś, co przypominało stertę bardzo starych papierzysek.

– Jak tam wycieczka? – zapytał.

Choć każdy jego nerw domagał się, by Max się odwrócił, chłopak nakazał sobie patrzeć wprost przed siebie. Głosem nienaturalnie spokojnym spytał:

– David, czy coś za mną jest?

Ramiona

David

zesztywniały.

Chłopiec

z

premedytacją unikał wzroku Maksa.

– Nie ma nic za tobą, prócz lasów, gwiazd i domu przyjaciela – odpowiedział. – Usiądź przy ogniu i odłóż na bok obawy.

Odpowiedź sama w sobie była dziwna, a jeszcze do tego tak szczególnie akcentowana, że Max domyślił się w niej jakiegoś zaklęcia. David, wymawiając te słowa, ani na ułamek sekundy nie podniósł wzroku, tylko powolnym gestem wskazał Maksowi śpiwór i polecił mu usiąść. Max zastosował się do polecenia. Powoli położył się na posłaniu i ułożył obok siebie lymrilla. Oczy zwierzęcia wyglądały zza ogona, lecz poza tym Nick zachował

absolutny spokój i bezruch.

David nie odrywał wzroku od ognia.

– Opowiadałem ci kiedyś o Vainamoinenie i jego magicznej pieśni? – spytał głosem miękkim i uspokajającym.

– Nie.

– To dobra opowieść – rzekł David. – I warto zapamiętać jej morał. Vainamoinen był bohaterem i czarodziejem, mądrym i skromnym. Czyny jego były tak wielkie, że mówili o nich ludzie na dalekiej północy i radowali się z nich. Jedynym wyjątkiem był dumny młody czarodziej, zazdrosny o Vainamoinena, bo męczyły go te wszystkie pieśni pochwalne na cześć rywala. Więc pewnego dnia

wyruszył, zdecydowany rzucić słynnemu czarodziejowi wyzwanie. Kiedy znalazł Vainamoinena, zaczepił go. Mimo jego nieuprzejmości, wręcz grubiaństwa, starszy czarodziej zgodził się wysłuchać jego słów, by młody mógł udowodnić swą mądrość. Ten zaś przemówił w te słowa:

*Każdy dach musi mieć komin,*

*Każdy komin – palenisko.*

*Foki wiodą żywot wolny i radosny,*

*Łosoś je okonie i morszczuki.*

*Lapończycy wciąż orzą reniferami.*

*W twoim kraju orze się końmi.*

*Oto moja wielka mądrość!*

– Vainamoinen uśmiechnął się tylko i poprosił

konkurenta, by powiedział coś o sprawach głębszych. Ten rzeczywiście spróbował. Chciał mówić o magii i pianie morskiej, lecz tu mądrość go opuściła. Mądry Vainamoinen byłby to przyjął pobłażliwie, gdyby młodzian nie zaczął się przechwalać:

*Ja, nikt inny, zaorałem ocean;*

*Wyrównałem jego głębię;*

*Kiedy utworzyłem groty łososi,*

*A także wszystkie jeziora,*

*I wzniosłem wokół nich góry,*

*Oraz wypiętrzyłem skały,*

*Byłem wśród nich bohaterem.*

*Gdy stworzono niebiosą,*

*I krystaliczne filary nieba,*

*Gdy wygiął się łuk przepięknej tęczy, Gdy umieszczono na nim słońce,*

*I usiano niebo gwiazdami.*

– Wtedy stary czarodziej rozgniewał się i orzekł, że młodzian to książę oszustów. Wystrzegaj się gniewu cierplivej duszy. Kiedy Vainamoinen podzielił się swą mądrością i wyśpiewał swe pieśni,

strzały młodego poleciały wysoko jak sokoły, jego koń zamienił się w kamień, a samego bałwochwalcę pochłonęła ziemia, tak że tylko głowa mu wystawała, by błagać o wybaczenie...

David mówił coraz ciszej. Odłożył na bok papiery.

Max siedział w milczeniu i bezruchu, nie spuszczać wzroku z ognia. Mijały godziny. Ogień zmienił się w żar, żar ostygł i zmienił się w popiół, a czająca się obecność znikła.

Max nie odezwał się ani nie poruszył, dopóki Nick nie rozwinął się z najeżonej ostrymi łuskami kulki. Max wstał, rozprostował kości i zatarł ręce, by się trochę rozgrzać, gdyż panował dotkliwy poranny chłód. Teraz, kiedy wygasł ogień, w obozowisku zrobiło się zimno i wilgotno. Cooper jeszcze spał. Na jego bladej twarzy gościł dziwny, niezmacony spokój. Pierwsze promienie słońca przeświectliły poranną mgłę. Max myślał z początku, że David wpadł w jakiś trans, lecz chłopiec w końcu otrząsnął się z zamyślenia i wrócił do przeglądania notatek.

– Widziałeś to? – syknął Max. – Był tu całą noc?

– Był – odparł David. – Widziałem go kątem oka, ale nie spoglądałem na niego. Myślę, że to była słuszna decyzja.

–

Dlaczego

opowiedziałeś

tę

historię

o

Vainamoinenie?

– Chciałem, żeby wiedział, kim jestem – ostrożnie odparł David.

– A kim jesteś? – zaśmiał się Max, który żartował, ale tylko połowicznie.

– Czarownikiem, który szanuje starszyznę.

Cooper poruszył się we śnie. Nagle przebudził się, usiadł prosto i chwycił manierkę z wodą. Spryskał sobie twarz i bystro spojrzął na chłopców.

– Od jak dawna nie śpicie? – zapytał.

– Całą noc – odrzekł Max.

Cooper zmarszczył czoło i zerknął na Davida.

– Był tu, prawda? – spytał. – Przy obozowisku.

– Tak – odparł David. – Stał na wrzosowisku, za tą skałą, przez całą noc. Nie patrzyłem na niego bezpośrednio, ale wiem, że tam właśnie stał. Poszedł

dopiero przed chwilą.

– Przyśnił mi się – mruknął Cooper. – Mówił do mnie.

– Co powiedział? – zapytał łagodnie David.

Cooper najwyraźniej z czymś walczył, bo odpowiedzieć był w stanie dopiero po dłuższej chwili.

– Fomorianin powiedział, że powinniśmy stąd odejść.

I przeprosił mnie. Za to, że kiedyś mnie skrzywdził.

Kiedy Cooper mówił, jego głos zdradzał mieszaninę emocji: szoku, smutku, a nawet złości. Znać je było w każdym słowie, każdym wyrażeniu. Agent chciał im zaprzeczyć, próbując się uśmiechnąć, ale uśmiech natychmiast zgasł w jego oczach i Cooper opuścił obóz.

Max z Davidem patrzyli za nim, jak długimi krokami pokonuje górski grzbiet, w czapce naciągniętej głęboko na uszy dla ochrony przed wichrem.

Max przyciągnął więcej drewna na opał. Po chwili ogień już płonął, a nad nim gotowała się woda w czajniku.

David, zamiast z powrotem wsadzić nos w papiery, zajął

się mieleniem kawy. Młynek trzymał w zgięciu łokcia prawej ręki, a drugą zaciekle kręcił korbką. Parę minut później popijał już z termosu gorącą kawę.

– Ja mogę raz na jakiś czas opuścić cywilizację, lecz ona mnie nigdy nie opuści.

Cooper wrócił dobrze przed południem tą samą drogą, którą odszedł. Usta miał sine od jagód. Kiwnął

głową na przywitanie, pochylił się, by poklepać Nicka po boku, po czym zapatrzył się w niebo, w anonimową grupę chmur wiszącą daleko nad oceanem.

– Wszystko w... porządku? – spytał ostrożnie Max.

– Sam nie wiem – wzruszył ramionami Cooper. –

Nigdy nie sądziłem, że znów usłyszę ten głos, tym bardziej mówiący to, co mówił. Zbił mnie z tropu,

powiedziałbym.

– Więc jak myślisz, co powinniśmy zrobić? – zapytał

David. – Zostać czy odejść?

– Naprawiliście włącznię, kiedy mnie nie było? –

zapytał Cooper.

– Nie – rzekł David.

– W takim razie chyba zostajemy – odparł agent i przewiesił sobie śpiwór przez ramię. – Przenosimy obóz.

Będzie padać.

Deszcz lunął po godzinie. Rozpętała się szalona burza. Potoki lodowatej wody zalewały ubranie, ciało i ducha. Nick wykopał sobie po prostu przytulną jamę w ziemi, natomiast troje ludzi siedziało bardzo blisko siebie i próbowało ogrzać się nawzajem. Wiatr ryczał, szarpiąc masztami namiotu.

– Nie możesz nic z tym zrobić? – spytał Max, patrząc ponuro na Davida.

– To nie jest normalna burza – odparł, trzęsąc się, chłopiec. – Została wezwana.

– Myślałem, że możesz coś na to poradzić – odparł

Max. – Zaraz zamarznę na kość.

– F-Fomorian jest naszym gospodarzem – odparł

David, szczękając zębami. – I jeśli on chce, żeby pogoda była taka, jaka jest, to musimy to przyjąć. Niczego nie zmienię. Gdybym próbował, obraziłbym go.

Trzasnęło. Błyskawica i natychmiast po niej grzmot.

Max wyrzwał z namiotu. Widoczność nie przekraczała pięciu metrów – z tak wściekłą siłą walił deszcz i wiał

wicher. Po niebie przetaczały się ciężkie chmury kłębiące się jak szara, spieniona morska toń podczas sztormu. Max, trzęsąc się z zimna, zamknął namiot i ponuro spojrzął na ich ledwo ledwo tłące się ognisko.

– I co, przejaśnia się? – zażartował Cooper.

– Ale śmieszne – stęknął Max, wyczymając rękawy swetra.

– No cóż, ja nie narzekam – rzucił dowcipnie agent i wyciągnął talię kart. – Deszcz dobrze robi mi na

cerę –

dodał i podał talię Davidowi. – Tasuj pierwszy.

– Jedną ręką nie mogę.

Ignorując kwaśne spojrzenie Davida, agent rzucił

talię Maksowi.

– W porządku. Potasuj, Max, to sobie zagramy.

Przez całe popołudnie i dużą część wieczoru nagrali się za wszystkie czasy. Grali w pokera, w kierki, w remika... Niezależnie od gry: David i Cooper byli wirtuozami, natomiast Max – wręcz przeciwnie.

Często zapominał zasad, był beznadziejny w szacowaniu prawdopodobieństwa i chichotał mimowolnie za każdym razem, kiedy szła mu karta. Wyszło to boleśnie na jaw, gdy okazało się, że David i Cooper traktują domniemaną stawkę Maksa jako zasoby własne –

dostępną od ręki kwotę, która przeważa szalę jednego w wyrównanym pojedynku między nimi dwoma.

Kiedy Cooper zignorował kolejny blef Maksa, ten westchnął:

– Jak to się dzieje, że zawsze dobrze zgadujesz?

Agent wzruszył ramionami.

– Nie, mówię poważnie – biadolił Max. – Prościej byłoby chyba, gdybym ci po prostu powiedział, jakie mam karty.

– Już powiedziałeś – wtrącił znużony David.

– Więc co trzymam, no, co? Dalej. Powiedz mi, jakie karty mam w ręku!

– Dwie pary – mruknął David – z których żadna nie jest lepsza od dziewiątki.

Zdegustowany Max cisnął karty i rzucił się na przemoczony koc z zamiarem pograżania się w czarnych myślach i nasłuchiwania odgłosów niekończącego się deszczu. Pojawił się jednak niespodziewany problem.

Deszcz ustał.

Max zerknął na Nicka i stwierdził, że lymrill znów zwinął się w zwartą, najeżoną kulkę.

– Nikt się nie rusza – rozkazał Cooper, odkładając karty. – Wszyscy głowy w dół.



Linki od namiotu napięły się. Coś najzwyczajniej w świecie ciągnęło za jego wierzchołek. Nagle maszty zatrzęśły się, po czym uwolnione od linek legły na trawie.

Max, Cooper i David przez cały czas trwania tej powolnej odsłony siedzieli skuleni na ziemi. Gdzieś z wysoka nad nimi przemówił głos – głęboki i potężny niczym prąd oceaniczny.

– Mówiłem wam już, idźcie sobie.

Nick trząśł się tak mocno, że Max wyciągnął rękę, by go uspokoić. Kiedy to zrobił, coś mocno dźgnęło go w przedramię. Bez wątpienia było to ostrzeżenie, żeby się nie ruszać. Przedmiot, który go dźgnął, okazał się czubkiem topora, którego ostrze miało wielkość blatu stołu. W jego srebrzystej powierzchni Max ujrzał odbicie olbrzyma na tle księżyca.

– Możesz na mnie spojrzeć, krewniaku.

Max odwrócił wzrok od straszliwej broni i przeniósł

go na jej właściciela.

Fomorianin był większy, niż przypuszczał. Znacznie większy niż tajemniczy okaz we frankfurckim Warsztacie.

Musiał mieć ponad piętnaście metrów wzrostu, a każda jego kończyna przypominała kilka związanych razem pni drzew. Max nie mógł pojąć, w jaki sposób coś tak ogromnego mogło bezszelestnie podejść do namiotu.

Olbrzym był tak wysoki, że w ciemniejącym, wieczornym świetle trudno było dostrzec rysy jego twarzy, lecz to, co Maksowi udało się dojrzeć, było wystarczająco niepokojące. Ogromna, rozczochrana głowa z zaplecioną w warkocz brodą całkiem podobną do brody Prusiasa. W wielu oczach potwora odbijał się ich mały biwakowy ogienek, który nadawał groteskowym rysom giganta diaboliczny charakter.

Na głowie Fomorianin miał rogi muflona, z których jeden był złamany u podstawy, a drugi zakręcony na podobieństwo kościanego ślimaka. Mimo że w jego ogólnym

wizerunku

widać

było

zdecydowane

podobieństwo do człowieka, w rysach nic ludzkiego nie było. Czaszka Fomorianina była nierówna, kostropata, jedno z jego małych uszu nagle zadrgało niczym ucho fauna, a owcze nozdrza i obrośnięte brodą usta tworzyły płaski pysk wystający tylko tyle, by dać do zrozumienia, iż w środku kryją się potężne zębiska.

Odziany zaś był w wiele warstw skór i powycieranych futer. Ten prymitywny strój urozmaicały tylko srebrna bransoleta i wisior. Bujając toporem tuż pod brodą Maksa, gigant uniósł twarz ku niebu i rozmyślał.

– Nie jesteś Cuchulainem – zastanawiał się na głos. –

Myślałem, że nim jesteś. Ale teraz widzę, że nie.

Odpowiedz więc, krewniaku. Kim jesteś?

– Przybyliśmy tu, by prosić cię o pomoc – odparł

Max.

– Przybyliśmy, by błagać cię o pomoc – poprawił go David. – By cię błagać, abys naprawił włócznie Cuchulaina, aby ktoś z twojej krwi i kości mógł użyć jej w słusznej sprawie. Wiemy, że wkroczyliśmy tu nieproszeni i prosimy, wybacz nam.

– Proście o wiele – zauważył gigant – ponieważ na mojej ziemi napotkałem człowieka gwałtownego, nieznanego krewniaka i przebiegłego, głodnego czarownika. Dziwni z was goście i zdaje mi się, że to zły omen. W nocy słyszałem jednak twoją opowieść, mała istoto, i wielce mi się spodobała. Widzę w niej znamiona mądrości.

Kiedy to powiedział, przesunął topór spod szyi Maksa pod szyję Davida.

– Nawet głupiec potrafi jednak opowiadać mądre historie – rzekł. – Kim więc jesteś, mały? Mądemu człowiekowi pomogę, ale sprytnego głupca zawsze zabiję.

– Jak mam ci udowodnić, kim jestem? – zapytał

David głosem bezbronnego dziecka.

I z toporem potwora tuż przy szyi czekał, aż Fomorianin zastanowi się, w jaki sposób go sprawdzić.

– Umówimy się – stwierdził wreszcie olbrzym. – Ja pomógłbym temu Vainamoinenowi z twojej opowieści, ponieważ on nie tylko patrzył i słuchał, lecz także widział

i słyszał. Był mądrym człowiekiem. Zadam ci więc małe pytanie. Jeśli naprawdę jesteś mądry, odpowiesz. Jeśli zaś jesteś tylko przebiegłym głupcem, nie odpowiesz.

Mądemu pomogę. Ale głupiemu zetnę głowę, ponieważ głupiec może tylko wyrządzić zło.

Max odwrócił się do przyjaciela.

– David, nie rób tego – rzekł ostro. – Znajdziemy inny sposób.

– Nie ma na to czasu. Zbliża się Noc Walpurgi.

Potrzebujemy jego pomocy.

Kiedy David zgodził się przyjąć wyzwanie Fomorianina, ten zasiadł naprzeciwko nich na ziemnym zerodowanym, starym pomniku. Chmury rozstały się.

Księżyc oświetlał mokre wrzosowisko tak, że każda kropla deszczu błyszczała jak mała gwiazdka. Ze skał

i korzeni powychodziły wróżki drobinki i błędne ogniki, które zgromadziły się wokół Fomorianina jak ćmy wokół

ognia. Obsiadły jego ramiona, rogi i brodę. Nawet źdźbła trawy pozaginały się wokół jego kopyt, a drzewa pochyliły się nisko, by słuchać. Na jego komendę z mokrej ziemi wystrzelił potężny płomień. Grzali się w jego ciepło, podczas gdy Fomorianin wywabił Nicka z kryjówek.

– Dobre spotkanie – rzekł olbrzym, wpatrując się w mistycznego lymrilla i wyciągając do niego otwartą dłoń.

Ku zdziwieniu Maksa Nick podszedł posłusznie do gigantycznej pomarszczonej ręki i zwinął się na niej.

– Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz widziałem twój szczęśliwy ród między tymi drzewami i skałami –

rzekł Fomorianin i kostropatym, ostrym palcem pogłaskał

lymrilla po łuskach. – Dotrzymasz mi towarzystwa i razem osądzimy, co jest wart twój przyjaciel.

Teraz, kiedy olbrzym siedział, a jego twarz oświetlał

płomień, Max zobaczył, że ma on pięć oczu. Patrzyły nie tylko z oczodołów w zwykłych miejscach, lecz także z oczodołów znajdujących się na czole i kości policzkowej potwora. Szóste oczodoło było puste – przykrywał go pomarszczony, zapadnięty kawałek skóry. Wszystkie oczy różniły się wielkością i kierunkiem patrzenia. Jedno mogło być utkwione w Davida, podczas gdy inne patrzyło na jego towarzyszy, a jeszcze inne – w niebo.

Wkrótce jednak skupiły się na jednym obiekcie.

Patrząc na Davida i głaszcząc miedziane łuski lymrilla, Fomorianin zadał zadziwiająco nieskomplikowane pytanie.

– Jak brzmi moje imię, czarowniku?

Zadawszy pytanie, Fomorianin odchylił się do tyłu i cierpliwie czekał na odpowiedź. David z kolei, kiedy je usłyszał, zmarszczył nieco czoło, lecz nie odpowiedział.

Max wpadł w rozpacz. Nigdy, przenigdy nie słyszał, aby David, Cooper czy ktokolwiek inny

napomykali, że stworzenie, które się przed nimi znajduje, nosi jakiegokolwiek imię. Najstymniejszy przodkowie Fomorianina

– ci, których imiona Max słyszał – wszyscy zniknęli lub odeszli z tego świata. Pozostał tylko ten jeden.

David siedział bez ruchu, z rękami złożonymi na podołku, wychylony nieco w przód i przyglądał się Fomorianinowi. Widać było, że nie uważa giganta za potwora czy jakiegoś zaginionego boga, lecz za przedłużenie całego szerokiego świata poza nim, wyznaczone nie tylko przez przestrzeń, którą zajmował, lecz także tę, której nie zajmował. Przez cały czas tej dziwnej konkurencji Max i Cooper siedzieli z boku i czekali w pełnym obawy milczeniu. Gigant również ani drgnął. Czekał cierpliwie, aż David skończy rozmyślać.

Prawie już świtało, kiedy chłopiec przemówił.

– Jesteś synem Elathana – oznajmił.

Kiedy to powiedział, drobne istotki, które zebrały się wokół Fomorianina – wróżki, panienki z mchu i błędne ogniki – zaczęły się wiercić, szeptać do siebie i zerkać na swego pana. Fomorianin nie poruszył się jednak. Czekał, aż David powie coś więcej.

– Jesteś synem Elathana – powtórzył chłopiec spokojnie. – Elathan, który był bratem Balora z Fomorian i Goibniu z rodu Tuatha De Danann. Jesteś synem Elathana, który był Fomorianinem, lecz którego twarz i postać były piękne jak postaci bogów, którzy przyszli po nim. Jesteś synem Elathana, ojca Dagdy, Ogmy i Bresa.

Jesteś synem Elathana, lecz nie zostałeś nazwany, jak oni, ponieważ przypominałeś swych przodków – Ciocal Gricenchos, Neita i Balora, więc twój ojciec wstydził się twego wyglądu. Jesteś synem Elathana i zostałeś skazany na wygnanie, na samotne życie pod falami, dopóki twój wuj Goibniu nie pożałował cię i nie nauczył swego rzemiosła. Jesteś synem Elathana, lecz nie masz imienia.

Kiedy David powiedział to wszystko, olbrzym skłonił

głowę i ostrożnie odłożył śpiącego Nicka na trawę. Wstał, rozprostował się i z wysoka spojrzął na Davida z cichą aprobatą.

– Zrobię to, o co prosisz – rzekł. – Ale dlaczego płaczesz, mała istoto?

David podniósł jasną, zdecydowaną i mokrą od łez twarz na olbrzyma.

– Jeśli kiedykolwiek dostanę w swoje ręce Księgę –

rzekł – wrócę tu i nadam ci imię.

– Dlaczegoż miałbyś to robić? – zapytał olbrzym.

– Ponieważ przyniosłoby ci to spokój. – David pociągnął nosem.

– Jeśli to zrobisz – powiedział olbrzym – nie tylko uznam cię za mędrca, lecz także obdarzę niezwykłymi darami. Dziwny jesteś, mały czarowniku. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego.

Przerzucił sobie topór przez plecy, schylił się i wziął

ich wszystkich w swoje wielkie ręce, jakby byli małymi figurkami. Kiedy się usadowili, zamknął dłonie tak, by ich wnętrze stało się dla ludzi czymś w rodzaju przytulnej groty, pachnącej morzem i ziemią. Kiedy Fomorianin szedł, Max, wyglądając przez szczeliny między jego palcami, widział ciągnące się kilometrami wrzosowiska i lasy, migające bardzo szybko, jako że jednym krokiem olbrzym pokonywał olbrzymi dystans.

Do południa przewędrowali nad wzgórzami i pod morzem, nie opuszczając zacisznego schronienia w dłoniach olbrzyma. Fomorianin mieszkał w ogromnej jaskini morskiej głęboko pod powierzchnią wody. Kiedy postawił ich na obszernym stole, zgarnął z brody wodorosty, jakby to była oblepiająca go pajęczyna.

Niedługo potem jaskinia ogrzała się od ognia w wielu kominkach, a Fomorianin podał prosty posiłek. Max z wilczym apetytem pochłonął wszystko, co zostało przed nim postawione. Przez cały czas posiłku olbrzym zwracał

się uprzejmie do Maksa i Davida po staroirlandzku, wypytyując ich, co słyhać w szerokim świecie. Cooper milczał. Rozglądał się tylko po jaskini, popatrując to na kałuże, w których się odbijała, to na pradawne rzeźby –

jakby to, co widział, było snem.

Po posiłku wrócił jednak duchem do rzeczywistości, ponieważ Fomorianin zapragnął rzucić okiem na Gae Bolga. Max sięgnął do plecaka Davida i wyciągnął

zawinięte w kawałek gobelinu pozostałości czarnego metalu i szarej kości. Położył zawiniątko na stole, a gigant przyglądał się zniszczonej broni w podobny sposób, jak kiedyś czynił to David. Po dłuższej chwili podniósł

gobelin i zsunął drzazgi do kamiennej misy.

– Chodźcie za mną – rzekł, niosąc misę do przyległej jaskini, w której mieściła się kuźnia i wszystkie potrzebne w niej sprzęty. Na rozkaz olbrzyma w palenisku zapłonął

ogień. Był on tak jasny i tak intensywny, że tylko Max był

w stanie się do niego zbliżyć. Inni zatrzymali się w przejściu

i

stamtąd

obserwowali

## Fomorianina

krzątającego się po kuźni i wprawiającego w ruch Starą Magię, z której niegdyś został stworzony.

Odłamki pozostałe po Gae Bolga zostały wrzucone do tygla, który olbrzym trzymał w palenisku gołymi rękami. Wydawało się, że Fomorianin nie czuje gorąca płomieni i rozgrzanego w nich tygla, ponieważ nie wypuszczał go z rąk, nie przestając śpiewać nad topiącymi się szczątkami. Kiedy tak śpiewał, Max obserwował jego cień migoczący na ścianie jaskini.

Olbrzymie rogi i rozmiar cienia przywoływały straszliwe wspomnienie Prusiasa.

Kiedy pieśń Fomorianina się skończyła, a szczątki włóczyń stopiły, olbrzym wyjął tygiel z płomieni i usiadł

na ławie, by palcem zamieszać jego zawartość. Spojrzał

na Maksa, po czym przywołał go bliżej do siebie, podniósł i posadził sobie na kolanie.

– Chcę, żebyś coś zobaczył, krewniaku – rzekł. – To będzie twoja broń, więc musisz wiedzieć, czym jest.

Dzielny Cuchulain tego nie wiedział, więc broń przyniosła mu dużo smutku.

Olbrzym popchnął w stronę chłopca tygiel z wrzącym żelazem, by Max mógł zajrzeć do środka. Spocony, trzymający się najdalej, jak mógł, od gorąca, Max stanął

na palcach i zajrzał do środka. Zobaczył coś zupełnie nieoczekiwanego.

W tyglu nie było ani metalowych drzazg, ani wrzącego płynnego żelaza, ale trzy długie, czarne warkocze. Każdy z nich był dłuższy niż ręka Maksa.

Żaden też nie był ani nadpalony, ani nie dymił.

– Jak to możliwe? Czy to naprawdę Gae Bolga?

– Tak – odparł olbrzym. – Najstraszliwsza broń nie jest bowiem zrobiona ze zwyczajnych stopów ani z drewna. Powstała z bardziej subtelných tworzyw, które obrócić w niwecz i zrekonstruować potrafi tylko Stara Magia. To warkocze Morrigan – bogini wojny, bywalczyńi pól bitewnych.

– To samo mówiły dvergary – wyszeptał Max. –

Twierdziły, że to jej broń, że do niej należała. Nie chciały nawet jej tknąć.

– Dostrzegły na niej znak Morrigan – rzekł olbrzym –

lecz ona sama nigdy tej broni nie używała. Chciała, aby broń ta dostała się w ręce śmiertelnika i aby siała niezgodę. Jej dziećmi były chaos, krew i furia, tak więc chciała wiedzieć, jak kwitną.

Olbrzym sięgnął do tygła, wydobył warkocze i ułożył

je z uwagą na swej wielkiej dłoni tak, że znalazły się wyprostowane jeden obok drugiego.

– Ważne, abyś to zrozumiał – rzekł. – Z taką bronią nie ma już powrotu. Cuchulain to odkrył ku swojemu wielkiemu i wiecznemu żalowi. Czy naprawdę chcesz, abym wykuł ją dla ciebie?

Max zastanowił się nad słowami Fomorianina.

Prawda była taka, że perspektywa posiadania owej broni przerażała go. Zdarzały się przecież chwile, kiedy nie był

w stanie kontrolować swych działań – chwile radosne i zarazem straszne, kiedy czuł, jak przepełniająca go Stara Magia zmiata wszystko z jego drogi.

Ta broń umożliwi mu coś takiego.

Ta broń chce, aby coś takiego uczynił.

W innych okolicznościach Max poprosiłby olbrzyma, by ją zniszczył. Zbliżała się jednak Noc Walpurgi. Ta broń być może była jedyną szansą, jaką mieli. Nawet David jeszcze o tym nie wiedział.

– Tak, chcę – odparł Max. – Nadchodzi czas, kiedy będę potrzebował takiej broni.

Olbrzym smutno kiwnął głową, jakby wiedział, że Max właśnie tak odpowie.

– Daj mi swe ramię – rozkazał i umieścił warkocze z powrotem w tyglu.

Max podał mu ramię, a Fomorianin naciął dłoń chłopca nożem tak, by krew spłynęła na warkocze i wsiąkła w każdy po kolei.

Ignorując syknięcie Maksa, olbrzym wyjaśnił:

– Stara Magia jest w tobie. Twoja krew wzmocni broń i sprawi, że tylko ty będziesz mógł jej używać. Jeśli padniesz w boju, kuzynie, ta broń umrze wraz z tobą.

Wetknął tygiel w białe z gorąca płomienie i topił

przesączone krwią warkocze do czasu, kiedy rozpuściły się i połączyły ze sobą tworząc jednolitą masę. Kiedy w końcu zdjął tygiel z ognia, jego zawartość przypominała lepka kulę stopionego, lśniącego szkła.

Fomorian wziął narzędzia i kształtował mistyczny stop, który syczał i strzelał iskrami przy każdym uderzeniu, jakby był żywą tkanką. Olbrzym składał tę niespotykaną substancję i przekuwał ją w gęstsze, ciemniejsze kształty, podejmując przy tym swą dziwną, smutną pieśń, od której ściany groty zaczęły mruczeć tak, że wydawały się żywym partnerem procesu tworzenia.

Mijały godziny, a gigant wciąż nie wypuszczał z rąk obcęgow, młota i dłuta. Kiedy skończył, pot spływał

strumieniami po jego wielkiej baraniej twarzy. Odłożył

broń na bok, by ostygła na czystej białej tkaninie.

Broń przypominała tę, której Max używał w walce przeciwko grylmhochowi – była połączeniem włóczni i miecza, z przerażającymi stalowymi kolcami służącymi jako ochrona dłoni. Kiedy Max wziął ją do ręki, zdał sobie sprawę, że złamana włócznia, którą dostał w krypcie Czerwonego Bractwa, była zaledwie echem swej bogatej przeszłości. Broń, którą teraz trzymał w dłoni, stanowiła z nim jedność i przenosiła dziesięciokrotnie większą energię. Max poczuł dziwne połączenie zachwytu i przerażenia na myśl o swej nowo odkrytej potędze.

Pod wpływem nalegań olbrzyma Max zgodził się przetestować broń na wielkich blokach drewna, kamienia i żelaza. Ostrze przecięło każdy z nich z tak przerażającą łatwością, że zdecydowanie wymagało to oswojenia się ze skutecznością broni. Mocny wstrząs, jakiego Max doświadczał zwykle przy tego typu uderzeniach, tu w ogóle nie miał miejsca. Gae Bolga przecinała po prostu każdy materiał, jakby nie było różnicy między masłem, kością czy stalą.

– Jeszcze raz – rozkazał Fomorianin, wstając ze stołka i podchodząc do Maksa, by sprawdzić, jak ostrze przechodzi przez stare kowadło.

– Nie chciałbym go zniszczyć – zaprotestował Max.

Fomorianin potrząsnął głową.

– No, z całej siły – ponaglił.

Max zrobił to, co kazał mu olbrzym. Zebrał się w sobie i uderzył ze straszliwą mocą – tak jak uczyła go Scathach w Sidh. Gae Bolga smagneła kowadło... i roztrzaskała się na sto drobnych kawałków. Na kowadle nie został nawet ślad uderzenia.

– Tego się obawiałem – rzekł olbrzym, wzruszając ramionami w odpowiedzi na konsternację Maksa.  
– Twoja krew nadała Gae Bolga szczególne właściwości, lecz nie wzmocniła jej podstawowej istoty.

We

dwóch

dokładnie

pozbiali

kawałki



roztrzaskanej włóczni. Ponownie zostały one przetopione w warkocze Morrigan, a następnie zmieszane z krwią Maksa przy wtórze innej pieśni olbrzyma, który wykuł z nich teraz inną broń.

Tym razem zrobił długi miecz, którego piękne ostrze zwężało się w straszliwy czubek i którego krawędź

przecinała drewno, kamień i żelazo tak samo jak poprzednio włócznia. Kiedy jednak Max wypróbował

broń na kowadle olbrzyma, stało się to samo co wcześniej.

Max ze złością cisnął rękojeść miecza i rzucił się na ziemię, by zbierać to, co z niego pozostało. Pot lał mu się strumieniami po twarzy. W jaskini, a zwłaszcza w kuźni panował nieznośny upał, co jeszcze bardziej podsycalo jego złość. David i Cooper przyglądali się wszystkiemu z pewnej odległości. Na ich twarzach malował się niepokój.

Następną broń – krótki mieczyk – spotkał ten sam los. Gigant spojrział na pozostałe po niej odłamki i westchnął.

– Widzisz, co się dzieje – mruknął, nachylając się nisko, by pokazać Maksowi topniejący stos. – Po każdym przetapianiu zostaje coraz mniej na następny raz.

Obawiam się, że mamy ostatnią szansę, zanim Gae Bolga całkiem zniknie. Co chciałbyś zrobić?

Max zobaczył to, o czym mówił olbrzym, i wiedział, że to była prawda. W tyglu było już o połowę mniej materiału niż kiedy zaczynali. Broń, którą wykuje Fomorianin, będzie mała i nie będzie gwarancji, że przetnie materiał równie twardy jak kowadło olbrzyma.

Max już miał odpowiedzieć, kiedy poczuł gwałtowne drapanie w udo.

To Lymrill ocierał się o niego. Wspiął się teraz na jego nogę i wczepił wielkim pazurem w nogawkę, jak kot ostrzący sobie pazury. Max spojrział na podopiecznego i zauważył na nogawce swoich spodni krew.

– Nick – skarcił go i uderzył w łapę. – Idź do Davida.

Lymrill jednak wczepił się mocno i nie puszczał.

Max, coraz bardziej zniecierpliwiony, schylił się, by odczepić pazur od spodni i przywołać upartego podopiecznego do porządku. Kiedy jednak to zrobił, Nick wzdrygnął się przy gwałtownym ruchu i zaczął drżeć.

Maksowi natychmiast przeszła złość. Nigdy dotąd Nick nie zachowywał się w ten sposób.

Coś było nie w porządku, i to bardzo.

Max przyklęknął na jedno kolano, delikatnie uniósł

łapkę zwierzęcia i zajrzał pod nią, jak rodzic szukający drzazgi w rączce dziecka. To, co zobaczył, sprawiło, że gwałtownie wciągnął powietrze.

Krew na spodniach Maksa była krwią Nicka.

Lymrill wpatrywał się w niego bardzo intensywnie.

Jego

małe

oczka

zdradzały

nieprawdopodobną

inteligencję, którą maskował umiejętnie zawsze, gdy coś zbroił. Łuski Nicka leżały teraz gładko na jego grzbiecie lśniąca, równą warstwą, przez co wyglądał bardzo elegancko – zupełnie jakby nadeszła jakaś specjalna okazja wymagająca najlepszego wizerunku.

Kiedy Max zdał sobie sprawę z intencji lymrilla, serce omal mu nie pękło.

– Nie! – wykrzyknął zdecydowanie, jakby reprimenda kiedykolwiek przynosiła zamierzony skutek.

Odwrócił wzrok od oczu lymrilla i jeszcze raz obejrzał

zranioną łapę. Pazur Nicka oderwał się przy tym całkiem od poduszeczki jego stopy i pozostał wczepiony w spodnie Maksa. Chłopak patrzył na to przerażony. Czarny pazur długości ludzkiego palca z kropelką krwi u nasady.

Od łapki Nicka oddzielił się powoli drugi pazur –

zupełnie jakby odpadanie wywołane było skurczem mięśni. Z metalicznym stuknięciem upadł na podłogę jaskini. Lymrill drżał cały, jego oddech był krótki i raptowny. Trzeci pazur ześliznął się z łapy, a zaraz za nim kolejny.

– Czy ktoś mógłby mu pomóc?! – wrzasnął Max, oszalały ze strachu. – Coś się z nim dzieje.

Jednak Cooper i David stali w drzwiach jak zamurowani.

– Zróbcie coś! – krzyczał Max, któremu serce pękało na widok kilku długich łusek ześlizgujących się ze strzępiastego grzebienia na grzbiecie lymrilla. Max zacisnął powieki i zaczął szlochać. Lymrill rozpadał się w jego rękach na kawałki, a on był bezradny.

Nagle prosto do jego ucha odezwał się głęboki, łagodny głos Fomorianina.

– Nie odwracaj wzroku – poradził olbrzym. – Twój przyjaciel daje ci właśnie największy dar, jaki może ci ofiarować. Musisz uszanować jego poświęcenie, kuzynie.

Przyjmij ten dar z otwartym sercem. Przyjmij go z tą samą miłością i mocą, z jaką jest ci dawany. Nie odwracaj wzroku. Bądź przy nim.

Max zmusił się, by spojrzeć na Nicka. A kiedy z lymrilla spadły już prawie wszystkie łuski i pazury i zwierzę coraz bardziej słabło, Max położył się na plecach i wciągnął je na swoją pierś, by mogło ułożyć się na niej po raz ostatni. Ponieważ tak właśnie spotkali się lata temu, kiedy lymrill wybrał Maksa na swego pana.

Nick nie pozostał obojętny na ten gest.

W jego gasnących ślepiach zalśnił wyraźny figlarny błysk. Z niespokojnym parsknięciem podsunął się nieco do przodu i oparł koniec pyska o brodę Maksa, tak jak kiedyś. Leżał tak prawie przez godzinę i ugniatał łapami koszulę na piersi swego pana. Kiedy drzenie nasiliło się, a oddech stał się zbyt płytki, lymrill podniósł głowę i ostatni raz spojrzął na Maksa.

Przeciągłym miauknięciem i delikatnym ugryzieniem powiedział „do widzenia”.



# W GROBOWCU

Morze było tak piękne, że Max nie mógł oderwać od niego wzroku. Siedział na dziobie Ormenheid i wpatrywał

się w przetaczające się platynowosrebrne fale. Była to jedna z tych niezwykłych chwil, kiedy jaśniejsza od nieba woda lśniła własnym światłem. Z niskiej czasy burych chmur od dawna kropiło. Słyszeć było tylko bębnienie deszczu o pokład i odgłos poruszających się wiosł.

Maksowi wydawało się niemożliwe, że Nicka już nie ma. W chwili kiedy lymrill ugryzł go delikatnie w nos i znieruchomiał,

świadomość

Maksa

odpłynęła,

przechodząc w stan zbliżony do snu. Pamiętał, że Cooper pomógł mu wstać, kiedy olbrzym podniósł ciało Nicka oraz dar jego pazurów i łusek. Agent zaprowadził Maksa do głównej pieczary, a w tym czasie Fomorianin przygotował stop i skoncentrował się na pracy. Do chwili, kiedy gigant zawołał go wreszcie, by przetestował nowo wykutą broń, minęły godziny. Max wciąż był w transie.

Ruchy miał mechaniczne. Prawie nie pamiętał przecinania drewna, kamienia i żelaza. To, że przeciął kowadło, pamiętał jednak doskonale.

Chwilę tę odnotowała nawet jego zboląła dusza.

Zniszczeniu

pradawnego

narzędzia

kowalskiego

towarzyszył odgłos zgrzytliwego, wyjącego rozdzierania.

Siła uderzenia spowodowała krótki, kłujący wstrząs w ramieniu Maksa, ale nic więcej. Broń pozostała nienaruszona. Fomorianin obejrzał ją dokładnie. Nie znalazł nic, co choć w najmniejszym stopniu świadczyłoby o zniszczeniu.

Dar lymrilla w postaci mistycznych pazurów i łusek sprawił, że broń była nie do pokonania, lecz z drugiej strony przyczynił się do jej skromnego, pospolitego wyglądu. Było w tym jednak coś odpowiedniego, stwierdził później Max. Kiedy tak stał i przyglądał się ostrzu, natychmiast poczuł przedziwny związek z niezwykłymi

właściwościami

broni.

Fomorianin

powiedział, że kiedy tylko dodał do tygla łuski i pazury Nicka, stop stał się uparty i samowolny. Nie chciał się poddawać uderzeniom młota i stygł tak szybko, że olbrzym zaniechał wreszcie wszelkich prób nadania mu ładniejszego kształtu.

Podobnie jak trudno było sklasyfikować Nicka i przypisać go do konkretnego gatunku, trudno było sklasyfikować i broń. Była dłuższa od sztyletu, lecz nie na tyle długa, by zyskać miano miecza. Ostrze miało około czterdziestu pięciu centymetrów długości, a rękojeść nie została wyłożona klejnotami ani okręcona złotym drutem, lecz owinięta kawałkiem wysłużonej skóry od młota, który wykuł ostrze. Jedynym ozdobnym elementem tej broni był wzór wyryty przez olbrzyma u nasady ostrza: profil wilczarza irlandzkiego na tle celtyckiego słońca.

W całości została wykuta z tego samego stopu i Max zauważył, że jej kolor zmieniał się w zależności od światła. Na pierwszy rzut oka wydawała się czarna jak dżet lub obsydian, lecz w innych położeniach świeciła srebrem, a jeszcze w innych odślaniały się miedziane fale łusek lymrilla, jak wzory na stali damasceńskiej. Ilekroć Max badał ostrze, zawsze pokazywało inną twarz. Gae Bolga wydawała się żyjącą istotą.

I rzeczywiście była żyjącą istotą, co przywoływało słodko-gorzkie

wspomnienia. W

głębokim

bólu

wywołanym bezinteresownym podarunkiem lymrilla pewnym pocieszeniem był fakt, iż cała istota Nicka została na zawsze przekuta na coś, co Max będzie stale nosił przy sobie. Przedmiot ten zawierał jednak również istotę Morrigan i olbrzym z troską tłumaczył Maksowi zarówno konsekwencje tego faktu, jak i płynące z niego pokusy.

– To ostrze ma cel – wyjaśnił. – Ma ducha.

Błogosławieństwem jest, że część tego ducha pochodzi z ciebie i z poświęcenia twego przyjaciela, lecz najbardziej obecna w tej broni jest Morrigan. Mieszka w niej nie tylko lymrill, lecz także wilk i kruk, z przyjemnością grasujące po wszystkich polach bitewnych wszystkich światów.

Broni tej nie da się zniszczyć. Rany nią zadane nigdy się nie zagoją. Nie ma nic, czego nie zdołałaby przekuć ani nic, czego nie zdołałaby zabić, ponieważ to, co stanowi jej istotę, zniszczy zarówno ciało, jak i ducha. Takiej broni pożąda każdy władca i wojownik. Jednak brak ograniczeń to wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ ostrze to zabije boga tak samo jak potwora, a przyjaciela tak samo jak wroga. Gdy dobędziesz jej pochopnie lub nieroztropnie –

by zaspokoić swą próżność, żądę krwi lub w niesprawiedliwym celu – Morrigan poprowadzi cię ścieżką zdobywcy. Ja zaś wykułem ją dla mistrza i obrońcy, nie dla króla czy tyrana. Czy mnie rozumiesz, kuzynie?

Max skinął głową, lecz był tylko w stanie obiecać, że będzie się starał. Olbrzym przytaknął i wsunął ostrze do pochwy z brązowych płytek ozdobionych złożonymi wizerunkami wilków i kruków – jako przebłaganie dla bogini, która miała czuwać zarówno nad bronią, jak i nad tym, kto będzie jej używał. Dar był potężny i Max starał

się okazać wdzięczność.

Bardziej jednak docenił drugą rzecz, którą podarował

mu Fomorianin. Ten, zanim po raz kolejny zabrał się do przekuwania Gae Bolga, odłożył trzy łuski Nicka i jeden jego pazur i zrobił z nich celtycki naszyjnik, który Max zawiesił sobie na szyi jako pamiątkę po przyjacielu.

Ozdoba była piękna w swej prostocie i jarzyła się złotoczerwonym światłem nawet w tak okropny dzień jak ten.

Max schował Gae Bolga do pochwy i podszedł do siedzących opodal przyjaciół. Owinięci w co się da, schronili się przed deszczem pod jedynym żaglem. David trzymał na kolanach głowę uspiętej ulu, a Toby raczył ich wszystkimi szczegółami swego nudnego jak flaki z olejem czuwania na pokładzie Ormenheid. Mimo że nie był w stanie nakłonić ulu do normalnej rozmowy, uznał, że dobry z niej towarzysz.

– Jest w niej coś takiego – zaczął ciepło – co sprawia, że czujesz się dobrze z samym sobą... jakby się miało nowe buty albo nową fryzurę, rozumiecie?

– Myślałem, że z twoimi fryzurami już koniec –

dokuczał mu Max.

– To taki zwrot retoryczny, mój chłopcze – odparł

zmień. – Wiem, że szkoda ci twojego Nicka, ale staraj się nie utyskiwać. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Max zaśmiał się z goryczą.

– Wypluj z siebie, co cię dręczy – rzekł Cooper, błyskając w stronę Maksa lodowatymi oczami.

Max krążył po pokładzie i zastanawiał się, czy w ogóle coś mówić. Złość jednak go pokonała. Nie minęło parę sekund, a zarzucił zebranych lawiną na wpół

zrozumiałych zarzutów: kto w ogóle podjął decyzję, by brać Nicka na wyprawę? Czy David wiedział, co się stanie? Wszystkie te plany, tajemnice i kłamstwa... a teraz on stracił podopiecznego,

przyjaciela, za którego był

odpowiedzialny. Co jeszcze będzie musiał poświęcić?

– To wyrzucić nas za burtę – rzekł spokojnie Cooper. –

No, wyduś to wreszcie!

Max rzucił mu złowrogie spojrzenie.

– A ty o czym rozmawiałeś z olbrzymem? – zapytał.

– Widziałem, jak zniknęliście razem. Jeszcze jakieś tajemnice?

– Nie – odparł agent. – Nic z tych rzeczy. – Cooper ściągnął z głowy czarną czapkę, odsłaniając to, co pozostało z jego bladej, pociętej szramami czaszki, oraz blizny po oparzeniach na twarzy. Na jego ustach błąkał się lekko drwiący uśmiezek. – Zaoferował, że przywróci mi dawny wygląd – wyjaśnił. – Że uleczy mnie z ran.

Max pragnął dalej być zły, dawać upust złości, obwiniać. Wyznanie Coopera jednak całkiem zbiło go z pantałyku.

– Zaproponował, że cię wyleczy? Ale... w takim razie, dlaczego się nie zgodziłeś? – zapytał z szeroko otwartymi oczami. – Nie rozumiem.

– Propozycja była kusząca, przyznaję – powiedział

Cooper. – Nie będę udawał, że tak nie jest. Nie myślcie, że nie zastanawiałem się nad nią całych dwadzieścia minut w milczeniu. Kiedyś wstydziałem się swojego wyglądu, tego, co ze mnie zostało, szram, blizn... tego, w jaki sposób ludzie na mnie patrzą. Przypominało mi to klęskę. Ale teraz już się nie wstydzę. Czyniłem dobro i zło, i moja twarz nie jest piękna, ale jest prawdziwa i pokazuje, gdzie bywałem.

Cooper gestem zaprosił Maksa, by usiadł z nimi pod żaglem, i przypomniał coś, co powiedział, kiedy wybierali się szukać Fomorianina.

– Instynkt Nicka okazał się lepszy niż nasz. Wiedział, co należy robić, i zrobił to.

Ciszę, która zapadła, kiedy Max zastanawiał się nad tymi słowami, przerwał David. Przez całą tyradę Maksa trzymał język za zębami i po prostu słuchał. Teraz jednak się odezwał.

– Max, wiem, że czujesz się zniechęcony i smucisz się z powodu Nicka. Zrozumiem, że nigdy nie poprosiłbym cię o ofiarę, której sam nie byłbym skłonny złożyć. Nigdy też nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwo ani nie ukrywał przed tobą żadnych informacji, gdyby nie było to konieczne. Wierzę w ciebie bardzo. Proszę, i ty miej we mnie wiarę.

Słuchając spokojnego, rozsądnego głosu Davida, Max usiłował przełknąć resztki gniewu. Nie



przyszło mu to jednak łatwo. Trudność leżała między innymi we wskazaniu konkretnych przyczyn, które ten gniew podsycaly. Czy był to żal z powodu Nicka? Czy Max czuł

się manipulowany? Czy może chodziło o fakt, że Astaroth zmuszał go do śledzenia powolnych postępów planu z góry skazanego na zgubę? Przeniósł wzrok na cenną kasetkę Davida zawierającą beużyteczną już truciznę i miał ochotę cisnąć ją do morza. Za każdym razem jednak, kiedy ogarniała go taka ochota, podstępne zaklęcie trzymało mocno... jakaś przemożna siła powstrzymywała go przed ostrzeżeniem przyjaciela i podjęciem jakichkolwiek działań, które mogłyby przeszkodzić Davidowi w realizacji jego zamierzeń.

– Mam wiarę w ciebie – skłamał Max. – I nigdzie się nie wybieram.

– Dobrze – rzekł David z wyrazem wielkiej ulgi, lecz już po krótkiej chwili zastąpiła ją mina zimnego stratega.

– Noc Walpurgi tuż, tuż – dodał. – I czas najwyższy, abym wyjawiał wam mój plan.

Kiedy dopłyną do Tybru, wysiądą, a Cooper popłynie dalej, by wraz z resztą Czerwonego Bractwa sprowokować otwartą wojnę między Prusiasem a Aamonem. Przyciągnie ona uwagę władców i wywoła duże napięcie, dzięki czemu David, Max i zmien dostaną się do pałacu, a w zasadzie do katedry, w której rozpoczną się uroczystości. David zamierzał dostać się w pobliże Astarotha i...

Chłopiec

otworzył

kasetkę

i

pokazał

im

krwistoczerwony eliksir w szklanych fiolkach.

– Jak sprawisz, żeby to wypił? – zapytał sztywno Max.

– Wypije z obowiązku – odparł David. – Wszystkich Świętych i Noc Walpurgi to dla demonów najbardziej uroczyste święta. To noce reprezentujące zmianę pór roku, kiedy granica między światem naszym a światem demonów jest najcieńsza. Wtedy demony są najsilniejsze.

– Więc zamierzasz zaatakować demony w noc, kiedy będą najsilniejsze? – nie mógł uwierzyć zmien.

– I do tego wszystkie zebrane w jednym miejscu... –

dodał Max.

– Tak jest – potwierdził David. – Nie będę udawał, że okoliczności mnie nie przerażają, lecz demony dopełniają pewnych rytuałów. Rytuały z definicji są przewidywalne, a właśnie przewidywalność pozwala nam zaplanować ich zakłócenie. Dodatkowo jeden z rytuałów demonów idealnie odpowiada naszym potrzebom.

– Mianowicie? – zapytał Max.

– Od roku 1649 noc Walpurgi jeszcze bardziej zyskała na znaczeniu. Wówczas bowiem, właśnie tego wieczora, Wróg zniszczył Solas, a Astaroth pochłonął

Brama. To dlatego dla demonów Noc Walpurgi ma aż takie znaczenie. A jak zaczyna się większość obchodów?

– Toastem! – wykrzyknął Toby. – Kielichy w górę i do dna, i tak dalej.

– Właśnie! – zawołał coraz bardziej podekscytowany David. – Najznamienitsza szlachta Czterech Królestw wzniesie toast, by uczcić upadek Solas i klęskę Eliasa Brama. Jestem absolutnie przekonany, że Astaroth wykorzysta Noc Walpurgi, by podkreślić fakt, że to on jest Wielkim Bogiem – nie Prusias, nie Aamon, nie Rashaverak i nie lady Lilith.

– Czy któryś z demonów burzy się przeciwko jego władzy? – chciał wiedzieć Max.

– Nie – odparł David. – Żaden z nich nawet nie próbuje rywalizować z jego potęgą. Lecz Astaroth pozwala swym monarchom rządzić królestwami, gdyż sam uznaje to zajęcie za zbyt nudne. Teraz, kiedy jest w posiadaniu Księgi Thotha, ma możliwość tworzenia nowych rzeczy i przekształcania świata. Tu koncentrują się jego zainteresowania. Więc jeśli Wielki Bóg ma ochotę chwilowo zniknąć, by skoncentrować się na sprawach wyższej wagi, to co?

– Kiedy kota nie ma, myszy harcują... – rzucił

Cooper.

– To prawda – odparł David. – I rzeczywiście harcowały. Prusias i Aamon są na krawędzi wojny.

Prusias utrzymuje Warsztat mimo jawnej niechęci i pogardy Astarotha dla technologii. Lilith podpisuje tajemne porozumienia z wiedźmami i zakłóca handel Rashaveraka... Intryg jest mnóstwo. Nie sądzę, aby Astarothowi jakoś szczególnie na tym wszystkim zależało, lecz od czasu do czasu lubi przypomnieć, że to on rządzi. I robi to w sposób widowiskowy... zabije jednego, a przerazi dziesięć tysięcy i tak dalej. Czterej władcy wraz z braymami stosują tę samą taktykę na swoich terenach. Jestem więc pewien, że Astaroth jako pierwszy wzniesie podczas tej nocy Walpurgi toast za swe zwycięstwa. I kiedy go wypije, będziemy go mieć.

– A jeśli się nie pojawi? – zapytał Max.

– Zniszczymy czterech królów – odparł lodowato David. – Nawet jeśli nie będzie Astarotha, sporo zyskamy.

Ale myślę, że on tam będzie.

Max westchnął i pomasaował sobie skronie.

– Więc jak się tam dostaniemy, David? – mruknął, pełen sceptycyzmu wobec nadmiernej pewności siebie kolegi. – Czy wejdziemy tanecznym krokiem i podamy Astarothowi kielich trucizny na tacy?

David wzruszył ramionami. Znów wyglądał jak mały chłopczyk.

– Tak właśnie zrobimy...

Cieśninę pokonali w identyczny sposób jak poprzednim razem. Ukryli się w skrzyni szmuglerskiej, podczas gdy przekształcony i przerażony Toby negocjował z zachłannym Mad'raastem. Ten wgramolił

się na swój punkt obserwacyjny dopiero po otrzymaniu następnej skrzyni bogactw.

– Już wcześniej miałem zapytać – rzekł Max – skąd bierzesz te wszystkie klejnoty?

– Od demonów – odparł David z zadowoleniem. –

Plądrowałem ich statki od dnia wzniesienia Gravenmuira.

Prawdopodobnie gdyby wszystko podliczyć, byłbym największym piratem w historii!

Max pokręcił głową i wzniosł oczy na olbrzymiego demona, który składał właśnie skrzydła i wspinał się na miejsce swego pożądanego czuwania.

– Sądziysz, że Mad'raast będzie na Nocy Walpurgi?

– Zapewne tak – odparł David. – Jest tej rangi demonem, że raczej zostanie zaproszony.

– Myślisz, że i Vyndra tam będzie? – zapytał cicho Max.

– Tak – odpowiedział David – tak sędzę.

Wyglądał, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale nie zrobił tego. Cooper nie był tak powściągliwy.

– Twoim jedynym zadaniem, McDaniels, jest chronić Davida Menlo – rzekł. – Chronić Davida niezależnie od wszystkiego. Jeśli pragniesz zemsty, musi ona poczekać.

Max nie odpowiedział. Zamyślony, patrzył tylko w niebieskoszare morze.

Gdy znaleźli się przy ujściu Tybru, był już późny wieczór i David opadł z sił. Opierał się ciężko o węża, którym ozdobiony był dziób łodzi, a Maya tuliła się do jego ręki. David osunął się niżej i przywarł do jej szyi jak do koła ratunkowego. Być może właśnie tym dla niego była.

– Przybijmy po prostu do brzegu – wyszeptał. –

Wysiadziemy na ląd, a Cooper popłynie dalej na wschód.

Musimy działać szybko.

Agent zgodził się i rozkazał łodzi podpłynąć do najbliższego miejsca cumowania. Kiedy podawał

Davidowi plecak i zmienia, w jego ruchach był wyraźny pośpiech. Maya na drżących nogach również wyszła z łodzi, a z nią David.

– Wiesz, o które miejsce mi chodziło? – zapytał

Cooper. – To niedaleko stąd.

David kiwnął głową, spojrzął na ciemniejące zmiernie niebo i niecierpliwym gestem kazał agentowi odejść. Ormenheid, jakby ciągnięta liną, wypłynęła z powrotem na wody Morza Tyrreńskiego, a wiosła skierowały ją na zachód. Cooper stał na pokładzie z uniesioną w pożegnalnym geście ręką.

Max był tak zamyślony, że zapomniał nawet się pożegnać. Nagle dotarł do niego głos Davida.

– Będę potrzebował twojej pomocy. Jestem słabszy, niż myślałem. Nie dam rady cały czas iść.

– Z przyjemnością pomogę – pisnął przyjaźnie Toby.

– Czy muł wystarczy? Coś, co pewnie pokona te błotniste nadrzeczne okolice?

– Oczywiście – ucieszył się David.

Minutę

później

siedział

już

na

grzbiecie

kasztanowego dobrze ułożonego muła. Max prowadził

Mayę. Cała czwórka zakosami pokonała strome brzegi rzeki, tak by wzdłuż jej biegu dotrzeć do stolicy.

Rzymskie wzgórza wznosiły się wysoko, a pałac Prusiasa był tak ogromny, że jego jasno oświetloną bryłę widać było z odległości wielu kilometrów. Z dobrego punktu obserwacyjnego można było również dostrzec, że prowadzące do miasta drogi migotały światłami powozów zmierzających do

Blys na obchody święta. Przy drogach tu i tam znajdowały się antyczne mauzolea i grobowce.

David pospieszał właśnie ku jednemu z nich.

Leżał on kilkaset metrów w bok od drogi, na spokojnej polance pośród cyprysów i topoli. Na wieńczącym go łuku wyrzeźbiono słońce. Przeszli pod łukiem i znaleźli się przed kamiennymi drzwiami pokrytymi mchem i porostami. David polecił Toby'emu zatrzymać się przed nimi, wyciągnął lewą dłoń i przycisnął nią nieco już pokruszoną pieczęć na drzwiach.

– *Invictus* – szepnął.

Na drzwiach pojawiła się teraz nieznana pieczęć –

zbiór runów i rzymskich cyfr wokół celtyckiego słońca przypominającego to, które olbrzym wyrzeźbił na Gae Bolga. Drzwi odsunęły się do wewnątrz i weszli do okrągłej kamiennej komnaty o średnicy siedmiu metrów.

Drzwi zasunęły się za nimi. Max zapalił latarnię i pomógł

Davidowi zejść z muła. Zmien odzyskał swą naturalną postać i wkrótce cała czwórka siedziała na chłodnej kamiennej posadzce. Maksowi kłębiły się w głowie pytania, lecz postanowił ich nie zadawać, dopóki David nie odzyska choć trochę sił. Na razie próbował utulić Mayę, która nie przestawała się trząść.

– Co się z nią dzieje? – zapytał Toby. – Przedtem nie była aż tak chora.

– Nie mam pojęcia – odparł Max, grzebiąc w plecaku Davida w poszukiwaniu jedzenia dla ulu. Znalazł

pudełeczko owoców leśnych i postawił przed jej pyszczkiem, lecz ona nie przejawiała najmniejszego zainteresowania. Leżała na boku i tępo wpatrywała się w dal.

– Mógłbyś przysunąć ją do mnie? – poprosił David z twarzą lśniącą od potu.

Max spełnił życzenie kolegi i położył ulu tak blisko, że mogła złożyć łeb na jego kolanach. Przymknęła oczy, jakby z zadowoleniem, i zapadła w drzemkę. David kaszlnął. Wydawało się, że powoli dochodzi do siebie.

– Uchyl, proszę, drzwi na jakieś pół metra – poprosił.

– Spodziewamy się gości.

I znowu Max spełnił życzenie i popchnął ciężkie kamienne drzwi. Do grobowca wpadło świeże nocne powietrze, a wraz z nim głosy cykad. Max usiadł, oparł

się o ścianę i zapatrzył na wyblakłe freski. Siedzieli w przedsionku – naprzeciw drzwi znajdowała się wąska klatka schodowa prowadząca do innych pomieszczeń, między innymi do tego, w którym

złożono trumnę kogoś ważnego, kto został tu pochowany.

– Co to właściwie za miejsce? – chciał wiedzieć Max.

– Stary schron – odparł David. – Nasi ludzie korzystali z niego od tysiącleci. Pewna rodzina dawno temu podarowała go Solas. Przed upadkiem szkoły.

– I co będziemy tu robić? – zapytał Max.

– Czekać – odparł David znużonym głosem. –

Ponieważ następny krok wymaga pewnych informacji, których jeszcze nie mam.

David i Maya drzemali, a Max i zmien siedzieli w ciszy w oświetlonej nikłym płomieniem komnacie. Na podłodze pełno było pyłu i drobnych kamyczków naniesionych w ciągu wieków. Ileż tajemnych planów rodziło

się

w

tym

grobowcu?

Ilu

rannych,

zdesperowanych agentów znalazło tu schronienie? Gdyby kamienie potrafiły mówić...

Minęło kilka godzin. W pewnej chwili Max usłyszał

ptasi szczebiot i furkot skrzydeł. Toby usiadł i zaczął

szybko mrugać, kiedy do komnaty wleciały dwa ptaszki.

Każdy z nich przysiadł na jednym ramieniu Davida.

Wyglądały jak kolibry z długimi dzióbkami i delikatnymi ciałkami o jedwabistych niebieskich piórkach z odrobiną żółtego. Były to Folly i Hubris – istoty stworzone przez Davida. Powieki chłopca zatrzepotały. Ptaszki pochyliły się ku jego głowie i zdawały się szeptać mu do uszu.

Kiedy skończyły, David skinął głową i mruknął coś w odpowiedzi. Parka zaświergotała i zaczęła krążyć po komnacie, po czym nagle z niej wyleciała. David schrypniętym głosem poprosił Maksa o zamknięcie drzwi.

– A więc – zaczął Toby, podskakując niespokojnie. –

Co teraz?

David podniósł głowę Mai ze swych kolan i wstał z trudem, po czym wyciągnął z plecaka mały kawałek kredy. Wyczarował ogień – złoto-zielony płomyk, pełzający po obwodzie komnaty i wypełniająca ją żółtym światłem. Wziął do ręki kredę i dmuchnął na nią – z jego dłoni podniosła się wielka chmura białego pyłu.

Kredowy obłok powoli opadał na ziemię.

Max zauważył, że pył nie opadał w sposób przypadkowy. W centralnej części podłogi układał się we wzory, tym wyraźniejsze, im więcej opadło pyłu. Chwilę później Max patrzył na krąg do przyzywania, którego geometria i napisy były pod każdym względem perfekcyjne.

– David, co przyzywasz?

– Demona.

– Myślałem, że nie wolno nam tego robić – syknął

Max. – Wiesz... chodzi o dekret. Czy to nie narazi Rowan?

– Być może – odparł David. – Ale postawiłem sprawę jasno. Działam wbrew woli i życzeniom pani Richter. Za to zostałem wydalony ze szkoły...

– Zostałeś wydalony?!

– Innym razem o tym pogadamy – powiedział David i skoncentrował się na kręgu. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym, żebyście z Tobym zachowali przez następną godzinę absolutny spokój i ciszę. Siły mnie zawodzą i obawiam się, że Maya też długo nie zdoła mi pomagać.

Maksowi nie podobało się to, co usłyszał. Usiadł

obok ulu, a Toby wskoczył mu na kolana. Najwyraźniej zmieniovi również nie przypadł do gustu pomysł

przyzywania kogokolwiek. Siedzieli jednak w ciszy, podczas gdy David chodził wokół kręgu i przyzywał

demona.

Kiedy wypowiedział właściwe słowa zaklęcia, demon przybył z błyskiem światła i zapachem siarki.

Była to kobieta demon, bardzo stara i niezwykle zirytowana. Jej ciało w kontraście ze szkarłatnymi szatami wydawało się pożółkłe. Ale to widok jej twarzy sprawił, że Toby krzyknął mimo woli i wtulił się w ramię Maksa.

Była to twarz pokryta brodawkami – od pary zaokrąglonych rogów poczynając, na brodzie, z której

zwisały dwa żywe węże wysuwające języki, by posmakować powietrza, kończąc. Jedyne oko, okrągłe i pozbawione powieki, błyszczało pod jedyną brwią.

Starucha spojrzała na Davida i syknęła ze złością.

– Czy ty jesteś Cambrylla? – zapytał David.

Demonka zaśmiała się i przemówiła głosem kobiety –

rozbawionym, ponętym i całkowicie niepasującym do zgarbionej groteskowej postaci w kręgu.

– Ja wiem, kim ty jesteś – mruknęła zmysłowo. –

Wiem też, kto siedzi za tobą. Jak śmiesz mnie wzywać, robaku! Czy masz pojęcie, co cię za to spotka z ręki Astarotha?

Zaśmiała się, a ciało Maksa opanował bezwład.

– Musisz być kimś ważnym, skoro grozisz nam w tak hardy sposób – zauważył spokojnie David. – Można by podejrzewać, że Astaroth potajemnie wyznaczył cię na gospodynię tegorocznej Nocy Walpurgi.

Uśmiech odpłynął z twarzy demonki.

– Jak to możliwe...

David jednak lekceważącym machnięciem ręki zbył

pytanie.

– A teraz wyjawisz mi szczegóły obrządku oraz opiszesz odzienie, które będziecie mieć na sobie, ty i reszta uczestników.

Demonka odmówiła. David wypowiedział słowo.

Płomienie wzniosły się do samego sufitu grobowca i w komnacie zrobiło się gorąco. Max odczuwał temperaturę zaledwie jako odrobinę niekomfortową, podczas gdy demonka uniosła się w powietrze i wiła z bólu.

– Nie odmówisz mi – rzekł David.

Szarpiąc się, powarkując i sapiąc w kilkunastu językach naraz, demonka zdradziła sekrety swej niedawnej nominacji. David starał się słuchać ze spokojem, lecz Max widział, że kolega się trzęsie, jakby wysiłek stawał się ponad jego siły. Kiedy przesłuchanie dobiegło końca i demonka zdradziła hasła, jak również opowiedziała o strojach i szczegółowym przebiegu ceremonii, na znak Davida osunęła się na ziemię w kręgu.



– Cambryllo, pozostaniesz tu, dopóki Noc Walpurgi się nie skończy – rozkazał David. – Do dnia pierwszego maja, dopóki promienie słońca nie padną na ten grobowiec, nie masz prawa opuścić tego kręgu.

Demonka rzuciła Davidowi wściekłe spojrzenie, lecz jej zwiędłe ciało trzęsło się ze śmiechu.

– Myślisz, że uda ci się przechytrzyć Astarotha? –

zawyla. – On wszystko widzi, mały czarowniku! Obedrze cię ze skóry za twą próżność, a potem pożre i ciało, i duszę. Idź do niego, idź, mały! Idź do Astarotha na zgubę!

Chichotała i wiała się na ziemi, a jej kończyny wyginały się pod dziwnymi kątami, pod jakimi nie powinny się zginać. Widok ten przyprawiał o mdłości i Max żałował, że nie mogą po prostu jej odprawić. David jednak ignorował szyderczy śmiech Cambrylli oraz jej syczące groźby. Zwrócił się do zmienia.

– Toby, musisz teraz przyjąć postać Cambrylli. Tym razem nie możemy przeoczyć najdrobniejszego szczegółu.

– O mój Boże – jęknął zmien, spoglądając na demonkę.

Parę minut później był gotowy. Max skrzywił się, patrząc na stojącą ramię w ramię z nimi Cambryllę numer dwa. Zmien był doprawdy wspaniałym aktorem –

przyswoił sobie głos i sposób mówienia demonki tak, że ona sama postanowiła wreszcie zaprzestać kpín, by Toby nie mógł dłużej doskonalić parodiowania. Patrząc na nich dwoje, Max nie dostrzegał żadnej różnicy.

– Nie widzę aur – wyznał. – Jak twoja aura, Toby?

– Doskonale – odparł David. – Toby, naprawdę jesteś zmienem nad zmianami!

– Dobrze i wspaniale – gadał Toby jadowitym tonem Cambrylli. – Lecz kiedy demon zamieni małego czarownika w galaretę. – przerwał gwałtownie i zakaszłał.

– Najmocniej przepraszam – powiedział swym zwykłym melodyjnym barytonem – ale kiedy wpadnę w trans, łatwo zatracam się w postaci. Wybacz mi. Oczywiście nikt nie zamieni cię w galaretę!

– Nie musisz mnie przepraszać – rzekł David. – Tak naprawdę myślę, że powinieneś już pozostać w przebraniu, niezależnie od tego, jakie to wstrętne.

– David – rzekł Max. – Proszę, nie mów, że i mnie zamienisz w demona.

– Nie – zaprzeczył David. – Ty i ja mamy łatwe role.

Będziemy przebrani za malakhy.

Mówiąc to, David podszedł do swego plecaka i wydobyl z niego całą skrzynię. Po krótkich poszukiwaniach wyciągnął z niej dwie czarne szaty z kapturami i obsydianowe maski śmierci o zeszeconych anielskich rysach. Nawet tak drobny wysiłek zdawał się go całkowicie wycieńczać. Twarz miał śmiertelnie bladą, a z czoła lały mu się strumienie potu. Max zerknął na Mayę i stwierdził, że ulu również spływa zimnym potem.

– Co się z nią dzieje? – zapytał, głaszcząc jej bezwładnie leżącą głowę.

– Umiera – odparł David z lodowatym spokojem. –

Jej krew nie tylko pomagała mi odczytywać i tłumaczyć teksty. Ma również właściwości lecznicze. I kiedy się przeforsuję, co nie przychodzi mi z większym trudem, siła

dodaje mi energia Mai. Niestety wymagania, które stawiałem sobie przez ostatnich parę lat, były niszczące dla nas obojga. Wkrótce nas opuści, lecz zawsze będziemy jej wdzięczni...

Kiedy

zaklęta

w

kręgu

demonka

zaczęła

przedrzeźniać jego smutek, David nałożył na nią nakaz ciszy. Poprosił wszystkich, by wypoczęli, ponieważ było już po północy – sądny dzień właśnie nadszedł. O

zachodzie słońca rozpoczną się uroczystości.

Nikt jednak nie mógł zasnąć.

Jak każdy porządny aktor, zmieniał koncentrował się na powtarzaniu wszystkich szczegółów swojej roli – od powitania po samą ceremonię otwarcia. Z dala od reszty, wciąż bliźniaczo podobny do ohydnej demonki, robił

notatki i szeptał do siebie rozmaite zdania i zaklęcia.

Max siedział po turecku, wpatrując się w czarną maskę malakha. Była cudownie piękna, lecz od skroni do brody biegło szpetne pęknięcie, zapewne powstałe z powodu jakiegoś dawnego przewinienia. David dołożył

wszelkich starań, by kostium zakrył aurę Maksa tak samo jak hełm i zbroja podczas walk na arenie. On z Davidem mieli towarzyszyć zmieniomu w przebraniach malaków.

W rękach mieli trzymać starożytne rytony, naczynia do nalewania trunków zawierające wino do ceremonialnych toastów. Max nie mógł pohamować ciekawości. Zerknął

na Davida, który siedział parę kroków dalej z delikatną głową swej podopiecznej na kolanach.

Max przybliżył się.

– Czy trucizna będzie już w winie? – zapytał szeptem.

– Nie – sennym głosem wymruczał David. – Elixir musi zostać dodany do trunku tuż przed wypiciem.

– Więc jak planujesz to zrobić?

– Dzięki zręczności. Żadnej magii – odpowiedział

David z uśmiechem.

Max zmarszczył brew. David miał tylko jedną dłoń.

Niechętnie odniósł się nawet do pomysłu potasowania kart.

– Wiem, o czym myślisz – rzekł David. – Spójrz tylko.

Podał Maksowi sztuczną dłoń wykonaną z drewna.

Nie było w niej ani nic zaczarowanego, ani nawet specjalnie funkcjonalnego. Mogłaby być ręką manekina.

Palce miała zagięte do środka, jakby coś trzymała. W

miejscu, gdzie nadgarstek łączył się z przedramieniem, było jednak coś dziwnego. Nadgarstek otaczały parami puste, wystające nieco ku górze pierścienie, jakby przygotowane do tego, by wstawić w nie wąskie rurki.

– Pomieści sześć – rzekł z dumą David.

– Więc zamierzasz wlać eliksir do wina, kiedy nikt nie będzie patrzył? – zapytał Max.

David skinął głową. Maksa przeraziła naiwna prostota planu.

– Ale czy naprawdę nikt nie będzie na ciebie patrzył?

– A dlaczego ktoś miałby patrzeć na mnie? – zapytał

David. – Wszystkie oczy skierowane będą na Astarotha.

– Wątpię – rzucił Max. – Jestem od ciebie o trzydzieści centymetrów wyższy. Będziemy wyglądać

idiotycznie, stojąc po obu stronach Toby'ego.

– Zamierzam włożyć specjalne buty – rzekł David. –

Poza tym nie jestem aż tak niski.

– Widzę, że pomyślałeś absolutnie o wszystkim –

westchnął Max. – Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– Zadbaj tylko o nasze bezpieczeństwo do chwili ucieczki – poprosił David. – Pod ołtarzem jest sekretne przejście. Otwiera się sprytnie, nie można go rozpoznać za pomocą magii, ponieważ iluzja optyczna kamufluje wąskie wyjście. Jeśli damy radę przebić się do niego po tym, jak Astaroth wypije wino, uda nam się uciec.

– Przejście nie będzie strzeżone? – spytał Max.

– Może być – odparł David. – Ale po to właśnie masz nową Gae Bolga. Jeśli dasz z siebie wszystko, demony będą w szoku.

– Cała nadzieja w tym, że masz rację – westchnął

Max, zarazem poruszony i rozbawiony wiarą Davida.

David z czułym uśmiechem poklepał prawą rękę Maksa, po czym zwinął się obok Mai do snu. Nie minęła minuta, a już chrapał przez nos z charakterystycznym pogwizdywaniem.

Max zapatrzył się na swoją nowo wykutą broń, na jej cudowne ostrze, zdolne przeciąć niebiosy i ziemię. Gigant twierdził, że Gae Bolga jest w stanie zabić wszystko. Być może powinien interweniować, zanim David wcieli w życie swój katastrofalny plan, i zgładzić demona, zamiast w ogóle zawracać sobie głowę płatkami krwi. To może być ich jedyna szansa.

Następnego dnia po południu umarła Maya. Stało się to, kiedy pakowali swe rzeczy. Demonka, zamknięta w swym kręgu, podskoczyła nagle i zaczęła wyprawiać dzikie harce. Wyciągnęła szpon w stronę ulu, która cały dzień drzemała i odmawiała jedzenia. David odstawił

kasetkę z truciznami, zmarszczył czoło i podszedł do podopiecznej.

Siedział przy niej jakiś czas, tulił do siebie jej głowę i przemawiał do niej szeptem. W końcu zawołał Maksa i poprosił go o wyniesienie ulu z grobowca. Max oczywiście spełnił prośbę – wziął srebrzyste ciało w ramiona i wyniósł je na dwór, na ciepłe, wiosenne powietrze. David szedł za nimi. Obaj chłopcy zmrużyli oczy przed blaskiem dnia.

– Tak mi przykro, David – zaczął Max. – Nie wiem, co powiedzieć. Chcesz, żebym ją pochował?

– Nie, nie – odparł David rozkojarzony. – Bardzo miło z twojej strony, ale to chyba niepotrzebne. Połóżmy ją po prostu tu, pod drzewem.

– Ale owady i zwierzęta...

– Nie miałyby nic przeciwko – zapewnił go David. –

Coś mi się wydaje, że podobałoby się jej bycie częścią istot żywych. Nie chciałem tylko, żeby została w grobowcu, w towarzystwie demonki i jej szyderstw. To byłoby dla niej upokorzenie.

– Masz rację.

Kiedy Max złożył ciało Mai na ziemi, David nachylił

się nad nim, a potem ukucnął, by poklepać srebrne rogi podopiecznej i zamknąć jej złociste oczy. Ścierając samotną łzę z policzka, wstał i odwrócił się do Maksa.

– Zawołasz Toby'ego? – poprosił. – Już pora.

David nie uznał za stosowne odezwać się do demonki ani słowem. Kiedy Toby wyszedł z grobowca, a Max wziął bagaże, David zatrzasnął ciężkie kamienne drzwi i lekceważąco machnął ręką.

– Idziemy do pałacu pieszko? – zapytał Max.

– Nie, to by było podejrzane – odpowiedział David. –

Musimy przybyć z klasą.

Przebrali się w kostiumy i maskarada się zaczęła.

David co prawda chwiał się na nogach, przyzwyczajając się do przypominających szczudła butów, ale dzielnie nadzorował przygotowania i zajął się organizowaniem środka transportu.

W tym, że mimo strachu, smutku i czekającego go okropnego zadania David zachował poczucie humoru, było coś dziwnie krzepiącego. Zupełnie jakby był dobrą wróżką, matką chrzestną Kopciuszka i jakby jechali właśnie na bal – siedzieli bowiem w zabytkowej złoconej karocy, wyczarowanej z cyprysiku, ciągniętej przez cztery wiewiórki zamienione w czarne rumaki.

Do Blys nie było daleko – miasto wznosiło się tuż przed nimi – monumentalne i piękne na tle zachodzącego słońca. Przerażony zmień siedział tak cicho, że Max dotknął wreszcie jego obrzydliwie wiotkiej ręki.

– To ohydne – stwierdził w końcu.

– Nie wiń mnie za to – powiedział Toby mrozącym krew w żyłach głosem Cambrylli i pociągnął nosem. –

Byłeś wśród tych, którzy nalegali, bym przyjął tę odrażającą postać. W życiu nie przypuszczałem, że kiedykolwiek wolałbym być w swojej oryginalnej skórze.

– Przykro mi – rzekł Max. – Chciałem tylko spytać, jak się czujesz. Bo coś mi się zdaje, że nie masz zbyt dużego doświadczenia w podobnych imprezach.

Max nie chciał, by zabrzmiało to przemądrzale.

Ohydna twarz Cambrylli odwróciła się do niego powoli i wykrzywiła się.

– Czy mam przez to rozumieć, że ty jesteś starym wygą, jeśli chodzi o napady na pałace pełne demonów?

– N-no, nie – wyjąkał Max – ale...

– A ty przecież nawet nie musisz nic mówić! – rzucił

zmień i gorzko się zaśmiał. – Ja mam do odegrania pełną konkretną rolę, podczas gdy ty tylko stoisz jak fujara!

Pamiętasz, mój chłopcze, jak nazywa się w teatrze takich, co tylko stoją i nie muszą się odzywać? Statyści!

– W porządku, już dobrze. – Max założył ręce na piersi i zapatrzył się w okno.

– Przestańcie się sprzeczać – wtrącił się David – bo prawie jesteśmy na miejscu.

Naprawdę tak było.

Znajdowali się na tej samej drodze, którą Max jechał

z Prusiasem. Przed nimi rozciągały się obozowiska ludzi, nędzne i brudne. Max wznosił oczy ku miastu – jego wyniosłym wzgórzom, na których tarasami układały się domy, pałace i ogrody. Nad nimi górował pałac Prusiasa –

potężne koloseum umieszczone na szczycie wielkiej piramidy. Powyżej, skierowana rozetą nad wejściem w stronę zachodzącego słońca, stała katedra.

– Musimy się spieszyć – rzekł David, nie spuszczając oczu z odbicia zachodzącego słońca w rozecie. Jakby w odpowiedzi na jego słowa karoca szarpnęła do przodu, wymuszając pierwszeństwo wśród innych użytkowników drogi.

Z turkotem pokonali most na Tybrze i przemknęli przez wielkie Usta Prawdy – bramę wjazdową do miasta.

Przy bramie do karocy zajrzał ogr. Na widok Cambrylli natychmiast machnął ręką, by ich przepuścić.

David spokojnie kierował karocą, a Max rozmyślał

nad tym, jak dziwnie jest jechać tymi znanymi ulicami w czarnym stroju i masce malakha. Malakhy

były jego towarzyszami w czasie podróży na arenę oraz w wypełnionej ciszą willi na wzgórzu. Zastanawiał się, czy będą też towarzyszyć Prusiasowi w drodze na uroczystości. Miał nadzieję, że nie. W ich milczących, pozbawionych wyrazu twarzach było coś, co sprawiało wrażenie, że wnikliwie obserwują i zawsze wiedzą więcej, niż mogłoby się wydawać. Czy rozpoznają go po posturze lub po sposobie chodzenia?

Max, nie możesz rozmyślać o tym, co może się nie udać.

Słuchaj opanowanego Coopera i rób, co do ciebie należy.

Słuchaj mądrego Davida i miej wiarę.

Słuchaj ukochanej Scathach i szukaj wzorców.

Ta mantra go uspokoiła. Karoca toczyła się przez kolejne dzielnice miasta, przepychała przez tłumy wieloków, pijanych goblinów i innych rozwrzeszczanych, rozhulanych stworzeń, rozbawionych w to największe święto roku. Pożądliwa twarz Cambrylli wystarczyła za przepustkę do najbardziej prestiżowych dzielnic, lecz gdy dotarli w końcu do pałacu, pojawił się nieoczekiwany problem.

Ich zaproszenie wygasło.

Okazało się, że względy bezpieczeństwa wymagały ponownego

wydania

zaproszenia,

a

to,

które

zaprezentowali, było już nieważne. Lokaj – chochlik w stroju z epoki elżbietańskiej – zachowywał się wyniośle i hardo. Zmień przywołał cały swój talent aktorski i ruszył

do akcji.

Cambrylla wyłoniła się z karocy, przyciskając do siebie szkarłatne szaty i nachyliła się, by przemówić do apodyktycznego chochlika. Max widział, jak macha zaproszeniem przed nosem lokaja i ze złością gestykuluje w kierunku najbliższego wieloka. Ten odbiegł

galopem, a Cambrylla nie ustawała w natarciu na chochlika, któremu coraz bardziej rzedła mina. Chwilę później Toby wrócił do karocy i zostali wpuszczeni do środka.

– Jak ci się to udało? – syknął Max.

– Och, to nic takiego – pogardliwie odpowiedział

zmień. – Tyle razy podstępem dostawałem się do restauracji, klubów i na rozmaite snobistyczne imprezy, że nie uwierzycie. Wszyscy bramkarze są tacy sami.

Powiedziałem mu, że jestem wyznaczoną osobiście przez Astarotha gospodynią wieczoru i że jeśli przez niego choć sekundę się spóźnimy, użyjemy jego małej pustej czaszki jako czarki do wina!

– Toby, to obrzydliwe! – zawołał Max.

– Nie jestem żadnym Tobym – odpowiedział

wyniośle zmien. – Jestem Cambrylla i wiem, że właśnie w ten sposób należy się zwracać do tych istot.

Max nigdy dotąd nie był w tej części pałacu i jego wygląd zaparł mu dech w piersiach. Przestrzenie były tu po prostu ogromne – przy nich Warsztat we Frankfurcie wydawał się małą dziupłą. Wszędzie kręciły się chochliki, gobliny i wieloki, które nakrywały do stołów i przygotowywały stanowiska za jedzeniem na nadchodzącą wielką ucztę. W tym czasie na wewnętrzne rampy i aleje przynajmniej stumetrowej szerokości zajeżdżały karety demonów.

Trudno było ukryć zdumienie, kiedy ich karoca mijała stworzenie podobne do żaby, ale wysokie na dziesięć metrów, lub czarnego wilka wielkości słonia. W

pałacu Prusiasa otwarło się prawdziwe piekło.

Kiedy pokonywali natężony ruch na rampach i podjazdach wewnątrz piramidy, Max zagapił się na Mad'raasta, który przykucnął, pogrążony w rozmowie z królem Prusiasem.

Widok był absurdalny. Przy stróżu Gibraltaru Prusias wydawał się maleńki – był jak zwykły człowiek w szatach królewskich

przemawiający

do

podwładnego

przynajmniej trzydziestometrowego wzrostu. Co do ich rangi nie mogło być natomiast najmniejszych wątpliwości. Mad'raast wyglądał na zastraszonego, podczas gdy twarz Prusiasa pociemniała z wściekłości.

Wymachiwał laską przed nosem swego księcia, a Max nie mógł oderwać wzroku od jego ogromnego cienia tańczącego na marmurowych ścianach.

Wielki czerwony smok czał się naprawdę blisko.



Max widział najprawdziwszy strach na twarzy Mad'raasta i jednocześnie rozglądał się za panem Bonnem. Nie było go jednak nigdzie i chłopak zastanawiał się, co się mogło stać z tym niezwykle odważnym i szlachetnym chochlikiem. Pan Bonn naraził

się przecież na ogromne ryzyko, pomagając Maksowi i dostarczając Cooperowi klucz do celi. Max niepokoił się jego losem, widząc, że chochlik nie towarzyszy swemu panu przy tak ważnej okazji.

Piętrzyły się jednak przed nimi gorsze trudności. Na szczęście nie dotyczyły one ani oczekiwania w kolejkach, ani przepychania się między karocami i lektykami oczekującymi na wstęp do wyższych poziomów pałacu.

Za każdym razem, kiedy coś zmuszało ich do zatrzymania się, jakiś chochlik lub inny sługa w ceremonialnych szatach wypatrywał ich pojazd i przepuszczał go przodem, tak by nic nie opóźniło ich podróży. W ten sposób wjeżdżali coraz wyżej i wyżej.

Masywna rampa wreszcie się skończyła. Wyniosła ich na olbrzymią otwartą, wyłożoną kamiennymi płytami przestrzeń, rozciągającą się ku zachodniej fasadzie katedry. Na wysokości dawał się we znaki wiatr. Katedrę oświetlał blask zachodzącego słońca, złocąc całą jej elewację. Poniżej Max dostrzegł koloseum i wielką arenę, na której walczył, przelewał krew i został mistrzem.

Wydawała się teraz nie większa od pudełka zapalek. Do wnętrza katedry nie wpuszczano już pojazdów, więc musieli wysiąść, a na kozioł wskoczył chochlik, który trzaśnięciem z bicia skierował konie gdzieś na bok. Max w

przebraniu

stoickiego

malakha

siłą

woli

powstrzymywał się od rozglądania na wszystkie strony i gapienia na przerastającą wszelkie wyobrażenia katedrę.

Nawet Mad'raast, wchodząc do niej, czułby się maleńki. Kiedy pokonywali otwartą przestrzeń przed wejściem, Max usiłował nie zatrzymywać się i nie rozglądać. Widok tej budowli z daleka wywoływał

zachwyty. Natomiast z bliska jej rozmiary mogły budzić tylko lęk.

Pogłębiała go akustyka rozległego wnętrza. Kiedy bowiem przeszli pod łukiem portalu, każdy najmniejszy dźwięk i krok rozbrzmiewał donośnym echem, zwielokrotnionym tak, że wydawał się z jednej strony znacznie głośniejszy, z drugiej – nieskończenie nikły.

Wszędzie

panowała

atmosfera

intensywnych

przygotowań – przedpremierowa szalona krzątania za kulisami. Chochliki i wieloki pędziły na niekończące się posyłki. Setki kitsune oraz innych pomniejszych demonów wlewały się i wylewały pod głównym łukiem wejścia, ściskając w rękach wiolonczele, skrzypce i belyaele.

– O, jesteście! – wykrzyknął czyjś głos i Max odwrócił się, by ujrzeć spieszącego ku nim pana Bonna z kilkunastoma rolkami pergaminu przyciśniętymi do piersi.

Wyglądał marnie – jakby całkowicie przygniotły go obowiązki związane z organizacją i szczegółowym planowaniem tak doniosłej imprezy. Umordowany chochlik nie tracił jednak ani chwili.

– To wielki zaszczyt, hrabino – zwrócił się do Cambrylli. – Właśnie mnie poinformowano, że sam Wielki Bóg zaszczyca nas dziś swoją obecnością i że wybrał Waszą Wysokość na gospodynię wieczoru, która wzniesie pierwszy toast. Król Prusias jest zachwycony, rzecz jasna, i specjalnie poprosił mnie, abym cię powitał.

Max zauważył, że Cambrylla skłoniła się dostojnie –

najpierw lekko samą głową, kiedy pan Bonn zwrócił się do niej, a potem głęboko w pas na wzmiankę o Prusiasie.

– Czy zna pani obowiązki gospodarza wieczoru? –

dopytywał chochlik.

– Nie pierwszy raz uczestniczę w Nocy Walpurgi –

odparła pogardliwie Cambrylla.

– Oczywiście – sapnął pan Bonn i skłonił się pospiesznie. – Zatem proszę za mną.

Pokrzykując na muzyków i robotników, by się rozstąpili, pan Bonn poprowadził ich w głąb katedry.

Jeśli Max przedtem czuł się maleńki, to teraz całkowicie przestał istnieć. Kiedy kroczyli długą, zdawało się, niekończącą się nawą, strzelał oczami spod ograniczającej widok maski. W gigantycznej przestrzeni rozchodziły się dziwne głosy i echa współgrające z ciężkimi tonami organów, od których wibrowało powietrze.

Kiedy doszli do ołtarza, pan Bonn dosłownie spływał

potem. Tak samo zresztą Max, który martwił się bardzo o Davida. Kolega był przecież po pierwsze bardzo słaby, po drugie wkładał dodatkową energię w utrzymanie się na swych miniszczudłach. Na szczęście dookoła tak dużo się działo i panowała tak nerwowa atmosfera, że nikt nie miał

czasu gapić się na dziwnego malakha kroczącego za obrzydliwą hrabiną.

Chochlik pospieszył do ołtarza, uniósł jedwabną zasłonę i wystawił zza niej złocisty kielich i dwa olbrzymie dzbany na wino. Ocierając pot z czoła, wręczył

kielich Cambrylli, a Maksowi i Davidowi po dzbanie.

Następnie ciężko westchnął, zerknął na wlewające się przez rozetę światło i z powrotem przeniósł wzrok na wyniosłą demonkę.

– Do rozpoczęcia ceremonii pozostało jeszcze trochę czasu – rzekł. – Poproszę, aby wniesiono dla was krzesła.

Wszystko to wydawało się surrealistyczne.

Max niemal zaczął chichotać, kiedy trzy wieloki przyniosły dla niego, Davida i zmienia złocone krzesła.

Spoczęli za ołtarzem – niemożliwie maluczcy i nic nieznaczący – podczas gdy słońce skłaniało się ku zachodowi, a muzycy spieszyli, by zająć miejsca. Zmień ani na chwilę nie wypadł z roli.

– Czy muszę wam przypominać, iż znajdujemy się w świętym miejscu, gdzie nie wolno zachowywać się bez należnego dostojenstwa?

Max natychmiast przestał drapać się w kolano. W

kostiumie malakha bardzo się pocił. Szaty były ciężkie, a maska równie przytłaczająca jak ta, w której walczył jako Bragha Run. Całym sercem współczuł biednemu Davidowi, dla którego sam spacer główną nawą musiał

być aktem heroizmu.

Siedzieli więc w oczekiwaniu i odzyskiwali siły.

Muzycy jeden po drugim przestawali stroić instrumenty, a głosy chóru przycichły. Tylko organy grały dalej niespokojne, dysonansowe, ciemne nuty.

Do katedry zaczęła napływać arystokracja. W

podniosłej ciszy zapełniały się ławki i nawy. Dla każdego z władców wyznaczony został oddzielny sektor, oznakowany odpowiednim królewskim sztandarem. Max zwrócił uwagę, że sektory Prusiasa i Aamona nie znajdowały się obok siebie. Natomiast bardziej masywni goście, z których wielu przekraczało rozmiarem Fomorianina, stawali pod ścianami katedry. Max usiłował

nie gapić się na zajmującego całą niszę Mad'raasta, który, złożony skrzydła, wyglądał, jakby dalej czuwał na swym punkcie obserwacyjnym.

Setki, a może tysiące wysoko postawionych demonów wlewały się do katedry, lecz Max zauważył, że nie wszyscy wchodzi głównym wejściem. Wysoko nad głowami kłębiły się upiorne kształty i duchy dryfujące pod sklepieniem, migocząc w gasnących powoli promieniach słońca.

Widok demonicznej arystokracji usadowionej w katedrze w pełnym napięcia bezruchu, ciszy i oczekiwaniu, był ogromnie niepokojący. Wszyscy wpatrywali się w ołtarz i siedzące za nim trzy drobne postaci. Max czuł się jak oświetlony gigantycznym reflektorem. Tyle oczu, tyle twarzy straszliwych, nieśmiertelnych stworzeń patrzyło wprost na niego.

Niektóre przypominały straszdyła z koszmarów nocnych, inne były istotami nieziemskiej, niebezpiecznej urody, jeszcze inne skrywały się za dziwacznymi maskami i tkaninami. Jediną wspólną cechą całej tej zbieraniny była spokojna,

niewzruszona

wrogość.

Max

odczuł

wdzięczność, że nie widzi aur, bowiem wtedy na pewno z krzykiem uciekłby z budynku.

Kiedy do środka napływała kolejna fala gości, Max w ciszy powtarzał sobie plan działania.

Wchodzi Astaroth i zbliża się główną nawą.

Cambrylla wstaje i podaje mu pusty kielich.

David wychodzi na środek, by nalać demonowi zatrutego wina.

Astaroth zostaje zgładzony, a Max osłania ucieczkę.

Plan jest prosty, trucizna doskonała, pozycja idealna.

Plan ma tylko jedną fatalną wadę.

Demon wie o wszystkim.

Oczywiście, kiedy Astaroth go przesłuchiwał, Max nie wiedział, że David będzie stał za ołtarzem, a w roli gospodarza wieczoru wystąpi zmień. Nie znał żadnych szczegółów, więc nie mógł zdradzić ich demonowi.

Zdradził jednak wystarczająco dużo, by demon mógł

ich z łatwością zabić.

Astaroth wiedział, że David uderzy właśnie dziś wieczór, i wiedział, jaką bronią. Nawet jeśli uda im się podać mu eliksir Davida, płatki krwi nie przyniosą oczekiwanego skutku.

Każdy aspekt tego wieczoru miał złowróżbny odcień.

Czy nowe zaproszenia zostały wydane specjalnie po to, żeby odkryć tożsamość dywersantów? Czy chochliki i dworzanie rozpoznali ich powóz i przez całą drogę przepuszczali go bez kontroli specjalnie po to, by wpadli w pułapkę demona? W retrospekcji wszystkie te zdarzenia wydawały się celowe i nakierowane na wprowadzenie ich na scenę.

Ostatnie promienie słońca zgasły w ogromnym witrażu nad wejściem.

Rozpoczęła się Noc Walpurgi.



# NOC WALPURGI

Kiedy światło słoneczne zgasło, umilkły organy.

Zamiast tego rozległ się oszołamiająco piękny dźwięk belyael. Szlachta odwróciła się gremialnie w stronę przejścia w głównej nawie, w którym pojawili się czterej monarchowie.

Pierwszy szedł Rashaverak – król Jakarun. Miał

cztery metry wzrostu, nosił złociste jedwabne szaty zupełnie niepasujące do złowrogiej głowy rudego wilka, na której tkwiła żelazna korona. Na jego widok wszystkie zebrane demony się skłoniły.

Następna szła Lilith – królowa Zenuvii. Postać miała całkowicie ludzką. Wyglądała jak piękna kobieta. Wokół

jej lodowato spokojnej twarzy wiły się fale czarnych włosów. Nosiła szaty w kolorze głębokiej zieleni, a towarzyszyły jej dwie eleganckie kitsune, które stanęły za królową, gdy ta zasiadła w pierwszej ławce.

Kiedy Król Aamon w upiorny sposób dryfował nawą Max przeszukiwał wzrokiem ławki, szukając Vyndry.

Znalazł go wśród arystokratów zajmujących sektor Prusiasa. Podobny do tygrysa rakszasa odziany był w czarną zbroję. Max zdziwił się, że Prusias przydzielił

nielojalnemu księciu miejsce pośród najwierniejszych poddanych. Wszyscy przecież wiedzieli, że Vyndra jest w zмовie z Aamonem.

Maksa nie obchodziły jednak zbytnio szczegóły polityki Vyndry. Demon z zimną krwią zamordował jego ojca i tylko to się liczyło. Stał teraz nie więcej niż dziesięć metrów od Maksa...

Chłopak odwrócił uwagę od Vyndry dopiero wtedy, gdy zbliżył się Prusias. Jeśli króla Blys drażniła obecność zdrajców i złodziei wśród swej delegacji, to nie dawał

tego po sobie poznać. Prusias dosłownie rozpromienił się na widok swoich demonów. W czarnej zbroi i purpurowych szatach, wspierając się na potężnej lasce –

co do której David był przekonany, że skrywała stronę lub dwie z Księgi Thotha – prezentował się wspaniale.

Kiedy Prusias posuwał się nawą, Max zorientował

się, że towarzyszy mu ktoś o połowę niższego od niego.

Jego gościem była kobieta w średnim wieku ubrana w strój trefnisia, która nierozumiejącym wzrokiem rozglądała się wokół siebie.

To była matka Davida.

Na widok wyrazu dziecięcej ufności w tej twarzy Max niemal odczuł wdzięczność, ponieważ widok demona udającego troskliwość wobec tej bezradnej istoty sprawił go w taką wściekłość, że Max natychmiast zapomniał o Vyndrze.

W pierwszej kolejności zamorduje Prusiasa.

Zanim poleje się krew – a Max nie miał wątpliwości, że to nastąpi – odnajdzie króla Blys, nim demony zdążą ostatecznie go pokonać. Przynajmniej tyle mógł zrobić przeciwko tej okrutnej, uśmiechniętej postaci, która stała teraz przed ławką w otoczeniu swych malaków.

Przez cały czas demoniczna arystokracja stała cierpliwie, a samotny muzyk nie przestawał grać hipnotyzującej, upiornej melodii. Max zerknął na Toby'ego. Jeśli zmień był zdenerwowany, to nie dawał

tego po sobie poznać. Spokojnie siedział na swym wyeksponowanym miejscu. Chropowate ręce Cambrylli ścisnęły złoty kielich, który za chwilę zostanie podany Astarothowi.

Belyael w końcu umilkła. Tysiące demonów podniosły się z ławek i odwróciły twarzami w kierunku wejścia do katedry.

Demon przybył.

Max wiedział o tym, zanim Astaroth zdążył wejść do środka, i nie miało to nic wspólnego ani z muzyką, ani z napięciem, przerażeniem i wytężoną uwagą, które malowały się na każdej bez wyjątku twarzy. Fakt przybycia demona można było poznać po oślepiającym, białym świetle, które strumieniami wpadło przez otwarte drzwi i rozetowy witraż, a wraz ze zbliżaniem się demona jaśniało.

Kiedy Astaroth wszedł do środka, serce Maksa niemal zamarło. Poczuł tę samą przytłaczającą obecność, tę kłamrę spinającą wolę, wymuszającą bezbrzeżne posłuszeństwo. Demon ubrany był w proste białe szaty, lecz wydawało się, że każdy atom jego ciała i ubrania promieniuje światłem. W głowie Maksa odezwał się głupi sen z więzienia. Księżyc uderza w ziemię i toczy się na bok, żeby pobawić się z nim kiedy indziej...

Owo „kiedy indziej” właśnie nadeszło, bowiem Astaroth, który się zbliżył, był potężniejszy niż księżyc.

Był prawdziwym Lucyferem, „nosicielem światła”. Jego niczym nieprzysłonięte oblicze było tak oślepiająco piękne, a zarazem tak straszne, że wiele demonów skłoniło głowy, by nie patrzeć wprost na niego.

Demon nie miał ani berła, ani buławy, ani nawet zmijowej laski, którą często miał przy sobie jako oznakę władzy. Niósł jedynie Księgę Thotha. Wszystko z wyjątkiem lśniących, czarnych włosów i śmiertelnie czarnych oczu było w demonie białe, złote lub jaśniejące blaskiem. To właśnie oczy – te prastare, wszystkowidzące szparki – tak bardzo przeraziły Maksa, kiedy wiele lat temu chłopiec



zorientował się, że wpatrują się w niego z obrazu Rembrandta. Oczy demona uśmiechały się do niego także w krypcie Marleya Augura. Te same oczy uśmiechały się, gdy Max po ciężkich bojach oddawał mu Księgę.

Teraz również uśmiechały się do Maksa.

Nie było wątpliwości – Astaroth, krocząc główną nawą katedry, gapił się wprost na niego. Max byłby drżał, byłby zemdłał na miejscu, gdyby nie obezwładniająca i dominująca wola demona, która utrzymywała go na nogach. Słyszał w głowie przemawiający do niego głos Astarotha. Jego znajome tony były miękkie, syczące i jak zawsze ironiczne.

*A więc proszę – szeptał demon. – Tak się cieszę, że jesteście. Prusias był wściekły, że mu uciekłeś, ale schlebia mi, że zdobyłeś się na tak wielki wysiłek, by być świadkiem kolejnej z moich najpiękniejszych chwil.*

*Pozwoliłeś mi wyrwać się z pęt, oddałeś w moje ręce tę cenną Księgę, a teraz będziesz przy tym, jak pochłonę twego druha i przejmę całkowitą władzę nad ziemią!*

*Zawsze przynosisz mi szczęście, Maksie McDaniels!*

Głos Astarotha był tak jasny i dźwięczny, jakby demon szeptał Maksowi prosto do ucha. Wargi jego jednak nie poruszały się, a twarz pozostała skupiona i posępna. Uśmiech czaił się tylko w oczach.

*Ale co z biednym małym Davidem? – ciągnął demon.*

*– Przecież on ledwo się trzyma na nogach! Gdybym go nie podtrzymał, dawno by upadł. Jakże on się trzęsie! Jak chwiejnie stoi w tych absurdalnych butach. Mała, bezbronna owieczka – tak jak powiedziałem, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Gdyby nie to, że jego esencja tak cudownie zasili moją, zatrzymałbym go sobie jako pupilka...*

Astaroth pokonywał teraz płaskie stopnie na drodze ku nim. Jego wzrok przesuwiał się co chwila z Maksa na gospodynię wieczoru, Cambryllę.

*I zmień! – zaśmiał się demon w głowie Maksa. –*

*Myśleliście, że zwiedzicie mnie przy pomocy zmienia...*

*Przykro, że tak nisko mnie cenicie.*

Demon był już na najwyższym stopniu. Stał przed nimi, oślepiająco jasny.

*A teraz, Max, pozwól, że zwrócę się do swojej trzody w naszym ojczystym języku. Nie martw się jednak, kochany. Zapewnię ci osobistego tłumacza.*

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, z fałd jego szat wyleciała ćma i usiadła na ramieniu Maksa. Był to pan Sikes – jedyny zaufany sługa Astarotha. W swej owadziej postaci szybko wpadł do kaptura Maksa. Chłopak instynktownie chciał ją z siebie strząsnąć, ale nie miał

władzy ani nad swoim ciałem, ani nad umysłem. Był

zmuszony w cichej udręce patrzeć dalej, podczas gdy sardoniczny, pełen ogłady głos chochlika szeptał mu do ucha.

Astaroth skłonił się w stronę Cambrylli, po czym odwrócił się twarzą do rzeszy zebranych. Kiedy przemówił w języku demonów, jego głos wypełnił całą katedrę.

– Moje dzieci, witajcie w Ratuszu Blys. Wielkie podziękowania dla naszego gospodarza, króla Prusiasa. W

Noc Walpurgi obchodzimy święty wieczór na pamiątkę wielkich chwil z naszej przeszłości...

Po katedrze rozszedł się chichy szum aprobaty.

– Ponieważ to właśnie w tę noc zgładziliśmy ostatnią szkołę magii rodzaju ludzkiego. W Noc Walpurgi wielu z nas pozbawiło życia ludzi, którzy kazali nam służyć swej próżności. Tej właśnie nocy upadło Solas!

Rozległ się potężny ryk entuzjazmu demonów, który trwał, dopóki Astaroth nie uniósł ręki, żądając ciszy.

– I właśnie tej nocy, czyż nie zjednoczyliśmy sił

przeciwko temu, kto nas tępił? Czyż nie złapałem go w końcu i nie pochłonałem jego ciała i duszy? Tej właśnie nocy zginął Elias Bram!

Katedrą zatrzęsł ogłuszający ryk.

– Tej samej nocy, tej świętej nocy, powróciłem, by stanąć przed wami – kontynuował gładko Astaroth. –

Ponieważ wiem, że są tu i tacy, którzy we mnie zwątpili...

Wrzawa ucichła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W katedrze zapanowała taka cisza, że Max słyszał łomot własnego serca. Czułki ómy łaskotały go pod maską, kiedy pan Sikes tłumaczył. Obecność Astarotha przed zebraniem tłumem była już tak silna, tak namacalnie potężna, że wiele demonów trzęsło się i zakrywało twarze.

– To prawda – ciągnął. – Wielce zasmuca mnie świadomość, że są wśród nas tacy, którzy wątpią.

Zasmuca mnie, że niektórzy mają czelność szeptać ukradkiem, że Wielki Bóg nie powrócił, ale porwawszy Księgę, zaszył się w kosmosie lub pogrążył w rozmyślaniach w jakimś odległym miejscu. Zasmuca mnie, że są tacy, którzy ignorują moje dekryty i kwestionują moje sądy.

Siedzący w pierwszej ławce Prusias zaczął się wiercić i odwrócił wzrok. Gesty te nie uszły uwagi Astarotha, który uśmiechnął się dobrotliwie w stronę króla.

– Nie jestem jednak bogiem, który sądzi – rzekł

Astaroth. – Jestem bogiem miłosierdzia, jestem bogiem mądrości i jestem bogiem prawdy. A ci, którzy pragnęli mnie zwieść, zwodzą samych siebie...

Mówiąc te słowa, demon odwrócił się twarzą w stronę fałszywej gospodyni wieczoru.

Pod jego władczym spojrzeniem Cambrylla oklapła niczym zwiędły kwiat. Upuściła kielich i osunęła się na ziemię. Jej kończyny skurczyły się i znikły w fałdach szat, a znad całej jej postaci uniosły się obłoczki dymu.

Rozległy się trzaski, którym towarzyszył potworny odór pękających brodawek. Jeśli Max byłby w stanie odwrócić wzrok, zrobiłby to. Astaroth ponuro podszedł do stosu szkarłatnych szat i zaczął gmerać w nich ręką.

Wyłowiwszy zmienia, uniósł go wysoko.

– Macie czelność wątpić w moją potęgę, ale dajecie się zwieść czemuś takiemu – powiedział z drwiną.  
–

Dopuszciliście do tego, żeby jakiś przekłety zmień sprofanował tę świętą noc, pełniąc rolę jej gospodarza!

Zamiast świętować nasz triumf, bylibyście świadkami mojej zagłady!

Astaroth potrząsnął głową, jakby to, co powiedział, dla niego samego było szokujące.

– Ponieważ tak właśnie by się stało, gdybym nie był

Wielkim Bogiem – oznajmił. – Gdybym ufał waszej czujności czy mądrości, zostałbym dzisiejszej nocy zamordowany. Bawi mnie, kiedy patrzę, jak wielu z was, głupców, zastanawia się: „Jak to możliwe?”. Oto wam pokażę...

Demon lekceważąco cisnął Toby'ego przez ramię.

Zmień wylądował na ołtarzu i potoczył się jak solony orzeszek. Astaroth odwrócił się teraz w stronę Davida z uniesioną ręką niczym lalkarz.

Ciało chłopca zostało gwałtownie zmiecione z nóg, jakby podcięte niewidzialnym batem. Maskę spadła mu z twarzy i roztrzaskała się o posadzkę. Astaroth pozwolił

Davidowi poruszać się tylko tyle, by wydawało się, że młody czarownik walczy. Słabo kopał nogami, kiedy niewidzialna siła kręciła nim w powietrzu.

Z widowni rozległ się krzyk. To pani Menlo rozpoznała syna i patrzyła na niego z otwartymi ustami.

Kiedy próbowała podejść bliżej, powstrzymał ją jeden z malaków.

– Moje dzieci – kontynuował Astaroth. – Oto David Menlo. Niektórzy z was znają go jako czarownika Rowan, być może nawet niektórych z was osobiście przywoływał.

Inni przeklinają go jako niszczyciela swej floty. Niewielu jednak wie, że jest również ogrodnikiem i bardzo zdolnym alchemikiem. Albowiem to jest właśnie chłopiec, który rozsiewał po waszych ziemiach śmiertelne płatki krwi. Mimo jego zuchwalstwa muszę jednak oddać mu szacunek. Nie tylko udało mu się przechytryć was wszystkich, lecz także stworzyć coś naprawdę niebezpiecznego...

Lekkim, figlarnym gestem demon zdarł szaty z zawieszzonego w powietrzu ciała Davida. Chłopak wisiał

teraz nad ziemią w swym postrzępionym swetrze i starych spodniach. Dopelnieniem upokarzającego wizerunku były absurdalne buty na koturnach.

– Och, nie śmiałybym się na waszym miejscu – rzekł

Astaroth, uciszając gości pożądliwie oglądających widowisko. – Parę lat temu pochłonałem rękę małego Davida. I ponieważ nie sprawił sobie specjalnie przemyślanej protezy, pragnąłbym zwrócić waszą uwagę na czerwone fiołki wokół jego nadgarstka. Fiołki te zawierają miksturę o działaniu tak silnym, że nawet mały łycalek natychmiast zabije najpotężniejszych z was.

Max miał nadzieję, że koniec nadejdzie szybko. Stał

sztwno, podczas gdy pan Sikes nie przestawał szeptać mu do ucha. David wydawał się taki mały i przerażony, kiedy bezradnie bujał się w powietrzu ponad demonem.

Astaroth traktował go jak eksponat przy prowadzeniu wykładu.

– Wciąż jednak ogarnia mnie sceptycyzm – ciągnął z uśmiechem pełnym rezygnacji – kiedy odkrywam przed wami dywersantów, którzy kryją się wśród was, a tym samym

wybawiam

was

ze

śmiertelnego

niebezpieczeństwa, albowiem wciąż są tutaj tacy, którzy mają czelność wątpić. Bardzo dobrze, w takim razie pokażę wam więcej...

Demon wyprostował się jak struna i lustrował

wzrokiem zebranych w katedrze, dopóki jego oczy nie zatrzymały się na olbrzymiej uskrzydłonej postaci, smętnie siedzącej w niszy.

– Ach, potężny Mad'raaście – wykrzyknął i skłonił się w jego stronę. – Podejdz tu, księżę Lebrimu i strażniku bramy, ponieważ pragnę cię obdarzyć wielkim zaszczytem.

Między demonami dało się odczuć pełne strachu oczekiwanie, kiedy ogromna, ciemna postać wysliznęła się ze swego miejsca i ostrożnie szła nawą w kierunku ołtarza. Astaroth swobodnym gestem przywołał

gigantycznego demona, który z wahaniem przystanął przy pierwszych ławkach.

– Nie bój się – mruknął zachęcająco. – Ponieważ obiecałem ci, że dostąpisz wielkiego zaszczytu, a moje słowo jest wiążące. Zawiodłeś Prusiasa, który ci ufał.

Twoim obowiązkiem było czujne służenie szlachetnym braciom demonom, lecz ty oddałeś się w służbę swej zachłanności.

Potężny demon skłonił rogatą głowę i przykląkł, otulając się skórzastymi skrzydłami w pokutnym geście.

– Bardzo dobrze, że przyznajesz się do winy – rzekł

łagodnie Astaroth. – Już miałem się na ciebie rozgniewać.

Lecz teraz widzę, że godzien jesteś zaszczytu.

– Jakiż to zaszczyt, mój panie? – zapytał syczącym głosem Mad'raast.

– Zademonstrujesz wszystkim, jak niebezpieczny jest nasz mały czarownik – odparł Astaroth. – A zarazem przez swoje poświęcenie odkupisz zachłanność i nauczysz mą trzodę odrobiny mądrości.

Skrzydlaty potwór zawahał się. Wciąż nie podnosząc głowy, zaczął:

– Mój panie, może jest inny sposób...

– Mad'raaście – rzekł lodowatym tonem Astaroth –

czy mam przez to rozumieć, że kwestionujesz wielki zaszczyt, którego masz dostąpić? Czy życzysz sobie popsuć tę piękną śmierć, którą postanowiłem ci podarować mimo twych złych postępów?

Demon ponuro potrząsnął głową i wstał, prezentując w pełni swe masywne cielsko. Na rozkaz Astarotha ciało Davida poderwało się nagle z miejsca i spiralnym ruchem poleciało w stronę skrzydlatego demona. Drżącą pod spojrzeniem Astarotha ręką David wyjął z uchwytu jedną fiołkę i położył ją na otwartej dłoni Mad'raasta. Ten skłonił się nisko swemu Wielkiemu Bogu i odwrócił się twarzą do widowni.

Po czym z potężnym buntowniczym okrzykiem połknął całą fiołkę.

Skuteczność trucizny ujawniła się w jednej chwili.

Krzyk Mad'raasta przeszedł nagle w ohydny wrzask.

Białe płomienie buchnęły z jego gardła, piersi i brzucha, pożerając jego ciało niczym szalejąca pożoga. Nie minęło kilka sekund, a z olbrzymiego demona została dymiąca kupka popiołu.

Wszystkie demony – cała arystokracja – obserwowały to w pełnym oszołomienia milczeniu. Max zerknął na Prusiasa i stwierdził, że król, jak zawsze oportunistą, dokładnie przygląda się pozostałym ampułkom. Astaroth jednak zbliżył się do kupki prochów giganta i zagarnął

nieco w dłoń.

– Żegnaj, Mad'raaście – rzekł, pozwalając pozostałościom demona przesypać się przez swe długie, zakończone ostrymi pazurami palce. – Dziękujemy ci za twój dar i możemy tylko mieć nadzieję, że król Prusias będzie na tyle mądry, by zastąpić cię kimś znacznie bardziej uważnym.

Demon znowu wszedł na ołtarz i zwrócił się do zebranych.

– Powinniście być wdzięczni Mad'raastowi za lekcję, której wam udzielił. Albowiem potrzebujecie mnie, moje dzieci. Pozwoliliście już czarownikowi przedostać się między was, lecz nie jest on tu jedynym zabójcą. Przybył

do nas również sam czempion tego królestwa – wrócił, by dokonać własnej zemsty. Rozejrzyjcie się dokładnie, Wyndro i Prusiasie, i wszyscy moi piękni arystokraci, ponieważ Czerwona Śmierć czai się już, by was porwać w swe szpony.

Pan Sikes, trzepocząc malutkimi skrzydełkami, uniósł

się w powietrze, podczas gdy z Maksa opadły szaty i maska malakha. Przez tłum niczym dreszcz przebiegła fala syków i szeptów. Twarz Maksa była dobrze znana wielu wysokich rangą demonom z Blys, które podczas igrzysk były świadkami jego śmierci na arenie. Pan Sikes jeszcze raz przysiadł na ramieniu Maksa, a jego chytry głosik niczym smużka dymu sączył się do jego ucha.

– Tak – ciągnął Astaroth – oto i Max McDaniels –

sam Pies Rowan, o którym sądziliście, że nie żyje. Prusias przechytrzył was jednak, moje dzieci. Ponieważ to nie tylko Max McDaniels, ale sama Czerwona Śmierć, której przyklaskiwaliście na arenie. Przed wami Bragha Run, o którym sądziliście, że był jednym z naszego rodu...

Max stał bez ruchu pod spojrzeniem tysięcy demonów. Prusias nie mógł powstrzymać swego drapieżnego wzroku, wzroku dzikiego zwierza, którym ogarniał Maksa. Na jego ciemne, dzikie oblicze wypełził

strasliwy uśmiech.

– To mój więzień, Wielki Boże! – krzyknął król Blys.

– Powierz go znowu mojej opiece. Zapewniam cię, zapewniam wszystkich tutaj, że nigdy więcej nie

podniesie ręki przeciwko naszemu rodowi.

– Mój drogi Prusiasie – rzekł łagodnie Astaroth – nie sędzę, aby arystokracja zdecydowała się powierzyć tak niebezpieczny okaz twojej opiece, zwłaszcza po tym, jak ich oszukałeś. Wyobrażam sobie, że nikt z tutaj zebranych nie ma wątpliwości, że pragnąłeś zatrzymać sobie Psa jako śmiertelnie niebezpiecznego pupila. Nie, nie sędzę, aby inni zgodzili się, bym ci go powierzył.

– Mój Panie...

– Zamilcz, Prusiasie.

Max nie potrzebował tłumacza, by zrozumieć ostry ton głosu Astarotha. Prusias usiadł na miejscu, jakby wymierzono mu policzek. Skłonił nisko głowę i odwrócił

wzrok.

– Tak więc – ciągnął Demon – będzie to Noc Walpurgi, której nigdy nie zapomnicie. Ponieważ nie tylko powróciłem, ale również ukazałem wam, jak błędne są wasze ścieżki. Tak przystoi dobremu rodzicowi. By uświęcić tę noc, wzniosę za was, moje dzieci, toast. Za was i za naszą szlachetną historię. Sobie zostawię czarownika, lecz Psa podaruję wam. Jego istota na zawsze będzie wam przypominać tę noc. Noc, kiedy Wielki Bóg powrócił i rozwiał wszelkie wątpliwości...

Demon powoli obniżył Davida, odwrócił się i spojrzał na małego czarownika ze zdumiewającą czułością.

Pan Sikes nie omieszkiał skorzystać z okazji i szepnąć Maksowi słówka od siebie.

– Pójdiesz na ołtarz – mówił. – Związany i bezbronny, i wszyscy cię skosztują. Mój pan obiecał mi pierwszy kęs, który wystarczy mi, by dostąpić *koukerros*.

Będę próbował nie być zachłanny, ale inni będą musieli poczekać na swoją kolej.

Max za wszelką cenę starał się odwrócić myśli od życzeń Astarotha. Przechylił głowę nie więcej niż o parę centymetrów, dzięki czemu dostrzegł ómę na swym ramieniu. Złość i furia wzbierały w nim, osiągając przerażające poziomy. Stara Magia kotłowała się, lecz wciąż był spętany niezłomną wolą Astarotha. Kilka demonów wskazywało go sobie – najwyraźniej jego uwidoczniona aura stawała się coraz większa, a może nawet ogromna.

– Spokojnie, spokojnie – śmiał się pan Sikes.

Kiedy David został opuszczony prawie na samą podłogę, demon podszedł do szkarłatnych szat Cambrylli i odszukał wśród nich złoty kielich. David wisiał parę centymetrów nad ziemią. Całe jego ciało było bezwładne, jakby powoli opuszczała go świadomość, a wraz z nią –

życie.

– Już prawie po wszystkim, mój mały – rzekł

Astartoh. – Lecz jeszcze nie całkiem. Kosztowało cię wiele wysiłku, aby zatruć mój kielich, więc jakże mógłbym pozbawić cię tej szansy? Napelnij kielich, niechaj wzniosę toast.

Kiedy demony zdały sobie sprawę, że Astaroth naprawdę zamierza wypić truciznę Davida, w katedrze zapadła absolutna cisza. Max nie mógł znieść widoku Astarotha, który zmuszał drżącą rękę chłopca do przelania fiołki za fiołką do kielicha. Kiedy to zrobił, demon skłonił

się z szyderczą wdzięcznością i odwrócił się do zebranych, by podnieść puchar.

– Strzeżcie się! – zawołał. – Wielki Bóg powrócił!

Po czym odrzucił głowę w tył, wychylił zawartość kielicha i wykrzywił twarz w dzikim, triumfalnym uśmiechu. Płomienie nie pochłonęły jego ciała i demony jęły z uwielbieniem wykrzykiwać jego imię. Astaroth spokojnie odstawił puchar na ołtarz i przycisnął do piersi Księgę Thotha. Gestem poprosił o ciszę. Zebrani natychmiast usłuchali.

Astaroth wziął Davida pod brodę i uniósł nieco jego głowę, tak by mógł spojrzeć mu w oczy.

– Noc Walpurgi oficjalnie się rozpoczęła, mały czarowniku. Czy chcesz powiedzieć ostateczne słowo, zanim cię pochłonę?

Ledwo żywy David z trudem skinął głową.

– Usłyszemy więc je, mój drogi.

– Szach mat.

Przekład nie był konieczny.

David wypowiedział te słowa po angielsku. Były doskonale słyszalne w pogrążonej w absolutnej ciszy katedrze.

Astaroth mrugnął. Jego uśmiech zbladł i demon zaśmiał się drwiąco.

– Co to ma zna...

I zatoczył się jak pijany na ołtarz. Widownia gapiła się bez słowa, niepewna, co się dzieje. Max wyraźnie słyszał, jak demon z trudem łapie oddech. Zaklęcie, trzymające Davida w górze, puściło i chłopiec upadł na ziemię.

To, co działo się z Astarothem, nie było równie dramatyczne i widowiskowe jak płomienie, które spopielili Mad'raasta, lecz demon rzeczywiście zdawał się płonąć. Wydobywała się z niego perłowa esencja podobna do pary wodnej. Snuła się ku górze niczym dym nad cierpiącym na tajemniczy atak demonem.

– NIE! – wrzasnął i złapał się kurczowo za pierś.



Nie był to okrzyk bólu, ale całkowitego, druzgocącego szoku. Był to okrzyk poniżenia, ponieważ demon

został

wykpiony

na

oczach

swych

najznamienitszych poddanych. Kilku arystokratów powstało i zbliżyło się ostrożnie do stopni prowadzących na ołtarz. Był pomiędzy nimi Prusias, na którego twarzy malował się strach pomieszany z zachwytem.

Nieobecny wzrokiem omiół nieruchome ciało Davida i końcem buta przesunął je na bok.

Astaroth wystękał coś do Prusiasa; niewątpliwie była to prośba o pomoc. Król Blys nie miał jednak względu na swego Wielkiego Boga.

Nie spuszczał oczu z Księgi.

I nie był w tym osamotniony.

Nastrój w katedrze zmienił się radykalnie.

Czołobitność i bezkrytyczny zachwyty ustąpiły miejsca drapieżności i zachłanności.

Rashaverak schwycił Księgę jako pierwszy. Zagarnął

ją próbnym, jakby niepewnym ruchem.

Astaroth wrzasnął coś w języku demonów, lecz podchodziło ich coraz więcej – by sprawdzić, co się stało, ale również by wykorzystać wielką i nieoczekiwaną okazję.

Astaroth mocniej ścisnął najcenniejszą relikwię świata, krzycząc coś do demonów w ich języku. Na próżno. Coraz liczniej się do niego zbliżali, krążąc niczym stado rekinów. Wielki Bóg nadal z trudem łapał powietrze i wił się w obłoku perłowej mgły.

Rashaverak warknął i spróbował śmielszego chwytu.

W tym samym momencie Prusias podniósł laskę i uderzył

nią prosto w wilczy pysk, wprawiając króla Jakarun w osłupienie i odrzucając go na bok. Prusias prześliznął się bliżej Astarotha. Jego zachłanne oczy utkwione były w złotej Księdze.

Bums!

To roztrzaskały się wszystkie okna katedry, ugodzone jakimś straszliwym zaklęciem Astarotha. W obrębie piętnastu metrów od Wielkiego Boga nie pozostał żaden demon. Wszystkie, łącznie z monarchami, skryły się za poprzewracanymi ławkami i potrzaskanymi figurami katedry.

Jęcząc, Astaroth przyciągnął Księgę bliżej siebie i rzucił Davidowi mordercze spojrzenie. Był w nim jednak również strach. Max zauważył wyraz lęku jak plama rozlewający się po twarzy demona.

Przeniósł wzrok dalej i zrozumiał, dlaczego Astaroth ma powody się bać. Demony znowu powstawały z miejsc.

Prusias już się zbliżał. Twarz miał rozplamioną.

Wyglądał jak obłąkany.

– Oto, jak padają potężni tego świata! – wykrzyknął, akcentując uderzeniem laski każdy krok. – Czyżby

„Wielki Bóg” został wyprowadzony w pole?

Wybuchnął śmiechem. Inni z demonów nie podchwycili okrzyku, lecz cisnęli się za nim zaniepokojonym, czujnym tłumem. Astaroth słabymi ruchami rozganiał mgłę, która nieprzerwanie unosiła się nad jego ciałem.

– Wycofaj się, Prusiasie – sapnął. – To rozkaz.

– Nie zrobię tego – odparł z uśmiechem król i zbliżył

się do stopni.

– Chroń mnie!

Max nie był w stanie odmówić. Prowadzony wolą demona, stanął przed Astarothem i Davidem. Prusias zatrzymał się na stopniach i przyglądał scenie ze złośliwym uśmiechem.

– Lepiej już było zostać w moich lochach, Max –

wycedził.

Max wyciągnął z pochwy Gae Bolga.

Rozbawiony Prusias rzucił okiem na broń.

– Cóż to, przyniosłeś ze sobą nóż na to skromne przyjęcie? – zapytał, oblizując wargi. – Dobra robota, chłopcze. Ale ja też coś przyniosłem...

Wypowiadając te słowa, król Blys zaczął rosnać.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, zaś demon w groteskowy sposób przybrał kształt czegoś, czego Max obawiał się od momentu, kiedy zauważył jego cień na ścianie.

Uważaj, wielki czerwony smok!

Max podniósł wzrok i spojrzał na prawdziwą postać Prusiasa. Był nią szkarłatny wąż, ciągnący się przez całą długość katedry. Inne demony odsunęły się gwałtownie, kiedy potężne zwoje Prusiasa przelewały się z boku na bok, chłostały ławki i stwory. Mimo przerażenia, jakie budziło potężne ciało i gwałtowne ruchy węża, Max jak zahipnotyzowany patrzył na jego głowy.

Było ich siedem. Siedem ludzkich głów na giętkich, wijących się szyjach wyrastało z węzowego tułowia.

Każda z głów zwieńczona była rogami, koroną i znajomą przerażającą twarzą Prusiasa. Jedna unosiła się wyżej od innych. Kiedy ryknęła, katedra zatrzęsała się w posadach.

Max również zadrżał. Gae Bolga w jego rękę ożyła, niemal wrywając się do walki. Od skoku na wroga powstrzymywała Maksa tylko woła Astarotha.

Katedra napełniła się zapierającym dech napięciem.

Prusias zaatakował.

Zakłęcie powstrzymujące Maksa zostało zerwane.

Uwolniła się cała skumulowana w nim energia, gniew i strach. Kiedy demon uderzył, Gae Bolga śmignęła jak błyskawica i przecięła mu gardło.

Prusias odskoczył pod wpływem uderzenia jak oparzony. Twarz miał bladą od szoku, a z ziejącej rany tryskała krew. Z wysiłkiem odciągnął swe potężne cielsko od ołtarza i od Maksa. Pozostałe jego głowy wyły z wściekłości, rzucały się na oślep na wszystkie strony.

Zraniona natomiast patrzyła na Maksa i straszliwą broń, którą trzymał w ręku.

Bo Gae Bolga wołała teraz ze wszystkich sił.

Drżała w rękach Maksa, a ostrze zawodziło niczym płaczki czuwające przy zmarłym. Dźwięk ten mroził krew w żyłach i wiele demonów wycofało się pod ściany, z dala nie tylko od Prusiasa, ale i od broni, która go zraniła.

Nie wszystkie jednak demony były tchórzliwe.

Setki z nich z krzykiem i wyciem włączyły się do walki. Niektóre od razu ruszyły na Astarotha, inne – z obozów Aamona i Lilith – rzuciły się na Prusiasa. W

mgnieniu oka ujawniły się tajne dotąd spiski i rozłamy i katedra zmieniła się w pole walki.

Max skoczył przeciwko nim, a Gae Bolga z wyciem i z zatrważającą łatwością cięła zbroję, kość, ciało i ducha.

Przez Maksa przepływały ogromne fale energii. Nigdy dotąd nie zachowywał się tak dziko, a kiedy głos Astarotha i jego rozkazy zbladły, został tylko on, Max, jego wrogowie i... Vyndra.

Odnalazł w tłumie rakszase walczącego z paroma malakhami. Nie było wątpliwości, że demon usłyszał, jak Max wykrzyknął jego imię. Brutalnie przeciął dwóch przeciwników na pół i zakręcił się wokół własnej osi, by stanąć naprzeciw chłopaka.

Wślizgując się pod przygotowanym do zamachu ramieniem Maksa, demon złapał go za gardło i cisnął nim o kolumnę. Wokół ciała rakszasy tańczyły płomienie, przypalając podczas szarpaniny także i Maksa. Demon był

o wiele za silny, by walczyć z nim wręcz. Potężne uderzenie zakrzywionej szabli oszołomiło chłopca do tego stopnia, że ledwie uniknął ścięcia głowy. Ostrze utkwilo w kolumnie tuż nad nim, złobiąc w kamieniu głęboką rysę. Demon warknął i przytrzymując Maksa na odległość wyciągniętej ręki, drugą usiłował wydobyć uwięzioną w kamieniu szablę.

Nie musiał się męczyć.

Ogon Prusiasa pogruchotał potężny filar jak zapałkę.

Siła uderzenia rozciągnęła Maksa i Vyndrę na ziemi, a król Blys przypelzł i natychmiast rzucił się na nich.

Vyndra przekształcił się w mgnieniu oka w słup żywego ognia strzelający ku sklepieniu katedry. Max nie miał w zanadrzu tego typu sztuczek. Wycofując się krok po kroku, stanął twarzą w twarz z królem Blys.

Oczy demona były puste, niewidzące. Prusias, którego Max znał, zniknął, zastąpił go potwór, którego kłapiące szczęki popychały Maksa w stronę ołtarza.

Pochłonał już mnóstwo swych braci i jego brody ociekały krwią, która skąpy wała na podłogę i syczała przy zetknięciu z marmurem.

Jedna z głów wystrzeliła naprzód, obnażając pożółkłe kły. Max uderzył na oślep, rozkrawając jej nos. Buchnęła czarna krew i głowa wycofała się, lecz natychmiast na jej miejsce pojawiły się inne, dziko warcząc i otwierając paszcze. Max potknął się o ciało jakiegoś muzyka i odtoczył na bok w chwili, kiedy pełznące cielsko króla Blys zmiażdżyło kilka demonów.

Dokładnie w chwili, gdy Max podnosił się na nogi, trafiła go w ramię strzała.

Ugodziła go z siłą pocisku z broni palnej – popchnęła go w tył i niemal ścięła z nóg. Podniósł wzrok, by ujrzeć Vyndrę, który z balkonu wypuszczał właśnie następną strzałę.

Ta trafiła parę centymetrów obok pierwszej i cisnęła Maksa na ziemię. Dzięki desperackiemu szarpnięciu w bok kolejna chybiła, choć Vyndra celował uważnie i bez pośpiechu. Max wrzasnął i wbił Gae Bolga w zwój ciała Prusiasa, przetaczającego się tuż obok i grożącego mu zmiżdżeniem. Król Blys odsunął się z rykiem, po czym ze zdwojoną siłą ponowił atak. Podniósł się i znowu zwinął cielsko, tym samym osłaniając Maksa przed strzałami Vyndry. Max zacisnął zęby i wyrwał sobie strzały z ramienia.

Oddychał płytko i z trudem, kiedy odrzucał je na bok.

Z góry zanurkowała ku niemu wielka, krwawiąca głowa Prusiasa. Tym razem nie miał szans jej uniknąć. Widział

każdy ohydny detal – od obślinionych szczęk po laskę demona, umieszczoną bezpiecznie na żelaznej koronie.

Jednak dokładnie w chwili, kiedy Prusias miał

schwycić Maksa, Vyndra wypuścił jeszcze jedną strzałę, która zamiast wbić się w ciało chłopaka, trafiła prosto w oko Prusiasa. Ten okręcił się z rykiem wokół własnej osi, by natrzeć na swego napastnika.

Kiedy jego głowa odwróciła się w bok, Max ujrzał

szansę dla siebie.

Schwycił skołtunioną brodę Prusiasa i trzymał ją mocno, kiedy potężna głowa wznosiła się w powietrze.

Zobaczył pod sobą walkę w miniaturze, podłogę katedry zasłaną poległymi i tymi, którzy się nimi pożywiali.

Niewzruszony Vyndra umieszczał na cięciwie następną strzałę.

Wypuścił ją dokładnie w chwili, kiedy Prusias miał

roztraskać balkonik. Strzała poszła bokiem, omijając Maksa, który puścił brodę Prusiasa i rzucił się na Vyndrę.

Złapał go w pasie i z miejsca zatopił w nim Gae Bolga. Obaj runęli w dół. Vyndra ryczał z bólu i dziko macał dookoła, by wyrwać broń z ręki chłopca. Ostrze jednak, zawodząc, nie przestawało wbijać się w zbroję Vyndry i w znajdującą się pod nią pradawną esencję.

Rakszasa jak opętany rzucił się do ucieczki. I znowu zmienił się w dym i płomień, kierujący się gęstą smugą ku jednemu z wybitych okien katedry. Max jednak nie dawał

za wygraną – ścisnął kurczowo parzącą nicość, jakby to był ogon uciekającej komety.

Tak jak obiecał olbrzym, ostrze Morrigan nie odróżniało śmiertelników od nieśmiertelnych, a ciała od ducha. Cięło wszystko.

Max nie wiedział, kto wydał ostatni krzyk – czy Vyndra, czy zawodząca Gae Bolga. Nie miało to znaczenia. W ostatnim gwałtownym wybuchu esencja Vyndry przestała istnieć, a niewyobrażalna fala energii wlała się w Maksa.

Chłopak z ogłuszającym wyciem skoczył na posadzkę katedry. Ciało miał jak naelektryzowane.

Zakłęcie Astarotha zostało zmiażdżone, pochłonięte przez Starą Magię we krwi Maksa i przez broń w jego ręku.

Sprawdziły się słowa Scathach: „Jesteś synem Lugha Lamfhada. Jesteś słońcem, burzą i mistrzem wszystkich ciosów, których uczę. Jesteś tym wszystkim, ponieważ musisz tym być... ”.

Słowa te jak błyskawica rozjaśniły mu myśli, a wtedy buchnęło z niego światło silniejsze niż światło południowego słońca. Nie był w pełni świadom, jaka broń w niego godziła, jakie straszliwe zaklęcia, krzyki i błagania ku niemu kierowano. Wszystko to nie zdało się na nic. Był niezwyciężony. Był najdzikszym demonem w Blys.

Gae Bolga siała potworne zniszczenie wśród wszystkich, którzy znaleźli się w jej zasięgu, a zawrocie broni sięgnęło zenitu. Max walczył z taką szybkością i zwinnością i wyglądał przy tym tak przerażająco, że demony rzucały się przed nim do ucieczki. Słyszał brzęk tłuczonego szkła, pękającego kamienia i wrzaski powalonych demonów, kiedy jak burza szedł przez katedrę.

Ale jedno słowo wypowiedziane telepatycznie przykuło w końcu jego uwagę.

*Max.*

Głos Davida.

Max odwrócił się i ujrzał przyjaciela bezwładnie leżącego nieopodal ołtarza. Obok w oparach białej mgły spoczywał Astaroth, wciąż tulący do siebie Księżę.

David powtórzył imię Maksa tym samym spokojnym, błagalnym tonem nieco podobnym do szeptu Coopera, kiedy agent ratował Maksa z lochów Prusiasa. David jednak nie ratował Maksa z celi.

Ratował go przed Morrigan.

Ratował go przed nim samym.

Max złożył przysięgę, że będzie chronił Davida, lecz o niej zapomniał. Wężowe cielsko Prusiasa otoczyło absydę i ołtarz, zasłaniając leżących tam Astarotha i Davida. Nawet w swej dzikiej postaci Max zdał sobie sprawę, że Prusias odciął im drogę ucieczki.

*– Max, potrzebuję cię...*

Chłopak rzucił się w stronę ołtarza, a demony pierzchały sprzed jego stóp. Przeskakując ponad ciałami zalegającymi stopnie, Max dopadł wreszcie przyjaciela.

David umierał.

Mały czarownik leżał na najwyższym stopniu, zupełnie zapomniany w czasie całego pandemonium.

Gestem przywołał Maksa bliżej.

– Idź po moją mamę. Już pora...

– Gdzie ona jest?

David słabym ruchem wskazał parę przewróconych ławek. Max pospieszył w tamtą stronę i zobaczył leżącą między nimi nieprzytomną panią Menlo. Nie spuszczać wzroku z Prusiasa, podniósł ją i zarzucił sobie na plecy.

Kiedy biegł w stronę ołtarza, stwierdził, że mgła nad Astarothem coraz bardziej jaśnieje, a utworzony z niej obłok przybiera przeróżne kształty. Położył panią Menlo obok syna i szarpnął się w tył w tej samej chwili, kiedy węzowym ruchem wysunęła się ku niemu jedna z głów Prusiasa z obnażonymi zębami. Max zadał trzy zręczne ciosy w jej szyję. Smok zawył z bólu i uderzył łbem w ścianę, wybijając z niej w tumanach pyłu olbrzymie kamienne bloki.

Oslaniając Davida i jego matkę własnym ciałem, Max zauważył pod ołtarzem zmienia. Toby zwinął się w kulę nie większą od grejpfruta. Max schwycił go ranną ręką i wsunął sobie za pazuchę. Walka obok nich stawała się coraz bardziej zajadła.

– Odejdź ode mnie!

Wydany wściekłym głosem rozkaz pochodził od Astarotha. Demon leżał jakieś trzy metry dalej, wsparty plecami o ołtarz. Pokonany, z wysiłkiem odganiał od siebie oblegającą go mgłę, której strzępki chwyciły delikatnie Księgę Thotha. Max widział, jak ręka Astarotha zostaje gwałtownie odsunięta, a złota okładka się otwiera...

Podniósł wzrok i ujrzał, że prosto na nich spada fragment ściany. Zaslaniając ciałem przyjaciół, uchylił się przed lawiną kamieni, lecz nie uniknął potwornego uderzenia w głowę rogiem kamiennego bloku. Zachwiał

się. Kolana ugięły się pod nim i osunął się na ziemię tuż obok Davida.

Przez zalewającą oczy krew zobaczył rękę demona, która zdecydowanym ruchem z powrotem przywłaszcza sobie Księgę Thotha. Przez chwilę widział zwróconą ku sobie twarz Astarotha, piękną, anielską, lecz pełną nienawiści.

Nagle rozbłysło oślepiające, białe światło i Max stracił przytomność...

Nie tak wyobrażał sobie śmierci.

Było zimno i mokro, a chlupoczące fale kołysły go, obmywając stopy, nogi i koniuszki palców. Było też cicho i spokojnie. Do jego uszu dochodziła tylko łagodna symfonia łamiących się fal i odległych krzyków mew.

Było też cudownie miętko.

Max poruszył głową. Poczuł pod głową poduszkę z jedwabistego futra.

– Chyba się budzi.

Jego twarzy dotknęło coś zimnego. Otworzył oczy i ujrzał Davida.

Mały czarownik uśmiechał się do niego.

Max nie widział nigdy portretu, który uchwyciłby taki wyraz twarzy, jaki miał teraz David. Białe oczy przyjaciela lśniły spokojnym blaskiem – pogodą ducha, która była czymś więcej niż zwykłe szczęście. Blask ten wyrażał radość, zwycięstwo osiągnięte dzięki mozolnym zmaganiom i gorzkiemu poświęceniu.

– Słyszysz mnie? – spytał spokojnie.

Max próbował skinąć głową, ale bolała go nieznośnie.

David kazał mu leżeć bez ruchu. Jego upiorna bledność ustąpiła i chłopiec przypominał dawnego siebie.

Niebo nad nimi miało odcień łagodnego różu. Gwiazdy już zniknęły, nadciągał świt.

Max poruszył palcami i stwierdził, że w rękę wciąż ściska Gae Bolga. Zerknął na nią nerwowo, lecz ostrzu nic się nie stało. Było ciche i spokojne. Przesunął nieco ciężar ciała. Poczuł, jak poduszka pod jego głową faluje.

– Co to? – mruknął i spróbował się trochę odwrócić.

– To ja, nasz bohaterze – odpowiedział Toby. –

Rozbiłeś sobie głowę i potrzebowałeś poduszki, a nie przyszło mi do głowy nic wygodniejszego ani bardziej komfortowego niż selkie. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić po tym, jak mnie ocaliłeś. Przepraszam za moje wcześniejsze teksty. Rzeczywiście jesteś starym wygą, jeśli chodzi o ataki na pałace pełne demonów. –

Ciało selkie zatrzęsało się od śmiechu.

Na skutek tego ruchu Max skrzywił się z bólu.



– Co się dalej stało, Davidzie? – zapytał, zadziwiony.

– Jakim cudem...

– Och, Fomorianin mylił się, jeśli chodzi o mnie –

odparł David. – Naprawdę jestem sprytnym głupcem...

– Nie rozumiem.

– Mędrzec zawałiłby tę sprawę – wyjaśnił David. –

Astaroth byłby go zniszczył. Tylko sprytny głupiec mógł

sprawić, że demon wypił z tego kielicha.

– Ale przecież on wiedział! – wykrzyknął Max, unosząc nieco tułów. Odkrył, że jest już w stanie wyznać swą zradę. Zakłęcie Astarotha zostało z niego zdjęte. –

David, ja mu powiedziałem, co będzie w tym kielichu.

Sprawił, że powiedziałem mu wszystko o czerwonych płatkach i truciznach...

– Niech cię nie gnębi poczucie winy – rzekł David. –

I tak nie mogłeś nic zrobić. A ja wiedziałem, że to się wydarzy. A właściwie to bardzo mi na tym zależało.

Przyczyniłeś się więc do otrucia Astarotha tak samo jak ja.

David delikatnie ułożył Maksa z powrotem na posłaniu.

– I nie ty jeden – ciągnął David. – Zdradzałem to i owo rozmaitym ludziom i stworzeniom, a nawet demonom, w nadziei, że informacja przecieknie w końcu do Astarotha. Chciałem, aby zajrzał mi w karty.

– Dlaczego?

David wzruszył ramionami.

– Ponieważ był to jedyny sposób na zwycięstwo.

Zanim Astaroth dostał Księgę, nie stanowiłem dla niego żadnego zagrożenia. Nie posiadam nawet ułamka jego.

magii. Bezpośrednia konfrontacja z nim oznaczałaby samobójstwo. Musiałem więc go zwieść. Musiałem go nabrać, żeby mi pomógł. A więc dałem mu szansę nie do odrzucenia. Podczas największego ze świąt „Wielki Bóg”

wkroczy z pompą, zniszczy wrogów i zademonstruje wszystkim zebranym swą siłę. Tego typu perspektywa będzie dla kogoś pokroju Astarotha niezwykle kusząca.

Lecz nigdy nie udałooby nam się dostać na uroczystość Nocy Walpurgi ani tak bardzo zbliżyć się do niego, gdyby nam tego nie umożliwił. Pozwolił na to, bo miał nas za nieszczęsnych głupców. Myślał, że to my wpadniemy w jego sidła.

Max przypomniał sobie rozmowę z Cooperem w jego pokoju. Wtedy, kiedy rozmawiali o grze w sekret, o sprytnych i frajerach.

– Nie mogę w to uwierzyć – mruknął. – Wykiwałeś go.

– Obawiam się, że tak – potwierdził David.

– Zdumiewające – powiedział oszołomiony Max. –

Nigdy w życiu nie zagram z tobą w karty.

David uśmiechnął się.

– To najpoważniejsza gra w sekret, o jakiej w życiu słyszałem – zauważył Toby głosem, z którego promieniował podziw. – Co za przeciwnik! Co za stawka!

A jaka odwaga! Cóż, wątpię, aby największy mistrz wszystkich zmienił się kiedykolwiek na coś podobnego. Czapki z głów, drogi chłopcze, czapki z głów.

Co za osiągnięcie!

Max, słysząc tę przemowę, zmarszczył brwi.

– Ale, Davidzie, co właściwie osiągnęliśmy?

– Cóż – odrzekł zamyślony chłopiec – pomściliśmy ojca, to po pierwsze, zadaliśmy Wrogowi bardzo potężny cios, który wywoła zamieszki we wszystkich czterech królestwach, to po drugie.

– Ale nie zgładziliśmy Astarotha – stwierdził Max. –

I nie odebraliśmy mu Księgi.

– Prawda – zgodził się David.

– Więc misja zakończyła się niepowodzeniem –

podsumował z ciężkim sercem Max.

David uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– To była misja ratunkowa. I zakończyła się powodzeniem.

Zdezorientowany Max nie powiedział nic, leżał tylko nieruchomo i obserwował jaśniejące niebo nad sobą. To prawda, uratowali panią Menlo, lecz dlaczego David musiał z tym czekać do Nocy Walpurgi? Zagranie wydawało się podejmowaniem niepotrzebnego ryzyka i narażaniem się na ogromne niebezpieczeństwo. Dla Maksa, który odniósł tak wiele ran, szczególnie.

– Jak się miewa? – mruknął cicho.

– Moja mama? – upewnił się David. – Trochę posiniaczona i przerażona, ale w porządku. Nigdy nie była szczęśliwsza.

Max uśmiechnął się, lecz kotłowały się w nim emocje. Myślami wybiegł do Wyndry i do snów o zemście, które nim owładnęły. Demon został zgładzony, lecz fakt ten nie przyniósł chłopakowi wielkiej ulgi.

Śmierć Wyndry nie przywróci przecież do życia Scotta McDanielsa. David trwał cierpliwie u boku przyjaciela, najwyraźniej zadowolony, że ten uzmysławia sobie powoli przebieg wydarzeń.

Max przypomniał sobie dziwną mgłę, która zaczęła wydobywać się z Astarotha po tym, jak połknął truciznę.

– David – mruknął cicho – a co było w tym kielichu?

– Cztery fiołki płatków krwi – odparł chłopiec – oraz sprytny mały haczyk.

– Co?

– Haczyk – powtórzył David. – Piąta fiołka wyglądała i pachniała tak samo jak pozostałe, lecz zawierała zupełnie inny rodzaj trucizny, taki, który znacznie trudniej było uzyskać. To była trucizna pozwalająca uwolnić się więźniowi.

Jakiemu więźniowi? Czy uratowali jeszcze kogoś prócz pani Menlo?

Max był wciąż zdezorientowany i zamroczony, ale powoli dochodziły do niego urywki wspomnień, dawnych rozmów i zdarzeń, tworząc coraz jaśniejszy obraz. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy bać.

– David – wyszeptał, podczas gdy coraz więcej wspomnień napływało mu do głowy – jak uciekliśmy?

Czy to ty nas tu przeniósłeś?

David potrząsnął głową. Pomógł Maksowi podnieść się na nogi i wskazał postać stojącą pośród szarozielonych fal.

– On.

Dopiero teraz Max zdał sobie sprawę, że są u wybrzeża Rowan. Stojący w wodzie mężczyzna

wpatrywał się w Czuwanie Brygidy. Sylwetka skały jasno kontrastowała z niebem, na którym właśnie wschodziło słońce. Był to postawny mężczyzna o dzikiej grzywie stalowoszarych włosów i gęstej brodzie, która zawsze przypominała Maksowi Posejdon.

Mężczyzna spojrzął na mamę Davida, która stała na brzegu i obserwowała go. Brodząc, doszedł do plaży, zbliżył się do niej i wziął ją za rękę, podczas gdy ona wpatrywała się weń z dziecięcym zachwytem. Z surowym wyrazem twarzy mężczyzna zdjął z głowy kobiety czapkę trefnisia i rzucił ją na piasek.

– Oni się znają? – zapytał Max.

David chrząknął.

– To jego córka.

Max starał się ukryć szok, ale bez powodzenia.

– Więc... więc on jest twoim...

David gestem nakazał mu milczenie. Mężczyzna patrzył teraz prosto na nich. Nie było mu łatwo.

Obserwował ich ostrożnym, czujnym spojrzeniem dzikiego zwierza, który właśnie zdał sobie sprawę z ich obecności.

– Nic nie mów – szepnął David. – Jeszcze się nie przystosował.

Minęła prawie minuta, zanim uwaga mężczyzny przeniosła się wreszcie na kredowobiałe klify Rowan.

Mężczyzna wygładził włosy córki, wziął ją za rękę i ruszył w górę po schodach.

Toby przybrał swą zwyczajną postać. Max wziął go do ręki, by cała trójka mogła ruszyć za nimi. Kiedy wspinali się pod górę, słońce wyrzało zza horyzontu i białe klify Rowan zaśniły złotem.

Max poczuł, że na widok Maggie, Starego Toma i porośniętego bluszczem Domostwa zalewa go fala radości. Idący przed nimi mężczyzna przystanął przy jednej z marmurowych figur, po czym poprowadził córkę dalej, rozglądając się uważnie po cichym, uśpionym kampusie.

Dopiero kiedy podeszli już pod samo Domostwo, mężczyzna

zauważył

Gravenmuira.

Z

powagą

kontemplował ambasadę demonów. Wszystkie okna gotyckiej budowli były rzeświście oświetlone. Widać demony nie skończyły jeszcze świętować Nocy Walpurgi.

Zaprzestały teraz rozmów i niepewnie patrzyły na tego dziwnego człowieka, który przyglądał im się z daleka.

Max i David, przynaglani jego milczącym gestem, podeszli bliżej. On umieścił dłoń córki w dłoni Davida, po czym odwrócił wzrok ku ścieżce do Sanktuarium.

Wychodziło im naprzeciw coś bardzo potężnego.

Była to Yaya – Wielka Matrona Rowan.

Ki-rin była pradawną istotą. Jej jedyny róg został

ułamany podczas oblężenia Solas. Mimo że wygląd Yai był niezaprzeczalnie imponujący, uczniowie znali ją wyłącznie jako łagodną czarną lwicę drzemiącą cały czas w Chatce Rozgrzewania i z babcią dobrocią sprawującą rządy w Sanktuarium.

W tej chwili jednak ki-rin nie sprawiała wrażenia dobrotliwej babuni. Wyraz jej pyska był gniewny, a postawa tak dumna, że już przez to wydawała się całkiem innym stworzeniem. Szła powoli ścieżką, nie spuszczać wzroku z człowieka, który cierpliwie na nią czekał.

Kiedy Yaya zatrzymała się, górowała nad mężczyzną, a z jej na wpół otwartego pyska buchała para. Patrzyła na przybysza z powagą, po czym skłoniła swą ogromną, zmierzwioną głowę w geście pozdrowienia. Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął. Wyciągnął rękę, by pogłaskać jej futro pomiędzy wielkimi ślepiami, a ki-rin łąsiła się do niego jak mały kociak.

Parę minut później słońce uniosło się nad klify Rowan, a Stary Tom wybił godzinę piątą. Był pierwszy maja. Noc Walpurgi minęła.

Podczas gdy dźwięczne bicie Starego Toma rozchodziło się po całym kampusie, największy czarownik w historii dziejów wspiał się na grzbiet ki-rin i skierował ją w stronę Gravenmuira. "Kiedy byli już blisko, Max zauważył, że demony pierzchły do środka.

Nawet ohydni strażnicy w maskach opuścili stanowiska na widok Yai stojącej tuż za bramą. Potulnie jak owieczki schronili się do budynku.

Kiedy wybrzmiało ostatnie uderzenie, czarownik rozpostarł ramiona, jakby chciał powitać świt.

Na jego gest ziemia się zatrzęsała.

Cały odcinek klifu pod Gravenmuirem zwałił się kamienną lawiną. Budynek i wszystko, co się w nim znajdowało, z przerażającym hukiem runął do morza.

Elias Bram powrócił.

## PODZIĘKOWANIA

W *Demonie i kuźni* Max McDaniels odwiedza dziwny, nowy świat, napotykając w nim, ale i w sobie, demony. To samo można powiedzieć o pisaniu. Lecz gdy bohaterowie opowieści na ogół mierzą się z niebezpieczeństwem sami, pisarze przeważnie mogą liczyć na pomoc.

Ta książka była znacznie bardziej ambitna niż poprzednie i nigdy nie byłbym w stanie jej napisać, gdyby nie niesłabnące wsparcie i zachęta ze strony mojej cudownej rodziny i najbliższych przyjaciół. W czasie całego procesu nie brakowało chwil, kiedy poddawałem się różnym obawom i wyłem do księżycy. Ich gotowość, by słuchać, łagodzić i wprowadzać właściwy dystans to najlepsze świadectwo tolerancji i poczucia humoru. Te cudowne pobłażliwe dusze to moja Mama, Terry Zimmerman, i rodzeństwo – John i Victoria; moi przyjaciele od czasów, zanim włosy wyrosły mi na głowie; oraz moi byli współpracownicy i uczniowie.

Przyjaciele i rodzina zapewniali mi bezcenne wsparcie, lecz byli też ludzie, którzy odegrali bardziej bezpośrednią rolę we wcielaniu w życie ostatecznego projektu książki. Oryginalny szkic był bowiem potworem

– zawierał dwieście pięćdziesiąt tysięcy słów samych pomysłów i nieskończoną liczbę wątków. Miałem przecież zamiar stworzyć całkiem nowy świat, w związku z czym ochoczo badałem wszelkie aspekty rozmaitych kultur, królestw, sytuacji gospodarczych i postaci drugoplanowych. Moi redaktorzy z wydawnictwa Random House – Nick Eliopoulos i Schuyler Hooke – z powodzeniem powstrzymali tę bestię i pomogli mi przetworzyć najlepsze zamiary i pomysły w spójną opowieść. Nicole de las Heras to wizjonerka stojąca za pięknym projektem graficznym książki, natomiast dzięki bohaterskim wysiłkom Carrie Andrews, Diany Joao i Alison Kolani, tekst jest spójny i jasny. Jak zwykle Josh i Tracey Adams z Adams Literary służyli mi trzeźwą radą, a Jocelyn Lange dołożyła wszelkich starań, by przygody Maksa mogli śledzić w rodzimych językach czytelnicy z całego świata. W obliczu nadchodzących terminów osoby te wykraczały znacznie poza swoje służbowe obowiązki.

Jestem im dogonnie wdzięczny za zaangażowanie i profesjonalizm.

Jako ostatniej dziękuję mojej żonie, Danielle Raymond Neff. *Pies z Rowan* był isierką podczas naszej pierwszej randki, a *Demon i kuźnia* roziskrzył

małżeństwo. To mój ostateczny prezent ślubny, choć Danielle zasługuje na dziesięć razy więcej. Jeśli pisarze to niezwykle trudni partnerzy, to pisarze, którym minął

termin złożenia rękopisu, są nie do zniesienia.

Przekraczałem granice wytrzymałości psychicznej tej kobiety na wszelkie możliwe sposoby – nieludzkie godziny pracy, rozrzucanie wszędzie szkiców i brudnopisów, podjadanie jej smakołyków i testowanie na niej twórczych impulsów – by wymienić tylko kilka z nich. Z cierpliwością świętej zniosła wszystko, a co więcej – dzieliła się ze mną niezwykle istotnymi spostrzeżeniami odnośnie do historii i jej bohaterów.

Jestem jej za to dogonnie wdzięczny.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)